



S P O W I E D Ź

K R Z Y S Z T O F B E Ś K A

W F O T O P L A S T I K O N I E



Siedem rzeczy, których nie wiedzieliście o życiu, miłości
i śmierci w dżungli okupowanej Warszawy

Spis treści

Karta tytułowa

* * *

Prolog (Teheran, 4 listopada 1979 roku)

Rozdział pierwszy (1943)

Rozdział drugi (1943)

Rozdział trzeci (1943)

Rozdział czwarty (1943)

Rozdział piąty (1943)

Rozdział szósty (1943)

Rozdział siódmy (1943)

Dominus vobiscum (Warszawa, 8 listopada 1943 roku)

Epilog (Teheran, 6 listopada 1979 roku)

Karta redakcyjna

S P O W I E D Ź
K R Z Y S Z T O F B E Ś K A
W F O T O P L A S T I K O N I E



MELANŹ

Warszawa 2017

– To koniec! – Filip rzucił plecak na biurko; zrobił to tak mocno i zamasyście, że z blatu, niczym spłoszone stadko gołębi, sfrunęło na podłogę kilka kartek.

Chwilę potem zaczął krążyć po pokoju. Nie był wielki – raptem cztery kroki między oknem a drzwiami, trzy od szafy do ściany, na której wisiała duża fotografia dziadka – ale wystarczająco duży, aby spacer herolda złych wieści, a może tylko panikarza, wypadł niezwykle dramatycznie.

– Co? Znowu cię złapali w metrze bez biletu? – spekulował Andrzej, posiadacz imponującej brody i nie mniej efektownych tatuaży na obu przedramionach, jeszcze przed chwilą zajęty jakąś pisaniną.

Nic. Cisza. Nie licząc kilku kolejnych uderzeń ciężkich buciorów o poluzowane klepki parkietu, z którymi nikt nie chce zrobić porządku.

– Powiesz nam wreszcie, co się stało? – odezwała się ostatnia obecna w pomieszczeniu osoba, a jedyna w towarzystwie kobieta; miała na imię Agnieszka, była ładną blondynką w okularach w czarnej oprawie.

Filip zatrzymał się w połowie drogi między oknem, zza którego doszedł śmiech bawiących się na podwórku dzieci, a drzwiami. Spojrzał najpierw na Agnieszkę, potem na Andrzeja.

– To koniec – powtórzył, siadając wreszcie na krawędzi biurka, tuż obok rzuconego przed chwilą plecaka. – Zamkną nas. Wyrzucą na zbity pysk. Czuję to.

Znali się nie od dzisiaj, wiedzieli więc, kiedy takie czy podobne słowa mogli zbyć milczeniem, lekceważącym machnięciem ręki albo pobłażliwym uśmiechem, a kiedy należy podnieść się z krzesła czy przerwać pracę.

– Spotkałem na podwórku jakichś ludzi – zaczął opowiadać Filip, wysoki trzydziestolatek, którego znakiem rozpoznawczym były długie, sięgające niemal do pasa dredy. – Pierwszy raz ich tu widziałem. Garnitury jak spod sztancy, białe koszule, żel na łbach. Coś mierzyli, zapisywali, gadali przed komórki. I, uwaga, jeden robił zdjęcia naszej kamienicy.

– Komórką? – zapytał Andrzej.

– Nie, aparatem. Właśnie to mnie zaniepokoiło i dlatego obserwowałem ich przez uchylone drzwi. Ale zaraz przyszedł dozorca. On się nie pitoli. Od razu zaczął wypytywać, czego tu szukają. Z początku żaden się nie odezwał, ale gdy ten zrobił groźną minę, a to, jak wiecie, potrafi, do tego chrząknął i powiedział, że jest tu panem, jeden z tamtych zaczął dukać. Okazało się, że są z kancelarii prawnej i wynajął ich, uwaga, spadkobierca właścicieli nieruchomości...

Brodacz westchnął ciężko, blondynka poprawiła okulary.

– Dlaczego sądzisz, że to może oznaczać kłopoty? – zapytał Andrzej po chwili.

– Nie wiem. – Filip wzruszył ramionami. – Intuicja.

– Eee, nie pierwsi, nie ostatni.

Mógł mieć rację. Pracował tu przecież najdłużej i najwięcej widział.

– Ile to razy ktoś się tu kręcił, rozglądał. Węszył – zaczął wyliczać ze swadą, drapiąc się po wytatuowanym na prawym przedramieniu smoku. – Byli nawet tacy, co ściany ostukiwali. A potem gadka, że to niby ich, z dziada pradziada, a drań Bierut po wojnie zabrał. I że zaraz się za to wezmą. I za lokatorów przy okazji... – Ostatnie zdanie wypowiedział ciszej od wcześniejszych.

Nie było chyba człowieka, który mieszkałby bądź tylko pracował w ścisłym Śródmieściu i nie słyszał o podobnych historiach. O nagłym i cudownym odzyskiwaniu budynków, czasem z lokatorami właśnie. Wiedziano, kim są czyszciciele kamienic i jakie mają sposoby, aby pozbyć się intruzów. Od zastraszania i ciągnących się tygodniami remontów, po wybijanie szyb, trucie zwierząt domowych, a nawet wpuszczanie szczurów do mieszkań.

Zawsze zaczynało się tak samo: od odzyskania kamienicy przez właściciela albo jego spadkobierców. Z początku lokatorzy czy

najemcy lokali usługowych przyjmowali ten fakt ze spokojem. Z nadzieją, że wreszcie będzie inaczej, ktoś wyremontuje klatkę schodową, odmaluje ściany, zadba o podwórko. I, w istocie, tak się nierzadko działo. Najczęściej jednak zamiast podwyższyć standard mieszkania, podwyższano, ale... czynsz. Bywało, że i dziesięciokrotnie!

Andrzej podszedł do szafy, zdjął z półki segregator i zastukał kilka razy w twarde okładki koloru soczystej zieleni, jakby to były drzwi, a on chciałby, żeby mu otworzono.

– Grunt to mieć porządek w papierach – rzekł z uśmiechem. – Mamy umowę z miastem, czynsz płacimy regularnie, nikt się na nas nie skarży. Znaście mnie dobrze i wiecie, że pilnuję każdego świstka. Każdego!

Tak, był dobrym szefem, sumiennym i uczciwym pracodawcą. I tak jak nigdy nie spóźnił się, jak mówił, z zapłatą czynszu, tak zawsze ostatniego dnia miesiąca na kontach bankowych pracowników pojawiała się pensja. W innych miejscach bywało z tym różnie...

– Papiery papierami, a takich jak my najłatwiej wyrugować. – Filip nie potrafił odpędzić czarnych myśli. – Sklepu spożywczego nie ruszą. Możesz mieć trzy żabki czy inne płazy na jednej ulicy. Podobnie jest z kebabami.

– A ten swoje. – Brodacz westchnął, by zaraz zapytać troską: – Może chciałbyś wziąć wolny dzień, co?

– Nie. Dziękuję – burknął właściciel dredów, włączając wreszcie komputer.

– Na pewno?

– Na pewno. Jestem do tyłu z dwoma projektami w Konstancinie.

Minęły dwa lata, odkąd w dwóch pomieszczeniach na parterze zostało otwarte niewielkie studio zajmujące się projektowaniem zieleni. Andrzej, mózg całego przedsięwzięcia, oraz Filip i Agnieszka, którzy wkrótce do niego dołączyli, w ciągu krótkiego czasu dali się poznać jako ludzie pełni świetnych pomysłów i dobrej energii.

Lecz chociaż dostawali coraz więcej intratnych zleceń, co przekładało się na obroty pracowni, Andrzej jakoś nie kwapił się ze zmianą lokalizacji. Zawsze można było przenieść się do nowocześniejszego lokum, gdzie i światło lepsze, i zaparkować łatwiej,

i klimatyzacja działa. A jednak z jakichś powodów wciąż tkwili tutaj.

*

Dzień minął spokojnie. Nikt nie załomotał do drzwi, nie wpadł do pracowni i nie kazał się wynosić, wymachując papierami. Filip, który wieszczył katastrofę, bez reszty oddał się swojej pasji. Kilka razy zapytał tylko o radę Andrzeja, pożartował z Agnieszką.

– To do jutra, szefie – pożegnali się pracownicy.

– Do jutra, kochani. Nie balujcie za mocno! – Brodacz podniósł na chwilę głowę znad rysunków przedstawiających pergole.

Gdy wyszli, wrócił do pracy. Długo jednak nie wytrzymał. Odłożył ołówek, wstał zza biurka, znów podszedł do szafy i nie pukając już w okładkę, otworzył segregator. Chwilę przewracał wpięte tam foliowe koszulki wypełnione fakturami, rachunkami i, jak to sam określił przed kilkoma godzinami, byle świstkami. Ale on naprawdę pilnował wszystkiego!

Nauczył go tego człowiek, którego portret wisiał na jednej ze ścian pracowni – dziadek. Tylko Agnieszka i Filip wiedzieli o tym pokrewieństwie oraz że starszy pan, którego nie zdążyli poznać, był, podobnie jak ich szef, cenionym architektem krajobrazu, choć na państwowej posadzie.

– I co powiesz? – Brodacz spojrział na zdjęcie uśmiechniętego starszego pana; w tle uwieczniono jakieś krzewy obsypane czerwonymi i żółtymi pąkami.

Często bywało, że zwracał się w ten sposób do mężczyzny uwiecznionego na fotografii. Nigdy nie robił tego jednak przy świadkach, ponieważ mogło to zrodzić niezdrowe podejrzenia i sprowokować komentarze. Włącznie z cytowaniem tego starego porzekadła o dziadzie gadającym do obrazu.

Przez otwarte okno dobiegł zabłąkany strzęp jakiejś muzyki, a potem wyraźny, spokojny tym razem głos dozorca. Andrzej przymknął oczy, potarł dłonią czoło, podrapał się po bujnej brodzie. Czuł się zmęczony, a dzień, który właśnie zmierzał ku końcowi, dał

mu się we znaki szczególnie mocno.

Prawda była bowiem taka, że Filip mógł mieć rację, on zaś robił dobrą minę do złej gry. Chciał za wszelką cenę uspokoić pracowników. I uspokoił. Ale czy na długo? Pojawienie się w kamienicy ludzi z kancelarii prawnej, działających z ramienia spadkobierców właścicieli nieruchomości, naprawdę nie wróżyło nic dobrego.

– A może powinienem sam się do nich zgłosić, porozmawiać, próbować się dogadać? Jak myślisz, Czesiu? – zapytał znów dziadka. – Sam mi zawsze mówiłeś, że trzeba rozmawiać.

Wreszcie zamknął i odstawił segregator na półkę. Podszedł do biurka, wyjął z szuflady klucz i wyszedł z pracowni. W niewielkim przedsionku, gdzie zimą zostawiało się ośnieżone płaszcze, podczas słoty suszyło parasole, a o każdej porze roku klienci mogli się zastanowić, czy aby nie darować sobie jednak fachowej pomocy projektantów zieleni, znajdowały się jeszcze jedne drzwi. Ani Agnieszka, ani Filip nigdy nie pytali, co się za nimi kryje.

Andrzej otworzył drzwi, sięgnął ręką w bok i włączył światło. Pomieszczenie było niemal dwa razy większe niż to, w którym działało biuro. Wyglądało na graciarnię: wszędzie leżały kartony, a spod wielkich, pokrytych warstwą kurzu arkuszy folii wystawały fragmenty starych mebli, przede wszystkim krzesel.

Jednak nie to zwróciłoby uwagę osoby, która przekroczyłaby próg tego pomieszczenia po raz pierwszy. Na samym środku znajdowało się bowiem coś, co stanowiło powód zorganizowania pracowni w dużo mniejszym sąsiednim pokoju.

Wysoki na niemal dwa metry, zbudowany z drewna graniastosłup o podstawie ośmio-, a może nawet dziesięciokąta, trudno to było ocenić na pierwszy rzut oka, zajmował lwią część izby. W każdej z jego pociemniałych ze starości ścian wycięto po dwa okrągłe otwory.

– A jak ty się masz, staruszkule? – Tak jak brodacz zwracał się do martwej fotografii, tak przemówił teraz do dziwnego ni to mebla, ni to urządzenia.

Przeciągnął dłonią po jednej ze ścian. Po chwili zdjął arkusz folii przykrywający stojący obok stolik, na którym leżała skrzyneczka

zblizona kształtem i wielkością do pudełka na buty. Wyjął z niej coś, co zaraz uniósł ku światłu. Było to kolorowe przeźrocze. Przymrużył oczy i uśmiechnął się do przechodniów idących po zalanej słońcem, zatłoczonej ulicy obcego miasta. Ludzie mieli ciemną skórę i czarne włosy. W tle widać było masyw górski pokryty śniegiem...

Prolog

(Teheran, 4 listopada 1979 roku)

– A pan znów bawi się tym aparatem, panie Braun.

Starszy mężczyzna podniósł wzrok. Jego spojrzenie było półprzytomne i puste. Widać, że czynności, którą ktoś nazwał niewinną zabawą, poświęcił całą swą uwagę.

– Bardzo pana przepraszam. – Speszył się, jakby złapano go nie na zabawie, ale na czym innym; zaraz jednak odzyskał rezon. – To leica – rzekł z dumą.

– Znam tę markę. Bardzo dobra.

– Choć egzemplarz niemal tak stary jak ja.

– Nie jest pan taki stary, panie Braun.

– Dziękuję. Pan jest za to miły. Ale oczywiście już wracam do siebie...

Podniósł się trochę niezdarnie z drewnianej ławeczki w ogrodzie, ale mężczyzna, który pojawił się przy nim jak duch, a był to nie kto inny jak zastępca *attaché* kulturalnego ambasady, położył mu dłoń na ramieniu i rzekł z pobłażliwym uśmiechem:

– Nie ma problemu, panie Braun. Nie pali się. Jeszcze... – chrząknął, by zaraz dodać ściszym głosem: – Bo, prawdę mówiąc, to różnie może być...

– To znaczy?

– Mieliśmy Pahlawiego, a teraz mamy szariat. Niby jaśnie wielmożny szach wyjechał do Stanów na leczenie, ale wszyscy wiedzą, że już nie wróci... – Na krótką chwilę wyszczerzył garnitur równych i białych niczym śnieg na Demawendzie zębów, jeszcze raz klepnął

mężczyznę po ramieniu, po czym skierował kroki w stronę wyjścia z placówki.

Właściciel aparatu odprowadził go wzrokiem. W duchu dziękował, że skończyło się tak, a nie inaczej. Ktoś inny na jego miejscu pewnie nie byłby tak pobłażliwy. A zastępca *attaché* kulturalnego był starym cynikiem. Wystarczyło posłuchać, w jaki sposób wypowiada się o tym, co dzieje się w mieście i całym kraju.

Bywało, że ludzie kazali sobie za to płacić po tej stronie muru. Na przykład pułkownik Stetsson, *attaché* wojskowy. Służbista. Gdyby Braun nie miał tylu lat, ile miał, a przede wszystkim gdyby nosił mundur, a na nim niższe dystynkcje, pan pułkownik z rozkoszą wcisnąłby go w szczelinę między płytkami chodnika, za którego stan Braun zresztą odpowiadał. Ten Stetsson miał w sobie coś z sadysty. Pewnie dlatego zesłali go aż tutaj, może nawet miał kogoś na sumieniu. Nie licząc oczywiście żołnierzy Wietkongu.

Ale Braun nie wstawał z ławki i nie odchodził tam, gdzie jego miejsce, czyli do pakamery na tyłach budynku, wypełnionej łopatami, grabiami, motykami i wieloma innymi narzędziami. Nie wspominając już o tak potrzebnych w każdej tego typu placówce taczce czy gumowych węzłach do podlewania trawników i klombów, które są przecież wizytówką każdej ambasady.

Zamiast tego jego uwagę znów przyciągnęła ukochana leica. Coś w niej ostatnio szwankowało, nie robiła już takich zdjęć jak kiedyś. Może była to wina filmu, a może przyczyna tkwiła w czymś innym. Na przykład w wieku; Braun nie kłamał: niemiecki aparat był niemal jego równolatkiem. Chociaż z drugiej strony mężczyzna wciąż trzymał się świetnie i absolutnie nie wyglądał na swoje sześćdziesiąt lat.

Rozległ się odgłos kroków. Braun bardzo dobrze rozpoznawał te dźwięki. Inaczej przemieszczał się urzędnik, inaczej kobieta, choćby z racji wysokich obcasów. Teraz ścieżką zbliżali się, tego był pewien, żołnierze piechoty morskiej ochraniający ambasadę. W ciągu ostatnich miesięcy, od kiedy za murami stało się to, co się stało, ich kroki również się zmieniły. Były o wiele szybsze, a jednocześnie jakby cięższe, może bardziej nerwowe.

– Dzień dobry, panie Braun – przywitał się kapral Jones,

sympatyczny Murzyn; towarzyszył mu młodziutki żołnierz, dopiero co przysłany z kraju, więc jego nazwiska ogrodnik jeszcze nie zdążył poznać.

– Dzień dobry, kapralu – odpowiedział Braun.

– Wszystko w porządku?

– Tak. Nic się nie dzieje.

– Będzie lepiej, jeżeli wróci pan do siebie. Mamy wiadomości, że w mieście zaczyna się robić bardzo niespokojnie.

– Oczywiście, kapralu.

Chciał powiedzieć: przecież jesteśmy twierdzą, nikt tu nie wejdzie, kto by się odważył! Może nawet prychnąć z pogardą. Ale milczał. Żołnierze odeszli, on zaś wstał z ławki, co powinien był zrobić już dawno, i skierował kroki tam, gdzie na pewno nikt nie będzie go zaczepiał. Lubił spokój i ciszę.

Przechodząc wzdłuż głównego budynku ambasady, usłyszał jakieś hałasy, podniesione głosy. Stukanie i znów ten tupot nóg. Jak spod ziemi wyrosła przed nim potężna postać. Chwilę trwało, nim rozpoznał w niej Smitha, pierwszego sekretarza ambasadora. Mężczyzna trzymał w rękach jakąś paczkę.

– Bogu dzięki, że pana spotykam, Braun – wysapał i zaczął wciskać mu do rąk pakunek. – Proszę to wziąć i zanieść jak najprędzej do altany. Wie pan, tam gdzie lubią się bawić dzieci pana ambasadora.

– Tak, wiem – bąknął ogrodnik.

– I proszę o nic nie pytać.

Braun, który na szczęście zdołał schować do kieszeni ukochane cacko, odebrał paczkę. Nie była zbyt ciężka. Smith od razu zniknął. Ognodnik nie zdążył jednak zrobić kroku, gdy w miejsce sekretarza pojawiła się jedna z jego asystentek. Ta już nic nie tłumaczyła, tylko na paczce, którą trzymał przed sobą, położyła drugą taką samą i zniknęła równie szybko jak jej szef.

Braun nie miał zamiaru sprawdzać, czy pojawi się ktoś jeszcze. Najszybszym krokiem, na jaki pozwalał mu wiek, kondycja, a przede wszystkim obciążenie, podążył w kierunku wskazanym przez przełożonego. Rzeczywiście, wiele razy widział, jak dwoje nastoletnich dzieci ambasadora bawiło się tam w najlepsze: grały

w piłkę i badmintona. Kilka razy proszono go, aby o to miejsce zadbał szczególnie: przyciął trawę i usunął gałęzie, które mogły przeszkadzać w zabawie, a może nawet zranić dzieci.

– Co się tu dzieje? – zapytał sam siebie pod wąsem.

Szybko zorientował się, że tym razem altana i jej okolice nie posłużą do zabawy. A przynajmniej nie dzieciom. Kilka metrów od drewnianej konstrukcji płonęło spore ognisko. Palono paczki. Takie same jak te, które przyniósł.

– Proszę to położyć na ziemi, tylko ostrożnie – usłyszał za plecami znajomy głos. – Nie może się zgubić żadna kartka.

To był pułkownik Stetsson, ale jakby nie on. Skupiony, a przy tym nad wyraz uprzejmy. Trzymał w ręku grabie z pakamery ogrodnika, przy pomocy których starał się nie dopuścić do przewrócenia się stosu. Braun nie pytał o nic, bo i nie to było jego rolą. Wykonał polecenie i zaraz cofnął się z powodu gorąca. Z tych samych powodów *attaché* wojskowy odsunął jeszcze bardziej niewielki kanister z benzyną. Po chwili ostrożnie wrzucił przyniesione przez Brauna paczki na szczyt stosu.

– Jedni już tak robili. Nie tak dawno, w trzydziestym trzecim – skomentował niegłośnie, przymrużywszy na chwilę oczy.

– To chyba nie są książki. – Braun wskazał niepewnie na płonący stos.

– Ale mogłyby być. I to pewnie całkiem ciekawe.

– Co pan ma na myśli?

– Powiedziałyby prawdę o tym kraju i o ludziach. Jestem tego pewien. Niestety, już nic nie powiedzą...

Przyniesiono jeszcze kilka podobnych paczek. Wszystkie spotkał ten sam los. Stetsson nie rzucał słów na wiatr: zbierał osobiście z ziemi każdy papierek i wrzucał do ognia. Co dziwne, w Braunie z każdą chwilą narastała jakaś trudna do wytłumaczenia sympatia do tego człowieka, którego jeszcze kilkadziesiąt minut wcześniej szczerze nienawidził.

– To chyba wszystko. – Pułkownik ni to otrzepał dłonie, ni to zaklaskał.

Nie, nie zaklaskał. Zarówno on, stary wyga z Wietnamu, jak i Braun,

który przeżył drugą wojnę światową, doskonale potrafili odróżnić kłaśnięcie od wystrzału.

– Proszę się jak najszybciej schować i pod żadnym pozorem nie wychodzić – wyrzucił z siebie Stetsson jednym tchem i głośno, dzięki czemu odbiorcami jego słów byli jednocześnie ogrodnik, kierowca i kilkoro urzędników, którzy przynieśli ostatnie paczki dokumentów do zniszczenia.

W mgnieniu oka rozbiegli się na wszystkie strony, nikt nie określił przecież dokładnie miejsca, w którym mieli się schronić. Owszem, byli szkoleni, i to wielokrotnie, jak mają się zachować w obliczu nalotu, a jak wobec wybuchu atomowego. Czy przewidziano atak z zewnątrz, bo z takim – czy przynajmniej jego próbą – najprawdopodobniej mieli teraz do czynienia? Tego Braun nie potrafił sobie przypomnieć. Na chwilę kompletnie stracił głowę. Nie pamiętał, jak dotrzeć do swojej pakamery. Jakby w jednej chwili przybyło mu dwadzieścia lat – ze wszystkimi tego konsekwencjami, z demencją na czele...

Wzdrygnął się, przeciągnął dłonią po twarzy.

– Co się tutaj dzieje, do cholery... – wymamrotał po raz kolejny, rozglądając się dookoła z przerażeniem.

Tymczasem wystrzały ucichły, za to coraz wyraźniej słyhać było krzyki. Dobiegały z tamtej strony muru. Orodnik, który jakiś czas temu przypadkowo znalazł się w samym centrum ogarniętego rewolucyjną gorączką Teheranu, z łatwością rozpoznał ten dźwięk. Tak nie krzyczało kilka, nawet nie kilkanaście osób. To był ryk tłumu, kilkuset, a może nawet paru tysięcy ludzi. Tłumu agresywnego czy wręcz ogłupiałego od agresji, która mieszała się z ekstazą. Przekaz był jednak niezwykle w swej prostocie. „Śmierć Ameryce!”.

– Stać! Stać! – ktoś krzyknął po angielsku, a słowom tym towarzyszyło kilka kolejnych pojedynczych wystrzałów.

Rozległ się tupot wielu par nóg. Jakaś kobieta krzyczała, jakiś mężczyzna rzucał przekleństwami. I wciąż ten miarowy, zbiorowy krzyk. I pewnie ogrodnik nazwiskiem Braun stałby tak jeszcze niczym antyczna rzeźba w gabinecie ambasadora, może nawet zostałby minięty przez wdzierających się na teren placówki intruzów, gdyby nie trzask rozbijanej szyby. To ten dźwięk, jak żaden inny, zawsze

w ułamku sekundy przywracał mu przytomność.

Wzdrygnął się, rozejrzał na boki. Zaciśnął palce na trzonku grabi zabranych z miejsca, w którym palono dokumenty. Już po chwili gest ten okazał się zbawienny: zza rogu wybiegł młody, czarniawy mężczyzna. W jego oczach widać było obłąd. Ujrawszy Brauna, rzucił się na niego. W tym samym momencie ogrodnik gwałtownie podniósł narzędzie. Traf chciał, że metalowa część z zębami trafiła tamtego w głowę. Napastnik upadł na ziemię.

Braun, pewny, że za chwilę pojawią się kolejni, odwrócił się i zaczął uciekać ile sił w nogach. Kij od grabi drapał żywopłot, przycinany z taką pieczołowitością jeszcze przed paroma dniami.

Wreszcie po niespełna minucie ogrodnik znalazł się w swojej pakamerze, mieszczącej się w jednym z budynków gospodarczych na obrzeżach ambasady. Dysząc ciężko, zamknął za sobą i zaryglował drzwi. Dla pewności pod klamkę postawił trzonek kilofa. Natychmiast przypadł do wąskiego, uchylonego okienka. Z początku tylko nasłuchiwał, potem odważył się wyjrzeć. To, co zobaczył, sprawiło, że nogi zmiękły mu, jakby w jednej chwili ktoś pozbawił je kości. Cały ogród pełen był młodych Irańczyków. Największy tłum szturmował boczne drzwi głównego budynku ambasady...

Nagle usłyszał, całkiem blisko, gardłowy gulgot. Szybko schylił się i przywarł policzkiem do zimnej, szorstkiej ściany. Wstrzymał oddech.

Zauważyli czy nie zauważyli? – zastanawiał się gorączkowo.

Odpowiedź poznał po chwili. Kilka par rąk załomotało w drzwi, z kilku gardeł dobył się ów złowróżbny dźwięk. Musieli widzieć, jak tu wchodził. Braun odszedł od okienka i zaczął się rozglądać po pomieszczeniu. Gdy jego wzrok padł na siekierę z czerwoną rączką, zimny dreszcz przebiegł mu od ciemienia po kość ogonową. Było w tym uczuciu coś dziwnie znajomego...

Ale już wyłamali drzwi. Orodnik Ambasady Stanów Zjednoczonych w Teheranie nie zdążył sięgnąć po siekierę; zresztą pewnie nawet nie zdołałby zrobić z niej użytku. Kilkanaście par rąk wczepiło się w jego ciało i zaczęło go szarpać. Poddał się tej sile bez walki, bez słowa skargi czy groźby. Zawlekli go, wciąż wykrzykując w swoim języku, który zdążył nieco poznać w ciągu tych lat, które tu

spędził. Przekaz ów był jednak dalece zniekształcony przez gniew.

„Śmierć Ameryce!”.

Wtrącili go do piwnicy. Upadł na podłogę. Huknęły zamykane drzwi.

– Nic panu nie jest? – usłyszał nad sobą znajomy głos.

W półmroku zamajaczyła twarz zastępcy *attaché* kulturalnego. Tego, który złapał go z aparatem. Jak się tutaj znalazł, skoro Braun widział go, jak wychodzi z ambasady?

– Mnie nic – odparł Braun. – Ale nie wiem, co z moją leicą.

– Proszę sprawdzić.

Szybkim, nerwowym ruchem sięgnął do kieszeni. Aparat był na szczęście nienaruszony. Tamci go nie zrewidowali, być może uznając, że ze strony starszego człowieka nic im nie grozi. A przecież mógł mieć przy sobie spluwę. Albo granat. Kiepscy specjaliści.

– To studenci – powiedział urzędnik, jakby udało mu się usłyszeć myśli ogrodnika. – Nie wiem, co im do głowy strzeliło, aby atakować naszą ambasadę. Ale faktem jest, że udało im się tu wejść. I nic na to nie mogli poradzić nasi chłopcy z piechoty morskiej. Oni po prostu tu weszli, rozumie pan? Weszli jak do siebie. Gówniarze!

– Każda wojna ma swoich gówniarzy – westchnął Braun. – I bardzo często jest tak, że to właśnie oni decydują o jej losach. Coś o tym wiem. Podczas ostatniej wojny poznałem jednego takiego. To było jakoś na początku czerwca 1943 roku, w Warszawie. Niech pan tylko posłucha...

Rozdział pierwszy

(1943)

W mieszkaniu na trzecim piętrze kamienicy Harczyka, stojącej przy zbiegu ulic Jasnej i Sienkiewicza, panowało niezwykle jak na to miejsce poruszenie.

Zaczęło się jeszcze o świcie, a w czerwcu to już czwarta nad ranem. Wtedy to oczy otworzył niespełna trzymiesięczny Leszek. Ledwo to zrobił, zaczął płakać, domagając się pokarmu. Robił to jednak o wiele głośniej, bardziej natarczywie niż zwykle. Jakby się domyślał, że ten dzień będzie dniem szczególnym. Dniem jego pierwszej podróży.

– Skarpety. Nie mogę znaleźć skarpet – denerwował się ojciec, jakby chodziło co najmniej o paszport albo portfel z gotówką.

– W komodzie na dole – powiedziała Alina, która właśnie kończyła przewijać Leszka.

– Dziękuję.

Po chwili kilka par porządnych wełnianych skarpetek, które zostały kupione jeszcze za starych dobrych czasów w domu towarowym braci Jabłkowskich, zwiniętych w zgrabne kulki, jak ojciec miał w zwyczaju czynić, wylądowało w walizce leżącej na łóżku.

– A koszula? – naciskał tata. – Ta biała?

– Po co ci biała koszula? – Alina spojrzała na niego podejrzliwie.

– Do kościoła – burknął.

Ruchem głowy wskazała na szafę. Po chwili do skarpetek dołączyła starannie złożona koszula, nieodłączna towarzyszka niegdysiejszych codziennych wypraw ojca do ważnego państwowego urzędu.

Po co ją właściwie zabiera? No bo przecież nie po to, żeby iść na

mszę... – zastanawiałem się.

Leżąc na wznak z rękami pod głową i przymkniętymi oczami, przysłuchiwałem się krzątaniu domowników. Pięty kobiety i mężczyzny stukały po klepkach podłogi. Ona od czasu do czasu coś do siebie mówiła, jak miała w zwyczaju, gdy była skupiona na jakiejś czynności, on pochrząkiwał, bo od kilku dni narzekał na ból gardła. Napił się bardzo zimnego mleka, stąd kłopoty.

Dla ojca wyjazd nie był niczym szczególnym. Od paru lat, właściwie od początku wojny, regularnie krążył między Warszawą a otaczającymi ją wsiami i miasteczkami, zajmował się bowiem szmuglem. Żywił niegdysiejszą stolicę, jak lubił czasami nieskromnie o sobie powiedzieć. I dodać, że Virtuti za to pewnie mu nie dadzą. Dla Aliny z kolei był to pierwszy wyjazd od tamtego zimowego dnia, kiedyśmy przewieźli ją z tatą z Radomia, skąd musiała uciekać po tym, jak w kawiarni, w której pracowała, ktoś zastrzelił kilku Niemców. Zadomowiła się w naszym mieszkaniu, a owocem tego był mój przyrodni brat, Leszek.

– To chyba wszystko. – Ojciec potoczył wzrokiem dookoła, drapiąc się po głowie.

Wiedziałem, że się myli. I że Alina za chwilę triumfalnie, choć bez złości potrząśnie czymś, czego zapomniał spakować. I będzie to naprawdę rzecz niezbędna, a nie jakaś fanaberia. Tym razem jednak stało się inaczej: tata rzeczywiście się sprawił, nie zapomniał o niczym.

– Tak, to wszystko – powtórzył nieco ciszej.

Często dziękowałem w duchu losowi, że nie jest sam. Moja matka zmarła jeszcze przed wojną, więc mieszkaliśmy przez wiele lat tylko we dwóch. Odkąd pojawiła się Sieradzka, żona oficera, o którym słuch zaginął, tata wyraźnie odmłodniał. A gdy na świat przyszedł Leszek, to już w ogóle – inny człowiek! Bywały chwile, że czułem się przy nim tak, jakbym to ja był starszy, bardziej dojrzały, jeśli nie wręcz spróchniały. Miałem zresztą ku temu wiele powodów...

– No to w takim razie na dworzec, panowie! – Alina z radością klasnęła w dłonie.

Oboje z ojcem zajrzeli do mojego pokoju. Wczoraj wieczorem

deklarowałem się, że pomogę im przy wyjeździe. I nic się nie zmieniło. Nie chciałem po prostu robić jeszcze większego zamieszania. Wolałem poczekać, aż się ogarną.

– Dajcie mi minutę – powiedziałem, zrzucając z siebie kołdrę.

To było aż nadto, by przygotować się do wyjścia z domu. Panowie w skórzanych płaszczach i kapeluszach z piórkami, którzy od ponad trzech i pół roku dbali o to, żeby mieszkańcy Warszawy nie gnuśnieli zbyt długo w betach, nie dawali nawet tyle.

Wciągnąłem więc czekające od wczoraj na podorędziu spodnie, wzięłem buty, narzuciłem na grzbiet koszulę i gotowe. Był czerwiec, więc nie potrzebowałem nic więcej, zresztą to tylko na Dworzec Główny, kawałek. Najcięższa i największa walizka do ręki i można było iść. Ojciec dźwigał drugą, Alina zaś zajęła się Leszkiem, który zaczynał właśnie zapadać w sen.

Dała mi jeszcze do ręki małe zawiniątko. Nie musiałem go rozpakowywać, aby się przekonać, co kryje, pachniało bowiem jak marzenie.

– Schowaj. Ja nie mam już miejsca – wyjaśniła.

Skinąłem głową, po czym umieściłem bułkę z kielbasą, przygotowaną pewnie dla ojca na drogę, w kieszeni. Minutę później znaleźliśmy się na podwórku kamienicy. Słońce już ogrzewało tynk na najwyższym piętrze, zapowiadał się pogodny dzień.

– Na wywczasy? – Stróż Wincenty Wasiak, bez którego kamienica Harczyka nie byłaby tym, czym była, przywitał z uśmiechem naszą gromadkę.

– Trzeba czasami – odparł tajemniczo tata.

Wasiak już otwierał usta. Wiedziałem, co chce powiedzieć, o co poprosić. Ale tata zdecydowanie pokręcił głową. Żadnego szmuglu, a kielbasę zjemy sami. Na miejscu.

– Tym razem tylko prywatnie i wypoczynkowo – oświadczył.

– W takim razie życzę miłej podróży.

– Dziękujemy – odpowiedzieliśmy chórem, na tyle jednak cicho, aby nie zbudzić dziecka ani śpiących jeszcze przy otwartych oknach sąsiadów.

Wyszliśmy na ulicę. Ech, jeszcze kilka miesięcy temu nie

musieliśmy się martwić o transport. Byliśmy pod tym względem niezależni. Mieliśmy przecież riksę! Niestety, nasza żywicielka spłonęła podczas powstania, które wybuchło za murem w kwietniu.

Na szczęście z tamtego czasu zostało coś, czego zniszczyć nie sposób – znajomości. Umówiony dokładnie na siódmą rano riksarz imieniem Anatol, z którym serdecznie się polubiliśmy, właśnie nadjeżdżał od strony Świętokrzyskiej.

– Jak w zegarku – rzuciłem do przybysza.

– Firma bidna, ale solidna – odpowiedział, zatrzymując pojazd przy krawężniku.

Otaksował nas wzrokiem, potem spojrzał na mnie pytająco. Byłem na to przygotowany.

– Walizki pod nogi, a ja na tramwaj – wyjaśniłem szybko.

Zapakowaliśmy wszystko, jak powiedziałem, po czym Anatol ruszył Jasną na południe, ja zaś w kierunku Marszałkowskiej i przystanku. Miałem szczęście, bo akurat nadjeżdżała „trójka”. Wskoczyłem na pomost i tak przejechałem kilkaset metrów aż do skrzyżowania z Alejami Jerozolimskimi.

*

Przed budynkiem dworca zameldowałem się dokładnie minutę po rikszy Anatola, o czym on sam nie omieszkiał mnie poinformować.

– Dziękuję panu. – Ojciec z powagą uiścił opłatę za kurs, chociaż riksarz początkowo wzbraniał się przed przyjęciem pieniędzy.

– Miłych wakacji – rzekł, chowając banknot do kieszeni. – Sam bym się chętnie gdzieś wybrał, nad Świder albo do Kampinosu. Ale kręcić trzeba. Nie chciałbyś mnie zastąpić? – z tym pytaniem zwrócił się do mnie.

Zdecydowanie pokręciłem głową.

– Kiepsko u mnie z kondycją, przyjacielu. Może kiedyś – skłamałem.

Wiedziałem bowiem bardzo dobrze, że więcej na riksę nie wsiądę. Może tylko jako pasażer, ale i to za jakiś czas. Pod warunkiem, że jeszcze będą takowe jeździły po mieście. Byłem pewien, że z miejsca

wróciłyby wspomnienia wydarzeń sprzed zaledwie kilku tygodni...

– Chodźmy. Pociąg już czeka – rzekł tata, podnosząc jedną z walizek.

Pożegnałem się z Anatolem i chwyciłem za tę cięższą, po czym całą czwórką udaliśmy się do hali Dworca Głównego.

Za każdym razem, zarówno przed wojną, jak i teraz, w jej trakcie, gdy wkraczałem do tego wielkiego pomieszczenia, doznawałem podobnego uczucia. Było to pomieszanie iście dziecięcej ekscytacji, spowodowanej zbliżającą się podróżą, z niepokojem, na który składało się wiele czynników – od tego, czy znajdzie się dobre miejsce w pociągu, czy będzie się zmuszonym, co wcale nie było rzadkie, do podróżowania „na wisząco”, po pytanie, czy na końcowej stacji ktoś będzie nas oczekiwał. I chociaż tego pogodnego czerwcowego poranka to nie ja wybierałem się w podróż, tylko mój ojciec, jego ukochana Alina i ich dziecko, mały Leszek, czułem specyficzne łaskotanie pod pachami i przyspieszone bicie serca.

Bilety mój zapobiegliwy ojciec kupił jeszcze wczoraj, nie musieliśmy się więc denerwować kolejkami przy kasach. Do bufetu również nie trzeba było się wybierać, ponieważ o wikt zadbała Sieradzka. W jednej z walizek znalazło się między innymi kilkanaście naleśników – część z twarogiem, część zaś z najprawdziwszymi konfiturami.

– Dokąd ci wszyscy ludzie się pchają, jak Boga kocham... – westchnął ojciec, patrząc na kłębiący się w hali tłum, a mnie śmiać się zachciało, bo przecież jeszcze nie tak dawno dworzec kolejowy był jego drugim domem, a ławka w wagonie – łóżkiem.

– Miejmy nadzieję, że wszyscy jadą w przeciwnym kierunku – skwitowałem.

Moim zadaniem było, powtórzmy, wyekspediować całą gromadkę, znaleźć dobre miejsca, umieścić bagaże na półkach. Podobną rolę miał odegrać na stacyjce o wdzięcznej nazwie Kotuń znajomy gospodarz. Ten sam, któremu swego czasu pod Siedlcami pomogliśmy odzyskać zarekwirowane przez Niemców krowy. To właśnie gospodarstwo poczciwego Mateusza miało posłużyć moim bliskim za letnie przytulisko przez następnych kilka, a może nawet kilkanaście tygodni. Gospodarz chciał się w ten sposób wywdzięczyc tacie za tamtą

historię.

– Przyjeżdż, jak tylko będziesz mógł. – Tata uściskał mnie serdecznie, Alina zaś tylko skinęła mi głową; mój brat wciąż słodko spał, oby jak najdłużej.

– Spróbuję, tato – odparłem, choć tak naprawdę nie zamierzałem ruszać się z Warszawy.

– Wierzę, że dasz sobie radę. – Spojrzał na mnie znacząco.

Tylko się uśmiechnąłem chwacko, bo i nie widziałem problemu w tym, że przez jakiś czas przyjdzie mi mieszkać w pojedynkę. Ech, gdybym wtedy wiedział...

– Spokojna głowa – dorzuciłem jeszcze.

Nie chciałem wystawać tutaj aż do odjazdu pociągu, choć z drugiej strony nigdzie się nie spieszyłem. Czekają na mnie przecież tylko puste mieszkanie. Owszem, cieszyłem się z tego, bo przede wszystkim oznaczało to noce, których nie zakłóci mi płacz dziecka. Wiedziałem jednak, że prędzej czy później samotność zacznie mi doskwierać. Nie wróciłem przecież ani na studia na tajnym uniwersytecie, przerwane wielką wyspą, ani nie pracowałem w teatrze, legalnym czy nielegalnym. Nie miałem też nic wspólnego – i mieć nie zamierzałem! – z konspiracją, o której w tym czasie marzyła większość moich rówieśników.

Bo ja żyłem z dnia na dzień. Ogarnął mnie jakiś marazm, jakbym nie do końca rozumiał, co wydarzyło się w moim życiu. Zdziaczałem. Od kilku tygodni snułem się po mieście, reagując tylko na głos syren czy nosowy warkot silników samochodowych. Jakbym był zwierzęciem, a one większymi i silniejszymi ode mnie drapieżnikami.

– Uważaj na siebie – powiedziała tym razem Alina.

– Tak jest – odrzekłem.

– I nie głoduj.

– Wypoczywajcie! – Pomachałem im krótko, po czym odwróciłem się na pięcie i z rękami w kieszeniach, pochylony do przodu ruszyłem w kierunku wyjścia.

Idąc, starałem się nikogo nie potrącić ani nie zostać potrąconym, co jednak z każdą chwilą stawało się coraz trudniejsze. Tłum parł po peronach, i to w obie strony. Był dzień powszedni, więc do

niegdysiejszej stolicy przybywały setki, jeśli nie tysiące ludzi. Ilu było wśród nich szmuglerów, wracających z prowincji ze zdobyczą ukrytą w przemyślny sposób, o którym konsument na pewno wolałby nie wiedzieć? Ilu było nowych Gustawów-Konradów czy Kordianów z gnatem ukrytym w kalesonach, wracających z ćwiczeń strzeleckich w lesie albo niosących meldunki, które zmienią bieg wojny? Nikt tego nie wiedział i oby tak zostało.

Z mieszczącej się w gmachu Dworca Głównego kawiarni „Mitropa”, która była lokalem tylko dla Niemców, wytoczyło się właśnie kilku. Dwóch w mundurach Wehrmachtu, jeden po cywilnemu, w całkiem ładnym garniturze w prążki.

– Riksza! *Komm!* – zawołał bełkotliwie ten ostatni.

Ciągle pamiętałem bardzo dobrze dzień, w którym zabrałem stąd swoją rikszą niejakiego Lothara Götze, strażnika z Pawiaka. Nie tylko posłużyłem wtedy jako transport, lecz także dostarczyłem pieniądze, które były przeznaczone na okup za wyciągnięcie kogoś z za krat. Götze został ścięty serią kilkanaście chwil później, na Koszykowej, ja zaryłem głową w mur kamienicy, a pieniądze przepadły.

W samej „Mitropie” zresztą nasi chłopcy dwa razy przeprowadzali już błyskawiczne remonty przy pomocy bomb i granatów. Stało się to jesienią ubiegłego roku i na początku bieżącego. Ale, jak widać, nie odstraszało to nowej klienteli.

– Antek? – usłyszałem nagle za plecami.

Owszem, tak właśnie miałem na imię, ale nie zareagowałem od razu. Nie usłyszałem też żadnego „halt” ani nic równie „pieszczotliwego”, więc zrobiłem jeszcze dwa kroki, a nawet dwa i pół, zanim się zatrzymałem. Lekkie przegięcie tułowia, spojrzenie spod oka. Reżyser sztuki, którą wystawiano w tym mieście od jesieni 1939 roku, byłby ze mnie naprawdę zadowolony.

Znajomą twarz, którą miałem ujrzeć, ku radości albo wręcz przeciwnie, na chwilę przysłoniły mi jednak plecy innych ludzi.

– Antek! – Druga próba okazała się udana: oto dwa metry ode mnie ujrzałem miłą sercu postać Krzysztofa Baczyńskiego, młodszego o rok kolegi z liceum Batorego.

– Serwus! – uściśnąłem serdecznie szczupłą dłoń poety. – Co tu

robisz, przyjacielu?

– Wróciłem właśnie z... wycieczki. – Mrugnął.

Przypomniałem sobie nasze ostatnie spotkanie. Było to ponad dwa lata temu, w jakimś mieszkaniu przy Wiktorskiej, gdzie on czytał swoje wiersze, ja zaś wpadłem tam, aby zacieśnić przyjaźń z pewną panną, znajomą z tajnych kompletów. Zresztą bez sukcesu.

– Z wycieczki, powiadasz... – Mrugnąłem i ja. – No to może się czegoś napijemy po podróży, co?

– Z chęcią.

*

Minutę później siedzieliśmy w bufecie nad szklankami herbaty. Nie był to popularny *ersatz*, czyli owocowa Tonga. Serwowano tu prawdziwy napar, choć słomkowej barwy. Lepszy byłby na pewno jakiś alkohol, choćby zimne piwo. Jednak raz: bufet nie oferował podobnych delicji, a dwa, z tego, co pamiętałem, Krzysztof był harcerzem, członkiem działającej przy Batorym drużyny, zwanej Pomarańczarnią od koloru ich chust. Teraz harcerstwo oficjalnie nie działało, ale przysięga ponoć wciąż obowiązywała.

– Masz może coś do jedzenia? – zapytał nieśmiało.

No tak, wraca z podróży, to głodny – pomyślałem. I już miałem bezradnie rozłożyć ręce, gdy nagle prawa trafiła na zgrubienie w kieszeni. Tak, to była ta bułka z kielbasą, którą miałem oddać Alinie.

– Uśmiechnęło się dziś do ciebie szczęście. – Sięgnąłem po kanapkę i położyłem przed nim na stole.

Po chwili pałaszował, chudzina, aż miło było patrzeć. Gdy skończył, popił herbatą. Można było kontynuować rozmowę.

– Co dobrego? – zagailem najbardziej banalnym, a jednocześnie najdziwniejszym, a może nawet najgłupszym pytaniem, jakie można było zadać w tym miejscu i w tym czasie; co mogło być dobrego w kolejnym roku hitlerowskiej okupacji, łapanek, ulicznych egzekucji, aresztowań bladym świtem i wywózek do Oświęcimia?

– Byłem na wycieczce w lesie – powtórzył niegłośnie Baczyński, choć

już bez porozumiewawczego mrugnięcia.

– Nad jakąś rzeką? – chciałem wiedzieć, choć nie wiadomo po co.

– Pilicą.

– Komary cięły?

– Nie, jeszcze nie. Wystraszyły się grzmotów.

Zaczynałem lubić te nasze rebusy, choć przecież rozmawialiśmy w ten sposób dopiero pierwszy raz. Znów przypomniałem sobie tamto spotkanie na Mokotowie i nasze nieporozumienie. Ja dziękowałem wówczas Krzyśkowi, szeptem oczywiście, że osobiście polecił mnie jednej z podziemnych organizacji. W odpowiedzi jednak wybałuszył tylko oczy.

Nie bez powodu. Organizacja może nie była lewa, ale okazało się, że człowiek, który mnie do niej ściągnął, a potem powoływał się na poetę, Lucek Górski, pękł w śledztwie i wyspał wszystkich jak leci. Dostał za to wyrok od podziemnego sądu, a ja zrzędzeniem losu byłem przy jego wykonaniu. Ech, zdawałoby się, że to zamierzchła przeszłość, tymczasem wydarzyło się to jeszcze wiosną!

Z tych też powodów wołałem, żebyśmy zmienili temat. Nie, żadnej konspiracji! Na temat poezji też co prawda nie miałem zbyt wiele do powiedzenia, ale wołałem już to.

Na szczęście Baczyński sam przestawił niewidoczną zwrotnicę rozmowy.

– Ożeniłem się – ogłosił.

Dziwnie to jakoś zabrzmiało. Bez radości, nie mówiąc już o dumie, która, tak myślałem, powinna rozpierać każdego młodego żonkosia. Podejrzewałem bowiem, że musiało się to stać całkiem niedawno.

– Dzisiaj mam pierwszą rocznicę – dodał, jakby usłyszał moje myśli.

– Czyli papierową.

– Nawet nie wiedziałem, że tak się nazywa. – Wzruszył ramionami.

– To prawda. My zawsze słyszeliśmy tylko o srebrnych albo złotych godach naszych rodziców, wujków lub dziadków.

– Nasze pokolenie nie dożyje takich pięknych rocznic – uśmiechnął się smutno poeta.

Machnąłem lekceważąco ręką.

– Co ty opowiadasz! – prychnąłem, ale chyba sztucznie to wyszło.

Baczyński wypił nieco herbaty, po czym rzekł:

– Przyznam ci się, że z ulgą wyjechałem z domu na te ćwiczenia. Przynajmniej człowiek nie myśli o tym, co się dzieje w domu. A dzieje się źle.

– Źle?

– Matka nie toleruje Basi, to znaczy mojej żony. Żrą się niemal bez przerwy. O wszystko. Oczywiście nie ma żadnych awantur, rzucania garnkami czy tłuczenia talerzy. Ale ja znam obie, wystarczy na nie spojrzeć. Potrafią całymi tygodniami się do siebie nie odzywać...

– A nie możecie zamieszkać osobno? – zapytałem, bo nic mądrzejszego jakoś nie przyszło mi do głowy.

– To nie takie proste. Matka jest sama. Przecież jej nie zostawię. – Przygryzł wargi i opuścił głowę.

– No tak.

A ja narzekałem na nocne koncerty mojego młodszego brata. Ojciec też czasami kłócił się z Aliną.

Bywało, że zastanawiałem się, co by było, gdyby Lea Mendelssohn zdołała wyjść wtedy z getta, gdybym ją znalazł i gdyby ludzie, pod opieką których zostawiłem małego Jacusia, naszego syna, o którego istnieniu dowiedziałem się kilka godzin wcześniej, nie musieli nagle opuścić kamienicy przylegającej do muru. Jak wyglądałoby nasze życie pod jednym dachem nie we czwórkę, jak teraz, ale w szóstkę. Z dwójką małych dzieci...

– Pójdę już. – Baczyński ostrożnie odsunął od siebie szklankę z niedopitą herbatą. – Muszę jeszcze kupić jakieś kwiaty dla Basi, na rocznicę. I dla matki też.

W tym problem – zdiagnozowałem kolegę w duchu.

– Dziękuję za spotkanie. – Wstał z krzesła.

– Trzeba się jeszcze koniecznie zobaczyć. Daleko mieszkasz?

– Na Hołówki. Czerniaków. Kawał drogi – wyliczył z rezygnacją, jakby naprawdę chodziło o koniec świata.

– Może będę w pobliżu.

– Zapraszam. Chciałbym, żeby Basia cię poznała.

Uścisnęliśmy sobie dłonie na pożegnanie i mój kolega z Batorego powlókł się w stronę wyjścia z bufetu. Odprowadziłem go wzrokiem.

Przez krótką chwilę zastanawiałem się jeszcze, czy nie powinienem go jednak dopędzić, aby zaproponować jakąś wódkę, a wtedy on być może zaproponowałby mi wstąpienie do organizacji, w której działał. Nie miałbym wtedy problemu, co zrobić z myślami, znalazłbym jakieś zajęcie dla rąk, zapomniał o kłopotach, zaczął rozmawiać z ludźmi. Nie zdziczał do końca! Przecież nieźle strzelałem, mimo że nie byłem po maturze w podchorążówce.

Ale nie wstałem i nie pobiegłem za poetą, nie zakłóciłem mu być może kolejnego powstającego właśnie w głowie wiersza. Może szkoda mi było herbaty, której zostało mi w szklance więcej niż połowa i która, inaczej niż mojemu kompanowi, nawet mi zasmakowała? A może jednak tęskniłem za spokojem i ciszą, które gwarantowało mi czekające na mnie, puste wreszcie mieszkanie.

Tak czy inaczej, wybrałem inną drogę. A może to ona wybrała mnie. Posiedziałem jeszcze chwilę, a potem wstałem. Wtedy po raz drugi w ciągu niespełna pół godziny, pośród codziennej kakofonii dźwięków na Dworcu Głównym w Warszawie zabrzmiało wyraźnie moje imię.

*

– Antek? To naprawdę ty?!

On chyba jeszcze nie wierzył, w końcu była wczesna pora i pewnie miał za sobą nieprzespaną noc w pociągu. Ale ja nie miałem problemu z rozpoznaniem tej gęby. Swoją drogą, coś dziwnie obrodziło kolegami z liceum. Jeden po drugim w ciągu krótkiego czasu, w tym samym miejscu. Z drugiej strony był to przecież dworzec kolejowy...

– Czesio! Czesio Bielawny! – zawołałem wesoło, co zwróciło uwagę kilkorga ludzi; właściwie powinienem był chyba zacząć od „Niech będzie pochwalony”, względnie „Szczęść Boże”, choć może bez całowania po rękach.

Oto zbliżał się do mnie nie kto inny jak kolega z dawnej klasy, od pewnego czasu zaś – ksiądz. Że nim zostanie, wiedzieliśmy od zawsze. Stąd szybko pojawiło się przezwisko „Wielebny”. Zawdzięczałem mu

wiele. Gdyby nie on, nie zdałbym matury. Nie kto inny jak Czesio zauważył bowiem w porę porywających mnie zbirów, a potem, kiedy już ocucił, zawiózł na ramie roweru prosto na egzamin dojrzałości.

Ostatnio widzieliśmy się latem ubiegłego roku na Kresach, niedaleko Łucka. Ja znalazłem schronienie w dworku państwa Bielskich herbu Rawicz w majątku Adamów, on zaś chwilę wcześniej objął parafię we wsi Chołoniewicze. Zamieszkiwała ją głównie ludność ukraińska, w większości wyznania prawosławnego, więc roboty, jak sam wtedy twierdził, nie miał wiele. I tak jak on prędzej diabła by się tam spodziewał (choć może to i wyzwanie dla każdego księdza, kto wie...) niż mnie, tak teraz ja nie mogłem się nadziwić, że widzę go ponownie w Warszawie.

Uściskaliśmy się serdecznie.

– Witaj, stary – powiedziałem, pamiętałem bowiem dobrze o tym, co mi powiedział: że kolegami będziemy zawsze, nawet wtedy, gdy zostanie biskupem; poza tym nie był w birecie, sutannie ani nawet czarnej koszuli z koloratką, tylko w cywilnym, nieco wygniecionym garniturze i koszuli, która biała nie była nawet w okolicach Białej Podlaskiej.

– Dobrze, że cię widzę. – Głos wyraźnie mu się łamał. – Nie mogłem sobie wyobrazić lepszego powitania. Wiem, wiem, że to czysty przypadek, bo nikogo nie uprzedzałem o naszym przyjeździe. Ale pozwól mi myśleć, że tu na mnie czekałeś...

Coś mnie zapiekło pod powiekami.

– Niech tak będzie – zgodziłem się. – Dobrze, że wreszcie dojechałeś.

Uśmiechnął się, po czym przesunął nieco w bok.

– Dojechaliśmy – sprostował z uśmiechem.

I oto moim oczom ukazała się młoda kobieta z dwoma warkoczami koloru dojrzałego zboża. Pod jasną sukienką wyraźnie rysował się ciężowy brzuch. Byłem z tematem na bieżąco, więc oceniałem ją na czwarty miesiąc, początek piątego. Oznaczało to, że ktoś musiał narzekać na wyjątkowo mroźną zimę. Ciekawe tylko kto. No bo przecież nie...

Spojrzałem pytająco na Czesia i już wiedziałem. On wiedział, że już wiem, i wzruszył ramionami, co miało wystarczyć za wszelkie

tłumaczenia. A może tylko mój druh serdeczny zaopiekował się istotą w potrzebie? Nie był to jednak czas ani miejsce, aby o to pytać.

– Antoni. – Wyciągnąłem rękę przed siebie, ale jakoś tak wyszło, że zamiast uścisnąć jej dłoń, wyjąłem z niej walizkę z kiepskiej, popękanej skóry; dziewczyna się uśmiechnęła, wyraźnie zawstydzona.

– Ołena jeszcze słabo mówi po polsku – wytłumaczył Bielawny.

– Rozumiem – bąknąłem.

Próbowałem zrozumieć więcej, ale w mojej głowie panował mętlik. Za dużo tego było jak na jeden poranek: wyjazd rodziny, spotkanie Baczyńskiego, a teraz ci. Nie, to na pewno da się jakoś logicznie wytłumaczyć!

Jednocześnie jakiś głos podpowiadał mi, że... Jak to dokładnie powiedział Bielawny? Pozwól mi myśleć, że na mnie czekałeś?

– Chodźcie, riksza już stoi – skinąłem głową w kierunku wyjścia.

Czesław szepnął coś do ucha Ołenie. Ruszyli za mną.

– Może być tramwaj – rzekł Bielawny, zrównawszy się ze mną w marszu i chwyciwszy za materiał marynarki nieco powyżej łokcia. – Sam rozumiesz, że nie mogę jechać w tej chwili do domu...

– Spokojna głowa. Tak się złożyło, że mam wolny lokal.

*

Przed budynkiem dworca riksza było do wyboru, do koloru. Nie spodziewałem się, że wyprawivszy jedną parę z dzieckiem, za chwilę będę wracał z drugą. Z potomkiem w drodze. Przybysze z Kresów nie mieli przy sobie aż tylu bagaży co tata z Aliną, ale i tak nie dałoby rady zmieścić się we trójkę na siedzisku. Nie chciałem nawet próbować, choć znałem niemal wszystkich rikszarzy, którzy tu stali.

– Chodźmy na przystanek – uśmiechnąłem się do Ołeny. – To niedaleko.

Dopiero teraz, w czerwcowym słońcu, które wisiało już wysoko nad hotelem „Polonia” w Alejach, mogłem zobaczyć dziewczynę w pełnej krasie. Jej warkocze wydały mi się jeszcze jaśniejsze, co było przecie

naturalne. Pasowały mi do tego czerwone policzki, najlepszy dowód, skąd przyjechała w te zimne mury. To znaczy pasowałyby, bo dziewczyna miała bladą, niemal przezroczystą skórę, jak u niektórych gatunków ryb.

Szczerzyłem zęby w uśmiechu, aby jakoś legitymizować moje natarczywe gapienie się, jednak nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że Olenie z okolic Łucka jest zupełnie wszystko jedno. Pewnie marzyła jedynie o miejscu, gdzie mogłaby się położyć, i o czymś miękkim, do czego można by przyłożyć głowę.

I nie pomyliłem się, ani trochę! Ledwie usiadła na przykrytym wzorzystą kapą łóżku ojca i Aliny, które wskazałem kwadrans później, padła jak kawka. Zamknęła oczy i już jej nie było. Bielawny przez dłuższą chwilę przyglądał się śpiącej, a ja jemu.

– No to teraz opowiadaj, jak to było – westchnąłem.

– A masz coś do picia?

– Herbatę?

Z niechęcią oderwał wzrok od śpiącej Oleny i spojrzał na mnie bykiem. Nigdy nie widziałem takiej miny u tego człowieka.

– *Biez wodka nie razbieriosz...* – przypomniało mi się stare powiedzenie.

– Oto słowo pańskie – rzekł, choć bez charakterystycznej intonacji.

Za starych dobrych czasów tata miał w kredensie niezłą baterię trunków, ale jakoś nigdy mnie nie kusilo, by co nieco z niej uszczknąć. Choć nie, raz się zdarzyło. To było wtedy, gdy jeszcze przed maturą wraz z kolegami ze szkolnej paczki wybieraliśmy się do Pięknej Heleny, czyli jednego z burdeli w Śródmieściu. Czesia jednak z nami nie było, bo trzymał się osobno, a może to my go trzymaliśmy. Wtedy nie odważyłem się łyknąć dla kurażu. Dopiero potem, w jakimś barze, gdy kolejkę postawił jeden z kolegów. Nie wypadało odmówić.

Teraz nie było kredensu, kupiony swego czasu przez Żyda być może spłonął w getcie. Nie oznaczało to jednak, że ojciec zaczął być abstynentem. W jego przemytniczym fachu było to niewykonalne, wszak nie od dziś wiadomo, że kto nie pije, ten kapuje. Z wielu wypraw poza Warszawę przywoził więc nie tylko mięso i wędliny, ale też samogon. Nie wszystko się piło, czasem sprzedawało dalej,

wymieniało na inne dobra. Osobiście jednak nie przepadałem za tym trunkiem.

– Ostatnio u ciebie na plebanii piliśmy wino – przypomniałem sobie.

– Dawno i nieprawda.

W kuchennej szafce była jeszcze resztką specyfiku, którym leczyliśmy z melancholii i przemożnej ochoty wyjścia z domu „choćby na chwilę” ukrywającego się u nas Żyda, doktora Grabowskiego. Lekarstwem tym była whisky, którą podarował mi Lucek Górski, zanim zarył nosem w mokrą trawę, zastrzelony w Ogrodach Frascati z wyroku sądu podziemnego.

– Na razie tylko tyle. – Rozlałem wszystko po równo do dwóch szklanek.

Ksiądz uniósł swoją, przez chwilę oglądał trunek pod światło, wreszcie upił nieco, zrobił ustami dzióbek i poruszał nim jak wytrawny degustator.

– Całkiem niezła – ocenił.

Usiadłem przy kuchennym stole, przypatrując się z uwagą dawnemu szkolnemu koledze. Ja spełniłem jego żądanie, teraz czekałem na opowieść. Po chwili i on zajął miejsce. Zwiesił głowę. Zaczął się trząść. Czyżby było aż tak źle?!

– Czesiu, daj spokój – bąknąłem.

Bielawny podniósł głowę, a wtedy się okazało, że wcale nie płakał, tylko... śmiał się. Od tego, aby zrobić to jak na wielebnego, w dodatku podchmielonego, przystało, powstrzymywał go prawdopodobnie jedynie fakt, że nie poznał jeszcze dobrze miejsca, w którym się znalazł. No i niedaleko spała strudzona po podróży Ołena. Poczzerwieniał na twarzy, spuchł wręcz – tyle kosztowało go wstrzymywanie się od wybuchu radości.

Szczerze mówiąc, sam bym się chętnie do niego przyłączył i pośmiał zdrowo. Od dawna brakowało mi tego rodzaju witamin. Spojrzałem wyczekująco na przyjaciela.

– Przepraszam cię, stary, ale nie mogłem się powstrzymać. – Zebrał łączy palcem wskazującym i kciukiem, po czym roztarł je opuszkami. – Ta sytuacja jest tak absurdalna, że czasami mam wrażenie, jakbym

siedział w kinie „Napoleon” i oglądał jakiś film z Bodo czy Dymszą.

– Komedie?

– Trochę tak. Ale trochę i dramat. „Wrzos” na przykład.

– No to opowiadaj, bo chyba tego nie widziałem. – Podniosłem szklanę i wypilem łyk whisky, nie spuszczaając wzroku z wielebnego Bielawnego.

– Ołena mieszkała w sąsiedniej wsi. Zaczęła do mnie przychodzić na plebanie po tym, jak poprzednia gospodyni uciekła. A uciekła, bo bała się ludzi z lasu, którzy grozili śmiercią za kontakty z Polakami. Pamiętasz tych gospodarzy, którzy ocalili cię jesienią trzydziestego dziewiątego, a potem, kiedy ich odwiedziłeś ponownie, nie chcieli się przyznać, że cię znają?

– Pamiętam. Co z nimi? – przestraszyłem się.

– Żyją.

– To dobrze. Mów dalej.

– Kucharką była kiepską, trochę lepiej wychodziło jej sprzątanie i pranie. W pewnym momencie zacząłem dostrzegać, w jaki sposób na mnie patrzy. Z początku brałem to za ciekawość. Nowe miejsce, nowa praca, nowy człowiek. Ale potem zauważyłem, że coraz częściej zwleka z wyjściem z mojej sypialni, gdzie przed chwilą powlekała pościel. Złapałem się na tym, że myślę o niej. I to nawet podczas mszy! Wcześniej nie znałem kobiet, umówmy się. Męskie liceum, potem seminarium, wreszcie gospodynie, z których każda jedna była starsza od Kolumny Zygmunta... A właśnie, powiedz, stoi jeszcze?

– Co? – zapytałem niezbyt przytomnie, próbowałem bowiem wyobrazić sobie którąś ze scen, o których opowiadał Czesław.

– Król na placu Zamkowym! – zachnął się.

– A tak, jeszcze jest. Choć wiele innych pomników zwinęli. I co dalej?

Westchnął, spojrzął za okno, gdzie słońce wisiało już wysoko nad wypalonym gmachem Filharmonii. Następnie sięgnął po szklanę, ale zaraz ją odstawił.

– Stało się. Nie zapanowałem nad sobą. Zgrzeszyłem śmiertelnie przeciw wszelkim prawom, straciłem Kościół. I wiesz, co ci powiem?

– Już się boję.

– Nie żałuję! Ani jednej chwili, którą spędziłem, spędzam i, mam nadzieję, spędzę z tą kobietą. Przyjechaliśmy do Warszawy, bo tutaj łatwiej się ukryć. Mam tylko nadzieję, że moi bliscy będą w stanie to zrozumieć.

– Ja cię rozumiem.

– Naprawdę?

– Pewnie. Nie wiem, dla kogo jest kapłański stan, ale na pewno nie dla nas, przyjacielu.

Spojrzał na mnie cierpko.

– Nie myśl, że było mi łatwo – mruknął. – Spakowałem walizki, zamknąłem plebanię, klucz włożyłem do koperty i wysłałem na adres kurii. Znaczek był z Hitlerem. Teraz muszę zaczynać wszystko od początku, ale trudno. Wiem, że mam dwadzieścia kilka lat, a nie czterdzieści. Ale muszę też wziąć odpowiedzialność za tę małą, niewinną istotę. Odkryłem w sobie zamiłowanie do ogrodnictwa, wiesz?

Podobnie jak kilkadziesiąt tysięcy ludzi w tym mieście – pomyślałem.

– Poza tym wciąż mogę robić to samo, czyli nieść pomoc bliźnim, wspierać ich duchowo, na ile potrafię. Wiara? Nie straciłem jej.

– Nie? – Podniosłem lewą brew.

– Chyba nie – chrząknął. – A msze? I tak nie miałem dla kogo ich odprawiać. A za pogrzebami niezbyt przepadałem, choć były najlepiej płatne ze wszystkich posług. To chyba wszystko. – Jednym haustem opróżnił swoją szklaneczkę i odstawił ją na stół o wiele głośniejsze, niż zamierzał.

Wstał z krzesła, zrobił kilka kroków po naszej kuchni. Prócz tupotu stóp słyszałem też wyraźnie miarowe sapanie.

– Co będziesz teraz robił? To znaczy dla chleba? – zapytałem, by zaraz dodać gwoli wyjaśnienia: – U nas robi się go teraz z trocin i tektury, jakbyś nie wiedział.

– Wiem o wielu sprawach – burknął, zezując na mnie z niechęcią.

– Nie miałem nic złego na myśli, Czesiu – zreflektowałem się.

Machnął lekceważąco ręką.

– Spokojnie. Czekają mnie o wiele cięższe rozprawy, Antek.

Najważniejsze to nie stracić z oczu celu. A ja go mam. Śpi w sąsiednim pokoju. Pytałeś o to, z czego będę żył?

– Chyba tak.

– Mam coś na oku.

– Ale nie ogródek?

– Nie. Pewien niewielki interes. I byłbym ci bardzo wdzięczny, gdybyś mógł mi towarzyszyć przy jego zakupie.

*

Nic więcej nie chciał powiedzieć. Zresztą zaraz sam się położył spać u boku ukochanej. Tak oto sypialnia rodziców, w której po latach mamę zastąpiła Alina Sieradzka, teraz nadal służyła parze. Czy zakochanej, tego nie wiedziałem i pewnie sam Czesio Bielawny nie miał co do tego pewności. Jasne było tylko jedno: oszedł z kapłańskiego stanu i teraz będzie żył jak inni. Może reszta, w tym rodzina, wyklęłaby go za to. Ale ja go szczerze podziwiałem.

Wstał około drugiej po południu, zwabiony najpewniej zapachami, które dochodziły z kuchni. Ojciec zostawił mi całkiem niezłe zaopatrzoną spiżarnię, zręcznie ukrytą.

„Żebyś nie głodował, bo jak człek głodny, to mu głupoty do głowy przychodzą” – powtarzał często, choć przecież nie miał już przed sobą smarkacza.

Tego dnia postanowiłem przyrządzić na obiad dla siebie i dla gości najprawdziwsze kotlety schabowe. Musiałem, rzecz jasna, przygotować je tak, by nie narobić zbędnego hałasu. Choćby ubijaniem mięsa, a to przecież zawsze słyszała cała kamienica.

W ostatnim czasie bowiem częściej i gęściej niż do tej pory zmieniali się tu lokatorzy. Było wielu takich, których nie zdążyło się nawet poznać, a już jeden z drugim jechał w transporcie do obozu albo jego ciało butwiało w ziemi, bo miał nieszczęście wpaść w kocioł i zginąć w ulicznej egzekucji. Nie miałeś też pewności, czy przyjemnie wyglądający pan to aby nie gestapowska wtyka. Drażnić mogły też zapachy smażenia, ale tego już przeskoczyć się nie dało.

– A co się tutaj dzieje? – Bielawny stojący na progu kuchni pociągnął nosem.

– Obiadek, proszę księdza proboszcza – ogłosiłem zmienionym, podwyższonym głosem, jak za starych dobrych czasów, gdy rozśmieszałem kolegów, i za nieco bliższych, kiedy śmiała się publika na spektaklach lichego teatrzyku przy Kredytowej.

Tylko że Czesio się nie roześmiał. Nie zagniewał też, ale wiedziałem, że popełniłem gafę. Na szczęście sekundę później za plecami mojego przyjaciela pojawiła się Ołena.

– Dzień dobry – przywitała się z tym swoim zabawnym śpiewnym akcentem.

Nie była już tak blada i pólżywa jak w momencie, gdy ujrzałem ją po raz pierwszy. Kilka godzin snu w normalnych, domowych warunkach zwróciło jej kolory na twarzy, a przede wszystkim uśmiech. Jednak wciąż chyba jeszcze była zawstydzona, takie przynajmniej odniosłem wrażenie: jej wzrok błędził gdzieś po ścianach, za oknem. Wreszcie skupiła go na ukochanym.

Oto ostatni kotlet wylądował na talerzu. Nie powiem, nawet mi nieźle wyszły, no i przede wszystkim żadnego nie przypaliłem. Przez bardzo krótką chwilę zastanawiałem się jeszcze, jaki dziś dzień tygodnia i czy aby nie piątek. Ale był czwartek. Jutro nie mógłbym już podać mięsa, no chyba że Bielawny poszedł jeszcze dalej, choć w to akurat trudno by było uwierzyć.

– Zapraszam – rzekłem do gości. – Czym chata i tak dalej...

Po chwili siedzieliśmy we trójkę przy stole i jedliśmy obiad. Na tle tysięcy innych wojennych obiadów ten był nie lada ucztą; stało się tak przez przypadek. Ale czy właśnie nie on, ów przypadek, rządzi losami ludzkimi?

Mieszkańcy tego kraju, którego nie było, a w szczególności jego stolicy, przekonywali się o tym na każdym kroku. Kroku do rogu kamienicy, za którą po godzinie policyjnej czaił się patrol, kroku zaledwie od burty budy, którą pojmani w łapance jechali w niewiadomym kierunku, ale przecież nie przeskoczysz...

No właśnie, czy Bielawny i jego Ołena w ogóle zdawali sobie sprawę z tego, co się dzieje w Warszawie? Dlaczego zdecydowali się

dobrowolnie iść w paszczę lwa?! Czy nie było po drodze innych, o wiele spokojniejszych miejsc, wsi czy miasteczek, gdzie można by się zaszyć? Przecież nie miał wytatuowane na czole, że był księdzem. Czyżby chodziło tylko o ów interes, który zamierzał rozkręcić...

Ledwo o tym pomyślałem, spojrzał na mnie i zapytał:

- Pójdziemy, jak zjemy, co?
- Oczywiście.

*

Był to wysoki na dwa niemal metry, zbudowany z drewna graniastosłup. Ustawiono go na samym środku izby niczym mebel, co do umiejscowienia którego nie można było się porozumieć albo zabrakło siły, by wepchnąć go na miejsce. Ile miał boków, to należało dopiero policzyć. Im więcej, tym lepiej, choć bez przesady, bo przecież nic tak nie przeszkadza w odbiorze sztuki jak ciasnota.

W pierwszej chwili po wejściu można było ujrzeć jedynie cztery ściany i wycięte w nich po dwa okrągłe otwory, a w każdym – okular. Przez jego szkiełka przedostawały się świetlne refleksy, część z nich lizala oparcia krzeseł stojących przed stanowiskami.

Trochę gorzej było z zapachem. W pomieszczeniu unosiła się woń potu, machorki, kurzu i rozgrzanego plastiku. Tyle byłem w stanie rozpoznać. Dodać należy, że nikogo prócz nas w przybytku nie było, więc był to zapach zastały, trudny do wywietrzenia, zresztą gdzie tu okna...

- I jak? – zapytał Bielawny.
- To jest właśnie ten twój interes?

Nic nie odpowiedział. Ogarnął gospodarskim spojrzeniem wnętrze fotoplastikonu, wsunął dłonie do kieszeni spodni, wypiął brzuch do przodu. Dopiero teraz, gdy byliśmy tylko we dwóch, mogłem stwierdzić, że od ostatniego naszego spotkania w Chołoniewiczach jeszcze mu co nieco w pasie przybyło. Kiedy jednak obok była Ołena, Czesio wciągał brzuch.

- Tak. To jest właśnie mój pomysł na życie – powiedział cicho. –

Spróbujemy?

Usiedliśmy na krzeselkach obok siebie i zbliżyliśmy oczy do okularów. Zdążyła mi jednak mignąć tylko jakaś pustynia z wielbłądem i siedzącym na nim brodatym osobnikiem okutanym w zwoje kolorowych tkanin, gdy od strony wejścia dobiegł nas lekko schrypnięty, stanowczy jak cięcie kindżałem głos:

– Nieczynne!

Do pomieszczenia wszedł, kuśtykając, jakiś zasuszony staruszek w krzywych okularach w rogowej oprawie.

– Niech bę... To znaczy dzień dobry. – Bielawny w porę ugryzł się w język; szybko podniósł się z krzesła. – My do pana Kosowskiego.

– Jeszcze nie ma. A fotoplastikon nieczynny.

– Było otwarte, więc weszliśmy – postanowiłem przyjść w sukurs przyjacielowi, znałem bowiem bardzo dobrze typ, który mieliśmy przed sobą. – Poza tym wszystko działa...

To nie był żaden argument, zwłaszcza że nie zapłaciliśmy przecież za wstęp. Już wsunąłem rękę do kieszeni, aby poszukać jakichś drobnych i niezwłocznie to uregulować, gdy nagle twarz cerbera pojaśniała.

– A panowie to może względem kupna? – zapytał zmienionym, dużo przyjemniejszym głosem i przykuśtykał jeszcze bliżej. – Gnat moje nazwisko.

– Bielawny – przedstawił się Czesio, a mnie przypomniła się scena sprzed roku, gdy wszyscy goście dworku w Adamowie nadskakiwali proboszczowi, który ich odwiedził, jakby był jakim magnatem.

Podali sobie dłonie. Stałem z tyłu, jednak starszy pan chciał się koniecznie przywitać także ze mną. Coś bąknąłem, ściskając sękatę palce.

– Tak jak mówiłem, pan Kosowski jest nieobecny. – Gnat złożył dłonie jak do modlitwy (czyżby coś zdradziło byłego księdza?!). – Zatrzymały go pilne sprawy, panowie wiedzą, jak to jest. U nas w Warszawie.

U nas w Warszawie? – powtórzyłem w myślach, omal nie wybuchając śmiechem. Na szczęście udało mi się opanować. Nie miałem też zamiaru wyprowadzać cerbera z błędu. Skoro myśli, że

obaj z Bielawnym przyjechaliśmy z prowincji, by kupić interes, niech i tak będzie.

Bardzo chciałem, żeby do środka nie wszedł teraz rzeczony pan Kosowski. Pragnąłem odwlec tę chwilę, aby jak najdłużej móc oglądać to miejsce tylko w obecności starca. A gdyby sobie poszedł, byłoby jeszcze lepiej. Wtedy mielibyśmy z Czesiem możliwość przyjrzenia się temu miejscu bez świadków. A nuż coś ciekło, nie domykało się, gdzie myszy harcowały lub, co gorsza, szczury. Chodziło o to, by zawczasu odnaleźć wszystkie słabe punkty, które właściciel zbywający lokal próbowałby może nie zatuszować, bo ślepi nie byliśmy, ale na pewno „zagadać”.

– Może panowie obejrzą? – Gnat wskazał na fotoplastikon, który wciąż pracował; swoją drogą rachunek z elektrowni pewnie dostałby już Bielawny...

Mój towarzysz wykonał szeroki gest lewą ręką i zadarł mankiet, by spojrzeć na zegarek. Zmarszczył brwi, wypuścił powietrze przez nos, wskutek czego mieliśmy w nim zobaczyć człowieka nie tylko bardzo zajętego, ale też wielce niezadowolonego z takiego obrotu rzeczy. Na darmo się przecież tłukł tyle godzin pociągiem, co zresztą było zgodne prawdą.

– Ciężko, ciężko. O której będzie pan Kosowski?

– Myślę, że za jakąś godzinę.

– Mam jeszcze kilka spotkań. – Były ksiądz proboszcz kłamał jak z nut; zupełnie nie znałem go z tej strony.

– Kupuje pan coś jeszcze? – zapytał zaciekawiony pan Gnat, ale Czesio zamiast odpowiedzieć na pytanie, spojrział na mnie.

– Zdążymy jeszcze dojść na Koszykową? – zapytał. – Wiesz, do tego mecenasa.

– Powinniśmy zdążyć, szefie – odrzekłem skwapliwie.

– W takim razie za godzinę, panie Gnat. – Bielawny lekko poklepał starca po ramieniu, ten zaś wyszczerzył w uśmiechu swe wszystkie cztery, może pięć zębów.

Wychodząc, minęliśmy kilku klientów, którzy ustawili się karnie w kolejce, by zapłacić za wejście do tego dziwnego miejsca. Ja osobiście nie korzystałem do tej pory z usług takich ani podobnych

przybytków. Czy kultury? Trudno powiedzieć.

Żyliśmy w czasach, gdy obowiązywało hasło „Tylko świnie siedzą w kinie, co bogatsze, to w teatrze”, wspomagane czynami w rodzaju gazowania sal kinowych czy oblewania farbą odzieży wychodzących z nich ludzi. Ja sam, jak już wspominałem, miałem w życiorysie epizod w postaci kilku miesięcy na deskach teatru „Komedia” przy Kredytowej. Mało też brakowało, a być może zostałem aktorem znienawidzonego do cna Theater der Stadt Warschau przy Karasia, a nawet zagrał w jednym z filmów, do których namawiał polskich aktorów Leo Cox, zastrzelony w marcu czterdziestego pierwszego roku w swym mieszkaniu na Mazowieckiej, czego zresztą byłem świadkiem...

Czy w Warszawie na początku lata 1943 roku istniała sztuka, o której chciałem myśleć, że nie posiada narodowości, obywatelstwa czy koloru skóry? Aktorzy i aktorki, których pamiętałem sprzed wojny, dziś albo nie żyli, albo siedzieli w obozach, w najlepszym razie pracowali jako kucharki, kelnerki czy szatniarze w kawiarniach i restauracjach. A jeśli już występowali, to w piwnicach, tylko dla sprawdzonej, zaufanej publiczności.

Dokąd zatem miał skierować swe kroki ten, komu sprzykrzyło się siedzieć w domu, a nie chciał być świnia z hasła, które tak lubili wypisywać chłopcy z konspiracyjnych organizacji? Ktoś, kto nie przepadał za pijackimi wrzaskami w podrzędnym szynku ani pozorną elegancją kawiarni, gdzie przy sąsiednim stoliku handlowało się ludzkim życiem. Za posiadanie i słuchanie radia groziła śmierć, a jedyną muzyką, którą można było usłyszeć, była ta wykonywana na ulicy...

O, właśnie mijaliśmy jasnowłosą, może dwunastoletnią dziewczynkę, która stała na rogu Poznańskiej i Hożej i śpiewała. Akompaniował jej niewidomy skrzypek. Oboje byli tak przeraźliwie chudzi, że można było odnieść wrażenie, iż złamie ich byle podmuch wiatru od Wisły.

– Chodźmy! – Pociągnąłem Bielawnego za rękaw marynarki.

Spojrzał na mnie. Zagryzał wargę, a jego oczy były pełne łez. A po chwili niemal wyszły z orbit, gdy zatrzymaliśmy się przed witryną

cukierni, w której wystawiono istną piramidę z ciastek opływających lukrem i czekoladą.

Spojrzał na mnie pytająco. Tylko wzruszyłem ramionami.

I po coś ty do tej Warszawy przyjeżdżał, bracie – pomyślałem.

*

Z Gnatem czy bez Gnata? Nie był to kłopot, wbrew pozorom, ani sklepikarza, który sprzedawał mięso, co zresztą i tak zdarzało się bardzo, bardzo rzadko, ani szmuglera, który brał towar od wiejskiego gospodarza, by następnie przywieźć go głodującej Warszawie. Problem postawił pan Kosowski, gdyśmy z Czesiem równo godzinę później ponownie stawili się w fotoplastikonie.

Właściciel lokalu mieszczącego się w dwóch pomieszczeniach na parterze był starannie ubranym mężczyzną lat około czterdziestu. Uwagę przyciągał duży złoty sygnet na serdecznym palcu lewej dłoni, a także wykonana z tego samego kruszcu koronka zęba, prawej dwójki. Gdyby ów pan Kosowski miał pecha i wysiadł któregoś szarego poranka na rampie niedaleko Krakowa, z pewnością zwróciłby uwagę wielu osób. Oczywiście zębem, bo nikt nie pozwoliłby mu wybrać się w tę podróż z sygnetem na palcu. Zbyt niewygodne.

– Pan Gnat to sumienny pracownik, więc sugeruję, powtarzam: to tylko nieśmiała sugestia, aby pozostawić go na dotychczasowym stanowisku – powiedział ściszym głosem właściciel sprzedawanego fotoplastikonu.

Dyskrecja była jak najbardziej wskazana, biuro i główną salę dzieliła bowiem niewielka odległość. Siedzieliśmy we trzech w pomieszczeniu, w którym unosił się ten sam nieprzyjemny zapaszek. Nie było wielkie: cztery kroki między oknem a drzwiami, trzy od starej szafy, w której zapewne znajdowały się dokumenty, a może i klisze, do przeciwnej ściany.

Aby interes mógł się udać, trzeba było postawić na stole coś do picia. Kosowski jako zbywający stanął na wysokości zadania:

wyciągnął z szafki butelkę wódki i słoiczek kiszonych ogóreczków. Nie miałem ochoty na alkohol, ale odmowa została chyba źle przyjęta. Po jednym wypadło, co też uczyniliśmy.

– Tak, zdążyliśmy już poznać pana Gnata – powiedział Czesio Bielawny.

– I co? Niezły jest, nie? – Właściciel fotoplastikonu mrugnął porozumiewawczo.

Nic na to nie powiedzieliśmy. Na moje, to można było tak powiedzieć o kocie, który dobrze łowi myszy, a nie o nieszczęśliwym, kulejącym starcu. Z drugiej strony to szlachetne, że człowiekowi, który sprzedawał interes, zależało na tym, aby pracownik nie został na lodzie. Nie wiedziałem, czy Bielawny miał już swoich kandydatów do pracy. A może zamierzał wszystko robić samemu, względnie z pomocą Ołeny, o ile będzie mogła robić cokolwiek w takim stanie.

– Zastanowię się – odpowiedział wreszcie Czesław. – Szczerze mówiąc, wolałbym się najpierw dowiedzieć czegoś innego.

– Tak?

– Czy nie jest pan jednak w stanie zejść nieco z ceny. Nie ukrywam, że pańska propozycja jest bardzo ciekawa. Jednak okazało się, zresztą całkiem niedawno, że czekają mnie niespodziewane wydatki. Nie będę ukrywał: żenię się.

– Jak to mówią: samo życie – westchnął właściciel złotego sygnetu i zęba, po czym znów sięgnął po butelkę.

Zaczął rozlewać, starannie i powoli. Położyłem dłoń na krawędzi swojego kieliszka. Pan Kosowski skinął głową ze zrozumieniem, a zaraz potem zapytał mnie:

– A może chciałby pan obejrzeć któryś z naszych programów?

Odebrałem to jako zakamuflowane słowa: „Chcielibyśmy zostać sami z nabywającym”. Czy słusznie, tego nie wiedziałem. Ale zgodziłem się, także dlatego, że nigdy wcześniej, jak mówiłem, nie korzystałem z tego typu rozrywek.

– Proszę poprosić pana Gnata, żeby włączył panu zestaw numer sześć – powiedział jeszcze, gdy wstałem od stolika.

– A co to takiego? – chciałem wiedzieć.

– Specjalny pokaz tylko dla mężczyzn.

– To znaczy?

Na krótką chwilę wystawił koniec języka.

– Nie domyśla się pan?

Poczułem, że twarz oblewa mi rumieniec. Zaśmiałem się głupkowato. A potem spojrzałem na Bielawnego. On jednak sprawiał wrażenie człowieka, którego nie obchodzi nic prócz pełnego szkła. A może po prostu nie zrozumiał, co miał na myśli pan Kosowski.

Opuściłem kanciapę po cichutku, jakbym zostawiał śpiące dziecko, i wszedłem do głównego pomieszczenia. Na początku planowałem obejść niezwykle urządzenie dookoła i policzyć wszystkie stanowiska, jednak nie chciałem robić zamieszania, gdyż na czterech krzeselkach siedzieli goście. W dodatku jednym z nich był... oficer Wehrmachtu. Pana Gnata nie widziałem, więc nie mogłem poprosić o zestaw numer sześć. Postanowiłem zatem, że obejrzę to, co reszta.

Przycupnąłem nieśmiało na krzeselku, mimo to skrzypnęło pode mną. Wybrałem miejsce, z którego nie było widać pozostałych gości, za to dobrze drzwi. Z wcale nie tak odległych czasów, gdy bywałem za murem warszawskiego getta, pozostało mi w głowie kilka prawd, które mimowolnie zasłyszałem. Jedną z nich była ta mówiąca, że w kinie, teatrzyku, a nawet w kawiarni zawsze należy wybierać miejsce, z którego widać wyjście.

Z kantorka doszedł głośny śmiech właściciela. Chyba szczęśliwie dobili z Czesiem Bielawnym targu.

– A to dobre – usłyszałem głos z przeciwnej strony urządzenia, choć nie miałem pojęcia, czego może dotyczyć.

W chwili, gdy zbliżałem oczy do okularów fotoplastikonu, dwaj z czterech gości opuścili pomieszczenie. Został tylko jeden cywil i umundurowany Niemiec. Szkoda, że to nie on sobie poszedł, bo z pewnością poczułbym się wtedy o wiele swobodniej.

– *Ja, gut* – usłyszałem głos mundurowego, a potem charakterystyczny dla jego nacji śmiech, głośny, dzielony równo na ósemki albo i szesnastki.

Przyłożyłem wreszcie oczy do okularów, tak jak setki, a może nawet tysiące ludzi przede mną. Maszyneria zaszemrała cicho. Zobaczyłem ulicę jakiegoś miasta, a na niej przechodniów o ciemnej skórze. W

momencie, gdy przeniosłem spojrzenie na biały masyw górski widoczny w tle, obraz zniknął. Zastąpił go kolejny, przedstawiający dziwny pałac. Potem ulicą, może tą samą, którą widziałem wcześniej, przejeżdżała niewielka furka ciągnięta przez osiołka. Obok kroczył brodaty starzec w dziwnym nakryciu głowy. Następnie widziałem targ, kosze owoców o przeróżnych kształtach i kolorach, gestykulujące przekupki.

Od strony drzwi dobiegł hałas. Oderwałem wzrok od szkieł. To pan Gnat wprowadzał jakiegoś człowieka.

– Proszę, niech pan siada. – Wskazywał mu sękatymi palcami jedno z krzeseł.

Przybysz, sądząc po jego nerwowych, nawet nieco paralitycznych ruchach, wyglądał na stremowanego. Trudno było jednak znaleźć potwierdzenie tego na jego twarzy, albowiem oczy ocieniała mu naciśnięta bardzo mocno cyklistówka. Jedyne, co można było stwierdzić, to to, że dawno nie używał mydła i brzytwy.

– A gołe panienki bedo? – zapytał bełkotliwie.

– Bedo, bedo – uspokajał go nieoceniony pan Gnat.

Ze wsi przyjechał do Warszawy i używa – zdiagnozowałem szybko, po czym znów zbliżyłem oczy do okularów fotoplastikonu.

Nie było mi jednak dane cieszyć się następną serią, ponieważ z kantorka wyszedł właściciel lokalu i Czesio Bielawny. Lekko chwiając się na nogach, Kosowski za to łypał spojrzeniem na prawo i lewo, po ścianach i wiszących na nich kiczowatych obrazkach. Można było odnieść wrażenie, że nie sprzedaje ich, tylko kupuje. Albo to coś w rodzaju ostatniego pożegnania z interesem.

– To co, panowie. – Klasnął naraz w dłonie. – Zestaw numer sześć dla prawdziwych mężczyzn. Na koszt firmy.

Znów spojrzałem na byłego księdza, ale on tylko wzruszył ramionami.

– Panie Mieciu – były już właściciel zwrócił się do pana Gnata, dzięki czemu dowiedziałem się, jak na chrzcie, a było to z pewnością jeszcze w ubiegłym wieku, dali kuśtykającemu starcowi, którego Czesio miał kupić wraz z nieruchomością. – Pan zapoda łaskawie zestaw numer sześć.

– A gołe panienki to bedo, a? – zapytał jeszcze bardziej bełkotliwie ten, który przyszedł przed chwilą, dzięki czemu nie miałem już najmniejszych wątpliwości, że przedtem łyknął sobie co nieco dla kurażu.

– Będą, będą! – uspokajał Kosowski.

Starzec zaczął coś grzebać przy aparaturze.

Sam się zdziwiłem tempu i gwałtowności, z jaką ponownie przywarłem do okularów stanowiska fotoplastikonu, o którym od tej chwili mogłem mówić, że to własność mojego przyjaciela. I pewnie wpadać tu, kiedy tylko dusza zapragnie, nic za to nie płacąc. Tak mi się przynajmniej wydawało.

Bąłem się jednak tego, że Czesio, który jeszcze nie tak dawno dbał o morale innych, był duszpasterzem całą gębą, raz tylko przestał myśleć głową, a posłużył się inną częścią ciała, zechce wycofać z oferty ów zestaw wszeteczny. Albo nawet, co gorsza, zniszczyć go! Woląłem więc zawczasu przekonać się na własne oczy, ile jest wart. I czy więcej niż te nieprzyzwoite zdjęcia, które ktoś z naszej paczki przyniósł któregoś dnia do szkoły i oglądaliśmy je w naszej kryjówce na strychu gmachu przy Myśliwieckiej.

Tylko że zamiast rozneglizowanych, przegiętych lubieżnie kobiet ujrzałem, a ze mną i reszta panów, fotografie jakichś rozległych stepów. Po chwili moim oczom ukazała się mongolska jurta.

– Panie, o co chodzi! – wyrwało mi się nieprzystojnie jak pijakowi w szynku najniższej kategorii.

Ale Kosowskiego już nie było w pomieszczeniu. Ledwo to sobie uświadomiłem, zgasło i tak słabe światło, a fotoplastikon się zatrzymał. Zapanowała kompletna ciemność.

– Halo, co za żarty?! – usłyszałem zdenerwowany głos Bielawnego.

Ktoś jęknął przejmująco. Coś ciężkiego upadło na podłogę. Zafurkotało w powietrzu. Trzasnęły drzwi.

– Czesio! Co z tobą, do cholery?! – zawołałem, niepewny jego losu.

W tym momencie ponownie zapalono światło, włącznie z tym górnym, najsilniejszym. Zrobił to Bielawny. Nie mogłem jednak odetchnąć z ulgą. Obaj jednocześnie skierowaliśmy wzrok na podłogę. Leżał na niej niemiecki oficer. Nikogo prócz nas i trupa, choć tego

jeszcze nie wiedziałem, nie było w fotoplastikonie.

– Ożeż kurwa! – wyrwało się byłemu kapłanowi.

Ileż by za to dał ten czy ów z pryszczami na czole, co to zawsze bardzo chciał wiedzieć, co mówi ksiądz, gdy przypadkiem uderzy się młotkiem w palec.

*

Pierwsze, co należało uczynić, to wywiesić tabliczkę NIECZYNNE i zamknąć drzwi. Wywieszka, nawet całkiem ładna, a w dodatku dwujęzyczna, znalazła się w biurku pana Kosowskiego, które było teraz biurkiem Czesia Bielawnego. Klucz również mieliśmy, bo na szczęście panowie zdążyli i z tym. Problem w tym, że mieliśmy też niechciany balast w postaci zabitego człowieka w mundurze oficera Wehrmachtu. Tego już byliśmy, niestety, pewni. Nie oddychał.

– Kto to zrobił? Jak to się stało? – powtarzał były ksiądz, co raz łapiąc się za głowę i chodząc w tę i z powrotem po głównej sali, obok leżącego wciąż na podłodze Niemca; twarz zakryliśmy znalezioną na zapleczu płachtą „Nowego Kuriera Warszawskiego”, zwanego „Kurwarem” albo gadzinówką.

– Nie wiem – bąknąłem. – Ale chyba nożem.

– Nożem?

– Przecież nie słyszeliśmy strzału.

– No tak, no tak...

W Warszawie wciąż dochodziło do zamachów na Niemców, częściej jednak dostawało się foksom i innym kolaborantom. Słyszało się o strzelaninach, tu i ówdzie wybuchały bomby. Niestety, za każdym razem największą cenę płaciła za to ludność cywilna, zwykli mieszkańcy miasta. Bywało, że za jednego zabitego szkopa rozstrzeliwano w Palmirach albo wieszano kilkunastu, a nawet kilkudziesięciu więźniów Pawiaka...

– I kto to zrobił? – Czesław utkwiał we mnie badawcze spojrzenie.

– Nie mamy zbyt wielu podejrzanych – odrzekłem.

– Nie mamy nikogo, jeśli idzie o ścisłość – zachnął się.

– To prawda.

Przez chwilę milczeliśmy.

– Albo to ten pijany wieśniak, który przyszedł jako ostatni – zacząłem spekulować. – Albo ten, który siedział obok Niemca.

– A Kosowski?

– Również nie można tego wykluczyć. Jak i pana Gnata.

– Starzec mordercą?!

– Czemu nie? Tak czy inaczej, dostałeś do rąk gorący kartofel, jak to mówią.

– Ja dostałem, ale w każdej chwili mogę go rzucić w twoim kierunku.

– A ja go złapię – przyznałem od razu. – Tkwimy w tym razem, nie przeczę.

Chyba ciążyła mu ta niepewność, czy nie zostawię go aby z trupem, który za chwilę zacznie gnić i śmierdzieć. Z Niemcem, którego być może ktoś widział, jak wchodzi do fotoplastikonu, i powie o tym, przyciśnięty przez śledczych. Bo prędzej czy później zajmą się tą sprawą.

Obaj znów zerknęliśmy na truchło w mundurze koloru feldgrau. Czy chciałem, aby jednak jakimś cudem się ocknął, zaczął jęczeć, wreszcie podniósł się z tej podłogi, bo rana okazała się lekka? Czy jednak lepiej, aby pozostało tak, jak jest? W pierwszym przypadku czekałyby nas przecież ogromne kłopoty, chyba że oficer okazałby zrozumienie, machnął ręką i powlókł się do szpitala. Uwierzył, że jesteśmy tylko przypadkowymi świadkami. Ale choć nie był to esesman, a zwyczajny żołnierz, raczej by się tak nie skończyło.

Lepiej więc było tak jak teraz. Trupa można się było pozbyć. Pozostawało tylko pytanie, jak mieliśmy to zrobić.

– Może Kosowski wróci? – rzekł Czesio jakby do siebie.

– Zapłaciłeś mu? – zapytałem.

– No przecież. Ale nie pytaj ile. Przez gardło mi to nie przejdzie.

– Nie zamierzam.

– Ani skąd miałem.

– Pewnie z tacy – wypaliłem bez namysłu.

– Powiedzmy.

W innej sytuacji pewnie byśmy się zaśmiali, szczerze i głośno. Ale nie teraz.

– Wracając do Kosowskiego – podjąłem – pytanie, czy wiedział, że to się stanie, i dlatego sprzedał ten interes, czy stało się to zupełnie przypadkowo.

– Jeśli to pierwsze, marny jego los, gdybyśmy się spotkali – warknął Bielawny, zaciskając pięści, aż mu zbieleły paluchy.

Znów cisza.

– Chyba wiem, kto może nam pomóc – powiedziałem.

Wielebny spojrzał na mnie. Najpierw ujrzałem w jego twarzy zainteresowanie i nadzieję, a zaraz potem przerażenie.

– Chyba nie chcesz mnie tutaj z nim zostawić! – niemal krzyknął, wskazując na trupa.

– Spokojnie. Widziałem telefon na biurku.

W dodatku działał! Chwilę trwało, zanim przypomniałem sobie numer, ale w końcu się udało. Pięć cyfr, które miały nam uratować tyłki. Wykręcałem go z uwagą, a Czesław Bielawny nie spuszczał wzroku z mojego palca.

– Dzień dobry, Jan Kowalski z tej strony – przywitałem się, uzyskawszy połączenie. – Chciałby rozmawiać z inżynierem Bergmannem. Tak, oczywiście, może być zastępca...

*

Ledwo go poznałem. Uśmiechnięty od ucha do ucha, opalony na twarzy, jakby dopiero co wrócił z Zopott. W dodatku, podczas gdy znakomita większość ludzi w tym mieście schudła, przynajmniej przez ostatnią zimę, on przeciwnie – przytył. No i rzecz najważniejsza: ubiór. Zawsze nosił się niedbale, z robociarska, a teraz miał na sobie elegancki szary garnitur, białą koszulę i krawat w grochy. Poluzował go tylko, a górny guzik koszuli miał rozpięty. Całości dopełniły ręce wciśnięte w kieszenie spodni i papieros w kąciku ust.

– Ktoś tu wzywał pomocy? – rzucił, gdy tylko uchyliłem drzwi, do których wcześniej zapukał w umówiony sposób.

– Dobrze, że jesteś – ucieszyłem się, spoglądając na swoją wieczystą omegę: od chwili, gdy skończyłem rozmawiać przez telefon, minęło niespełna pół godziny; gorsza wiadomość była taka, że musieliśmy coś zrobić z trupem przed godziną policyjną. – Wskakuj.

– Wolę wejść. Będzie lepiej, jak skoki pozostawię młodszym i silniejszym. Cichociemnym i innym cyrkowcom.

– Rozumiem.

– Pewnie nie, ale mniejsza z tym.

Już mnie zaczynał męczyć ten dialog, więc przystąpiłem do rzeczy.

– Nie zgadniesz, kto tu jest.

Radość ze spotkania Franka Beli, bo to właśnie po niego, dawnego szkolnego kolegę, a teraz specjalistę od załatwiania spraw beznadziejnych zdecydowałem się zadzwonić, na krótką chwilę zneutralizowała strach, za który odpowiadał leżący na podłodze i tężejący już pewnie powoli Niemiec.

– Jupp Goebbels? – rzucił z kamienną twarzą, jak to on.

– Nie. Ale byłeś blisko. – Dobry humor udzielił się także Bielawnemu.

– Czesiu, to naprawdę ty?! – zdziwił się i ucieszył Bela. – Ale że bez sutanny?

Franek wiedział o moich niegdysiejszych wozach na Kresy i o spotkaniu z Bielawnym. Nie wiedział jednak jeszcze, że w życiu tegoż zaszły właśnie daleko idące, jeśli nie wręcz rewolucyjne zmiany.

Zostawiliśmy to jednak na później. Teraz trzeba się było zająć kłopotem, któremu na imię było Kurt, Johann, a może Otto.

– Lothar. Lothar Scholz – przeczytał Bela z legitymacji, którą bez ceregieli wyjął z kieszonki munduru, na co my jakoś nie wpadliśmy wcześniej, a może po prostu brzydziliśmy się nieboszczyka i krwi, tylko żaden nie chciał się do tego głośno przyznać. – Leutnant, odznaczony Krzyżem Żelaznym. Ostatni przydział: Warschau.

– Jak zginął? – zapytałem, bo przecież wciąż tego nie wiedzieliśmy.

– Kosa pod lewą łopatkę, w serce.

– Boże... – jęknął Bielawny.

– Mała dziurka, krew poszła do środka. Precyzyjna robota. Jakiś zawodowiec.

– Przynajmniej tyle o nim wiemy – rzuciłem z przekąsem.

Szczęknął zamek parabelki, którą Franek bez ceregieli wyjął ze skórzanej kabury przy pasie leżącego. Schował ją od razu do kieszeni. Następnie w rękach przybysza pojawił się bardzo ładny skórzany portfel. Franek pokazał nam zdjęcie jakiejś kobiety, zapewne żony denata, oraz dziecka.

– Tata nie wraca ranki i wieczory. We łzach go czekam i trwodze... – zadeklamował pod nosem, po czym butem obrócił ciało na wznak.

Bielawny się przeżegnał, zaczął bezgłośnie klepać *Wieczne odpoczywanie*.

– Co łaska. – Franek Bela wcisnął mu do kieszeni marynarki kilka banknotów, które również znalazł w portfelu zabitego.

Dostałem i ja swoją dolę, w taki sam sposób, ale nie śmiałem sprawdzić, ile tego jest. Przynajmniej nie w tej chwili. Portfel zabitego powędrował zaś do kieszeni naszego wybawiciela; tak go w duchu nazywałem, choć przecież jeszcze nic nie zrobił. Prócz rabunku. Dokumenty były cenną zdobyczą, ale po co Frankowi były potrzebne zdjęcia rodziny Niemca, nie miałem pojęcia. Ale dociekać nie zamierzałem.

– Co z nim zrobisz? – zadałem inne, ważniejsze pytanie.

– Chyba zrobimy – sprostował, spojrzawszy na mnie spode łba. – Przecież sam go nie będę tachał przez miasto, nie?

To powiedziawszy, Franek działał dalej. Z dziwną wprawą, jakby od rana do wieczora nie robił nic innego. Znów przewrócił trupa na brzuch, pochylił się nad śmiertelną raną na plecach, przez chwilę przy niej grzebał.

– Gorsza będzie sprawa, jak juchą zafajda siedzenie, co nie? – rzucił gwoli wyjaśnienia.

– Przyjechałeś samochodem? – zdziwiłem się.

– Jeszcze tak dobrze mi Sosnowski nie płaci, ale pracuję nad tym.

Ów Bergmann, do którego dzwoniłem, inżynier z fabryki Lilpopa, należącej do ważnego koncernu Reichswerke Hermann Göring, to był właśnie Eugeniusz Sosnowski, znajomy handlarz złotem, Bela zaś pomagał mu załatwiać jego geszefty. Czasem brudne, ale czasem też szlachetne, jak choćby wyciąganie ludzi zza muru warszawskiego

getta. Póki jeszcze było. I to nie tylko tych, którzy mieli przy sobie złoto.

– Chyba nie zamierzasz wieźć trupa rikszą? – zapytałem słabym głosem.

– Trupa nie, ale... zalanego w trupa, owszem.

To powiedziawszy, wyciągnął z zanadru niewielką butelkę, odkręcił korek, pociągnął solidny łyk. Następnie wylał sobie nieco alkoholu na dłoń i potarł nią policzki, jakby dezynfekował skórę podrażnioną po goleniu. Resztę wylał martwemu Niemcowi na twarz.

– Lepsza by była woda święcona, ale cóż. – Mrugnął do Bielawnego, uśmiechając się szatańsko.

W osłupieniu przyglądaliśmy się poczynaniom naszego dawnego szkolnego kolegi.

– Wieczne odpoczywanie racz mu dać Panie... – zaczął znów Czesio, tym razem przymknąwszy oczy.

W pewnym momencie przypomniała mi się opowieść Anatola, rikszarza, który dzisiaj rano – choć miałem wrażenie, że to było tydzień temu – odwoził moją rodzinę na Dworzec Główny. Mówił mi wtedy, a było to zimą, na postoju między Starym a Nowym Miastem, jak kiedyś wiozł z Żoliborza na Przyokopową dwóch facetów, z których jeden był nieprzytomny z przepicia. Dopiero potem okazało się, że najprawdopodobniej przewoził... nieżywego sekretarza partii komunistycznej, który przyleciał z Moskwy.

– No to chodź, Lothar, stary druhu. – Franek Bela pociągnął trupa za rękę. – Ciężki jesteś, choć bywało gorzej. Pewnieś znowu golonkę wcinał na obiad, co? I dużo piwska. Jakież to bawarskie i nudne. Mówiłem ci tyle razy, że to niezdrowe nawyki. Popatrz na nas, jacy jesteśmy szczupli. Buraczki trzeba jeść, pod każdą postacią. Szczawik.

Po chwili Niemiec... stał oparty o ścianę. Tylko głowa zwisała mu bezwładnie, a z ust ciekła nitka śliny. Wyglądało to ohydnie i makabrycznie. Wreszcie Bela mocno nacisnął mu czapkę, ujął trupa pod ramię i spojrzał na nas wyczekująco.

– Ja to zrobię – powiedział cicho Bielawny, po czym zajął miejsce po drugiej stronie ciała.

Szybko otworzyłem drzwi, a gdy się przez nie przedostali, co nie

było łatwe, zamknąłem je i przekręciłem klucz. Gorliwie wyprzedziłem trójkę i dalej kroczyłem jako awangarda, rozglądając się z uwagą. Pewnie niewiele by to pomogło, gdyby nagle naprzeciwko nas pojawił patrol żandarmerii. Może po prostu czułem wyrzuty sumienia, że to nie ja zgłosiłem się jako pierwszy, aby pomóc Frankowi nieść truchło Niemca.

Na dworze robiło się już szaro. Kiedy wyszliśmy na ulicę, Bela gwizdnął. Wtedy z za rogu wyjechała dorożka. Odetchnąłem z ulgą, że to jednak nie będzie riksza. Z dorożką mieliśmy większe szanse na powodzenie naszej misji.

– Śpiewajmy – syknął Bela.

Czyżbym się przesłyszał?

– Co? – bąknąłem.

– Śpiewajmy – powtórzył. – Tylko nie za głośno.

– Ale co? – tym razem zapytał nie mniej zaskoczony wielebny.

– No przecież nie *Rotę* ani *Mazurka Dąbrowskiego!* – zachnął się nasz specjalista.

– Kiedy ranne wstają zorze, Tobie ziemia, Tobie morze... – zaintonował były proboszcz we wsi Chołoniewicze – bez namysłu, ale za to jak pięknie.

– Oszalałeś?! – fuknął gniewnie Franek.

– Przecież kazałeś śpiewać.

– Wolałbym coś innego.

Aby zakończyć te dziwne swary, dorożka była już bowiem bardzo blisko nas, nabrałem do płuc powietrza i wyrzuciłem z siebie bełkotliwie:

– *Vor der Kaserne, vor dem grossen Tor...*

Nie powiem, zatkało ich. A przecież na pierwsze słowa *Lili Marleen* miękł każdy żołdak w mundurze feldgrau, chociaż nie dotyczyło to już, niestety, naszego towarzysza, bo ten, przeciwnie: sztywniał.

Ani Franek, ani Czesio nie znali słów piosenki, ja zresztą też byłem w stanie zaśpiewać tylko jedną zwrotkę, co jednak nie przeszkodziło nam w występie. Na szczęście wszyscy byliśmy muzykalni i koledzy podchwycili melodię. Miało to przekonać przypadkowego dorożkarza, ewentualnie jakichś przechodniów. Na szczęście na ulicy nie było już

wielkiego ruchu.

Dorożka się zatrzymała. Bela wskoczył szparko do środka i wyciągnął rękę do trupa.

– *Komm, komm!* – wołał i rechotał na przemian.

Ja z Czesiem pchaliśmy Niemca. W pewnej chwili ujrzałem miejsce, gdzie wbiło się ostrze. Rzeczywiście, rana nie była wielka, ale od tego widoku zrobiło mi się niedobrze. Szybko odwróciłem wzrok.

– *Komm zu hier* – ponaglał Franek.

Z boku musiało to wyglądać naprawdę zabawnie, jednak w każdym z nas chyba gotowało się od nerwów. Porucznik Lothar Scholz był już prawie, prawie w dorożce, gdy spadła mu czapka. Próbowałem ją złapać, ale zamiast tego odbiłem ją niczym piłkę do gry w siatkówkę. Poleciała na chodnik i potoczyła się po nim, zatrzymując się pod nogami jakiegoś staruszka. Gdy przypadłem do niej, mężczyzna zmierzył mnie piorunującym spojrzeniem.

– Wio, stara! – zawołał wreszcie dorożkarz i drynda potoczyła się w kierunku Marszałkowskiej.

Przez całą drogę coś bełkotaliśmy, łamaną niemczyzną przemawialiśmy do Niemca, modląc się jednocześnie w duchu, żeby nie zatrzymał nas żaden patrol. Zastanawiałem się też, czy wyglądamy w miarę porządnie i czy pasujemy do niemieckiego oficera.

Mostem Poniatowskiego dostaliśmy się na Pragę. Tam poczułem łokieć Beli na swoich żebrach.

– Wsiadajcie – mruknął.

– Dasz sobie radę? – zapytałem.

– Spokojna głowa.

Kazałem dorożkarzowi zatrzymać się niedaleko wejścia do Parku Skaryszewskiego.

– Z Bogiem – rzucił jeszcze Bielawny.

Wyskoczyliśmy, a dorożka pojechała dalej w stronę Gocławka. Na szczęście zaraz jechał tramwaj linii dwadzieścia cztery, którym wróciliśmy do Śródmieścia. Trzeba było zdążyć do domu przed godziną policyjną. Przez całą drogę nie odezwaliliśmy się do siebie ani słowem.

*

Dotarliśmy na Jasną kwadrans przed godziną policyjną. Czesio, tknięty jakimś niejasnym przeczuciem, drogę na nasze piętro pokonał niemal sprintem. Nie dostał nawet zadyszki, choć złośliwcy mogli mówić, że wcześniej jedynym wysiłkiem, jakiego się podejmował, było podnoszenie kielicha z mszalnym winem. Nawet nie podejrzewałem go o taki wigor, chociaż z drugiej strony nie spodziewałem się też, że będzie miał dziecko.

Prieczucie go nie myliło, bo Ołena odchodziła od zmysłów.

– Już dobrze, kochana, jestem – uspokajał ją Czesio. – Nie możesz płakać, bo to niedobrze dla dzieciątka.

– Ja myślała, że tobie coś się stało – kwiliła, połykając łzy.

– Mieliśmy małe kłopoty, ale już po wszystkim.

Spojrzał na mnie. Ledwo dostrzegalnie pokręciłem głową.

– Jakie kłopoty? – chciała wiedzieć.

– Nieważne. Już wszystko załatwione. Kładź się spać.

– A kupił ty? – Spojrzała na niego przytomnie.

– Kupił.

Zjedliśmy resztki z obiadu. Ołena posłusznie poszła spać. Zauważyłem, że pod naszą nieobecność nie próżnowała: mimo ciąży nie tylko pozmywała po posiłku, ale też doprowadziła do jako takiego ładu mieszkanie, które nie prezentowało się zbyt korzystnie po porannej gorączce związanej z wyjazdem ojca i Aliny. Po chwili zapanowała cisza.

– Przynajmniej tyle dobrego – mruknął były księżulo.

Tak, potrzebny był spokój, bo czekała nas rozmowa, bardzo poważna rozmowa, chociaż nikt nie chciał jej zacząć. Jeszcze kilkanaście godzin temu świat wyglądał zupełnie inaczej. Wszystko przez to, że w porę nie uciekłem z Dworca Głównego do domu. Wtedy nie spotkałbym Bielawnego i Ołeny, nie zabrał ich ze sobą, wreszcie nie poszedł z nim, by sfinalizować kupno fotoplastikonu.

Znów wdepnąłem w niezłe gówno – podsumowałem w myślach.

– Przeze mnie wdepnąłeś w niezłe gówno – powiedział po chwili

Czesław.

Powinienem się roześmiać, ale tylko się skrzywiłem. Nie zaprzeczyłem.

– Dobry jest? – zapytał po krótkiej chwili milczenia.

– Kto?

– No przecież nie pan Gnat! Bela.

– Najlepszy w mieście. Nocy by nie starczyło, aby opowiedzieć, co razem narozrabialiśmy. – Dobry humor wrócił mi, ale tylko na chwilę.

– To dobrze – sapnął Czesław Bielawny. – Mam nadzieję, że jutro rano wstanę, ubiorę się i jak normalny, uczciwy człowiek wyjdę do pracy.

– Bardziej uczciwy niż normalny – sprostowałem nie bez złośliwości.

– Śmiejesz się, a ja na ten fotoplastikon wydałem niemal wszystkie pieniądze. Ale po prostu nie miałem innego pomysłu. Kto by się spodziewał, że stanie się coś takiego...

– Nikt. Warszawa to prawdziwa dżungla. Nigdy nie wiesz, co cię czeka za rogiem ulicy, którą chodziłeś przez całe życie. Powinieneś to wiedzieć. Choć mówią, że to już kwestia czasu. Od Stalingradu szkopskie buty już się tak nie świecą jak kiedyś, nie stukają tak głośno i butnie.

– Jesteś w konspiracji?

– Byłem. Ale wydarzyło się dużo rzeczy. Złych rzeczy. Kiedyś ci może o tym opowiem.

– A ja chętnie dam ci rozgrzeszenie – uśmiechnął się, by zaraz dodać z powagą: – Jutro rozejrzę się za jakimś mieszkaniem.

I dość energicznie jak na porę wstał z krzesła. Ja nic nie powiedziałem. Powinienem zaprotestować, ale z jakiegoś powodu tego nie zrobiłem.

*

Ledwo otworzyłem oczy, zacząłem się zastanawiać nad jedną niezwykle ważną rzeczą. Nie, nie była to obawa, czy Franek Bela dał

sobie wczoraj radę, czy sprawdził się jako czyściciel. Tego byłem pewien, a wszystko, co powiedziałem o nim Bielawnemu, było prawdą. Mogłoby się wydawać, że wydarzenia ubiegłego dnia powinny przelecieć mi przed oczami jak ów fotoplastikon właśnie, cudowna maszyna, która miała zapewnić Czesiowi i jego rodzinie jakie takie utrzymanie.

Tymczasem nic z tych rzeczy. Jakby heca z martwym szkopem była tylko filmem, który obejrzałem wczoraj w kinie. Co zatem bez reszty zajęło mi umysł?

– Czym mam ich nakarmić? – Musiałem to sobie powiedzieć na głos.

Nieraz mi to pomagało. Na przykład przy powtórkach do matury. Albo przy nauce kwestii, które miałem następnie wypowiedzieć na teatralnej scenie. Problem tkwił bowiem w tym, że wczorajszy schabik, z którego zrobiłem kotlety dla gości, był ostatnią porcją mięsa, jaką miałem. Miała mi starczyć na tydzień, może nawet na dłużej. Ale, jak to mówią, „gość w dom, Bóg w dom”. To był co prawda tylko ktoś w rodzaju urzędnika Najwyższego, zresztą były, odsądzony pewnie od czci i wiary. Ale i tak nie mogłem przecież postąpić inaczej.

– Uspokój się... – usłyszałem przez ścianę głos Czesia. – *Tiszina!*

Poranna kłótnia. To jeszcze bardziej mnie zmartwiło, wszak brak śniadania mógł tylko pogorszyć sprawę. Nie od dziś bowiem wiadomo, że jak Polak głodny, to zły. Musiałem coś wymyślić, i to szybko.

Gdybym był sam, nie zaprzętałbym sobie tym specjalnie głowy, bo i po niedawnych przeżyciach straciłem apetyt. Ale w momencie pojawienia się gości zmieniło się wszystko. Pomyślałem sobie nawet – ech, Boże, co za idiotyzm! – że gdybyśmy byli ludożercami, choćby tymi z książki o Robinsonie Crusoe, co chcieli zjeść na śniadanie Piętaszka, zatrzymalibyśmy sobie po prostu... tego zabitego Niemca. Jak on się nazywał? Lothar Scholz. Porucznik Lothar w sosie własnym. Dużo tłuszczu, co zauważył Bela. Śmiał się, że od golonki i piwa...

Aż się zatrząsnęłam od tej głupiej myśli. A zaraz potem uświadomiłem sobie, że skoro wczoraj był czwartek, to dzisiaj jest przecież piątek. I mięsa być nie musi.

– Wychodzisz dokądś? – W szparze w drzwiach sypialni ojca i Aliny pojawiła się rozczochrana głowa Bielawnego.

Po ciepłe bułeczki – chciałoby się odpowiedzieć.

– Zaraz wracam. – Uśmiechnąłem się sztucznie, jak ktoś, kto ma coś na sumieniu.

Ziewnął potężnie, nie zasłoniwszy ust. O nic więcej nie zapytał. Zamknąłem za sobą cicho drzwi mieszkania i zbiegłem po schodach.

Zapowiadał się kolejny ciepły czerwcowy dzień. Było jeszcze bardzo wcześnie, za wcześnie nawet dla naszego stróża, ale przed sklepem pana Bajtla już stała kolejka. Przed wojną był to bardzo elegancki sklep z artykułami kolonialnymi, w którym dostałeś pomarańcze, banany, cytryny i najprawdziwszą czarną kawę. Nieraz pomagałem w rozładunku towarów, zarabiając w ten sposób jakieś drobne, ale niezbędne w życiu każdego nastolatka pieniądze.

Dzisiaj, aby kupić coś u Bajtla, trzeba było mieć kartki na żywność. Ja miałem, ale musiały mi wystarczyć do końca miesiąca. Oczywiście i to nie było żadną gwarancją, że cokolwiek się dostanie. Ja i moi bliscy byliśmy ze sklepikarzem w dobrej komitywie, przede wszystkim dzięki temu, że od czasu do czasu ojciec podrzucał mu przeschmuglowane ze wsi rarytasy.

Stałem pokornie na końcu ogonka, a jednocześnie trochę z boku, aby być widocznym, gdy sklepikarz wyjdzie na zewnątrz, co miał w zwyczaju czynić. Prawie zawsze wywoływał mnie wtedy z kolejki, zapraszał na zaplecze, częstował smakołykami. Ale i stanie w ogonku miało swoje plusy. Zawsze bowiem można się było dowiedzieć, co w mieście słychać, ile osób i skąd wzięło ostatniej nocy gestapo i gdzie lepiej nie chodzić na spacer.

Tym razem jednak kumoszki milczały. Być może jeszcze się nie obudziły, a może po prostu nic się nie wydarzyło. Że to nieprawda, wiedziałem tylko ja i jeszcze parę osób, choć chyba nie było między nimi przełożonych leutnanta Scholza. Za wcześnie. Zaczną się o niego martwić dopiero za parę godzin.

– Ojca nie będzie, panie Antku – z zamyślenia wyrwał mnie kobiecy głos.

Podniosłem wzrok. Mijała mnie córka Bajtla. Często pomagała mu w sklepie, a gdy siedzieliśmy na zapleczu, rządziła za ladą. W rękę trzymała pęk kluczy, z których dwa miały za chwilę posłużyć do

otwarcia interesu, a jednocześnie obudzenia drzemiących kolejkowiczów.

– Coś się stało? – przestraszyłem się.

Uśmiechnęła się blado.

– Nic, po prostu jest trochę niezdrów – odpowiedziała. – Jak każdy ma już zwyczajnie czasami dość tego wszystkiego.

Usłyszałem znaczące pochrząkiwania, mające zastąpić pewnie „do czego to doszło, żeby sobie pogawędki uciniała”. Rzecz jasna, nikt nie śmiał odezwać się głośno, wszak to ona, córka sklepikarza, choć nie grzeszyła urodą, była w tej chwili królową, cesarzową i świętą w jednym.

– Wejdzie pan do nas? – zapytała jeszcze.

Nie wiem, co mną powodowało, ale pokręciłem głową. Może nie chciałem robić jej kłopotu, nie łączyła nas amikoszoneria jak w przypadku jej ojca. Dopiero gdy, ku zadowoleniu wszystkich, otworzyła wreszcie drzwi, pożałowałem tej decyzji. Ale było już za późno. No, chyba żeby stać w tej kolejce cierpliwie jak wszyscy, bez gwarancji, że cokolwiek uda się kupić.

W ciągu kilku chwil dotarłem na Marszałkowską, rozejrzałem się na prawo i lewo. Jakbym w całej swojej naiwności chciał dostrzec jakieś zbiegowisko, którego powodem byłaby na przykład przewrócona ciężarówka z jedzeniem. Los, który nie skąpił złych rzeczy, raz na jakiś czas darowywał nam bowiem i te dobre.

Do dzisiaj wspominało przecież w mieście historię z greckimi zółwiami, które pojawiły się na czarnym rynku w 1941 roku. Jedni mówili, że pochodziły z transportu, który jechał do Berlina, aby tam cieszyć podniebienia niemieckich dostojników, być może nawet samego Hitlera. Inni przekonywali, że zółwie zmierzały w odwrotnym kierunku, na wschód, na pociechę brnących tam przez błota żołnierzy. Tak czy inaczej, trafiły na warszawskie stoły, powodując ból głowy u gospodyń. No bo jak to, do diaska, przyrządzić, aby dało się przełknąć.

Czy taki zółw to właściwie mięso? Czy można go zjeść w postny piątek? – zastanawiałem się, zmierzając w umiarkowanym tempie w kierunku Alej Jerozolimskich.

Co odważniejsi mieszkańcy miasta kupowali konserwy od

niemieckich żołnierzy. Mnie jakoś nigdy się nie zdarzyło. Bałem się, że podstępnie zatrute, chociaż nikt ze znajomych, którzy spożyli taką mielonkę, nie zszedł z tego świata w boleściach. No i przede wszystkim wciąż mogłem korzystać z tego, co ze swych szaleńczych wypraw Magellana pod Grójec, Mińsk Mazowiecki czy inny Płońsk przywoził mój nieoceniony ojczulo.

No ale, jak już mówiłem, był piątek, a w piątki na stołach winny królować, choć było to słowo co najmniej nieprzystające do czasu wojny, jarzyny, pieczywo, a z mięs – tylko ryba. Nie miałem jednak zamiaru oddalać się za bardzo od domu; w grę wchodził powrót do sklepu Bajtla i poświęcenie kilku kartek na chleb z mąki z trocin.

Ale wtedy zauważyłem tramwaj jadący na południe. To przypomniało mi o człowieku, który, uratowany przez ojca w jakiejś ważnej chwili wołowym antrykotem (nazwę wymawiał zresztą jakoś tak z francuska), zarzekał się, by w razie potrzeby walić do niego jak w dym. Z tego, co pamiętałem, handlował na Koszykach zieleniną z własnej uprawy. Iwan Groźny zbombardował halę niespełna miesiąc temu, ale ludzie mówili, że handel niedawno ponownie tam odżył.

Z tą myślą wskoczyłem na stopień ruszającej z przystanku „dziewiętnastki”.

*

Gdy godzinę później stanąłem ponownie przed drzwiami mieszkania, poczułem zapach pieczonego ciasta. Nie miałem wątpliwości, że smakowita woń wydobywa się z naszej kuchni. Kiedyś bym się z tego faktu ucieszył. Teraz wręcz przeciwnie. Taki zapach, podobnie jak odgłos ubijania schabowych, drażnił przecież sąsiadów i mógł mi sprowadzić na głowę nieszczęście...

Wpadłem do środka. Pierwszą osobą, którą ujrzałem, był Czesio.

– Miałeś wyjść tylko na chwilę – rzekł z nieudawaną pretensją.

– Co wy robicie?

Zamiast odpowiedzieć, wykonał szeroki, zapraszający gest. Dumny

gest. Jakby on był tutaj gospodarzem, ja zaś tylko gościem, co to przed chwilą wytarł buty o słomiankę i skłonił się, przekraczając próg, choć futryna wysoko, jak to u Harczyka.

Szybko zamknąłem za sobą drzwi, żeby zapach nie wydostawał się na klatkę schodową, choć był to daremny trud.

– Ołena upiekła chleb – poinformował mnie wielebny.

– Co? – zapytałem, jakbym pierwszy raz słyszał to imię, no bo chyba nie słowo „chleb”.

– Chleb upiekła – powtórzył bez zniecierpliwienia, jak na kapłana, mimo że byłego, przystało.

Weszliśmy do kuchni. O tym, co tu się działo, świadczył nie tylko intensywny, drażniący ślinianki zapach, ale też lekki tuman. Na dowód, że wszystko jednak poszło po jej myśli, Ołena pokazała mi świeżo wypieczony, najprawdziwszy bochenek chleba. Trzymała go oburącz i jakoś tak dostojnie, jak na dożynkach lub w chwili powitania czcigodnego gościa, bo przez białą lnianą serwetkę. Nie mieliśmy takich w naszym domu.

– Plon niesiemy, plon w gospodarza dom... – zaintonował Czesio Bielawny, który miał najwyraźniej to samo skojarzenie.

– Ale... ale skąd mieliście mąkę i tak dalej?

– Jak to skąd! Z szafki w twojej kuchni. Swoją drogą, nieźle zaopatrzoną macie spiżarnię. Naprawdę nieźle.

Znów z jakiegoś powodu wskazał mi kierunek. Poszedłem tam. Za niskimi drzwiczkami, w chłodnym pomieszczeniu bez okien, na półkach wiszących na całej wysokości ścian stały niezliczone słoje. W jednych czerwieniły się i żółciły owoce, w innych bielą najprawdziwsza mąka.

Dotknąłem dłonią czoła. Było zimne. Ale to nie był żaden argument.

– Źle się czujesz, Antku? – zapytał Bielawny, przypatrując mi się z uwagą.

– Nie. To znaczy trochę... Nie wiem... Chyba po prostu się nie wyspałem.

Wróciliśmy do kuchni. Usiadłem na taborecie przy stole, utkwilem wzrok w sęku na blacie. Wiedziałem, że oto znów dały o sobie znać przeżycia sprzed kilku tygodni. Dobrze, że w tej swojej peregrynacji

po mieście, niemal drodze lunatyka, ale pokonanej za dnia, nie zapuściłem się zanadto na północny zachód. Choć może swąd, który wciąż unosił się nad spalonym gettem, przyniosłby mi otrzeźwienie. Może przyjąłbym w końcu do siebie bolesną, gorzką jak piołun, ale prawdę.

Prawdę, że wszystko, co kochałem, zostało za murem.

Czesio przesunął w moim kierunku szklanę z herbatą. Nie była to żadna Tonga ani Mata, które piło się po domach od Służewca po Bielany, ale najprawdziwsza, czarna herbata.

– Z Cejlonu – uściślił.

– Skąd?

– Z Cejlonu.

– Skąd ty ją masz! – Przewróciłem oczami.

– A, zostało mi jeszcze trochę z dawnych czasów – odrzekł niewinnie.

Już chciałem sięgnąć po szklanę, by przenieść się w dobrą i beztroską niemal przeszłość, gdy nagle poczułem dziwne łaskotanie na brzuchu.

– *Kakaja sładkaja łaskoczka!* – zawołała Ołena.

Przez szparę w mojej koszuli wychynęły najpierw uszy, potem ruchliwy nosek z czarnymi wąsikami, w końcu cały łeppek. Czesio Bielawny zrobił wielkie oczy, a potem spojrzał na mnie pytająco. Nic nie powiedziałem. Już po chwili najprawdziwszy królik siedział na kolanach u dziewczyny, która gładziła pieszczotliwie czarno-białe futerko.

I wtedy przypomniałem sobie, skąd zwierzątko wzięło się pod moją koszulą. Tylko to bowiem udało mi się kupić na Koszykach od znajomego handlarza. Króliczka mieliśmy zabić, obdrzeć ze skórki, upiec, a następnie, podobnie jak setki rodzin w tym mieście, zjeść. Oczywiście dopiero jutro. Bo dziś przecież piątek i post...

*

Moja stara omega wskazywała dokładnie dziesiątą rano, gdy

zbiegaliśmy po schodach. Zbiegaliśmy nazbyt głośno, wesoło, chyżo, jakby nie było tych wszystkich lat, które minęły od szkolnych czasów. Jakby Czesio nie był byłym księdzem, a ja – człowiekiem z osmoloną drzazgą w sercu, który prócz talentu aktorskiego posiada zdolność do popadania w kłopoty.

Pokonując kolejne stopnie schodów, powtarzałem w myślach prośbę skierowaną do nie wiadomo kogo: niech dzień, który właśnie się zaczął, oszczędzi mi nowych problemów. Czasem tak bardzo chciałoby się usłyszeć głos z góry: „Masz to załatwione, stary!”.

Nie przyznałem się przed gośćmi, do jakich celów miał posłużyć królik. Zresztą Ołena ani nie myślała go wypuścić z rąk. Czułem, że mamy nowego domownika, kolejną gębę do wykarmienia. I co z tego, że tylko zieleniną. Na szczęście nie wracaliśmy już do mojej porannej wyprawy ani tego, że zdziwiłem się, iż mam w domu zapasy, które wystarczyłyby nawet w przypadku najazdu Mongołów.

– Pospiesz się – sapał co chwila Bielawny. – Już jesteśmy spóźnieni...

Nijak tego nie skomentowałem. Nie wydawało mi się, żeby nagle przed fotoplastikonem miała ustawić się kolejka klientów. No, chyba że się wydało, do jakich to facecji doszło w tym miejscu poprzedniego dnia. I ludzie, prócz fotek z dalekich krajów czy rozebranych pańienek, chcieli pielgrzymować do miejsca, gdzie wyzionął ducha oficer wrogiej, okupacyjnej armii. Oznaczałoby to oczywiście koniec interesu Czesia Bielawnego, a może i samego Czesia, bo w każdym tłumie można było się spodziewać konfidenta. A nawet należało.

Dwadzieścia minut później, nieźle zasapani, dotarliśmy na miejsce. Przed drzwiami fotoplastikonu nie było nikogo. Na podwórku, owszem, siedziało kilku starszych panów, bawiły się dzieci, jakaś kobieta wieszała pranie na sznurze. Nikt jednak nie przyglądał nam się podejrzliwie, nikt na nasz widok nie przerwał rozmowy w pół słowa, nie trącał się łokciami.

– I niech tak będzie dalej – mruknąłem pod nosem, podczas gdy Bielawny szarpał się z zamkiem w drzwiach.

– Co powiedziałaś? – zapytał niezbyt przytomnie.

– Że z pewnością zrobiłeś świetny interes.

– Dzisiaj się o tym przekonamy.

Wreszcie drzwi ustąpiły i weszliśmy do środka. Na podłogę upadła tabliczka z napisem NIECZYNNE, która wczoraj miała nas uchronić przed być może o wiele większymi kłopotami. Oby nie trzeba jej było wywieszać po raz kolejny.

Jeszcze chwila, a mieliśmy się znaleźć w głównym pomieszczeniu. Szczerze mówiąc, miałem wielką ochotę obejrzeć program polecany przez byłego właściciela. Dla prawdziwych mężczyzn. Najlepiej na koszt firmy. Nie wiem tylko, jak by to przyjął niedawny duchowny...

Naraz rozległ się trzask. Zdawało mi się, że ktoś potrącił i przewrócił krzesło.

– Jest tu kto? – zawołał Bielawny.

Szybko przekręciłem włącznik światła. W tej samej chwili jakiś cień czmychnął, kryjąc się za graniastosłupem fotoplastikonu.

– Kim pan jest?! – tym razem w głosie Czesia wyraźnie wyczułem gniew.

– Nie róbcie mi krzywdy... – dobiegł naszych uszu słaby męski głos.

O co chodzi? Czyżby ktoś się włamał do lokalu? Ale którądy? Przecież zamek w drzwiach był nienaruszony...

– Wyłaż – warknął właściciel.

Dopiero teraz dostrzegłem, że w rękach dzierży jakąś grubą lagę. Zaciśnięte na niej palce zbieleły, a twarz czerwieniała mu gniewem.

– No! – fuknął niczym wściekły byk.

Coś stuknęło za fotoplastikonem. Laga w rękach Czesia nieco się podniosła.

– Nie róbcie mi krzywdy – powtórzył tamten.

– Proszę wyjść – wtrąciłem się, a potem dodałem spokojnie: – Z naszej strony nic panu nie grozi.

Mój ton przyniósł pożądany skutek, bo oto po chwili naszym oczom okazał się młody mężczyzna. Jego szczupła budowa ciała natychmiast nasunęła mi jedno skojarzenie: uciekinier z getta. Ale jakim sposobem znalazł się w tym miejscu?

– Co pan tutaj robi? – Bielawny nie miał zamiaru snuć domysłów.

– Zamknęliście mnie.

– Co? – parsknęliśmy jednocześnie.

– Wczoraj wieczorem – uściślił i zaczął biadolić: – Ja nikomu nie

powiem, co tutaj się stało. Tylko nie zabijajcie mnie, panowie. Będę milczał jak grób, przysięgam na wszystkie świętości. Mam tylko dwadzieścia cztery lata, chcę żyć... – Złożył dłonie jak do modlitwy.

Tymi kilkoma zdaniem, które z siebie wyrzucił, zbił z pantałyku pewnego siebie i gotowego bronić swego dobra Czesława. Ściął go, jakby każde słowo było pociskiem wystrzelonym ze schmeissera, z biodra, jakby od niechcienia.

– Co pan opowiada... – jęknął Czesio.

– Byłem tutaj wczoraj, oglądałem zdjęcia. Gdy nagle ten Niemiec, który siedział tuż obok mnie, upadł, przestraszyłem się. Dlatego, korzystając z tego, że zrobiło się ciemno, wszedłem do środka przez takie małe drzwiczki. To wszystko. – Ruchem głowy wskazał na drewniane ustrojstwo, wciąż jeszcze uśpione.

Zauważyłem, ba!, usłyszałem nawet, jak z Bielawnego uchodzi powietrze. Gdy groźna drewniana laga stuknęła jednym końcem o podłogę, wiedziałem, że sytuacja jest wstępnie opanowana. Ot, człowiek, o którym myśleliśmy, że dał nogę tak jak pan Gnat i jego szef, Kosowski, a także ten chłopiek na gościnnych występach w Warszawie, co to chciał kobiecy cycek obejrzeć, coś innego niż wymię własnej żony...

Zdawałem sobie sprawę, że człowiek, który stał przed nami, wie dokładnie o wszystkim, co tu się wydarzyło. Może prócz tego, jaki los spotkał zwłoki Niemca. Choć tego na dobrą sprawę nie wiedzieliśmy i my. Należało być więc niezwykle ostrożnym, ważyć każde słowo i dokładnie wsłuchiwać się w to, co mówi.

– I przesiedział pan tutaj całą noc? – zapytałem.

– Tak.

– Dlaczego pan nie wyszedł, kiedy już było po wszystkim?

– Po prostu się bałem.

– Czego? Też jest pan Niemcem? – Czesław zdążył z kolejnym pytaniem przede mną.

Mężczyzna nie oburzył się ani nie parsknął śmiechem, jak pewnie wielu zrobiłoby na jego miejscu. Dla potwierdzenia, że mówi prawdę, sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki w jodełkę, nawet ładnej i niewyświechtanej, choć nieco teraz wymiętej, i wydobyl kenkartę.

Podał ją Bielawnemu.

– Lech Adamski – przeczytał Czesio, uniósł na chwilę wzrok na posiadacza dokumentu, w czym przypominał prawdziwego stójkowego. – Zamieszkały w Łodzi.

– Piotrkowska pięćdziesiąt dwa – uściślił uwolniony przez nas człowiek.

Właściciel fotoplastikonu oddał mu dokumenty.

– Nikomu nic nie powiem. Jak Boga kocham! – Adamski uderzył się pięścią w to samo miejsce, gdzie na powrót umieścił kenkartę.

– Dobrze. Wierzymy panu. Może pan już iść – rzekłem, wskazując na drzwi.

Lech Adamski nie ruszał się jednak z miejsca. Jakby bał się, że kłamię i gdy tylko stanie do nas plecami, któryś z nas strzeli w niego z pistoletu albo, jak w przypadku leutnanta Lothara Scholza, wbije mu pod łopatkę ostrze noża, cienkie, ale jakże skuteczne. Bez hałasu.

Dopiero po chwili okazało się, że to wcale nie ta obawa każe mu tu nadal stać. Stać i trząść się z przerażenia...

*

Niecały kwadrans później Czesio Bielawny pociągnął mnie za rękaw i rzekł:

– Chodź do kantorka.

Wstaliśmy z krzeseł. Adamski został na swoim, opuścił głowę i ukrył twarz w dłoniach. Nie dygotał już jak przed paroma chwilami. Można było podejrzewać, że nie ucieknie. Widać też było, że zrzucił z siebie wielki ciężar, przynajmniej na chwilę. Czemu akurat przy nas? Pytanie to nie dawało mi spokoju. Czułem jednak, że wkrótce poznam odpowiedź.

– Co o tym wszystkim myślisz? – zapytałem półgłosem, gdy znaleźliśmy się w dawnej kanciapie Kosowskiego.

Czesio wzruszył ramionami. Przez chwilę wodził wzrokiem po biurku, na którym zalegały jakieś szpargały, których zapomniał, nie zdążył albo po prostu nie chciał zabrać poprzedni właściciel

przybytku.

– Wygląda na to, że sprawa jest o wiele bardziej skomplikowana, niż z początku myśleliśmy – rzekł.

– Jeśli mówi prawdę.

– To już ty powinieneś ocenić, Antek. Jesteś stąd. To znaczy ja też jestem, ale długo mnie nie było. Pewnie słyszałeś o niejednej podobnej sprawie...

– Czyżbym wypowiadał ci się przez sen? – Zmarszczyłem brwi.

Ale miał rację. Znałem wiele historii o ludziach, których usiłowano wykupić z Pawiaka. Częstokroć przeznaczano na to oszczędności całego życia, a nawet kilku pokoleń, wyprzedawano resztki majątku, zadłużano się. Byle tylko ocalić życie bliskiego człowieka, zdążyć przed porankiem, kiedy drzwi celi się otworzą i ten czy ów pojedzie ciężarówką wraz z innymi nieszczęśnikami do Puszczy Kampinoskiej. Przekupywano przede wszystkim więziennych strażników – i to tych ważniejszych, którzy byli w mocy wyciągnąć więźnia z matni. O ile nie był bardzo potrzebny gdzie indziej, choćby w byłych budynkach ministerialnych na Szucha...

Tymczasem człowiek, który zaplątał się w naszym fotoplastikonie, zresztą niemal dosłownie, bo zerwał jakieś kabelki w środku, przez co nie wszystkie stanowiska działały, jak powinny, opowiedział nam nieco inną historię. Otóż spotkał się tutaj z porucznikiem Scholzem, aby przekazać mu okup za uwolnienie brata. Właściwie to chyba zadatek, bo marny tysiąc dolarów, które nam zresztą Adamski pokazał. Niestety, ktoś, choć wciąż nie wiedzieliśmy kto, przeszkodził im w tej ważnej transakcji. Zabijając niemieckiego oficera, być może skazał na śmierć innego człowieka...

– Czy on w ogóle rozmawiał z tym Niemcem? – zapytał Czesio po dłuższej chwili.

– Nie wiem. Nie przyglądałem się specjalnie – odrzekłem.

– Ale siedzieli obok siebie?

– Wydaje mi się, że tak.

– Byłeś tu przecież!

– Ty też.

Ujął brodę w dwa palce, opuścił głowę, zafrasował się. Jakby

właśnie penitent opowiedział mu w konfesjonale o ciężkich grzechach, które ma na sumieniu. Wtedy Czesio mógł „skazać” takiego człowieka, nawet nieznanego, na kilka, może kilkadziesiąt zdrowasiek czy *Ojcie Nasz*, a o sprawie zapomnieć zaraz po powrocie na plebanię.

Teraz jednak było inaczej: w sąsiednim pomieszczeniu siedział osobnik z problemem. Sam był zresztą problemem. Dla nas. Doskonale zdawał sobie z tego sprawę, a być może nawet żałował, że pokazał nam te zielone banknoty. Znałem osobiście takich, którzy poderznęliby mu gardło od ucha do ucha za jeden procent tej kwoty.

Czesław Bielawny plasnął otwartą dłońią o blat stołu. Niezbyt silnie, ale świadomy swej siły. Wyglądał jak wielki wódz nad mapą przyszłego pola bitwy, z którego następnego ranka miał zamiar zmieść armię przeciwników niczym suche okruchy chleba.

– Musisz mu pomóc. – Spojrzał na mnie.

Przyznam, zatkało mnie. Ale na szczęście nie dałem tego po sobie poznać.

– Chyba musimy – sprostowałem, zupełnie tak samo jak Franek Bela wczoraj, choć chyba z odrobinę większą mocą.

*

Lech Adamski. Imię dano mu po pierwszym, jak stało w podaniach i legendach, polskim władcy, nazwisko zaś wiązało go z pierwszym, tak przynajmniej twierdziły mądre chrześcijańskie księgi, człowiekiem. I pewnie też po raz pierwszy osobnik ów został postawiony wobec takiej sytuacji: musiał osobiście wykupić rodzzonego, w dodatku młodszego o dwa lata brata z Pawiaka.

Wciąż chciał to zrobić, co było jak najbardziej zrozumiałe, choć naszą propozycję pomocy przyjął z pewnym wahaniem. I z obawą. Jeśli nie ze strachem.

– Ale przecież... Ten Niemiec... – zaczął dukać.

– On już nikomu nie pomoże – uciąłem. – Nawet sobie. Jeśli pan chce, może się pan modlić o spokój jego duszy. Pewnie nie był taki zły, skoro zdecydował się pomóc, co?

– Za pieniądze – zauważył mężczyzna.

– Takie już jest prawo wojny. Każdy chce się wzbogacić, choć nie każdy potrafi otwarcie grabić i rabować po domach. A co? Nagle się panu zrobiło żal tego tysiąca?

Spojrzał na mnie trochę koso, a trochę jak człowiek niesłusznie oskarżony o jakieś ciężkie przewiny.

– Nie. Skąd... – bąknął, by zaraz dodać: – Mam tylko nadzieję, że to wystarczy...

Tego akurat nie wiedziałem. Było jasne, że to nie ja ani Czesio Bielawny pójdziemy na Pawią, zaczaiemy się pod murem i wyciągniemy zza niego młodego Adamskiego. Prawdę mówiąc, nie miałem nawet pojęcia, jak się do tego zabrać.

Pewne w tym wszystkim było jedno: że nie stracimy z oczu Lecha, a dzięki temu nie narazimy się na to, że ktoś dowie się o wczorajszej historii. Co prawda mógł w nocy zadzwonić gdzie trzeba z kanciapy, którą zostawiliśmy otwartą, ale wtedy już dawno obaj bylibyśmy pod innym adresem.

Tymczasem ja i Lech jechaliśmy tramwajem, podczas gdy Czesio został w swojej firmie. Nawet zresztą rad, bo w drzwiach fotoplastikonu minęliśmy się z dwoma klientami. Nie wyglądali na takich, których należałoby się bać.

– Proszę mi coś więcej powiedzieć – podjąłem po chwili. – Dlaczego akurat Lothar Scholz miał wam pomóc?

– Powiem. Wszystko panu opowiem. Ale chciałbym najpierw coś zjeść...

Ech, nawet o tym nie pomyślałem. Zrobiło mi się szkoda tego człowieka. Z tego, co powiedział, był prawie moim rówieśnikiem. Oczywiście musiałem dowiedzieć się więcej, ale to mogło jeszcze poczekać. Sam zresztą zacząłem już czuć lekkie ssanie w żołądku.

– Jasne. Zaraz coś zjemy – powiedziałem.

Nie chciałem jechać do domu. I to wcale nie dlatego, że znów mi się wydawało, że nie ma tam zupełnie nic do jedzenia. Po pierwsze, nie zamierzałem zdradzić obcemu, jakby nie było, człowiekowi, gdzie mieszkam. Po drugie zaś, aby nie denerwować Ołeny, a przede wszystkim nie musieć odpowiadać na jej pytania. A tych taka cicha

i nieśmiała z początku Rusinka miała coraz więcej.

Czy Bielawny zrobi, jak obiecał, czyli zacznie dzisiaj szukać mieszkania? – przeszło mi przez myśl.

Chwilę później siedzieliśmy w restauracji „U Grzędzika” przy Żurawiej. Znałem ją słabo; ostatnio w ogóle nie zaglądałem do takich lokali. Ale wywarła na mnie dobre wrażenie. Mimo pory obiadowej nie było wielkiego tłumu. Ot, kilku kombinatorów, jacyś przyjezdni.

Zajęliśmy jeden ze stolików, od razu zjawił się kelner. Wystarczyło jednak rzucić okiem na kartę dań, by utwierdzić się w przekonaniu, że to nie dla nas zabawa. Z drugiej strony z jakichś powodów nie chciałem się przyznawać Adamskiemu, że cienko przędę. Pieniądze zrabowane trupowi Niemca przez Franka zostały w domu.

– Polecam sznycel cielęcy – odpowiedział z uśmiechem ober.

Szybko znalazłem wspomniane danie. Kosztowało dokładnie tyle, ile miałem przy sobie.

– Wolalbym coś innego – bąknąłem.

– A ja poprosiłbym o sznycel – odezwał się Adamski, po czym spojrzał na mnie. – Panu też polecam. To specjalność zakładu, mam rację? – uśmiechnął się do stojącego nad nami mężczyzny, który gorliwie potwierdził:

– Oczywiście.

– Ja zapraszam – dodał Lech.

– Czyli będzie dwa razy. Z ziemniaczkami. – Kelner skrobał ołówkiem po karteczce.

Nie spodziewałem się tego. Z drugiej strony to przecież Adamski był przy kasie, choć pewnie nie będzie płacił w twardej walucie. Nadal zresztą pozostawał w pozycji petenta: starał się wyciągnąć brata z za krat i teraz ja miałem mu w tym pomóc.

– Był pan tu kiedykolwiek? – zapytałem, żeby jakoś zneutralizować ciszę, która zaległa, gdy kelner odszedł.

– Jestem pierwszy raz – odpowiedział; zupełnie nie przypominał tego przestraszonego człowieka, którego przed nieco ponad godziną znaleźliśmy z Czesiem w fotoplastikonie.

Nagle przy naszym stoliku pojawił się jakiś niepozorny człowieczek. Nie pytając o zgodę, odsunął krzesło i dosiadł się. Ani ja, ani Adamski

nie zdążyliśmy zareagować. Gość pochylił się nisko nad blatem.

– Panowie, jest sprawa – odezwał się wreszcie szeptem.

W pierwszym odruchu chciałem go przegnać, skojarzył mi się bowiem jednoznacznie z jakimś szmalcownikiem czy kombinatorem. Pewnie miał do sprzedania pożydowskie złoto.

– Panie! – fuknąłem gniewnie.

Ale tylko tyle zdążyłem powiedzieć, ponieważ Adamski machnął ręką, jakby przeganiał mi sprzed nosa natrętną muchę.

– Niech pan mówi – rzekł do nieznajomego.

– Przysiadłem się, ponieważ szukam kontaktu – zaczął tamten. – A panowie, przepraszam, ale to od razu widać, że działacie w konspiracji.

Żaden z nas nie zaprzeczył. Natręt uznał to za zgodę, by mógł wyłuszczyć sprawę.

– Moje nazwisko Kulawczyk, jestem doktorem chemii i byłem wykładowcą na naszej politechnice. Co prawda uczelnia wznowiła działalność pół roku temu, jak pewnie słyszeliście, ale ja nie chcę tam wracać. Wiem, że jestem potrzebny gdzie indziej.

– Niby gdzie? – zapytałem trochę lekceważąco.

Jeszcze bardziej zniżył głowę nad stolikiem.

– W walce – szepnął.

Adamski wyglądał na naprawdę zainteresowanego tym, co mówi doktor Kulawczyk. Co więcej, nie prostował oczywistej, w mojej ocenie, pomyłki, bo przecie żadnymi członkami podziemnych organizacji wojskowych nie byliśmy. Przynajmniej ja. Przynajmniej teraz...

– Dlatego chciałbym prosić – ciągnął naukowiec – o możliwość dotarcia do waszego dowództwa. Już mówię dlaczego. Otóż, panowie podchorążowie, co ja mówię... panowie oficerowie! Otóż w wyniku wielomiesięcznych eksperymentów i badań wynalazłem zupełnie nową, cudowną broń. Jestem przekonany, że doskonale sprawdziłaby się w walce, którą prowadzicie...

– A pan dalej swoje – usłyszeliśmy głos naszego kelnera. – Proszę nie przeszkadzać klientom, panie Kulawczyk. To jest porządny lokal.

Naukowiec, który do tej pory drżał jedynie przed szefem katedry,

dziekanem i rektorem, struchlał. Błyskawicznie podniósł się z krzeselka i drobiąc kroki, wrócił do swego stolika, który stał kilka metrów dalej, w kąci.

– Wariat – skwitował kelner, stawiając przed nami talerze; sznycel wyglądał apetycznie i parował. – Wciąż tu siedzi, ludzi zaczepia. Ale przecież nie wygonię jak psa, bo pieniądze ma. Nie chcę nawet wiedzieć skąd...

Odszedł. Zaczęliśmy jeść w milczeniu. Co raz spoglądałem jednak na szalonego naukowca. Kulawczyk zapisywał coś na papierowych serwetkach. Kto wie, może były to symbole chemiczne, które miały przechylić szalę zwycięstwa na naszą stronę.

– Proszę mi opowiedzieć, co się właściwie stało z pańskim bratem i jak dotarł pan do Lothara Scholza – podjąłem przerwana rozmowę.

Lech Adamski skrzywił się, jakby jego zęby natrafiły na jakąś nieprzyjemną chrząstkę. Chwilę jeszcze przeżuwał kawałek sznycla, wreszcie przełknął. Z uwagą odłożył sztucę na brzeg talerza, spojrzał asekuracyjnie na boki.

– Wyjechał z domu jakieś dwa tygodnie temu – zaczął. – Miał w Warszawie sprzedać rodzinne pamiątki po naszej ciotce, która umarła na wiosnę. U was zawsze łatwiej załatwić takie sprawy, wiadomo: stolica!

– Różnie z tym jest – wtrąciłem niegłośnie.

– Wiem, co mówię. Niestety, wszedł nie w tę ulicę, co trzeba. Zgarnęli go w łapance. Udało mu się tylko przesłać gryps, że jest na Pawiaku. A Scholz? Jego ojciec miał przed laty niewielką fabryczkę w Łodzi. Zналиśmy się, choć niezbyt dobrze. Jakoś udało mi się dotrzeć do Lothara, który tu stacjonuje... To znaczy stacjonował.

Przerwał, opuścił głowę. Wziął do ręki widelec, ale tylko pogrzebał nim w talerzu.

– Leutnant Scholz miał ponoć znajomości wśród strażników. Albo znał kogoś, kto ma. Nieważne. Ważne było, że zgodził się pomóc. A teraz... Teraz wszystko stracone – westchnął ciężko.

Nie wiedziałem, jak na to zareagować. Byłem raczej kiepskim pocieszycielem. To Bielawny powinien być w tej chwili na moim miejscu, bajdurzyć o życiu wiecznym, niebieskich łąkach czy temu

podobnych farmazonach.

W pewnej chwili do „Grzędzika” weszła jakaś para. Na faceta nie zwróciłem większej uwagi, ale kobieta, która mu towarzyszyła, bardzo przypominała mi Izabelę, moją młodzieńczą miłość, którą poznałem na poczcie w Zakopanem, jeszcze przed wojną, a już po maturze.

Izabela była niedoszłą aktorką i jakiś czas temu uchroniłem ją przed niechybną śmiercią. Została skazana przez polski sąd podziemny za zbyt zażyłe kontakty z pewnym niemieckim oficerem. Kosztowało mnie to co prawda podejrzenie, że sam jestem gestapowską wtyczką, i kilka miesięcy banicji, ale dziewczyna przeżyła, choć od dawna nie mieliśmy kontaktu. Mogli jej ogolić głowę jak innym, które robiły to samo. Ale zabijać?! Nie, ani przez chwilę nie żałowałem tamtej decyzji, jednego gestu, który zmienił trajektorię lotu pocisku.

Raptem zmroziła mnie myśl: czy tamten oficer nie miał aby na imię Lothar? Niby nie jednemu psu na imię Burek, a wtedy, gdy widziałem Izabelę z Niemcem, nie przyjrzałem mu się zbyt dokładnie. Zresztą pewnie i tak nic bym nie pamiętał, bo minęło już kilka lat. Teraz też nie za bardzo chciałem przypatrywać się nieboszczykowi.

Dokończyliśmy w milczeniu obiad, a Lech Adamski, tak jak obiecał, uregulował rachunek. Przeciętna rodzina żyłaby za nasz obiadek przez tydzień albo i dłużej.

– Chyba jeszcze uda mi się złapać pociąg do Łodzi. – Zadarł mankiet koszuli i spojrzał wymownie na zegarek. – Rodzice na pewno się martwią. Nie chcieliby stracić drugiego syna. Matka ma kłopoty z krążeniem ...

Nie powiem, bardzo mi to pasowało. Nie, nie choroba jego matki, ale to, że planował stąd wybyć.

– Ale odezwę się na pewno – powiedział jeszcze, gdy ponownie znaleźliśmy się na Żurawiej. – Może nawet jutro.

– Najlepiej będzie chyba przez fotoplastikon – asekuracyjnie ni to zapytałem, ni to stwierdziłem.

Wołałem tak, bo a nuż zażądałby mojego adresu, czego wciąż się obawiałem. W tej samej chwili postanowiłem, że o pomoc w tej

sprawie ponownie zwrócę się do Franka Beli. To była jednak solidna firma. Wielokrotnie się o tym przekonałem.

Właściwie w tym momencie mogło, a nawet powinno nastąpić nasze pożegnanie z Lechem Adamskim. Uścisnęlibyśmy sobie dłonie jak starzy znajomi, wszak mieliśmy już za sobą i obiad, i morderstwo. Ale jakoś dalej szliśmy ramię w ramię: on, jak zapowiedział, zmierzał na Dworzec Główny, by pojechać do rodzinnej Łodzi, mnie, póki co, było z nim po drodze, ponieważ nie zamierzałem wracać do fotoplastikonu, tylko skierować kroki do domu.

Wydawał mi się nawet sympatyczny. Na pewno też nie zabrakłoby nam tematów na miłą pogawędkę, nawet jeśli byłyby to tylko żarty ze zwariowanego chemika-wynalazcy, doktora Kulawczyka, bo jakoś nie zdążyliśmy jeszcze wymienić uwag na ten temat.

Ale Adamskiemu chyba nie było do śmiechu. Sadził wielkie kroki, ręce trzymał w kieszeniach spodni, wzrok miał wbity w chodnik. Był pochłonięty myślami i pewnie większość z nich miała czarny kolor. Nie dziwota, chłopina miał przecież za sobą noc, której nie spędził w łóżku, przede wszystkim jednak toczyły go pierepałki nie do pozazdroszczenia. Ja na jego miejscu pewnie bym oka nie zmrużył.

Dlatego postanowiłem go jakoś pocieszyć.

– Pamięta pan tego człowieka, który zajął się zwłokami? – zapytałem.

– Nie pamiętam – warknął, nie patrząc na mnie. – Podejrzewam, że właśnie taką odpowiedź chciał pan ode mnie usłyszeć. Nie mylę się?

Zrobiło mi się trochę głupio, ale facet miał rację. Nikogo nie widział, nic nie słyszał, nie znał żadnych nazwisk. Tak, właśnie tego oczekiwaliśmy. Ale i on chciał też czegoś od nas.

– Chciałem tylko powiedzieć, że ten człowiek może panu pomóc. Zna wielu ludzi. Zwrócimy się do niego jeszcze dzisiaj.

– Cieszę się. Kontakt przez fotoplastikon. Dobrze zapamiętałem?

Drażnił się ze mną. Na szczęście do skrzyżowania Marszałkowskiej z Alejami Jerozolimskimi, gdzie znajdował się dworzec, było już naprawdę blisko.

W pewnej chwili zauważyłem, że rozwiązała mi się sznurówka. Wielu nie zawracałoby sobie taką bzdurą głowy. Mnie jednak zawsze

uczono, żeby nie chodzić z butem w takim stanie, bo można zęby stracić.

– Przepraszam – rzekłem do towarzysza, bo mimo tylu lat niewoli i upodlenia, w których przyszło nam żyć, coś tam w człowieku z tej kindersztuby zostało.

Zatrzymałem się i przyklęknąłem, aby możliwie szybko zawiązać zgrabną kokardkę. Adamski szedł jednak dalej. Może nie zauważył mojego zniknięcia, nie dosłyszał tego, co powiedziałem, albo po prostu sądził, że chcę się ulotnić.

Zacząłem wiązać. Ledwo jednak pociągnąłem mocniej, sznurówka pękła. Wiedziałem, że jest przetarta, ale wciąż odwlekałem moment wymiany. Teraz to się zemściło.

– Cholera.

Nie było jednak tak źle: po przeciągnięciu dłuższej części sznurówki dało się zawiązać but. Wymagało to jednak chwili wysiłku i dokładności.

Spojrzałem przed siebie. Lech Adamski właśnie zniknął za rogiem ulicy. Może kiedyś, może do kogo innego zawołałabym, żeby się zatrzymał. Ale nie znajdowałem się na pustyni, nikt mnie nie zostawiał na pastwę losu.

Nagle zza tego samego rogu, za którym zniknął Adamski, wyprysnęła drobna postać. Zaczęła pruć prosto na mnie. Po chwili ujrzałem przerażone oczy jakiegoś chłopaka. Może miał dwanaście lat, a może czternaście.

– Biorą! – rzucił krótkie, złowróżbne, ale jakże znane w tym mieście słowo.

Wpadliśmy do najbliższej bramy. Zamknąłem drzwi i zablokowałem je trzonkiem grabi zapomnianych przez stróża, na nasze szczęście. Chłopak dyszał ciężko, niemal popiskiwał. Wpatrywaliśmy się w siebie, jednocześnie bacznie nasłuchując. Po chwili rozległ się tupot kilku par ciężkich buciorów. Jeden kopnął w drzwi, ale, o dziwo, nic poza tym. Kilka sekund później wszystko ucichło.

Żadnych krzyków, żadnych syren ani warkotu samochodów. Mało brakowało. A przecież wydawało mi się, że nic nie jest już mnie

w stanie zaskoczyć w tym mieście.

– Dużo ludzi zabrali? – zapytałem swego wybawcę, choć właściwie on mógł to samo powiedzieć o mnie.

– Nie mam pojęcia. Nie patrzyłem. Wiedziałem tylko, że to nie mogę być ja. Matka by tego nie przeżyła – odpowiedział rezolutnie.

– Zawsze o niej myśl. – Położyłem mu dłoń na ramieniu.

Czy Lech Adamski wpadł w kocioł, a może jednak udało mu się, tak jak nam, skręcić w ostatniej chwili w jakąś bramę? – zastanawiałem się.

Oczywiste było, że nie wyjdę stąd, żeby to sprawdzić. Że nie ruszę się, dopóki nie zobaczę na ulicy spokojnie idących ludzi. Jednocześnie błogosławiłem ów pamiętający chyba jeszcze szkolne czasy kawałek sznurka w bucie. Bo to przecież on wspólnie z tym chłopakiem tak naprawdę uratowali mi życie...

Rozdział drugi

(1943)

Proces utraty wiary Czesława Bielawnego, byłego księdza, proboszcza parafii w Chołoniewiczach na Kresach, postępował w zatrważającym tempie. Gdy bowiem tego samego dnia wieczorem spotkaliśmy się w moim mieszkaniu i opowiedziałem o tym, co najprawdopodobniej spotkało Lecha Adamskiego, tylko gwizdnął, prychnął, a na koniec rozłożył szeroko ręce. Szerzej niżby to czynił w pewnym punkcie mszy świętej.

– Nie on pierwszy, nie ostatni – rzekł.

Nie, nie tego się po nim spodziewałem.

– Jak możesz tak mówić, Czesiek... – rzekłem z przyganą.

Uniósł wysoko swoje krzaczaste brwi, jakby się czemuś bardzo zdziwił.

– Coś źle powiedziałem? – bąknął dziwnie wysokim głosem.

– Przecież znałeś tego człowieka.

– Tyle co nic. On nas zresztą też. Ot, zwykle minięcie się na ulicy albo w parku, dwa miejsca obok siebie w tramwaju, kolejka w sklepie. Nic więcej, drogi przyjacielu. Nic więcej. A czemu tak mówię? Jestem tu zaledwie kilkadziesiąt godzin, ale to, co zobaczyłem, wystarczyło, żeby skóra mi zgrubiała o dobre pół centymetra. Jeszcze się trochę napatrzę na dzieci śpiewające po ulicach, a z drugiej strony ciastka w witrynach cukierni, a będzie taka jak u słonia. Albo nosorożca.

– Co to jest nosorożec? – zapytała Ołena.

Nawet nie zauważyliśmy, że stoi w drzwiach kuchni i przysłuchuje się naszej rozmowie. Na szczęście nie zdążyliśmy się pokłócić, bo i nie

wiadomo, do czego by doprowadziła ta wymiana zdań. Ja byłem naprawdę poruszony tym, co się stało – choć widziałem już przecież niejedno. Człowiek wpadł. Może nawet już nie żył, bo a nuż spróbował ucieczki. Widziałem taki obrazek na własne oczy, gdy sam stałem z podniesionymi rękami, a ciężarówki już czekały.

– Takie zwierzątko – uśmiechnął się Czesio, po czym klepnął dłonią w udo.

Ołena, również jak zwierzątko, usiadła na kolanie swego byłego chlebodawcy i siarczyście pocałowała go w policzek. Po czym oboje spojrzeli na mnie, jakbym był sędzią w konkursie na najgłośniejszego całusa. Tylko się uśmiechnąłem, dla spokoju.

– Idź, odpocznij – powiedział do niej po chwili wielebny.

Gdy wyszła, dokończyliśmy rozmowę.

– Jeśli rzeczywiście go wzięli, być może spotka się z bratem – podjął Bielawny.

– Ty jak coś powiesz! – prychnąłem.

– Wiem, to naiwne, co mówię, ale trzeba szukać dobrych stron. Miał przy sobie niezłe pieniądze...

– Więc od razu wzięli go za waluciarza.

– Ale też mógł się wykupić. Może nawet na miejscu, kto wie. Zależy na kogo trafił. A może nawet wystarczyło na dwóch Adamskich...

Bredził jak połamany, jakbyśmy powiedzieli w nieodległych szkolnych czasach. Nie miałem jednak zamiaru wyprowadzać go z błędu. W ogóle odechciało mi się z nim rozmawiać. Może było, jak mówił, że skóra mu zgrubiała. Ale też naiwny był jak dziecko.

Tymczasem on najwyraźniej się rozkręcał; mogło się wydawać, że opowiada o filmie, który kilka godzin wcześniej obejrzał w kinie z wypiekami na twarzy, nie zaś o tym, co wydarzyło się naprawdę i stało się udziałem żywych – oby jak najdłużej – ludzi.

– A jeśli Adamskiemu nic się nie stało i odezwie się w ciągu kilku dni, postaramy się mu pomóc, tak jak obiecaliśmy. – Znacząco otrzepał dłonie.

Jedyne, czego się nauczyłeś, przyjacielu, to to, że w koniugacji jest również liczba mnoga – zauważyłem w duchu.

– Tak zrobimy – zakończyłem dla świętego spokoju.

Nie odzywaliśmy się do siebie do końca dnia. Bielawny nie wspominał, czy znalazł jakieś mieszkanie. Pewnie nie, bo niby kiedy miałby się tym zająć, skoro przez cały dzień pilnował nowego interesu. Nie powiedział też nic na ten temat, nie pochwalił się, ilu miał klientów, ani nie pożałił, że miał nadzieję, iż będzie ich jednak więcej. Po dziesiątej wieczorem wszyscy włącznie z królikiem położyliśmy się spać.

Ledwo zgasilem światło, straszna prawda zmroziła mnie od pięt po uszy. A co będzie, jeśli Lech Adamski opowie na Pawiaku o tym, co się wydarzyło w fotoplastikonie? Mógł to przecież zrobić – i to co najmniej z kilku powodów. Na przykład żeby spróbować wykupić się tą ceną, jakby nie było, wiadomością. Albo po prostu ze strachu, bo przecie Polak złapany na ulicy musiał mieć coś na sumieniu...

Muszę natychmiast wstać i powiedzieć o tym Bielawnemu – pomyślałem.

Jednak tego nie zrobiłem. Mimo zmartwienia zmorzył mnie sen.

*

Następnym dniem była sobota. Wstałem około ósmej. Drzwi do pokoju, gdzie rozgościli się na dobre Bielawny i Ołena, były zamknięte. Chwilę nasłuchiwałem, ale nie udało mi się złowić żadnego, najcichszego nawet dźwięku.

Może się wyprowadzili bladym świtem? – pomyślałem z nadzieją.

Zacząłem przygotowywać śniadanie; ukroiłem dwie kromki chleba, który wczoraj upiekła dziewczyna. Posmarowałem konfiturą, którą usmażyła i zamknęła w słoiku Alina. Talerzyk postawiłem na serwetce, którą w czerwone kwiatki wyhaftowała moja nieodżałowana mama. Ech, tyle dobrego pozostawiały nam po sobie kobiety, wychodząc na chwilę albo na zawsze. A my? Mężczyźni? Potrafiliśmy tylko wpadać w coraz to nowe dołki...

Bielawny wszedł do kuchni, drapiąc się po brzuchu.

– Dzień dobry – mruknął.

Skinąłem tylko głową, usta miałem bowiem pełne chlebowego

ciasta wymieszanego z wiśniami, których cierpkość miała zneutralizować dulcyna, najnowsza namiastka cukru. Gdy Sieradzka przygotowywała konfitury, nie ukrywała, że to eksperyment. Dzisiaj dopiero mogłem stwierdzić, że udany.

– Jakie masz plany na sobotę? – zapytał Czesio.

– Nie są wielkie ani zbyt ambitne – odrzekłem zgodnie z prawdą. – Myślę, że zejdę na dół, wymienię ukłony z Wasiakiem i będę miał fajrant. Może przejdę się do miasta i spróbuję nie dać się złapać ani zastrzelić na miejscu. A ty?

– Idę do fotoplastikonu – odpowiedział z powagą, jeśli nie godnością.

No to opowiedziałem mu o Lechu Adamskim i podejrzeniach, jakie miałem. Co dziwne, obraz ten nie wydawał mi się już tak czarny jak przed kilkoma godzinami. Mimo to jednak uważałem za stosowne podzielić się z przyjacielem swymi obawami. Myślałem, że machnie na to ręką, jak na wiele rzeczy i nie tylko rzeczy, bo na nieszczęśnika Adamskiego też. Ale on się przejął.

– To jest możliwe, cholera. – Potarł dłonią szorstki policzek.

– I co zamierzasz? – chciałem wiedzieć.

– Zaczaję się w pobliżu i poczekam, popatrzę. Tam, zdaje się, jest taka nieduża knajpka po drugiej stronie ulicy, prawda?

– Chyba tak.

– No, to będą we mnie mieli stałego klienta. Szkoda tylko ludzi, którzy przyjdą obejrzeć sobie obrazki zza morza – mruknął.

Gdzie jest ten wczorajszy cynik? – chciałem zapytać.

Dokończyłem śniadanie. Gdy wstałem od stołu, Czesio rzekł, patrząc nieprzytomnym wzrokiem, jakbym nagle stał się przezroczysty:

– I może poszukam dziś jakiegoś mieszkania.

*

Wyszedłszy z bramy na Jasną, usłyszałem tęskny dźwięk skrzypiec. Pod spalonym gmachem Filharmonii stało dwóch mężczyzn: jeden z nich miał w rękach skrzypce właśnie, drugi zaś, nie byłem zbyt

dobrym znawcą, ale chyba altówkę. Nie potrafiłbym też podać ani nazwiska kompozytora utworu, który wykonywali, ani tym bardziej tytułu. Brzęknęła rzucona z okna kamienicy moneta. Być może to sam Czesio rzucił datek. Po tym, jak zareagował wczoraj na ślepego skrzypka i śpiewającą dziewczynkę, można się było tego spodziewać...

Ruszyłem w kierunku Świętokrzyskiej. Zgodnie z tym, co powiedziałem, nie miałem sprecyzowanych planów.

Na Świętokrzyskiej moją uwagę zwróciła dorożka, a raczej jej pasażerowie: była to młoda para. Ona w białej sukni, choć bez trenu i z wielu względów skromniejszej niż przed wojną, on w czarnym garniturze i muszce, bez nakrycia głowy. Roześmiani, radośni, byli chyba jeszcze przed ślubem; odprowadziłem dryndę wzrokiem, póki nie skręciła w lewo, musiała więc zmierzać do jednego z kościołów na Krakowskim Przedmieściu, Świętego Krzyża albo Wizytek.

Mimo łapanek, wywózek i terroru, którego solidną porcję każdego dnia serwował miastu doktor Ludwig Fischer, życie toczyło się dalej. Ludzie pobierali się, urządzali, zdobywali jedzenie i meble. Jakoś starano się wiązać koniec z końcem. Z zazdrością myślałem o ojcu, któremu udało się na nowo ułożyć życie z Aliną, i o Baczyńskim, chociaż, jak sam powiedział, jego żona Barbara darła codziennie koty z jego matką...

– Dzień dobry – usłyszałem, mijając Prudential na rogu placu Napoleona.

– Dzień dobry – odpowiedziałem machinalnie, choć grzecznie.

Dopiero po chwili uniosłem wzrok, który od kilku chwil potrzebny mi był tylko do liczenia płyt chodnikowych, co często robiłem, gdy dopadała mnie melancholia. Wystarczyło, bym się zorientował, że minęło mnie dwóch mężczyzn.

Dopiero w tym momencie, dużo poniewczasie, zacząłem się zastanawiać, czy w wypowiedzianych słowach pozdrowienia nie było nutki zaczepki. Bo przecież, mimo wszystkich wspomnianych okupacyjnych „przyjemności”, wciąż można było w naszej ukochanej Warszawie dostać ot tak, po prostu po ryju. Nawet tu, w samym centrum.

Jednak zamiast przyspieszyć, zwolniłem kroku. Odwróciłem się.

Pech chciał, że spoglądałem pod słońce, a to świeciło dziś wyjątkowo ostro. Na szczęście ktoś, choć jeszcze nie wiedziałem, kto to był, ułatwił mi zadanie.

– Antek? – zapytał.

Nie poznałem głosu. „Zasalutowałem Churchillowi”, czyli zrobiłem daszek z dłoni, osłaniając oczy przed ostrym światłem.

– Poznajesz mnie? – drażył tamten, zbliżając się powoli.

Wreszcie jego wysoki cień przysłonił słońce.

– Władek? – wyrwało mi się z gardła. – Władek Michalski?

Potwierdzeniem był gest, który wykonał: szerokie rozwarcie ramion, w które po chwili wpadłem. Władek Michalski, najwyższy z naszej szkolnej paczki od Batorego i najbardziej wysportowany, był mistrzem szkoły w pchnięciu kulą. Łączyło nas także to, że obaj, w odróżnieniu od reszty, nie paliliśmy papierosów. Po maturze los zetknął nas jeszcze dwa razy: w Toruniu, gdzie Władek zadawał szyku jako podchorąży w szkole artylerii, a potem we wrześniu 1939 roku, kiedy w popłochu uciekałem wraz z tysiącami ludzi na wschód, on zaś dowodził niewielkim posterunkiem, o którym wszyscy już chyba zapomnieli.

– Nic się nie zmieniłeś, brachu. – Klepnął mnie oburącz w ramiona, trochę silniej niżby to uczynił krawiec biorący miarę.

– Ty również – zrewanżowałem się, choć nie była to prawda: Władek zmizerniał; mogłem iść o zakład, że nie tylko nie cisnąłby kulą najdalej ze wszystkich, ale miałby nawet spory ambaras z jej uniesieniem.

– Dziękuję za komplement, ale mam w domu lustro – zaśmiał się, potwierdzając moje spostrzeżenia. – Poznaj, to mój druh serdeczny, Jacek.

Wskazał na niższego niemal o pół głowy, za to pewnie kilka lat starszego od nas faceta w samodziiałowej marynarce i pumpach.

– Miło mi, Antek. – Uścisnąłem wyciągniętą dłoń, po czym znów nie wiadomo właściwie dlaczego, pewnie przypomniały mi się szkolne lata, zwróciłem się do Michalskiego tradycyjnym Mickiewiczem: – Skąd Litwini wracają?

– A z Zachodniego – odparł bez mrugnięcia okiem Władek. –

Ważniejsze, dokąd Litwini zmierzają. A zmierzają na ślub, drogi panie. Na ślub! – powtórzył z dumą.

Przypomniałem sobie tę dryndę z parą młodą jadącą Świętokrzyską. Pewnie już była przed kościołem. Czy to na ten sam ślub planowali dotrzeć także Władek i Jacek? W chwili, gdy zadałem sobie w myślach to pytanie, były kulomiot załamał ręce.

– Niebo nam cię zsyła, Antku drogi – rzekł. – Jak mówiłem, przed chwilą przyjechaliśmy do miasta, całą noc tarabaniliśmy się osobowym, a do uroczystości jeszcze kawałek czasu, bo zaczyna się dopiero wpół do pierwszej. Niby się tutaj urodziłem, tyle lat mieszkałem, a teraz nigdzie trafić nie mogę.

– Gdzie ten ślub? – zapytałem.

– W kościele świętego Aleksandra – odpowiedział milczący dotąd Jacek.

– Wiem, gdzie jest plac Trzech Krzyży – zachnął się Michalski. – Chodzi o to, żeby gdzieś usiąść, odpocząć, coś przekąsić i, nie ukrywam, także wypić co nieco dla kurażu. Wiesz, jak się łatwo wzruszam na ślubach. – Mrugnął do mnie szelmowsko.

Wszystko było jasne. Należało zaprowadzić miłych gości w jakieś spokojne miejsce, gdzie mogliby nabrać sił. Nie powiem, w pierwszej chwili pomyślałem, żeby zabrać ich po prostu na Jasną. To by się Bielawny zdziwił, gdybym mu przyprowadził następnego kolegę z klasy. Ale potem szybko odpędziłem od siebie tę myśl. Nie, dosyć gości, choćby najmilszych. Poza tym panowie chcieli pić, jak sądziłem, wódkę, a pod swym dachem miałem ciężarną.

– Chyba mam pewien pomysł – powiedziałem.

Najbliżej było do Wróbla na Mazowieckiej. Tam się też udaliśmy, gaworząc miło, oczywiście głównie z Władkiem, gdyż jego towarzysz był jakiś milczący i posępny. Wspominaliśmy szkolne lata, profesorów i kolegów z Batorego, kto żyje, a o kim słuch zaginął. Kusilo mnie, aby wspomnieć o księdzu, który porzucił kapłański stan, jednak czemuś wciąż się wstrzymywałem.

Usiedliśmy przy jednym ze stolików, Władek Michalski zamówił od razu butelkę wódki i coś na ząb. Gdy ober się oddalił, zaczął żywo gestykulować. Nigdy go takiego nie widziałem. Zawsze spokojny, może

nawet trochę wycofany, bliżej mu było do hali sportowej albo boiska niż do knajpy. Czyżby wojsko tak go zmieniło.

– Wiesz, dlaczego cię z początku nie poznałem? – zawiesiłem znacząco głos.

– Domyślam się – mruknął. – Ostatnio widywałeś mnie tylko w zielonym suknie. Sam już zapomniałem, jak się nosi mundur. Ale jeszcze kilka miesięcy i znów ujrzysz na ulicach polskie mundury, rogatywki i białe orzełki na pelcie. Mogę ci to obiecać.

I może dalej snułby swoją tyleż piękną, co fantastyczną wizję, ale kelner przyniósł nam zamówienie: butelkę, trzy kieliszki i trzy talerzyki z galaretką koloru, który przywiódł mi na myśl wodę z kałuży pełnej zeschniętych jesiennych liści.

– Robisz coś? – zapytał Władek, sprawnie rozlewając wódkę do kieliszków, podczas gdy jego kompan już dziobał widelczykiem galaretkę z nie wiadomo czego.

– Kiedyś robiłem – odrzekłem. – Nawet tutaj, w tej knajpie, o, z tamtego stolika, obserwowałem obiekt.

– Niemca?

– Foksa.

– Skończył marnie?

– Najgorzej, jak tylko można.

– To na pohybel. – Uniósł kieliszek.

Wypiliśmy. Wódka była dobrze schłodzona i nie najgorsza. Inna rzecz, że było na nią, jak dla mnie, chyba trochę za wcześnie.

Żadna z rzeczy, o których mówiłem, nie była cczą przechwałką ani tym bardziej efektem wybujałej wyobraźni. To się stało. Ale nie chciałem o tym opowiadać. Dlatego zastanawiałem się, jak zgrabnie przekierować rozmowę na inny tor. Na szczęście Władek zrobił to za mnie.

– A my od jakiegoś czasu cieszymy się pięknem przyrody ojczystej – rzekł, rozlewając, wciąż pewną ręką, następną kolejkę. – Lasy, rzeki, wąwozy. Nawet nie wiedziałem, że mamy tak piękne kompleksy leśne w tym kraju. I tak gęste.

Wiedziałem już, co pan podchorąży robi na co dzień. Najpewniej zresztą nie był już podchorążym, a oficerem, wojna wszak wiele

upraszczała i przyspieszała awanse. I może Michalski, podochocony wypitą wódką, opowiedziałby więcej o „lecie leśnych ludzi”, o jakim nie śniło się Rodziewiczównie, gdyby nie towarzystwo, które zajęło sąsiedni stół. Wyjątkowo antypatyczne i głośne; byli to jacyś handlarze i wojskowi popatrywali ku nim z coraz większą niechęcią i coraz częściej. Zdawali sobie jednak sprawę, jak niewiele trzeba, by wszcząć awanturę, a to nikomu z nas nie było w tej chwili potrzebne.

Zerknąłem na swoją omegę z zarysowanym szkiełkiem. Do południa pozostał nieco ponad kwadrans. W sam raz, by wstać, zapłacić i wyjść. No i złapać riksę.

– Chyba musicie już iść, jeśli chcecie zdążyć na ten ślub – zauważyłem.

W tej samej chwili podnieśli się z krzeseł, ale nie Władek i Jacek, tylko nasi sąsiedzi.

– Nareszcie – sapnął Michalski. – Jeszcze chwila, a nie zdzierzyłbym. Co za bydlę!

Wskazałem na zegarek. Machnął ręką. A potem podobnym gestem przywołał kelnera.

– Jeszcze jedną butelkę, panie starszy – powiedział nieco już bełkotliwym głosem, do mnie zaś rzekł: – Zdążymy, stary. Przecież to kawałek. Oddychaj nosem.

Miał rację. W sumie nie był to mój problem, prawda? Nie moi znajomi brali ślub u świętego Aleksandra, czyli nie byle gdzie, i nie ja miałem tam zdążyć na czas, by nie robić zamieszania podczas ceremonii, nie denerwować młodych, teściowych, a przede wszystkim księdza proboszcza.

– Zdrowie! – powiedzieli jednocześnie i była to druga oznaka, że pan Jacek jednak język w gębie posiada.

A przecież Polaka rozpijano od zarania dziejów. Robił to pan z chłopami pańszczyźnianymi, robił to zaborca z ludnością, którą zastał na zajętych terenach, przy okazji pracowicie niemcząc i rusyfikując. Hitlerowcy właściwie też nie mieli nic przeciwko temu, aby obywatel Generalnej Guberni regularnie zaglądał do kieliszka. Mógł to zrobić w którejś z setek knajpek, które w okupowanej stolicy zaczęły wyrastać jak grzyby po deszczu, albo w zaciszu domowym. Bo

niby co innego miałby robić, skoro to, co zostało mu z narodowej dumy, nie pozwalało iść do kina, bo przecież „tylko świnie...”, ani do teatru, zakazano słuchać radia, czytać gazet prócz „Kurwara”? Wódkę dostawał chłop na wsi, gdy wywiązał się na czas z kontyngentu, bimber pędzono po domach na potęgę, a wszystko po to, by choć na chwilę zapomnieć o zgryzocie.

– Żebyś ty widział, Antek. Żebyś ty to wszystko widział... – wysapał Władek, po czym na chwilę zwiesił smętnie głowę.

Wtedy towarzyszący mu Jacek jakby się przebudził. Sprawdził czas, przeciągnął dłonią po twarzy, parsknął.

– Chodź, Władysław – powiedział, ciągnąc Michalskiego za kołnierz marynarki. – Naprawdę jest już późno.

Ale były mistrz w pchnięciu kulą nie reagował.

*

Za każdym razem, gdy oglądałem film w kinie i kamera przechodziła przez ścianę pokoju, odczuwałem przyjemny dreszcz. Zastanawiałem się, czy kiedyś dane mi będzie iść na film, w którym w pewnym momencie kamera uniesie się nad stół w knajpie i siedzących przy nim ludzi, przebije sufit, choć bez żadnej szkody dla siebie ani budowli, potem dach i wzniesie się nad kamienicę. Ujrzę ulicę, ludzi jak mrówki, samochody niczym pudełka zapalek.

Kamera zacznie się przesuwać, wszak umieszczono ją na pokładzie zeppelinu albo balonu. Przetnie Świętokrzyską, potem wykona łagodny skręt w lewo, dzięki czemu po raz pierwszy w życiu zobaczę swój dom z góry. Następnie utwierdzę się w przekonaniu, że dobrze znany mi placyk, który tworzą ulice Bracka, Szpitalna i Chmielna, ma kształt trójkąta, ale jest to trójkąt rozwartokątny. Ujrzę tramwaj w Alejach, który wyda mi się podobny do chrabąszcza. Rotunda kościoła świętego Aleksandra na placu Trzech Krzyży będzie widoczna z daleka. Dwie wieże stojące przy niej porównam żartem do wartowników.

Wtedy zeppelin albo balon, na którego pokładzie znajduje się

kamera, zacznie obniżać lot. Nieco dalej zielenią się Ogrody Frascati, ale tam nie dolecimy, wszak to, co nas interesuje, znajduje się pod kopułą świątyni. Kamera przebije ją bez hałasu, by po chwili zacząć opadać w dół, ku ołtarzowi i stojącym przed nim nowożeńcom, świadkom i księdzu...

*

– Stój, kurwa, dokąd leziesz?

Nie wiem, co bardziej przywróciło mnie rzeczywistości, ściągnęło na ziemię: szarpnięcie za ramię, zachrypnięty głos Władka czy jego przesycony wonią gorzałki oddech. Pewnie wszystko naraz.

Staliśmy u wylotu Żurawiej, a dorożka, którą dojechaliśmy na miejsce, oddalała się w stronę Nowego Światu. Ale właściwie dlaczego nie przywiozła nas pod sam kościół? Odpowiedź poznałem po chwili.

– Zgarnęli chyba wszystkich – rzekł głucho Jacek, wskazując coś palcem.

Spojrzałem w tym samym kierunku i omal nie krzyknąłem. Cały kościół był obstawiony przez uzbrojonych Niemców. U wylotu Mokotowskiej czekało kilka bud. Do jednej z nich ładowano właśnie odświętnie ubranych młodych mężczyzn, najpewniej gości weselnych. Jakaś kobieta lamentowała przed wejściem do świątyni. Nigdzie nie widziałem jednak białej sukni panny młodej.

Michalski i Jacek wytrzeźwieli w mgnieniu oka. Władek splunął do rynsztoka, spojrzał na towarzysza, potem na mnie. W jego oczach ujrzałem wzbierające łzy.

– Chodźmy stąd – warknął. – Już im nie pomożemy...

*

Był oszołomiony, nie tylko za sprawą wypitej wódki. Z trudem udało się nam go z panem Jackiem, o którym wciąż niewiele wiedziałem, zapakować z powrotem do dryndy. Czym prędzej opuściliśmy plac Trzech Krzyży, nie można było przecież mieć pewności, czy to, co

widzieliśmy, było tylko akcją zorganizowaną w kościele, czy może jakąś większą chryją i za chwilę Niemcy zablokują pół Śródmieścia.

Na szczęście niezatrzymywani przez nikogo dojechaliśmy w okolice skrzyżowania Alej i Marszałkowskiej. Myślałem, że panowie skierują swe kroki na dworzec, skąd jakiś pociąg zabierze ich z powrotem do lasu. Ale nie. Jacek zapytał o knajpę, od razu zastrzegając, że pić nie będą. Jeśli już, to herbatę.

– Na Dworcu Głównym jest taki lokal – powiedziałem, przypomniawszy sobie o przedwczorajszym spotkaniu z Baczyńskim.

Jacek zapłacił fiakrowi, weszliśmy do hali dworca, by po kilku chwilach zająć miejsca przy stoliku. Zamówiłem trzy herbaty, towarzysz Władka od razu sięgnął po pieniądze.

– Czy ty wiesz, Antku, co się tam stało? – Michalski spojrzał na mnie wzrokiem pełnym bólu; na szczęście oczy miał już suche.

– Aresztowano ludzi – odrzekłem.

– Aresztowano.

– Waszych znajomych.

Nic mądrzejszego nie przyszło mi, niestety, do głowy. Mówiłem, co widziałem.

– Gdyby nie ty, na pewno siedzielibyśmy teraz w jednej z tych bud.

– Jacek utkwiał we mnie spojrzenie; na moje odczucie nie wyrażało wdzięczności ani tym bardziej złości, chociaż przecież nie znałem tego człowieka.

– To prawda – zgodził się mój dawny kolega z klasy. – Albo leżeli na ulicy, bo nie wiem, co bym zrobił. Nigdy nie byłem w takiej sytuacji. Co innego Jacek. Niedawno uciekł z oflagu. Piechotą wrócił do kraju...

– Tak czy inaczej, zawdzięczamy ci życie – podsumował bohater.

Nie łechtały mnie jakoś te komplementy. Poza tym bardziej ciekawiło mnie, dlaczego zgarnęli ludzi właśnie na ślubie...

Przynieśli nam herbatę. Była ciemniejsza niż przedwczoraj, a może tylko mi się wydawało. Władek Michalski wypił kilka łyków, po czym zaczął mówić.

– To był ślub ludzi z naszej organizacji, która zajmuje się specjalnymi zadaniami. Nie możemy ci o nich opowiadać, ponieważ wiąże nas tajemnica wojskowa. Wiedz tylko tyle, że jeśli w ostatnim

czasie doszły cię słuchy, że na terenie Generalnej Guberni jakiś ważny fryc poszedł do piachu, to jest to najpewniej nasza zasługa. Na początku tego roku wcielono nas do Kedywu Armii Krajowej. Niestety, ktoś najprawdopodobniej musiał sypnąć, bo na tym ślubie mieli być wszyscy. Rozumiesz? Wszyscy! Niemcy dostali ich na talerzu jak frankfurterki z musztardą. Ech, nie chciałbym być w skórze tego, kto to zrobił...

– To już przeszłość, Władku – chrząknął Jacek. – Zastanówmy się lepiej, co teraz. Jeśli mielibyśmy zostać w Warszawie i próbować coś zrobić albo przynajmniej czegoś się dowiedzieć, musimy powiadomić naszych.

Michalski ukrył twarz w dłoniach.

– Nie mam pojęcia, co powinniśmy zrobić – powiedział po dłuższej chwili ledwo słyszalnym głosem. – Mieliśmy tylko złożyć życzenia. Nawet kwiatów nie zdążyliśmy kupić, cholera...

– I co byś teraz z nimi zrobił? – zapytał Jacek.

– Położył pod jakimś pomnikiem. Na przykład Kopernika – sarknął niegdysiejszy kulomiot.

– Kiepski wybór – mruknąłem.

– Dlaczego? – zapytali jednocześnie.

Chwilę odczekałem, bo obok naszego stolika przechodziło jakieś towarzystwo. Było to dwóch dobrze ubranych panów w wieku mojego ojca i jedna młodsza pani. Rozmawiali po polsku, ale z jakichś powodów mi się nie spodobali, mimo że obaj wydawali się świata nie widzieć poza swą towarzyszką.

– Trzech kozaków próbowało złożyć wieniec z biało-czerwoną szarfą, nie dalej jak tydzień temu – dokończyłem półgłosem. – Z tego, co słyszałem, to chyba byli poeci. Jak nasz Baczyński.

– I co?

– Jednego żandarmi ustrzelili na miejscu, drugiego capnęli. Trzeciemu na szczęście udało się zwiać, ale w portki pewnie narobił.

Nic nie odpowiedzieli. Dokończyliśmy herbatę i po chwili, pokrzepieni – choć tylko na ciele – ponownie znaleźliśmy się przed budynkiem Dworca Głównego. Alejami przejechały w stronę rzeki dwa samochody z umundurowanymi Niemcami. Coś do siebie mówili,

uśmiechali się, może właśnie z powodu udanych łowów na placu Trzech Krzyży, a może tylko dlatego, że dane im było przebywać w tym momencie w słonecznej Warszawie, a nie na przykład na froncie wschodnim.

Pewnym można było być tylko tego, co myślał o nich Władek. Odprowadził kübelwagony wzrokiem pełnym bólu, ale i, a może przede wszystkim, nienawiści. Wyglądał, jakby chciał się na nie rzucić. Teraz, zaraz, choćby z gołymi rękami.

– Nie ma co gadać: zawdzięczamy panu życie – powtórzył Jacek, wyciągnąwszy do mnie dłoń. – Teraz musimy wracać do siebie. Nasza walka trwa nadal. Oczywiście spróbujemy się czegoś dowiedzieć od naszych ludzi na Pawiaku. Gdyby panu również udało się zasięgnąć języka, byłibyśmy wdzięczni. Kto wie, może to tylko wiele hałasu o nic.

– Ma pan jeszcze nadzieję?

– Zawsze trzeba mieć – odpowiedział. – Gdybym myślał inaczej, wciąż gniłbym za drutami.

To powiedziawszy, zdecydowanym ruchem pociągnął nie do końca przytomnego Władka Michalskiego i po chwili obaj maszerowali w kierunku peronów. Skłamałbym, gdybym powiedział, że nie odetchnąłem w tym momencie z ulgą.

W tej samej chwili przypomniałem sobie, że jest przecież sobota i że czeka mnie jeszcze jedno spotkanie. Pierwsze od chwili, gdy ojciec z Aliną i dzieckiem opuścili Warszawę. Spotkanie, które było od dawna zaplanowane.

*

– Już myślałem, że cię zwinęli – mruknął, nie podnosząc głowy nad talerza.

– Nie tak łatwo jest mnie zwinąć. – Odsunąłem krzesło, po czym krytycznie przyjrzałem się siedzisku, nigdy bowiem nie było wiadomo, co się na nim zastanie: mogły to być tylko okruszyny chleba, ale równie dobrze inne pozostałości, choćby tego, co pływało

w talerzu. W najlepszym razie jeden z kotów, które mieszkały w tym przybytku.

– Może tym razem skosztujesz? – zapytał, wskazując łyżką w dół. – Poprawiła się od ostatniego razu, jak babcię Kocham.

– Jestem po obiedzie – skłamałem; zupa rybna, którą tu serwowano, nie należała, mówiąc delikatnie, do moich ulubionych dań.

Tylko coś mruknął. Nie próbowałem się nawet domyślać, co to mogło być.

A przecież jeszcze nie tak dawno pan Kluba, kapitan statku pływającego po królowej polskich rzek, był człowiekiem, który wszystkie komendy wydawał z nienaganną dykcją. Jako niedoszły student szkoły teatralnej mogłem coś o tym powiedzieć.

Od tego, jak starannie i jak głośno wydawał komendy kapitan Kluba, zależało wszak bardzo wiele: od bezpiecznego ominięcia wiślanej łachy upalnym latem i kry srogą zimą, po zacumowanie przy nabrzeżu w Puławach – a tam wszedłem na pokład statku po raz pierwszy, wracając wiosną 1940 roku z Kresów. I to tak, że z kieliszka, który zawsze stał na kapitańskim mostku, nie miała prawa ulać się ani kropelka wódki!

Ponownie wszedłem na pokład statku Kluby wiosną 1941 roku, kiedy to w wyniku licznych zawirowań zmuszony zostałem do natychmiastowej ucieczki z Warszawy. Szedłem po trapie jak do siebie. Nie tylko dlatego, że na głowie miałem białą kapitańską czapkę, którą „pierwszy po Bogu” podarował mi za pierwszym razem, a ja przyjąłem ją z radością smarkacza. Na tej krypie znałem niemal każdy kąt, zdążyłem też liznąć co nieco marynarskiego rzemiosła, mogłem się więc przydać, zapracować na swój bilet do bezpiecznego portu.

Jakież więc było moje zdziwienie, gdy kilka tygodni temu spotkałem kapitana na warszawskiej, a dokładnie praskiej ulicy. Z początku go nie poznałem, tak się zmienił. Niestety, na gorsze: schudł, zarósł, poszarzał. Nie trzymał się już też tak prosto jak kiedyś. W kilku zdaniach opowiedział mi, jak „oni”, znów ci przekłęci „oni”, z niewiadomych powodów pozbawili go dowództwa statku i tym samym środków do życia. Zaciągnął mnie do knajpy, właśnie tu, na prawym brzegu Wisły, między mostami Kierbedzia i Poniatowskiego.

Do tej pory nie wiedziałem, jak się skończył tamten wieczór.

Potem Kluba odwiedził nasz dom i w picciu zastąpił mnie ojciec, który uporał się z tym zadaniem o wiele lepiej ode mnie. Może dlatego, że musiał trzymać fason przy Alinie, nie mówiąc już o dziecku. Mimo wszystko polubiłem te nasze spotkania, bo okraszone były nie tylko wódką, lecz także wspaniałymi opowieściami z mórz i oceanów. Ile było w nich prawdy, a ile czystej fantazji – kto to mógł wiedzieć...

– A co na mieście słyhać, młody przyjacielu? – chciał wiedzieć kapitan.

Powiedziałem, co wydarzyło się dziś na placu Trzech Krzyży. Oczywiście tylko to, o czym opowiedzieć mogłem. Kluba nie wyraził zresztą wielkiego zainteresowania tematem.

– Nie oni pierwsi, nie ostatni – rzekł.

Zupełnie jakbym Czesia Bielawnego słyszał – pomyślałem trochę z rozbawieniem, trochę, nie ma co, z przerażeniem.

Bez słowa odłożył starannie oblizaną łyżkę na krawędź talerza, po czym sięgnął po karafkę i napełnił kieliszki.

– Napijemy się.

Ręka mu nawet przy tym nie zadrżała. Nic dziwnego: od czasu, gdy zszedł na ląd, nie robił nic innego. W knajpie tej, należącej do byłego podkomendnego Kluby, pracował bowiem jako kelner. Bardzo go chwalono, bo nigdy nic mu nie spadło z tacy ani się nawet nie ulało, a tu i podłoga krzywa, i tłum gęsty. Bywał też barmanem, szatniarzem, a nawet wykidają, chociaż spędzał tu również większość czasu wolnego.

– Czy opowiadałem ci już, jak którejs listopadowej nocy, kiedy szliśmy z ładunkiem bananów do portu w Gdyni, dopadł nas biały szkwał? – zapytał.

Słyszałem tę opowieść, wymyśloną czy prawdziwą, to nie miało znaczenia, już kilka razy. Ale znów stanowczo pokręciłem głową i zrobiłem zaciekawioną minę. Tak samo reagowałem, gdy miałem po raz kolejny wysłuchać mrozących krew w żyłach opowieści o tym, jak to „nas było dwóch, a ich dwudziestu, ale i tak bez problemu daliśmy im radę”. Albo o ogromnym ładunku bałtyckiego śledzia, który

w sposób nagły i niespodziewany zniknął. I nikt z załogi nie potrafił wytłumaczyć, jak to się stało.

Nie próbowałem nigdy tego weryfikować, dopytywać, czy Kluba aby rzeczywiście pływał także po morzach. Raz, że właściwie nie było kogo pytać, dwa – po co psuć zabawę. Po prostu lubiłem słuchać opowieści kapitana, dzięki którym przynajmniej na chwilę udawało mi się zapomnieć o tym, co dzieje się naokoło.

– No, to było tak... – Kapitan zatarł dłonie jak przed robotą, bo i pewnie tak się czuł.

W tym samym momencie od strony wejścia coś niepokojąco stuknęło, potem rozległ się trzask rozbijanego szkła. Kluba westchnął, spojrzał na mnie przepaszająco, po czym zadziwiająco szparko jak na swój wiek i stan podniósł się z krzeselka.

W chwili, gdy ujrzałem jego oddalającą się postać, moich uszu dobiegły pijackie krzyki, co do końca utwierdziło mnie w przekonaniu, że w knajpie znów coś się dzieje i kapitan musi zaprowadzić porządek. Do ułomków nie należał, więc nigdy nie miał z tym większych problemów. Ot, kilka siniaków i zadrapań, nic więcej.

– Waruj! – ryknął na cały lokal. – Na zawietrzną, już!

Usłyszałem znów hałas, potem jęk; ktoś najpewniej upadł na podłogę. A zaraz potem piskliwe, wykrzyczane pijackim dyszkantem:

– Pan wiesz, kto ja jestem?!

– Dla mnie śmieć ostatni i bobek z zęzy – odpowiedział tubalnym głosem kapitan, po czym znów rozległy się odgłosy uderzeń i jęki bóleści.

Wtedy tknęło mnie niejasne przeczucie, że ta bójka nie skończy się tak jak większość poprzednich, czyli wyrzuceniem kłopotliwych gości za drzwi. I, niestety, miałem rację.

*

– Pańskie dokumenty – warknął granatowy w stopniu posterunkowego, spojrzawszy na mnie spod daszka czapki; był tak długi, że prawie nie było widać oczu policjanta.

– On nie ma z tym nic wspólnego! – zaprotestował kapitan Kluba.

Siedział na tym samym krześle, z którego wstał, aby zaprowadzić porządek. Teraz jednak dyszał ciężko, a z rozciętego policzka ciekła mu krew. Jego lewe oko różniło się od prawego wielkością i kolorem, a naderwany guziczek koszuli zwisał smętnie. To były koszty, widoczne koszty, jakie kapitan poniósł za swoją interwencję.

Niestety, nie jedyne. Słowa „pan wiesz, kto ja jestem”, które padały chyba w co drugiej warszawskiej awanturze, tym razem nie okazały się tylko pustą pogrózką. Ktoś wezwał policję. Zdziwiło mnie to, bo od chwili, gdy zaczęły się hałasy, do momentu, gdy przybył policjant, upłynęło naprawdę niewiele czasu.

– Nie do pana mówię, panie Kluba – warknął granatowy, po czym ponownie spojrzał na mnie. – Dokumenty.

Tak się na szczęście składało, że dawno nie miałem nieprzyjemności z panami w granatowych mundurach, chociaż mijałem ich niemal codziennie. Doskonale wiedziałem, co sądzą o nich warszawska ulica. Ten kolorek znienawidziła szczególnie, choć przecież tak niewiele różnił się od granatu kolejarskiego czy strażackiego. Ale z dwojga złego wolałem usłyszeć takie żądanie po polsku, a nie łamaną polszczyznę czy po niemiecku z ust psa z OrPo.

Już sięgałem w zanadrze, gdzie kryłem fałszywy *ausweiss*, gdy w progu niższy sali konsumpcyjnej, w której siedzieliśmy, zamajaczył mi jeszcze jeden granatowy mundur.

– To nie będzie koniecznie, Walesiak – powiedział drugi z policjantów.

Posterunkowy spojrzał na tamtego, potem na mnie, wreszcie zasalutował.

– To ci dwaj, panie przodowniku. – Wskazał tymi samymi palcami niczym rasowy skarżypyta najpierw na mnie, a potem na kapitana Klubę.

– Ślepy nie jestem i liczyć umiem – warknął przybysz.

Daszki czapek granatowej policji, jak wspomniałem, były długie i dobrze ocieniały oczy, co być może chroniło jednego z drugim przed rozpoznaniem. Przynajmniej przez kilka pierwszych tygodni, może miesięcy wątpliwie zaszczytnej służby. Przodownika też nie

poznałem. Ale nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że już gdzieś, i to całkiem niedawno, słyszałem ten głos.

– Spisać zeznania poszkodowanego – zaordynował starszy stopniem.

– Jakiego poszkodowanego? – zaprotestował kapitan. – Kto tutaj jest, kurwa, poszkodowany?!

Posterunkowy już otwierał gębę, ale wystarczył jeden gest przodownika, by wyprężył się i wymaszerował z nyży. Obyło się bez trzaskania obcasami.

– Panie przodowniku, ja naprawdę... – jęknął Kluba zupełnie jak nie on, po czym opuścił głowę; zacząłem się bać, że za chwilę zacznie płakać, a to trudno by mi było chyba znieść.

Wtedy granatowy zdjął czapkę i rękawem otarł pot z czoła. Czoło należało nie do kogo innego jak do mojego kolegi z Batorego, Jarosława Lenca, zwanego przez nas Jajarosławem za sprawą sposobu wypowiedania się: każde zdanie zaczynał od słowa „ja”. Nie mogłem nie pomyśleć, że tak będzie i tym razem.

Po chwili omal nie parsknąłem śmiechem.

– Ja myślę, że to nie ma teraz znaczenia – uśmiechnął się.

Zbliżył się do mnie i podaliśmy sobie dłonie. Wtedy przeszło mi przez myśl, że jego niegdysiejsze „ja” to dzisiaj *ja*. Niemieckie „tak”. Wciąż zaczynał tak każde zdanie. *Ja*, złapię dziś tyłu i tyłu Żydów, tyłu i tyłu szmuglerów i konspiratorów, *Herr Wachtmeister*. I wciąż był Lencem. Nie musiał zmieniać się w Lenca.

Przysiadł na krawędzi stolika, stuknął obcas starannie wypastowanego skózanego buta z cholewą.

– Zdziwiony? – zapytał.

– Trochę – odrzekłem, bo wydało mi się to, przynajmniej w tym momencie, najbardziej roztropne.

– Mam rodzinę. Żonę i dziecko. Matka ostatnio choruje – wyliczył jednym tchem i niezbyt głośno, jakby był grzesznikiem, ja zaś spowiednikiem po drugiej stronie kratki.

– Rozumiem.

I chociaż nie rozumiałem, bo było to chyba coś o wiele gorszego niż moje niegdysiejsze występy w legalnym teatrze, nie mogłem przecież

powiedzieć inaczej. Czy dlatego, że bałem się Lenca? Nie. Bałem się przede wszystkim o kapitana Klubę. Najważniejszą sprawą teraz było bowiem wyjaśnienie tego, co tu się wydarzyło.

Na szczęście przodownik Jarosław Lenc myślał podobnie. Wyjął służbowy notes, poślinił ołówek i zaczął wypytywać kapitana. Co usłyszał, zaraz zapisywał. Tak samo wyglądał na trudnych i wymagających skupienia lekcjach w liceum.

– To wszystko? – Stuknął tępym końcem ołówka w papier.

– Wszystko – odrzekł kapitan z godnością.

– Potwierdzasz? – Lenc zwrócił się do mnie.

– Oczywiście, że tak! – powiedziałem dużo głośniej, niż było trzeba.

Policjant zamknął notes, przyjrzał się nam jak dyro, który po raz nie wiadomo już który ma wydać wyrok na nieuleczalnych łobuzów.

– Problem w tym – podjął po krótkiej chwili – że ten facet pracuje w fabryce współpracującej z Wehrmachtem...

– Jakiej fabryce, do cholery?! – warknąłem.

– To nieważne. Ważne, że ma plecy.

– Ale przecież to on zaczął awanturę – jęknął Kluba. – Jest pijany w sztok, zaczepiał gości. Zapytaj pan...

– Ja nie przeczę, ale wiecie, panowie, jak to jest. Poza tym muszę coś wpisać w raport.

– Pisz, jak było – jęknąłem, choć zdawałem sobie doskonale sprawę, że to na nic.

Naprawdę nie było żartów, gdy chodziło o fabrykę współpracującą z Wehrmachtem. Wiedziałem to. Raz, że ktoś taki miał koneksje, a dwa – był bogaty. I to cholernie bogaty. To właśnie dla takich ludzi robiłem z siebie małpę na scenie w „Komedii”, to oni kupowali piramidy ciasteczek, które zdobiły witryny niektórych sklepów czy kawiarni i które tak zdziwiły, ale i zasmuciły przyjezdnego Czesia Bielawnego.

– Ja muszę wpisać w raport jakieś nazwisko – uściślił po chwili „Jajarosław”.

Wtedy poczułem obok siebie czyjąś obecność. Prócz nas trzech nie było nikogo w nyży. Rozmowa naprawdę komfortowa, mimo kiepskich okoliczności. A jednak ktoś był. Nie śmierdział siarką, a w

myśl tego, co nam wkładali do głów na katechezie, powinien. Nie można go było zobaczyć, jego rogów i ogona. A jednak chyba był obok mnie i nachylał mi się do ucha.

– Jarek, czy potrzeba ci jakiegoś nazwiska? – powtórzyłem na głos to, co usłyszałem.

– Znamy się nie od dziś, Antku – rzekł półgębkiem Lenc, przesuając w tę i z powrotem palcem po krawędzi daszka czapki.

– Lech Adamski.

Zapisał. Nie wierzyłem w to, co się dzieje.

– Coś więcej? – „Jajarosław” spojrzał na mnie obojętnym wzrokiem.

– Prawdopodobnie siedzi w tej chwili na Pawiaku.

– Inaczej byś go nie dał. Od kiedy?

– Od wczoraj.

– Coś więcej?

– Łapanka w Śródmieściu. Przyjechał z Łodzi.

Przodownik podrapał się po głowie.

– Powinno się udać. Starego nie ma, można zachachmęcić z datami.

– Zamknął z trzaskiem służbowy notatnik i sięgnął po czapkę.

W tej samej chwili do naszej nyży wszedł barman, zmiennik kapitana Kluby. Niósł tacę, na której stało kilka szklanek wypełnionych przezroczystym płynem i talerzyk z zagrychą.

– Mam nadzieję, że pan przodownik nie odmówi – rzekł przymilnie.

– Na służbie? – Lenc zmarszczył brwi i chrząknął.

Barman nie dał się jednak zbić z pantałyku.

– To w ramach przeprosin, że panowie musieli się fatygować – rzekł bez mrugnięcia okiem; prawdopodobnie była to powszechna praktyka.

Za jego plecami z czapką w ręku i zupełnie inną miną niż do tej pory pojawił się posterunkowy. Jarosław Lenc skinął przyzwalająco. Obaj usiedli przy nieruchomym niczym rzeźba Klubie i podnieśli szkło. Wtedy pomyślałem, że nie jest to jednak miejsce dla mnie. Wstałem z zamiarem opuszczenia lokalu.

– Nie wygłupiaj się, Antek. Siadaj. Nie napijesz się ze starym druhem? – oburzył się Lenc.

Tylko ze względu na kapitana – odpowiedziałem mu w duchu.

W tym samym momencie Kluba wyszedł. Nikt go nie zatrzymywał.
– Zdrowie. – Uniosłem szklankę, ale, w przeciwieństwie do mundurowych, upiłem tylko trochę.
– A co tam u chłopaków? – zapytał Lenc. – Widziałeś się z kimś?

*

Gdy wracałem do domu, tylko lekko szumiało mi w głowie. Niestety, bo dźwięk ów nie był w stanie zagłuszyć pytań, które wciąż się w niej pojawiały. Nie był to już ów czarci głos, który kazał mi podać nazwisko człowieka i tak już przecież zatrzymanego. To był mój głos, a pytania, które zadawał, wcale nie były od rzeczy.

No, bo przecież nie widziałem, jak pakowano Adamskiego do budy, prawda? A może zaraz po wyjściu rzeczywiście wręczył komu trzeba dolary, które miał przy sobie, a potem poszedł wolno. Tym, że przodownik Lenc może mieć kłopoty, martwiłem się najmniej.

– Dobry wieczór. – Cicho zamknąłem za sobą drzwi, tuż przed nosem królika, który co prawda już się u nas zadomowił, ale był też ciekaw świata na zewnątrz.

Zbliżała się siódma wieczorem. Czesio Bielawny siedział przy stole w kuchni i pałaszował kolację. Ołena, ujrawszy mnie, bez słowa wstała z taboretu i przesunęła na ogień patelnię z czymś, co pachniało i pewnie smakowało lepiej, niż wyglądało. Od razu poczułem się głodny.

– Zanim cokolwiek powiesz – zaczął właściciel fotoplastikonu – chciałbym cię poinformować, że u mnie w robocie wszystko w porządku. Najważniejsze jest jednak co innego: wreszcie znalazłem dla nas ką! Jutro rano spotykam się z właścicielem.

– Mówiłem ci, że możecie zostać, jak długo chcecie – rzekłem niegłośno; zaraz chciałem się poprawić, dodać coś jeszcze, żeby wyszło bardziej z przekonaniem i szczerze, ale tego nie zrobiłem. Zresztą Bielawny był przekonany do swych planów.

– To naprawdę wyjątkowa okazja. I świetna lokalizacja – zachwalał. Swoją drogą bardzo dawno nie słyszałem takich słów. „Okazja” to

i owszem – wszystko, czym się handlowało, było przecież nie lada okazją, losem na loterii i niebywałym luksusem. Mięso i wędliny, które ojciec szmuglował ze wsi, były okazją, której nie można było przepuścić, by święta były świętami, a ślub dziecka wypadł jak należy. Zdobywanie dobrych papierów też było okazją, jeśli chciało się żyć, uniknąć aresztowania, wywózki...

Ale lokalizacja? Pamiętnego września zwały się do Warszawy tysiące uciekinierów z całej Polski. Potem nastąpił czas wysiedleń z domów, które przeznaczono na niemieckie urzędy czy koszary. Nam też, jak opowiadał kiedyś tata, dokwaterowano swego czasu kilku lokatorów, choć los sprawił, że, może na szczęście, nie miałem okazji ich poznać. Oddzielną historię miało powstanie warszawskiego getta. Wielu Polaków zajmowało wtedy mieszkania Żydów, którzy zmuszeni byli iść za mur, a jakże często były to duże, przestronne lokale. Owszem, wtedy można było mówić o dobrej lokalizacji.

– Proszę bardzo, smacznego. – Ołena postawiła przede mną talerz, ja zaś od razu zabrałem się do jedzenia.

Nie wytrzymałem jednak długo i kilka kęsów później, zamiast zacząć opowiadać o dwóch jakże przecie ekscytujących wydarzeniach, których byłem tego dnia świadkiem, zacząłem się domagać od Czesia jakichś szczegółów.

On był jednak bardzo tajemniczy.

– Wszystko w swoim czasie, przyjacielu – powiedział, wycierając starannie talerz skórką od chleba. – Oczywiście chciałbym cię prosić o pomoc.

– Mam posiedzieć za ciebie w fotoplastikonie? – wypaliłem bez namysłu.

– W niedzielę?! – oburzył się Bielawny i zaczął wymachiwać mi przed nosem palcem: – Po trzecie: dzień święty święcić! Zrzuciłem księżą sukienkę, ale nadal jestem dobrym chrześcijaninem. Pamiętaj o tym. W niedzielę moja firma będzie zawsze zamknięta na głucho, choćby na Zamku Królewskim zasiadł sam Józef Stalin.

– To niewykłuczone – wymamrotałem z pełnymi ustami. – W takim razie czego właściwie ode mnie oczekujesz?

– Tylko tego, żebyś tam ze mną poszedł.

– Jako obstawa czy przewodnik? Niestety, przyjacielu, ale jutro jest niedziela, a ja dzień święty święcę.

Tylko wydał policzki, po czym oboje z Oleną poszli do sypialni ojca i Aliny. Kto wie, może robili to po raz ostatni.

*

Oczywiście to, co powiedziałem przy kolacji, było tylko żartem. Najzabawniejszym chyba, na jaki było mnie stać po takim dniu. I nazajutrz, zaraz po śniadaniu, zadeklarowałem przyjacielowi swą gotowość do wymarszu w teren.

Ubraliśmy się starannie, ale bez popadania w przesadę. Z jednej strony trzeba było przecież zrobić dobre wrażenie i zdobyć zaufanie wynajmującego, z drugiej zaś nie wyglądać na takich, którzy nie wiedzą, co robić z forszą, a więc najpewniej nie mrugną nawet, gdy się im nagle i pod byle pretekstem podbije cenę.

Czesio Bielawny wystąpił w ciemnym garniturze i białej koszuli. Swoją drogą, zastanawiałem się, skąd u człowieka, który jeszcze niedawno chadzał w przykurzonej sutannie, takie ciuchy. I kiedy zdążył je obstalować, bo garnitur wyglądał na zupełnie nowy.

– Idziemy? – Bielawny spojrzał na mnie, a właściwie na moje odbicie w lustrze.

– Spóźnić się nie wypada – odrzekłem, choć po wczorajszej historii ze ślubem u świętego Aleksandra powinienem myśleć zupełnie inaczej.

Dopiero gdy znaleźliśmy się na ulicy, były ksiądz zaczął mówić.

– Przyszedł do mnie do fotoplastikonu jeden taki, zaczęliśmy gadać. I tak od słowa do słowa okazało się, że zna kogoś, kto miałby niewielkie lokum na wynajem. Nic specjalnego, ale dla nas i dziecka w sam raz. Czysz też akurat, a i do roboty całkiem niedaleko. Pomyślałem, co mi szkodzi obejrzeć, prawda?

– Święta – mruknąłem.

– Daruj sobie złościwości.

– Spróbuję, ale mi jakoś nie wychodzi.

Do Alej Jerozolimskich milczeliśmy. Zresztą od Alej też. Wtedy zacząłem mocno ścisnąć kciuki za to, żeby oględziny mieszkania, do których miało dojść za parę chwil, zakończyły się sukcesem. Pomyślałem też, że jedyne, czego by mi brakowało, to chyba potraw Ołeny, bo potrafiła je wyczarowywać z niczego.

– To tutaj. – Wskazał na kamienicę przy Wilczej, mniej więcej w połowie między Kruczą i Marszałkowską, po północnej, parzystej stronie. – Drugie piętro, mieszkania siedem. Ten człowiek powinien już być na miejscu.

– Mam iść z tobą? – chciałem się upewnić.

– Nic się nie zmieniło. No, chyba że ci się gdzieś bardzo spieszy.

Nim weszliśmy do bramy, jeszcze raz rozejrzałem się na boki. Ulicą przejeżdżała dorożka, jacyś chłopcy kopali zośkę. Ot, zaczynała się kolejna zwyczajna, czerwcową i miła niedziela. Czy będzie ją można nazwać tak samo wieczorem, u schyłku dnia? Tego nikt nie mógł wiedzieć. Nie w tym czasie, nie w tym mieście...

– Idziesz? – niecierpliwił się Czesio.

Po chwili zaczęliśmy się piąć po schodach. Pół minuty później zatrzymaliśmy się przed drzwiami z przekrzywioną i nadżartą przez rdzę cyferką siedem. Bielawny spojrzał na mnie ponownie, jakby oczekiwał, że to ja dam sygnał do podjęcia działań.

Powoli miałem tego dosyć. Wyciągnąłem rękę i kilka razy, czego nie czyniłem nigdy wcześniej, nadusiłem taster elektrycznego dzwonka. Musiał być naprawdę głośny, skoro na jego dźwięk Bielawny niemal podskoczył, choć przecież znajdowaliśmy się po drugiej stronie.

– Może lepiej było zapukać? – bąknął.

– Stało się – syknąłem.

Z drugiej strony doszły nas kroki.

– Już otwieram, otwieram – usłyszeliśmy starczy głos, a chwilę później dźwięk, na który czekaliśmy, czyli zgrzyt klucza w zamku.

– Chyba będzie dobrze, nie? – zdążył jeszcze zapytać cicho, nawet uśmiechnąć się mój dawny szkolny kolega, dziś gość; wierzyłem, że jeszcze tylko przez parę godzin.

Drzwi się otworzyły z piskiem i chrobotem jakiegoś małego kamyczka, który dostał się między ich dolną krawędź a podłogę. Nie

ujrzeliśmy tego, który pociągał za klamkę. Nie zdążyłem się nad tym zastanowić, a już Bielawny przekraczał próg mieszkania, jakby wstępował do niego po kolędzie: dostojnie, zamasyście, ciężko. Widziałem jego oddalające się, a potem niknące w półmroku przedpokoju plecy. Ale ten, który nas wpuścił do środka, był wciąż niewidoczny. Zdawało mi się, że mijają minuty, a przecież były to tylko sekundy.

– Czesiek! – zawołałem, tknięty jakimś przeczuciem, że wcale dobrze nie będzie, a może mi się tylko wydawało, że wołam, a głos mój, doprawiony już mocno strachem, jeśli nie rozpaczą, odezwał się tylko w mojej głowie.

Ale chwilę później i ja wszedłem do środka. Usłyszałem skrzypnięcie drewnianego progu pod obcasem buta. I niemal w tej samej chwili dźwięk podobny, choć bardziej metaliczny.

– Nawet nie drgnij, Żydku – dobiegło z tyłu i nieco z boku.

Że drugie chrupnięcie nie było tylko słuchowym omamem, potwierdził od razu inny zmysł: poczułem chłód metalu na skórze za prawym uchem.

– Ręce do góry! – polecił ten sam schrypnięty, nieprzyjemny głos.

Wykonałem polecenie, chociaż każdy na moim miejscu podjąłby już próbę wyjaśnienia, że mamy do czynienia z oczywistą pomyłką. Jaki Żydek? Czy w tym mieście był jeszcze choć jeden żywy? Mimo wszystko zachciało mi się śmiać i zaraz dałem temu upust, choć mogło to zabrzmieć jak gardłowa przypadłość, może kichnięcie.

Tamten jednak odebrał właściwy sygnał.

– Tak ci wesoło, Żydku? – zapytał.

– Przepraszam, ale nie mogłem się powstrzymać.

To mu się chyba nie za bardzo spodobało. Czuję, że tak będzie. Szarpnął mnie za ramię i pchnął łokciem w głąb mieszkania. Ruchy, które wykonał, uwolniły nieprzyjemną woń potu i machorki. Lufa rewolweru, który ścisnął w dłoni, a ta być może też się pocila, na chwilę odczepiła się od mojej głowy. Ale nie oznaczało to przecież, że tamten przestał we mnie celować. Nie planowałem żadnych sztuczek, zresztą i ta kwestia zaraz powinna paść.

– Na prawo. Właż do środka – instruował terroryzujący mnie

człowiek. – Tylko bez żadnych sztuczek.

Tych kilka słów wystarczyło, bym bez trudu rozpoznał praskiego cwaniaczka. Wiedza ta jednak nie mogła mi się na nic przydać. Szybko za to uczyniłem zadość jego żądaniu.

W największej, pozbawionej niemal mebli izbie, w oknach której zaciągnięto ciężkie story, ujrzałem Czesia. Stał pod ścianą z podniesionymi rękami i głupią miną. Jego wargi poruszały się miarowo, jakby bezgłośnie klepał modlitwę. Może zresztą tak było.

Czas zacząć wyjaśniać sprawę.

– Panowie, to naprawdę jakieś nieporozumienie – powiedziałem; dopiero po chwili uświadomiłem sobie, że użyłem liczby mnogiej, chociaż na razie widziałem, a raczej słyszałem, bo stał przecież wciąż za mną, tylko jednego.

Ale nie pomyliłem się. Z głębi pokoju dobiegł drugi głos, dużo niższy, a przez to jakby spokojniejszy i poważniejszy:

– A ja myślę, że nie.

Znowu zachciało mi się śmiać, ale tym razem udało mi się nad sobą zapanować. Zacisnąłem mocno zęby. Odwróciłem się nieco w prawo, by spróbować ujrzeć interlokutora. Ktoś siedział w kącie pod przeciwległą ścianą, w fotelu z wysokim oparciem. W półmroku żarzył się ogieniek papierosa, pewnie właśnie zapalonego, dym dopiero po chwili podrażnił bowiem moje nozdrza.

Wtedy Bielawny jakby obudził się z letargu. Wciąż trzymając ręce w górze, co wyglądało nawet komicznie, rozejrzał się dookoła, dokładnie tak jak winien się rozejrzeć klient chcący wynająć mieszkanie. Bo i po to tu przecież przyszedł!

– Panowie, ale my naprawdę chcieliśmy tylko obejrzeć lokal do wynajęcia. Byłem umówiony z jego właścicielem. Prowadzę fotoplastikon niedaleko stąd. Każdy zaświadczy, wystarczy zapytać... – wyrzucił z siebie jednym tchem.

Ostatnie zdanie uznałem za niepotrzebne i ryzykowne. Interes ten ciągnął przecież dopiero od kilku dni i najprawdopodobniej nie zdążył go jeszcze poznać nikt z sąsiadujących sklepikarzy czy rzemieślników. No, ale trudno, powiedział to.

– Bardzo ciekawa historia. Prawie się wzruszyłem. – Nieznajomy

w fotelu zaciągnął się papierosem, po czym rzucił do pomagiera: – Przeszukaj ich.

Tamten szybko i z wprawą nas zrewidował. Nie zdążyłem nawet poczuć obrzydzenia. Mieliśmy przy sobie jedynie klucze: ja od mieszkania, Czesio od drzwi swojego interesu. Nie mógł nie wykorzystać faktu, że zostały wyjęte i zabręczały.

– To są właśnie klucze od mojego fotoplastikonu – rzekł gorączkowo. – Mieszkanie do wynajęcia, pan rozumie... – przemawiał jak do kogoś, kto nie do końca zna polski lub wręcz w ogóle nie za bardzo łąpie.

Tamten burknął tylko coś, co zabrzmiało jak przekleństwo. A do mnie dopiero teraz chyba dotarło, co tak naprawdę się dzieje. Po tym, co kilka tygodni temu sam widziałem za murami getta, a potem słyszałem w opowieściach ludzi, którzy oglądali dzielnicę płonąca niczym zapalka, byłem pewien, że nie ma już kogo szantażować, straszyć zadenuncjowaniem i odtransportowaniem na gestapo, szarpać, lżyć i opluwać. Że nie ma od kogo żądać okupu, który i tak nie był żadną gwarancją. Jeżeli brali nas za Żydów, którzy szukali schronienia, mogło to oznaczać tylko jedno: że ktoś zza muru jednak ocalał, a ten niecny proceder nadal przynosi zyski.

– Nie jestem Żydem – przytomność zwrócił mi podniesiony, drżący głos Czesia.

Czy przyzna się, kim jest, a raczej był? – przeszło mi przez myśl.

To by wiele, a może nawet wszystko wyjaśniło. Nawet za cenę wstydu. Chociaż z drugiej strony byłoby to chyba trudno udowodnić, gdyż przez tych kilka dni nie zauważyłem u niego żadnych przedmiotów świadczących o dawnym życiu: stuły, biretu czy choćby koszuli z koloratką. Na pewno nie miał ich teraz przy sobie.

– Ale śmierdzisz jak Żyd! – huknął tamten.

Mimowolnie pociągnąłem nosem. Miał rację, cholera. Obaj nieźle trąciliśmy, nieprzyjemna woń uwalniała się przez skórę, a to z tego prostego powodu, że Ołena okraszała swoje potrawy czosnkiem – a cały przepiękny warkocz ojciec przywiózł niedawno ze wsi. Smrodek ten powinien jednak zostać wyparty przez swąd spalenizny albo fetor kanałów. Co jednak mogliśmy poradzić na stereotypy; być

może ci dwaj dopiero stawiali pierwsze kroki w cenionym tu i ówdzie zawodzie szmalcownika...

– A mieszkanie, cóż, niestety już nieaktualne – rzekł po chwili palacz. – Spóźniliście się.

– Czyli wierzy nam pan? – zapytał Czesio z nadzieją.

– Nikomu nie wierzę i dzięki temu jeszcze żyję. Na szczęście na Pawiaku jest dużo miejsca, gwarantuję!

Bielawnego, który jeszcze przed chwilą gotów był gardłować, teraz po prostu zatkało. Przygryzł wargę i przerażonym wzrokiem przyglądał się prześladowcy. Może ulatywała z niego wiara, a może przeciwnie – wracała. Pewne było, że oto znów przekonywał się na własnej skórze, że decyzja o powrocie do Warszawy nie była najlepszą, jaką podjął w życiu.

Wtedy rozległ się dźwięk dzwonka. Serce podskoczyło mi w piersiach, a moje pięty jakby ktoś przypiekl rozpalonym żelazem.

Gestapo. To koniec... – pomyślałem.

– Idź, zobacz, kogo lichy niesie – polecił znudzonym głosem człowiek w fotelu, nas zaś od razu ostrzegł, zgasiwszy papierosa. – Celuję w tym momencie w wasze wypełnione macą brzuchy i rzadko chybiam, więc nie próbujcie żadnych numerów.

Pomagier opuścił izbę. Słyszałem jego oddalające się kroki. Czy za chwilę zastąpi je tupot ciężkich buciorów? Z tym się, niestety, liczyłem. Przez wąską szparę w nie do końca zaciągniętych storach wpadało do środka światło słoneczne.

Ale sekundy mijały, a oni nie nadchodzili. Umknął mi też moment otwarcia drzwi. Może tamten wciąż przy nich stał, nasłuchiwał, a przede wszystkim zachodził w głowę, czy otworzyć. Istniała też możliwość, o czym pomyślałem później, że to kolejni naiwni przyszli, aby obejrzeć mieszkanie na wynajem, i za chwilę wpadną tak jak my w pułapkę.

– Bolał mnie już ręce – powiedziałem; tak zresztą było, bo od kilku minut trzymałem je zgodnie z poleceniem nad głową.

– Nie próbuj mi tu żadnych sztuczek, Icku – warknął człowiek w fotelu.

– Nie zamierzam. Mówię, jak jest.

– To nic w porównaniu z tym, co cię czeka...

– A co go czeka? – dobiegło nagle od strony korytarza i nie był to głos człowieka, który kilka chwil wcześniej wpuścił nas z Czesiem do tego przekłętego mieszkania; ten bałby się cokolwiek powiedzieć, na gardle miał bowiem solidnych rozmiarów nóż. – Rzuć pukawkę, bo kolega zatnie się przy goleniu – warknął przybysz, którym był, o losie przewrotny, losie łaskawy, Franek Bela we własnej osobie.

– Nie znam cię, człowieku. Ale nie wiesz, co robisz – warknął tamten.

– To ty nie wiesz, co robisz – zripostował nasz niespodziewany wybawca.

– Bronisz Żydów?

– To nie są żadni Żydzi, ale jeśli lepiej się z tym poczujesz, to niech ci będzie. Szczęście nie będzie jednak długotrwałe, gdyż za chwilę wszyscy trzej spokojnie sobie stąd wyjdziemy, a wy zostanieie z poczuciem przegranej. Będzie to jednak najmniej dotkliwa kara, bo zasługujecie na coś o wiele gorszego.

– Czy my się aby przypadkiem nie znamy? – zapytał Franka nieco innym tonem człowiek siedzący w fotelu.

– Nie przypominam sobie – odrzekł Bela. – I niech tak zostanie.

Na chwilę zapanowała cisza. Nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że wszystko rozstrzygnie się w ciągu następnych kilku chwil.

I nie pomyliłem się. Huknął strzał. Bandyta, który otworzył nam drzwi, usunął się z krótkim jękiem spod ostrza noża, które Franek trzymał mu na gardle. Nie był już potrzebny, dzieła dokonała kula wystrzelona przez swojego. Ciało nie znalazło się jeszcze na podłodze, gdy Bela wyciągnął przed siebie rękę, w której trzymał gnata. Wypalił w stronę cienia zmierzającego ku oknu. W przeciwieństwie do niego nasz wybawca nie chybił celu.

– Żeby cię... – jęknął drugi ze szmalcowników, chwytając się zasłon.

Naszych uszu dobiegł dźwięk prutego materiału, a może to tylko żabki tak boleśnie puszczały krawędź ciężkiego płótna, z którego uszyto story. W ciągu kilku sekund zrobiło się jasno i mogliśmy przyjrzeć się dziełu zniszczenia: obaj bandyci, którzy chcieli nas oddać Niemcom jako Żydów, nie żyli albo byli na dobrej drodze.

Potwierdziła to mina Franka, który pochylił się najpierw nad jednym, a potem nad tym, którego utłukł własnoręcznie. Jakby bardziej wierzył w siebie i swoje umiejętności.

– Wieczne odpoczywanie racz im dać panie... – zaczął po swojemu Bielawny, przeżegnawszy się powoli.

– Przestałbyś się wydurniać! – huknął Franek Bela. – Przed chwilą te skurwysyny chciały cię zabić.

– Teraz to już nieważne.

Mnie interesowało co innego.

– Jak nas tu znalazłeś? – zapytałem przez ściśnięte gardło.

– Zobaczyłem was na Kruczej i byłem po prostu ciekaw, co tym razem kombinujecie – wyjaśnił lekkim tonem, a nawet zachichotał w wierzch dłoni. – Czy może znów trzeba będzie pozbywać się trupa jakiegoś Niemca albo coś w tym guście. A że długo nie wychodziliście z tej budy, postanowiłem, że sprawdzę, czy wszystko gra. No i znów nie grało, bo nasz kochany Czesio wdepnął w gówno. To wszystko. A teraz uciekajmy stąd, zanim zlecą się sąsiedzi.

*

Kiedy około trzeciej po południu tego samego dnia wszedłem do kuchni, zobaczyłem scenę, która z jednej strony była przedziwna, z drugiej jakże normalna. Czesław Bielawny siedział na taborecie. Prawą ręką podpierał skroń, a z jego szyi zwisała stuła; jednak miał ją ze sobą. Oczy miał półprzymknięte. Obok niego zaś klęczał Franek Bela z opuszczoną głową.

– I ja odpuszczam tobie grzechy w imię Ojca, Sy... – Szept zamienił się w niewyraźne mamrotanie, choć słowa te znał każdy, kto raz na jakiś czas odwiedzał kościół i wchodził do konfesjonału.

– Amen – odpowiedział za to głośno i dobitnie ten, który grzechy, a miał ich pewnie na sumieniu niemało, właśnie wyznał.

Po czym obaj obojętnym wzrokiem spojrzeli na mnie, stojącego bez ruchu na progu kuchni z blaszanym kubeczkiem w dłoni.

– Chciałem się tylko napić wody – wybąkałem przepraszającym

tonem.

– Nie krępuj się, już skończyliśmy. – Wielebny zdjął i ucałował stulę, podczas gdy penitent, który właśnie pozbył się ciężaru na duszy, znacząco otrzępywał spodnie na kolanach.

Akurat to mi się nie spodobało, ponieważ kuchnia była regularnie sprzątana, ale nic nie powiedziałem. Podszedłem do zlewu, nalałem sobie wody z kranu i od razu zacząłem pić. Znad krawędzi kubka przez chwilę obserwowałem uczestników tej niezwyklej spowiedzi, którzy siedzieli teraz przy stole i jakby nigdy nic popijali herbatę.

– No co? Chciał, to go wypowiadałem. – Czesio wzruszył ramionami.

– Przecież nic nie mówię – mruknąłem.

– Ale znam to twoje spojrzenie.

– Wydaje ci się.

– Nie sędzę.

Wtedy wtrącił się Bela.

– Uwierało mnie to, co dzisiaj się stało – rzekł ponuro. – Zresztą nie tylko to, bo trochę się nazbierało. Pomyślałem sobie: co będę biegł do Świętego Krzyża czy Anny, skoro mam księdza na podorędziu. Myślicie, że to jest takie łatwe? Że ja nic nie czuję?

Odwrócił wzrok i pociągnął nosem.

– No i zdenerwowałeś chłopaka – rzekł z pretensją przybysz z Kresów.

– Ale ja nic nie zrobiłem – broniłem się. – Zdziwiło mnie tylko, że nadal udzielasz rozgrzeszeń.

Wypił dwa łyki herbaty.

– Tylko w wyjątkowych wypadkach – odpowiedział.

Do wyjątkowych wypadków, do których doszło kilka godzin wcześniej w kamienicy na Wilczej, nie wracaliśmy. Kiedy Ołena zapytała, jak mieszkanie, jej luby tylko boleśnie westchnął i odpowiedział, że, niestety, już zostało wynajęte. Miał poniekąd rację, tak nam przecież powiedział jeden z tych, których spotkaliśmy na miejscu. Szczęśliwie niezatrzymywani przez nikogo opuściliśmy wtedy mieszkanie-pułapkę, następnie kamienicę i dotarliśmy na Jasną.

Bela wstąpił do nas na niedzielny obiad. To było naturalne, bo przecież znów uratował nam skórę, a który raz wyciągnął z tarapatów mnie, to już nawet przestałem liczyć. Dlatego nie mrugnąłem nawet okiem, gdy zapytał, czy nie mógłby się tu zatrzymać na kilka dni. Może spać na podłodze, byle na głowę nie kapało i szczury nie kęsały. Tak powiedział, chociaż możliwości naszego mieszkania wciąż były spore: do dyspozycji była wszak jeszcze tajemna pakamera, którą jakiś czas temu opuścił ukrywający się u nas Żyd, doktor Grabowski.

Nie dociekałem, co się stało i czy Bela się ukrywa, a jeśli tak, to z jakiego powodu. Właściwie było mi wszystko jedno. Po tym, co się stało na Wilczej, wciąż trzęsły mi się ręce i nogi. Nie mogłem stać, z trudem podnosiłem łyżkę do ust. Potem mi przeszło.

Gdy jednak moją kuchnię zmieniono na okazjonalny konfesjonał, znów się we mnie lekko zagotowało.

– Ślubu też byś udzielił? – starałem się mówić spokojnie, a pomagało mi w tym dokładne zmywanie kubeczka, ale celowałem precyzyjnie.

– O co ci chodzi? – warknął Bielawny.

– O nic. Zadałem zwyczajne pytanie: czy udzieliłbyś ślubu. I czy taki sakrament byłby w ogóle ważny? Jestem po prostu ciekaw...

– Pax. Pax między chrześcijany! – wtrącił Franek Bela, unosząc obie ręce, jakbyśmy naprawdę zamierzali się z Czesiem na siebie rzucić.

I kto wie, jak zakończyłaby się ta nasza scysja, może obrazą i opuszczeniem mieszkania, na co bym się chyba wcale nie pogniewał, gdyby nie dzwonek do drzwi. Królik, który nie wiadomo kiedy znalazł się w kuchni, położył długie uszy po sobie. Kiedyś słyszałem, że zwierzęta potrafią wyczuć zagrożenie. Nie byłem tylko pewien, czy dotyczy to także tych hodowlanych.

Bela sięgnął w zanadrze i choć nic stamtąd nie wyjął, wiedziałem, że bynajmniej nie sprawdzał, czy ma przy sobie portfel albo chustkę do nosa.

– Zostańcie na swoich miejscach – zaordynował nasz zabijaka, który ledwo co się wypowiedział.

Po czym bezszelestnie, co nie było trudne, bo wcześniej zdjął buty, opuścił kuchnię. W tej samej chwili ktoś znów nadusił taster dzwonka,

a ja nie mogłem się oprzeć wrażeniu, że nigdy wcześniej nie był on taki głośny.

Moja wyobraźnia również nie zamierzała się oszczędzać. Oto bowiem jej oczami ujrzałem, jak z mieszkania położonego naprzeciwko tego pechowego wychodzą kolejni dwaj szmalcownicy. Jeden szybko sprawdza, co się stało, drugi śledzi naszą trójkę. Gdy już jesteśmy na ulicy, mamy na ogonie obydwu. Idą za nami na Jasną, gdzie bez trudu udaje im się ustalić numer lokalu.

Tak oto stoją przed drzwiami nieproszeni goście albo łowcy pozostałych przy życiu Żydów. Właściwie trafili dobrze, ale poniewczasie. Zaraz dokonają srogiej pomsty za zabitych kamratów. Albo jest to już gestapo, które otrzymało od nich podejrzaną adres jak na talerzu, więc niedziela niedzielą, ale jechać trzeba.

Trzeciego dzwonka nie było. Był za to znajomy zgrzyt zamka w drzwiach. Zabrakło mi tchu. Bielawny, ku memu zaskoczeniu, zacisnął palce na rękojeści noża do chleba, który leżał na kuchennym stole od śniadania.

– No, oczom nie wierzę – rozległ się głos Beli.

Zdrada! „Bodajeś konał w rozpacz!” – zmroziła mi serce myśl nagła, straszna i z tego Sienkiewicza nieszczęsnego. Straszna tym bardziej, że dotyczyła Franka Beli, któremu przecież ufałem jak chyba nikomu innemu na świecie.

Czy Czesław Bielawny myślał tak jak ja? Chyba nie, gdyż na słowa, które dobiegły uszu nas obu, wbrew instrukcjom starego wyjadacza zerwał się z krzesła i ruszył w kierunku przedpokoju. Chciałem go powstrzymać, ostrzec przed oczywistym niebezpieczeństwem, ale nie potrafiłem wydobyć z siebie głosu.

Musiałem przetrzeć oczy, aby się przekonać, że nie śnię. Po chwili na progu kuchni stał widziany nie dalej jak wczoraj Władysław Michalski.

– Franek? Czesio? Czyżbym trafił przypadkiem na jakiś klasowy zjazd? – zawołał wesoło i zaczął nucić znajomą melodię, którą z miejsca podchwycili, choć trzeźwi, wszyscy: – Za rok, za dzień, za chwilę razem nie będzie nas!

Ostatnie słowa wydobyły się także i z moich ust, ale zrobiły to bez

mojej wiedzy.

– Wróciłeś? – zapytałem bezwiednie, podnosząc się powoli z miejsca.

– Oddelegowano nas do zadań specjalnych w Warszawie – wypalił z dumą ocalony przeze mnie konspirator, a następnie, pojąwszy, że właśnie powiedział odrobinę za dużo, zakrył usta dłonią. – A co tam. Przecież znamy się nie od dziś. Oczywiście nie mogliśmy nie wpaść do ciebie.

Po chwili do kuchni wkroczył bowiem ten sam towarzysz, z którym widziałem Władka wczoraj, czyli pan Jacek.

– Przepraszamy za najście, ale to wszystko wydarzyło się tak nagle – tłumaczył się trochę niezręcznie. – Nie zdążyliśmy nawet odsapnąć u siebie w obozie, a tu zupełnie nowe rozkazy. I to w Warszawie, za którą, nie gniewajcie się panowie, ale niezbyt przepadam.

– Szkoda – bąknąłem.

– Wolę trochę cichsze i mniejsze miasta. W takim zresztą mieszkalem i służyłem przed wojną – dodał z dumą.

Nikt jakoś nie zapytał, o jakie miasto chodzi. Zamieszanie spowodowało, że nasz królik gdzieś zniknął. Może bał się, że przy tylu niespodziewanych gościach dopełni się jednak jego smutny los i skończy jako potrawka.

Za to pojawiła się Ołena.

– Dzień dobry – przywitała się śpiwnie.

Wyglądała, jakby przed chwilą się obudziła, choć z drugiej strony z zainteresowaniem przyglądała się przybyszom.

– To twoja żona? – Władek trącił mnie ramieniem; dopiero teraz poczułem, że jest na lekkim rauszu.

– Tak – potwierdził za mnie szybko Czesio.

– To będzie miał ksiądz proboszcz niedługo znów robotę. – Michalski brodą wskazał na ciężowy brzuch Ukrainki.

Bielawny tylko przełknął ślinę.

– To co, panowie? – Franek Bela uśmiechnął się szelmowsko. – Jak zjazd, to zjazd. Najmłodszy tradycyjnie leci po flaszkę.

Od szkolnych czasów trochę jednak minęło i nie za bardzo potrafiliśmy ocenić, którego z nas czterech spotka ten zaszczyt, bo

pana Jacka nie braliśmy w tej kwestii pod uwagę, urodził się najwcześniej. Nikt nie chciał się przyznać, a przecież to podobno kobiety mają z tym problem, a nie my.

W końcu stanęło na tym, że coś mocniejszego spróbuje zorganizować gospodarz. Nie oponowałem. Przeciwnie – miałem nadzieję, że spacer na świeżym powietrzu dobrze mi zrobi.

– Na rogu Brackiej i Chmielnej jest sprawdzone i niedrogie miejsce.
– Franek wsunął mi w dłoń złożonego na ćwierć górala. – Jakbyś miał problem, zapytaj o pana Fajkowskiego.

– Spokojnie, znajdę.

Wzuwałem na klęczkach buty, podczas gdy towarzystwo już zdążyło się rozgościć, ale nie w kuchni, a w salonie. W ciągu zaledwie kilku chwil zagęścili powietrze dymem z papierosów, śmiali się głośno i serdecznie, poklepywali nawzajem po plecach. Jakby następnego dnia rzeczywiście mieli założyć uczniowskie mundurki, czapki, włożyć do teczek podręczniki, zeszyty, kanapki, a potem beztrudno pójść na Myśliwiecką...

Wstałem i otworzyłem drzwi. Światło z przedpokoju odbiło się na srebrnych guzikach, doskonale odznaczających się na tle granatowego munduru. Nim zdążyłem cokolwiek powiedzieć, przybysz przekroczył próg mieszkania. Skrzypnęły wyglancowane buty z cholewami.

I wtedy usłyszałem słowo, które pojawiło się w mojej głowie kilka minut wcześniej, gdy truchlałem przy kuchennym stole.

– Zdrajco! – zawołał Władek Michalski. – Zdrajco...

Po trzykroć zdrajco – dodałem w duchu niczym sam pan Zagłoba.

*

Na szczęście naszym sąsiadom oszczędzono nieprzyjemnych wrażeń słuchowych, które kilka godzin wcześniej zaniepokoiły być może mieszkańców kamienicy przy Wilczej. Władek nie zdążył wystrzelić. Mało jednak brakowało, a z jego przedwojennego visa wyleciałyby kule w kierunku moim i Jarosława Lenca. On to bowiem, ubrany w znienawidzony mundur granatowego policjanta, zjawił się jako

kolejny gość w moim mieszkaniu w to niedzielne, czerwcowe popołudnie. Popołudnie, które powinienem spędzić gdzieś na łonie natury, a nie w dusznych murach.

Michalski w pierwszej chwili nie poznał starego kolegi z klasy. Nikt by nie rozpoznał, bo, tak jak wcześniej, Lenc nosił czapkę mocno naciśniętą na głowę, a daszek osłaniał mu oczy. Wczorajsze przykre doświadczenia ze ślubem towarzyszy broni, kiedy to zamiast na salę taneczną weselnicy pojechali na Pawiak, jeszcze bardziej wzmogły czujność konspiratorów. Zresztą Jarosław też wykazał się przytomnością: widząc broń skierowaną w swoim kierunku, sam szybko sięgnął do wielkiej skórzanej kabury. Mało więc brakowało, a mielibyśmy pojedynek jak na Dzikim Zachodzie.

– Wrzodów się chyba jakichś nabawię, kurwa mać – zaklął Władek, chowając gnata za pasek, podczas gdy policjant tylko zmełł w ustach przekleństwo, po czym zdjął czapkę i otarł rękawem pot z czoła.

– Co tu się dzieje, do cholery? – zapytał.

– Mamy zjazd klasowy, a ty jak zwykle się spóźniłeś – próbowałem żartować, ale jakoś nikt się nie zaśmiał.

No tak, jedynie ja przecież wiedziałem, czym się teraz zajmuje „Jajarosław”. Dla reszty szkolnych kolegów był to nie lada szok. I pewnie musi minąć kilka chwil, nim wszyscy zdołają się z niego otrząsnąć. Przodownik Lenc doskonale zdawał sobie z tego sprawę, dlatego zwrócił się do mnie:

– Ja chciałbym z tobą zamienić najpierw kilka słów.

– Chodźmy do kuchni – zaproponowałem, po czym rzuciłem do pozostałych jak ktoś, kto właśnie rozbroił bombę na sylwestrowym balu: – Wszystko jest pod kontrolą. To naprawdę Jarek Lenc. Będziecie musieli tylko chwilę dłużej poczekać na flaszkę albo niech pobiegnie po nią ktoś inny.

Zamknąłem drzwi. Jarosław usiadł na parapecie okna, chwilę wycierał krople potu z wewnętrznej, skórzanej otoki czapki, po czym spojrzał na mnie ciężko.

– Okłamałeś mnie, Antek – rzekł.

– Nie rozumiem – odpowiedziałem nieswoim głosem i jak zwykle w takich momentach zrobiło mi się nieznośnie gorąco. – O czym

mówisz?

– O tym człowieku, którego zwinęli w łapance, a ja miałem wpisać jego nazwisko do raportu. I wpisałem. Problem w tym, że nikt taki nie trafił w ostatnich dniach ani na Pawiak, ani do żadnego innego więzienia czy aresztu...

– To dobrze – wyrwało mi się, a potem spojrzałem z przerażeniem na dawnego szkolnego kolegę, a do tego druha z jednej paczki.

– Dobrze?

Przestąpiłem z nogi na nogę. Czułem się, jakbym coś przeszkrobał i wezwano mnie do gabinetu dyrektora, gdzie miałem się wytłumaczyć ze swego postępku, następnie z pokorą przyjąć karę.

– Pewnie, że dobrze – odpowiedział sam sobie po chwili „Jajarosław”, a do tego się uśmiechnął, dzięki czemu nie musiałem się zastanawiać, czy słuch aby mnie nie myli; za wcześniej jednak było na radość, zawsze przecież było jakieś „ale”.

– Ale? – zawiesiłem głos.

– Nic. – Wzruszył ramionami. – To tyle. Wpisałem do papierów inne nazwisko winnego, zatrzymanego tego samego dnia na Marymoncie. Myślisz, że brakuje nam więźniów? Albo że mamy u siebie taki *ordnung*? Nic podobnego! Mówiłem ci, że starego nie ma i można pisać, co się chce. Przyszedłem tylko po to, żeby ci to powiedzieć: nie wiem, co ci zrobił Lech Adamski, ale pewne jest, że nie siedzi. Niestety, na szczęście – możesz wybierać. Być może wpadł w kocioł, ale udało mu się jakoś z niego wykaraskać. To wszystko.

– Nie wszystko, przyjacielu – dobiegło nagle od drzwi. – Musisz nam coś powiedzieć.

Ze splecionymi na piersiach rękami i uniesioną prowokacyjnie brodą stał w nich podchorąży Michalski.

*

Gdy niemal pół godziny później lekko zadyszany wchodziłem do mieszkania z butlą bimbru w kieszeni, z naszego salonu dochodziły tylko stłumione, przypominające brzęczenie owadów głosy. W

oparach tytoniowego dymu siedzieli tam niegdysiejsi koledzy z jednej klasy słynnego warszawskiego liceum Stefana Batorego, których pokrętny los zapędził tego dnia na Jasną.

Ten, który się spóźnił na spotkanie, a jednocześnie napędził wszystkim porządnego stracha, Jarosław Lenc, siedział w głębokim fotelu z wyciągniętymi nogami. Odpiął guzik kołnierzyka mundurowej bluzy, a jego czapka z krokiewką na otoku leżała na stole do góry dnem.

– Ja nie wiem, co mam wam poradzić – westchnął. – Opowiedziałem wszystko, co wiem o tej sprawie. Z tego, co mi mówili, przywieziono wczoraj na Pawiak dwie ciężarówky ludzi. Wszyscy się dziwili, skąd ich zgarnięto, bo każdy wystrojony, że hej. Dopiero potem się dowiedzieliśmy, że to był ślub. Pierwszy razem się z czymś takim spotkałem. Bywało, że wygarniali z kościołów, ale żeby ze ślubu...

– Da się kogoś uwolnić z Pawiej czy nie? – przerwał mu pan Jacek.

– Za pieniądze – ni to stwierdził, ni to zapytał policjant.

– Tak, ale w ołowianej walucie – sprecyzował Władek bez uśmiechu.

Stary i poczciwy „Jajarosław” spojrział na niego i pokręcił głową z dezaprobatą, a może tylko z politowaniem.

– Nic nie słyszałem. W ogóle mnie tu nie było – mruknął, po czym wstał z miejsca i zaczął się mocować z najwyższym guzikiem. – Mogę wam tylko jeszcze powiedzieć, że najprawdopodobniej jutro wypuszczą kobiety. Ale tylko te stare.

– Nie napijesz się z nami? – zapytałem, wyjmując z kieszeni flaszkę zakupioną tam, gdzie polecił mi to zrobić zorientowany we wszystkim Franek.

Przodownik podciągnął pas, który ciągnęła ku dołowi kabura z gnatem.

– Może innym razem – rzekł. – W lepszych czasach.

Skierował kroki ku wyjściu, ja zaś, jako gospodarz, za nim. Zdążyłem tylko przekazać cenny towar panu Jackowi, bo akurat stał najbliżej.

– Przepraszam za najście – szepnął Lenc. – Nie powinienem tego robić. Tylko zdenerwowałem chłopaków i ciebie.

– Może lepiej, jak wiedzą, że nosisz ten mundur – zauważyłem.

– Żeby mnie przypadkiem nie ustrzelić? – zaśmiał się. – Masz tu numer do mnie, dzwoń, jakbyś wpadł w kłopoty. – Wcisnął mi do ręki kartkę.

Wzięłem ją, ale nic nie odpowiedziałem. Po chwili zamknąłem za nim drzwi i odetchnąłem z ulgą.

Napatoczył się Bielawny. Pobiegłem po bimber, więc jeszcze nie zdążyłem mu przekazać nowin Lenca, które dotyczyły przecież nas obu. Zrobiłem to teraz, a za dekoracje znów posłużyły kuchenka, taborety i stół. Tym razem nikt nas nie podsłuchiwał.

Czesio wysłuchał mnie z dokładnie tą samą miną, którą zauważyłem u niego, kiedy przed paroma godzinami spowiadał.

– Będziemy wiedzieć więcej, gdy Adamski przyjdzie do fotoplastikonu – rzekł.

– A tego byśmy nie chcieli, prawda? – zauważyłem.

– Wtedy będziemy wiedzieć, na czym stoimy. W razie czego Franek jest blisko.

– No tak. Niezawodny Franek.

Chciałem jeszcze przez chwilę się wyzłośliwić, ale z salonu dobiegły podniesione głosy, raczej zadowolenia niż gniewu. Prawdopodobnie koledzy otworzyli butelkę bimbrowy, rozlali do szklanek i kieliszków, po czym opróżnili je na zdrowie.

*

Wypiłem i ja, ale tylko jeden kieliszeczek. Bimber był dobrej jakości, więc postanowiłem zapamiętać sobie ten adres. Potem mnie jakoś zbyt szybko zmogło. I jak przyłożyłem głowę do poduszki, obiecując sobie, że to tylko na chwilę, aby trochę odsapnąć, i że zaraz wrócę, tak obudziłem się rano. Dobrze powiedziane: rano. Dochodziła dziesiąta!

W mieszkaniu nie było nikogo prócz mnie i królika, który zaczął mi się plątać pod nogami, gdy przygotowywałem herbatę. Zniknęli konspiratorzy, poszedł sobie Franek Bela, by załatwić swoje geszefty. Nawet Ołena wyszła, prawdopodobnie chciała zdobyć coś do jedzenia,

a może towarzyszyła Czesiowi w fotoplastikonie. Ktoś musiał przecież sprzedawać bilety.

– Skoro już żyjesz i wiele wskazuje na to, że będziesz żył dalej, trzeba by cię jakoś nazwać, przyjacielu – powiedziałem do zwierzaka.

Podniósł łepkę i poruszył uszami. Kim byli ludzie, którzy potrafili takie miłe i niewinne stworzenie pozbawić życia, a potem obdrzeć ze skóry i zjeść? Zaraz odegnałem jednak od siebie tę myśl – byłem przecież w tej dobrej sytuacji, że miałem ojca przemytnika i mięso ze wsi na stole. Przynajmniej na razie.

– Leo – ochrzciłem go po chwili namysłu. – Będziesz nosił imię Leo. Na cześć pewnego człowieka, którego kiedyś znałem. Chociaż mogłem poznać lepiej...

Królik poruszał śmiesznie pyszczkiem i białymi wąsikami, po czym pokicał do przedpokoju, gdzie miał swoje leże w pudełku po butach. Wtedy uświadomiłem sobie, że nie wiem nawet, czy to samiec, czy samiczka. Ale imienia zmieniać już nie chciałem.

Ech, jaką rozkoszą było chodzić po pustych pokojach, wysprzątanym dokładnie mimo tylu niedzielnych, w dodatku niespodziewanych gości, pławić się w ciszy. Tak miało być od wielu dni. Niestety, okazało się, że mam zbyt cienką skórę. A teraz, po tym jak zostaliśmy zwabieni w pułapkę, Czesio nieprędko komuś zaufa. Albo nawet wcale, a wtedy będziemy razem mieszkać, dopóki nie wrócą ojciec i Alina z dzieckiem. A i to, znając mojego tatę, nie było żadną gwarancją.

Rozpoczął się zwykły poniedziałek. Gdzieś tam ktoś wiązał przed lustrem krawat i zapinał guziki mankietów koszuli, choć przecież za parę chwil będzie musiał go poluzować, a rękawy podwinąć wysoko, bo inaczej niewygodnie jest badać przesłuchiwanego. Inny czyścił już broń, która nie mogła zawieść w najważniejszym momencie. Ktoś klęczał pod ścianą celi i modlił się żarliwie, prosząc o szybszy koniec. Cicho szeleściły pieniądze, dzięki którym ktoś inny, kto miał więcej szczęścia i bogatszą rodzinę, mógł odzyskać wolność.

Zjadłem w spokoju śniadanie, ubrałem się i miałem wolne. Wyjrzałem przez okno na ulicę, zastanawiając się, jak spędzę ten dzień. Do tej pory to ktoś inny decydował za mnie. Teraz czułem, że

nastąpiła zmiana i wreszcie mam w tym temacie coś do powiedzenia.

– Pójdziemy na krótką przechadzkę – powiedziałem do osobnika w lustrze.

Pomysł przyjął sceptycznie. Tak przynajmniej wywnioskowałem z jego chmurnego spojrzenia. Ale potem widać rozważył wszelkie „za” i „przeciw”.

Zszedłem na dół, niespiesznym krokiem przeciąłem podwórko i znalazłem się na ulicy. Po chwili namysłu wybrałem drogę na południe. Może ten nieufny, co szedł ze mną, bał się, że kiedy skręci w prawo i po kilku chwilach dotrze do Świętokrzyskiej, znów napatoczy się na konspiratorów, a ci zechcą wypić dla kuraju.

Minąłem Chmielną, wszedłem w Bracką, ale po kilku krokach zawróciłem – na tyle gwałtownie, że wzbudziło to niepokój kilku innych przechodniów. Chwilę później skręciłem w Chmielną i spokojnym krokiem podążyłem w stronę Nowego Światu.

Czas mijał i nic się nie działo. Łazikowałem po Śródmieściu, zdany na swego rodzaju wewnętrzny samoster, na którego działanie składały się zmysły wzroku i słuchu, rzadziej zapachu. Czasem dołączało do nich serce, gdy ten czy ów budynek czy zaułek przywodził na myśl konkretne zdarzenie i osobę. A czasem żołądek, domagając się pożywienia.

Tym razem jednak pracę mojego samosteru coś zakłóciło: oto bowiem znalazłem się nie gdzie indziej jak przed wejściem do fotoplastikonu Czesia Bielawnego.

Jak już jestem, to może w końcu obejrzę program dla dorosłych – pomyślałem.

Wszedłem do środka. Z miejsca ogarnął mnie przyjemny chłód. Czerwcowe słońce nad Warszawą poczynało sobie bowiem coraz śmieiej, ku udręce mieszkańców, którym zakazano wejścia do większości parków i nie pozwalano na plażowanie nad Wisłą.

– Pokój temu domowi – rzuciłem od progu, chociaż nie dostrzegłem nikogo, do kogo mógłbym to pozdrowienie zaadresować.

Zaraz za drzwiami znajdowało się okienko, gdzie można było zapłacić za wejście. Było jednak zamknięte. Poszedłem dalej i... stanąłem jak wryty. Na środku pomieszczenia, w którym znajdowała

się drewniana rotunda, stało dwóch Niemców w mundurach. Między nimi zaś, niższy o głowę od obydwu, Czesław Bielawny. Wszyscy trzej spojrzeli na mnie. Chyba zakłóciłem im jakąś rozmowę. Czy i dla kogo nieprzyjemną, co do tego nie można było mieć większych wątpliwości w tym miejscu i czasie.

– Przepraszam. – Zrobiłem krok do tyłu. – Nie wiedziałem, że nieczynne.

– Ale zapraszamy, zapraszamy do środka – odezwał się Bielawny.

– Tak, dziękuję. – Uśmiechnąłem się wymuszenie.

Mimo że miałem na to sekundy, a może nie miałem już ani chwili, próbowałem dociec, co chce mi przekazać. Jego głos brzmiał normalnie. Jednocześnie układałem w głowie drogę ucieczki, usiłując odpowiedzieć na najważniejsze w tym momencie pytanie: ile metrów zdołam przebiec, nim dosięgną mnie ich kule?

– Fotoplastikon jest czynny – dodał właściciel przybytku, a jeden z mundurowych, który najwyraźniej rozumiał po polsku, potwierdził niemo.

Dopiero teraz zauważyłem, że obaj trzymają czapki w rękach. A przecież nie aresztuje się nikogo, trzymając czapkę w ręku!

– Spróbujemy za tydzień, tak jak pan powiedział – rzekł łamaną polszczyzną niemiecki oficer, po czym obaj z kamratem uśmiechnęli się do Czesia, jednocześnie założyli czapki i opuścili pomieszczenie.

Opadłem ciężko plecami na ścianę, z trudem oddychałem, a w plecy połaskotała mnie strużka potu.

– Co to było? – wydusiłem z siebie w końcu.

– Nie co, a kto – sprostował. – Klienci.

Po czym odwrócił się i pochylił nad stołem, gdzie leżały tajemniczo wyglądające niewielkie przedmioty, najprawdopodobniej jakieś części maszynery, bo zauważyłem wśród nich także żarówki, niektóre mocno przydymione.

– Nie mamy na drzwiach kartki, że Niemców nie obsługujemy – tłumaczył. – A oni pytali, czy nie mam jakiegoś programu z Bawarii, skąd obaj pochodzą i do której tęsknią. Odpowiedziałem, że dopiero od niedawna prowadzę tę budę i muszę poszukać.

Otarłem pot, który wystąpił mi także na czoło.

– Adamski był? – zapytałem, bo nic innego nie przychodziło mi w tej chwili do głowy.

– Nie – odpowiedział Czesio.

Jakoś odechciało mi się oglądać program z gołymi babami. Poinformowałem jeszcze Bielawnego sucho, że jego luba wybyła z domu i nie wiem, gdzie jest. Po czym, nie czekając na reakcję, odwróciłem się i opuściłem pomieszczenie.

*

Kolejne dni mijały mi jak klatki, które przesuwały się w maszynerii Czesiowego fotoplastikonu. Tylko zamiast meksykańskich wiosek były kamienice stojące wzdłuż Alej Jerozolimskich i Nowego Świata, a w miejsce śniadych, czarnowłosych osobników o nieufnym spojrzeniu – trochę jaśniejsze – choć lato zbliżało się wielkimi krokami – oblicza warszawiaków.

Ojciec przysłał mi pocztówkę. Swym starannym pismem, które lubiłem, skreślił kilka zdań, że u nich wszystko w porządku, małemu wiejskie powietrze służy, śpi dobrze i daje się wysypiać rodzicom, prawie w ogóle nie płacze. Zrobili już kilka wycieczek, do lasu i nad rzekę. A jako że mój kochany ojczulo nigdy nie lubił dostawać niczego za darmo, pomagał gospodarzowi, pracując na roli, choć najwięcej roboty będzie przecież dopiero za nieco ponad miesiąc, przy żniwach. A potem przy próbie ocalenia tego, co się zebrało, przed kontyngentem. Ale mimo to po prostu sielanka! Tylko znaczek był z gapą i swastyką.

Czesio Bielawny i jego Ołena nadal mieszkali na Jasnej, ale nie mogłem narzekać. Dziewczyna, mimo że w błogosławionym stanie, była bardzo robotna. Pokoje zawsze starannie wysprzątała, nie uświadczyłaś nawet odrobiny kurzu. Do tego udawało jej się jakoś zdobywać żywność, choć tylko podstawowe produkty.

Jako że zmagazynowane w naszej spiżarni zapasy mięsa i wędlin zaczynały się kurczyć, któregoś dnia, gdzieś w połowie czerwca, sam ruszyłem na szmuglerski szlak. Ojciec by tego nie pochwalił, ale teraz

go nie było, a jeść przecież musieliśmy.

Po serii pogodnych dni przyszła plucha, co przyjąłem z zadowoleniem, spodziewając się mniejszej aktywności żandarmów i bahnschutzów. I miałem rację. Po drodze udało mi się nie spotkać nikogo, kto mógłby pokrzyżować mi plany. Do Warszawy wróciłem po dwóch dniach peregrynacji po okolicznych wsiach, a były to tylko znajome i sprawdzone miejsca, obwieszony wszelkim dobrem.

Część od razu postanowiłem sprzedać u Bajtla. Sklepikarz był na miejscu.

– W samą porę, panie Antku – ucieszył się.

– A co? Jakaś grubsza zabawa się u pana szykuje? – zainteresowałem się, powoli odpinając guziki płaszcza.

– U mnie nie, córka się nie kwapi do zamążpójścia – zrobił kwaśną minę. – Mam na myśli klientów. Zauważył pan kolejkę przed sklepem?

– Nie.

– No właśnie. I tak jest od dłuższego czasu. Lato coraz bliżej, owoce będą, to i klientów mam coraz mniej. Tyle że kiełbasa ci na gruszy nie urośnie.

Tymi słowy powitał pierwszą porcję jałowcowej, która kilkunastoma pętami otaczała mój brzuch i klatkę piersiową, robiąc ze mnie podejrzanego grubasa. Sklepikarz pociągnął z lubością nosem, po czym sięgnął po nóż i odkroił dwa plasterki, każdy o szerokości około centymetra.

– Nie możemy sobie odmówić, panie Antku. – Podał mi jeden nadziany na ostrze.

Nie odmówiłem, choć częstował ze swojej puli. Sam też przez chwilę żuł kawałek. W pewnej chwili otworzył oczy, sięgnął pod kontuar. Butelka miękko stuknęła o drewniany blat.

– Musimy wypić pod te delicje. – Rozlał nieco mętnawy płyn do dwóch kieliszeczków. – Kiedyś zapraszałem pana na zaplecze na kawę i ciastka – westchnął.

– I płacił mi pan za dźwiganie skrzynek z pomarańczami, mówiąc zawsze, że na lody z panną – dorzuciłem z uśmiechem.

– Pamięta pan...

– Piękne czasy zawsze się pamięta.

– Trochę to dziwnie brzmi w ustach tak młodego człowieka, ale trudno nie przyznać panu racji. Niestety, teraz już nie ma czego dźwigać, a i o lody nie tak łatwo. Ostatnio widziałem w jakiejś kawiarni na Mokotowskiej. Zostały nam tylko panny.

Wypiliśmy, po czym każdy z nas zagryzł jeszcze jednym plasterkiem jałowcowej, tym razem jednak cieńszym o połowę. Pan Bajtel chciał rozlać jeszcze po kieliszku, ale pokręciłem głową.

– Wystarczy – powiedziałem. – Trochę przesadziłem z gospodarzami, od których mam towar. Dodają im do każdego kontyngentu, więc mnie za każdym razem częstowali. A niegrzecznie odmówić...

– Bo kto nie pije, ten kapuje – dokończył ze swadą znajomy sklepikarz, po czym schował butelkę z powrotem pod kontuar i odstawił kieliszki. – To co, gotówka czy komis?

– Poproszę o zaliczkę.

– Trzy górale wystarczą?

*

Pięć minut później byłem w mieszkaniu. Na miejscu zastałem porządek i Olenę. Jedno wynikało zresztą z drugiego. Dziewczyna powitała mnie uśmiechem i zapewnieniem, że podczas mojej nieobecności nic złego się nie wydarzyło.

Gdy zacząłem wypakowywać wiejskie specjały, aż usiadła na taborecie. Przez dłuższą chwilę nie była w stanie wydobyć z siebie głosu. Tylko wpatrywała się w mięso, jakby nie była do końca pewna, że jest prawdziwe. Dopiero kiedy odkroiłem kawałek wędzonej szyneczki i podałem jej na widelcu, ocknęła się.

– Wspaniała – wyszeptała po chwili, rumieniąc się. – Moja mama taką robiła.

– Jedz za dwoje. Smacznego. – Uśmiechnąłem się.

– Dziękuję.

Trochę czasu i trochę wysiłku kosztowało mnie umieszczenie wszystkich przywiezionych ze wsi zapasów w spiżarni i lodówce. Gdy

się z tym uporałem, marzyłem tylko o położeniu się do łóżka, mimo że był środek dnia. Już ściągnąłem buty i miałem zacząć realizować swój zamiar od zasunięcia zasłon, gdy z kuchni dobiegł mnie krzyk Ołeny.

Wyskoczyłem jak z procy. Dziewczyna siedziała tam, gdzie ją zostawiłem, czyli na kuchennym zydelku. Gdy krzyknęła, przestraszyłem się, że może się oparzyła albo skaleczyła, bo przecież o tego typu urazy w tym miejscu najłatwiej. Ale ona trzymała się za brzuch.

– Co się stało? – Dopadłem jej kolan.

– *Nie znaju*. Boli.

Otrułem ją – ta myśl pojawiła się w mojej głowie przed wszystkimi innymi.

– Zaszkoziła ci kielbasa? – wypowiedziałem na głos słowa, z których jedno brzmiało straszniej od drugiego.

Zaprzeczyła. Mimo to nie byłem przekonany, więc nie spuszczałem z niej wzroku. Musiała wyczuć, o co mi chodzi, bo po chwili wykonała ruch podobny, ale bardziej zdecydowany.

– Wstałam i wtedy nagle zaczęło mnie boleć. – Dotknęła prawą dłońią brzucha. – Żeby tylko nic z dzieckiem, Boże...

Zerwałem się na równe nogi. Nie czułem już znużenia. Zastanawiałem się, co począć. Gdy kilka miesięcy temu na świat przyszedł mój przyrodni brat, leżałem półprzytomny po wyjściu z getta. Przeklinałem chwilę, w której pozwoliliśmy odejść z naszego domu ukrywającemu się Żydowi, doktorowi Grabowskiemu. Były z nim co prawda kłopoty, bo nie zawsze radził sobie psychicznie z niekomfortową sytuacją, ale kiedy było trzeba, potrafił stanąć na wysokości zadania i niósł naszej rodzinie fachową pomoc.

Ołena jęczała coraz bardziej. Kiwała się do przodu i do tyłu. Z oczu płynęły jej łzy.

– Boli... – wyjęczała.

I wtedy sobie przypomniałem: mieliśmy przecież w kamienicy Harczyka lekarza! Mieszkał tu dopiero od kilku tygodni, więc nie od razu skojarzyłem. Pierwsze piętro, mieszkania trzy. Albo cztery...

Znów klęknąłem u stóp cierpiącej.

– Zostań tu. Oddychaj. Zaraz wracam. Wszystko będzie dobrze –

wyrzuciłem z siebie jednym tchem i już mnie nie było.

Piętnaście sekund zajęła mi droga pod drzwi mieszkania medyka. Zapukałem najpierw do tych z miedzianą trójką. Nacisnąłem też guzik dzwonka. Nic. Cisza.

– Niech to będzie czwórka – szepnąłem sam do siebie, a tak naprawdę do całego świata, po czym zastukałem do drzwi naprzeciwko.

Już miałem zadzwonić, gdy drzwi się otworzyły i na progu stanął on.

– Przepraszam... Dzień dobry... Kobieta... – wydyszałem bez ładu i składu.

Nie miało to jednak znaczenia, bo lekarz, a był to wysoki, dość przystojny pan lat około czterdziestu, skupił uwagę na mojej ręce, którą wskazywałem ku górze.

– Moment – rzucił, po czym zniknął.

Dopiero gdy to się stało, uświadomiłem sobie, że mężczyzna, który otworzył mi drzwi, był niemal zupełnie nagi. Miał na sobie tylko ręcznik...

*

– Zasnęła. – Delikatnie zamknął drzwi sypialni i przełożył skórzany kuferek z lewej ręki do prawej.

Czesio szybkim ruchem schował za plecami stulę, którą jeszcze przed chwilą miał na szyi, gotową do użycia. Fioletem do góry. Może nie wierzył w umiejętności naszego sąsiada, nie znał go przecież. A może bał się, że właśnie nadeszła z niebios okrutna kara za porzucenie kapłaństwa. Wymierzona, by bardziej zaboląło, w ukochaną.

– Jestem ojcem? – zapytał naiwnie, a jego twarz wyrażała jednocześnie radość i niepokój.

Lekarz uśmiechnął się wąsko.

– Jeszcze nie, ale będzie pan. Choć mało brakowało, a opłakiwałby pan oboje. Na szczęście zagrożenie minęło. Żona musi teraz

wypoczywać. Podobnie jak ja, bo pański kolega zbudził mnie po nocce. – Z trudem opanował odruch ziewania.

– Przepraszam – bąknąłem.

– Nie szkodzi. Zachował się pan jak trzeba. Gdyby tylko działo się coś niepokojącego, proszę do mnie przyjść. Bez względu na porę dnia czy nocy. Zawsze pomogę. Oczywiście pod warunkiem, że będę w domu.

Zaśmialiśmy się mimo wszystko, chociaż ja wciąż miałem miękkie nogi. Kiedy bowiem pół godziny wcześniej wpadliśmy z doktorem do naszej kuchni, Ołena już leżała podłódze. Wspólnymi siłami udało nam się przetransportować ją do sypialni, a potem musiałem wyjść. Chwilę później z pracy wrócił na obiad niczego niepodejrzewający Czesio.

– Ile się należy, panie doktorze? – Bielawny sięgnął do kieszeni po portfel.

– Niech pan da spokój! – zachnął się medyk. – Przecież nie będę brał pieniędzy od sąsiadów.

Ale ja wiedziałem, jak mu się odwdzięczyć. Szybko wybiegłem do spiżarki, aby zaraz wrócić stamtąd ze sporym pętem suchej kielbasy i kawałkiem szynki.

– Ale poczęstunku pan doktor chyba nie odmówi?

W odpowiedzi otworzył swój lekarski kuferek, do którego wrzuciłem wiejskie zdobycze.

*

Kilka dni po świętym Janie spotkałem się ponownie z Władkiem Michalskim. Przypadkiem wpadliśmy na siebie niedaleko kawiarni Bliklego na Nowym Świecie.

Właściwie to ledwo go poznałem, Michalski miał bowiem na sobie elegancki garnitur, białą koszulę i krawat, na nogach zaś starannie wypastowane buty. Niby tak samo ubrany był tamtego pechowego dnia, gdy przyjechał z lasu na ślub kolegi z konspiracji, a jednak inaczej. Wielkomiejski sznyt – tak to z miejsca określiłem. Ale wtedy

był leśnym stworzeniem, który tylko na chwilę, a i pewnie z niechęcią przebrał się w strój cywilizowanego człowieka.

– Co dobrego? – zapytał pierwszy.

– Nie narzekam – odpowiedział, zresztą chyba zgodnie z prawdą.

– Mamy wreszcie lato.

– Nie da się ukryć.

Patrzył na mnie przez chwilę, jakby rozważał w duchu, czy tak jest w istocie. A tak naprawdę zastanawiał się chyba, ile ma czasu, bo zaraz wskazał na witrynę kawiarni.

– Usiądziemy?

– Na małą chwilę mogę. – Zgodziłem się, chociaż tak naprawdę nie miałem przecież nic do roboty.

Był to jeden z tych dni, który przemijał niczym sesja w fotoplastikonie. Zdarzenia, które wydawały się ważne, i twarze, które powinny wryć się w pamięć, po chwili ulatywały z niej i znikwały niczym spaliny samochodów.

Weszliśmy do środka. Akurat zwolnił się stolik. Usiedliśmy. Gdy zjawiał się kelner, Władek bez pytania mnie o zdanie zamówił dwa koniaki. Następnie pochylił się nisko nad stolikiem.

– Pewnie się dziwisz, że nie wódka, co?

Nic nie odpowiedziałem. Może przy kim innym byłoby to zachowanie niegrzeczne, teraz jednak naprzeciw mnie siedział kolega, a do tego partyzant, który szukał wszy. Przegrupowany do miasta, ale wciąż partyzant.

Chciałem o to zapytać, oczywiście używając jakiegoś kodu. Ale Władek był szybszy.

– Awansowałem – rzekł niezbyt głośno, choć wypiął pierś, jakbym za chwilę miał do niej przypiąć medal za odwagę.

– Gratuluję.

– Na podporucznika – sprecyzował, żeby nie było wątpliwości.

Aj, dosłownie pęczniał nasz Władzio z dumy! Byłem pewien, że gdyby mógł, poinformowałby o tym po kolei wszystkich gości i personel kawiarni włącznie z tymi na zmywaku, a może nawet przechodniów na Nowym Świecie. A najchętniej to przemaszerował po Śródmieściu w paradnym mundurze ze srebrną gwiazdką na

pagonie i otoku rogatej czapki. Konspiracja konspiracją, ale pokusa była. Rozumiałem go doskonale.

Póki co jednak mógł pochwalić się upragnionym awansem tylko dawnemu szkolnemu koledze przy kawiarnianym stoliku, gdzie dwa metry na lewo ktoś handlował osmaloną biżuterią, a na prawo negocjował z kurwą cenę za godzinę spędzoną w niedalekim hoteliku. Gdzieś tam, za ścianką, ktoś, komu nie posłużyły serwowane tu słodkości, a może wczorajsza kolacja, naprędce rozpiął spodnie. I zaraz zabrzmiała salwa na cześć świeżo upieczonego oficera sił zbrojnych Polskiego Państwa Podziemnego.

Tymczasem kelner przyniósł zamówienie.

– Proszę, dla panów koniaczek – rzekł, zdejmując z galanterią kieliszki z tacy. – Czy może skuszą się panowie na coś słodkiego?

– Tylko ust maliny – wypaliłem bez namysłu, a Michalski podniósł w górę szkło; spojrział na zdezorientowanego kelnera i przez chwilę bałem się, że jemu też zaraz pochwali się awansem. – Zdrówko, panie starszy! – powiedział tylko.

Skonfundowany kelner oddalił się. Upiłem nieco koniaku. Skrzywiłem się, gdyż nie byłem przyzwyczajony do takich trunków. Nie miałem też pojęcia, ile kosztują. Na szczęście to szybko się wyjaśniło, bo beneficjent zakomunikował, że stawia.

– Nie powiedziałem ci jeszcze wszystkiego – rzekł z dumą Michalski. – Wraz z awansem otrzymałem też zupełnie nowe zadania. Właściwie dostaliśmy je z Jackiem. On już jest kapitanem. Nie wiem, czy wiesz.

– Teraz już wiem. Nieźle!

– Pewnie, że nieźle. Obaj będziemy teraz pełnili służbę w najbliższym otoczeniu...

Nie dokończył, ponieważ ktoś stanął przy naszym stoliku. Z początku myślałem, że to znów ten kelner, chcący wcisnąć nam nieświeże pewnie ciasteczka. Nim którykolwiek z nas zdążył podnieść wzrok, nie wspominając już o tym, by zaprotestować, natręt jak gdyby nigdy nic odsunął krzesło i dosiadł się do nas.

– Panowie, jest sprawa – odezwał się szeptem.

A ja znałem skądś ten głos i tę twarz. Niewielki pan po czterdziestce uśmiechał się przepraszająco, spoglądając to na mnie, to na Władka. I

już wiedziałem, że raczej nie mamy do czynienia ze szmalcownikiem ani kombinatorem.

– Moje nazwisko Kulawczyk, jestem chemikiem, byłem wykładowcą na warszawskiej politechnice – zaczął z sapką tamten. – Przepraszam, że się przysiadłem bez pozwolenia, ale szukam kontaktu...

– W ścianie pan sobie poszukaj – mignął Władzio.

– Poczekaj, Władek – uspokoilem go półgłosem. – Ja znam tego człowieka. Naprawdę jest doktorem chemii.

Pamiętałem tamten dzień, wcale nie tak odległy. Wtedy naukowiec również dosiadł się do stolika, ale w innym lokalu. Jadłem wówczas obiad z dopiero co uwolnionym z potrzasku Lechem Adamskim. Był to nasz pierwszy i ostatni wspólny posiłek.

Oby tak nie było i w tym wypadku – przeszło mi przez myśl.

– Co pan sprzedaje? – chciał wiedzieć udobruchany już, ale wciąż starający się trzymać dystans podporucznik Michalski.

– Nic, a właściwie to owszem, tak... – Naukowiec najwyraźniej się zakałapuśkał. – Ale nie o pieniądze tu chodzi, panowie.

– Referujcie, Kulawczyk – rzekł na wojskową modłę oficer.

– Już, już mówię. Otóż w wyniku wielomiesięcznych badań i eksperymentów udało mi się stworzyć nową, ale to zupełnie nową, cudowną broń.

Ostatnie słowa pan Kulawczyk wypowiedział niemal niesłyszalnym szeptem. Zamrugał oczami, zwiotczał, jakby nagle wypuszczono z niego powietrze.

Teraz powinien nadejść kelner, chwycić go za kołnierz i wyrzucić won z kawiarni – spekulowałem w myślach.

Tak się jednak nie stało. Nastawiłem uszu w oczekiwaniu na szczegóły, jaką to śmiercionośną broń wymyślił ten skromny człowiek. Bombę atomową? Raketę zdolną pokonać tysiąc kilometrów? A może miny przeciwpiechotne, które same przemieszczają się pod ziemią? Nie mogłem się nie uśmiechnąć, pomyślawszy o tym ostatnim.

Niestety, to się chyba nie spodobało uczonemu. Spojrzał na mnie, jakbym był nieprzygotowanym do kolokwium studentem. Zawsze wiedziałem, że większość profesorów to wariaci, a reszta – furiaci.

– No, niech pan opowiada – zachęcał Władek, który naprawdę wyglądał na zainteresowanego, ba! może już nawet widział oczami wyobraźni, jak melduje o tym przełożonym, a na jego ramieniu pojawia się druga, porucznikowska gwiazdka.

Ale wtedy Kulawczyk wstał z krzesła.

– Przepraszam, ale chyba zaszła pomyłka – rzekł, zapinając guzik wyświechtanej marynarki. – Do widzenia panom.

– Co pan gadasz, ja naprawdę jestem...

Chwyciłem Władka za rękę i ścisnąłem z całej siły. Rozejrzałem się dookoła. Szedłem o zakład, że w każdej knajpie siedzi tajniak i tylko czeka, aby poprosić właściciela o możliwość skorzystania z telefonu, a potem podać hasło i adres.

Po chwili szalony chemik, drobiąc kroki niczym Charlie Chaplin, opuścił kawiarnię Bliklego.

– Cholera – zaklął Władzio.

Nie zamawialiśmy już więcej koniaku. Na szczęście Michalski szybko odzyskał humor, opowiadał historię o swoich sąsiadach, która miała być zabawna, mnie jednak jakoś nie śmieszyła. Tylko z uprzejmości raz na jakiś czas pokazywałem zęby. Potem wyszliśmy, pożegnaliśmy się i każdy pomaszerował w swoją stronę. Idąc w kierunku domu, zauważyłem, że doktor Kulawczyk wchodzi chyba do innego lokalu. Ale mogło mi się tylko wydawać.

*

Ponownie zobaczyliśmy się z Władkiem po kilku dniach. Wpadł na Jasną. Z oczywistych względów nadal nie było mu dane włożyć galowego munduru. Nie przeszkadzało mu to jednak zachowywać się tak, jakby miał go na sobie. Te sprężyste ruchy, ten krok, a nawet mina. Mina ułana, który właśnie usiekł pół tuzina wrogów. Nawet jak Władzio siedział, widać było, że to oficer. Gdzie to podpatrzył, czort jeden wiedział. Z tego, co pamiętałem, w jego rodzinie nie było wojskowych tradycji.

– Wpadłem, bo mam do ciebie sprawę – rzekł. – Nie przeszkadzam?

– Mam konferencję w Belwederze, ale to dopiero o szóstej. Napijesz się czegoś? – zapytałem i od razu tego pożałowałem; w domu nie było bowiem ani kropelki alkoholu.

Na szczęście podporucznik pokręcił zdecydowanie głową.

– Nie, dzięki. Dzisiaj akurat jestem na służbie.

Nagle, nie wiedzieć czemu, bardzo zapragnąłem usłyszeć, co dokładnie robi.

– Ostatnio zacząłeś mówić, że pełnicie służbę w najbliższym otoczeniu kogoś ważnego – zagałem nieśmiało.

Dumnie uniósł podbródek i wypiął pierś. Aj, chyba dotknąłem czulej struny. Wiedziałem już, że pokusa pochwalenia się przydziałem jest w tym przypadku zbyt wielka w porównaniu z tajemnicą służbową.

– Moim zadaniem jest ochrona generała G. – powiedział. – Najwyższego dowódcy. Tylko tyle ci mogę powiedzieć.

Gwizdnąłem z podziwem.

– Gratuluję.

– Dlatego dzisiaj nie piję. Ani pół kropelki. Ale jutro, czemu nie?! To byłoby nawet wskazane.

– A co takiego ma się zdarzyć jutro? – zapytałem.

Uśmiechnął się tajemniczo, z czego wywnioskowałem, że szykuje się jakaś grubsza akcja. Nieraz słyszało się na ulicy, że już niedługo wybuchnie w Warszawie powstanie, a naród wreszcie się podniesie. W pierwszej chwili odczułem niepokój, który jednak szybko wyparło uczucie ulgi, a to z tego powodu, że ojciec, Alina i dziecko są bezpieczni na wsi. Ja się jakoś zadekuję.

Władek Michalski rozejrzał się naokoło, choć przecież siedzieliśmy w salonie i nie było w mieszkaniu nikogo prócz nas, nie licząc oczywiście królika. Tym razem Czesio Bielawny zabrał bowiem Olenę, która czuła się już znacznie lepiej, ze sobą do pracy.

– Pamiętasz – podjął po chwili ściszym głosem – naszą wyprawę do Pięknej Heleny?

Pamiętałem bardzo dobrze to nieszczęsne wydarzenie, nie miałem jednak pojęcia, dlaczego pyta mnie o to właśnie teraz. Piękna Helena, jak już wspominałem, to był burdelik, w którym mieliśmy stać się

prawdziwymi mężczyznami jeszcze przed maturą. Różnie wyszło. Ja przez tę wyprawę jeszcze przed egzaminem dojrzałości miałem pierwszą styczność nie z kobietą, ale z policją.

– Bardzo dobrze – odrzekłem. – A co cię nagle na wspominki naszło? To przecież było tak dawno...

– Nie chodzi mi o tamten burdel! – denerwował się oficer. – Przecież dobrze pamiętam, że był trefny i mieliśmy z tego powodu problemy. Chodzi mi o to, żebyś mi poradził.

Zamilkł na chwilę. Zauważyłem, że się czerwieni. Podrapał się z zakłopotaniem po głowie, a potem poniżej jabłka Adama.

– Rozumiesz. Człowiek siedzi tyle miesięcy w lesie. Teraz też jest nie lepiej, bo mieszkam sam w wynajętym lokalu. Ciągle muszę warować pod telefonem. A chciałbym jakoś uczcić swoją gwiazdkę...

Wszystko było jasne: Władziowi chciało się panienki, a ja miałem mu pomóc. Problem w tym, że sam nie za bardzo orientowałem się w temacie. Wojna i okupacja musiały wiele zmienić. Z drugiej strony Warszawa pełna była niemieckiego wojska, a wojsko musiało przecież gdzieś chodzić. Nie sądziłem jednak, by Władek chciał udać się akurat tam, gdzie jego wrogowie. Lepiej było nawet o tym nie wspominać.

– Zapytam Belę – obiecałem.

– Będzie wiedział?

– Nasz Bela wie wszystko.

– Mam nadzieję, że nie.

– To znaczy?

– Że nie wie wszystkiego. Bo wtedy musiałbym go zastrzelić.

– Bardzo śmieszne.

*

Ale miałem rację. Franek, który od czasu do czasu jeszcze u nas pomieszkiwał, również od razu przypomniał sobie tamtą pechową wyprawę z wiosny 1938 roku, zakończoną nalotem policji i aresztowaniem wszystkich panienek i klientów, w tym całej naszej paczki. Pośmialiśmy się, choć nie za długo, po czym nasz specjalista od

spraw niemożliwych zafrasował się.

– Przychodzi mi do głowy tylko jeden adres – rzekł po dłuższej chwili, marszcząc czoło w zamyśleniu. – Przyjaciele z Krakowa, którzy przyjechali tutaj w zeszłym miesiącu, mieli podobny problem.

– Pałacy – dorzuciłem z głupia frant.

– Tego akurat nie wiem, czy ktoś jeszcze dba o to, czy panny mają badania – skomentował z powagą. – Ale wysłałem ich właśnie tam.

– To znaczy dokąd?

– Nie odzywali się, więc chyba to przeżyli – zarechotał.

Wreszcie podał mi adres, życząc niezapomnianych wrażeń. Oburzyłem się, że to przecież nie dla mnie, tylko dla Władka, ale i tak spiekłem raka.

– Dobra, dobra – rzucił Franek na pożegnanie, bo znów dokądś emigrował. – Opowiesz mi o wszystkim po powrocie. Może bez szczegółów. Chodzi mi tylko o to, czy lokal działa.

– Czyżbyś planował zmienić branżę?

– Kto wie. Kto wie...

*

Z Władkiem umówiliśmy się następnego dnia. Przed wyjściem z domu zerwałem kartkę z kalendarza. Kończył się czerwiec, a to oznaczało, że za trzy dni minie miesiąc, jak ojciec z bliskimi cieszą się wakacjami pod gruszą, a ja siedzę w pojedynkę w Warszawie. Tak miało być w teorii, bo życie przyniosło przecież coś zupełnie innego. Coś, co jednym zdaniem można by określić jako klęskę urodzaju dawnych szkolnych kolegów. Czasami mi to doskwierało, częściej jednak byłem rad z takiego obrotu rzeczy.

Jednego z nich miałem właśnie zaprowadzić do przybytku rozkoszy. Stało na tym, że pójdziemy tam rano, dzięki czemu unikniemy tłoku i podejrzanego towarzystwa. Michalski nie chciał, żeby cokolwiek zepsuło mu ten dzień.

– Jesteś wreszcie. – Uścisnął mi dłoń; wyglądał na zaaferowanego i, zdaje się, znów był na lekkim rauszu, choć co mnie to mogło

obchodzić – każdy z nas był dorosły.

– Piłeś? – zapytałem mimo to.

– Tylko ociupinę, dla odwagi – wytłumaczył się lakonicznie.

Z placu Zbawiciela, na którym się spotkaliśmy, pojechaliśmy Nowowiejską w kierunku Filtrów. Władek wydobyl z zanadru flaszkę i pociągnął solidny łyk. Zaraz się zreflektował i chciał mnie poczęstować, ale podziękowałem. Drugi raz nie zapraszał.

Niecały kwadrans później zatrzymaliśmy się przed jedną z willi na Kolonii Staszica. Lata temu przyjechałem gdzieś tutaj, aby dostarczyć płytę zamówioną w sklepie, w którym pracowałem. Nieco później, w piwnicach innego domku, miałem treningi strzeleckie. Ale, jak widać, można tu było zaspokoić także inne żądze niż żądza mordu.

– To tutaj – powiedziałem, wskazując wejście do całkiem ładnego budynku. – Bądź grzeczny. Chociaż po rękach nie musisz pań całować. W ogóle możesz sobie darować ten rodzaj pieśczoły...

– Ale ty przecież idziesz ze mną – rzekł na to zdziwiony Władek.

Chciałem parsknąć śmiechem, ale tego nie zrobiłem. Zapłaciłem riksarzowi (na szczęście nie był to żaden znajomy) i obaj z Michalskim spokojnie wstaliśmy z kanapy. Dopiero gdy riksza odjechała, powiedziałem, starając się nie patrzeć Władkowi w oczy:

– Nie stać mnie, przyjacielu. Taka jest prawda.

– Ja zapraszam!

– Ale...

– I nie przyjmuję odmowy, podchorąży. Potraktujcie to jak rozkaz!

To powiedziawszy, objął mnie ramieniem jak za starych szkolnych czasów i pchnął w stronę drzwi. Akurat ktoś otworzył je od środka i z burdelu wyszło dwóch korpulentnych panów. Zupełnie osłupiały, dałem się wprowadzić do wnętrza. Jedna z myśli, które towarzyszyły mi w tej niezbyt długiej przecież drodze, dotyczyła programu dla dorosłych w fotoplastikonie. Wciąż go nie obejrzałem, a tymczasem życie niosło coś o wiele lepszego.

Zaraz za drzwiami niemal zderzyliśmy się z cerberem. Miał ze dwa metry wzrostu, był szeroki w barach i nosił czarny jak smoła zarost.

– Czym mogę szanownym panom służyć? – przywitał nas budzącym respekt basem, któremu powagę odbierał jednak wyraźny kresowy

akcent.

Powtórzyłem wszystko, co usłyszałem od Franka Beli: coś w rodzaju sekretnego hasła, nie był to bowiem lokal dla byle kogo z ulicy. Staralem się niczego nie pomylić, denerwowałem się, przez co głos mi drżał.

Po chwili cerber przekazał nas *madame*. Tak nazwałem w myślach elegancką panią w latach, która zaprowadziła nas do gustownie urządzonego saloniku bez okien.

– Czego się panowie napiją? – zapytała.

Ja grzecznie odmówiłem, ale Władek zażądał lampki koniaku. Madame wyszła z salonu, aby zrealizować zamówienie. Lada chwila można się chyba było spodziewać dziewcząt, taką przynajmniej miałem nadzieję. Świeżo upieczony podporucznik Michalski znów wyciągnął zza pazuchy butelkę, którą w ciągu krótkiej chwili opróżnił.

Patrzyłem na to z niedowierzaniem i przyganą. Bałem się, że wyda pieniądze na darmo. Złowił moje spojrzenie i chyba niezbyt mu się ono spodobało.

– No co? – fuknął. – Nieśmiały jestem, kurwa.

I pijany w sztok – dodałem w duchu.

– Nie staniesz na wysokości zadania – ostrzegłem.

– Nie takie rzeczy się robiło, stary! – odpowiedział, lekko bełkocząc.

Tymczasem *madame* przyniosła na tacce koniak, prosząc nas jednocześnie o cierpliwość. Zdziwiłem się, bo przecież wtedy, gdyśmy jako smarkacze nawiedzili Piękną Helenę, dziwki pojawiły się niemal natychmiast. Ale nic nie powiedziałem. Podziękowałem tylko za poczęstunek w imieniu kolegi, który świata nie widział poza koniakiem.

Gdy znów zostaliśmy sami, przechylił go, upił łyczek, skrzywił się. Jego oczy przysłoniła jeszcze gęstsza mgiełka. Był już niemal zupełnie zalany.

– ...w pierwszym szeregu podąża na bój... – zaintonował fałszywie.

Wtem usłyszałem jakieś męskie głosy. Dochodziły zza ściany, która musiała być bardzo cienka. Coś kazało mi wstać z kanapy i zbliżyć ucho do gładkiej powierzchni.

– Nieładnie... tego... podsłuchiwać... – wybełkotał Władzio, widząc

moje poczynania.

– Zamknij się – warknąłem.

– Jak wy się zwracacie do oficera, żołnierzu?!

Machnąłem ręką, po czym, osłoniwszy ucho dłonią, przywarłem jeszcze bliżej do ściany. Była naprawdę cienka, słyszałem niemal każde słowo. I każde mnie przerażało.

– Boże...

Chwilę później dopadłem Michalskiego, złapałem za poły marynarki i potrząsnąłem.

– Władek, ocknij się!

Niestety, wszystko wskazywało na to, że Michalski właśnie stracił świadomość. Szarpałem nim, mówiłem coraz głośniej, jednak bez skutku.

Wtedy na progu znów stanęła *madame*.

– Zaraz przyjdą dziewczęta – zaanonsowała z promiennym uśmiechem, a jednocześnie otworzyła szeroko oczy.

Pewnie niejedna na jej miejscu by krzyknęła. Ale *madame* chyba nie zdziwiło to, co ujrzała. Przychodziło tu z pewnością wielu kompletnie pijanych klientów, a może nawet niektórzy wdawali się w bójki. Z powodu jakichś dawnych spraw i zaszłości, które na wierzch wypływały dopiero teraz, po kilku głębszych, w niecodziennych dekoracjach. Albo też o dziewczynę, gdy jeden i drugi upatrzył sobie tę a nie inną, a żaden nie zamierzał ustąpić.

Tak sobie myślałem, choć dużo później, gdy przyszedł czas na refleksję. Sporo czasu.

– Władek, ocknij się, do cholery! – Krzyknąłem, po czym wymierzyłem przyjacielowi siarczysty policzek, by po chwili poprawić w drugą stronę.

Pomogło. Otworzył oczy, zamrugął, parsknął.

– Gdzie... gdzie my jesteśmy? – wybełkotał, po czym znów zamknął oczy i zwiotczał.

– Nieważne! Musimy być zupełnie gdzie indziej...

Do *madame* chyba dotarło, że nie zarobi na nas ani feniga. Nie zdążyła nic powiedzieć, oto bowiem podjąłem kolejną próbę podniesienia byłego lekkoatlety, aby wywlec go z pomieszczenia,

a potem z budynku i na ulicę. Niestety, był za ciężki i osunął się na ziemię.

Spojrzałem bezradnie na burdelmameę. Nie, nie poproszę jej przecież o pomoc w dźwiganiu zalanego w sztok osiłka. Choć pozory mogły mylić.

Po chwili ponowiłem próbę, ale bez skutku. Minuty mijały.

– Wody! – krzyknąłem.

Kobieta zniknęła. Po chwili wróciła z blaszanym wiadrem wypełnionym do połowy. Nie obchodziło mnie, czy woda jest czysta, czy nie. Byle była zimna. Złapałem za pałąk, odchyliłem, po czym chlusnąłem prosto w twarz Władka.

– Co, co jest?! – parsknął.

Wtedy podjąłem kolejną próbę: zarzuciłem sobie jego ramię, które było jak u niektórych noga, na kark. Udało się. Szliśmy. Jak po przegranej bitwie, ale szliśmy.

– Proszę. – Wcisnąłem osłupiałej kobiecie banknot do ręki.

W korytarzu minęliśmy panienki, ale nie zdążyłem im się przyjrzeć. Może dobrze, nie będę potem żałował. Kilka chwil później znaleźliśmy się przed willą. Mieliśmy wielkie szczęście: ulicą przejeżdżała wolna riksza. Gwizdnąłem, rikszarz jednak nie zareagował.

– Żeby cię szlag! – krzyknąłem.

W tej samej sekundzie podporucznik Michalski puścił pawia. Pierwszy raz widziałem coś takiego: rzygnął, nie pochyliwszy się, tylko zrobił to wyprężony na baczność. Na szczęście nie stałem w tej chwili przed nim, a obok, w dodatku oddalony o ponad metr.

– I dobrze, będzie ci lżej – skwitowałem, podczas gdy Władzio ocierał rękawem usta.

Ulicą jechała kolejna riksza. Tym razem mieliśmy szczęście. Po chwili siedzieliśmy w środku.

– Spiska – rzuciłem przez ramię. – Szybko.

Na pierwsze słowo Michalski otworzył oczy, na drugie wzdrygnął się.

– Mów mi, co się dzieje? – zapytał, tym razem zadziwiająco trzeźwym głosem, po czym przeciągnął dłonią po twarzy.

– Mam nadzieję, że nic.

– Nic?

– Ale musimy to sprawdzić.

Nie chciałem mówić więcej przy rikszarzu, bo go nie znałem. Na szczęście na Spiską było niedaleko. Władek Michalski zaczął się wiercić na kanapie, zerkał na mnie co chwila. Minęliśmy plac Narutowicza. Zostało kilkaset metrów Grójeckiej i mieliśmy wjechać w Spiską, jedną z cichych, niepozornych uliczek Ochoty.

– Chyba jest jakaś heca – ogłosił nagle rikszarz, który siedział wyżej i widział odrobinę więcej.

Wychyliłem się i już wiedziałem. Wiedziałem, że się spóźniliśmy...

– Co robić? – zapytał rikszarz.

– Jedź pan prosto – rzuciłem przez zęby.

Po chwili widzieliśmy już wyraźnie: wjazd na Spiską zagraadzały samochody. Musiały dopiero co nadjechać, bo jeszcze wyskakiwali z nich gestapowcy, zarówno w mundurach, jak i po cywilnemu. Co to było? Łapanka? Obława?

Że to nie to pierwsze, pojechaliśmy chwilę później, ponieważ nikt nas nie zatrzymał. Bez przeszkód dojechaliśmy aż do Alej Jerozolimskich, gdzie zapłaciłem za kurs. Wysiedliśmy. Żaden z nas nie powiedział słowa. Władek, któremu wciąż plątały się nogi, wszedł do jakiejś knajpy, aby zatelefonować. Jakby jeszcze miał nadzieję. Prawdę mówiąc, ja również ją miałem. Niewielką, ale była.

Wrócił po chwili. Był blady, niemal zielonkawy. Bałem się, że zaraz znów puści pawia. Oparł się o latarnię i ciężko oddychał.

– Aresztowali go – powiedział wreszcie. – Te skurwysyny aresztowały naczelnego dowódcę – powtórzył nieco ciszej.

– Jak to? – dopytywałem.

– Mieszkał w kamienicy przy Spiskiej jako zwyczajny obywatel Generalnej Guberni. Nie rzucał się w oczy – westchnął, po czym wbił we mnie badawcze spojrzenie. – Skąd... skąd ty o tym wiedziałeś?!

– Dwóch mężczyzn rozmawiało o tym w burdelu – odparłem bez chwili zwłoki. – Podśluchałem przez ścianę.

– Co takiego?!

– Musiała być wyjątkowo cienka.

Zrobił kilka szybkich kroków, zatrzymał się gwałtownie, wrócił. Na

chwilę dotknął dłońmi skroni. Znów spojrzał na mnie.

– Musimy tam natychmiast wracać.

– Po jaką cholere?

– Sprawdzić, kto to jest! Zabić ich, przesłuchać...

Nie sprostowałem, że powinno być chyba odwrotnie. W ogóle nic nie powiedziałem. Też byłem w szoku. Naczelný dowódca wpadł.

Wreszcie zrozumiał. Oparł się o latarnię i osunął na ziemię. Ukrył twarz w dłoniach.

– To moja wina – rzekł po chwili. – Gdybym tyle nie pił...

– Nie byłeś przecież na służbie – próbowałem go pocieszyć.

– Ja zawsze jestem na służbie.

Chwilę milczeliśmy. Ulicą przejechał tramwaj w stronę placu Narutowicza. Jadący nim ludzie za kilka chwil zobaczą kocioł na Spiskiej, nie będą jednak wiedzieli, kto jest najważniejszą zdobyczą. My wiedzieliśmy, jednak wiedza ta ciążyła jak kamień pudowy.

– To moja wina – powtórzył po chwili Władek.

Tym razem nie zaprzeczyłem.

Rozdział trzeci

(1943)

Po tym, co wydarzyło się na Ochocie w ostatni dzień czerwca, Władek Michalski zniknął mi z pola widzenia. Zastanawiałem się, co się z nim dzieje. Nie znałem zwyczajów obowiązujących w wojsku, tym bardziej konspiracyjnym, a wszystko to, czego sam swego czasu liznałem, skutecznie wyparłem z pamięci. Mogłem się więc jedynie domyślać, że podporucznik Michalski wrócił do lasu. Za karę, że nie upilnował przełożonego. Miałem taką nadzieję. Że tylko las. Że nie spotkało go coś gorszego. Degradacja albo jeszcze gorzej.

Dni mijały niepostrzeżenie. Po upalnych i słonecznych nastaly deszczowe i szare, jak to latem pod tą szerokością geograficzną. Ulica donosiła, że hitlerowcy dostali w dupę od Rosjan w wielkiej bitwie pancерnej na Łuku Kurskim. O tym, że to prawda, świadczyły transporty kolejowe idące na zachód, pełne obandażowanych, kalekich żołnierzy. Już nie wysiadali w Warszawie, by spędzić tu miło kilka albo nawet kilkanaście godzin, co miało miejsce w drodze w tamtą stronę.

– Kadłubków u siebie nie widziałem – potwierdził Bielawny. – Ale cyklopa owszem. A nawet dwóch.

– Jakiego cyklopa? – zapytała Ołena z nutką strachu w głosie.

W odpowiedzi Bielawny przysłonił sobie jedno oko łyżką, bo siedzieliśmy akurat wszyscy w kuchni, i wygiął usta w podkowę, przez co rzeczywiście wyglądał jak jeden z tych sukinsynów. Dziewczyna aż się wzdrygnęła.

Z miejsca udzielił mi się czarny humor kolegi.

– Jeśli przyszłoby takich dwóch, to mogliby na bilecie oszczędzić – powiedziałem.

– Dlaczego? – Ołena spojrzała na mnie ze zdziwieniem.

– No bo jeżeli każdy z nich miałby tylko jedno oko, to zajęliby tylko jedno stanowisko przy fotoplastikonie – wyjaśniłem z powagą.

Tylko Bielawny się zaśmiał i dodał:

– Ale pod warunkiem, że jeden miałby lewe, a drugi prawe.

– To prawda. Inaczej byłoby ciężko – zgodziłem się.

– I musieliby być chudzi.

– Ale po powrocie z frontu wschodniego chyba o to nietrudno.

Naprawdę mnie to rozbawiło; próbowałem sobie wyobrazić, jak dwóch szwabów siedzi półdupkami na jednym krześle, przytulają się do siebie policzkami i spoglądają w okular, wymieniając uwagi...

Obiad dokończyliśmy w doskonałych nastrojach, a że był to obiad niedzielny, nikt z nas się nigdzie nie wybierał. Czesio pilnował swojej ukochanej, bo do rozwiązania pozostało już niewiele czasu.

Wciąż u mnie gościli. Były proboszcz kresowej parafii nie wracał do tematu wynajęcia innego mieszkania. Może, jak przypuszczałem, po prostu i po ludzku bał się po tamtej historii. A ja też się nie odzywałem. Tym bardziej że goście kupowali jedzenie, raz na jakiś czas udawało im się nawet zdobyć kiełbasę. Za pierwszym razem zdziwiłem się, a nawet trochę zezłościłem, bo to oznaczało, że Warszawa radzi sobie bez ojca i beze mnie. Dziecinne to było i głupie, przyznaję.

Tak czy inaczej, przyzwyczailem się do nich, a oni do mnie. Byliśmy jak rodzina. Dziwna trochę, ale rodzina. Z królikiem imieniem Leo zamiast psa czy kota.

Czy zastanawiałem się, co będzie, gdy nagle na progu naszego mieszkania pojawi się mój ojciec? Owszem, przynajmniej raz dziennie. Aż do tamtego dnia. Był to chyba pierwszy czwartek sierpnia. W przedpokoju zaterkotał telefon.

– Czego? – fuknąłem gniewnie.

Leżałem na łóżku z rękami pod głową. I nie to, że nie chciało mi się z niego wstać i pokonać tych kilku metrów podłogi. Zdenerwowałem się, nie był to bowiem dźwięk, który słyszało się w tym domu na co

dzień. Nikt do nas w ostatnim czasie nie telefonował. Pomyłki, tak powszechne kiedyś i czasem zabawne, też się właściwie nie zdarzały.

– Słucham – rzuciłem do tubki po piątym czy szóstym sygnale.

Tradycyjnie coś w niej zachrobotało, zastukało, zaszumiało. Ledwo słyszalnie odezwała się jakaś kobieta po niemiecku. Była to zwyczajowa uwertura każdej rozmowy w tym czasie, choć nigdy nie trwała tak długo. Nie odzywałem się jednak więcej, czekałem cierpliwie w milczeniu, coraz bardziej ciekawy, któż to może być.

– Antek? – dobiegło wreszcie niczym z piekielnych czeluści.

– Tata! – krzyknąłem.

– Nie wrzeszcz tak, doskonale cię słyszę.

– Ja ciebie słabo.

– W takim razie będę mówił wolno. Głośniej nie da rady, ponieważ telefonuję z poczty. Wszystko u ciebie dobrze?

– Tak.

Chwila milczenia. Coś znów zaszumiało w słuchawce. Dałbym głowę, że usłyszałem też strzęp muzyki: ktoś grał Chopina.

– Tak. U mnie wszystko w porządku – powtórzyłem dla pewności.

Zaraz odezwie się jakiś trzeci głos i powie: kłamca, kłamca! – przeszło mi przez myśl i mimo że było to niedorzeczne, dreszcz przebiegł mi po plecach.

– Słyszałem, że byłeś na wycieczce – rzekł tata i zaraz dodał, żeby nie było wątpliwości: – Naszym starym szlakiem.

Od razu złapałem, że ma na myśli moją niegdysiejszą, samotną i udaną na szczęście, wyprawę po mięso. Zdziwiłem się tylko, że dotarły do niego te informacje. Wyglądało na to, że ojciec wrócił na przemytniczy szlak, przynajmniej, tak jak ja, na chwilę. Chyba że dowiedział się o tym przypadkiem. Przez moment zastanawiałem się, jak się tego dowiedzieć, a raczej jakiego kodu użyć.

– Tak. Jeden raz – odpowiedziałem, by zyskać na czasie.

– W porządku. Cieszę się – rzekł na to ojciec; jeszcze silniej przycisnąłem słuchawkę do ucha, bo wydawało mi się, że słuch mnie zawodzi. – U nas też wszystko po staremu – ciągnął. – Mały rośnie, dobrze mu robi wiejskie powietrze. Dlatego chciałbym ci powiedzieć, Antku, że chyba jeszcze jakiś czas tutaj zostaniemy.

– Do jesieni?

– Może nawet dłużej.

– To dobrze. O mnie się nie martwcie. Wszystko w porządku, uważam na siebie.

I nagle, w jednej chwili, zapragnąłem powiedzieć ojcu o wszystkim, co się wydarzyło. Oczywiście pod warunkiem, że udałoby mi się wydobyć z siebie jakikolwiek dźwięk. W jednej chwili bowiem niewidzialna ręka z całej siły ścisnęła mnie za gardło. Poczułem to, co może kto inny na moim miejscu poczułby już dawno: że ojciec mnie zostawił. Że ma nową rodzinę, nowego syna i oni są w tej chwili najważniejsi. Nie ja. I nie wrócą do Warszawy, a ja jutro skrucę nie w tę przecznicę co trzeba i nikt się o mnie nie upomni...

– Wszystko dobrze, synu? – Ojciec zaniepokoił się moim milczeniem.

– Tak.

– Na pewno.

– Na pewno. Wypoczywajcie – powtórzyłem dokładnie to samo, co w chwili pożegnania na Dworcu Głównym.

– Muszę kończyć. Do usłyszenia. Jeszcze zadzwonię.

Bez słowa odłożyłem słuchawkę na widełki. Na czarnej ebonitowej rączce spodziewałem się dostrzec maleńkie kropelki wilgoci. Pojawiały się, gdy swego czasu dzwonił szantażysta z żądaniem okupu. Albo gdy ja w licealnych czasach telefonowałem do dziewczyny, która mi się podobała, aby się z nią umówić. Nie zawiodłem się, bo teraz też tam były, a słowa ojca jeszcze przez dłuższą chwilę brzmiały mi w uszach...

*

Następnego dnia rano wpadł Franek. Ostatnio częściej go u nas nie było niż był. Nie dopytywałem ani nie drążyłem. Pewnie wciąż prowadził te swoje podejrzane interesy. Podejrzane zarówno z punktu widzenia okupanta, jak i polskiego przedwojennego prawa. No, ale każdy z nas był dorosły, robił, co mu się żywnie podobało. Choć

czasem wydawało mi się, że to wszystko jest jedynie złym snem.

– Wyjdiesz ze mną? – zapytał zaraz po tym, jak przekroczył próg mieszkania, a zrobił to takim tonem, jakby chodziło o kopanie futbolówki.

– Pewnie.

Coś mu się nie spodobało.

– Jakieś kłopoty? – chciał wiedzieć.

Opowiedziałem mu o mojej wczorajszej rozmowie z ojcem i o swoich spostrzeżeniach. Wszystko jak na spowiedzi, choć osobą był chyba najmniej odpowiednią, żeby użyć tego porównania, a jednocześnie najlepszą, jeśli idzie o życie.

– Nie należy się za bardzo przyzwyczajać zarówno do rzeczy, jak i ludzi – rzekł filozoficznie, dłubiąc sobie zapamiętałe w zębach. – Dzisiaj jest, jutro nie ma, jak mówią starzy Indianie. Gdyby trzeba było, uciekałbyś w samych gaciach?

– Pewnie.

– Nawet w środku zimy?

– Myślę, że tak.

Zrobił mądrą minę.

– No widzisz, brachu. A ja znam takich, którzy bardziej dbali o kancik w portkach zamiast o własną skórę. I teraz najpewniej przerobili ją na abażury do lamp.

– Niby co?

– Ludzką skórę.

– Co ty opowiadasz?! – Znieruchomiałem z nożem do chleba w rękę.

– Mówię tylko to, co słyszałem – rzekł półgębkiem. – Gdybyś ruszył się z Warszawy, i to najlepiej trochę dalej niż pod Grójec czy inny Płońsk, wiedziałbyś więcej.

– Mam dość podróży – skwitowałem cierpko, Bela jednak jakby nie dosłyszał.

– Nie przeczę, że ludzie czasami przesadzają. Każdy lubi coś dodać od siebie, wszak we wszystkich drzemie jakiś mały Karol May czy inny Sienkiewicz.

Odechciało mi się jeść, choć należało coś przegryźć przed wyjściem, a w przypadku Franka mogło chodzić zarówno o niewinną

przechadzkę na sąsiednią ulicę, jak i, gdyby coś poszło nie po jego myśli, długą i niebezpieczną eskapadę.

– Dobry chleb – pochwalił, przeżuwając już drugą kanapkę z margaryną i dżemem przypominającym smar maszynowy Tovotte’a.

– Ołena upiekła.

– Tylko pozazdrościć Czesiowi takiej kobiety.

Na te słowa dziewczyna weszła do kuchni.

– Właśnie o tobie plotkowaliśmy – rzucił z pełnymi ustami Franek.

Miałem wrażenie, że albo nie zrozumiała, o co mu chodzi, albo jeszcze nie do końca się wybudziła.

– O mnie? – zapytała słabym głosem, ale z tym swoim śpiewnym akcentem, który jakoś nie chciał osłabnąć, mimo że coraz śmielej i częściej odwiedzała warszawskie bazaraki.

– Frankowi chodzi o to, że pieczesz naprawdę przepyszny chlebek – wyjaśniłem szybko, pomny ostatniej dramatycznej historii.

Uśmiechnęła się w podzięcie, po czym zaczęła przygotowywać posiłek. A mnie przez chwilę udało się nie myśleć o tym, co powiedział Bela na temat ludzkiej skóry. W ostatniej chwili przed wyjściem porwałem nawet z talerzyka kromkę chleba. Nikt przecież nie wiedział, kiedy będę miał po temu kolejną okazję.

*

Kilka minut później maszerowaliśmy ulicą. Dopiero teraz zauważyłem, że Franek nie jest dziś ubrany tak elegancko jak wcześniej. Miał na sobie białą koszulę, dość jednak wymiętoszoną. Portki też pozostawiały wiele do życzenia: kancik straciły gdzieś w czasie aneksji Zaolzia, tu i ówdzie widniała dziurka, zręcznie zacerowana co prawda, ale dziurka. Poza tym były trochę przykrótkie, jakby ich właściciel wybierał się właśnie na pijawki.

Czyżby ubrał się tak niedbale, bo ma mokrą robotę? – przeszło mi przez myśl.

Nie było to wykluczone; przecież wciąż nie wyjaśnił, dokąd zmierzamy i do czego właściwie będę mu potrzebny. Podejrzewałem

jednak, że stanie się to lada chwila.

Przeczenie mnie nie myliło. Ledwo ujrzałem monumentalny cień gmachu Teatru Wielkiego i znaleźliśmy się na Wierzbowej, Franek zaczął się nerwowo rozglądać.

– Ktoś jest mi winny pieniądze – powiedział niegłęboko.

Trochę mnie zmroziło, tym bardziej że wiedziałem, do czego jest zdolny. Czy miał gnata za pasem? Jednocześnie żywiłem nadzieję, że rola, którą mi przydzielili, będzie drugoplanowa. A najlepiej, żeby to był niewiele znaczący epizodzik.

– Masz pietra? – zapytał.

– Skąd! – rzuciłem hardo.

– Znamy się nie pierwszy wtorek, więc nie musisz udawać. Każdy z nas ma do odegrania swoją rolę w życiu. Musi przy tym wyczerpać swój limit szczęścia i pecha, kiedy trzeba, wykazać się nie lada odwagą, ale też móc pozwolić sobie na bycie tchórzem. Dobrze wiem, co niedawno przeżyłeś. Sam też brałem w tym udział i mogę powiedzieć, stary druhu, że odwagi masz za trzech. Jeśli nie pięciu!

– Mam podziękować?

– Nie trzeba. To ja dziękuję, że przy mnie jesteś. I wystarczy, jak poczekaś na mnie na ulicy i popilnujesz, czy nikt się na mnie nie zasadza. To tutaj. Jesteśmy na miejscu.

Wskazał brodą okazałą trzypiętrową kamienicę przy Senatorskiej pod trzecim.

– Będę za niecały kwadransik – rzekł lekko, jakby naprawdę chodziło tylko o odwiedziny u chorej babci.

Franek Bela jeszcze puścił do mnie oko, wsunął rękę głębiej do kieszeni portek, po czym skierował kroki w stronę bramy. Właściwie powinienem zapytać, co mam robić, gdy już minie ów niecały kwadransik, ale było za późno.

Przebiegłem Senatorską tuż po tym, jak przejechała nią ciężarówka w stronę Miodowej; ulica była brukowana kocimi łbami i resory pojazdu potwornie skrzypiały. Stałem przed witryną sklepu. Nic w niej nie eksponowano, w dodatku wewnątrz zaciągnięto zasłony. Ułatwiało mi to jednak dyskretną obserwację ulicy.

Dopiero po paru chwilach dotarło do mnie, że ktoś mógłby się

zastanawiać, czemu się właściwie gapię, skoro nic tam nie ma. Odwróciłem się. Po drugiej stronie znajdował się sklep elektryczny, ale to też było marnym pocieszeniem, bo ile można wpatrywać się w żarówki, bezpieczniki czy inne kabelki.

Dupa ze mnie, a nie konspirator – pomyślałem samokrytycznie.

No to zacząłem spacerować w tę i z powrotem po chodniku, z rękami splecionymi za plecami, czym przypominałem absztyfikanta czekającego na obiekt westchnień. Raz doszedłem nawet na koniec ulicy i wyjrzałem na plac Zamkowy. Od czasu do czasu przystawałem, niespiesznym gestem odsuwałem mankiet koszuli i sprawdzałem czas na swojej wieczystej omedze. Tu akurat nie musiałem niczego grać, wszak Bela mówił coś o kwadransie.

Ulicą znów gruchotał jakiś duży samochód. Po nim przejechała dorożka i dwie riksze. Ludzie szli w obu kierunkach, gołębie jakby nigdy nic dreptały po jezdni i chodnikach w poszukiwaniu jedzenia. Pomyślałem, jak niewiele potrzeba takiej istocie do życia. Kilka ziaren grochu czy okruchów chleba. I od razu sam poczułem głód.

Znów niecierpliwie spojrzałem na zegarek. Kwadrans, o którym wspominał Franek, właśnie mijał.

– Cholera.

Już miałem się odwrócić, by zacząć kolejną rundkę wystawionego przez pannę do wiatru jelenia, gdy po drugiej stronie Senatorskiej, na wysokości kamienicy pod piątym ujrzałem Władka Michalskiego. Szedł sprężystym, żołnierskim krokiem. Nie miał na sobie co prawda bryczesów ani butów na szklankach, ale i tak wyglądał na tego, kim był.

Jego widok sprawił mi przede wszystkim radość. Oznaczało to przecież, że Władek żyje i po tym, co się wydarzyło, ma się dobrze. Nie, nie mogłem nie zamienić z nim przynajmniej kilku słów!

Spojrzałem w lewo, czy nic nie nadjeżdża, po czym w kilku susach przeskoczyłem ulicę. W głowie układałem już słowa, którymi go powitam.

– Władek, jak się masz, stary?! – wyrzuciłem z siebie głośniejszym niż zamierzałem, bo jakaś idąca w przeciwnym kierunku paniusia w dziwnym toczku odwróciła się z zaciekawioną.

Wtedy stało się coś, czego nigdy bym się nie spodziewał. Michalski nie dość, że nawet nie zwolnił kroku, to... jeszcze przyspieszył. Do tego pochylił głowę niczym rozjuszony byk. Odskoczyłem jak przed pędzącym samochodem, choć i on lekko zboczył z kursu, jakby w ostatniej chwili stracił pewność siebie.

– Przepraszam pana – burknął gniewnie.

Najpierw mnie zatkało. Otworzyłem usta, gdyż w pierwszym odruchu chciałem za nim krzyknąć, choć nie do końca wiedziałem co. Stałem tylko i gapiłem się na oddalające się szerokie plecy Michalskiego. Podobnie wyglądałby z pewnością ów absztyfikant, którego przed paroma chwilami udawałem: doczekał się panny, ale w męskim towarzystwie i uścisku, który nie pozostawiał najmniejszych wątpliwości, co łączy tych dwoje. A potem poczułem, jakby ktoś dał mi w twarz. Zrozumiałem w jednej chwili, jaka jest przyczyna takiego a nie innego zachowania Władka.

– Władek. Co z tobą? To ja, Antek... – To było jedyne, co dałem radę wyrzucić.

Sekundę później podporucznik Michalski, nie obejrzawszy się, zniknął za rogiem. W mojej głowie wręcz gotowało się od myśli i głosów. Niektóre z nich kazały mi natychmiast biec za nim i domagać się wyjaśnień. Inne tylko się śmiały.

I nie wiadomo, jakby się to skończyło, gdyby nagle z któregoś z otwartych na oścież okien kamienicy pod trzecim nie dobiegł krótki krzyk.

– Franek? – Spojrzałem na górę, a potem na zegarek; w żadnym z okien nie dostrzegłem niczego ani nikogo, a układu wskazówek na cyferblacie po prostu nie rozumiałem.

Wtedy krzyk się powtórzył.

W jednej chwili zapomniałem o przykrości. Ruszyłem biegiem śladem Franka Beli. Po chwili poczułem przyjemny chłód korytarza. Nie miałem pojęcia, gdzie szukać przyjaciela. Budynek miał trzy piętra, a Bela mógł się znajdować na każdym z nich. Po wejściu na pierwsze poczułem zapach gotowanych jarzyn, a po chwili wyraźną woń papierosowego dymu. Na piętrze było troje drzwi. Przez chwilę nasłuchiwałem, ale nie dobiegały zza nich żadne dźwięki. Chwyciłem

za poręcz i jałem się wspinać wyżej, po dwa schody naraz. Jednak na półpiętrze coś kazało mi zwolnić. Jak się po chwili okazało, słusznie. Jedne z drzwi na drugim piętrze były bowiem uchylone.

Zatrzymałem się na przedostatnim stopniu schodów. Wydawało mi się, że w głębi mieszkania gra jakaś muzyka.

– Franek – rzuciłem półgłosem i z nadzieją, że to wystarczy.

Ale odpowiedziała mi cisza. Serce biło coraz szybciej. Od mieszkania dzieliło mnie mniej niż krok, wyraźnie czułem znajomy zapach pasty do podłóg i naftaliny.

– Franek! Jesteś tam? – ponowiłem próbę, ale nieco głośniej.

Położyłem dłoń na zimnej klamce drzwi, pchnąłem je lekko. Skrzypnęły zawiasy. W tej samej chwili coś zafurkotało za moimi plecami. Nim zdążyłem się odwrócić, czyjeś ręce narzuciły mi na głowę czarną i ciężką materię. Mógł to być wojskowy szynel, mógł to być koc – nie miało to już znaczenia. Grunt, że cios, który chwilę później spadł na mnie, nie roztrzaskał mi czaszki, a tylko w ułamku sekundy pozbawił przytomności.

*

Śniło mi się, że piję. Dużo. Piję i biję w tym na głowę nawet partyzanta Władka. W tym śnie znów jesteśmy dobrymi kolegami, bo przecież inaczej nie siedzielibyśmy przy jednym stole i nie wznosili toastu. Michalski porusza ustami, ale ja nic nie słyszę. Czy to promile przytępiły mi zmysły, padły na uszy? Wyteżam słuch, a nawet wstrzymuję oddech, byle tylko go dosłyszeć.

– Niech żyje! – woła świeżo upieczony podporucznik, którego nieszczęście polega na tym, że nie może nosić munduru ani dzwonić ostrogami.

– Niech żyje – przyłączam się do toastu, mimo że nie wiem, komu życzę długich lat w dobrym zdrowiu.

Wypijamy kolejkę. Nie czuję palenia mocnego alkoholu. Zupełnie jakbym wlewał w siebie czystą, ale wodę. Władek znów rozlewa lekko mętnawy płyn do szklanek, wszak pijemy szklankami jak prawdziwi

żołnierze, a nie jakieś pipy. Podnosi szkło, zaczyna coś mówić. Widać, że z zapalem, na granicy płaczu, a nawet ekstazy. Tak sędzę, bo fonia znów nawala.

– Władek. Nie mogę cię zrozumieć! – krzyczę.

W odpowiedzi unosi szklankę i wlewa w siebie jej zawartość. Robię karnie to samo.

Wtedy nagle dźwięk wraca, ale z podwójną mocą.

– Niech żyje... Adolf Hilter! – krzyczy Władek. – *Sieg heil!*

Łzy w jednej chwili nabiegają mi do oczu. Wzdrygam się. Musiałem źle usłyszeć.

– Władek, nie wygłupiaj się.

Zamiast odpowiedzieć, unosi w górę szklankę i wypija jej zawartość jednym haustem. Tak, to chyba najlepszy pomysł. Po prostu wypić. Zalać robaka. Ululać się na amen. Na frasunek najlepszy dobry trunek, jak to mówią. Wypijam więc i ja. Znów nie czuję smaku.

Jeden łyk, drugi, trzeci. Będą mnie nieść, ale co tam. Czwarty, piąty... Jaką pojemność może mieć zwykła szklanka? Próbuję odjąć ją od ust, ale nie mogę. Płyn wlewa mi się do gardła coraz mocniejszym strumieniem. Zaczynam się krztusić...

*

Otworzyłem gwałtownie oczy. Obraz, zrazu rozmazany, odzyskał kontury. Ujrzałem przed sobą czyjeś nogi. Dwa. Nie, cztery. Brudne, schodzone buty. Usłyszałem wyraźny plusk wody.

– Wystarczy – odezwał się jakiś schrypnięty męski głos. – Chyba się ocknął, skurwiel.

Metaliczne stuknięcie wiadra odstawianego na betonową podłogę.

– Może sprawdzić, szefie? – zapytał po chwili ktoś inny, wyraźnie młodszy, dyszący.

– Nie. Nie bij.

Impuls w mózgu, wywołany przez ostatnie krótkie słówko, kazał mi gwałtownie napiąć wszystkie mięśnie. Kolejny niósł już informację: nie da się, jesteś związany jak wieprzek, kolego. Po sekundzie, dwóch

zrozumiałem już wszystko. Siedziałem z przywiązanymi do krzesła nogami i rękami. Po twarzy ściekały mi krople wody, która miała za zadanie przywrócić mi przytomność.

Nagle ktoś szarpnął mnie z tyłu za włosy i pociągnął. Na jasnym, prostokątnym tle zarysowały się dwie postacie.

– No to mamy teraz obu gagatków – zaśmiał się pierwszy głos.

Zamrugalem powiekami, usiłując w szarej plamie przede mną ujrzeć rysy twarzy. I może by mi się to udało, ale wtedy czyjeś ręce, pewnie te same, które pociągnęły mnie za włosy, przywracając do pionu, chwyciły za kołnierz, następnie podniosły i przy akompaniamencie pisku drewnianych nóg o podłogę przesunęły nieco w bok.

Pod ścianą, unieruchomiony dokładnie w ten sam sposób, siedział Franek. Pod jego lewym okiem ciemniała solidna śliwa, a z warg ciekła krew. Wyglądało na to, że nie zamierzał tanio sprzedać skóry. Oznaczało też, że słuch mnie nie mylił – trafiłem we właściwe miejsce. Problem w tym, że trochę za późno. Zresztą chyba nie dałbym im rady, bo było ich co najmniej trzech.

Ich, czyli kogo?

– Poznajesz mnie? – Ten, którego brałem za najstarszego, w istocie był najstarszy, bo miał około czterdziestu lat i mordę dawno niegoloną, siwiał, a jego oddech przesycony był tytoniem; przysunął swoją twarz do mojej tak blisko, że nie mogłem tego nie poczuć.

– Nie – odrzekłem szybko. – Pierwszy raz pana widzę.

– Taką odpowiedź miałem zamiar usłyszeć. Twój kolega również zdał egzamin. Tak. Nigdy mnie nie widzieliście. Za to ja widziałem was.

– Niby gdzie? – rzuciłem buńczucznie i zaraz tego pożałowałem; w tej sytuacji pyskowanie było dalece nie na miejscu, było jednak za późno.

– Nie skacz, synku. Nie skacz, bo się spocisz – rzekł nieznajomy i znów przysunął głowę tak blisko, że aż mnie zemdliło i miałem wrażenie, że łaskoczą mnie włoski jego zarostu. – Mieszkanie przy Wilczej pamiętasz? Na pewno. I to, co tam wyrabiałeś. Ty i twój koleżka. O grubasie nie wspomnę.

– Nie wiem, o czym pan mówi – powiedziałem.

– Wydawało wam się, że nikt was nie widzi, jak spieprzacie z kamienicy, w której z zimną krwią zabiliście dwóch naszych ludzi. Ale tak się nie stało. Ciebie – zwrócił się do Beli, który sprawiał wrażenie, jakby sprawa go w ogóle nie dotyczyła – mieliśmy na oku od dawna. Wystarczyło tylko dobrze się zasadzić i rybka sama wskoczyła do sieci. Ty zaś – znów spojrzał na mnie – wpadłeś nam w ręce przypadkowo. Marne to pocieszenie, wiem, wiem. Tak czy inaczej, zachciało wam się bronić Żydków. To teraz zobaczycie, czym to pachnie.

Wyprostował się i dał dyskretny znak swoim pomagierom. Zamknąłem oczy, przygotowany na przyjęcie swojego losu. Zafurkotało w powietrzu, rozległo się kilka głuchych uderzeń. Jednak nie spadł na mnie ani jeden cios. Usłyszałem za to kilka cichych jęków.

Uniosłem powieki. Franek pluł krwią, ale zaraz podniósł głowę i uśmiechnął się szelmowsko. Dostrzegłem, że nawet zęby ma czerwone.

– I co? Ulżyło ci, lalo?

– Coś ty powiedział?! – ryknął oprawca, po czym znów się zamierzył; serce mi stanęło, w jego dłoni dostrzegłem bowiem coś metalowego.

– Lalo! – poprawił Franek.

I być może szmalcownik rozłupałaby mu czaszkę, gdyby nie herszt bandy, który chwycił go za rękę.

– Uspokój się, bo zaraz się tu zlecą – warknął. – Jeszcze zdążymy z nimi skończyć.

Przez chwilę się siłowali, tak jak my często w latach szkolnych, tyle że w powietrzu. Wreszcie siepacz odpuścił. Zmełł w ustach przekleństwo, oddalił się kilka kroków, ale i stamtąd wyraźnie słyszałem jego sapanie.

– Jeszcze się zastanowię, co z wami zrobić – oznajmił najstarszy. – Teraz sobie posiedzicie w cichym miejscu i spokojnie przemyślicie swoje czyny.

Kilka sekund zajęło im naciągnięcie nam na głowy jakichś starych, zbutwiałych worków i odwiązanie nas od krzeseł, abyśmy mogli się

przemieszczać. W pewnym momencie usłyszałem znów odgłosy szamotania i uderzeń. Pewnie Bela próbował wykorzystać szansę.

Potem prowadzili nas po schodach, szybko, żeby nie natknąć się na przypadkowego lokatora. Z jakiegoś powodu próbowałem liczyć stopnie, ale dałem spokój. Któryś z oprawców pchnął mnie z całej siły w plecy. Nie udało mi się już zachować równowagi i runąłem jak długi...

*

– Wybacz, stary. Dałem się podejść jak jakiś gówniarz – powiedział Franek.

– To nie twoja wina – odrzekłem.

– Moja. Skrewiłem sprawę jak cholerny amator. Ale przecież mówiłem ci, żebyś się nie ruszał z miejsca.

– Zobaczyłem na ulicy Władka – westchnąłem po krótkiej chwili. – Udał, że mnie nie zna. Jakiś dziwny był. Coś się musiało stać. Chyba więcej niż tamta heca z jego dowódcą. No a potem usłyszałem twój krzyk przez otwarte okno i dalej to już poszło.

– Nie powinienem cię w ogóle ze sobą zabierać. Nie wiem, co mi strzeliło do głowy.

Tym razem nie zaprzeczyłem.

Siedzieliśmy na podłodze, oparci o siebie plecami. Kilka chwil wcześniej ściągnęliśmy z głów te cuchnące myszami worki. Próbowaliśmy różnych sposobów i bardziej lub mniej zabawnych, oczywiście tylko dla kogoś, kto stałby z boku, póź. Wreszcie się udało. Odganiałem od siebie myśl, co będzie, kiedy któremuś z nas zachce się sikać. Tamtym było wszystko jedno, skoro nas zostawili w takim stanie. Nie, nie myśleć!

Dzięki temu, że zdjęliśmy z głów worki, mogliśmy zobaczyć, że znajdujemy się w pomieszczeniu długim na dwa metry i na metr szerokim. Typowe miejsce służące warszawiakom do przechowywania weków i ziemniaków, o czym najwcześniej poświadczył zapach. Ta piwniczka była jednak z wiadomych

względów pusta. Miała okienko, ale było ono bardzo wąskie i na pewno żaden z nas nie zdołałby się przez nie przecisnąć. Chyba tylko dzieciak dałby radę.

W pewnym momencie rozległ się głośny huk.

– To ciężarówka – skonstatowałem, nie wiedzieć czemu, z ulgą, jakbyśmy naprawdę w ciągu paru minut przenieśli się w jakieś obce, niebezpieczne miejsce; wciąż było źle, wręcz fatalnie, ale tak właśnie sobie pomyślałem. Mało tego: pozwoliłem sobie nawet na niezbyt mądrą uwagę: – Mamy piękny widok na Senatorską.

– Taaa, zawsze chciałem mieszkać przy tej ulicy – mruknął Franek.

– A jak się dobrze wychylić, to widać i plac Zamkowy.
– Weź i się wychyl, kurwa.

Mimo wszystko się zaśmialiśmy. Pierwszy spoważniał Bela.

– Cholera, nie miałem pojęcia, że ktoś nas wtedy obserwuje – powiedział. – Pewnie zaczęli się w oficynie. Albo w sąsiednim mieszkaniu. Ciekawe tylko, dlaczego żaden z nich nie pospieszył kamratom z pomocą, gdyśmy z nimi kończyli. Kiepscy specjaliści.

– Ale teraz ich na wierzchu – zauważyłem.

– Nie zaprzeczę. Ech, tyle razy się udawało. Dobry fart najwyraźniej mnie opuścił. Szkoda...

Z ulicy dobiegł nas śmiech. Ludzie przemierzali się chodnikiem, rozmawiając beztrudnie. Nie mieli świadomości, że metr od nich wtrącono przemocą do lochu dwóch ludzi.

Ale czy nie tak właśnie było z warszawskim gettem? – przyszło mi na myśl. Średniej grubości mur dzielił miasto. Po jego jednej stronie katowano na śmierć dziecko, złapane z plecakiem wypełnionym przeszmulgowanym jedzeniem, podczas gdy pół metra dalej, zaledwie pięćdziesiąt centymetrów dalej, po drugiej stronie, jasnowłosego chłopaka w promieniach słońca przyciskał do ściany dziewczynę i namiętnie ją całował...

– Co z nami zrobią? – zapytałem.

Franek Bela nie odpowiedział. Miał zwieszoną głowę, może zapadł w drzemkę.

Powtórzyłem pytanie.

– W najlepszym razie oddadzą nas w ręce granatowej – odrzekł. –

Kto wie, czy nawet nie zapłacą im za nas jak za Żydów. Ale nie ma się co przejmować na zapas, bo może będziemy mieli farta i trafimy na Lenca. Swoje znajomości też mam.

– A w najgorszym razie? – dopytywałem jak małe dziecko ciekawe wszystkiego.

– Ukatrupią.

– Ale mam się nie przejmować, bo tam też masz znajomości?

– Nie wszędzie.

– To znaczy?

– Tylko w piekle.

Coś jak niewidzialny, do tego zmarznięty szczur przebiegło mi po plecach. I bynajmniej nie na dźwięk tego ostatniego słowa. Franek Bela mówił o tym wszystkim z dziwną obojętnością. No i ten żart na końcu. Czyżby naprawdę się nie bał? A może tylko zgrywał twardziela, choć nie pogniewałbym się, gdyby za chwilę wstał, jednym ruchem rozerwał sznur, którym był związany, a potem kopniakiem otworzył drzwi piwniczki...

Nic jednak nie zrobił. Nawet się nie ruszał. Tylko oddychał miarowo. Może rzeczywiście uciął sobie krótką drzemkę. Jeśli tak, to był to chyba najlepszy dowód na to, że nie jesteśmy w beznadziejnej sytuacji. Po kilku chwilach i ja zwiesiłem głowę, przymknąłem oczy.

Obaj podskoczyliśmy, gdy nagle zza piwnicznego okienka dobiegła seria z broni maszynowej. Sekundę później druga, nieco inna, może odpowiedź. A już po chwili usłyszeliśmy całą kanonadę.

– Powstanie! – krzyknęliśmy jednocześnie, niezdarnie próbując wstać z podłogi.

W chwili, gdy zbliżyliśmy się do okienka, na bruk upadał trafiony w głowę niemiecki żandarm. Prócz wystrzałów słychać było tupot nóg i nawoływania. W pewnym momencie wydało mi się, że widzę znajomą postać.

– Toż to Władek! – Bela był szybszy.

Michalski znajdował się dokładnie w tym samym miejscu, w którym widziałem go wcześniej: pod Senatorską pięć. Stał na szeroko rozstawionych nogach i pruł z pistoletu maszynowego w stronę jakiejś ciężarówki. Kilka sekund później, najwyraźniej pewny efektów swych

działań, podbiegł do drzwi samochodu i wywlókł z szoferki trupa w niemieckim mundurze. To samo, ale z drugiej strony, zrobił inny towarzysz Władka. Dopiero kiedy się odwrócił, rozpoznałem w nim kapitana Jacka.

– Ale świniobicie, niech ja skonam! – Franek aż przygryzł wargę z emocji.

– Nie wywołuj wilka z lasu.

Ale to jeszcze nie był koniec. Ujrzeliśmy kilku następnych chłopaków, którzy zaczęli strzelać w kierunku Miodowej. Jeden z nich uklęknął na jedno kolano i mierzył ze spokojem, jakby był na ćwiczeniach strzeleckich. Znajdował się może metr od naszego okienka. Wystarczyło krzyknąć. Jednak ani ja, ani Franek tego nie zrobiliśmy. Żaden z nas po prostu nie śmiał mu przeszkodzić.

Chłopak ten nie mazał bowiem farbą kotwicy po murze, nie naklejał plakatów, nie rozbijał szyb w zakładach fotograficznych, w których prezentowano zdjęcia Niemców, nie składał kwiatów ciemną nocą pod pomnikiem Kopernika. On strzelał. Pruł. Miotał. Nie do tarczy, jak wcześniej, w leśnej głuszy i strzelnicy zorganizowanej w piwnicy czy garażu, ale do wrogów. To germańska krew wypełniała szczeliny między brukowymi kamieniami ulicy Senatorskiej. Miała ten sam kolor co nasza, polska, choć wielu się wydawało, że jest inaczej.

Patrzyłem na to jak na jakieś misterium, a chłopak ze staniem, bo tak się chyba nazywał ów pistolet, był niczym bóg. Także Bela, który niejedno widział, był wyraźnie urzeczony. Milczeliśmy nawet wtedy, gdy bojowiec zniknął. Po chwili odjechał także zaatakowany przez naszych samochód, być może z samym podporucznikiem Michalskim za kierownicą.

Zapanowała cisza, cisza totalna i ciężka. Ale ja nie chciałem, żeby to był koniec. Może za chwilę nasi chłopcy popędzą Senatorską w stronę placu Zamkowego wziętych do niewoli Niemców. Ile zostanie z ich buty, którą oglądaliśmy na ulicach tego i innych miast przez ostatnie lata? Wszyscy, byłem tego pewien, będą mieli na sobie porwane, przykurzone mundury, epolety haftowane srebrnym bajorkiem będą zwisać jak smarki albo plwociny. Ujrzymy obwiązane bandażami

głowy, ręce na temblaku, ten i ów będzie śmiesznie utykał, może nawet legnie na bruku jak długi.

A my będziemy się z tego śmiać. Nikt nie pomoże nieszczęśnikowi wstać. A kto wie, czy nie podbiegnie i kopniakiem w żebra nie poprawi. Albo od razu w skroń. Może to będę ja. Ale za chwilę zjawi się jednak ktoś, kto po chrześcijańsku poda pokonanemu pomocną dłoń. Nie, nie możemy być tacy jak oni.

Potem przyjdzie czas na defiladę. Nasi pójdą czwórkami, z hardym przytupem, równiūsko, jakby szedł jeden. Władek Michalski włoży wreszcie wymarzony mundur ze srebrną gwiazdką na epolecie, wzuje wyglancowane buty z cholewami, ściśnie pas z koalicyjką i wyciągnie szablę z pochwy. Będą łopotać biało-czerwone flagi, dumnie popłyną sztandary, a na nich znów BÓG, HONOR, OJCZYZNA. Orkiestra zagra *Mazurka Dąbrowskiego*. A potem *Warszawiankę*, z tym wielkim bębniem wybijającym rytm.

– Hej, kto Polak, na bagnety...

– Antek. Co tobą? – Bela spoglądał na mnie, a w jego oczach znać było czyste przerażenie.

– Nic. Co ma być? – wymamrotałem. – Skończyli?

Zamiast odpowiedzieć, spojrział w bok. Zrobiłem to samo i zmartwiałem.

– Kogo moje jedno oko widzi – dobiegło od progu. – Znajomy pan rikszarz, który kocha Żydóweczki!

Tego jeszcze brakowało. Od razu go poznałem. Szmalcownik z czarną opaską na oku, z którym zadarłem kilka miesięcy temu. Zabrałem go swoją rikszą z Dworca Wschodniego. Była z nim dziewczyna o urodzie, która nie pozostawiała wątpliwości co do jej pochodzenia. Gdy dojechaliśmy do Śródmieścia, na jednej z mniej uczęszczanych ulic zatrzymałem rikszę, przystawiłem mu metalową rurkę do pleców i kazałem wejść do bramy. Dziewczyna była wolna. Zanim jak niepyszny wykonał moje polecenie, odgrażał się, że jeszcze mnie dopadnie. I to się właśnie stało.

– Nie znam pana – rzuciłem, choć dobrze wiedziałem, że to na nic.

Tylko się zaśmiał. Potarł zdrowe oko, po czym weszli do środka: on i stary szmalcownik, choć pewnie pretorianie stali też na zewnątrz,

gotowi do akcji.

– Może być i tak – zgodził się cyklop. – Ważne, że pamiętam, co zrobiłeś. Przez ciebie tamtego dnia nie wyrobiłem normy i miałem nieprzyjemności. Wiedziałem jednak, że prędzej czy później się spotkamy. I oto jestem.

– W dupę mnie możesz pocałować – mruknąłem.

Zaśmiali się ze starym. Nie widziałem w ich rękach broni, ale to nie polepszało naszej sytuacji. My z Belą wciąż byliśmy spętani i właściwie już za to, że odważyliśmy się zdjąć sobie z głów worki, należał nam się tęgi łomot.

Jednak herszt bandy jakby tego nie zauważał. Może zamierzał oddać nas jednookiemu. Może tylko mnie. I może już się to stało...

– Zaręczam ci, że to, co dla ciebie przygotowałem, by odpłacić ci za swoją krzywdę, będzie dużo mniej przyjemne – rzekł jednooki.

– Czyli dobrze myślałem, że lubisz takie pieszczoty – wypaliłem znów bez namysłu, podjudzany przez złość i na swoją zgubę, bo Franek Bela aż westchnął boleśnie.

Ale trafiłem celnie, bo cień przebiegł przez twarz cyklopa i zniknął z niej uśmiech triumfu. Chyba przyszedł czas przejść do rzeczy. Utkwiłem spojrzenie we Franku, bo nic lepszego nie przyszło mi do łba. Jednak nie ujrzałem w jego twarzy tej pewności co zawsze. Mało tego! Oczy Beli niemal wyszły z orbit, a usta rozdziawiły się jeszcze bardziej niż kilka minut temu, gdyśmy się przyglądali ulicznej potyczce. Chwilę później wiedziałem, co się za tym kryje.

Trzasnęło, jakby kto suchą szczapę złamał. Fragmenty mózgu jednookiego chlusnęły na ścianę piwniczki zupełnie tak samo jak kilka tygodni temu pod burdelem rzygowiny z ust pijanego w sztok Władka. Stary szmalcownik został trafiony w szyję jakieś dwie sekundy później. Krew z tętnicy obryzgała futrynę drzwi.

Dopiero wtedy ujrzałem lufę ogromnego rewolweru, którą najprawdopodobniej chwilę wcześniej ujrzał Franek. Z cienia powoli wyłoniła się twarz człowieka. To jego ręka trzymała broń. Spoglądała na nas para ciemnych, głęboko osadzonych oczu. Takie oczy i takie spojrzenie widziałem tylko w jednym miejscu, i to całkiem niedawno...

– *Lehitraot be-karow* – mruknął pod wydatnym nosem, patrząc na swoje dzieło, następnie splunął na trupy, schował rewolwer w zanadrze, po czym spojrzął na nas, uśmiechnął się wąsko i rzucił: – Zbierajmy się, panowie, bo wasi zrobili awanturę i pewnie zaraz tu będzie bardzo gorąco.

*

– Ezra jestem – rzucił przez ramię chwilę po tym, jak z wprawą poprzecinał nam więzy; wydawało mi się, że użył do tego nie noża, a nożyc, i to sporych.

– A dalej? – Bela postanowił być do bólu skrupulatny, jakby miał zamiar iść w ślady Lenca i wstąpić do granatowej policji.

– Na razie tylko Ezra. Robinson na bezludnej wyspie. Chodźcie za mną.

Bela, chyba już przekonany, na chwilę opuścił powieki. Wróg naszego wroga był bez wątpienia naszym sprzymierzeńcem. Nawet gdy prowadził nas tam, skąd kilkadziesiąt minut wcześniej wyszliśmy, czyli do mieszkania na drugim piętrze kamienicy przy Senatorskiej trzy.

Wspinaliśmy się szybko przy akompaniamencie trzaskania drzwi i chrobotu kluczy w zamkach, co miało, przynajmniej na razie, uczynić mieszkańców budynku bezpiecznymi. Wiadomo było, że jak Niemcy tu wpadną, by wygarnąć całą kamienicę, która miała pecha znaleźć się w pobliżu miejsca zamachu, to nie będzie przebacz. Żadne drzwi nie uchronią lokatorów przed niechcianymi gośćmi.

– Dokąd idziemy, Ezra? – nie wytrzymał Franek. – Za chwilę tu będzie kocioł.

– Chyba coś zostawiłeś na górze, nie?

Znaleźliśmy się przed drzwiami mieszkania, za którymi przed godziną zaczął się na nas obu pech. Były uchylone. Żyd otworzył je niezbyt silnym kopnięciem. W tej samej chwili stuknęły też drzwi mieszkania naprzeciwko. Byłem pewien, że jesteśmy w tej chwili obserwowani, ale co gorszego mogło nas jeszcze spotkać. No przecież

już nic. Oczywiście pod warunkiem, że się pospieszymy.

Co potrafi armata w ręku żydowskiego mściciela, jak już w duchu, na prywatny użytek ochrzciłem Ezrę, mogliśmy obejrzeć w piwnicy. Dlatego widok leżących na podłodze pozostałych członków bandy szmalcowników nie zrobił na mnie większego wrażenia. Zresztą nawet nie było widać krwi.

– To chyba twoje? – Ezra wręczył Beli niewielki woreczek, najpewniej były to pieniądze, które ktoś był mu winien; co się stało, że zamiast stąd z nimi wyjść, wpadł w pułapkę, tego jeszcze nie wiedziałem, ale zamierzałem zapytać.

– Już tylko w połowie – odparł z powagą mój przyjaciel, waząc w rękach pakuneczek.

– Jeszcze o tym pogadamy – odrzekł Ezra.

W tej samej sekundzie usłyszeliśmy ryk syren.

– Cholera – zakląłem.

– Spokojnie. – Wybawca spojrzał na mnie swymi ciemnymi oczami.

Teraz nie zdziwiło ani mnie, ani Beli, że zmierzamy na górę. Słysząc już było wyraźnie pokrzykiwania po niemiecku, gdzieś płakało małe dziecko. Nikt jeszcze nie strzelał, ale można się było tego spodziewać lada chwila. Sytuacja lokatorów Senatorskiej trzy była naprawdę nie do pozazdroszczenia. I jakoś nie brałem pod uwagę, że póki co jestem jednym z nich.

Dotarliśmy na strych. Drzwi były otwarte, ale nasz cicerone nie otworzył ich już tak nonszalancko, jak to miało miejsce niżej. Szliśmy za nim krok w krok, z obrzydzeniem zdejmując z twarzy pajęczyny. Chwilę później Robinson otworzył kłapę i znaleźliśmy się na dachu. Robiliśmy z Belą dokładnie to co on, wiedzieliśmy bowiem, że nie ma czasu na zbędne pytania.

– Teraz ostrożnie – rzekł Ezra, po czym jął pełznąć ku krawędzi dachu.

Gdyby ktoś na dole spojrzał w tej chwili ku niebu, ujrzałby trzy czupryny wychylające się zza krawędzi rynny. Ale wszyscy ci ludzie, czyli kilkudziesięciu żandarmów, esesmanów, żołnierzy Wehrmachtu, gestapowców i polskich granatowych policjantów, a także chyba strażników bankowych, którzy przyjechali na miejsce ulicznej

potyczki, byli w tym momencie zajęci czymś innym: pochylaniem się nad trupami (a były tylko te w mundurach), blokowaniem ulicy (na plac Zamkowy nie można już było wejść ani wjechać; w przeciwnym kierunku oczywiście również nie), tupaniem na potęgę po kocich łbach Senatorskiej. Właśnie przed wejściem do naszej kamienicy zatrzymał się osobowy opel, z którego wyskoczyło dwóch oficerów i zaczęło szczebrać po swoim.

– Władek musi nam potem koniecznie wszystko opowiedzieć – mruknąłem.

– Dobra, idziemy – rzucił Ezra, który leżał pomiędzy nami.

– Ale jak? – Bela spojrział na niego spod wysoko uniesionych brwi.

– Nowym sposobem każdego Żyda w tym mieście.

– Czyli? – zapytaliśmy jednocześnie z Frankiem.

– Ty powinienesz to wiedzieć najlepiej. – Spojrział na mnie. – Widziałem cię za murem, jeszcze pierwszego dnia. Nie mylę się, prawda?

– Nie.

Ezra zaczął się wycofywać. Zrobiliśmy to samo, starając się nie stracić żadnej dachówki.

Po chwili już wiedziałem, jaki sposób miał na myśli nasz wybawca. Po upadku powstania w getcie słyszałem opowieści o bojowcach biegających po dachach z rewolwerami, prążących z nich na boki niczym kowboje w westernach. Nie chciało mi się za bardzo w to wierzyć. A czy rzeczywiście któryś z tych ludzi, których wtedy widziałem – choć czasem wydawało mi się, że był to tylko sen – to Ezra? Jeśli tak, może wiedział coś o losie Lei Mendelssohn?

Znaleźliśmy się na dachu sąsiedniej kamienicy. Gdyby Niemcy zarządzili nie tylko blokadę ulic, ale również obserwację dachów, mieliby nas jak na widelcu. Tymczasem przemierzaliśmy się dalej, a ja z każdym krokiem znajdowałem w tej eskapadzie coraz większą, dziecięcą wręcz radość.

Niestety, dalsza wędrówka po tej grani miasta okazała się niemożliwa. Żaden z nas nie potrafiłby przecież przeskoczyć Miodowej, a już na pewno Krakowskiego Przedmieścia, bo właśnie tutaj, do Domu Roeslerów, udało nam się dostać w ten dość nietypowy

sposób. Widzieliśmy jak na dłoni kościół świętej Anny, z którego akurat wychodzili ludzie, nieświadomi być może tego, co wydarzyło się w niedalekim sąsiedztwie.

– Dobra, nie czas podziwiać widoki – warknął nasz przewodnik, teraz górski.

Dalej wszystko potoczyło się błyskawicznie. Działaliśmy jak w transie: kolejny włącz w dachu, strych, klatka schodowa. Gdy znaleźliśmy się na ulicy, po raz pierwszy od chwili, gdy zostaliśmy uwolnieni z piwnicy, poczułem strach. Krakowskim pędziły kolejne niemieckie samochody. Jednak ulic, przynajmniej na razie, nikt nie zamykał.

– Dziękuję – powiedział Bela.

Ezra uściśnął wyciągniętą w jego kierunku dłoń, ale jej nie puszczał. Franek zezował na mnie. Może to właśnie ten moment, w którym miał sięgnąć po woreczek z gotówką i wywiązać się z obietnicy? Czułem, że chodzi jednak o coś innego. Na grzyba Żydowi pieniądze, skoro go zaraz zdybią. Na dachu albo w piwnicy Ezra mógł się czuć w miarę bezpieczny, jednak na ulicy, w dodatku w środku dnia, swym wyglądem bez wątpienia zwracał uwagę.

Jak on właściwie poruszał się po mieście na co dzień? – zastanawiałem się.

Już jakaś paniusia, zapewne jedna z tych, które właśnie wyszły z kościoła, obejrzała się za naszą trójką i głądziła coś pod nosem. Na domiar złego po tym, co się stało, można się było spodziewać większej niż zazwyczaj aktywności Niemców w centrum Warszawy.

– Dokąd cię odprowadzić? – zapytałem, obejmując Ezrę zamasyście ramieniem.

– Niedaleko.

To powiedziawszy, podniósł kołnierz marynarki. W pierwszej chwili pomyślałem, że to niezbyt eleganckie. Ale nie miało przecież znaczenia, jeśli szło o życie. Teraz już nie tylko jego, ukrywającego się Żyda, ale nas wszystkich.

– No, to chodźmy – zaordynował Franio.

Ruszyliśmy Krakowskim Przedmieściem w kierunku Pałacu Staszica, Ezra znów pomiędzy nami. I tak jak wtedy, gdy

pozbywaliśmy się ciała zabitego w fotoplastikonie Niemca, tak i teraz udawaliśmy wciętych. Ale lekko, bo gdybyśmy się zataczali albo zaczęli śpiewać, tudzież zaczepiać dziewczęta, skutek byłby odwrotny od zamierzonego.

Tak oto, szczęśliwie przez nikogo niezatrzymywani, pokonaliśmy kilkaset metrów ulicy. Sierpniowe słońce przypiekało pracowicie, wiatr poruszał zielonymi listkami i tylko stłumione syreny i niepokój na twarzach przechodniów świadczyły o tym, że wydarzyło się coś złego. Jeszcze nie wszyscy wiedzieli, dla kogo, ale warszawska ulica już powtarzała swoje. Na nas i „tego czarnego” między nami na szczęście nie zwracano uwagi.

Myślałem o Władku. Czy szczęśliwie dojechał na miejsce zdobyczną ciężarówką? Nie zastanawiałem się nawet, czy to ona była ważniejsza, czy raczej to, co zawierała.

– To tutaj. – Ezra wskazał brodą narożnik gmachu.

Omam nie parsknęliśmy śmiechem, staliśmy bowiem przed Hotelem Europejskim. Nie to, że Żyda nie byłoby stać na mieszkanie w jednym z najlepszych i jednocześnie najstarszych hoteli Warszawy. Problem w tym, że w budynku niemal od początku okupacji urzędowali Niemcy.

Widząc nasze miny, przewrócił oczami.

– Pod latarnią najciemniej, jak mówił jeden bardzo stary cadyk z Warki – rzekł. – Mam nadzieję, że wpadniecie w gości.

Nie wierzyłem w to, co się dzieje. Franek też wyglądał niewyraźnie. Już dawno stracił tę swoją minę kozaka. Raz po raz nerwowo dotykał łokciem boku, gdzie ukrył odzyskane pieniądze. Zastrzelenie czterech szmalcowników, w tym dwóch na naszych oczach, było tak naprawdę niczym w porównaniu ze skakaniem po dachach, a potem spacerkiem ramię w ramię z człowiekiem, który, choć nie miał na ramieniu opaski z gwiazdą Dawida, to tak jakby miał. I kto wie, czy Frankowi nie chodziło cały czas po głowie, czy części kasy nie oddać aby, jak obiecał, od razu i nie uciekać przed siebie ile sił w nogach...

– Wiesz, Ezra, chyba będziemy się zbierać – bąknął.

Jednak Żyd albo udał, że nie słyszy, albo naprawdę nie dotarły do niego te słowa.

Nieco dalej, przy Trębackiej, stała zaparkowana ciężarówka. Jakiś człowiek stał właśnie przy pace, a drugi narzucał mu na plecy worek. Gdy tamten poszedł, Ezra zajął jego miejsce, a mężczyzna na pace bez słowa narzucił mu na plecy ciężar.

Zaraz i mnie przygięło do ziemi. Po kilku krokach musiałem się jednak zatrzymać i poprawić uchwyt, gdyż materiał, który trzymałem, wyslizgiwał mi się z rąk. Ezra czekał kilka metrów dalej. Po chwili dołączył do nas także i Franek. Nie wiedziałem, jak poradził sobie z problemem woreczka z pieniędzmi.

Szliśmy dalej gęsiego, a mnie nasz pochód przywiódł na myśl Boże Narodzenie i świętych Mikołajów, którzy niosą dzieciom worki wypełnione prezentami. Próbowałem potrząsnąć swoim, aby się przekonać, co takiego niosę, ale efekt był taki, że znów musiałem się zatrzymać, aby poprawić uchwyt.

– Nie chciało się nosić teczki, trzeba dźwigać woreczki – wycedził przez zęby Bela, choć nosił swoją krócej niż ja, bo tylko do matury.

Znaleźliśmy się w podziemiach Hotelu Europejskiego. W chwili gdy zrobiło się ciemno, ktoś zapalił światło. Ujrzałem mężczyznę, którego widziałem wcześniej przy ciężarówce. Oszczędnym ruchem pokazał miejsce, gdzie mamy położyć worki. Wciąż nie miałem pojęcia, co dźwigałem, nawet gdy na powrót dotknęły podłoga.

Ezra pchnął jakieś drzwi, których wcześniej nie zauważyłem.

– Już niedaleko – powiedział, zapalając lampę naftową.

Szliśmy wąskim, ciemnym korytarzem. Miałem wrażenie, że opada on w dół. Ściany odbijały nasze miarowe oddechy i uderzenia podeszew o podłogę.

– W porównaniu z tym, jak się człowiek dostawał do getta i z powrotem, to prawdziwa autostrada, nie uważasz? – odezwał się nasz cicerone.

Jako że już wcześniej wyjaśniliśmy sobie to i owo, było jasne, że pytanie skierowane było do mnie. W odpowiedzi tylko prychnąłem znacząco.

– Zaraz będziemy na miejscu – uspokajał Żyd.

*

Solidna firma był ten Ezra. Zabijał skutecznie, co po raz trzeci wspomnę, bo takich obrazów się szybko nie zapomina i ot, tak, nie wyrzuca z pamięci jak porannej pyskówki w tramwaju lub wieczornej scysji w podrzędnym szynku. Nie wiedziałem jeszcze, czy działał sam, czy może wykonywał wyroki z rozkazu jakiejś organizacji. Wreszcie dotarliśmy do kolejnych drzwi.

– Potrzymaj. – Podał mi lampę, po czym napał na nie.

Musiały być ciężkie, bo aż stęknął.

– Zapraszam na pokoje.

Oto znaleźliśmy się w dość wysokim, obszernym i długim pomieszczeniu. Pod ścianami stały jakieś koślawe szafy i komody. Najwięcej było stołów, na których leżały skłębione ubrania, z początku mnie jednak zmroziło, bo myślałem, że to ludzkie zwłoki.

– Gdzie my jesteśmy, do cholery? – zapytał Franek Bela; dawno nie widziałem go tak zdziwionego.

Nowy znajomy spojrzał na nas z nieskrywanym triumfem. Pomyślałem, że jak na mordercę był chyba za dużym efekciarzem.

– Podoba wam się moja gawra? – zapytał.

– Bardzo – odrzekłem, – ale jeszcze bardziej chciałbym się dowiedzieć, dokąd doszliśmy.

– Boisz się, że znów do getta?

Nic nie odpowiedziałem. Ezra szybko się zmitygował, odchrząknął.

– Pamiętacie sobór świętego Aleksandra Newskiego na placu Saskim?

– Miałem sześć lat, gdy go ostatecznie rozebrali jako symbol rosyjskiego zniewolenia – rzekłem uczenie. – Przychodziłem tam z ojcem, żeby popatrzeć. Tylko co to ma wspólnego z tym miejscem?

Ezra klasnął z radością w dłonie.

– Znajdujemy się, proszę wycieczki, w kanale, którym pod placem Saskim doprowadzano ciepło z Pałacu Kronenberga do rzeczonyj cerkwi. Ona zniknęła z powierzchni ziemi, ale kanał został. Zresztą w całkiem dobrym stanie. Oto moje królestwo, dom i pracownia.

Chyba nadszedł czas, by powiedzieć o sobie trochę więcej. Jestem Ezra. Krawiec.

– Grubym ścięciem szyjesz – skwitował celnie Bela.

Ale potem to już nas naprawdę zatkało. Zrozumiałem, co robią tutaj te wszystkie ubrania. Dostrzegłem też dwie maszyny do szycia.

– Moi wierni pomocnicy: singer i pfaff. – Gospodarz złowił moje spojrzenie.

Minutę później siedzieliśmy w starych, ale miękkich i wygodnych fotelach.

– Przed wojną – zaczął swą opowieść Ezra – byłem czeladnikiem w zakładzie krawieckim pana... Zresztą dajmy spokój nazwiskom. Pracownię prowadził do spółki z Żydem, czeladników też było, naszych i waszych, mniej więcej po połowie. Nie wiem, czy istniał w tym mieście drugi taki zakład. Lubiliśmy ze sobą pracować, za nic mieliśmy to, co działo się na ulicach, ataki na żydowskie sklepy i tego typu przyjemności. Niestety, gdy utworzono w Warszawie getto, dalsza praca nie była możliwa i musieliśmy się rozejść. Mój szef przeniósł pracownię na Franciszkańską i starał się dalej pracować. Nie było to już jednak to, co kiedyś. Na początku ludzie przynosili do nas ubrania do zwężenia, bo, wiadomo, chudli. Potem do przenicowania. Gdy Hitler wyprawiał się na Rosję i w getcie zarządzono zbiórkę wszystkich futer, nie brakowało pomysłów, który przynosili je do obszycia jakimś lichym materiałem. Byle tylko nie dać się ograbić. No a potem umarł nasz mistrz i wszystko poszło w rozsypkę. Jednego z naszych chłopaków wyrzucili z czwartego piętra na Zamenhofa, innego zastrzelili na ulicy. Wtedy zrozumiałem, że trzeba mi się zająć innymi maszynami, z których będzie większy pożytek...

Przerwał, potarł oburącz szare od zarostu policzki.

– Zebrało się nas kilku, kupiliśmy trochę broni – podjął po chwili. – Jako że w getcie organizacji było sporo, i z lewa, i z prawa, postanowiliśmy działać po aryjskiej stronie. Na cel wzięliśmy tych, co utrudniali życie naszym braciom i siostram, którym udało się szczęśliwie przejść. Miejsce, w którym się znajdujemy, było naszą bazą. W chwilach, gdy nie mogłem z takich czy innych powodów

wrócić do getta i musiałem tu siedzieć, dalej szylem.

– Wciąż miałeś klientów? – zapytałem

– W pewnym sensie tak. Gdy jednak wybuchło powstanie, zarzuciliśmy naszą podstawową działalność. Najważniejsze było przerzucić za mur jak najwięcej ludzi, a przy okazji nie dać się zabić. Miałem gdzieś te wszystkie bajki o umieraniu z godnością, ale siedzieć w tej norze, podczas gdy nas palili żywcem, także nie miałem zamiaru. Niestety, z całej grupy ocalałem tylko ja. Z całej rodziny zresztą też.

– Współczuję... – mruknął Franek.

– Dziękuję – uśmiechnął się Ezra. – Powstanie upadło, ale mnie wciąż zostało sporo pracy. Dzisiaj mogę się cieszyć, że wyrównałem rachunki z czterema kolejnymi szmalcownikami. Dwa tygodnie za nimi chodziłem i wreszcie się udało. Szczególnie jeden z nich, ten jednooki, mocno zasłużył się Niemcom.

Już otworzyłem usta, aby pochwalić się swoją historią z człowiekiem z przepaską, ale na razie zrezygnowałem. To Ezra grał główną rolę i nie chciałem mu tego zabierać.

– Teraz mogę spokojnie zająć się szyciem. – Żyd ogarnął ciepłym spojrzeniem swój warsztat. – Pewnie się zastanawiacie, jak to robię?

– Powiesz, będzie dobrze, nie powiesz, trudno – mruknął po swoim Franek Bela, w którym na powrót głos odzyskiwał dawny zimny cynik.

Krawiec imieniem Ezra wstał, zrobił kilka niespiesznych kroków po pomieszczeniu, pogładził pieszczotliwie maszynę pfaffa, gdzie pod stopką tkwił jasny kawałek czegoś, czego nie mogłem rozpoznać. On chyba to wyczuł, bo w mgnieniu oka wyjął z maszyny swoją robotę. Okazało się, że jest to... damska bluzka.

– Dostałem zamówienie na pięć tuzinów tego cuda w trzech rozmiarach – powiedział z wyraźną niechęcią. – Materiał z niemieckich spadochronów, gdybyście nie wiedzieli.

Rzucił w moim kierunku niedokończoną bluzkę. Pomacałem. Była nawet miła w dotyku.

– Gdzie to potem można kupić? – zapytał konkretny Bela.

– Na Wołówce. Ale to tylko mała część tego, co robię. Nie spadliście

z księżycy, więc nie muszę wam opowiadać, jak ubierają się na co dzień warszawiacy. Nicowanie to najczęstsza usługa, jaką realizuje teraz krawiec. Jeszcze niedawno przerabiano się mundury. Najpierw na marynarki, potem, gdy jeden z drugim poszedł do oflagu, żony kazały robić z tego garsonki.

Pomyślałem o Alinie Sieradzkiej, ukochanej taty, i jej mężu, którego spotkał ten sam los. Nigdy nie widziałem jej jednak w podobnym przyodziewku.

– A że żaden z warszawskich krawców – perorował Ezra – nie ma czterech rąk, do tego wypadki i inne Oświęcimy po ludziach chodzą, przypominano sobie o mnie. I oto jestem. Skromny czeladnik z Franciszkańskiej, któremu udało się nie skończyć na rusztach. Czego panowie sobie życzą? Marynareczkę, może portki?

– Wiedziałem, że się tak skończy i że nie ma nic darmo – szepnął Franek.

Ja wręcz przeciwnie – byłem coraz bardziej rozbawiony. Krawiec ukryty pod ziemią w centrum okupowanej Warszawy? Juliusz Verne by tego nie wymyślił!

– Nie marudź, na pewno nowe pumpy by ci się przydały – rzuciłem.
– Ezra to swój chłop i na pewno z ciebie nie zedrze.

– W rzeczy samej. Zdieram tylko skórę z chrześcijańskich dzieci.

– Myślałem, że porywacie je, żeby z krwi robić macę.

– To potem.

Dialog ten prowadziliśmy z kamiennymi twarzami, więc gdyby ktoś przypadkiem go usłyszał, to, dodając do tego iście piekielne dekoracje, mógłby się nieźle przestraszyć. Przez chwilę nawet wydawało mi się, że Bela wziął naszą rozmowę na serio – taką miał minę. Ale gdy skrzywił się jeszcze bardziej, wiedziałem, że myśli o tym, czy Ezra rzeczywiście będzie chciał wymóc na nim krawiecką usługę. Wyrazu twarzy Franka nie zmienił nawet śmiech naszego gospodarza.

– I tak nie miałbym dla was czasu – skwitował, by dodać: – Pieniądzy, które odzyskałeś, oczywiście nie wezmę. Ale mała pomoc by mi się przydała.

– Mam kogoś zabić? – wypalił znów bez namysłu Bela, a zaraz potem spiekł raka, bo to, co wydarzyło się na Senatorskiej, nie było

chyba jego najlepszą wizytówką.

– Na razie mam przerwę, póki nie trafię na trop innych – odrzekł z powagą Żyd. – Ale byłbym wdzięczny, gdybyście mi trochę pomogli w czym innym.

– Nie potrafię szyć – zastrzegłem od razu. – Nawet ze zwykłym guzikiem zawsze miałem nie lada problemy.

Ezra uśmiechnął się dobrotliwie, dopił z gracją herbatę, po czym rzekł:

– Nie mam aż tak wielkich wymagań...

*

Wojna i okupacja zrównała wszystkich. Albo prawie wszystkich, wciąż bowiem byli tacy, którzy chadzali w pelisach czy płaszczach z wielbłądziej wełny. Kiedyś, nawet latem, mężczyzna nie pokazywał się na ulicy bez kapelusza, a kobieta bez pończoch. Dziś królowały gołe łydki i gołe głowy. Owo zrównanie polegało też na tym, że wysoki urzędnik, którego przed wojną wożono do pracy samochodem, dziś drałował od domu do domu jako zwyczajny listonosz.

Ja nie zdążyłem ani nosić kapelusza, ani chodzić do pracy w urzędzie. Dlatego propozycję Ezry, bym pomógł mu w dostarczaniu gotowych ubrań do domów klientów, przyjąłem z zadowoleniem. Z kilku powodów. Po pierwsze, i tak nie miałem co robić, a bezczynność zawsze źle na mnie działała. Po drugie, już miałem podobne doświadczenie. Przed wojną pracowałem wszak w sklepie płytowym pana Kazimierza Gassena i często dostarczałem zamówiony towar pod wskazany adres. Potem, już w czasie wojny, jako riksarz także świadczyłem podobne usługi.

Franek, choć zawsze myślałem, że jest człowiekiem bardzo zajęтым, też nie miał nic przeciwko i przystał na propozycję Ezry. Zarówno jego niedbały ubiór, jak i to, że fatygował się po pieniądze osobiście, świadczyło, że chyba nie wie mu się ostatnio najlepiej.

– Żadna praca nie hańbi, co nie? – powiedział, kiedy już wyszliśmy z dawnego kanału ciepłowniczego, który łączył nieistniejący sobór

z wypalonym Pałacem Kronenberga; wyszliśmy zresztą inną drogą, właśnie niedaleko rzeczonego pałacu.

Do pracy mieliśmy się stawić następnego dnia, ale już nie w kryjówce krawca, a w jednym z zakładów, które ściśle z nim współpracowały. Sprawa była poważna, bo obowiązywało nawet hasło. Jak w partyzantce.

– Dzień dobry, czy znajdę u pana coś w kratkę Burberry? – zapytałem z przejęciem i nieśmiałością kmiecia, który po raz pierwszy przyjechał do stolicy.

– W kratkę jest u nas tylko pogoda – odpowiedział z powagą krawiec albo jego wtajemniczony pomocnik, co było chyba błędem w sztuce, bo powinien to zrobić lekko i kpiąco.

Po czym bez słowa się obrócił i wyszedł na zaplecze.

Jak na komendę pociągnęliśmy z Belą nosami. Byłem pewien, że gdy lata temu przychodziłem do pracowni na Niecałą, by przymierzać ubranie, w którym miałem zacząć zdobywać świat, roznosił się tam o wiele przyjemniejszy zapach. Tutaj królowała mieszanka potu, naftaliny i dymu tytoniowego – i to wcale nie dlatego, że palił krawiec albo któryś z czeladników. Albo że unikali mydła. Wszystko przez to, że przerabiano tu stare albo bardzo stare ciuchy, czasem nawet dokonując cudów, aby mogły posłużyć właścicielom jeszcze jedną zimę.

Tymczasem tamten wrócił z zaplecza. Przyniósł dwa średniej wielkości pakunki. Widniały na nich wypisane ołówkiem adresy.

– Chyba musimy się rozdzielić – rzekł Bela, przypatrując się nazwom ulic. – Co bierzesz: Gocławek czy Włochy?

Wolałem pozostać po tej stronie rzeki, wybrałem więc Włochy, choć było to już poza granicami Warszawy.

– W porządku – mruknął, oddając mi paczkę, bo okazało się, że trzymaliśmy je odwrotnie. – Powodzenia, Antek.

– Nie dziękuję – odrzekłem.

Akurat zbliżał się tramwaj. Podjechałem dwa przystanki na Dworzec Główny, gdzie wsiadłem w kolejkę podmiejską, którą dotarłem do Włochów. Domek, do którego miałem dostarczyć przesyłkę, znajdował się niedaleko stacji.

I tak jak w tym czasie złym, czasie pogardy, niektórzy z moich rówieśników pukali do drzwi mieszkań, by nacisnąć spust, wypowiedziawszy stosowną formułę, zaczynającą się od słów „w imieniu Rzeczypospolitej Polskiej”, albo zamiast rewolweru wyciągnąć z kieszeni płaszcza maszynę do strzyżenia, która również wzbudzała strach – ja pukałem do drzwi, by nagich przyodziać, jak by to pewnie określił były proboszcz w parafii Chołoniewicze.

– Już otwieram – po chwili dobiegł zza nich kobiecy głos, a ja zdążyłem jeszcze poprawić włosy.

Otworzyła mi niemłoda, ale nawet ładna kobieta. Nie uchyliła drzwi, jak robiła chyba większość ludzi w tym czasie, ale od razu otworzyła je szeroko. Dzięki temu spostrzegłem, że pani ma na sobie tylko czerwony szlafrok, a pomiędzy jego szalowymi kłapami jaśniał smakowity dekolt.

Kobieta omiotła mnie jednym spojrzeniem.

– Tak? – rzuciła przymilnie.

– Przesyłkę od krawca przyniosłem – odpowiedziałem.

Nic nie odpowiedziała, ale patrzyła na mnie w taki sposób, że powoli zaczęło mi się robić gorąco.

– Proszę. – Wyciągnąłem przed siebie ręce z pakunkiem, przerobioną z oficerskiego munduru garsonką albo zmniejszoną o dwa numery sukienką, akurat na teraz. Zresztą nieważne, co przyniosłem: może były tam granaty albo bibuła. Chciałem tylko jednego – uciec stąd jak najszybciej, złapać następną kolejkę i wrócić do Warszawy.

– Ależ niech pan wejdzie, zapraszam. Spiesz się panu? – zapytała.

– Trochę – skłamałem.

– Skoro tylko trochę, to na pewno nic się nie stanie, jak pan wejdzie na chwilę. Poza tym nie wiem, czy krawiec spełnił wszystkie moje oczekiwania i czy nie trzeba będzie... odnieść tego z powrotem.

– Jak to?

– Tak się umawiałam.

No i masz babo placek – pomyślałem, przekraczając próg domku.

Poszedłem śladem gospodyni, ale właściwie mógłbym zamknąć oczy, za kobietą ciągnął się bowiem niczym tren sukni zapach

różanych perfum. Idąc, spozierałem na boki.

Domek był bardzo gustownie urządzone, nie brakowało też rzeczy, które musiały być dość drogie, choćby wiszących na ścianach miniatur czy majolikowych figurek. Trochę mi to wszystko nie pasowało do tej osoby; poczułem się wręcz, jakbym przyszedł z wizytą do babci lub starej ciotki. I, mimo że wciąż trwała ofensywa, jeszcze mocniej uczułem potrzebę jak najszybszej ewakuacji z tego miejsca.

Znaleźliśmy się w obszernym, podobnie urządzonym salonie z wielkim balkonowym oknem wychodzącym na zielony ogród. Wszystko wskazywało na to, że pani domu jest sama. To znaczy była jeszcze przed chwilą, zanim się zjawiłem.

– Poproszę pana o to cudo. – Teraz to ona wyciągnęła rękę po pakuneczek, który oddałem jej z ulgą.

– Proszę.

– Jak panu na imię?

– Antoni.

– Niech pan siada, panie Antku. – Wskazała obszerną sofę zawaloną różnokolorowymi poduszkami i poduszczkami. – Zaraz podam ciasto. Właśnie upiekłam. Szarlotka, z tegorocznych jabłek. Mam nadzieję, że pan lubi. A ja jestem Irena. Irka dla przyjaciół.

Zawsze mi się wydawało, że okupacja poza Warszawą jest o wiele łatwiejsza do zniesienia. Nie zdawałem sobie jednak sprawy, że zaczyna to działać już we Włochach!

– Tak, lubię – odrzekłem, zapadłszy się w miękkości poduch i sofy.

Gospodyni obdarzyła mnie pięknym uśmiechem, po czym wyszła z salonu. Że też się nie boi zostawiać tak człowieka, którego pierwszy raz widzi. I gdzie by mnie potem szukała, gdybym zabrał coś wartościowego i prysnął przez okno? A może to jakaś pułapka i podpucha? Przecież jednooki i jego kamraci również mogli mieć mścicieli, których przeoczyliśmy na Senatorskiej.

Mimowolnie wstałem z sofy. Od okna dzieliły mnie może ze trzy kroki. Gdybym teraz ruszył, pewnie by mi się udało. Każda sekunda zwłoki być może kosztuje mnie życie – rozważałem gorączkowo.

– Panie Antku – dobiegło nagle z sąsiedniego pokoju. – Jest pan tam? Chciałem odpowiedzieć, że tak, ale nagle zaschło mi w gardle i z

moich ust wydobył się krótki i żałosny charkot.

– Panie Antku!

– Jestem – odpowiedziałem, odchrząknawszy.

– Może pan łaskawie pozwolić do mnie na chwilę? Za nic nie mogę sobie poradzić z jedną haftką na plecach.

Gotowe, przyszła kryśka. Teraz to już na bank w pokoju obok będzie czekać bandzior, którego nie zdążył dopaść Ezra, z obrzynem skierowanym w mój brzuch. Pewnie, po co paskudzić sobie ściany w takim ładnym salonie... – pomyślałem.

– Panie Antku! – zawołała po raz trzeci Irena, a dla przyjaciół Irka.

– Już idę.

Nie miałem nawet za co chwycić, aby spróbować się obronić. Choćby stojącą gdzieś pod ścianą zapomnianą nogę od stołu, choć marna by to była broń wobec obrzyna czy parabelki. Nogi miałem jak z waty, oddychałem ciężko. Krok zaledwie dzielił mnie od uchylonych drzwi, za którymi czekało na mnie przeznaczenie, gdy nagle zza ich krawędzi wychynęła głowa Irki. Kobieta uśmiechała się wciąż tak samo, jak w pierwszej chwili.

– Przekłęta haftka – mruknęła. – Pomożesz?

– Oczywiście, proszę pani – odrzekłem.

– Irka jestem dla przyjaciół.

Z coraz mocniej bijącym sercem wszedłem do środka. Znalazłszy się w pokoju, omiotłem go jednym spojrzeniem. Żadnego wroga, chyba że czai się tuż za drzwiami. Odwróciłem się, chyba gwałtowniej niż zamierzałem. Irka aż pisnęła.

– Ale mnie przestraszyłeś, Antku.

Nie miała na sobie przyniesionej przeze mnie sukienki z kłopotliwą haftką. Trzymała ją przed sobą, osłaniając nagie piersi i brzuch. No i wcale nie wyglądała na zakłopotaną, ani z powodu haftki, ani tym bardziej z powodu tego, że widzę ją w negliżu. Wręcz przeciwnie!

– Chodź do mnie, chłopcze – powiedziała zmienionym, bo niskim i zmysłowym głosem, mrużąc oczy, po czym odrzuciła sukienkę w bok, gwałtownie przypadła ustami do moich ust, podczas gdy jej ręce już rozpięły mi pasek od spodni...

*

Leżałem na brzuchu, a chłodne powietrze z ogrodu, które wpadało do buduaru przez uchylone okno, suszyło pracowicie kropelki potu na moich nagich plecach i pośladkach. Nie widziałem ich, ale byłem pewien, że tam są. Pojawiły się jeszcze dwie: spłynęły mi z oczu; jedna skapnęła dokładnie w przerwę między piersiami Irki. Kobieta zauważyła to.

– Co? To był pierwszy raz? Naprawdę?! No, nie trzeba płakać... – powiedziała łagodnym głosem, jak matka do dziecka.

Gwałtownie usiadłem na łóżku, trąc oczy.

– Skąd! – rzuciłem chwacko. – Po prostu coś mi się przypomniało.

– Ktoś czy coś?

– Nieważne. Muszę już iść. – Wstałem i zacząłem się ubierać.

Miałem jednak trudności z trafieniem nogą w nogawkę, a potem pięścią w rękaw koszuli. Kobieta przyglądała się moim działaniom, ja też nie mogłem nie zerkać na kochankę sprzed chwili.

– Zostań jeszcze – powiedziała.

– Naprawdę nie mogę.

Irena, dla przyjaciół zaś, więc dla mnie chyba już też, Irka, była mężatką. Jej mąż czymś handlował. Nie powiedziała dokładnie czym, a ja nie dopytywałem. Ważne, że więcej go w domu nie było, niż był. Wciąż dokądś jeździł, gdzieś ganiał, zabiegał, negocjował, targował się. Efektem tego wszystkiego był pięknie urządzony dom (choć Irka powiedziała, że marzy o większym), a także nudząca się, a przez to poszukująca przygód żona.

Przez chwilę zastanawiałem się, czy byłem tylko okazją, którą wykorzystwała, czy może robiła tak z każdym, kto dostarczył jej zamówiony towar, doręczył list czy depeszę, przyszedł, by odczytać licznik gazu albo sprawdzić zużycie prądu. Pomyślałem jeszcze, jak zachowałby się Franek, gdybyśmy inaczej podzielili się dzisiejszą robotą. A potem to byłem już całkowicie ubrany i gotów do wyjścia.

– Wpadniesz jeszcze, Antku? – zapytała, oparłszy brodę na dłoni.

– Nie wiem – mruknąłem.

- A kto ma wiedzieć?
- Tak się składa, że to moja pierwsza robota od dłuższego czasu i...
- Zauważyłam.

Znów chyba się zarumieniłem. Ale głos, który z siebie wydobyłem po krótkiej chwili, zabrzmiał już tak, jak sobie tego życzyłem:

- Zobaczymy. Jesteś bardzo miła, Ireno. Ireczko...
- Ty też jesteś miły, Antku – uśmiechnęła się. – A teraz posiedź jeszcze, proszę, w salonie, bo chciałabym jednak przymierzyć tę sukienkę. Jak nie będzie pasowała, to będziesz, niestety, musiał odnieść ją z powrotem do zakładu.

*

Wsparty o półeczkę, wpatrywałem się w przesuwany się za szybą krajobraz, słuchając, jak koła kolejki stukają miarowo na spojeniach szyn. W pewnej chwili mijane drzewa zaczęły się zlewać w szarzieloną masę: poczułem, jak ogarnia mnie senność. Nie mogłem sobie jednak na to pozwolić, jeśli nie chciałem obudzić się po drugiej stronie. Że rzeki, to byłby chyba najmniejszy problem.

Tym bardziej że jednak musiałem oddać tę cholerną sukienkę Irki z powrotem do pracowni. Czułem zresztą, że tak będzie. Nie byłem tylko pewien, czy jej właścicielka wolałaby, bym to ja znów ją przywiózł, czy było jej obojętne, kto to będzie. Byleby nie miał czterdziestu lat i nie śmierdział jak cap. Bo nie zapytała ponownie, czy się zobaczymy, gdy wychodziłem.

W pewnej chwili zachciało mi się śmiać i zaraz dałem upust swoim emocjom, na całe gardło, bez najmniejszego skrepowania, mimo że nie byłem w wagonie sam. Bo niby czemu nie.

– Spił się, świnia – usłyszałem, jak jakaś paniusia mówi do innej paniusi.

Na to zaśmiałem się jeszcze głośniejsze. Aż ktoś specjalnie wychylił się znad oparcia swojej ławki, aby mi się przyjrzeć. Wtedy zacząłem śmiać się w kułak, ale długo nie wytrzymałem.

– Tak panu wesoło? – zapytał wąsaty konduktor, który zjawił się po

minucie, sam z siebie, a może powiadomił go ktoś usłużny.

– Jakoś tak wyszło – wyrzeźbiłem z trudem.

– Bilecik pana poproszę do kontroli.

Sięgnąłem w zanadrze, wyjąłem kartonik. Przedziurkował go z widoczną niechęcią, po czym sobie poszedł. Jakaś baba znów się wychyliła, pewnie żeby sprawdzić, czy konduktor już wypisuje mandat zbyt wesołemu pasażerowi. Pokazałem jej język.

– Świnia! – fuknęła.

Nie miałem za złe nawet i tego. Bo naprawdę czułem się, jakbym wypił we Włochach strzemiennego, a przecież klientka koniec końców zapomniała nawet zaserwować szarlotkę, którą upiekła ponoć na krótko przed moim przyjściem. Postanowiłem, że jeśli jeszcze tam wrócę, żartem się o nią upomnę.

Kolejka dotarła do centrum, gdzie wysiadłem. Idąc Marszałkowską w stronę domu, zastanawiałem się, jak to, co mnie spotkało, ubrać w należyte słowa, tak by i Franeczka Belę rozweselić. A kto wie, może nawet Czesia. Najwyraźniej znów obudziła się we mnie aktorska dusza. Pewne było, że nie wystąpię w tej opowieści jako pipanieśmiałek. Na samotną Irkę rzucę się jak zdobywca, a ona będzie tylko jęczeć z rozkoszy...

– Serwus! – rzuciłem od progu.

Nikt mi nie odpowiedział, ale z kuchni dobiegło postukiwanie naczyń, dzięki czemu skonstatowałem, że lada chwila można się było spodziewać Bielawnego, który, mimo pewnej odległości dzielącej miejsce pracy i zamieszkania, stołował się w domu. Jak go znałem, robił tak nie z zamiłowania do kuchni Ołeny, tylko z powodu zwyczajnego skąpstwa.

Ledwo zzułem buty, ktoś zapukał do drzwi.

– Jak tam na Gocławku? – przywitałem Franka.

Wszedł do środka bez słowa. Przypatrywałem mu się z uwagą, usiłując dostrzec cokolwiek, co pozwoliłoby mi podejrzewać, że spotkało go coś równie zaskakującego i miłego jak mnie. Ale to on pierwszy zauważył, że przyniosłem z powrotem pakunek od krawca.

– Coś było nie tak? – Wskazał obojętnym ruchem głowy paczkę, którą rzuciłem na stolik z telefonem.

– Tak. Źle leżało – odpowiedziałem. – A u ciebie?

Znów wykonał ruch głową, tym razem jakby chciał wyswobodzić ją z uścisku zbyt ciasnego kołnierzyka.

– W porządku – odpowiedział. – Nawet napiwek dostałem.

Oblizalem wargi. Już miałem zacząć opowieść o moim „napiwku”, gdy zaterkotał telefon.

– Tak? – rzuciłem do tuby; chwilę słuchałem, spoglądając co raz na Franka. – Dobrze. Zaraz będziemy.

Odłożyłem ostrożnie słuchawkę.

– Mamy być jak najszybciej w zakładzie – powtórzyłem Frankowi, co usłyszałem.

Bela się skrzywił.

– Myślałem, że przynajmniej napijemy się kawy. Zobacz, dostałem od klientki najprawdziwszą arabikę. – Wyjął zza pazuchy zgrabną, błyszczącą paczuszkę.

Kusił, nie powiem. Jednak jakiś głos podpowiadał mi, że powinniśmy niezwłocznie spełnić prośbę krawca. Jak się miało wkrótce okazać, nie myliłem się.

*

W zakładzie jak śmierdziało, tak śmierdziało. Ale dodatkowo dawało się wyczuć również napiętą atmosferę – i to już od progu. Ledwo zamknęliśmy za sobą drzwi, ledwo wybrzmiał pociemniały ze starości dzwoneczek wiszący u futryny i anonsujący przybycie klienta, z zaplecza wypadł na nas ten sam mężczyzna, który parę godzin wcześniej wydał nam paczki do dostarczenia. I dopiero w tym momencie przypomniałem sobie, że zapomniałem zabrać z domu tę, która kryła sukienkę Irki.

– Do... dobrze, że panowie jesteście... – wysapał, oparłszy się rękami o kontuar.

Sytuacja jak nic przypominała tę sprzed dwóch i pół miesiąca, kiedy to w napięciu czekaliśmy z Czesiem na przybycie Beli, aby ten zrobił coś z ciałem niemieckiego oficera zamordowanego w dopiero co

nabytym fotoplastikonie.

– Co się stało? – zapytał ze spokojem bohater mojej najnowszej myśli.

W odpowiedzi tamten tylko oderwał ręce od blatu, pomachał nimi, zupełnie jak wykonawca tego samego zawodu, ale z Nalewek, po czym zniknął na zapleczu. Obaj z Belą wzięliśmy owe machnięcia za znak, że mamy się udać za krawcem.

Na zapleczu zakładu nie było nikogo więcej. Krawiec krążył przez chwilę po izbie, wzbudzając leżący na podłodze kurz zmieszany z kawałkami różnokolorowych nitek. Na środku stało krzesło, a na jego oparciu wisiała czarna marynarka. Po chwili mistrz zdjął ją, podniósł do światła i zaczął się jej przypatrywać. Franek nerwowo potarł powieki; nie bez powodu chciał chyba napić się u mnie kawy.

– Po co nam pan kazał przyjść? – zapytał, jeszcze spokojnie.

– Musicie mi pomóc – odrzekł szybko fachowiec, nie przestając przypatrywać się swojej robocie.

– Coś gdzieś zanieść, przynieść? – przyszedłem w sukurs Frankowi.
– Od tego jesteśmy. Jeszcze.

Krawiec odłożył marynarkę na miejsce, spojrzał na nas wzrokiem pełnym bólu.

– Muszę zdjąć miarę z trupa – powiedział niemal niesłyszalnie.

– A co nam do tego? – prychnął Franek. – Czy my, panie szanowny, pracujemy w zakładzie pogrzebowym?

Drugie pytanie planował chyba zadać tonem żartobliwym, z niewielką domieszką oburzenia, tak mi się przynajmniej wydawało. Ale wyszła fraza raczej drewniana. I sroga mina nie była w stanie tego poprawić.

– Nie – odrzekł ze spokojem krawiec. – Jednak wyglądacie mi na takich, którzy może nie wysadzają nocą pociągów i nie strzelają do gestapowców, ale znają tych, którzy to robią. Niestety, jeden z nich właśnie miał pecha i otrzymał śmiertelny postrzał. Rodzina przygotowuje się do pogrzebu, a ja mam zadbać o ostatni przydziewek bohatera.

– Bardzo szlachetnie. Medalu może panu za to nie dadzą, ale i tak jest dobrze – skwitował Franek.

– Tylko że ja panicznie boję się nieboszczyków. Nawet do własnego ojca nie podszedłem, gdy leżał na marach w otwartej trumnie. Sami panowie rozumiecie...

– Ale co mamy zrobić? – zapytałem skwapliwie.

– Po prostu chodźmy tam razem, ja poczekam, wy go obejrzyjecie, a potem opiszecie mi jego rozmiary. Czy wyższy, czy niższy. Gruby albo chudy.

Franek wyduł policzki.

– A nie lepiej zdjęcie zrobić? – zapytałem.

Krawiec wzdrygnął się.

– Na zdjęcie też nie spojrzę. Poza tym nie posiadam aparatu, a na wywołanie filmu również się czeka. No i trzeba mieć zaufanego fotografa. Ja nie mam, więc pozostańmy przy starym pomysle, dobrze? Błagam...

– I to wystarczy, żeby uszyć garnitur? – zapytałem z niedowierzaniem.

– Myślę, że tak – rzekł na to krawiec-trzęsidupa. – Nie będzie w nim przecież brał ślubu ani tańczył, nad czym oczywiście szczerze ubolewam. To jak, idziemy? Oczywiście płacę wam jak za dostarczenie paczki. Może być?

– Robota jak robota. – Bela pociągnął nosem, wsuwając ręce do kieszeni.

*

Niecałe pół godziny później jechaliśmy dorożką na Mokotów. Im bardziej oddalaliśmy się od pracowni, tym krawiec był bledszy. Zacząłem się bać, że za chwilę sam zaryje nosem w plecy dryndziarza i będziemy mieli jeszcze jeden ambaras. Podejrzewałem, że nie tyle przerażał go widok poległego w akcji chłopaka, co spotkanie z jego towarzyszami. Może miał coś na sumieniu – Niemcom mundury przerabiał na przykład.

Gdy dotarliśmy na miejsce, a okazało się, że są to jakieś garaże, krawiec zapłacił za kurs. Dorożkarz wydał resztę, ale naszemu

specjaliście tak się trzęsły ręce, że monety miast w kieszeni wylądowały na bruku. Jako bądź co bądź młodszy wiekiem, w dodatku nauczeni dobrych manier, zaczęliśmy je pracowicie zbierać.

– Dziękuję – powiedział słabym głosem mistrz nożyc.

– Nie ma za co – rzekł Bela. – Chodźmy już, bo ja też nie lubię smrodu trupiarni.

Weszliśmy pomiędzy garaże. Ścieżka zaprowadziła nas na niewielki plac. Tam zatrzymał nas jakiś osobnik z zapałką w zębach. Odniosłem wrażenie, że skądś typka znam.

– Czego? – Sięgnął wymownym ruchem za pazuchę.

– Spokojnie, druhu – rzekł na to Bela. – Krawca przyprowadziliśmy. Ręka chłopaka wróciła na miejsce.

– A, to... Zaprowadzę.

Musieliśmy iść gęsiego, ponieważ kolejne przejście między garażami było bardzo wąskie. Pół minuty później znaleźliśmy się na miejscu – przed jakąś większą halą. Czuć było zapach benzyny i smarów.

– Poczekać tu – rzucił wartownik, po czym zniknął za drzwiami.

Po chwili wyszedł do nas niewysoki facet około trzydziestki.

– Witold – przedstawił się, omiótłszy nas jednym uważnym spojrzeniem. – Zameldowano mi, że panowie w sprawie garnituru.

– Zgadza się. – Nasz krawiec nieoczekiwanie odzyskał kontenans, być może stało się tak dlatego, że nie stał przed nim nikt w naszym wieku czy młodszy. – Chcemy zdjąć miarę.

– Miał pan być sam.

– Tak, wiem, ale...

– Niestety, sprawa jest już nieaktualna – rzekł wyglądający na dowódcę mężczyzna, który przedstawił się jako Witold. – Ciało zostało zabrane przez rodzinę. Proszę o wszystkim zapomnieć. Panowie też. – Spojrzał groźnie na mnie i Franka.

– Ale... – jęknął krawiec.

– Do widzenia – rzekł tamten, po czym rzucił do chłopaka, który nas przyprowadził. – Dopilnuj, żeby panowie bezpiecznie dotarli na ulicę.

Mistrz nożyc zamachał jeszcze rękami, ale tamten był już w drodze powrotnej do magazynu. Chwilę później zniknął za drzwiami.

Chłopak z zapalką w zębach zdecydowanym gestem wskazał nam drogę.

– Czy my się czasem nie znamy? – zapytałem, kiedy już szliśmy.

– Batory. Matura trzydzieści dziewięć – odparł szybko.

– Wiedziałem! – Bela klasnął w dłonie tak mocno, że idący przed nim krawiec podskoczył jak w komedii z Chaplinem.

– Czy to któryś z naszych chłopaków? – zapytałem, kiedy już znaleźliśmy się na ulicy. – Mam na myśli, no... wiesz...

Chwilę milczał, jakby rozważał, czy można nam zaufać. Jakby nie było, widzieliśmy jego dowódcę i znaleźliśmy położenie bazy. Ale przecież byliśmy chłopakami z jednej szkoły!

– To Tadek Zawadzki – rzekł półgłosem. – Wczoraj w nocy mieliśmy akcję w Sieczechach, niedaleko Wyszkowa. Likwidowaliśmy posterunek grenzschutzów. Prowadził nas i jako pierwszy wpadł do środka. Dostał w serce. Nikt z naszych więcej nie zginął, tylko on jeden. Jeszcze nie wiem, kiedy będzie pogrzeb. A teraz już idźcie i zapomnijcie o wszystkim.

*

Oczywiście nie mogłem spełnić prośby młodszego o rok kolegi z liceum i tak po prostu o wszystkim zapomnieć. Przede wszystkim usiłowałem przywołać w pamięci człowieka, który zginął, przyporządkować imię i nazwisko do jego twarzy. Ale nie potrafiłem. Franek, z którym pojechaliśmy stamtąd prosto na Jasną, zostawiając na ulicy mamroczącego coś pod nosem krawca, spekulował, że to mógł być brunet o łagodnych, nieco dziewczęcych rysach twarzy.

– Z tej ekipy pamiętam tylko Bytnara – powiedziałem. – Pracowaliśmy razem przy szkleniu okien, na początku wojny. Też już nie żyje.

– Nie wiedziałem.

– Zamęczyli go na Szucha. Koledzy wprawdzie odbili go na wiosnę pod Arsenalem, ale było już za późno...

Wypiliśmy wreszcie tę kawę, którą przyniósł Franek, ale jakoś nie

potrafiła poprawić nam humoru.

– Nie będę już chodził z paczkami – oświadczył Bela, kiedy osuszył filiżankę.

– Coś się stało? – zaniepokoiłem się.

– To nie dla mnie.

Mogłem mu opowiedzieć o tym, co mnie dziś spotkało we Włochach i było wcale miłe. Może by się przemógł, kto wie. Albo dolać kawy, bo przecież nie piły jej, gdyby nie ta robota. Ale nie zrobiłem ani jednego, ani drugiego. A potem przyszedł Czesio Bielawny, więc temat w naturalny sposób się urwał.

*

Następne dni nie przyniosły nic nowego ani szczególnego. Odwiedzałem polecane mi zakłady krawieckie, zabierałem paczki z gotową robotą i dostarczałem je pod wskazany adres. Na liście zleceń nie było adresu we Włochach.

Któregoś dnia w jednej z pracowni na Pradze spotkałem Ezrę – po raz pierwszy od tamtego pamiętnego przedpołudnia w piwnicy na Senatorskiej.

– I jak leci? – Podniósł wzrok znad żakietu, który fastrygował.

– W porządku. Kręci się jakoś – odpowiedziałem zgodnie z prawdą.

– A u ciebie?

– Nie narzekam – mruknął, by za chwilę zapytać z zupełnie innej beczki i dużo głośniejszym głosem: – Wiesz, Antek, co jest teraz modne?

– Święty spokój? – palnąłem bez namysłu.

– Owszem, święta racja. Ale nie wszystkich na niego stać, a już na pewno nie ludzi, którzy zaszkodzili mojemu narodowi.

– Czyżbyś miał kogoś nowego na celowniku, Ezra?

– Owszem. Ale to nie twoja wojna.

– Jesteś tego pewien? – Spojrzałem na niego spod oka.

Nic nie odpowiedział. Wyjął igłę i w kilku ruchach przewrócił żakiet tak, że ujrzałem jego podszewkę.

– To jest dziś modne, przyjacielu! – Mrugnął szelmowsko.

Podszewka była czerwona i połyskująca, ot, nic specjalnego. Ale od strony kołnierza okrągląła biała plama, na niej zaś znajdował się czarny prostokąt.

– Skąd to masz? – zapytałem, nie wiedząc, czy mam się śmiać, czy krzyczeć z oburzenia, nie spoglądałem bowiem na nic innego jak na... fragment hitlerowskiej flagi.

– Jeden dwunastolatek przyniósł i wymienił za bochenek chleba. Piękny jedwab. Naprawdę dawno nie miałem czegoś takiego w rękach, a to oznacza, że ta flaga nie mogła wisieć byle gdzie.

– A co na to klientka?

– Zachwycona. Jeśli pokaże koleżankom na popołudniowej herbatce, będę miał zamówienia na takie podszewki na pół roku.

– Nie brzydzisz się?

– Niby czego? To tylko materiał, który nie miał wpływu na to, co z niego uszyto. Jedwabniki raczej nie śpiewały hitlerowskich pieśni ani nie maszerowały z pochodniami, wykonując swoją pracę.

Wszedł właściciel zakładu, mały i grubiotki, o nieświeżym oddechu. W rękach trzymał paczkę.

– Na, dla ciebie, dobry człeku – rzucił po swojemu. – Spraw się.

Kiedyś może inaczej zareagowałbym na te słowa. Teraz tylko ślinę przełknąłem. Omiotłem spojrzeniem nazwisko wypisane na papierze i adres. To pierwsze nic mi nie mówiło, za to adres zapowiadał na szczęście wyprawę dość daleką, ale za to wcale przyjemną, bo na Sadybę.

Na placu Trzech Krzyży wskoczyłem w tramwaj linii szesnaście „E”, która to litera obiecywała, że pojazd dowiezie mnie aż na pętlę w pożądanej dzielnicy. Znalazłem wolną ławkę, ułożyłem sobie miękki pakunek na kolanach i położyłem na nim łokcie, nie zważając, że materiał sukienki, zakietu czy co to tam wiozłem może się pognieść.

Szczerze mówiąc, chętnie położyłbym tam głowę z zamiarem ucięcia sobie krótkiej drzemki. Miałem za sobą ciężką noc, bo Ołena znów źle się poczuła. Jednak podróżując po swoim ukochanym mieście tym środkiem transportu, unikałem takich sytuacji. Tym bardziej teraz, kiedy odrobina nieuwagi mogła kosztować przesiadkę z tramwaju prosto pod plandekę, a przy okazji kopniaka albo inną

pieszczotę, choćby cios kolbą w plecy.

Na szczęście tym razem nic takiego się nie stało i bezpiecznie dotarłem na miejsce. Wcześniej byłem tu może ze dwa razy, z tych też powodów nazwę ulicy Okrężnej poczułem w nogach. Wreszcie, dobry kwadrans później niż planowałem, stanąłem przed drzwiami domku.

– I niech to nie będzie kolejna Irena – mruknąłem jeszcze, zanim z drugiej strony dobiegł odgłos kroków i trwożne:

– Kto tam?

– Przesyłka od krawca.

Drzwi otworzyły się. Jakież było moje zdumienie, gdy ujrzałem znajomą twarz. Jeszcze raz spojrzałem na adres. Zgadzał się. Nazwisko? Już nie.

– Pan doktor Kulawczyk, jeśli się nie mylę? – rzuciłem w stronę gospodarza.

Szalony chemik, były wykładowca na Politechnice Warszawskiej, bojaźliwie wyściubił głowę na zewnątrz i rozejrzał się po ulicy, a następnie położył palec na ustach, drugą dłońią zaś chwycił mnie za wolną rękę i wciągnął do środka. Choć wszystko wydarzyło się bardzo szybko, udało mi się nie potknąć o dość wysoki próg. A potem radość z ujżenia znajomej twarzy wyparł strach, że oto przyjdzie mi wysłuchać całego wykładu na temat cudownej broni, którą w zaciszu swej pracowni wynalazł naukowiec.

– Skąd pan mnie zna? – zapytał, spoglądając na mnie, jakby chciał mnie przeświecić niczym promienie Roentgena.

– Spotkaliśmy się. Zresztą już kilka razy. W kawiarniach, przypadkiem... – wydukałem, tracąc rezon z każdym wypowiedzianym słowem. Przecież tak naprawdę za każdym razem traktowałem tego człowieka jak natręta i nieszkodliwego wariata; dlaczego teraz sam przyznałem się do znajomości, zamiast po prostu zapytać o nazwisko osoby, do której adresowana była przesyłka, a potem zostawić pakunek i wyjść?

– Pan z organizacji? – zapytał nieco ciszej.

– Nie. Z zakładu krawieckiego, już mówiłem.

Naukowiec odchrząknął, zrobił krok do tyłu, znów mnie otaksował od stóp do głów.

– To jakaś pomyłka – rzekł.

– Pomyłka?

– Owszem, pracowałem kiedyś na naszej politechnice, ale to już przeszłość. Co prawda uczelnia wznowiła działalność, jak zapewne pan słyszał, ale ja nie chcę już tam wracać...

Pamiętałem, że wtedy mówił dokładnie to samo.

– Bo pracuje pan nad jakąś nową bronią, przecież pamiętam! – upierałem się.

– Już panu powiedziałem: to pomyłka.

Chyba wszystko rozbijało się o fakt, że nie jestem z żadnej organizacji. A jeśli tak, to oznaczało ni mniej, ni więcej, że Kulawczyk osiągnął wreszcie swój cel: dotarł do dowództwa, gdzie przedstawił wyniki swoich badań i wielomiesięcznych eksperymentów, o których być może wróg przekona się już wkrótce na jednej z warszawskich ulic. Chociaż lepiej by chyba było, żeby stało się to w jakimś lesie albo na polu, z dala od siedzib ludzkich, bo cholera wie, co ten człowiek wymyślił.

– Ma pan rację, to chyba pomyłka – uśmiechnąłem się. – Nie wiem tylko, co zrobić, bo na paczce mam ten adres. – Okazałem mu koślawą pisaninę.

– To do Freda, mojego kuzyna – odrzekł szybko doktor. – Akurat wyszedł.

– Mogę zostawić?

– Oczywiście. Przekażę mu, jak tylko się pojawi. Gdzieś trzeba pokwitować?

– Nie.

Z ulgą oddałem paczkę, którą naukowiec przyjął z kolei z powagą, jakby odbierał co najmniej doktorat *honoris causa* Sorbony. Jednocześnie ani na chwilę nie spuszczał ze mnie spojrzenia, przez co zacząłem podejrzewać, że nie tylko nie pamiętał mnie z tamtych dwóch spotkań, ale brał po prostu za prowokatora. Przesyłkę jednak wziął. Choć przecież mogłem przynieść w niej bombę zamiast pary portek...

– Do widzenia panu – powiedziałem, nie chcąc już używać ani jego tytułu naukowego, ani nawet nazwiska.

– Do widzenia, młody człowieku. Do widzenia – odrzekł Kulawczyk.

Znalazłszy się z powrotem na Okrężnej, odetchnąłem z ulgą. Przepuściłem kolejkę jadącą w stronę Wilanowa. Od strony Siedlungstrasse, jak nieludzko nazwano pocztową Powsińską, maszerował jakiś mężczyzna. Może to był właśnie ów kuzyn Kulawczyka, Fred, na którego czekała paczka? Prawdę mówiąc, miałem to gdzieś.

*

Odkąd zacząłem tę dziwną pracę – nie, wcale nie hańbiącą, po prostu dziwną – więcej uwagi poświęcałem swojemu ubiorowi. A pozostawiał on, delikatnie mówiąc, wiele do życzenia. Właściwie sam powinienem zostać klientem Ezry bądź jednego ze współpracujących z nim zakładów krawieckich.

Jedynym elementem mojej garderoby, którego nie mogłem się wstydzić, był ów garnitur, który szyłem przed maturą u pana Rzący na Niecałej; do niego Ezra nie wysłał mnie ani razu, właściwie nie wiedziałem nawet, czy ta pracownia w ogóle jeszcze działa.

Cała reszta moich ubrań właściwie trzymała się kupy ostatnimi niemi. Spodnie nie były tak krótkie jak u Beli, ale poprzecierały się w kroku, wszystkie kieszenie miały dziury, więc nie sposób było nosić w nich klucze czy pieniądze. Płótno wyzierało z załamań na kołnierzykach koszul.

Trwało lato, co było z jednej strony błogosławieństwem, bo nie musiał człek myśleć, co na siebie włożyć, aby nie zamarznąć, wychodziły za to wszystkie powyższe mankamenty. Ech, zazdrościłem mieszkańcom Afryki, którym za cały przydziewek wystarczała spódniczka z liści czy słomy.

Siedziałem tak i dumiałem, spoglądając na wiszące na wieszakach elementy garderoby. Byłem znów w pracowni krawca, który bał się wziąć miarę z poległego. Na ściennym kalendarzu widniała ponura data – 1 września 1943 roku.

– Gotowe! – zawołał z triumfem trzęsidupa, jak go między sobą

z Belą nieładnie, ale jakże trafnie nazywaliśmy.

Paczka, którą trzymał w rękach, była dużo większa niż te, z którymi do tej pory biegałem po Warszawie. Wstałem i wziąłem ją do rąk. Na szczęście nie była cięższa niż zazwyczaj.

– Dokąd mam ją zanieść? – zapytałem. – Nie napisał pan adresu.

– A, rzeczywiście. Już piszę – zmitygował się krawiec.

Podreptał do kantorka, po chwili wrócił z zabazgraną ołówkiem kartką. Rzuciłem na nią okiem, odczytałem hieroglify, po czym skinąłem głową i schowałem do kieszeni spodni.

– W takim razie lecę – powiedziałem. – Mam nadzieję, że nikt dziś nie będzie chciał uczcić ważnej daty. Ani jedna, ani druga strona...

Wyszedłem na ulicę i od razu poczułem wyraźny zapach deszczu. Wyjąłem raz jeszcze kartkę i sprawdziłem adres, po czym zacząłem układać sobie w głowie dokładną trasę. Część z niej zamierzałem pokonać tramwajem, część zaś piechotą. Czas dotarcia – około czterdziestu pięciu minut.

Po wyzwoleniu mogę się zatrudnić na poczcie – pomyślałem z rozbawieniem.

Dokładnie czterdzieści trzy minuty później stanąłem przed drzwiami mieszkania na Kole. Potarłem zakurzone szkiełko omegi o rękaw koszuli, buty zaś, a tego dnia miałem na sobie najlepszą parę, od garnituru – o spodnie. Tak przygotowany wyciągnąłem rękę w stronę przycisku dzwonka.

Nie zdążyłem go jednak dotknąć, gdy drzwi otworzyły się gwałtownie i stanął w nich mężczyzna w siatkowym podkoszulku.

– Czego?! – rzucił gniewnie.

Nieraz na mnie warczeli, taki już los ludzi, którzy z racji wykonywanego zawodu zmuszeni byli pukać do drzwi innych ludzi, przeszkadzając im w tym czy owym. Przyzwyczyliłem się. Ale tego osobnika się przestraszyłem.

– Ja od krawca. – Naiwnie zastawiłem się przyniesioną paczką niczym tarczą.

Facet, a mógł mieć może tyle samo lat co ja, ale postarzał go dawno niegolony zarost i zaczerwienione, najpewniej od wódki, oczy, spojrzał na mnie podejrzliwie. Pewnie nie spodziewał się niewinnego

posłańca, a to mogło oznaczać, że sam ma coś na sumieniu. Pomyślałem jednak o tym dopiero wtedy, gdy było już po wszystkim.

– Czekaj któryś na coś od krawca? – rzucił w głąb mieszkania.

Na tę krótką chwilę stracił mnie z oczu. Ale nie tylko mnie. Nagle usłyszałem ciężkie tąpnięcie i jakiś ciemny kształt runął w moją stronę z półpiętra. Nim się spostrzegłem, odepchnął mnie na bok, tak że omal nie spadłem ze schodów; w ostatniej chwili zdołałem chwycić się poręczy, za to paczka wypadła mi z rąk.

W tej samej chwili coś jakby trzasnęło. Potem jeszcze dwa razy. Przywarłem do ściany. Strach kompletnie mnie sparaliżował, nie mogłem się ruszyć. Gdyby napastnik wychynął nagle zza framugi – a byłem pewien, że to on naciskał spust – i wycelował we mnie, pewnie zdołałbym tylko ze wszystkich sił zacisnąć powieki...

– Schowaj się, szybko – usłyszałem zamiast strzału.

To Ezra. Stał przed drzwiami i ocierał pot z czoła ręką trzymającą znany mi już rewolwer.

– Szybko! – fuknął, bo wciąż stałem jak słup soli.

Poskutkowało. Schyliłem się po pakunek, a chwilę później zamykałem za sobą drzwi mieszkania. Wiedziałem, co potrafi żydowski krawiec, więc spodziewałem się jatki. Ale nie było tak źle. Ten, który mi otworzył, leżał w przedpokoju i miał tylko niewielką plamę na piersi po lewej stronie. Dwaj następni, których mściciel zastał na kanapie – po dziurce na czole. Między trupami leżały rozrzucone karty do gry.

– Chyba przerwałem im remika. – Ezra pociągnął nosem, a widząc moją minę i najpewniej bladą cerę, zaczął wyjaśniać: – Banda Kozińszczaka. Wielce zasłużona dla granatowej policji, żandarmerii, a przede wszystkim gestapo. Nie wiem, ilu naszych złapali i zaciągnęli na posterunki, ilu od razu zabili. Ale dokumenty na to są. Na wszystko, wierz mi. Trochę mnie kosztowało, żeby wpaść na ich trop, ale w końcu się udało...

Przerwał, dotknął lufą ust, tak jak dotyka się wskazującym palcem, aby zapanowała cisza, choć ja i tak nie byłbym w stanie wydobyć z siebie głosu. Spojrzał na drzwi i skierował trzymaną oburącz broń w tamtą stronę. Zrobił krok do przodu, podczas gdy ja przezornie

cofnąłem się o dwa. Kopnięte silnie drzwi otworzyły się z trzaskiem.

– Nie strzelaj! – usłyszałem.

Strach, który krępował mi ruchy, nagle puścił. W ciągu sekundy znalazłem się za plecami Ezry, który stał na progu izby z rewolwerem wycelowanym w dół.

Spojrzałem tam, gdzie pocisk miał skończyć swój lot. Na podłodze, ze związanymi rękami, siedział Lech Adamski we własnej osobie. Od razu go poznałem. Mój znajomy z fotoplastikonu, który chciał przekupić Niemca, aby uratować brata, i który zniknął mi potem z oczu podczas ulicznej łapanki. Jeśli rzeczywiście tak się stało.

Tego zamierzałem się za chwilę dowiedzieć. Pod warunkiem, że uda mi się przekonać Ezrę, że to człowiek, którego, sądząc po związanych rękach, nie łączyła z tamtymi szczególnie silna sympatia.

*

Kilka minut później siedzieliśmy we trzech na strychu tej samej kamienicy, w której Żyd dokonał kolejnej krwawej pomsty. Jak się okazało, przesiedział tam kilka godzin w oczekiwaniu, aż zjawię się z niewinną przesyłką. Miałem mu za złe, że naraził mnie na niebezpieczeństwo; wszystko mogło się przecież potoczyć zupełnie inaczej, mogłem zostać wciągnięty do mieszkania, dostać po mordzie albo od razu kosę w brzuch, a w najlepszym razie dołączyć do Adamskiego.

Ale Ezra tylko machnął ręką. Na szczęście już nie trzymał w niej ogromnego gnata.

– Wszystko było pod kontrolą – rzekł. – Od początku do końca. I, jak widzisz, udało nam się upiec dwie pieczenie na jednym ogniu.

– To znaczy?

– Ja wyrównałem rachunki, a ty odnalazłeś starego znajomego. Uwolniłeś, mówiąc ściśle. Czyż to nie wspaniałe?

Adamski milczał. Przez cały czas nie spuszczał oka ze swego czarniawego wybawiciela z nosem jak dziób tukana. Na mnie popatrywał trochę rzadziej.

– Wspaniałe – burknąłem. – Długo tu jeszcze posiedzimy, Ezra?
– Właśnie miałem dać hasło do wymarszu – odpowiedział z uśmiechem. – Jednak zanim pójdziemy, chciałbym się jeszcze czegoś dowiedzieć o twoim znajomym. Chyba mnie rozumiesz, prawda?

Przeniosłem wzrok na Adamskiego.

– Jak to się stało, że pan wtedy zniknął, panie Lechu? – zapytałem.

– Wpadłem w kocioł – westchnął. – Zapakowali mnie do budy razem z innymi i zawieźli na Pawiak. Na szczęście miałem ze sobą pieniądze, wie pan jakie. Opłaciłem strażnika, potem kolejnego, no i udało mi się wyjść jeszcze tego samego dnia wieczorem. Niestety, któryś z nich, a może ktoś zupełnie inny musiał sypnąć, że mam gotówkę, bo nie uszedłem trzech przecznic, jak wciągnęli mnie do bramy, zarzucili worek na głowę. Zabrali pieniądze...

– Mówimy o tamtych? – Wskazałem na dół.

– Nie wiem, czy to byli ci sami. Zawieźli mnie do lasu, trzymali w jakiejś ziemiance. Potem byłem w ciemnej piwnicy. Nawet nie wiem, czy w Warszawie, czy może gdzie indziej. A od tygodnia jestem tutaj. Przez cały czas szantażowali moich bliskich, żądając pieniędzy. Przecież pan pamięta, że mój brat...

– Tak, pamiętam.

– Nie wiem, czy rodzina coś im zapłaciła. Ci twierdzili, że tak. I że oni mimo to nie zamierzają przestać wyciągać od nich pieniędzy, bo jak się raz zapłaci okup, będzie się już płaciło w nieskończoność.

Coś o tym wiedziałem. Sam jakiś czas temu miałem do czynienia ze szmalcownikiem, który wiedział, co robi mój ojciec. Zapłaciłem za milczenie, mając nadzieję, że to zamknie sprawę. Nie zamknęło. Przypadek sprawił, że udało się pozbyć szmalcownika i kłopotu.

– Ale żeby tak chrześcijanin chrześcijaninowi.... – Lech Adamski znów westchnął tak boleśnie, jakby mu przed chwilą za jednym zamachem wymordowano całą rodzinę.

– Pewnie, tylko Żyda wolno gnębić... – Ezra podniósł się, podciągnął i dużo głośniej niż trzeba otrzepał spodnie z kurzu. – Możemy iść. Wiem już wszystko.

Jak można się było domyślić, droga wiodła po dachach, a potem piwnicami, był wszak biały dzień, a Ezra planował jeszcze trochę

pożyć. Znajdowaliśmy się co prawda w peryferyjnej dzielnicy, a nie w ścisłym centrum, ale mimo to trzeba było dmuchać na zimne.

Zanim się rozstaliśmy, a stało się to w jakimś zaułku niedaleko kolejowej linii obwodowej, krawiec wziął mnie na stronę.

– Myślisz, że można mu zaufać? – zapytał.

– Nie wiem – odrzekłem, by zaraz dodać: – Można spróbować.

Podejrzywałem, że to go nie przekona. Zresztą nie zależało mi na tym. Dla mnie Adamski mógł teraz iść w swoją stronę. Wsiąść w pierwszy pociąg do Łodzi i pojechać do domu, gdzie pewnie ze łzami w oczach i z niecierpliwością go oczekują. Albo wrócić na Pawią, by próbować wyciągnąć brata. Co z tego, że przodownik Lenc nie słyszał o nikim takim? Przez więzienia warszawskie, Pawiak, Serbię czy Gęsiówkę przewijały się setki, jeśli nie tysiące ludzi. Uważałem, że jeśli chodzi o mnie, Czesia Bielawnego i to, co się wydarzyło tamtego dnia w fotoplastikonie, byliśmy kwita.

– Jutro o ósmej wieczorem – Ezra jeszcze bardziej ściszył głos – na boczniczy przy Dworcu Gdańskim ma się pojawić wagon z mundurami zimowymi dla Wehrmachtu.

– Zimowymi? Przecież dopiero zaczął się wrzesień – zauważyłem.

– Ale nie potrwa wiecznie, a po nim przyjdzie październik. Masz maturę, więc wiesz, jak wyglądają u nas poszczególne pory roku – wycedził przez zęby. – Tak czy inaczej, część z tych rzeczy nie dotrze do Rosji. Zostanie w Warszawie, gdzie po odpowiednich przeróbkach, a przede wszystkim farbowaniu będzie służyć mieszkańcom miasta. Co prawda nigdy nie zajmowałem się ciężkim krawiectwem, ale kiedyś musi być ten pierwszy raz.

Spojrzałem ponad ramieniem Ezry. Adamski wciąż stał w tym samym miejscu. Miał obojętny, jeśli nie tępy wyraz twarzy. Może był to efekt długiego pozostawania w niewoli.

– A jaka będzie w tym moja rola? – chciałem wiedzieć.

– Bardzo ważna. Potrzebne mi twoje ręce, by transport rozładować, i oczy oraz uszy, aby nikt nam nie przeszkadzał. Będę czekał o ósmej pod wiaduktem w ciągu ulicy Mickiewicza. To będzie nasze ostatnie wspólne zadanie.

– Dlaczego ostatnie?

– Bo wiem, że nie za bardzo przepadasz za tym zajęciem. Szmuglerka przynosi dużo większe profity. A najlepiej to studiować.

– Próbowałem kilka razy. Nie warto.

– Spróbuj ponownie. To nie boli. Inaczej zostaniesz krawcem jak ja – zaśmiał się krótko, by dodać z powagą: – Powiadom też Franka, przyda nam się.

– Nie wiem tylko, czy on będzie chciał...

– Na pewno mi podziękuje, gdy ściśnie pierwszy mróz. Widziałem, w czym chodzi na co dzień – dodał Ezra złośliwie.

Już chciałem przyznać mu rację, gdy stwierdziłem, że Lech Adamski zniknął. Zrobiłem kilka kroków w stronę miejsca, w którym go zostawiłem, niezdolnego, zdawałoby się, do samodzielnego zrobienia choćby jednego kroku. Nic. Po prostu rozpląnął się w powietrzu.

Widząc moją niewyraźną minę, Ezra machnął lekceważąco ręką.

– Poszedł sobie, więc problem mamy z głowy – skwitował. – Nie sądzę, żeby cokolwiek usłyszał z naszej rozmowy. Jeśli wszystko jest tak, jak mówiłeś i jak on mówił, to nic nam z jego strony nie grozi. Poza tym widział, że ja się nie pieszczę. A teraz do widzenia, przyjacielu.

– Do widzenia.

– Widzimy się jutro wieczorem. I namów Belę.

– Spróbuję.

Powiedziawszy to, szybko się odwróciłem, wydawało mi się bowiem, że ktoś nadchodzi. Ale nikogo nie było. Nie było również Ezry. Zniknął jak duch. I jak Lech Adamski.

Dopiero dużo później pojąłem, jak wiele ci ludzie mieli ze sobą wspólnego.

*

Przez cały czas zastanawiałem się, jak będzie wyglądał ten wieczór. Czy szalony krawiec imieniem Ezra nie wystąpi znów z nieoczekiwanym programem specjalnym i nie zastrzeli na przykład jakiegoś bahnschutza? Franek, który miał być osobą bardzo pożądaną

podczas tej akcji, sam przyszedł do mnie jeszcze tego samego dnia pod wieczór. I wcale nie musiałem się mocno namęczyć, aby przekonać go, by do nas dołączył.

– Zawsze marzyłem o niemieckim oficerskim płaszczu. Nawet jeśli trzeba go będzie pofarbować na fioletowo – powiedział, ja zaś nie wnikałem, czy sobie kpi, czy mówi poważnie; stawiałem raczej na to pierwsze, choć drugie z pewnością by mnie uspokoiło.

Tematu nie poruszaliśmy przy Bielawnym, który wrócił z fotoplastikonu krótko po tym, jak w mieszkaniu zjawił się Bela. Uważałem jednak za właściwe poinformować go, że odnalazł się Lech Adamski. Oczywiście też bez zbytniego wdawania się w szczegóły.

Na dźwięk tego nazwiska były ksiądz podniósł wysoko brwi.

– Że kto? – zapytał.

Poczułem na sobie spojrzenie Franka. Jak się potem okazało, odczytałem i zareagowałem prawidłowo, bagatelizując całą sprawę.

– A, taki jeden – prychnąłem. – Stare dzieje...

Czesio nie naciskał, pewnie również dlatego, że ściszało go z głodu, zaraz bowiem pobiegł do kuchni, gdzie czekała kolacja. A gdy zostaliśmy sami, opowiedziałem Frankowi o wszystkim, co się wydarzyło na Kole.

– Niezły jest ten Ezra, niech mnie kule biją – mruknął.

*

W nocy długo nie mogłem zasnąć. Kiedy już mi się udało, śniłem, że chodzę po Warszawie w grubym, dwurzędowym szynelu. Bardziej przypominał mi carski, mimo że nie widziałem nigdy na oczy przedrewolucyjnego rosyjskiego oficera, niż niemiecki, które oglądałem na co dzień. No i ten kolor – połyskujący fiolet, miejscami przechodzący wręcz w róż!

Mój przydziewek wzbudza zainteresowanie żandarmów. Każą mi się zatrzymać. Krzyczą. Słyszę szczęk zamka odbezpieczanego schmeissera, więc nie żartują. Nie wiem, czy z powodu tego straszego koloru, czy dlatego, że to wojskowy płaszcz. A może nie

o to im chodzi, tylko o tych zabitych szmalcowników. Nie mogłem się tego dowiedzieć, bo się obudziłem.

Jak zawsze przed ważnym wydarzeniem, które miało nastąpić dopiero pod wieczór, nie mogłem sobie miejsca znaleźć przez cały dzień. Snułem się po mieszkaniu, zaglądałem do garnków Olenie, próbując wypytywać ją o jej wcześniejsze życie. Nie miała jednak zbyt wiele do powiedzenia. Potem wyszedłem z domu i z braku innych perspektyw skierowałem kroki w stronę interesu, który od kilku miesięcy prowadził Czesio Bielawny.

– Dostałem właśnie nowy program, kościoły Watykanu – oświadczył, ledwo przekroczyłem próg przybytku; pustego, niestety.

– Coś takiego nie przyciągnie klientów. – Postanowiłem nie mieć litości.

Spojrzał na mnie ciężko.

– To znaczy na pewno nie tylu, aby zapewnić godziwy byt dziecku, w ogóle... tego... rodzinie... – poprawiłem się niezdarnie i odchrząknąłem, by zamaskować zakłopotanie.

– Nie narzekam – warknął.

– To dobrze.

Dla świętego, *nomen omen*, spokoju, postanowiłem obejrzeć sobie zachwalaną przez właściciela nowość. Zająłem stanowisko i zbliżyłem oczy do okularów.

I wtedy chyba po raz pierwszy udało mi się poczuć magię tego wspaniałego urządzenia: z każdym kolejnym zdjęciem oddalałem się od problemów, które niosło życie. Nie było szmalcowników, ani tych żywych, ani zastrzelonych przez Ezrę, nie było żandarmów, a zamiast ich pokrzykiwań i wycia syren słyszałem bicie kościelnych dzwonów i piękną włoską mowę.

Z tego stanu wyrwał mnie głos Czesia.

– Czy wy nie wspominaliście wczoraj z Frankiem o jakimś facecie, który się cudownie odnalazł? – zapytał.

Z niechęcią odsunąłem oczy od wizjera.

– Tak. A co?

Bielawny usiadł na krzeselku obok.

– Czy to nie chodziło czasem o tego, który spotkał się tutaj

z Niemcem tego dnia, kiedy kupiłem fotoplastikon, i którego potem niechcący zamknęliśmy?

Nie było sensu kombinować, skoro już sobie przypomniał.

– Tak. To ten.

– Adam miał na imię, jeśli dobrze pamiętam...

– Blisko. Adamski. Lech. A dlaczego pytasz?

Bezszelestnie przysunął się bliżej z krzesłem. Chciało mi się śmiać, bo przecież wciąż byliśmy na sali tylko we dwóch!

– Bo chyba go dzisiaj widziałem – powiedział.

– Gdzie?

– Tutaj. To znaczy nie w środku, ale w okolicy. Wszedłem na chwilę, żeby kupić „Kurwara”, i wtedy na niego wpadłem. Na początku myślałem, że to pewnie jakiś mój klient. Mimo twojej oceny i sarkazmu...

– Przesadzasz! – zaprotestowałem.

– Nieważne. Tak czy inaczej, ktoś tu jednak do mnie przychodzi, a ja zawsze staram się zapamiętywać twarze. Przyzwyczajenie z dawnych lat... I właśnie wtedy przypomniałem sobie, co wczoraj mówiliście. Antek, ja nie chcę żadnych kłopotów. – Chwycił mnie za podwinięty rękaw koszuli.

– I nie będziesz ich miał – odrzekłem z mocą. – Obiecuję. Ten człowiek nie może się pewnie odnaleźć. W końcu przez tyle tygodni przetrzymywali go w zamknięciu.

– Może on jest niebezpieczny? Wariat jakiś! – przestraszył się Czesio.

Teraz to ja go złapałem. I nie za koszulę, ale za żywe ciało, wciąż jeszcze obleczone księżowskim tłuszczkiem.

– Spokojnie. Niczego się nie bój. Przecież potrafisz rozmawiać z ludźmi, prawda?

Nie zdążył zaprzeczyć ani potwierdzić, ponieważ do pomieszczenia weszli klienci. Czesio Bielawny, jak na sumiennego właściciela przystało, podszedł do nich i zaczął zachwalać nowy program o kościołach Watykanu. Nie byłem ciekaw, czy mają zdanie podobne do mojego. Wykorzystałem chwilę i wymknąłem się z fotoplastikonu.

*

Nieco ponad osiem godzin później jechaliśmy z Frankiem Belą „trójką” w kierunku Dworca Gdańskiego. Z jakichś powodów czułem, że tym razem nic złego nie może mi się przytrafić. Byłem jak statysta w filmie, ruchome tło dla wydarzeń i dialogów, po trosze również widz, podpatrujący ukradkiem grę głównych aktorów. Nie wiedzieliśmy co prawda, jaką dokładnie rolę przypisał nam szalony Żyd Ezra, wszystko mógł też skorygować los. Ale, jak powiadam, przepełniał mnie spokój.

– Chodź. – Franek pociągnął mnie za kołnierz, tramwaj zatrzymywał się już bowiem na wiadukcie przy dworcu.

Wyskoczyliśmy na przystanek i ruszyliśmy w dół po schodach. Powoli zapadał zmrok. Gdzieś przy Cytadeli czy nawet za Wisłą gwizdnęła lokomotywa, jakby na trwogę, a może dla zachęty. Szliśmy umiarkowanym tempem, z rękami w kieszeniach. Godzina policyjna zaczynała się o dziewiątej wieczorem, co oznaczało, że będziemy mieli niewiele czasu na powrót do domu. No, chyba że zanocujemy gdzieś wraz ze zdobyczą. Oczami wyobraźni ujrzałem już siebie zakopującego się w górze miękkiej i, co ważne, nienoszonej wełny.

– Może to ten pociąg? – Bela spojrział obojętnie na światła lokomotywy zmierzającej od strony Dworca Zachodniego.

Zaczailiśmy się przy prześle wiaduktu i czekaliśmy. Sprawdziłem czas. Była minuta po dwudziestej, Ezra jednak nie nadchodził.

Tymczasem pociąg towarowy zatrzymał się na chwilę na stacji, zgrzytając hamulcami, aż ciarki nas przeszły. Parowóz sapał miarowo. Po chwili usłyszeliśmy jakieś pojedyncze niezrozumiałe pokrzykiwania. Nie można było ocenić, czy gniewne. Nie nastąpiła po nich seria z broni maszynowej, więc pewnie nie. Potem lokomotywa stęknęła, tłoki zafurkotały i skład ruszył w dalszą drogę.

Czy cały? Tego chyba musieliśmy się dowiedzieć. Sami. Opuściliśmy więc kryjówkę i zaczęliśmy iść szybkim krokiem wzdłuż torów. Trzeba było uważać, bo w półmroku nietrudno było o potknięcie, nie mówiąc już o tym, że gdzieś mógł tkwić przyczajony bahnschutz.

– Cholera, nic nie widzę – denerwował się Franek.

Zatrzymaliśmy się, nieźle już zdyszani. Na tle granatowego nieba wyraźnie rysował się cień parterowego budynku Dworca Gdańskiego. Ostatni wagon pociągu towarowego zniknął właśnie pod wiaduktem. Spojrzałem w drugą stronę. Nie, na pewno nikt nie odłączył wagonu od składu. Przynajmniej nie teraz i nie od tego.

– No i co robimy? – W głosie Franka wyraźnie zabrzmiała złość. – Ten Ezra nic ci więcej nie powiedział? Żadnego planu awaryjnego?

Nie zdążyłem mu nic odpowiedzieć, gdyż z drugiej strony, od Żoliborza, dobiegł naszych uszu krótki, ale wyraźny gwizd.

– Idziemy – zaordynowałem pewnym głosem. – To jest właśnie ten plan.

Przeskoczyliśmy przez nitkę torów, potem przez kolejną. Tłuczeń chrząścił nam pod stopami, zbyt głośno, jak mi się wydawało, jak na tę porę. Ale czułem, że jesteśmy już blisko. Po chwili ktoś znów zagwizdał. W ciemności ujrzałem dwa ogniki papierosów. Dzielilo je od nas może z dziesięć kroków.

– Wy od Ezry? – zapytał ktoś schrypniętym głosem.

– Tak – odpowiedziałem.

– To co tak, kurwa, biegacie jak w pierwszy dzień kanikuły dzieciaki, co pociągu szukają? Wasze szczęście, że dzisiaj Wilhelma. Bahnschutze piją za zdrowie szefa i Adolfa Hitlera.

– Ezra miał na nas czekać pod wiaduktem – do rozmowy włączył się Franek Bela. – Ale go nie było...

– To się mogło zdarzyć – odezwał się czwarty, ostatni głos, który brzmiał najpoważniej. – W jego krawieckim fachu nie znasz, człeku, dnia ani godziny. A teraz chodźta, chłopaki. Wszystko już czeka.

Maszerowaliśmy gęsiego. Kamienie chrupały pod czterema parami stóp, ale tylko przez chwilę, bo potem weszliśmy na jakąś ścieżkę. Z którejś z żoliborskich uliczek dobiegł warkot samochodowego silnika. Zaszczekał pies, ale z pewnością nie był to żaden z tych, które chadzały przy nodze na patrole.

Wreszcie zatrzymaliśmy się przed wagonem. Stał na końcu ślepego toru. Wszystko było tak, jak powiedział Ezra. Poza tym, że jego samego nie było. Być może zaraz miało się to zmienić. Nasz przyjaciel lubił się

przecież zjawiać w ostatniej chwili.

– Bierzemy, ile który zdoła udźwignąć – instruował stary. – Potem szybko za płot i kolejna runda. Jakieś pytania?

– Czy bez światła damy radę? – chciał wiedzieć Bela.

– Nie. Nie damy. Ale mamy latarkę. Nie ucz, synku, ojca dzieci robić. Zapalamy ją jednak dopiero w środku. Heniek, możesz otwierać – rzucił do kamrata, tego schrypniętego. – Tylko cichuśko jakbyś babci nalewkę z kredensu chciał podwędzić, zrozumiano?

– Się wie. Toć nie pierwszyczna.

– Ostatnio zbudziłeś pół garnizonu.

Tam gadanie...

Rozległo się kilka cichych szczęknięć, coś zadzwoniło, a nawet syknęło. Zacisnąłem do bólu palce w pięści. Wiedziałem, że upragnioną muzyką będzie dopiero rumor rozsuwanych drzwi wagonu. I usłyszałem go, szybciej niż się spodziewałem. Miał nasz Heniek, którego twarzy nie widziałem, złote ręce, nie ma co!

– O kurwa – usłyszeliśmy po chwili głos starego. – Kim wy jesteście, do kroćset?!

– Proszę nie strzelać! – zawołał ktoś wysokim głosem.

Dopadliśmy jednocześnie krawędzi wagonu. Żółta smuga z latarki oświetlała jego wnętrze. To, co tam ujrzeliśmy, nie było jednak górą wełny w kolorze feldgrau, którą zaledwie kilka godzin wcześniej podziwiałem w wyobraźni...

Rozdział czwarty

(1943)

Ojca wywlekli z chaty, w samej koszuli, w gaciach i na bosaka. I zastrzelili, ledwo stanął między nią a płotem. Zdążył się tylko przeżegnać. Potem *ober* coś powiedział, a tłumacz łamaną polszczyzną powtórzył, że mają dziesięć minut na spakowanie niezbędnych rzeczy i opuszczenie gospodarstwa.

Wszyscy, którzy zostali, czyli matka i troje dzieci, wysłuchali tych słów w milczeniu. Wtedy jeszcze nie wiedzieli, że ojciec nie żyje. Słyszeli tylko strzał, ale mało to razy ktoś strzelał? Leśni, jak przyszli po jedzenie i sobie popili, też przecie strzelali w powietrze. Dzieci początkowo się tego bały, potem już się tylko śmiały, a chłopcy to nawet więcej chcieli.

Matka wysłuchiwała rozkazu i skinęła głową. Kazała dzieciom siedzieć na ławie, sama zaś położyła na podłodze wielką, kolorową trójkątną chustę, którą zawsze okrywała się w zimne dni, i w milczeniu, skupiona – a była taka zawsze podczas wszystkich prac, zarówno w obejściu, jak i na polu – zaczęła wrzucać na nią wszystkie rzeczy. Czy były to akurat te niezbędne? Tak jej się wtedy wydawało. O patelnię, na której zwykle smażyła jajecznicę dla całej pięcioosobowej rodziny, zadzwonił przejmująco sierp. Potem stuknęła głucho duża, drewniana łyżka. Po chwili, już niemal bezszelestnie, spadły na nią ręczniki i haftowane kuchenne ściereczki.

Górka wciąż się powiększała, a dzieci w milczeniu przyglądały się poczynaniom matki. O tym, co się dzieje w ich głowach, mówiły tylko spojrzenia. Z oczu dziewczynki i najmłodszego chłopca płynęły łzy.

Najstarszy, Wojtek, nie płakał, tylko zaciskał dłonie w pięści, aż mu palce zbieleły. Nie ruszał się jednak z miejsca, bo tak powiedziała matka. Zawsze jej słuchał.

„Wychodzić! *Raus!*” – zawołał wtedy tłumacz, ponaglany z kolei przez oficera.

Wyprostowała się i spojrzała na jednego, potem drugiego. Nic nie powiedziała, pokazała tylko na rzeczy zgromadzone na chuście, a potem na otwartą szafę. Mundurowy obrócił się i wyszedł. Kobieta podbiegła do mebla i zaczęła wywlekać ubrania. Rzucała je tam, gdzie pozostałe rzeczy, ale nie wszystkie trafiały na miejsce.

Wtedy powiedziała coś do dzieci. Jednocześnie zerwały się z ławy i rozbiegły po izbie. Bose pięty zastukały na drewnianej podłodze. Tłumacz przyglądał się tym poczynaniom spod zmarszczonych brwi.

Po kilku chwilach cała trójka była ponownie przy matce. Dziewczynka tuliła szmacianą lalkę, młodszy syn zaś – brudnoburego pluszowego misia z naderwaną nogą. Tylko najstarszy chłopak nie miał ze sobą żadnej zabawki. Ścisnął w rękach *tielogriekę*, która była niemal takiego samego koloru co miś młodszego braciszka...

„Wychodzić. Szybko!” – tym razem tłumacz krzyknął o wiele głośniej.

Kobieta złożyła chustę, zebrała wszystkie trzy rogi, podniosła do góry. Gdy próbowała zarzucić ją sobie na plecy, ze środka wysunęła się łyżka. Szybko schylił się po nią najstarszy syn. W tej samej chwili do izby wpadli dwaj żołnierze, zaczęli pokrzykiwać. Jeden wycelował lufę przewieszoną przez ramię schmeissera w całą wtuloną w siebie trójkę.

„*Raus!*” – zawołał drugi, swoim pistoletem wskazując z kolei na drzwi.

Wyszli na zewnątrz. Kobieta wiedziała, że dźwigając na plecach cały dobytek, nie zdoła zasłonić oczu wszystkim dzieciom, aby nie zobaczyły trupa ich ojca. Na szczęście dwoje najmłodszych kroczyło u jej lewego boku, trzymając się za ręce. Ale zaciskające się na ciepłym przyodziewku palce starszego syna, który szedł po drugiej stronie, były niemal białe...

Potem wszystko potoczyło się bardzo szybko. Rodzina dołączyła do

pozostałych, stłoczonych na środku Starego Bidaczowa. Tak się nazywała ich wieś. Kwadrans później kolumna została pognana drogą na Biłgoraj. Mężczyzn można było policzyć na palcach. Wszyscy dźwigali na plecach, co tylko udało im się chwycić. Ktoś pchał drewniany wózek z koślawymi kółkami, inny dźwigał lichą, kartonową, ale jednak walizkę. Kilkoro dzieci, głodnych, niewyspanych albo po prostu przestraszonych, płakało głośno.

Szli przez las, a potem przez mokradła i chociaż większości z nich okolica była doskonale znana – tutaj przecież przychodzili po grzyby, maliny, orzechy czy zioła – stąpali po dukcie nieufnie, jakby to był pierwszy raz. Nie można się było jednak zatrzymać.

Zrobiła to tylko sołtysowa, kobieta w słusznym już wieku. Zatrzymała się i padła na kolana, prosto w kałużę. Może nie miała już siły iść, może nie chciała żyć, na własne oczy widziała przecie śmierć męża, po którego przyszli na samym początku. Wtedy doskoczyło do niej dwóch, zaczęli krzyczeć i może nawet zatłukliby kolbami karabinów, gdyby nie pozostałe kobiety, które wzięły starą pod rękę, odebrały bagaż i tak dalej szły.

Poganiani przez żołnierzy, lżeni i straszeni śmiercią, mieszkańcy Starego Bidaczowa, które od tej pory miało się stać wsią czysto niemiecką, dotarli do Biłgoraja. Tutaj czekał już na nich pociąg towarowy i szczekające psy.

– Kilkadziesiąt wściekle ujadających psów – powtórzyła drżącym głosem.

– Nie, to przecież niemożliwe... – sapnął stary wyga.

Kobieta, która jeszcze przed chwilą jednostajnym i wypranym z emocji głosem opowiadała swoją historię, miała zamknięte oczy. Że nie jest to tylko krótka przerwa w monologu, chwila wytchnienia, przekonaliśmy się, gdy zachrapała.

Leżała na stercie starych niemieckich mundurów, obok niej zaś jej troje dzieci. Najmniejsza dziewczynka trzymała w rączce szmacianą lalkę, niewiele starszy chłopczyk zaś pluszowego misia. Najstarszy położył głowę na kufajce.

– Pomyłka, szefie, ot co – mruknął Heniek, spec od zamków, który pół godziny temu otworzył drzwi wagonu towarowego.

Dopóki tego nie zrobił, wszystko się zgadzało. Wagon stał samotnie na boczniczy Dworca Gdańskiego, my mieliśmy go tylko otworzyć, częściowo opróżnić, a łup zabezpieczyć w pobliżu. Kto mógł przypuszczać, że znajdziemy tam zamiast nowych mundurów – używane. To akurat nie przeszkadzało przestraszonej i zmęczonej matce z nie mniej przestraszonymi i zmęczonymi dziećmi, by się na nich wygodnie ułożyć.

Na pewno jakiś kolejny numer Ezry – pomyślałem. To tłumaczyłoby jego nieobecność, a przecież mówił, że to jedna z najważniejszych akcji!

Chwilę po tym, jak zobaczyliśmy, na co, a raczej na kogo trafiliśmy, wskoczyliśmy do środka wagonu, a Bela cichutko zasunął za nami drzwi, zostając na czatach. Kiedy kobieta nabrała już pewności, że jesteśmy tylko złodziejami i raczej nie zrobimy jej i dzieciom krzywdy, poprosiła o wodę. Na szczęście Heniek miał przy sobie wypełnioną do połowy zwykłą wodą z kranu, co lojalnie zastrzegł, flaszkę po piwie od Habermuscha. Dziwnym rozbitkom to jednak nie przeszkadzało. Wypili wszystko, do ostatniej kropelki.

Potem stary złodziej zapytał kobietę, co tu właściwie robi, w dodatku z małymi. Ona zaś, zrazu nieskładnie, zacinając się, zaczęła opowiadać o wszystkim, co im się przytrafiło. Zaciągała przy tym na wschodnią modłę, aż miło!

Od początku jej opowieści próbowałem sobie wyobrazić, jak wyglądały ostatnie chwile życia jej męża, szybkie i gorączkowe pakowanie, wreszcie morderczy marsz ze Starego Bidaczowa na stację kolejową w Biłgoraju.

– I co my teraz z nimi zrobimy, panowie, co? – stary zadał pytanie, które w mojej głowie pojawiło się już dawno.

– Nie wiem – rzekł Heniek. – Na razie to chyba możemy się cieszyć, że to nie Żydzi. Za nich od razu mielibyśmy po kulce.

– Racja – mruknął stary. – Pamiętam, ludzie mówili, że jakiś czas temu, chyba to było zimą, w Warszawie zatrzymał się cały transport ludzi, których przesiedlili ze wschodu. Były tam przede wszystkim dzieci. Sam bym nawet przygarnął sierotę.

– Co pan, szefie? – prychnął Heniek.

– Mam czwórkę, więc jedno nie zrobiłoby mi różnicy, nie? Ktoś podobno nawet chciał wyłamać drzwi wagonu i zabrać je, ale na słowach się skończyło. Może gdybym sam przy tym był, otworzylibyśmy te cholerne drzwi. A może bahnschutze za dobrze pilnowali, tego to ja już nie wiem...

– No to co robimy? – Heniek powtórzył głośniejsze pytanie starego, w tej chwili chyba najważniejsze.

Może gdyby je zadać kilka chwil wcześniej, jaki kwadrans, może mniej, miałyby ono sens. Może gdyby kobieta tyle nie gadała. Albo przynajmniej nie teraz. Może po raz wtóry zadane pytanie „no to co robimy?” doczekałoby się odpowiedzi. Innej niż... łomotanie w drzwi wagonu. Te cholerne drzwi, które Heniek otworzył, byśmy wszyscy choć odrobinę się wzbogacili albo przynajmniej nie zamarзли podczas najbliższej zimy. Otworzył bez problemu.

Jak się okazało, na zgubę wszystkich. Bębnieniu zawtórowało krótkie, acz wyraźne:

– Policja! Otwierać!

*

Bałem się, że kiedy wstaną z miejsca, na siedzeniu zostaną mokre ślady. To byłaby normalna reakcja dzieci. Nie zdziwiłbym się, gdyby kobieta, ich matka, która siedziała obok, również nie wytrzymała nerwowo i nie zapanowała nad fizjologią.

Cała czwórka wpatrywała się w karki siedzących przed nimi policjantów. W innych okolicznościach najpewniej gapiliby się w szyby samochodu, za którymi przesuwały się dostojne gmachy urzędów, pałace, ogromne kościoły – mimo że o tej porze uśpione, słabo widoczne. Mogłem iść o zakład, że pierwszy raz byli w takim dużym mieście.

– A w tamtej jamie mieszka smok! – Siedzący obok kierowcy człowiek w granatowym mundurze odwrócił się i wskazał dzieciom ledwo widoczne Arkady Kubickiego, koło których właśnie przejeżdżaliśmy.

– Coś ci się pomyliło. Smok mieszka pod Wawelem – odezwał się kierowca. – To w Krakowie, nie tutaj. Dlatego się nazywa wawelski.

– Zamknąłbyś się, Wojda – rzucił ten, który chciał po prostu rozweselić pasażerów, po czym przekręcił się jeszcze bardziej i przeniósł wzrok na mnie.

Skrzywiłem się w uśmiechu. Siedziałem wciśnięty w kąt policyjnego fiata 508, który zabrał znaną w wagonie rodzinę i mnie z bocznic Dworca Gdańskiego.

Tak, Bela dał się podejść jak dziecko. Nawet nie krzyknął, gdy zaszli go od tyłu. Nie byli to jednak bahnschutze, których się można było w tym miejscu spodziewać, a granatowi policjanci. Co tam robili, czort raczył wiedzieć.

Franek początkowo próbował udawać głupiego, ale nie byli w ciemną bici. Wiedzieli bardzo dobrze, że nie mają przed sobą pasjonata kolejnictwa, a w szczególności towarowych wagonów, tylko kogoś, kto ma coś na sumieniu.

Otworzyliśmy te drzwi od środka. Rozsunęły się niczym kurtyna w teatrze, ukazując mnie. Aktora, który miał do odegrania ważną rolę. Jedną z tych, które się będzie wspominać na starość, choć nie poprzez słowa żadna recenzja ani pożółkłe fotografie czy zasuszony kwiatek z premiery. Na wycelowane w moją pierś lufy dwóch pistoletów odpowiedziałem niezbyt długim, ale za to mocnym monologiem.

„...jeżeli więc nie chcecie, żeby epidemia, której skutki będą trudne do opisanie, rozniosła się po całym mieście, dzwońcie natychmiast do przodownika Jarosława Lenca. Numer dwadzieścia trzy osiemnaście. Wzywa doktor Antek. On już będzie wiedział który!” – brzmiała jego końcówka, którą wyrzuciłem z siebie z mocą i prawdopodobnie na jednym oddechu.

Łyknęli gładko. Aż się przestraszyłem, że poszło nam zbyt łatwo, że może tylko markowali zakłopotanie i za chwilę wszystkich nas po kolei ustrzelą. Ale nie. Jeden się oddalił, najpewniej do dyżurki. Pół godziny później na Dworzec Gdański przyjechał fiat, a w nim Jarosław Lenc w nienagannie odprasowanym i ściśniętym pasem z kaburą mundurze oraz lśniących wysokich butach.

Gdy mnie ujrzał, na jego twarzy nie drgnął ani jeden mięsień. Z

miejsca odprawił tych, którzy nas znaleźli. Potem pogonił starego złodzieja i jego kompana imieniem Heniek, grożąc, że jeszcze ich dopadnie. A kiedy wreszcie zostaliśmy sami, wskoczył do wagonu.

W kilku zdaniach opowiedziałem mu, skąd są ci ludzie, choć nie miałem pojęcia, jak się znaleźli w Warszawie. Ale nie pytał. Może dlatego, że jedno z dzieci zaczęło płakać. Nie mieliśmy czasu.

„Proszę jeszcze raz powiedzieć, gdzie mieszkaliście” – polecił kobiecie Lenc. „W Starym Bidaczowie, koło Biłgoraja” – odpowiedziała. Wtedy Jarosław obejrzał się na nas i powiedział tylko dwa słowa: „Akcja Wilkołak”.

Chwilę później cała czwórka wraz z dobytkiem zgromadzonym w trójkątnej chuście, z pewnością mocno uszczuplonym podczas podróży, zajęła tylną kanapę samochodu. Ja usiadłem obok. Ruszyliśmy spod dworca. Ani Lenc nie zapytał mnie, ani ja jego, dokąd mamy jechać. Po prostu mknęliśmy przed siebie przez nocną Warszawę, być może ten jeden, jedyny raz bez obawy, że ktoś może nas zatrzymać i czegoś chcieć.

Przekonaliśmy się o tym już na Bonifraterskiej, kiedy to błysnęło czerwone światelko. To był patrol żandarmerii. Nasz kierowca jednak tylko zwolnił, Niemcy zajrzeli do środka i na widok dwóch mundurowych ten z latarką machnął ręką, żeby jechać dalej.

Jak mówiłem, cała czwórka dziwnych rozbitków przez cały czas wpatrywała się w podgolone karki siedzących przed nimi policjantów. Być może znali ten kolor munduru, którego nikt przyzwoity nie nosił, nawet na wschodzie. I pewnie żadne z nich nie wierzyło w dobre intencje młodego mężczyzny, który siedział obok kierowcy i twierdził, że smok wawelski mieszka w Arkadach Kubickiego, a nawet się uśmiechał.

– Już niedaleko – powiedział łagodnie.

– Mamo, boję się... – usłyszałem dziecięcy głosik.

Wychyliłem się, ale wciąż nie miałem pewności, czy skarżyła się dziewczynka, czy młodszy chłopczyk.

– Wszystko będzie dobrze, obiecuję – powiedziałem do uciekinierów, włącznie z matką.

Zapadła cisza. Nie miałem pewności, czy stało się to dzięki moim

słowom. Wtedy też doszło do mnie, co powiedział przodownik Jarosław Lenc, zwany dawniej „Jajarosławem”. Spojrzałem za okno, by sprawdzić, co właściwie oznacza owo „niedaleko”. Nie miałem problemu z rozpoznaniem okolicy: jechaliśmy Krakowskim Przedmieściem w kierunku południowym. Dalej była Aleja Szucha, a na niej gestapo...

Utkwiłem wzrok w kierowcy nazwiskiem Wojda. Potem starałem się wyczytać cokolwiek z zachowania Lenca, co było trudne, miałem go bowiem dokładnie przed sobą, a policjant już się nie odwracał, aby pocieszać pasażerów. Może uznał, że nie potrafi albo że potrafiłby, gdyby nie miał na sobie munduru. Poza tym policjanci nie rozmawiali ze sobą nawet szeptem.

Bo tak naprawdę nie miałem pojęcia, czy dobrze zrobiłem, prosząc o pomoc. I o co mu chodziło, kiedy tamtego dnia, będąc u mnie, zostawił swój numer telefonu. Szczerze mówiąc, nie przypuszczałem, że kiedykolwiek go wykorzystam. To znaczy sądziła tak jakaś część mnie, bo ta pozostała nauczyła się czterech napisanych na karteczce cyfr na pamięć.

– Teraz w prawo – powiedział przodownik Lenc do kierowcy.

Fiat skręcił w Aleje Jerozolimskie. Kierowca wrzucił wyższy bieg. Minęliśmy *Café Club*, knajpę, do której w lipcu nasi wrzucili wiązkę granatów, zabijając czterech Niemców. Lenc coś mruknął, ale nie miałem pojęcia, czy to w tej sprawie, czy jakiejś innej. A może po prostu był zmęczony, zbliżała się już bowiem jedenasta wieczorem.

– I jeszcze raz w prawo.

Zwolniliśmy i wjechaliśmy w Bracką. Zrobiło mi się gorąco, a potem zimno. Wtedy Jarosław Lenc znów się odwrócił, westchnął i spojrzał na mnie.

– Nie mam innego pomysłu, przyjacielu.

– Nie szkodzi – odrzekłem nieswoim głosem. – I tak dużo zrobiłeś.

– Mamo, ja się boję – znów odezwał się dziecięcy głosik; teraz byłem jednak pewien, że należał do córeczki kobiety.

– Nie bój się – powiedziałem. – Jesteś w domu, bezpieczna. Już nic złego ci się nie stanie. Obiecuję.

W tym samym momencie fiat 508 zatrzymał się przed kamienicą

Harczyka.

*

– Mamo, to chyba jest jakiś pałac – odezwała się dziewczynka; była bardzo rezolutna.

– Tak, córeczko, to pałac. Zatrzymamy się na chwilę u króla – odrzekła szybko matka, poprawiając na ramieniu chustę z dobytkiem; chciałem ją od niej wziąć, zresztą jeszcze na Dworcu Gdańskim, ale nie pozwoliła sobie pomóc.

Jeszcze nigdy nikt nie nazwał mnie królem. W swej krótkiej karierze aktorskiej nie zdążyłem nawet zamarzyć o tytułowej roli w którymś ze znanych szekspirowskich dramatów, *Ryszardzie II* czy innym *Henryku V*. Bo przecież króla Leara grali tylko starcy.

– Tak, to pałac. – Uśmiechnąłem się, chociaż w półmroku mogli tego nie dostrzec.

Może zresztą ważniejsze było co innego – przekonanie samego siebie do pewnych rzeczy. Przede wszystkim jednak ten krótki dialog między kobietą a jednym z jej dzieci pozwolił mi mieć nadzieję, że żadne z nich już się nie boi.

Za to bać zacząłem się ja.

Nie, nie tego, co na nowych lokatorów powiedzą sąsiedzi. W kamienicy wciąż byli tacy, którzy cierpieli na bezsenność, było więc prawdopodobne, że byliśmy w tej chwili obserwowani zza firanki. Stróż Wincenty Wasiak, który otworzył nam bramę, o nic nie pytał. Potem wziął ode mnie monetę i poszedł spać.

Znalezieni w wagonie matka z dziećmi mieli tak zwany „dobry wygląd”. Składały się nań płowe czupryny i ogorzałe od słońca, jak to zwykle po lecie spędzonym na polach i łąkach, zdrowe twarze. Całą czwórkę mogłem spokojnie przedstawić jako dalszą rodzinę z Zamojszczyzny, jeśli ktoś by o to zapytał; powinienem tylko jeszcze wypytać o imiona, a potem je wszystkie zapamiętać.

Nie bałem się też, co na niespodziewanych gości powiedzą inni goście, ci już mocno zasiedzieli, czyli Czesio Bielawny i Ołena, również

przybyli do Warszawy ze wschodu, tylko trochę dalszego. Pod nieobecność ojca to ja byłem głównym lokatorem mieszkania. Oczywiście scysja z przyjacielem była ostatnią rzeczą, której sobie życzyłem, jednak trzeba było być przygotowanym na wszystkie ewentualności.

– Jeszcze dwa piętra – rzuciłem szeptem do kroczącej za mną gromadki; czy już uwierzyli, że nic złego im nie grozi?

Wracając do obaw, czułem też, że nie będzie większych problemów z kwestią spania. Przynajmniej tej nocy, której jeszcze trochę zostało. Ktoś, kto najprawdopodobniej spędził w podróży w bydłym wagonie kilka, a może i kilkanaście dni, kiedy to za posłanie posłużyć miała wiązka siana, na pewno nie będzie narzekał. Czułem, że cała czwórka spokojnie zmieści się nawet na moim łóżku. A rano wszyscy siądziemy do śniadania.

Nie martwiłem się nawet kolejką do łazienki ani tym, czy ci ludzie będą potrafili obchodzić się ze spłuczką w klozecie albo kranem w umywalce; wiedziałem, że Czesio musiał nauczyć swoją dziewczynę niektórych rzeczy.

Znaleźliśmy się przed drzwiami mieszkania.

– Teraz cichutko, bo już wszyscy śpią. – Odwróciłem się, położyłem palec na ustach, po czym sięgnąłem do kieszeni po klucze.

Byłem zmęczony. Może nie tak jak oni, ale jednak. Kwadrans później goście byli już w moim pokoju – tak jak przypuszczałem – legli na łóżku, zdjawszy z siebie tylko okrycia wierzchnie i buty. Czułem, że czeka nas jutro wielkie pranie.

Już miałem wyciągnąć się na kocu, który rozłożyłem sobie w rogu kuchni, gdy wszedł do niej Bielawny z pustą szklanką. Wyglądał na zakłopotanego. Zastanawiałem się, czy przyszedł tu z własnej woli, czy przysłała go Ołena, aby zasięgnął języka.

– Prawdę mówiąc, z początku się przestraszyłem, że to twój ojciec wrócił ze wsi z rodziną – powiedział.

– Nie masz się czego obawiać – odrzekłem.

– To co się właściwie stało?

Nie miałem zamiaru wymyślać żadnych niestworzonych historii. Ta mogła spokojnie starczyć za kilka westernów. Poza tym Czesio był

właściwie wtajemniczony w większość naszych spraw. A przynajmniej wiedział, czym para się, a może raczej parał Franek. Sam to przecież sprawdził.

W kilku zdaniach opowiedziałem mu więc o tym, co się wydarzyło na kolejowej bocznicy. Z wrażenia aż usiadł przy stole.

– Słyszałem o tym, co działo się na Zamojszczyźnie – wyszeptał. – Miałem tam nawet wziąć parafię, ale w końcu wybrałem Wołyń...

Kiedy skończyłem, rzekł uroczyście:

– Postąpiłeś ze wszech miar słusznie, mój Antoni. To nasz chrześcijański obowiązek. Gdyby nie ty, być może cała czwórka leżałaby już w jakimś dole.

Albo jechała dalej, na zachód – dokończyłem w myślach.

– Postąpiłeś ze wszech miar słusznie – powtórzył z mocą Wielebny.

Poczułem się, jakby słowa, które wypowiedział, były jednocześnie namaszczeniem i rozgrzeszeniem. Nawet na chwilę głowę schyliłem. Głównie dlatego, że mi coraz bardziej ciążyła, choć byłem gotów i na to, że niegdysiejszy kapłan położy na niej obie dłonie i coś tam wymamrocze po swojemu.

– Rano zastanowimy się, co dalej. – Wstał z krzesła, wyraźnie uspokojony.

– Dobranoc, Czesiu.

– Dobranoc.

Zgasił światło. Wyciągnąłem się wreszcie na kocu, a chwilę później przyszedł do mnie Leo.

I wtedy przypomniałem sobie o swojej obawie, której było na imię Ezra. Tak, musiałem się koniecznie dowiedzieć, co się z nim stało i dlaczego nie dotarł na miejsce, na własną akcję.

*

Wstałem około szóstej, zadziwiająco rześki i wypoczęty mimo utrapienia, które mnie toczyło, i nocy spędzonej na podłodze, co ostatnio raczej rzadko mi się zdarzało.

Zajrzałem do swojego pokoju. Rodzina ze Starego Bidaczowa spała

nadal, chociaż już w zupełnie innej konstelacji niż wtedy, gdy zasypiali: obaj chłopcy, w nocy jeszcze przytuleni do matki, teraz leżeli w nogach jej i siostrzyczki. Cztery ciała tworzyły coś w rodzaju strzałki skierowanej w stronę drzwi.

– Nakarm ich – poleciłem Czesiowi, na którego znów się natknąłem, tym razem w przedpokoju.

– Rozkaz – mruknął, chyba nie do końca jeszcze obudzony.

– Niczego nie żałuj, dobrze?

– Tak jest, mości gospodarzu. – Zasalutował prawą ręką do lewej brwi. – Dobrze się składa, bo dzisiaj miałem zamiar otworzyć interes trochę później.

– Gdyby się o mnie pytali, wróć jak najszybciej.

– Myślisz, że się mnie przestraszą? – Czesio spoważniał, po czym szybko spojrział w wiszące w przedpokoju lustro i dalej ciągnąc się za policzki i trzeć po ciemnym zaroście, nie zdążył się wszak jeszcze ogolić.

– Na pewno dasz radę – uspokoiłem go, wzuwając w pośpiechu buty.

– W razie czego mam już pewien sprawdzony sposób.

Nie chciałem dociekać, co to za sposób. Za bardzo ciążyły mi pytania o Ezrę. Czy jest bezpieczny w swej gawrze pod placem Saskim? Chciałem się też dowiedzieć, czy pomyłka, w wyniku której zamiast wagonu pełnego zimowych mundurów do przerobienia trafiliśmy na uciekinierów z transportu, była zamierzona.

– Myślisz, że mógłbym ich zabrać ze sobą, żeby pokazać fotoplastikon? – zapytał w ostatniej chwili Bielawny.

– Na razie jeszcze nie. Poczekajmy.

Wrześniowy poranek był słoneczny, choć rześki. Trwało jeszcze kalendarzowe lato, ale ten miesiąc będzie się już nam na zawsze kojarzył tylko z jednym. „Tamtego września”. „To było jeszcze we wrześniu” – w rozmowach między Polakami nie trzeba będzie już chyba zaznaczać, o jaki wrzesień chodzi. Coś się w nas bezpowrotnie zmieniło, tępnęło. Kto wie, może nawet kiedyś, „kiedy oni pójdą stąd”, trzeba będzie przełożyć datę rozpoczęcia roku szkolnego z pierwszego września na jakiś inny dzień, bo pierwszy będzie się już na zawsze

kojarzył tylko z jednym – wybuchem wojny...

Tak rozmyślając – a stan ten nie był zbyt zdrowym stanem, mogłem wszak w każdej chwili dać się zaskoczyć – dotarłem do zakładu krawieckiego, w którym rządził mistrz nożyc lękający się nieboszczyków. Nogi właściwie same mnie tam zaprowadziły. Byłem ciekaw, czy intuicja ich nie myliła.

– A, to pan! – Trzęsidupa spojrział na mnie znad zsuniętych niemal na czubek nosa okularów. – W czym mogę panu służyć? Jakies porcieta od maturalnego przerobić, dopasować? No bo chyba nie poluzować. – Zmierzył mnie niecierpliwym spojrzeniem od butów po nieuczesane włosy.

– Szukam Ezry – powiedziałem.

– Kogo?

Niewidoczna igielka ukłuła mnie w serce. Było w tym jego „kogo?” coś dziwnego. I złego zarazem. Poprawił sobie na kolanach robótkę, marynarkę w brązowym kolorze.

– Ezry – powtórzyłem głośniej, patrząc mu prosto w oczy.

– A, o tego panu chodzi. Coś się nie odzywał dawno. Nie brał nowych zleceń. W ogóle nie wiem, co z nim. Może chory.

Przez chwilę mierzyliśmy się wzrokiem. Ustąpiłem pierwszy.

– Pewnie ma pan rację – sapnąłem. – Do widzenia.

– Do widzenia panu.

Pojechałem do pracowni na Pradze. Miałem nadzieję, że jeśli nie spotkam tam Ezry, to jej właściciel będzie miał trochę więcej do powiedzenia, wszak udostępniał mu warsztat pracy. To przecież tam widziałem w rękach Żyda ów damski żakiet z podszewką wykrojoną z czerwonej flagi z hakenkreuzem.

Ale krawiec mnie nie poznał. Nie zraziłem się tym i szybko wytłumaczyłem faktem, że przecież widział mnie tylko jeden raz. Niestety, sytuacji nie poprawiło tłumaczenie, że jestem jednym z tych, którzy pomagali Ezrze roznosić gotowe prace po mieście.

– Panie, mało to was jest... gońców! – prychnął.

Aż zaniemówiłem z oburzenia. Ja gońcem? Nie byłem przecież żadnym gońcem, tylko... No właśnie, nie mogłem znaleźć żadnej innej nazwy.

– Gdyby Ezra się odezwał, proszę mu przekazać, że szuka go Antek z Jasnej... – rzuciłem na odchodne

– Góry? – ożywił się, a może tylko mi się zdawało.

– Nie. Ulicy.

Pozostało tylko jedno miejsce, w którym mógłbym spróbować odszukać krawca-mściciela. Jego kryjówka w dawnym kanale. Po naszej pierwszej wizycie już tam nie zachodziłem, byłem jednak pewien, że drogę odnajdę bez najmniejszego problemu.

W ciągu pół godziny wróciłem na lewy brzeg Wisły. Słońce wisiało już wysoko nad miastem, na ulicach panował zwyczajny ruch dnia powszedniego. Dotarłem pod niegdysiejszy Hotel Europejski. Nie byłem pewien, czy sposób, w jaki weszliśmy owego dnia do środka, jest jedyny, aby się tam dostać. Już po chwili jednak pytanie okazało się nieaktualne – dokładnie w tym samym miejscu ujrzałem bowiem ten sam samochód, a nawet tych samych ludzi. Nie wierzyłem własnemu szczęściu. Rozsądek podpowiadał mi jednak, abym dmuchał na zimne. Postanowiłem być ostrożny. Tym bardziej, że w tle mignęły mi znajome mundury.

Pod latarnią najciemniej, jak mówił jeden bardzo stary cadyk z Warki – przypomniałem sobie, co wtedy rzekł Ezra.

Nie podbiegłem w podskokach, gdy jeden z mężczyzn, poznawszy mnie widać, machnął do mnie zachęcająco.

– Hej! – zawołał.

Udałem, że jestem tym zaskoczony. Obojętnym, rozkołysanym krokiem, z rękami w kieszeniach zbliżyłem się do ciężarówki.

– Pomoże pan? – zapytał mężczyzna.

W tym momencie należało przestać udawać, bo tamten doszedłby może do wniosku, że rzeczywiście wziął mnie za kogoś innego i w rezultacie, na co nie mogłem sobie pozwolić, nie ponowił propozycji.

– Z chęcią – odpowiedziałem po krótkiej chwili.

Worek na plecy i jazda. Był sporo cięższy niż wtedy, ale nie miało to znaczenia. Cieszyłem się z takiego obrotu spraw, za parę chwil spotkam się z Ezrą, opowiem mu o odkryciu w wagonie i uzyskam odpowiedzi na wiele nurtujących mnie pytań.

Staralem się niczego nie pomylić. Zostawiłem worek, a następnie

odnalazłem drzwi, które tamtego dnia otworzył Ezra. Teraz zrobiłem to i ja, bez trudu, bez najcichszego skrzypnięcia. Po chwili szedłem wąskim i opadającym w dół korytarzem. Nie miałem jednak lampy i musiałem oświetlać drogę, paląc kolejne zapalki, których pudełko nosiłem od pewnego czasu w kieszeni.

Wreszcie stanąłem przed ciężkimi drzwiami. Jeśli okazałoby się, że są zamknięte na głucho, pogodziłbym się z tym, zostawił wiadomość do Ezry, napisaną choćby kawałkiem węgla na ścianie, bo nie miałem nic innego, po czym wrócił do świata żywych. Planowałem odszukać złodziei, z którymi wczoraj robiliśmy ten wagon. Może oni wiedzieli więcej o krawcu.

Zapukałem, mimo wszystko. Cisza. Nacisnąłem klamkę i pchnąłem drzwi. Ustąpiły. Poczulem na twarzy chłodny powiew, a w nozdrza uderzyła mnie znajoma woń naftaliny i potu.

– Ezra! – zawołałem przez ciemną szparę, nie chciałem go bowiem straszyć ani nakryć w jakiejś intymnej sytuacji, w końcu znaleźliśmy się tyle co nic.

Nikt mi jednak nie odpowiedział.

A może to pułapka? – ta myśl zmroziła mi plecy od kości ogonowej aż po kark. Może wpadł, biedaczyna, dlatego nie przyszedł na nocną akcję, a teraz gestapo wyłapuje tu resztę.

– Ezra! To ja, Antek! – powtórzyłem głośniejszym głosem, po czym otworzyłem wreszcie te cholerne drzwi. – Uwaga, wchodzę, więc włóż coś na siebie...

Znalazłem się w środku, sięgnąłem ręką w bok i namacałem przełącznik prądu. Potem nastąpiła jasność. W każdym znaczeniu tego słowa.

*

Kiedy dokładnie w samo południe dowlokłem się do domu, byłem przekonany, że nic nie jest mnie już w stanie zdziwić. A jednak. W mieszkaniu panował gwar i poruszenie. W chwili, gdy przekręcałem kółko zamka, moich uszu dobiegł śmiech.

Ucieszyłem się, bo to oznaczało, że trójka dzieci, które przywiozłem tutaj w środku nocy, czuje się w tym miejscu bezpiecznie. W ogóle ściany te dawno nie słyszały takiego głosu, nie licząc wrzasków małego Leszka. Przez chwilę zrobiło mi się źle na duszy, choć wciąż towarzyszyła mi obawa, że moje mieszkanie może nie wytrzymać temperamentu i energii dwóch wiejskich chłopaków, którzy jeszcze tydzień temu, tak zakładałem, hasali po podbiłgorajskich lasach i polach.

– Dzień dobry – przywitałem się głośno, żeby nikogo nie przestraszyć swoim nagłym pojawieniem się w największym pokoju.

– Szczęść Boże, zapraszamy! – odpowiedział mi Czesio Bielawny.

Wtedy jeszcze nie wiedziałem, co oznaczają te słowa. Pewnie się wygłupia, filut jeden. Jeszcze dwa kroki po przedpokoju (właściwie czemu się skradałem na palcach?) tak dobrze przecież znanym, szczęśliwie wciąż tym samym.

– Zapraszamy, Antku drogi! – zawołał jowialnie mój gość, zbyt jowialnie jak na zwyczajnego gościa, ale że nim nie jest, o tym akurat wiedziałem; nie wiedziałem jednak, że to jowialność specjalnego sortu.

Oto stanąłem w progu pokoju i zdębiałem. Chyba jeszcze bardziej niż kilkadziesiąt minut wcześniej, kiedy w pracowni urządzonej przez Ezrę w części dawnego kanału ciepłowniczego, który łączył Pałac Kronenberga z soborem świętego Aleksandra Newskiego, nie znalazłem nie tylko Żyda, ale też żadnego mebla, maszyny do szycia – przecież były dwie, bardzo dobre, bo pfaff i singer! – ani czegokolwiek, co świadczyłoby, że miejsce to jest lub w ostatnim czasie było przez kogoś użytkowane czy zamieszkane.

Czym prędzej stamtąd uciekłem, jednocześnie zachodząc w głowę, co się stało. Nie było mi jednak dane zastanowić się nad tym w spokoju, ujrzałem bowiem siedzącego na środku pokoju Czesia ubranego w... swoją sutannę.

– No, wreszcie – rzucił z przyganą i radością jednocześnie.

Na kolanach księdza siedziały młodsze dzieci kobiety, chłopczyk i dziewczynka, z ulubionymi zabawkami w rączkach. Starszy chłopak przyklęknął na podłodze kawałek dalej i pomagał matce w układaniu

przedmiotów, które wcześniej zawinięte były w chustę.

– Szczęść Boże – podjąłem grę. – Jak wam mija dzień, dzieci?

– Dobrze, proszę pana – odpowiedziała jednocześnie parka z kolan wielebnego; dopiero teraz zauważyłem, że Czesio podnosi miarowo to jedną, to drugą nogę, a dzięki temu prostemu zabiegowi dzieci czuły się, jakby siedziały na huśtawce.

– Bardzo się cieszę. Mam tylko nadzieję, że nie jesteście głodne.

– Nie. Ksiądz Czesław nas nakarmił – poinformowała mnie dziewczynka.

Wyszczrzyłem zęby, choć coś mi tu przestawało pasować. Dlaczego to Czesio zrobił im śniadanie, a nie Ołena? Czyżby znów źle się poczuła?

Spojrzałem na przyjaciela, próbując wyczytać coś w jego twarzy, ale nie było tam nic prócz dobrotliwości i rubaszości. Ech, dużo stracił Kościół rzymski, naprawdę dużo, lecz przecież nie ze swojej winy. Choć kto wie, może gdyby nie zsyłali Czesia na białe niedźwiedzie, wszystko potoczyłoby się zupełnie inaczej. I ktoś by go za lat parę „pożałował w biskupy”...

Co miałem robić? Dołączyć do zabawy czy może raczej w niej nie przeszkadzać? – zastanawiałem się intensywnie. I pewnie dalej bym tak stał, jakbym przyszedł w konkury, gdyby nie matka dzieci. Podniosła się z podłogi i podeszła do mnie. Była boso. Dopiero teraz, przy dziennym świetle i po tym, jak zmyła z siebie ślady długiej podróży, mogłem podziwiać jej urodę.

– Czy możemy porozmawiać, proszę pana? – zapytała nieśmiało, nie patrząc mi w oczy.

– Oczywiście.

Najbardziej odpowiednia wydała mi się kuchnia i tam też się znaleźliśmy po chwili.

– Herbaty? – zaproponowałem.

– Tak, ale może ja zrobię – zaoferowała się, by zaraz dodać: – Mam swoją, z ziół. Sama zbierała. Na pewno pan jeszcze takiej nie próbował.

I nie czekając mojej reakcji, dopadła szafki, gdzie przechowywaliśmy produkty sypkie. Wystarczyło, że przez kilka

godzin nie było mnie w mieszkaniu, a goście zdążyli się zadomowić. Jeszcze nie potrafiłem ocenić, czy to dobrze, czy źle.

– Widzę, że już się pani orientuje gdzie i co – zauważyłem, zajmąwszy miejsce przy kuchennym stole.

– Jaka ja tam pani! – prychnęła, przewracając oczami.

Wstałem i z galanterią wyciągnąłem przed siebie rękę.

– No właśnie, jeszcze się nie przedstawiłem. Na imię mi Antoni.

– Koziukowa. – Uścisnęła moją prawicę nadzwyczaj mocno; od razu chciała ją cofnąć, ale nie pozwoliłem: prezentacja nie była zakończona.

– A imię?

– Na pierwsze Katarzyna. – Opuściła oczy, zawstydzona.

Teraz dopiero puściłem. Znow usiadłem. Katarzyna w milczeniu krzątała się po kuchni. Zastanawiałem się, czy i jak poradzi sobie z kuchenką gazową, szczególnie taką naszą, warszawską, w której gaz raz jest, a raz ledwo, ledwo. Ale i z tym nie miała problemów, najwyraźniej ktoś już ją wcześniej poinstruował.

– Chciałam panu bardzo podziękować za pomoc – powiedziała. – Nie wiem, co by z nami było, gdyby nie pan.

– Każdy na moim miejscu zrobiłby to samo – odparłem.

– Chyba nie – westchnęła. – Przejechali my tyle wiorst i nikt się nami nie zainteresował.

– Niemożliwe! Proszę opowiedzieć.

W tym momencie zaczął gwizdać czajnik. Koziukowa poderwała się, zdjęła go z gazu, odczekała chwilę, po czym z wprawą rozlała wrzątek do szklanek, gdzie na dnie ciemniał proszek przywieziony w biednym węzełku. Cieszyłem się na jej opowieść, miałem bowiem nadzieję, że dzięki temu dowiem się czegoś o Eźrze. Ryzykowne to było, wiązać ich ze sobą, ale właśnie tak w tamtej chwili pomyślałem...

Herbata, choć jeszcze nie miałem pewności, czy na tę nazwę zasługuje, była zbyt gorąca, aby zacząć ją pić. Postanowiłem nie marnować czasu.

– To jak to było z tą waszą podróżą? – Utkwiłem spojrzenie w Katarzynie.

Ale wtedy do kuchni wszedł Czesio. Choć nie, on nie wszedł. On wkroczył. Jeśli nie wpłynął, dostojnie niczym MS Batory, którego co prawda nigdy nie widziałem na własne oczy, a tylko na pocztówkach czy fotografiach, ale wierzyłem, że tak się właśnie zachowuje, wracając do portu w Gdyni z dalekich mórz.

– Herbaty? – zapytałem przebierańca, o czym na razie wiedziałem tylko ja.

Pokręcił głową, po czym zwrócił się do Koziukowej.

– Niech Katarzyna idzie. Dzieci czegoś chcą od Katarzyny.

Poderwała się z zydelka jak sprężynka. Na jeszcze ciepłym usiadł Bielawny z krótkim sapnięciem.

– Co to za komedia? – strzeliłem pierwszy konspiracyjnym szeptem.

– Przepraszam cię, czy mógłbyś zamknąć drzwi? – poprosił miast odpowiedzieć na pytanie. – Powinienem sam to zrobić, wiem, przepraszam. Ale teraz jakoś trudno mi wstać. To nie przez te dzieci na kolanach, nie. To co innego. Nie uwierzysz, przez tę sutannę czuję się, jakby mi przybyło dwadzieścia kilogramów.

– Gadasz jak połamany.

– I chyba tak jest! Żebyś wiedział, przyjacielu. Coś mnie w krzyżu łupie.

– Tylko w którym?

Chyba usłyszałem fuknięcie, chociaż mógł to być również gaz, którego nie wyłączyła Katarzyna. Pomyślałem, że Ołena na pewno by o tym nie zapomniała. Owszem, z początku też się gubiła, ale szybko nauczyła się gospodarować we w miarę nowoczesnej kuchni miejskiego mieszkania.

– Gdzie się podziała twoja miłość? – zapytałem. – Bo nie ma jej w tej chwili w domu, prawda?

– Wyszła na spacer – odpowiedział błyskawicznie, jakby czekał na to pytanie.

– Dawno? – drążyłem.

– Rano.

Pogoda była w sam raz na przechadzkę, ale minęło już południe. Wiedziałem, że Ołena nigdy nie wypuszczała się dalej niż do Marszałkowskiej oraz Alej z jednej i Nowego Świata z prostopadłą

Świątokrzyską z drugiej strony. Do tego trzeba doliczyć tych kilka przypadków, kiedy to towarzyszyła swemu facetowi w pracy.

– Mieliśmy niemiłą sytuację – zaczął Czesio. – Obudziłem gości na śniadanie, które przygotowała. Nawiasem mówiąc, kończą nam się już zapasy i trzeba coś będzie wykombinować. Byli trochę przestraszeni, nie ma się co dziwić, ale na widok jedzenia hamulce puściły. Jednak w pewnym momencie Ołena odezwała się do mnie po ukraińsku.

– Przecież nigdy tego nie robiła, odkąd tu mieszkacie – zauważyłem, coraz bardziej zaniepokojony.

– Zgadza się. Nie wiem, dlaczego to zrobiła. W Chołoniewiczach czasami ze sobą rozmawialiśmy po ichniemu. To znaczy ona mówiła, a ja starałem się coś z tej jej gadaniny zrozumieć. No, co to za proboszcz, co nie zna mowy ludzi, obok których mieszka. Niekoniecznie parafian, bo moi posługiwali się zaciąganą polszczyzną, ale po prostu sąsiadów.

– Dobra. Co dalej?

– Już mówię. Teraz znów się odezwała po swojemu. Nawet nie pamiętam, czego chciała. Wtedy stało się coś dziwnego: młodsze dzieci wybuchnęły płaczem i przypadły do matki. A chłopak chwycił za nóż do chleba i coś mamrotał pod nosem, nie spuszczał Ołeny z oczu...

– I wtedy kazałeś jej iść?

– Wydało mi się to najbardziej rozsądnym rozwiązaniem. Usiłowałem się dowiedzieć, co się stało, dlaczego tak zareagowali, ale Koziukowa nic nie chciała powiedzieć. Zakładam, że chodzi o jakieś nieporozumienia między sąsiadami, Polakami i Ukraińcami. Ona wyszła, a ja przebrałem się w sutannę. Od razu podziałało. Sam widziałeś, jak się do mnie kleiły.

Pokiwałem głową. Problem w tym, że sprawa nie była rozwiązana, tylko doraźnie złagodzona. Ołena musiała przecież kiedyś wrócić do domu. Ledwo o tym pomyślałem, doszło do mnie, że skoro Czesio zdradził się jako duchowny, to nie ma już mowy, by występował nadal jako jej mężczyzna. A w dodatku ojciec dziecka, którego oczekiwała! Jedno wykluczało drugie. Mieliśmy wszak do czynienia z ludźmi prostymi, którzy myśleli stereotypami, czego najlepszym przykładem był atak hysterii przy dzisiejszym śniadaniu. Ksiądz – cacy, Rusinka –

be!

Herbata, którą przygotowała Katarzyna, chyba nadawała się już do picia: nabrała barwy, która mile skojarzyła mi się z kolorem karoserii samochodu, jakim przed wojną poruszał się jeden dyrektor w urzędzie ojca. Nad szklanką tańczyła jeszcze smużka pary, ale naczynie można już było podnieść, nie ryzykując poparzenia.

Jednak widząc kwaśną minę Czesia, wstrzymałem się.

– I co masz zamiar zrobić teraz z tym fantem? – zapytałem.

Nie odpowiedział. Było jasne, że to także i mój problem, wszak to ja przywiozłem tu rodzinę z Zamojszczyzny. No, ale jego i Olenę przecież też!

– Coś się wymyśli – bąknąłem.

I na to nic nie odrzekł. Tym razem jednak przyczyną było ponowne pojawienie się w naszej kuchni Kasi Koziukowej. Myślałem, że wróciła, aby napić się zrobionej przez siebie herbaty. Ale ona tylko przyniosła wieści.

– Przyszli goście – oznajmiła niczym rasowa służąca, zatrzymawszy się tuż przed progiem, tylko dygnięcia zabrakło.

– Do mnie? – zapytaliśmy z Bielawnym jednocześnie, jakbyśmy się zmówili i trenowali od dawna; kobieta, ogłaszając nowinę, nie spojrzała bowiem na żadnego z nas.

– Do księdza – sprecyzowała, a sądząc ze spokoju, z jakim to powiedziała, można było mieć nadzieję, że nie przyszło do nas gestapo. Jeszcze.

– Do mnie? – zdziwił się Czesio, ale zaraz podniósł się z zydła i niezdarnym krokiem ruszył w stronę drzwi. – Niemożliwe.

Kiedy zniknął, Katarzyna weszła do kuchni. Miała uroczystą minę, ale czułem, że za chwilę i ja zostanę w coś wtajemniczony. Zanim to się jednak stało, kobieta usiadła, jakby nigdy nic sięgnęła po szklankę i wypila kilka łyków swojej ziołowej herbatki. Zrobiłem to samo.

Jak się okazało, był to błąd. Szklanka zatańczyła mi w dłoniach, kilka kropel spadło na spódnie. Wszystko przez trzy słowa, które wypowiedziała, wypowiedziała z jakąś dziwną dumą, Koziukowa:

– Przyszli księdza rodzice.

*

Nie przypuszczałem, że jeszcze przyjdzie mi wrócić do zawodu i zagrać na scenie, niechby i zorganizowanej w dobrze znanych, banalnych dekoracjach własnego mieszkania. Takie zadanie zupełnie nieoczekiwanie postawiło jednak przede mną życie. I prawdę mówiąc, prędeż spodziewałbym się rzeczywiście nalotu gestapo o szarej godzinie niż dwojga starszych ludzi – korpulentnej pani i łysego jak kolano pana – czyli państwa Bielawnych.

Nie pamiętałem ich z czasów szkolnych. Pewnie dlatego, że, jak już mówiłem, nie byliśmy w tamtym okresie z Czesiem w zbyt zażyłych stosunkach. Ot, kolega z klasy, jeden z kilkunastu, nikt więcej.

Nie było jednak czasu na wspominki. Zacząłem się zastanawiać, skąd ci ludzie, u licha, wiedzieli, gdzie mają go szukać. To pytanie było jednak dziecięcą igraszką w porównaniu z innym, które po chwili pojawiło się w mojej głowie: czy wiedzą, że ich syn porzucił stan kapłański, stracił parafię, a oni już niedługo zostaną dziadkami? Oczami wyobraźni ujrzałem, jak ojciec zrywa z syna sutannę, a pięść matki zaciska się wraz z koloratką...

– Musiałem koniecznie pomóc koledze. Pamiętacie, kochani, Antka z mojej klasy? – Czesio zamaszystym gestem wskazał na drzwi kuchni, które stały się moją kulisą.

– Dzień dobry państwu – zacząłem swoją kwestię.

– Dzień dobry – odpowiedział pan Bielawny, podczas gdy matka tylko omiotła mnie obojętnym, jeśli nie złowrogim spojrzeniem, to przeze mnie wszak jej syn nie dotarł jeszcze do domu.

Już po chwili miałem pewność, że nie będę w tej sztuce, bardziej chyba farsie niż tragedii, jedynym aktorem.

– Musiałem więc pomóc mu w pewnych ważnych życiowych sprawach – dokończył z sapką Bielawny-junior.

W tym momencie z największego pokoju wysypały się małe Koziuki. Musiały wcześniej obserwować przedpokój przez szparę, ale piramida nie wytrzymała. Dziewczynka wylądowała najdalej, niemal wturlała się pod Czesiową sutannę.

Ten jednak nie stracił animuszu: schylił się szybko, podniósł małą, jakby nic nie ważyła.

– Mój ty aniołku – rzekł z uśmiechem, a córeczka Katarzyny odwdzięczyła mu się, gładząc rączką czerwony, dokładnie ogolony policzek.

Pan Bielawny potoczył wzrokiem po gromadce, zakończył zaś na Katarzynie, która nie wiedzieć czemu stała przez cały czas tuż za mną.

– Powinszować, powinszować tak licznej rodziny – powiedział.

Tak oto w ciągu krótkiej chwili zostałem mężem Katarzyny i ojcem trojga dzieci. Nikt jakoś nie dociekał, ile lat ma najstarszy chłopak i ile ja musiałem mieć w momencie, kiedy powoływałem go na świat. Rodzice Czesia byli zbyt skupieni na swojej pociesze, żeby zaprzętać sobie głowy cudzymi. W dodatku niezbyt dobrze wymytymi i bosymi.

– Ale skąd wiedzieliście, gdzie mnie szukać? – Bielawny odważył się wkroczyć na grząski grunt, a ja miałem nadzieję, że krok ten zdążył przemyśleć.

– Wczoraj sąsiad widział cię na ulicy – odpowiedziała szybko matka.

– Sąsiad? Jaki sąsiad?

– Kamiński z parteru. Zresztą nieważne. Mimo że nie miałeś na sobie sutanny, był pewien, że to ty. Znał cię przecież od małego. Dlatego poszedł za tobą...

Kapuś na kapusiu i kapusiem pogania – pomyślałem ze złością.

– I tak po nitce do kłębka. – Stary wytknął na chwilę język.

Miał jednak Czesio nie lada szczęście, że nie nakryto go wcześniej, w dodatku z ciężarną u boku. Bajka o tym, jakoby przebywał w Warszawie dopiero od wczoraj, względnie od dwóch dni, nie budziła wątpliwości zainteresowanych. No i przede wszystkim jego ubiór, bo przecież zupełnie przypadkowo włożył na siebie ukryty pewnie na samym dnie walizki przyodziewek, który w mgnieniu oka zrobił z niego zupełnie innego człowieka. Takim go zegnali, kiedy wyjeżdżał na wschód, by objąć parafię. Takim go widzą teraz.

– Mam tylko nadzieję, że nie musisz zaraz wracać – rzekł pan Bielawny.

– Nie, tato. Wziąłem sobie nieco dłuższy urlop – odparł Czesio.

– W takim razie chodźmy. Mama upiekła twoją ulubioną babkę.

Mam nadzieję, że pomogłeś koledze. – Przeniósł wzrok na mnie, a po chwili dołączyła do niego także jego żona. Sam Czesio zresztą też. I wszystkie dzieciaki. Tylko Katarzyna nie mogła, ponieważ wciąż stała za mną.

– Tak. Ksiądz Czesław bardzo mi pomógł – oświadczyłem uroczyście.

Kim mogłem być w ich drobnomieszczańskim, katolickim mniemaniu? Osobnikiem notorycznie zdradzającym żonę albo bijącym ją awanturnikiem. Do tego alkoholikiem, który przepija i tak małe pieniądze, zamiast kupić dzieciom ciepły ciuch na zimę, a ta już przecież za pasem.

Ale wszystko to było niczym, naprawdę drobiną błota na bucie wobec tego, kim się stałem w oczach rodziców Czesława Bielawnego zaledwie kilka chwil później. W chwili, gdy do mieszkania weszła Ołena. A raczej najpierw jej ciążowy brzuch, a potem ona.

– Dzień dobry – przywitała się z tym swoim śpiewnym akcentem, przyglądając się po kolei ludziom biorącym udział w zbiegowisku.

Dostrzegłem łokieć pana Bielawnego, który lekko dotknął boku pani Bielawnej. Usłyszałem znaczące chrząknięcie jego, a potem westchnięcie jej. Oto bowiem poznaliśmy prawdziwą przyczynę problemu, którego rozwiązaniem musiał się zająć osobiście ksiądz Czesław. Nawet za cenę późniejszego powrotu na łono rodziny. Taka praca. Powołanie.

– To my już będziemy się zbierać – oświadczył kordialnie pan Bielawny, po czym splótł przed sobą palce i zwrócił się do syna: – Gdzie jest twoja walizka, synku?

– W pokoju – mruknął Czesio, usiłując znaleźć jakieś zaczepienie dla oczu.

– To może ja wezmę – zaoferował się senior.

– Nie, nie trzeba. Zaraz przyniosę. Niech mama i tata już idą na dół, zaraz dołączę – gorączkował się.

Oni nie ruszyli się jednak z miejsca. Jakby nie byli pewni, czy syn znów nie będzie musiał ratować kogoś z opresji dobrą radą i żarliwą modlitwą, a może nawet udzieleniem rozgrzeszenia. W dodatku oboje przybrali obrażone miny.

Wtedy poczułem, że ta zabawa zaczyna mi się coraz bardziej podobać. I coś mnie podkusiło, aby udawać głupiego.

– A może państwo się czegoś napiją? Mamy wspaniałą herbatkę z ziół – zaproponowałem z egzaltacją i zapalem, jakby to był co najmniej poczęstunek u angielskiego króla.

Spojrzeli na mnie jak na dwugłowe źrebię.

– Nie, nie. Dziękujemy – wydukał stary.

– Trochę się spieszymy – przyszła mu w sukurs żona.

Tymczasem Czesio zameldował się z powrotem w przedpokoju z walizą w ręku. Szybko się uwinął, ale dyszał. Nie miał już na sobie sutanny, ale jego rodzice jakoś o to nie zapytali. Pewnie ciążyła mu coraz bardziej, wierzyłem w to. Dlatego się przebrał. Spod wieka walizki wystawało coś białego, może ineksprymable, a może jakaś część stroju liturgicznego, której nazwać bym nie potrafił, nawet gdyby właściciel okazał mi go w całości.

Złowiłem jego spojrzenie, ale nie byłem w stanie go zinterpretować. Musiałem myśleć sam. A jak zacząłem myśleć, tak zacząłem się martwić o Olenę, czy znów coś się jej nie stanie. Ująłem ją mocno pod ramię.

– Dziękuję, księżu Czesławie, za pomoc – powiedziałem. – Dziękuję z całego serca. To było dla mnie bardzo ważne spotkanie.

I w tym momencie mógł z powodzeniem nastąpić kluczowy punkt tej sztuki. A widziałem to tak: Bielawny rzuca walizką o podłogę, wieko się otwiera, wysypują rzeczy. To, co wziąłem za Czesiowe ineksprymable albo jakiś strój liturgiczny, okazuje się nocną koszulą, w dodatku kobiecą. Rodzice księdza sztywnieją, on – przeciwnie – wypuszcza z siebie całe powietrze. A to, które mu w płucach zostało, wykorzystuje, by opowiedzieć szczerze o wszystkim.

Matka mdleje, ale na szczęście ojcu udaje się ją w porę pochwycić. Następnie zakochani padają sobie w objęcia. Radość. Łzy wzruszenia. Kurtyna. Brawa. Ukłony aktorów. Nawet wielki Szekspir nie miałby nic więcej do dodania.

– Nie ma za co – mruknął tylko Czesio, by dodać jeszcze ciszej: – I ja odpuszczam tobie grzechy, w imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego...

Jeszcze raz spojrzeliśmy na siebie, ale trudno mi było nazwać jego

wyraz twarzy. Może było to „przepraszam”, a może „dałbyś już spokój”.

Ruszyliśmy z Oleną w stronę drzwi do sypialni. Czułem, że spojrzenia państwa Bielawnych wypalają mi cztery dziury na plecach...

*

– Wróci. Znam go przecież. Nawet się nie obejrzysz, jak wróci. Może jeszcze dzisiaj. – Franek Bela pocieszał Olenę, jak umiał. – Naje się, a wiesz, że lubi, szczególnie babkę. Uspokoi starych, a potem wsiądzie w tramwaj i do ciebie przyjedzie. Jeszcze go będziesz miała dość, gwarantuję.

Franek, zaciekawiony, jak skończyła się historia z rodziną znalezioną w wagonie, przyszedł na Jasną około trzeciej po południu. Rozbitkowie z początku go nie poznali, a to z prostej przyczyny: nie wszedł wtedy do wagonu, a potem tkwił gdzieś na uboczu. Poza tym była noc. Musiałem uspokoić Koziukową, że to bliski przyjaciel, a właściwie to nawet domownik.

Przybysz, świadom niezbyt dobrego wrażenia, jakie zrobił, zaczął się nawet bawić z dziećmi, udając konia czy jakieś inne czworonożne zwierzę, na które można wejść we dwójkę (najstarszy chłopak przez cały czas chmurny siedział w kącie). Ale gdy w chwili przerwy opowiedziałem Frankowi na stronie, co się wydarzyło zaledwie kilkadziesiąt minut wcześniej, stwierdził, że większą pomoc powinna otrzymać przyszła matka. Małym wytłumaczyłem, że konik musi iść do stajni.

Obserwowałem też obie kobiety, usiłując z ich słów, ale także z min i gestów wywnioskować, czy do porannego wypadku należy jeszcze przywiązywać jakąś wagę. Ale kto by je tam zrozumiał. Dlatego w momencie gdy Bela pokrzepiał lubą Czesia, wziąłem z kolei na bok Katarzynę i wytłumaczyłem jej wszystko od początku do końca. Zacząłem od Oleny, przekonując, że to bardzo porządna kobieta, czego najlepszym przykładem jest to, że polski ksiądz przewrócił dla

niej całe swoje życie do góry nogami.

Kiedy skończyłem, wybałuszyła oczy.

– A ja naprawdę myślała, że to dziecko to pana – powiedziała.

– Niestety, a może i dobrze – dodałem szybko.

– Ale żeby tak ksiądz proboszcz... – Pokręciła głową, w której pewnie jeszcze przez jakiś czas trudno będzie zmieścić ten fakt.

– Różnie w życiu bywa – skwitowałem filozoficznie, by zaraz zastrzec: – Ale dzieci Katarzyny nie muszą o tym wiedzieć. Tym bardziej, że Czesław miał na nie bardzo dobry wpływ. A właściwie ma. Bo ja też wierzę, że szybko do nas wróci.

– Nie wiem tylko, czy my jeszcze możemy tutaj być... – rzekła słabym głosem Katarzyna Koziukowa.

– Możecie.

Odpowiedziałem tak w pierwszym odruchu, co jednak nie zawsze jest dobrym rozwiązaniem. A gdy jakiś czas później zapytałem Bełę, co zrobiłby na moim miejscu, tylko mlasnął. No to drążyłem dalej, czy nie miałyby czegoś na oku, aby ulokować tę uroczą gromadkę (dzieci właśnie urządziły sobie gonitwę po mieszkaniu; najpewniej pierwszy raz przebywały w tak dużej zamkniętej przestrzeni, nie licząc może kościoła i szkoły), a wtedy się wzdrygnął. Nie wiedziałem, co to ma oznaczać.

Czułem, że coraz mniej dzieli mnie od tego, by wybuchnąć. Ale wtedy pan „załatwiacz” zaczął mówić:

– Planują nas zagęścić. W mieszkaniu trzypokojowym z kuchnią, czyli takim jak twoje, będzie musiało mieszkać co najmniej pięć osób. A w czteropokojowym – siedem.

– To są jeszcze takie? – zdziwiłem się.

– Jak widać są. Nie wszyscy bogacze zdążyli czmychnąć do Rumunii, poza tym przybyło nowych, co to jeszcze wczoraj srać chodzili za chałupę. Dostawy dla wojska i temu podobne historie. Sam dobrze wiesz, dla kogo grałeś w „Komedii”. Jednocześnie mają się baczniej przyglądać wszystkim mieszkańcom Warszawy. Kto nie jest potrzebny, won z miasta. Być może na pierwszy ogień pójda emeryci...

– Skąd ty to wszystko wiesz?

– Mam znajomości w kancelarii Fischera – odpowiedział takim

tonem, jakby mówił „mam znajomego szewca na Solcu”.

Ukryłem na chwilę twarz w dłoniach. Były przyjemnie chłodne, podczas gdy policzki niemal mnie paliły.

– Ale przecież tych ludzi tutaj nie ma! – Z trudem powstrzymałem się, aby nie krzyknąć. – Powinni być w tej chwili w drodze do Kolonii albo innego Hamburga, a może leżeć zasypani w jakimś dole na skraju lasu. Przynajmniej ich matka, bo dzieci dużo łatwiej jest przerobić na Helmuta, Johanna i Gretę.

– Uspokój się, Antek. Stało się inaczej i kiedyś sam sobie za to podziękujesz. Myślisz, że zostawiłem cię z problemem samego? Jeśli tak, to jest mi przykro. – Wykonał gest, jakby rozdzierał koszulę na piersiach, a był w starym, burym swetrze.

– Możesz mówić trochę jaśniej?

– Załatwię całe czwórze lewe papiery i kartki żywnościowe.

– Naprawdę?

– Naprawdę. No, już. Cisza. Załatwione. Jakiś czas dadzą radę mieszkać bez meldunku. Potem ich zgłosisz, dzięki czemu będziesz miał przynajmniej ten komfort, że nie dokwaterują ci nikogo obcego.

– Jakbym tych znał od stu lat! – prychnąłem. – Wiem tylko, jak się nazywają i w jakiej wsi stała ich chałupa. I że boją się Ukraińców. Mam nadzieję, że udało mi się ich przekonać, że nasza Ołena to już właściwie jest Polka. Poza tym w każdej chwili może wrócić ojciec z Aliną i dzieckiem...

Ledwo wypowiedziałem te słowa, odezwał się dzwonek u drzwi. Był wyjątkowo głośny, niepokojący.

– Ojciec... – jęknąłem głucho.

– Czesio! – usłyszałem radosny głos Ołeny.

– Gestapo – wyrwało się Beli, choć zawsze miałem go za optymistę.

Każde z nas miało inne zdanie na temat tego, kto w tej chwili stoi za drzwiami mieszkania i domaga się, już drugim dzwonkiem – chyba nawet głośniejszym, a na pewno dłuższym – ażeby wreszcie wpuszczono go do środka. Staliśmy wszyscy nieruchomo w przedpokoju. Katarzyna Koziukowa tuliła do siebie dzieci, całą trójkę.

Najważniejsze to uśmiechnąć się do nich. Tak zrobiłem. Następnie

nacisnąłem klamkę i pociągnąłem drzwi. Tylko tego, że wstrzymałem oddech, nie było widać.

– Dzień dobry panu. Nie przeszkadzam? – Korytarz odbił echem słowa człowieka stojącego przed progiem.

Nie był to Czesio ani gestapowiec w skórzanym płaszczu. Ani, czego się bałem najbardziej, mój ojciec. Na progu stał Lech Adamski.

*

Był jak nawrót choroby, choć przecież lekarz zapewniał, że to już naprawdę koniec zmagania. Co należało wyciąć, wycięto, nawet ze sporym zapasem. A pacjent dbał o siebie jak nigdy dotąd. Przestrzegał wszelkich zaleceń i przeciwwskazań.

Był niczym nieoczekiwany powrót zimy, gruba warstwa śniegu na ulicach i trawnikach, na których, ku uciechu ludzi, zdążyły już wyrosnąć kolorowe krokusy. Albo twój prześladowca ze szkoły powszechnej, krzywo uśmiechnięty, którego spotykasz pierwszego września na korytarzu tego samego gimnazjum.

Czego jeszcze od nas chcesz, człowieku? – zapytywałem, choć, jako więzień kindersztuby, wciąż tylko w myślach.

Widziałem go – po awanturze w fotoplastikonie i nie mniej dramatycznej historii w mieszkaniu na Kole – dopiero trzeci raz w życiu, ale mogłem stwierdzić, że schudł i zmarniał ów Adamski. Lat dodawały mu dawno chyba niemyte włosy, kilkudniowy zarost na twarzy i podkrążone oczy. Gdyby nie to, że był blondynem i nie miał żadnych semickich cech, z pewnością miałby spory problem z bezpiecznym przejściem przez miasto.

Ale przecież i on miał niemiłe historie z bandytami – przypomniałem sobie szybko. Czyżby jeszcze się nie skończyły? Jednych załatwił Ezra, ale może w ich miejsce pojawili się kolejni...

– Słodzi pan? – zapytałem.

– Może być sacharyna – odpowiedział, widząc, co mogę zaoferować.

Postawiłem przed nim otwarty słoik. Herbata z podbiłgorajskich ziół miała szansę zrobić u nas prawdziwą furorę, choć jednocześnie,

co logiczne, szybko się skończyć. Póki co szans na uzupełnienie zapasów nie było, bo ziółka zbierała sobie teraz gruba żona nie mniej grubego *bauera*.

Siedzieliśmy w mojej kuchni we trzech, bo jeszcze z Frankiem. Musiałem mu jednak w paru słowach przypomnieć, kim jest nieoczekiwany przybysz, przybysza zaś zapewnić, bo być może nie widział go tamtego dnia, gdy Bela pomógł nam pozbyć się z fotoplastikonu ciała niemieckiego oficera, że to człowiek zaufany.

– Nie spodziewałem się, że zastanę u pana tylu gości – powiedział Adamski, z uwagą odstawiając szklanę na stół. – Mam nadzieję, że nie przeszkadzam? – powtórzył trwożliwie, nerwowym gestem dotykając poszarzałych policzków.

– Absolutnie nie – zapewniłem go. – Mamy co prawda mały rodzinny zjazd, ale to może poczekać. Zresztą dzieciaki pewnie i tak będą chciały wyjść, aby zobaczyć kawałek Warszawy... – Sens ostatnich słów dotarł do mnie dopiero wtedy, gdy je wypowiedziałem, było już jednak za późno, aby je wcisnąć z powrotem do gardła, a i bezpośrednio zainteresowani chyba ich nie usłyszeli.

– Rozumiem – mruknął Adamski. – Wpadłem, żeby podziękować panu za tamtą historię z Koła. Nie zdążyłem tego zrobić wtedy. Właściwie nie wiem dlaczego... – Wbił tępe spojrzenie w podłogę.

– Łatwo to wytłumaczyć – wtrącił się Franek, a gdy na niego spojrzeliśmy z Adamskim, rzekł uczenie: – Był pan po prostu pod wpływem bardzo mocnego wstrząsu. Stresor traumatyczny. Słyszałem, że ludzie, którym udało się uciec z oflagu, w pierwszym odruchu chcieli wracać za druty.

– Co pan opowiada... – zdziwił się nasz gość.

– Sam bym w to nie uwierzył, gdybym nie usłyszał tego od człowieka, który przy tym był. Na szczęście szybko udało się opanować sytuację.

– W jaki sposób?

– W jaki? Po prostu panikarz dostał po mordzie. Delikatnie, ale jednak. I to od niższego stopniem. Jeśli dobrze zapamiętałem, to porucznik spoliczkował majora. Efekt gwarantowany, bo podwójny.

Słuchałem w osłupieniu tej Frankowej tyrady. Nie dlatego, że

poruszyła mnie historia jakiegoś oficera, któremu po wyjściu z podkopu na niemieckiej ziemi puściły nerwy i zwieracze. Nie chodziło również o to, skąd Bela miał taką wiedzę, ale że chwalił się znajomościami przy, bądź co bądź, wciąż niezbyt dobrze znanym nam człowieku.

– Ja bym za nic do tamtego mieszkania nie wrócił. Nawet pod pistoletem. – Lech Adamski aż się wzdrygnął.

Spojrzał na mnie, więc potwierdziłem, że, w istocie, było tam bardzo nieprzyjemnie. I ja też najpewniej bym tam za żadne skarby nie wrócił. Zarówno gdyby je dawali, jak i zabierali.

Dyskretnie sprawdziłem godzinę. Dochodziła już piąta po południu. Nie mogłem jednak oprzeć się wrażeniu, że od chwili, gdy Czesio Bielawny opuścił z rodzicami moje mieszkanie, nie minęło kilka godzin, a parę dni. A rodzinę z Zamojszczyzny przywiozłem do siebie nie dzisiaj w nocy, tylko przed paroma tygodniami. Choć imion dzieci wciąż nie zdążyłem poznać...

No i zacząłem się też trochę niecierpliwić. Wciąż przecież nie wiedziałem, co kazało temu człowiekowi przyjść do mnie. Herbatka, pogaduchy. Jakbyśmy byli starymi znajomymi.

I nagle – czemu dopiero teraz?! – dotarło to do mnie. Skąd, u diabła, Lech Adamski w ogóle wiedział, gdzie ma mnie szukać?!

– Właściwie to miał pan dużo szczęścia, panie Adamski, że mnie pan zastał – powiedziałem, nie spuszczając gościa z oka.

– Miał pan zamiar wyjść na zwiedzanie Warszawy ze swoimi gośćmi. Mówił pan. – Odbił niewidzialną piłeczkę, by zaraz dodać z bladym uśmiechem: – Tym bardziej się cieszę, że mi się udało. Pański przyjaciel mówił mi, że może tak być, że drzwi będą zamknięte...

– Jaki przyjaciel?

– No, ten miły pan, który prowadzi fotoplastikon, gdzie doszło do tego przykrego wypadku.

– A kiedy się widzieliście? – zapytałem grzecznie, acz stanowczo.

– Wczoraj.

– Rano? – naciskałem coraz mniej uprzejmie.

– Wieczorem. Właściwie to po południu.

– O której godzinie dokładnie?

– Nie pamiętam dokładnie. Na pewno było już po piątej. Przepuściłem pociąg do Łodzi, a potem wpadłem do fotoplastikonu, bo... bo... Dlaczego właściwie pan pyta?

– Dałbyś już człowiekowi spokój! – odezwał się Franek, choć nie miałem pewności, czy jego oburzenie było prawdziwe, czy udawane.

Z niezręcznej sytuacji wybawiły mnie małe Koziuki: cała trójka z impetem wpadła do kuchni. Chłopcy zaczęli gonić siostrę dokoła stołu, przy którym siedzieliśmy. Właściwie to młodszy syn Katarzyny starał się ją złapać, a starszy tylko markował pogoń, jednocześnie zezując na nas. Nie wiedziałem, ile dokładnie ma lat, ale czułem, że rośnie z niego albo kombinator, albo konspirator.

Do kuchni wpadła Katarzyna z rozwianym włosom i kuchenną ścierką w ręku.

– Uciekajta mi stąd! Ale już! – wrzasnęła tak głośno, że odruchowo się skuliłem. – Wojtuś, Miecia, Kazio. Wynocha, sio!

Dzieciarnia w popłochu zniknęła tak szybko, jak się pojawiła, a kobieta skłoniła się przepraszająco, po czym wyszła, zamykając za sobą drzwi. Klamka prostowała się bardzo powoli. A ja przynajmniej już znałem imiona Koziuków, choć musiałem jeszcze zapytać, a może tylko czujnie nastawić uszu, czy Wojtuś to młodszy czy starszy syn.

– Wspaniale jest mieć rodzinę – rzekł drżącym głosem Lech Adamski. – Właśnie z tym przychodzę, proszę panów. Przepraszam za śmiałość, ale nie miałem innego wyjścia ani pomysłu...

– Co się stało? – zapytał Franek.

– Wtedy, w fotoplastikonie, jak panowie może pamiętacie, usiłowałem załatwić z niemieckim oficerem uwolnienie brata z Pawiaka. Ten człowiek znał odpowiednich ludzi. Że się nie udało, wiemy. Potem spotkały mnie różne przygody. Ludzie, którzy obiecywali pomoc, okazywali się zwyczajnymi oszustami, żerującymi na ludzkiej krzywdzie. Wkrótce, usiłując wyciągnąć brata z matni, sam stałem się więźniem. Pan przecież widział tych ludzi. Oni naprawdę nie żartowali. Bałem się, że złączą mnie torturować...

Wiedziałem, że na pewno nie żartował krawiec Ezra. A tamci? Właściwie co mnie obchodzili?

– Gdy pojechałem do Łodzi – ciągnął Adamski – radość z mojego powrotu szybko wyparła wcześniejsza zgryzota. Na szczęście bratu nic się przez ten czas nie stało, jakoś udało mu się przetrwać pod całą. Niestety, szczęście go opuściło. Kilka dni temu jego nazwisko znalazło się bowiem na plakacie. Na tym plakacie...

Nie było chyba w Warszawie człowieka, który nie wiedziałby, czym były afisze, rozwieszane po całym mieście, przed którymi gromadzili się mieszkańcy. Na jednych znajdowały się nazwiska osób, które zginęły w egzekucjach, na innych – przeznaczonych do eksterminacji, gdyby wydarzyło się coś, co byłoby nie po myśli władz okupacyjnych. Każdy zamach na osobnika w niemieckim mundurze, nieważne jakiego koloru, kosztowałyby życie kilkunastu, a może nawet kilkudziesięciu więźniów. Coś o tym mogli powiedzieć mieszkańcy Wawra, którzy bolesną lekcję odebrali na samym początku, bo jeszcze pierwszej okupacyjnej zimy.

Domyślałem się, że Lech Adamski nie przychodziłby do nas, gdyby ten drugi Adamski znalazł się na plakacie pierwszego rodzaju.

– Współczuję panu – bąknął Franek mimo to.

– Dziękuję.

Zdezorientowany spojrzałem na jednego, a potem na drugiego.

– Nie rozumiem. Pański brat żyje czy nie? – zapytałem dużo głośniejszym głosem, niż zamierzałem.

Lech Adamski zamrugał oczami, jakbym zwrócił się do niego w jakimś obcym języku.

– Nie, skąd. Przecież... przecież on żyje – wydukał.

– To dlaczego przyjął pan kondolencje?

Byłem wciąż niezbyt miły, mimo że z każdą chwilą wiedziałem coraz więcej o kłopotach tego człowieka.

Wtedy znów do akcji przystąpił Franek.

– Nie czepiaj się już, Antek! Przecież współczuć można nie tylko śmierci bliskiej osoby, ale i w ogóle niewesołej sytuacji. Tego, że może się to stać w każdej chwili.

Przybysz spojrzał swymi podkrążonymi oczami na Belę, który być może powiedział na głos to, o czym ten bał się nawet pomyśleć. Jednocześnie jakby się ocknął, przypominając sobie, po co przyszedł.

Sięgnął po szklankę z herbatą, która nieco już ściemniała i pewnie też przestygła, ale zaraz odstawił ją z powrotem.

– Daję za życie brata trzy tysiące dolarów amerykańskich – wyrzucił z siebie jednym tchem. – To wszystko. Więcej nie mamy...

*

Trzy tysiące dolarów. Nawet nie wiedziałem, ile to będzie w przeliczeniu na aktualnie używane młynarki. Jednak nie z tego powodu w pierwszym odruchu rzuciłem krótko:

– Nie.

Grymas w ułamku sekundy skrzywił twarz Adamskiego.

– Ale... dlaczego? – jęknął, splatając przed sobą dłonie, które być może za chwilę uniesie w błagalnym geście; tamtego dnia, gdyśmy go z Czesiem znaleźli we wnętrzu maszyny fotoplastikonu, z tym samym gestem przysięgał na wszystkie świętości, że będzie milczał jak grób. – Nie mamy więcej, przysięgam! Ja...

– Nie chodzi mi o pieniądze – przerwałem mu twardo, wstając gwałtownie z krzesła, aż Leo, który znalazł w kuchni bezpieczną kryjówkę przed dziećmi Katarzyny, czmychnął w kąt. – Ilu ludzi ma jeszcze pana oszukać, aby się pan nauczył? Ja po prostu nie zajmuję się takimi rzeczami. Nawet nie wiem, z kim miałbym rozmawiać.

Ciężko usiadłem z powrotem. Leo nie wracał, z kąta obserwował kuchnię, gotów w każdej chwili cofnąć się jeszcze głębiej.

– Ale na pewno pan kogoś zna – rzekł Adamski, aby za chwilę, spojrzawszy na Franka przysłuchującego się naszemu dialogowi z obojętnym wyrazem twarzy, poprawić się: – To znaczy znacie.

Miałem wrażenie, że Bela jeszcze przed chwilą drzemał, a może tylko udawał, że zupełnie nie interesują go nasze negocjacje. I nim zdążyłem pomyśleć, pociągnął mnie za ramię.

– Przepraszamy pana na chwilę.

Poddałem się temu bezwolnie. Po chwili staliśmy w przedpokoju. Z mojej sypialni dobiegały stłumione głosy rodzeństwa Koziuków.

– Czego chcesz? – zapytałem.

- Musimy mu pomóc – rzekł Bela cicho i powoli.
- To jest pewien postęp.
- Co masz na myśli?
- Bo kiedy trzy miesiące temu rozmawiałem o tym z Czesiem Bielawnym, usłyszałem: musisz mu pomóc.
- Dobra, nieważne. Te pieniądze są warte ryzyka. Nigdy nie wiesz, kiedy będą potrzebne. I to właśnie dolary, a nie jakieś śmierdziele.
- A masz dojście na Pawiak? – zapytałem konkretnie po krótkiej chwili milczenia.
- Każdy ma. Wystarczy, że zegarek ci stanie albo się gdzieś zasiedzisz – zaśmiał się i zanim przewróciłem oczami, dodał z powagą: – Nie, ale zawsze mogę się postarać. Władek Michalski z pewnością swoje wie, a na pewno wiedzą ci z jego otoczenia.
- A to ciekawe, bo ci, których zgarnęli na początku czerwca w kościele świętego Aleksandra, jakoś nie cieszą się miesiącem miodowym.
- Ale za to mamy chody u granatowych. Kolega Jarosław na pewno coś poradzi.
- Obawiam się, że wyczerpaliśmy wczoraj w nocy limit przychylności przodownika Lenca.
- To wymyśli się coś innego. Poza tym ja też mam swoich znajomych.
- Franek, czy ty siebie słyszysz? Mówisz to wszystko tak, jakby chodziło o pożyczenie namiotu na biwak! A chodzi o człowieka, który nie tylko siedzi, ale którego nazwisko znalazło się na plakacie. A może on już nie żyje? Może w tej sekundzie go mordują?
- Nikt z nas tego nie wie – rzekł Bela z dziwną lekkością.
- Bałem się, że gdybym spojrział mu teraz w oczy – oczywiście jeśli by na to pozwolił, ponieważ zawsze wystrzegał się takiej bliskości – ujrzałbym zamiast swojego odbicia podobizny człowieka, które Amerykanie drukowali na swoich banknotach. Nawet nie wiedziałem, jak się nazywał, ale musiał być bez wątpienia kimś bardzo ważnym dla historii tego kraju.
- Oni kupowali sobie za dolary lody, kukurydzę, płyty orkiestry Glenna Millera czy Louisa Armstronga. My płaciliśmy nimi za życie

swoje i swoich bliskich. Często na darmo...

– To co? – ponaglał Franek. – Robimy?

Nie odpowiedziałem, bo obok nas przeszła Ołena. Miała na sobie jakieś zwiewne jasne szaty i poruszała się niemal bezszelestnie, mimo ciężowego brzucha. Przypominała zjawę strzegącą starego zamku. Zdawała się nas nie zauważać. Najprawdopodobniej wciąż była w szoku po tym, co wydarzyło się w tym samym miejscu przed paroma godzinami.

– Zastanów się – podjął Bela, gdy zniknęła za drzwiami sypialni. – Bo może się okazać, że Czesiowi starzy zrobią pranie mózgu i nakłonią do tego, by na powrót przywdział ten śmieszny kapelutek z pomponem.

– Co ty gadasz...

– A może nawet nie będą mu niczego tłumaczyli, bo się im do niczego nie przyzna. Zobaczy dumne oblicze tatusia, który za największe osiągnięcie życia uważa posiadanie syna-księdza, wpierdoli domową szarlotkę...

– Babkę.

– Czy tam babkę. Potem weźmie dupę w troki i zacznie szukać nowej gosposi. A ty będziesz miał na głowie wrzeszczące niemowlę.

– Ja?! – parsknąłem.

– A co? Wyrzucisz ją teraz z mieszkania na zbity pysk? W tym stanie?

– Ciszej mów, do ciężkiej cholery.

– Wyrzucisz?

Opadłem ciężko na ścianę przedpokoju, podniosłem głowę i wbiłem wzrok w sufit, który od dawna domagał się odmalowania. Lech Adamski czekał w tym momencie na naszą decyzję jak podsądny na głosowanie ławników, Ołena nie wiedziała, czy nie czeka jej życie samotnej matki. Tylko Katarzyna Koziukowa cieszyła się, że jej dzieci chociaż na krótką chwilę zapomniały o gehennie, którą przeszły. Wiedziała jednak, wiedziała bardzo dobrze, że nigdy nie wyrzuci z pamięci widoku męża leżącego z dziurą w sercu przed ich chatą w Starym Bidaczowie niedaleko Biłgoraja.

A ja, jak gdyby nigdy nic, patrzyłem sobie na żyły pęknięć na suficie

naszego mieszkania, istną siatkę dróg ludzkich, które się ze sobą łączyły, by za chwilę się rozejść. I czekałem, aż i we mnie coś pęknie bezpowrotnie, rozejdzie się i puści, choć przecież już dawno tąpnęło i chrupnęło. Jakby to, że w jednej chwili stałem się ojcem trójki dzieci, mężem jednej kobiety, a jednocześnie kochankiem innej, która w dodatku za chwilę miała wydać na świat dziecko – jakby tego wszystkiego było jeszcze mało.

– Czego ty ode mnie chcesz, Franek? – zapytałem szeptem, walcząc z ogarniającą mnie coraz bardziej sennością, pokłosem ostatniej nocy. – Czego ty ode mnie chcesz...

*

Piramidy. Sfinks. Znowu piramidy. Osiołek ciągnący wyładowaną kopiaście dwukólkę. Taki osiołek to właściwie może być wszędzie, nie tylko na pustyni. Znowu piasek, istne morze piasku. Gdzieś tam, za horyzontem czai się na pewno niemiecki generał Rommel, zwany Lisem Pustyni. To znaczy czaił się jeszcze niedawno, bo hitlerowcy dostali w dupę w Afryce. Następny obrazek – burza piaskowa. Nie, to nie burza. To tylko kurz...

Ostrożnie zacząłem wyjmować fotografię z maszynery. Robiłem to pierwszy raz w życiu, ale podpowiadała mi intuicja. Udało się! Przyjrzałem się jej pod światło. Rzeczywiście, osiadła na niej równa warstewka szarego pyłu. Po chwili sięgnąłem po ściereczkę i zacząłem delikatnie przecierać szkiełko. Nie chciałem nic zepsuć.

Trzy tysiące dolarów – tyle oferował Lech Adamski za pomoc w ratowaniu brata, który siedział na Pawiaku. Trzy tysiące dolarów miało cieszyć, przynajmniej dopóki nie złączą się negocjacje, Franka Belę. Bo to on zdecydował, że bierze tę robotę. Ja zaś, pomny słów przyjaciela, który nie bez racji mówił o możliwości ponownego poczucia powołania przez Czesia Bielawnego, postanowiłem zająć się bezpieczniejszym w tym momencie fotoplastikonem.

Udałem się tam następnego dnia z samego rana. Ołena dała mi klucze. Nic nie powiedziała. Wciąż wydawała się nieobecna. Może

i dobrze, że się nie odzywała, w żadnym języku, bo nie było już nikogo, kto zdołałby uspokoić dzieciaki Katarzyny Koziukowej. Żadne przebieranki nie wchodziły w grę.

– Będzie dobrze – mruknąłem sam do siebie, wstawiając szkiełko ze zdjęciem pustyni z powrotem na miejsce.

Program zatoczył koło. Wyłączyłem maszynę i spojrzałem na zegarek. Zbliżała się dziewiąta rano, wtorek, czyli moment, w którym teoretycznie powinienem otworzyć interes Czesia. Nie zamierzałem niczego zmieniać. Zapiąłem marynarkę, przygładziłem włosy, sapnąłem jak przed skokiem na głęboką wodę i przekręciłem klucz w zamku.

*

Robota okazała się niezbyt trudna: ot, przywitać klienta, opowiedzieć o nowościach, zachęcić, aby został jak najdłużej, a nie tylko po to, aby w bezpiecznym miejscu przeczekać łapankę. Miałem co prawda praktykę ze sklepu z płytami Kazimierza Gassena w Pasażu Italia przy Nowym Świecie, w którym pracowałem tuż przed wybuchem wojny. Tam jednak oferowałem konkretny towar, czyli płyty, które meloman mógł zabrać do domu. Tutaj proponowaliśmy przeżycie, ulotną chwilę, tyle, ile zdoła pomieścić ludzka pamięć.

– Bardzo ciekawy ten Egipt, naprawdę bardzo ciekawy – oceniał jakiś dystyngowany staruszek, pierwszy tego dnia klient, który właśnie podniósł się z taboretu; mimo że tarł zapamiętałe jedno oko, widać podrażnione światłem, wyglądał na zadowolonego. – A pan Czesław, jeśli wolno wiedzieć, to gdzie?

– Chory – rzuciłem szybko, przygotowany na takie pytanie.

Starszy pan załamał ręce.

– Mam nadzieję, że to nic poważnego.

– Ależ skąd, zwyczajne przeziębienie, jak to pod koniec lata.

– A to chwała Bogu.

– Człowiek nie chce zrozumieć, że to już jesień idzie, nie okręci szyi szalikiem, nie dopnie palta. Na efekty nie trzeba długo czekać.

– W takim razie proszę mu przekazać życzenia szybkiego powrotu do zdrowia.

Staruszek, widać stały bywalec (ciekawe, czy widział wszystkie programy?), ukłonił mi się niemalże w pas, po czym drobnym krokiem opuścił pomieszczenie.

Zostałem sam. Ale na krótko, zaraz pojawiło się bowiem kilku niemieckich żołnierzy. Byli bardzo młodzi i bardzo uprzejmi. Grzecznie się przywitali słówkiem *Morgen*, wszak było jeszcze przed południem, zapłacili za seans, a po jego zakończeniu po prostu wyszli, szwargocząc między sobą. Domyślałem się, że to ich pierwsze dni w niegdysiejszej stolicy podbitego kraju, o czym świadczyły mundury wyglądające na nowe. A potem w duchu życzyłem właścicielom cukierni, piwiarni, a także burdeli, aby również mieli w nich tak potulnych i bezproblemowych klientów.

Potulna i bezproblemowa nie była bynajmniej Ołena. Przyszła tuż przed południem i ledwo zamknęła drzwi za swoim brzuchem i tyłkiem, natarła na mnie jak wojska hetmana Chmielnickiego pod Żółtymi Wodami.

– Czemuś ty ich przyprowadził do mieszkania, co?! – rozdarła się.

Nie chciałem awantury, nie chciałem też zamykać interesu i gonić z tą kobietą do szpitala, bo tak się to mogło skończyć.

– Może porozmawiamy spokojnie? – Wskazałem na pomieszczenie służbowe.

Przeszliśmy do kantorka. Sapała miarowo, nie wiedziałem tylko, czy to ze złości, czy może był to efekt wędrówki, którą miała za sobą.

– Siadaj. – Podsunąłem jej krzesło, które oceniłem jako najbardziej solidne, a kiedy na nim wreszcie klapnęła, zapytałem: – Co się znów stało?

– Nic – odparła, na szczęście już spokojnie. – Ale te dzieci są nie do zniesienia. Wrzask od samego rana. Nie mogę tego wytrzymać. Muszę mieć teraz spokój, po prostu spokój...

– Przecież nie mogłem ich zostawić w tym wagonie na pastwę losu.

– Wiem. Ocaliłeś tę rodzinę. Podobnie jak nas wcześniej. Ale może oni mają tu jednak jakichś bliskich, znajomych...

Westchnąłem. Biedna chłopska rodzina ze wschodu miałyby mieć

krewnych w Warszawie? Prędzej uwierzyłbym, że Hitler każe wycofać stąd swoje wojska.

– To nie takie proste – odrzekłem. – Może popełniłem błąd, ale kto z nas ich nie popełnia. Szczególnie teraz, kiedy tak trudno ocenić, co jest dobre, a co złe. Ale obiecuję ci, że jeszcze dzisiaj, zaraz po powrocie do domu porozmawiam z Koziukową, żeby jakoś wpłynęła na swoje dzieci. Albo lepiej sam je czymś postraszę...

Już miałem dokończyć, że postraszę je księdzem, ale w porę ugryzłem się w język. Nie chciałem też pytać, czy Czesio wrócił, a może dzwonił. Czułem, że lepiej będzie, jeśli w ogóle nie poruszę tego tematu.

– Gdy byłem mała, mama opowiadała mi bajkę o rękawiczce. To stara ukraińska bajka – powiedziała Ołena i nie pytając, czy ją znam, zaczęła mówić: – Był sobie raz dziadek, który miał psa. Któregoś dnia, zimą, gdy szli przez las, dziadek zgubił w śniegu rękawicę. Przybiegła myszka, wślizgnęła się do rękawicy i powiedziała: będę tu mieszkać.

– Miejsce w sam raz dla myszki – oceniłem.

– Zaraz pojawiła się żabka i pyta: kto tam mieszka w rękawicy? Myszka, odpowiedziała mysz. A tyś co za jedna? Żabka. Wpuść mnie! Mysz się zgodziła i zamieszkały we dwie. Jednak niezbyt długo, bo oto drogą biegnie zajaczek. Zainteresowała go rękawica. Gdy dowiedział się, kto w niej mieszka, zapytał, czy może się przyłączyć. Myszka i żabka się zgodziły.

– Zajac nie zmieściłby się w rękawiczce, nawet największej – zauważyłem, marszcząc brwi. – Wiem, co mówię, bo przecież mam w domu królika.

– Ciesz się, że nie masz myszy. Poza tym to przecież tylko bajka dla dzieci. – Ołena przewróciła oczami. – Słuchaj dalej. Gdy już mieszkali we troje, podbiega do rękawicy lisica i pyta: kto tam mieszka? Myszka, żabka i zajaczek, usłyszała w odpowiedzi, potem powiedziała: jestem lisiczka, wpuście mnie do środka.

– Lisa do domu?! – obruszyłem się. – W życiu!

– A one ją wpuściły. Było wesoło, choć trochę ciasno. Mieszkali tak już sobie we czworo, gdy do ich domku zbliżył się wilk.

– Mama opowiadała ci takie straszne bajki? – zdziwiłem się, pewny

już, że ta historia może zakończyć się tylko w jeden sposób: krwawą jatką.

– To był dobry wilk, wilczek – wyjaśniła Ołena z powagą. – Zapytał, kto mieszka w rękawiczce, a usłyszał...

– Myszka, żabka, zajaczek i lisiczka – wyliczyłem jednym tchem.

Ołena aż klasnęła w dłonie. Wyglądało na to, że wszystko wraca do normy.

– Wilczek zamieszkał w rękawicy – ciągnęła. – Ale to jeszcze nie koniec.

– Aż się boję zapytać, jakie zwierzę będzie następne. Może dzik.

– Zjawił się nie wiadomo skąd. Chru-chru-chru, kto mieszka w rękawicy, zawołał. A gdy mu odpowiedziano, rzekł: wpuście i mnie. Jestem dzik. Ale wtedy mieszkańcy pomyśleli: jak tak wielki zwierz miałby się zmieścić w rękawiczce...

Rychło w czas – oceniłem.

– Dzik jednak nalegał i w końcu także on zamieszkał w rękawicy. Było już tak ciasno, że ciężko się było obrócić. I wtedy na drodze pojawił się... niedźwiedź.

– To już przesada!

– Tak mówi bajka. Powtarzam to, co zapamiętałam z dzieciństwa.

Spojrzałem niecierpliwie w stronę drzwi kantorka.

– I co z tym niedźwiedziem? Zaznaczam, że nie lubię okrucieństwa, więc jeśli poleje się krew, to może lepiej nie kończ.

– Niedźwiedź oczywiście również chciał wejść do środka. Mimo protestów jakoś się wgramolił i tylko patrzeć, jak pękną szwy. I pewnie tak by się to skończyło, gdyby dziadek nie zauważył, że nie ma jednej rękawicy. Wrócił więc. Jego piesek pierwszy dojrzał zgubę leżącą w śniegu, która w dodatku się ruszała. Podbiegł do niej i zaczął ujadać. W tej chwili wszystkie zwierzęta wyskoczyły ze środka i rozbiegły się.

Zamilkła.

– To już koniec – powiedziała, bo się nie odzywałem.

– Dlaczego mi opowiedziałaś właśnie tę bajkę? – zapytałem, chociaż chyba się tego domyślałem.

– Bo lada dzień nasza rękawica pęknie w szwach. Albo wróci jej

właściciel, czyli twój ojciec, i wszystkich rozgoni. Już nawet Franek mi nie przeszkadza tak jak oni.

– Spotkała cię jakaś przykrość? Coś ci powiedzieli?

– Nie. Ale nie mogę znieść tego hałasu. Wiem, że sama jestem twoim gościem. Ale codziennie pracuję na to, żeby móc u ciebie mieszkać. I będę pracowała, póki będę mogła...

Chciałem coś powiedzieć, ale nic mi nie przychodziło do głowy. Uratował mnie kolejny klient, który wszedł do fotoplastikonu. Zerwałem się z krzesła i wyszedłem z kantorka.

– Dzień dobry, zapraszam do środka.

To był jakiś młody chłopak. Wyglądał na wystraszonego, może nawet pierwszy raz przekroczył próg podobnego przybytku. Trochę mnie to zdziwiło, bo nikt tu przecież nikogo nie gryzł, o personalia nie wypytywał ani nie żądał ausweisu.

Wysupłał odliczoną kwotę z kieszeni i po chwili skierował kroki w kierunku drewnianej rotundy, aby zasiąść przed okulem. Jednym jedynym zepsutym. Stwierdziłem defekt wcześniej rano, nie potrafiłem jednak stwierdzić, w czym rzecz.

– Niech pan siądzie obok. Ten nie działa – powiedziałem.

Podziękował i zajął miejsce obok. Ja zaś, wążąc ciepłe jeszcze monety w dłoni, ruszyłem do kantorka, gdzie spodziewałem się zastać Olenę. Ale już jej nie było. Został za to problem, który naprawdę należało niezwłocznie rozwiązać.

*

Okolo piątej po południu w pustym akurat fotoplastikonie pojawił się Franek Bela. Nie przywitał się ze mną ani słowem nie odezwał. Z początku myślałem, że boczy się za to, że nie wziąłem z nim tej roboty. Trudno, jakoś musiałem to przeżyć. Ktoś musiał piec chleb, aby zjedli go późniejsi bohaterowie.

Ale zaraz po nim wszedł jegomość w średnim wieku, dobrze ubrany. Właściwie wyglądał, jakby go żywcem przeniesiono z jakiegoś modnego klubu, jeszcze sprzed trzydziestego dziewiątego. W rękach

obracał panamę, w półmroku łyaskała bielą jego koszula, której kołnierzyk spinała szpila z wielką, chyba złotą główką.

Przywitali się z Belą.

– Dwa – zażądał Franek.

W chwili, gdy przyjąłem pieniądze, mrugnął do mnie. Ucieszyło mnie to w dwójnasób, oznaczało bowiem, że być może nie jest tak źle i nasza przyjaźń, mimo że stchórzyłem, trwa nadal. Poza tym miałem podstawy sądzić, że mój kolega spotkał się tutaj z kimś, kto może coś załatwić. Działał zatem na pełnych obrotach, uczciwie zarabiał swoją dolę.

Ledwo obaj usiedli i przyłożyli oczy do okularów, na progu stanął Adamski. Rozejrzał się po pomieszczeniu, następnie zwrócił się do mnie.

– Bilet poproszę – rzekł, sięgając po pieniądze.

– Nie trzeba. – Zatrzymałem jego rękę. – Ma pan swoje wydatki.

Zaraz i on zajął miejsce. Od eleganta, który rozmawiał z Frankiem Belą, dzieliły go dwa stanowiska. Przestraszyłem się, że Adamski nie ufa swemu pośrednikowi. A może tylko chciał osobiście dopilnować wszystkiego. W grę wchodziła jeszcze możliwość, że z tych nerwów nie jest po prostu w stanie usiedzieć w domu. Nie zerkał jednak na boki ani nie nastawiał uszu. Wyglądał jak zwyczajny człowiek, który zabija czas, oglądając podświetlone fotografie i czytając umieszczone przy nich krótkie opisy niezwykłych miejsc na świecie.

Jakieś dziesięć minut później Franek i człowiek w panamie wstali, ale choć odeszli kilka kroków od rotundy, dalej rozmawiali. Tymczasem Adamski wciąż siedział na swoim miejscu z oczami przy okularze.

– W takim razie jesteśmy w kontakcie – powiedział Franek.

– Proszę dzwonić – odrzekł jego rozmówca, zakładając na głowę kapelusz.

Uścisnęli sobie dłonie, potem mężczyzna wyszedł. Chciałem od razu dopaść Franka, by wypytać go o wyniki negocjacji. Pomyślałem jednak, że najpierw powinien to zrobić bezpośrednio zainteresowany. Lech Adamski nie ruszał się jednak z miejsca.

Wtedy się zdecydowałem.

– I co? – zapytałem jak smarkaty, który prosi rodzica o pozwolenie na niedzielną wycieczkę.

– Co co? Załatwiamy – rzucił obojętnie Franek, zerkając jakoś tak obok mnie.

Pożałowałem zarówno pytania, jak i zapachu, z jakim je zadałem. Na szczęście nadchodził kolejny klient. Okazał się nim nie kto inny jak Władek Michalski. Towarzyszył mu jakiś starszy mężczyzna. Szybko wróciłem na swoje miejsce, oni zaś jeszcze przez chwilę stali na progu i rozglądali się po pomieszczeniu.

– Dwa poproszę. – Michalski zachowywał się, jakby mnie nie znał.

– Oficerowie na służbie nie płacą – rzekłem mimo to, szeptem i z bijącym mocno sercem.

– Nie widzę tu żadnych, ale dziękuję.

Jak tak będę postępował, nie zarobię nawet na opłaty za prąd – pomyślałem, ale było już za późno na zmianę decyzji. Mogłem tylko dodać: ku chwale ojczyzny!

Podporucznik Michalski przywitał się z Frankiem, ale też niezbyt wylewnie, jakby widzieli się po raz pierwszy. Następnie przedstawił swojego towarzysza. Domyślałem się, że to jego przełożony, major, a może nawet pułkownik. Co takiego się stało, że i on przyszedł tutaj, aby porozmawiać z cywilem, a do tego – podkreślmy to raz jeszcze – zwyczajnym kombinatorem, jakim był nasz Franio?

Mogło być też tak, że Lech nie powiedział wszystkiego, a przynajmniej nie powiedział tego mnie. Może jego brat rzeczywiście był kimś ważnym – zastanawiałem się. Szybko jednak odgoniłem tę myśl, bo gdyby ów Adamski był kimś znaczącym, jego brat nie szukałby pomocy u nas. W dodatku w tak dziwny, a jednocześnie, powiedzmy to sobie otwarcie, dość nieudolny sposób.

W chwili, gdy o tym pomyślałem, Adamski dyskretnie zerknął przez ramię. Myślałem, że wstanie i podejdzie do rozmawiającej półgłosem trójki, ale on i tym razem nie ruszył się z krzesła. Wydawało się, jakby bez reszty pochłaniał go program.

Byłem pewien, że oficerowie wraz z Frankiem zajmą miejsca przy rotundzie i udając, że przyszli tu tylko dla widoku piramid, sfinksa, pustyni czy nawet świątyń Watykanu, złączą knuć. Tak się jednak nie

stało.

– Do widzenia panu. – Tym razem Władek mi się uklonił.

Wyszli. Trzask zamykanych drzwi.

– Kto to był? – Twarz Lecha Adamskiego, który zjawił się przede mną nie wiadomo kiedy, była aż czerwona z emocji.

Czy kusilo mnie, żeby pochwalić się znajomością z żołnierzami podziemia? Pewnie, że kusilo. Może jeszcze kilka tygodni temu nie odczuwałbym tego tak, jak w tej chwili. I kto wie, czy nie zacząłbym jak pod szpicrutą sypać nazwiskami, stopniami. Może nawet opowiadać o niedawnym wyczynie Władka i jego towarzyszy na Senatorskiej. Jednak jakiś głos, ów niewidzialny dobry duszek, który pojawia się przy mnie na przemian z diabłem i który w ostatniej chwili każe ci się ugryźć w język, gdy radzisz wziąć się w garść kalece bez obu rąk albo pozdrowić rodziców sierocie – teraz ten głos znów się odezwał.

– Nie wiem – powiedziałem.

Nie takiej odpowiedzi chyba oczekiwał, choć byłem pewien, że nie dałem mu żadnych powodów, by sądził, że jest inaczej, niż powiedziałem.

– Nie wie pan?

– Znam tylko Franka. Pan zresztą też.

– A tamci to kto?

– Podejrzewam, że zwyczajni klienci. Mam nadzieję, że pan wie, co mam na myśli.

– Wiem.

Zagryzł wargę. Zamrugnął nerwowo oczami.

– Zresztą jestem tu dopiero od wczoraj, więc będzie pan łaskaw wybaczyć... – Do końca pogiębiłem tego człowieka.

– Pójdę już – rzekł w roztargnieniu.

– Proszę być dobrej myśli. Franek to naprawdę wybitny specjalista. Można mu zaufać. Tylko nie lubi, jak mu się za bardzo patrzy na rękę.

– Rozumiem.

– Do widzenia panu.

– Do widzenia – burknął i jak powiedział, tak zrobił.

*

Franek nie pojawił się już tego dnia w fotoplastikonie. Miałem zresztą nadzieję, że już nikt nie przyjdzie. Nie zarobimy, trudno. Ale miałem dosyć jak na jeden dzień.

Nieco ponad godzinę po tym, jak Lech Adamski poszedł sobie (być może śledzić Franka i konspiratorów), próg lokalu przekroczyła jednak jakaś para. Chłopak i dziewczyna, nawet ładna. Na oko siedemnasto-, może osiemnastoletni. Przez cały czas trzymali się za ręce. Nawet gdy on płacił za wstęp, to użył do tego tylko lewej dłoni. Palce drugiej zdawały się być sklezione z wąskimi palcami dziewczyny.

– Dziękuję i zapraszam na nasz nowy program. – Wskazałem cudowną maszynę, którą przyszło mi zawiadywać.

Objęci w pół udali się niespiesznym krokiem w tamtym kierunku, choć dałbym sobie rękę uciąć, iż woleliby, żebym im udostępnił niewielki pokój z łóżkiem i zamkiem w drzwiach, który można by było zamknąć od wewnątrz. Usiedli obok siebie, na szczęście przed działającymi okularami. Długo jednak nie mogli oderwać od siebie wzroku.

Tymczasem, mimo późnej pory, wciąż przychodzili nowi goście. W jednym z nich rozpoznałem doktora Kulawczyka, byłego wykładowcę chemii na politechnice. Towarzyszył mu wysoki mężczyzna. Jego zachowanie, postawa i manery nie pozostawiały wątpliwości, czym zajmował się zawodowo przed wojną. I czym najprawdopodobniej zajmuje się dziś.

Po chwili obaj zajęli miejsca z dala od młodzieży. Ze swojego punktu obserwacyjnego widziałem jednak bardzo dobrze, jak szalony naukowiec tłumaczy coś swemu rozmówcy, gestykułuje. Oficer słuchał w spokoju i skupieniu, ręce chemika układały się zaś na kształt ziemi chwilę po wybuchu bomby, by po sekundzie spocząć na brzuchu, co zapewne miało symbolizować rany, jakie odniosą żołnierze wrogich pułków. Krew leje się strumieniami, trzewia na wierzchu. Za Warszawę! Za sto innych miast! Tak działa cudowna broń doktora Kulawczyka.

– A pan Czesław to gdzie?

Wyrósł jak spod ziemi, przesłaniając całkowicie widok na rotundę. Ubrany na czarno osobnik z ponuro wydłużoną twarzą spoglądał na mnie z góry znad wielkich, szpecących worków pod oczami.

– Pan Czesław? – Wstałem z krzesła, ale i to niewiele pomogło, ponieważ tajemniczy przybysz był naprawdę bardzo wysoki.

– Właściciel – uściślił tamten.

– Chory.

– Bardzo? – zapytał i było jasne, że ma na myśli jedną z chorób, które leczy się torturami i więzienną dietą.

– Nie. Na szczęście jest w domu. To tylko zwykły katar – powtórzyłem to, co usłyszeli inni; oby się nie okazało, że robię to ostatni raz...

– A to chwała Bogu.

– Ja go zastępuję.

– Boga?

Zmilczałem.

– Czym mogę panu służyć? – Wyuczone słowa z trudem przedzierały mi się przez ściśnięte gardło, a w głowie jedna myśl goniła drugą: kim jest ten człowiek i czego ode mnie, do ciężkiej cholery, chce?!

Przybysz postawił na kontuarze czarną teczkę i trzymając ją za boki, wciąż spoglądał na mnie.

– Florian Drzewucki jestem – przedstawił się.

– Antoni.

– Przywiozłem nowe programy, które zamówił pan Bielawny. To znaczy Czesław. Mam nadzieję, że mogę je u pana zostawić.

Kamień spadł mi z serca i uderzył o podłogę. Niemal usłyszałem huk, jaki spowodowało gwałtowne zetknięcie dwóch twardych materii. Florian Drzewucki musiał doskonale zdawać sobie sprawę z tego, jakie wrażenie wywarł na mnie, jakie uczucia w ogóle budził w ludziach, którzy widzieli go po raz pierwszy. Uśmiechnął się od ucha do ucha. Wszystko było już przecież jasne: on wiedział, że zastępuję Czesia, ja zaś byłem pewien, że przybysz nie przyszedł tu po to, aby mnie zamordować, a budę – okraść, a potem puścić z dymem.

– Przestraszyłem pana? – zapytał, gdy weszliśmy do kantorka.

– Skąd – skłamałem.

– Jeśli tak, to przepraszam. Wracając do sprawy, jak mówiłem, mam ze sobą trzy nowe programy.

Pan Drzewucki, o którym wciąż nie wiedziałem, skąd przyszedł i czym się zajmuje (mógł być przecież tylko posłańcem), nacisnął kciukami na zamki i rozległ się cichy, niemal jednoczesny szcęk. Z miną magika podniósł wieko teczki i obrócił ją w moim kierunku. W środku znajdowały się trzy pudełka zapakowane w celofan.

– Paryż, Madryt i Kopenhaga – powiedział pan Florian, by zaraz sprecyzować: – Sprzed zawieruchy. Zamawiał Kosowski, ale pan Bielawny potwierdził.

Podrapałem się z zakłopotaniem po głowie.

– Wszystko pięknie, ale ja nie mam pieniędzy, żeby panu za to zapłacić – rzekłem. – Wszystko stało się tak nagle, Czesio nie zdążył mi nic przekazać prócz kluczy do interesu...

– Ale już jest wszystko zapłacone. – Uśmiechnął się, zaraz jednak zafrasował. – Nie wiem tylko, czy będzie pan potrafił umieścić fotografie we właściwym miejscu. Nawet pan Bielawny miał z tym spory problem za pierwszym razem.

– Ja też nie wiem.

– Mogę panu pomóc. Jak pan ma na imię, bo nawet nie zapytałem...

– Antoni. Dla przyjaciół Antek.

– Jak *Antek Policmajster*.

– Może być.

– Wracając do problemu, to mogę pomóc, bo i tak nigdzie mi się nie spieszy, a do godziny policyjnej jeszcze sporo czasu. Musiałby pan tylko zamknąć na jakiś czas interes.

Nie musiałem długo szukać tabliczki z napisem NIECZYNNE. Była w biurku Czesia pośród kurzu i paprochów. Ta sama dwujęzyczna tabliczka, którą musieliśmy wywiesić na drzwiach, by zastanowić się, co zrobić z jeszcze ciepłym trupem porucznika Wehrmachtu Lothara Scholza.

Na szczęście nie było już klientów. Doktor Kulawczyk, oficer, a także para zakochanych poszli sobie. Czy obejrzeliby choć jedno

zdjęcie, tego nie byłem pewien. Nieważne.

Wywiesiłem kartkę, starannie zamknąłem drzwi i wróciłem do drewnianego barbakanu. Florian Drzewucki był już w środku, tam gdzie noc spędził kiedyś Lech Adamski. Te wspomnienia wciąż nie chciały mnie opuścić...

– A zatem montuje się tak – rozpoczął swój wywód wielkolud.

Była to opowieść poparta konkretnymi czynnościami: chwilę po tym, gdy on umieścił zdjęcie we właściwym miejscu, musiałem to zrobić również ja. Na szczęście nie było to trudne. O wiele więcej zachodu kosztowała pana Drzewuckiego zamiana zwyczajnych fotografii na takie, które potem cieszyły oczy klientów fotoplastikonu. O wszystkim mi opowiedział, wymieniając nazwy chemikaliów, których używał, i skomplikowanych procesów.

Gdy skończył, było już ciemno. Zamknąłem interes i pożegnaliśmy się. W chwili, gdy ścisnąłem wielką jak bochenek chleba dłoń pana Floriana, zdjął mnie trudny do wytłumaczenia strach, że nigdy więcej go nie zobaczę...

*

Zamyślony, wciąż przywołując w pamięci wypowiedziane przez czarodzieja nazwy chemicznych odczynników, dotarłem do domu. Jak się okazało, w ostatniej chwili, ponieważ stróż Wasiak już miał zamykać bramę.

– Zakochany pan, panie Antku czy co?

Nie wiem czemu, ale zawstydziłem się.

– Nie. Skąd! Komu teraz w głowie amory, panie Wincenty.

– A co? Szykujecie coś?

– Dobranoc.

– Panie Antku, pan poczeka. – Jego głos dogonił mnie, gdy byłem w połowie podwórka.

Twarz stróża zdradzała, że ma mi coś kłopotliwego do zakomunikowania. Przestraszyłem się, że może chodzić o dzieciaki Koziukowej. Co takiego zmalowały? Wybiły szybę czy przywiązały

ratlerkowi sąsiada z drugiego piętra zardzewiałą puszkę do łapy?

– Co się stało, panie Wincenty? – zapytałem cichym głosem, starając się nie dać po sobie poznać, że mam coś na sumieniu.

– Pytał o pana jeden granatowy – odrzekł szeptem stróż.

Usiłowałem na szybko ustalić, czy może chodzić o Lenca. Był u mnie w mundurze chyba tylko raz, wtedy gdy w mieszkaniu odbywał się przypadkowy zjazd klasowy. Bo gdy w nocy przywieźliśmy rodzinę Koziuków z Dworca Gdańskiego, nie wychodził z samochodu.

– Jaki? Młody? Stary? Pamięta pan może stopień? – zarzuciłem Wasiaka pytaniami.

– Na szarżach to ja się nie wyznaję, ale był w średnim wieku. I z wąsami.

Zrobiło mi się gorąco. Nie był to na pewno przodownik Jarosław Lenc. Ale mógł to być ktoś zaufany przysłany przez niego...

– O co dokładnie pytał? – drażyłem.

– Chciał tylko wiedzieć, ile osób zamieszkuje u pana. No to mówię, że w tej chwili tylko pan. Tata z rodziną przecie od początku lata na wywczasach. Dobrze powiedziałem?

– Bardzo dobrze.

– No i tyle.

– Dziękuję.

– Coś tam zanotował w kajeciku, mruknął pod wąsem, zasalutował prawie jak marszałek i poszedł sobie. Tyle chciałem panu powiedzieć. Trzeba uważać.

– Jest pan złoty człowiek, panie Wincenty!

– Ta, gadanie. – Machnął ręką, po czym schylił się, by podnieść z ziemi jakiś przeoczony papiererek.

*

Chciałem załatwić sprawę jednym zdecydowanym cięciem. Nie mogłem dalej ryzykować. Dziadkiem z bajki, którą opowiedziała mi Ołena, mógł być przecież zarówno mój ojciec, jak i wąsaty granatowy policjant. Wasiak skłamał przed nim, mówiąc, że nie ma u mnie

nikogo bez meldunku. Ale czy tak samo postąpiłby zapytany o to sąsiad? Nie miałem takiej gwarancji. Człowiek był przecież tylko człowiekiem, miał swoje słabości. Bał się.

Dlatego postanowiłem porozmawiać z Katarzyną. Czym innym było wszak przyjęcie do domu, a właściwie to kradzież jednego dzieciaka z transportu idącego z Zamojszczyzny do Rzeszy, bo takie historie ponoć się jednak zdarzały, a czym innym – przygarnięcie trójki i osoby dorosłej. Franek obiecał, że załatwi im papiery i kartki żywnościowe, jednak jeszcze tego nie zrobił, był bowiem zajęty inną pracą – i to nie za „dziękuję”, a za grube dolary.

Będziesz ostatnią świnią, jeśli ich wyrzucisz! – w mojej głowie odezwał się głos, a stało się to na pierwszym piętrze. To gorsze niż to, co robili i robią szmalcownicy, których tępił krawiec Ezra. Twój ojciec na pewno by tak nie postąpił, o nie!

Wybierasz mniejsze zło – bronił mnie głos drugi, który przebił się przez moje sapanie w chwili, gdy dotarłem na półpiętro. I tak zrobiłeś już wiele, przyjacielu. Dziewięciu na dziesięciu zostawiłoby ich w tym cholernym wagonie na pastwę losu.

– Kto daje i odbiera, ten się w piekle poniewiera! – usłyszałem dziecięcy głos zza mijanych drzwi mieszkania na drugim piętrze, a słowa te mogłem z powodzeniem potraktować jako kolejną wypowiedź w toczącej się dyskusji.

Niestety, kamienica Harczyka to nie była ani PAST-a, ani niedaleki wieżowiec Prudentialu przy placu Napoleona, a zatem nie miałem wiele czasu na myślenie podczas wędrówki po schodach. Poza tym kiszki grały mi już głośno marsza po całym dniu wyętej pracy.

W mieszkaniu panowała cisza. Może już zasnęli. Nie oznaczało to jednak, że rękawica zagubiona w śniegu przestała trzeszczeć w szwach...

– Antek? – z kuchni dobiegł kobiecy głos.

– Tak, to ja – rzuciłem niegłośno w półmrok, po czym zamknąłem za sobą drzwi.

Zułem buty i ostrożnie, jakbym stąpał po polu minowym, skierowałem kroki do jedyne go pomieszczenia, w którym paliło się światło. Kiedy znalazłem się na progu, omal nie podskoczyłem

w miejscu; pewnie skończyłoby się to rozbiciem głowy o futrynę.

– Czesio!

Bielawny zerwał się z taboretu i po chwili wpadliśmy sobie w ramiona, jakbyśmy się nie widzieli rok albo i dłużej. Wrócił, był tu, żywy, może tylko deko grubszy po kilkudziesięciu godzinach spędzonych w rodzinnym domu.

– Tylko cicho. – Położył palec na ustach.

– Śpią? – zapytałem.

Usiedliśmy przy stole.

– Nie – rzekł Czesław Bielawny. – Trzeba być cicho, bo oficjalnie jestem w tej chwili w drodze do swojej parafii w Chołoniewiczach. Będę musiał chyba brodę zapuścić, żeby się znów nie napatoczył na jakiegoś sąsiada.

– Nie powiedziałeś rodzicom... – Bardziej stwierdziłem, niż zapytałem.

– Jeszcze nie pora. Wiem, że nie znieśliby tego. Może będzie inaczej, jak się dziecko urodzi, choć może być ciężko. Poznałeś ich. Ale nie ma co teraz o tym myśleć. Najważniejsze, żeby Ołena spokojnie urodziła. A potem się zobaczy...

Pociągnąłem łyk z kubka. Smak ziołowej herbaty przypomniał mi o jeszcze jednym problemie. O nadprogramowych lokatorach w rękawicy. Już chciałem o to zapytać, ale Czesław okazał się szybszy:

– O nich nie musisz się już martwić – rzekł.

Nie zapanowałem nad nogami, które gwałtownie się wyprostowały.

– Nie rozumiem...

– Już ich nie ma – uśmiechnęła się Ołena. – Czesio znalazł dla całej czwórki bezpieczne miejsce u jakiegoś kolegi ze szkoły dla księży...

– Z seminarium – poprawił ją Czesio, by zaraz sprecyzować: – Są w tej chwili u Heńka pod Jabłonną.

– Pod Jabłonną – powtórzyłem bezwiednie.

– Nazwa wsi nieistotna. Najgorzej było dojechać, bo w kolejce pełno mundurowych, ale jakoś się udało. Konduktor nawet biletów nie chciał sprawdzać, a wszystko dlatego, że oczywiście znowu wystąpiłem w sutannie. – Nie wiadomo czemu pogładził się po brzuchu.

Słuchałem tego z niedowierzaniem i wciąż na stojąco, w postawie zbliżonej do zasadniczej, której nie mógł mnie nauczyć ani nauczyciel wychowania fizycznego, ani oficer, który kilkanaście miesięcy temu, kiedy chciało mi się bawić w konspirację, przeprowadzał treningi strzeleckie.

A tak naprawdę to bałem się choćby poruszyć. Bałem się, że ten piękny sen może się za chwilę skończyć, a myśli, z którymi boksowałem się przez ostatnie chwile podczas drogi do domu, zaatakują mnie zdradziecko i powalą.

Bez słowa wybiegłem do swojego pokoju, aby się na własne oczy przekonać, czy nikt nie robi sobie ze mnie żartów, czy aby nie śpię. Ale pokój był pusty. Do tego dokładnie wysprzątnany! Ani śladu niedawnych kłopotliwych gości. Żadnej zapomnianej zabawki ani *tielogiejki*. Bielawny mówił prawdę.

– Tam będzie im lepiej i bezpieczniej – usłyszałem za plecami jego głos. – Podróżnych w dom przyjąć. To czwarty, jak pewnie pamiętasz, postępek miłosierdzia wobec ciała. Książd Heniek był naprawdę szczęśliwy, że może to dla mnie zrobić. A przede wszystkim dla nich.

– Bardzo ci dziękuję.

– Nie ma za co.

– Jest. Wierz mi, że jest.

– Umówmy się, że podziękuje mi Ołena. – Puścił oko. – A ty, brachu, odwdzięczysz mi się, jeżeli będziesz łaskaw zastąpić mnie w fotoplastikonie. Przynajmniej przez kilka dni. Może być?

Odwróciłem się bardzo powoli.

– Nawet na zawsze.

– Hola, hola! Tak dobrze to nie ma. To mój interes.

*

Że następnego dnia wstanę rano i pójdę do pracy, wiedziałem już wtedy, kiedy z niej wychodziłem. Nie zdawałem sobie jednak sprawy, że zrobię to z taką radością. Czesio i Ołena jeszcze smacznie spali, gdy przygotowywałem śniadanie, wesoło przy tym pogwizdując. Myślę, że

mało brakowało, a zacząłbym śpiewać!

Bałem się co prawda, że będą mnie gryzły jakieś wyrzuty sumienia spowodowane tym, że pozbyliśmy się rodziny ze Starego Bidaczowa. Ale nie czułem nic.

– Tam im będzie lepiej, tam im będzie lepiej – powtarzałem na głos.

Zmierzając do celu, uśmiechałem się do przechodniów i współpasażerów w tramwaju. W dodatku dzień był pogodny, królowała złota polska jesień. Gdyby jeszcze im, tym przeklętym im, nie chciało się wyjeżdżać do miasta na łowy, byłoby przepięknie.

W myślach widziałem już siebie, jak siedzę za kontuarem albo w kantorku i przyglądam się gościom fotoplastikonu. Być może Bela znów spotka się u mnie z kimś, kto będzie miał ułatwić mu tę jego robotę. A może wpadnie Władek i tym razem mnie pozna. A wtedy nie wypuszczę go, zanim nie opowie z najdrobniejszymi szczegółami o akcji na Senatorskiej. To będzie bardzo miły dzień. Byłem tego pewien.

– Szacuneczek – przywitałem się z klientem, który już czekał, aż otworzę interes. – Taki pan niecierpliwy?

Mężczyzna, a nie widziałem go wcześniej, nie podzielał jednak mojej wesołości. W chwili, gdy sięgnąłem do kieszeni po klucze, słońce skryło się za chmurę.

– Pan Antek? – zapytał nieznajomy.

– Tak, to ja. Już otwieram, momencik.

Ale melodia, która grała w mojej głowie, umilkła w pół taktu. Zamiast niej rozległo się nieprzyjemne chrupnięcie, coś jak zgrzyt gramofonowej igły na czarnej płycie, jednej z kolekcji, którą przed wojną cieszył się mój tata.

– Pański przyjaciel Franciszek Bela...

Serce zamarło mi w piersiach.

– Co z nim? – zapytałem.

– Może najpierw wejdziemy?

– Co z nim? Mów pan wreszcie!

– Został wczoraj aresztowany...

Rozdział piąty

(1943)

Gdybym był królem, herold złych wieści pewnie natychmiast zostałyby skrócony o głowę. Ale byłem zwyczajnym człowiekiem, jeśli nie nędznikiem, który tego, co przyniósł, mógł tylko z pokorą wysłuchać. Oczywiście starając się zachować ostrożność, człowieka widziałem bowiem po raz pierwszy w życiu. Mógł być prowokatorem, kapusiem albo po prostu pracownikiem okrytych złą sławą budynków przy Szucha.

Nie powinienem się w ogóle przyznawać, że znam Belę. Było udać głupiego... – pomyślałem, ale ponieważ.

– Proszę, niech pan siada. – Wskazałem mu krzesło w kantorku.

– Mam niewiele czasu – mruknął przybysz.

– W takim razie słucham. O kim pan właściwie mówił? Bo na ulicy, pan rozumie, chyba niezbyt dobrze zrozumiałem...

Przybysz rozejrzał się po ścianach.

– Nie musi pan grać. Pracowaliśmy z Franciszkiem u inżyniera Bergmanna, czyli Eugeniusza Sosnowskiego. Więcek moje nazwisko. Sam niewiele wiem, ale to, co wiem, pozwala sądzić, że nie jest dobrze. Pewien chłopak, który robił u Genia za gońca, widział wczoraj, jak pakowali Franka do samochodu. Było to w Śródmieściu, na Mokotowskiej, niedaleko placu Zbawiciela. Chłopak przybiegł wieczorem do mnie, a ja przyszedłem dzisiaj do pana. Proszę wybaczyć, ale szybciej się nie dało.

– Skąd pan wiedział...

– Że mam przyjść akurat tutaj? U pana Sosnowskiego panuje taki

zwyczaj, że każdy wie, co ma robić, gdy ktoś wpadnie w ich ręce. Kogo powiadomić. Za każdym razem, kiedy się widzimy, mówimy sobie, czy to jeszcze aktualne. Bela wyznaczył pana. A gdy się ostatnio widzieliśmy, do adresu na Jasnej dodał jeszcze fotoplastikon.

Potarłem czoło w zakłopotaniu, spojrzałem na pana Więcka.

– Wszystko? – powtórzyłem.

Przez moment milczeliśmy, jakbyśmy już stali nad grobem naszego wspólnego znajomego. Dla mnie przyjaciela. Czy dla Więcka również?

– Co ma pan zamiar zrobić? – zapytałem.

– Dowiedzieć się czegoś od pana – odpowiedział. – Czym on się ostatnio zajmował, z kim się spotykał. Może razem coś nam się uda wykombinować...

Tu znów zapaliło mi się w głowie ostrzegawcze światełko. Mogli się znać z Więckiem, ale kto mi zaręczy, że ten człowiek nie kapuje. Może od niedawna, może od zawsze – efekt ten sam. Nie, nie miałem prawa powiedzieć nawet pół słowa o tym, że Bela przyjął robotę od Adamskiego i co to za robota. Podejrzywałem, że wpadka Franka miała coś wspólnego właśnie z tymi staraniami.

– Niestety, nie mówiliśmy sobie wszystkiego – powiedziałem, markując zakłopotanie. – Wiem tylko tyle, że był ostatnio zajęty.

– On zawsze jest zajęty – zgodził się pan Więcek.

Uśmiechnął się krótko, jakby powiedział jakiś dowcip, po czym kolejny raz omiół spojrzeniem wnętrze kantorka. Było coś zastanawiającego w tym jego taksowaniu, sprawiał wrażenie człowieka, który przyszedł tu nie po to, by przekazać hiobową wieść, ale po to, ażeby kupić interes, tak jak kilka miesięcy temu Bielawny nabył go od Kosowskiego. Albo nawet przejąć, wymachując jakimiś kwitami.

– To pańskie? – zapytał, potwierdzając moje domysły.

– Nie. Przyjaciela. Zastępuję go, ponieważ jest chory.

– Ale pewnie orientuje się pan, czy da się z tego wyżyć...

Wstałem z krzesła i spojrzałem ciężko na gościa.

– O co panu właściwie chodzi?

Więcek się stropił.

– Ale niech się pan nie denerwuje. Pytam z czystej ciekawości, jak

człowiek interesu kolegę po fachu.

Nie przekonało mnie to. Nie sprostowałem nawet, że daleko mi do człowieka interesu i że jestem tylko skromnym subiektem. Nic nie odpowiedziałem ani nie usiadłem.

I może byśmy tak trwali jak dwie postacie na klatce filmu, który się zaciął ku niezadowoleniu siedzącej w kinie gawiedzi, gdyby nie trzask zamykanych drzwi fotoplastikonu i odgłos kroków na drewnianej podłodze, niezbyt głośny, co mogło być obietnicą, że to nie tupią nowe kłopoty.

Miałem klienta. I nie miałem wątpliwości, że to nim mam się teraz zająć.

– Pan wybaczy – rzuciłem do Więcka.

Jednak sekundę później, zamiast spodziewanego przybysza, a znakomitą ich część stanowili dorośli mężczyźni, stanąłem twarzą w twarz z może dziesięcioletnim chłopakiem. Widać było, że biegł. Przestraszyłem się, że może przyciągnął za sobą pogoń jak zarazę i za chwilę rozlegnie się zwyczajowe *hände hoch*.

Jednak zamiast tego usłyszałem za plecami spokojny głos pana Więcka.

– To do mnie.

Jak gdyby nigdy nic minął mnie, nachylił się do chłopaka i przez chwilę słuchał w skupieniu. Domyśliłem się, że to najpewniej jakiś jego młodociany pomagier. Może nawet ten, który na własne oczy widział, jak pakują Franka Belę do samochodu na Mokotowskiej...

Po chwili mały informator zniknął, pan Więcek zaś powoli się wyprostował, spojrzął na mnie i powiedział tylko jedno słowo:

– Skaryszewska.

*

Pięć minut później jechaliśmy riksą na Pragę. Nie zastanawiałem się ani chwili, czy powinienem zamknąć fotoplastikon na cztery spusty i co by na to powiedział jego właściciel. Potem, gdy jednak refleksja nadeszła, tłumaczyłem sobie, że to tylko na godzinę, może dwie. I że

pewnie Czesio zrobiłby tak samo, gdyby znalazł się na moim miejscu. Trzeba było przecież ratować przyjaciela.

– Siekiera, motyka, piłka, deska. Ta ulica Skaryszewska... – zaintonował pan Więcek, gdy wjeżdżaliśmy w Aleje Ujazdowskie.

Sprawił wrażenie człowieka, który jedzie na wycieczkę za miasto, nie zaś po to, aby dowiedzieć się czegoś, być może nawet samemu ryzykując życie, o aresztowanym przyjacielu. I chyba wyczuł, o czym myślę.

– Nie widzę tego – rzekł.

– Aresztowania przez gestapo i Skaryszewskiej?

– Rozumujemy tak samo. I po co było się droczyć?

– Do rzeczy, panie Więcek.

– Mów mi Felek.

– Do rzeczy, Felek. – Uściśnięciem wyciągniętą prawicę.

– Nie mieszkamy w tym mieście od wczoraj, więc obaj doskonale wiemy, że podwózka samochodem gestapo rzadko kończy się na Skaryszewskiej. A właściwie to nigdy.

Trudno było nie przyznać mu racji. Sam o tym pomyślałem, ale nie chciałem nic mówić.

Do budynku dawnej szkoły przy niewielkiej uliczce w pobliżu warszawskiego Dworca Wschodniego trafiali przede wszystkim ci, których zgarnięto w ulicznych łapanek. Po paru dniach i badaniach lekarskich jednych wysyłano na roboty do Rzeszy, a tych, co mieli mniej siły, szczęścia i pieniędzy – do Oświęcimia. Wiedziałem, że Skaryszewską zaliczył mój ojciec po jednej z pierwszych wielkich łapanek, do której doszło na ulicach miasta w sierpniu 1940 roku. Nie chciał mi jednak powiedzieć, jak udało mu się wtedy wydostać.

– Ale skoro taki ślad się pojawił, musimy to sprawdzić – rzekł Felek, by po chwili zapytać: – Dobrze myślę?

– Nie wiem. To twój informator. Nie znam go.

– Pożyjem, zobaczym.

Ilu warszawskich rikszarzy słyszało w tym momencie złowróżbny adres „Skaryszewska”? Przez ile gardeł pasażerów słowo to nie mogło przejść, z różnych powodów, więc zamawiali tylko kurs na Wschodnią, by dalej przejść piechotą? Ile tramwajów wiozło na Pragę

bliskich ludzi, którzy mieli pecha? Ilu ludzi wreszcie szło na miejsce piechotą, bo przecież od teraz liczył się każdy grosz. Można też było przystanąć dla zebrania myśli, a i w każdej chwili – zawrócić.

W ilu kieszeniach jechały pieniądze na wykupienie nieszczęśnika, wysupłane z trudem albo pożyczzone, nawet za cenę upokorzenia. Dałbym głowę, że gdyby przyłożyć ucho tu i ówdzie, zamiast szelestu dolarów i młynarek można by było usłyszeć cztery sylaby: SKA-RY-SZEW-SKA, SKA-RY-SZEW-SKA, SKA-RY-SZEW-SKA...

– Tu się pan może zatrzymać. – Felek Więcek wskazał na róg Ostparkstrasse, bo tak właśnie swego czasu ochrzczono aleję Zieleniecką; właśnie mijał nas tramwaj dwadzieścia cztery jadący w stronę centrum.

Uświadomiłem sobie, że to właśnie tą linią wracaliśmy do miasta z Czesiem tamtego wieczora, gdy musieliśmy pozbyć się stygnącego ciała niemieckiego oficera. Wtedy pomógł nam Franek. Dzisiaj ja i ten dziwny osobnik nazwiskiem Więcek, od paru chwil Felek, mieliśmy pomóc Frankowi. A przynajmniej zasięgnąć języka, sprawdzając wartość otrzymanych informacji.

Przeskoczyliśmy Targową i weszliśmy w wąską, niepozorną, wybrukowaną kocimi łbami Skaryszewską. Byłem tu pierwszy raz. Minęliśmy kilka staruszek, które wyszły z kościoła pallotynów, nas z kolei – jakiś samochód, skrzypiąc rozpaczliwie resorami.

– Są... – mruknął Felek Więcek, wskazując brodą coś przed nami.

Nie dopytywałem, co, a raczej kogo ma na myśli. Tłum, który kłębił się przed ogrodzeniem szkoły, to nie byli podróżni z pobliskiego dworca ani wierni z kościoła. Obok siebie stali biedak w dziurawych butach i bogacz w eleganckim wełnianym garniturze, starzec o lasce i młoda dziewczyna, której szyi nie całowały jeszcze żadne usta.

Tutaj wszyscy byli równi. Zbliżała się dziesiąta rano, było więc prawdopodobne, że część z tych ludzi spędziła pod szkołą całą noc.

– Panie przodowniku, panie przodowniku... – jęczała jakaś jejmość, napierając obfitym biustem na płot.

Stojący zaledwie kilka metrów od niej pilnujący porządku granatowy policjant, którego charakteryzowała czerwona twarz i wyłupiaste oczy, zdawał się jednak nie słyszeć tych próśb. Może miał

kłopot ze słuchem, a może dużo bardziej interesowały go pierzaste, jesienne już chmury, które wiatr pędził na wschód.

– Panie przodowniku, pan podejdzie – nie ustępowała kobiecina; tym razem w jej dłoni coś się pojawiło, najpewniej pieniądze.

Ale i tym razem mundurowy się nie ruszył. Widać chciał jeszcze trochę podrażnić się z potrzebniczką. Wiedział bardzo dobrze, jak działa mechanizm Skaryszewskiej. Raz na jakiś czas trzeba było huknąć, postraszyć, gdy tłum nadto się znarowił.

Zatrzymaliśmy się po drugiej stronie ulicy i w milczeniu przypatrywaliśmy się sytuacji. Nieco w bok, bliżej dworca, stali inni ludzie i patrzyli w górę, machając rękami. Spojrzałem w tym samym kierunku. W jednym z okien budynku szkoły znajdowało się kilka postaci dających rękami znaki tak samo jak ci stojący na ulicy.

– Trzeba było być w harcerstwie i nauczyć się zawczasu języka Indian – zauważył mój towarzysz. – Ja nie byłem. A ty?

– Jakoś się nie złożyło – odburknąłem.

Chciałem zapytać, co mamy dalej robić, bo sprawa wyglądała naprawdę źle, ale wtedy Felek wypatrzył kogoś w tłumie. Podniósł rękę. Po chwili zaczął się zbliżać w naszym kierunku jakiś powłóczyący nogą nieletni obdartus. Coś powiedział, po czym minął nas bez słowa.

– Nic tu po nas. Jedziemy na Mostową – zaordynował półgłosem Więcek.

– Jesteś pewien?

– A co?

– Bo właśnie sobie przypomniałem, że Franek był kiedyś na robotach w Niemczech. Zresztą sam się na nie zgłosił...

– Opowiesz po drodze.

*

Gdzieś tam, tysiące kilometrów stąd, osadzony w Gran Sasso Benito Mussolini, przywódca faszystowskich Włoch, chodził nerwowym krokiem po celi, niepewny swojego losu. Jeszcze nie wiedział, że major Otto Skorzeny już szykuje swoich żołnierzy i od odzyskania wolności

dziela go godziny. Gdzieś indziej, w Oflagu VI B Dössel na zachodzie Niemiec, grupa polskich oficerów kończyła wielomiesięczne przygotowania do ucieczki z obozu kilkudziesięciometrowym podkopem. Takich planów nie miał raczej siedzący w areszcie w Smoleńsku feldfebel Johann Köhler, dezerner skazany na śmierć. On zastanawiał się, czy lepiej zginąć od kuli swoich, czy Rosjan, którzy już zbliżali się do miasta.

O tym wszystkim nie miałem oczywiście bladego pojęcia. Zresztą o tym, gdzie siedzi i co w tej chwili porabia mój przyjaciel Franek Bela też nie...

– Niech pan się tutaj zatrzyma. – Tym razem Felek wskazał na budynek Bramy Mostowej; może nie chciał męczyć rikszarza stromym wjazdem na Nowe Miasto, a może nie chciał zdradzić, dokąd się wybieramy.

Zeszliśmy z kanapy, Więcek zapłacił za kurs. Riksza odjechała, my zaś ruszyliśmy w stronę kamienicy z numerem dwunastym, w której mieszkał człowiek, który, wierzyłem w to głęboko, miał jeśli nie rozwiązać nasz problem, to zbliżyć nas do jego rozwiązania.

Eugeniusz Sosnowski, dla Niemców zaś inżynier Bergmann z fabryki Lilpopa, należącej do koncernu Reichswerke Hermann Göring, był starym znajomym moim i mojego ojca. To on pomógł nam spieniężyć sztabki złota, które swego czasu zdobyliśmy na złych ludziach, zresztą znów przy znacznym udziale Franka. Potem, gdy mieliśmy rikszę, rozprawadzałem dla Sosnowskiego po całej Warszawie obrazy olejne.

Otworzył nam drzwi, ledwo Więcek zapukał. Nie zdążyłem zauważyć, czy był to jakiś specjalny, umówiony sygnał.

– Szybko, wchodźcie – rzucił gospodarz.

Był w podomce, włosy miał w nieładzie. Kilka razy ziewnął. Prawdopodobnie dopiero co wstał.

– Czego się napijecie? – zapytał.

– Tego samego co szef – odparł bez zastanowienia Felek.

– Doskonały wybór! – ocenił Sosnowski.

Przeszliśmy do kuchni, minawszy istny labirynt stojących w przedpokoju pak, paczek, skrzynek i pudeł różnej wielkości.

Zapewne tym się właśnie w tej chwili zajmował Sosnowski, choć nie pora była pytać o konkrety.

Gospodarz spojrzał na mnie i zapytał:

– Co słyhać u taty? Wciąż na wakacjach?

– Zgadza się. Wyjechali jeszcze w czerwcu i siedzą.

– I dobrze! Wieś to jednak wieś. Pod warunkiem, że nie zagląda ją do niej zbyt często leśni. Ale skoro tata tam siedzi, to nie może być źle. Zawsze to świeże mleko dla synka, wiejski chlebek i kiełbaska...

Rozmarzony pan Genio zaczął się krzątać po kuchni. Z sypialni wyszła jakaś pani w koczku, ubrana w długi peniuar koloru wściekłej czerwieni. Bąknęliśmy z Felkiem jednocześnie „dzień dobry”, ale nie raczyła nam odpowiedzieć. Po chwili trzasnęły drzwi łazienki.

– Droczy się od wczoraj, ale przejdzie – tłumaczył ją Sosnowski. – Siadajcie.

Zajęliśmy miejsca przy stole. Gospodarz postawił czajnik na gazie, po czym odwrócił się do nas i zaczął mówić.

– Jak już wiecie, Franka nie ma na Skaryszewskiej i nigdy go nie było. Sprawdzaliśmy dokładnie. Ale warto jeszcze sprawdzić, skąd się w ogóle wzięło to przekłamanie. Wiedza ta z pewnością przyda nam się w przyszłości. Odezwałem się do znajomych z kilku organizacji. Oni również postarają się poszukać. Dzisiaj mam się dowiedzieć, czy był na Szucha i czy siedział w „tramwaju”. Mam jeszcze jeden kontakt i to będzie wasze zadanie. Za chwilę wszystko powiem.

Przerwał, ponieważ z dzióbka czajnika zaczęła się już wydobywać para. Wyłączył gaz i nalał wrzątek do stojących w rzędzie kubków. Pociągnąłem kilka razy nosem, usiłując rozpoznać, jakim to specjałem zaszczyci nas pan Genio. Ale nic nie wyniuchałem. Nie bez powodu – w kubkach była czysta, choć pozbawiona bakterii po zagotowaniu woda.

– Co to jest, szefie, jak pragnę zakwitnąć? – prychnął Felek, zajrzawszy do swego kubka.

– Chcieliście to samo co ja, a ja jestem na diecie. Od trzech dni piję tylko wodę. – Wzruszył ramionami Sosnowski.

*

W innej sytuacji pewnie śmialibyśmy się z tego, nie mogli się doczekać chwili, kiedy będzie można o tym opowiedzieć innym. Być na diecie w czwartym roku wojny okupacji? Dobrze! Mogliśmy sobie wyobrazić, jak zdanie, które wypowiedział pan Genio, zinterpretowałby taki Adolf Dymśa, który bawił Polaków do łez przed wojną. Swoją drogą, czasem coraz częściej dopadały mnie wątpliwości, czy w ogóle było jakieś „przed wojną”...

Kłopot w tym, że ani ja, ani Więcek nie wybieraliśmy się w najbliższym czasie do domów.

– Gadasz trochę po ichniemu? – Chciał wiedzieć mój nowy znajomy.

– Tyle o ile – odrzekłem. – Stać, podnieść ręce do góry, pokazać papiery i to wszystko zrobić szybko. A raczej szybciej.

– W takim razie ja będę gadał. Robiłem kiedyś u nich przy samochodach – zakończył temat obsady ról Felek Więcek.

Nie protestowałem. Szliśmy Krakowskim Przedmieściem.

– Miałeś opowiedzieć o jakichś robotach, na które Bela miał wyjechać z własnej woli – przypomniał sobie Więcek, gdy mijaliśmy kościół Wizytek.

– Tak było – potwierdziłem. – Mieszkał wtedy w barakach na Annopolu...

– Franek?! – Więcek aż przystanął.

No to opowiedziałem mu, jak chodziliśmy do jednej klasy w Batorym, a potem ojca Beli zredukowano i rodzina niemal z dnia na dzień popadła w biedę. Wojna, o której często mówiono, że równa wszystkich, nie była aż tak łaskawa dla tamtej rodziny. Z Woli, gdzie jeszcze jako tako bytowali, musieli się przenieść właśnie na okryty złą sławą Annopol.

– Pamiętam, jak pewnego dnia Franek powiedział: i tak nas wszystkich niedługo spalą. I miał rację, bo puszczono z dymem wszystkie baraki. On zdążył jednak wtedy wyjechać na roboty. Potem wrócił...

– Resztę już znam, bo poznaliśmy się u Sosnowskiego – mruknął

Więcek.

Minęliśmy niemiecki posterunek przy głównej bramie uniwersytetu i kilkadziesiąt metrów dalej zaczęliśmy schodzić w dół Bergstrasse, czyli Oboźną. Ujrzawszy kątem oka pomnik Kopernika przed Pałacem Staszica, zdążyłem jeszcze pomyśleć o tamtych trzech poetach, którym zachciało się demonstracji i składania kwiatów. Bela chciał tylko zarobić trochę pieniędzy, być może nawet pierwszy raz w życiu trzymałby w rękach taką kwotę. A skończyło się tak samo...

Wzdrygnąłem się. Przecież się nie skończyło! Musimy zrobić wszystko, aby wyciągnąć przyjaciela z za krat. Pytanie tylko, czy człowiek, na spotkanie z którym szliśmy, będzie potrafił nam pomóc...

– To tutaj. – Z zamyślenia wyrwał mnie głos mojego towarzysza.

Byliśmy już na Powiślu i staliśmy przed jakąś kamienicą, a dokładnie przed wejściem do szynku, o którego istnieniu informował brzydki i słabo widoczny szyld, wykonany z zardzewiałej tu i ówdzie blachy. Skrzyżowane widelec i nóż, pod nimi jakaś ryba. Bez nazwy.

– No to wchodzimy – sapnąłem.

Siedział w niszy, w najdalszym kącie knajpki, ale z wielu względów było to miejsce najlepsze z możliwych. Po pierwsze, stolika nie było widać, gdy przekraczało się próg szynku, po drugie, było stąd na tyle blisko do wychodka, aby nie zmęczyć się częstym chodzeniem za potrzebą, a jednocześnie na tyle daleko, że żadne niemiłe zapachy ani dźwięki nie zakłócały konsumpcji.

A konsumować to on lubił! Świadczył o tym najlepiej gęsto zastawiony stolik: niektóre talerzyki były brudne i używane, inne zaś pewnie dopiero co przyniesiono. Śledzik, lśniące grzybki, korniszony, przepołowiony przed chwilą ziemniak. Po prawej stronie stało to, bez czego posiłek byłby bez wątpienia niekompletny, czyli butelki i szklanki, tudzież kufel z grubo rżniętego szkła. I dymiący papieros, odłożony na brzeg porcelanowej popielnicy.

Na wszystko to zwróciłem uwagę wcześniej niż na siedzącego przy stoliku człowieka. Jego twarz ukryta była bowiem w starannie zaaranżowanym półmroku. Nie dotyczyło to srebrnych elementów munduru. Czekał na nas bowiem Niemiec.

– *Setzen* – rzucił niegłośno, by zaraz dodać: – Siadać.

Jako że żaden z nas się nie ruszył, ręka uniosła się nad stołem i wskazała nam dwa krzesła przy stoliku.

– Nie bać się – zaśmiał się gospodarz. – Ja nie gryzać. Ja jeść tylko polska *wurst*.

Poskutkowało. Zajęliśmy miejsca z Felkiem, który rzucił jeszcze nieśmiało:

– *Guten Tag*.

W tym samym momencie Niemiec pochylił się nad blatem, dzięki czemu jego twarz ukazała się w nikłym, bo nikłym, ale zawsze jakimś świetle. Oto mieliśmy przed sobą grubasa o lśniącej, czerwonej gębie i dwóch podbródkach. Kołnierzyk mundurowej bluzy miał rozpięty i nie wyobrażałem sobie, jak człowiek ten miałby go dopiąć, a kiedyś pewnie musiał, by wyglądać regulaminowo. Spoglądała na nas para oczek – małych, ale dobrotliwych. Takie przynajmniej było moje pierwsze wrażenie.

– Co pomóc? – Niemiec nie bawił się w ceregiele.

Felek sięgnął po coś do wewnętrznej kieszeni marynarki. W tym samym momencie bardzo blisko nas rozległ się dzwonek telefonu. Połączenie odebrano po dwóch sygnałach, ale nie słyszałem głosu. Po chwili w niszy, w której rządził Niemiec, pojawił się kelner z tacą. Na tacy nie było jednak żadnego kolejnego dania ani napitku, ale aparat telefoniczny z odłożoną słuchawką.

– Do pana, *Herr Pipke*. – Kelner przestawił go bardzo ostrożnie na stolik, a słuchawkę podał Niemcowi do ręki; zanim się oddalił, wyrównał jeszcze długi kabel, który łączył telefon ze ścianą.

– *Ja!* – rzucił do tubki rzeczony Pipke. – *Ich bin da...*

Chyba nie wypadało nam tu siedzieć i przysłuchiwać się prywatnej rozmowie, niechby i prowadzonej w języku niemieckim, ale prywatnej. Więcek podniósł się pierwszy. To samo zrobiłem i ja. Jednak widząc te nasze działania, Niemiec zaczął machać ręką, która nie trzymała słuchawki, nie przerywając rozmowy.

– *Setzen* – powtórzył po chwili, zakrywając słuchawkę wielką dłonią.

No to klapnęliśmy ponownie. Tymczasem gość szynku, a był to ze wszech miar gość zupełnie wyjątkowy, rozmawiał dalej. Piąte przez

dziesiąte rozumiałem, o co chodzi i z jaką sprawą zwraca się do niego człowiek po drugiej stronie telefonicznego przewodu. Co jakiś czas pojawiała się słówka natürlich. I Gänsestrasse, czyli ulica Gęsia, ta, przy której znajdowało się więzienie. Czułem, że sprawa jest bardzo poważna.

Ale czy my nie przyszedliśmy aby tutaj, do tej speluny, w podobnej? Pomyślawszy o tym, spojrzałem ostentacyjnie na zegarek. Więcek, widząc mój mało uprzejmy gest, zgromił mnie wzrokiem.

– *Bitte*. – Pipke odłożył wreszcie z trzaskiem słuchawkę.

Chwilę później niczym duch pojawił się kelner. Zabrał aparat, ale nim odszedł, raczył zauważyć także i nas. Swoją drogą, już mnie skręcało, była wszak pora obiadowa.

– Panowie życzą? – zapytał.

– Na razie dziękujemy – warknął Felek, a gdy kelner zniknął, ponownie sięgnął w zanadrze i podał Niemcowi jakąś zapisaną karteczkę: – Proszę. To są te numery...

Mundurowy odebrał świstek, założył na czubek nosa okulary w drucianej oprawie, których dotąd nie widziałem, przebiegł wzrokiem po zapisie. Następnie, mamrocząc coś pod nosem, sięgnął pod stół, skąd wy dobył gruby, zatłuszczony brulion. Zaczął go wertować z zadziwiającą wprawą, co raz popatrując na notatkę, którą dał mu mój towarzysz.

– Opel? – Podniósł na chwilę wzrok.

– Tak.

Znów miarowy szum papieru. Brzęk odstawianej szklanki, bo pan Pipke musiał sobie golnąć. Bulgot nalewanej z butelki wódki, w której to czynności wyręczył zajętego Niemca przytomny Felek. Z głębi lokalu dobiegły naszych uszu krzyki; ktoś się prawdopodobnie awanturował po pijanemu. Ale i to nie było w stanie przeszkodzić Niemcowi w pracy.

– *Wann?* – zapytał znów jak dokładny lekarz, który stara się postawić diagnozę.

– *Gestern*.

Z uwagą przyglądałem się twarzy Niemca. Przez środek jego czoła w stronę nasady nosa płynęła lekkim zygzakiem, zatrzymywana przez

poziome zmarszczki, kropelka potu. Nie dotarła jednak do celu, zmazana jednym szybkim ruchem.

W tej samej chwili oblicze mundurowego, dotąd chmurne, rozjaśniło się. Spojrzał na Felka, powiedział kilka słów. Więcek skinął głową, a po sekundzie w jego dłoni pojawił się średniej grubości plik młynarek. Widziałem go tylko przez krótką chwilę, tyle trwało bowiem przechwycenie pieniędzy przez Niemca.

– Idziemy! – rzucił mój towarzysz.

Nim się obejrzałem, byliśmy znów na jednej z uliczek Powiśla.

– Co to było? – parsknąłem, gdy wreszcie oprzytomniałem.

– Nie co, a kto – sprostował z powagą Felek. – To Wolfgang Pipke.

– A coś więcej?

– Ten człowiek wie wszystko, gdzie, po co, a przede wszystkim z kim jeżdżą wszystkie niemieckie samochody w tym mieście. Naprawdę wszystkie. A my mieliśmy to cholerne szczęście, że gówniarz, który widział, jak pakują do auta Belę, zapamiętał także markę i numery rejestracyjne. Dzięki temu wiemy, gdzie szukać.

– Strasznie mało... – jęknąłem.

– Ale lepsze niż nic. Franek Bela nie odezwał się dotąd z żadnego więzienia...

– To chyba nie takie proste odezwać się z więzienia – przerwałem mu.

– Ani nikt, a pytaliśmy już wiele osób, nie przekazał nam informacji o takim więźniu – dokończył z tym samym spokojem, z którym rozglądał się po ścianach fotoplastikonu.

– Może jest jeszcze za wcześnie.

– Może. Póki się nie okazuje, że już za późno. Tak czy siak Sosnowski zdecydował, że trzeba nam spróbować tej metody. Póki działa. Pan Pipke pewnie długo tak nie pociągnie. Wurst i wóda, wóda i *wurst*. Ale przecież nie będzie siedział o suchym pysku, a u siebie w biurze przyjmować nie może.

– Dobra. – Podniosłem w górę obie ręce, jakbym stał nie przed przyjacielem i Polakiem, a krajanem pana Pipke, w dodatku celującym w mój brzuch z bergmana. – Co robimy dalej?

– Na razie coś zjedzmy. Po tym, co widziałem przed chwilą, nie dam

radę dalej na sucho.

*

Potrzeba rychłego zapełnienia żołądka przegrała w moim przypadku z poczuciem obowiązku. Wróciłem do pracy w fotoplastikonie. Jak się okazało, w samą porę, gdyż od zamkniętych na głucho i bez żadnego wyjaśnienia drzwi odchodziło właśnie dwóch zawiedzionych klientów.

– Będzie czynne? – zapytał z nadzieją w głosie młodszy z nich, widząc klucze, które zadzwoniły w moich rękach.

– Oczywiście – odpowiedziałem. – Zapraszam.

– Naprawdę?

– Tak. I proszę wybaczyć, jeśli panowie czekali.

Wpuściłem ich przodem, sprzedałem bilety, uruchomiłem maszynę, a kiedy usiedli, usiadłem i ja. Próbowałem zebrać myśli, ale ssanie w żołądku okazało się zbyt duże. Zacząłem przeszukiwać wszystkie szafki na zapleczu w nadziei na znalezienie czegokolwiek do zjedzenia, choćby zapomnianego suchara, może jakiegoś kawałka czekolady. Kto wie, co mógł chomikować u siebie Czesio, a może i po poprzednim właścicielu coś zostało.

Niestety, prócz czerstwej, ale jeszcze chyba nadającej się do zjedzenia bułeczki, która zalegała w szufladzie biurka, nie trafiłem na nic, na czym nie połamałbym sobie zębów. Powoli i ostrożnie, w każdej chwili można się było przecie dowiedzieć, że człek ma jednak ten skorbut, zacząłem się wgryzać w jasnobrązową skórę. Gdybym znalazł młotek, pewnie bym się nim posłużył.

Musiałem jednak przerwać tę ucztę, trzasnęły bowiem drzwi. Szybko schowałem bułkę z powrotem do szuflady. Po chwili ujrzałem pana w okularach bardzo podobnych do tych, jakie nosił widziany przeze mnie kilkadziesiąt minut wcześniej Pipke.

– Jeden proszę – powiedział, kładąc na kontuarze banknot o wysokim nominale.

– Miłego odbioru. – Wydałem resztę.

Poszedł do błyskającej świecącymi rotundy, ja zaś przez chwilę przyglądałem się banknotowi. Nie to, że był fałszywy czy zniszczony. Po prostu zacząłem się zastanawiać, ile ludzi musiałoby przekroczyć próg tego miejsca, żeby można było zbierać kwotę, za którą Felek kupił informację od Pipkego. A przecież nie były to jedyne pieniądze, które trzeba będzie wydać.

Kiedyś zbierało się ziarnko do ziarnka, aby zapłacić czynsz za sklep i mieszkanie, wyżywić i ubrać siebie i, jeśli kto miał, rodzinę. Jak dobrze szło, to zaoszczędzić na letnie wakacje, a może nawet myśleć o powiększeniu sklepu. Dziś odkładałeś na polisę od morowego powietrza, głodu, ognia i gestapo. Jeśli w ogóle miałeś z czego...

Schowałem banknot do Czesiowej kasetki i otworzyłem szufladę z zamiarem dokończenia tej namiastki obiadu. Sięgnąłem do środka i chwyciłem bułeczkę, ale wyslizgnęła mi się z palców. Ponowiłem próbę, ale musiałem chyba zbyt mocno nacisnąć, rozległ się bowiem krótki trzask i ręka poleciała kilka centymetrów w dół wraz z denkiem szuflady.

– Cholera, rozwaliłem biurko – mruknąłem ze złością.

Wyciągnąłem bardziej szufladę i wsunąłem rękę pod spód, aby wypchnąć płytę, która się zapadła. Jednak ku mojemu zdziwieniu denko nawet nie drgnęło. Nacisnąłem mocniej, ale bez sukcesu. No to uderzyłem. I znów nic.

Co się dzieje?

Niepokój szybko ustępował miejsca zaciekawieniu. Co to za dziwna szuflada! Czyżby miała podwójne dno? Po tym, jak ojciec na początku okupacji zmodyfikował nasze mieszkanie, urządzając choćby zgrabny schowek na radio, mało mnie już w tym temacie dziwiło.

Że tak jest i że mam do czynienia ze skrytką, przekonałem się po chwili. Wystarczyło odpowiednio i, co ważne, spokojnie podważyć denko.

– Co ty tu ukryłeś, człowieku? – zapytałem na głos, choć przecie adresat tych słów był w tej chwili kilka kilometrów dalej i nie mógł usłyszeć pytania. – O cholera...

Tego też nie mógł, a szkoda. Bo co, do jasnej, ciężkiej i niespodziewanej, robił w szufladzie Czesia Bielawnego rewolwer?!

Nie powstrzymałem się, by nie wziąć go do ręki. Stał przyjemnie chłodziła skórę dłoni. Ostatni raz miałem w ręce broń bodajże podczas ćwiczeń strzeleckich na Kolonii Staszica...

– Proszę pana.

Drgnąłem. Podniosłem wzrok, aby spojrzeć na intruza, jednocześnie opuszczając rękę z rewolwerem.

W drzwiach Czesiowej kanciapy stał jeden z klientów, których wpuściłem zaraz po swoim powrocie do pracy. Nie byłem pewien, czy zdołał dostrzec, co trzymam w dłoni.

– Jakiś problem? – zapytałem, starając się, aby mój głos brzmiał naturalnie, bez najmniejszego śladu zdenerwowania.

– Coś się zacięło. Może pan zobaczyć?

– Oczywiście, już idę. – Podniosłem się z krzesła.

Co mnie podkusiło, by zamiast zostawić broń tam, gdzie ją znalazłem, a następnie spokojnie zamknąć szufladę – bo przecież był na to czas, klient wyszedł – wziąć gnata ze sobą. Wsunąłem go z tyłu za pasek od spodni, zamaskowałem marynarką. Nie miałem właściwie pojęcia, dlaczego tak zrobiłem.

Po chwili wyszedłem z kantorka. Wszyscy trzej panowie spoglądali na mnie wyczekująco.

– Co się stało? – zapytałem z lekkością (dureń!) i pewnością siebie człowieka, który w każdej chwili może rozwiązać problem (idiota i dureń!).

– Zacięło się. – Jeden z mężczyzn, ten, który przyszedł ostatni i być może widział, co znalazłem, wskazał na fotoplastikon.

Nie przyszło mi jeszcze naprawiać tej maszynerii. Nakładanie nowych klatek w towarzystwie pana Drzewuckiego to jednak było co innego. Nie miałem nawet pojęcia, jak się do tego zabrać.

Ale kiedyś przecież musiał być ten pierwszy raz. Pewne było, że muszę wejść do wnętrza rotundy i odnaleźć przyczynę awarii. Podszedłem do drzwiczek, które prowadziły do środka. W pierwszym odruchu chciałem zrzucić krępującą ruchy marynarkę.

– To głupstwo – uspokoiłem klientów, otwierając drzwiczki.

W tej samej chwili dobiegł nas warkot samochodowego silnika, pisk hamulców i opon. Jakieś auto zatrzymało się na ulicy, tuż obok

fotoplastikonu bądź w jego bezpośrednim sąsiedztwie. Kilka trzaśnieć drzwiami, zbyt gęstych, nerwowych, by można było o nich zapomnieć.

– Niemcy – jęknął któryś z klientów.

Nacisnąłem klamkę drzwiczek rotundy. W pierwszym odruchu chciałem zrobić to samo, co w chwili zagrożenia uczynił Lech Adamski – schować się we wnętrzu fotoplastikonu. Jednak zamiast to uczynić, zacząłem się zastanawiać, czy aby nie sypną mnie klienci. Przecież ich nie znałem. Albo czy zdążę przedostać się wystarczająco szybko przez bądź co bądź wąskie drzwi.

A potem, jak to ujął Felek Więcek, było już za późno. Wszyscy trzej klienci, jak na wzorowych obywateli GG przystało, jednocześnie podnieśli ręce do góry. Do fotoplastikonu wkroczył wysoki stopniem i wysoki w ogóle esesman w szarym mundurze, za nim zaś dwaj knechci ze schmeisserami. Pomyślałem wtedy, że przecież zwykle bywa odwrotnie i ten ważniejszy wchodzi, gdy grunt jest pewny i zbadany.

– Kto właściciel? – zapytał łamaną polszczyzną.

Uniosłem rękę jak na lekcji. Ruch ten sprawił, że przypomniałem sobie o obecności colta za paskiem spodni. Serce zamarło mi w piersiach, wiedziałem bowiem, że gdy znajdą przy mnie broń, nie będzie tłumaczenia i zabiją na miejscu. To zresztą było chyba i tak najlepsze, co mogłoby mnie spotkać...

Koniec. Bela zaczął sypać – taka a nie inna myśl narodziła się w mojej głowie.

Gestapowiec zmierzył mnie od stóp do głów. Nie było w tym spojrzeniu tak powszechnej pogardy, ale marna to była dla mnie pociecha. Mógł nas przecież wszystkich wystrzelać nawet ze łzami w oczach.

– *Wo ist das Badezimmer?* – zapytał.

Z tego wszystkiego zaczynały zawodzić mnie zmysły. Bo to przecież niemożliwe, żeby ten człowiek w mundurze zapytał, gdzie jest łazienka.

– Tam. – Jeden z klientów w moim zastępstwie wskazał ręką kierunek.

Nagle rozstąpili się knechci i do środka wszedł jakiś niepozorny

chłopina. Miał siniaki na twarzy, koszulę poplamioną krwią i ręce skute z przodu kajdankami. Prowadził go trzeci szeregowy esesman, celując ze swojego MP w jego plecy.

Za tą dwójką do fotoplastikonu wszedł jeszcze ktoś, mężczyzna w myśliwskim kapeluszu. Najważniejszy z mundurowych powtórzył ruch mojego klienta. W chwili, gdy więzień i eskortujący go esesman przechodzili obok, typ w kapeluszu podszedł do mnie.

– Przepraszamy pana za najście – rzekł mi do ucha nawet znośną polszczyzną. – Jestem tłumaczem. Właśnie zatrzymaliśmy wysokiego stopniem polskiego oficera, ale okazało się, że musimy skorzystać z pańskiej gościnności.

– Rozumiem.

– Oczywiście nikomu ani słowa.

– Tak jest – odpowiedziałem, mimowolnie stając na baczność.

Wy tłumaczywszy powód swej wizyty, tłumacz jakby nigdy nic zaczął się rozglądać po pomieszczeniu. Klienci wciąż mieli wysoko uniesione ręce, choć przecież nikt w nich nie celował. Jakoś nie chciało mi się wyprowadzać ich z błędu. Zastanawiałem się tylko, dlaczego gestapowcy najpierw sprali tamtego po pysku, a potem zatrzymali się i przychodzili po prośbie, aby mógł się wysikać. Może szkoda im było tapicerki w samochodzie?

Tymczasem dowódca usiadł na jednym z krzesełek, zdjął czapkę i zbliżył głowę do okularu.

Przełknąłem ślinę, bo przecież maszyna wciąż nie działała. Narazić się na gniew teraz, kiedy okazało się, że chcieli tylko skorzystać z naszego wychodka. Głupio.

– *Fertig!* – zameldował knecht, który eskortował aresztanta.

Gestapowiec powoli wstał z krzesła, włożył na głowę czapkę i, oszczędnie, ale jednak, zasalutował. Więzień został wyprowadzony i po chwili po niespodziewanych gościach nie było śladu.

– Pojechali, pojechali – powtarzał klient, odchodząc od okna, po czym wykonał gest, jakby ocierał łzy.

– Co to było? Co to, kurwa, było?! – powtarzał drugi.

– Chwała Bogu, chwała Maryi Dziewicy... – mamrotał trzeci, ten w okularach.

Po chwili z tego szczęścia rzucili się sobie w ramiona. A ten trzeci, bogoboyny, usiadł ciężko na krześle, ujął głowę w dłonie i zaczął się trząść; chyba płakał, choć mógł się też śmiać jak wariat.

– Pojechali – powtórzyłem jak echo.

Na sztywnych nogach ruszyłem do kantorka, by jak najszybciej ukryć rewolwer w poprzednim miejscu. Gdy wyjmowałem go z za pasa, omal nie wyslizgnął mi się ze spoconej dłoni.

Po paru chwilach ponownie wyszedłem do głównej sali, a wtedy okazało się, że jest pusta. Klienci zniknęli. Może obawiali się, że Niemcy zmienią zdanie i wrócą. Pięciu aresztowanych to wszak więcej niż jeden, nawet wysoki oficer. O, nie, nie było co kusić losu.

A co ja miałem zrobić? Zostać i czekać na następnych, zająć się naprawianiem mechanizmu, bo przecież fotoplastikon wciąż nie działał. A może sprawdzić, czy w wychodku wszystko gra po tym, jak skorzystał z niego aresztowany.

Postanowiłem, że nie zrobię niczego z tych rzeczy. Za dużo tego było jak na jeden dzień: najpierw wieść o aresztowaniu Beli, potem Skaryszewska, mieszkanie Sosnowskiego, knajpa, w której urzędował dyspozytor. Wreszcie wizyta gestapo. Nikt by mi przecież nie uwierzył, szczególnie w dwa ostatnie punkty programu...

– Dosyć tego – rzekłem sam do siebie i zdecydowanym ruchem sięgnąłem po klucze.

*

Poczucie obowiązku znów zwyciężyło. Człek chyba nigdy nie pozbedzie się z siebie smarkacza. Jako że nie miałem pojęcia, jak naprawić ustrojstwo, zadzwoniłem do domu. W oczekiwaniu na to, aż ktoś łaskawie podniesie na Jasnej, Jasnej Górze, słuchawkę, planowałem już, że w razie czego poproszę o pomoc poznanego niedawno Floriana Drzewuckiego. Znał się przecież na tym.

Odebrał jednak Czesio.

– Jak leci? – zapytał wesoło, gdy już wiedział, że to ja, a nie jego rodzice, którym życzliwy sąsiad znów doniósł, że ich syn cały czas

przebywa w Warszawie.

W pierwszej chwili miałem wielką ochotę go zwymyślać. Na odległość byłem do tego skłonny bardziej, niż gdybyśmy stali twarzą w twarz. Aż wstałem z krzesła. Opanowałem się w ostatniej chwili. Opowieść o dziwnej wizycie gestapo postanowiłem przełożyć na wieczór. Telefony nie lubiły takich historii. Za to w paru zdaniach nakreśliłem mu większy chyba jak na razie problem, który się pojawił. U nas. U niego. Choć właściwie to jednak u nas.

– Myślę, że znów się zacięło przy piątce – powiedział po chwili zastanowienia Czesio.

– Przyjedziesz tu czy mam sam grzebać? – wycedziłem przez zęby.

– Mogę wpaść około piątej po południu. O piątej pod piątkę, dobre, co?

Mogę wpaść? On może wpaść do swojego interesu. I jeszcze żarty się go trzymają – pomyślałem ze złością.

– Ale jak chcesz, to możesz spróbować sam naprawić – powiedział po chwili. – To naprawdę nic trudnego. Stanowisko numer pięć, odkręcasz...

– Kończę – przerwałem mu. – Muszę przegonić pielgrzymkę chętnych do oglądania kościołów Watykanu.

I nie czekając na jego reakcję, odłożyłem słuchawkę.

Nie kłamałem, rzeczywiście ktoś przyszedł. Miałem nadzieję, że limit pecha i szczęścia zarazem, bo tak chyba należało myśleć o wizycie gestapo, został już wyczerpany. I że będzie to zwyczajny klient, który chciałby pooglądać trochę inny świat niż ten, który ma na co dzień, za oknem. Niechby i tylko czarno-biały, ale z zadowolonymi, uśmiechniętymi ludźmi, nie zaś takimi, których trwoga do spółki z pogardą niemal przygniatają do ziemi.

– Jest tu kto? – usłyszałem najczystszą polszczyznę, zanim jeszcze zobaczyłem przybysza.

– Niestety, nieczynne – zdążyłem powiedzieć.

Ale tego, który przyszedł, to raczej nie dotyczyło. Był to bowiem pan Jacek, towarzysz Władka Michalskiego.

– A, to pan, kapitanie! – ucieszyłem się. – Dawno się nie widzieliśmy. Co dobrego?

– Obawiam się, że niewiele – odparł oficer.

– Coś się stało?

– Możemy gdzieś spokojnie porozmawiać?

Wywiesiłem na drzwiach tabliczkę, która – och, biedne finanse Czesia! – stawała się coraz bardziej użyteczna. Kłamstwa w tym jednak nie było żadnego, wszak mieliśmy awarię urządzenia i póki co fotoplastikon nie mógł normalnie funkcjonować. Następnie przekręciłem klucz w drzwiach, bo a nuż ktoś znów przyszedłby za potrzebą albo po to, by nas aresztować. Schowałem go głęboko do kieszeni, po czym wróciłem do siedzącego na jednym z krzeseł, ale odwróconego tyłem do rotundy Jacka.

– Co się stało? – powtórzyłem pytanie.

– Władek zniknął.

Ten dzień nigdy się nie skończy – pomyślałem z przerażeniem.

– Jak to zniknął?

– Nie ma go w naszej starej dziupli na Czerniakowie. Dzwoniłem nawet do jego rodzinnego domu, czego nie robiłem, odkąd przyjechaliśmy do Warszawy. Jednak tam również niczego się nie dowiedziałem.

– Pewnie myśleli, że to jakaś prowokacja – zdiagnozowałem ku własnemu zdziwieniu, by zaraz się zaoferować: – Może ja zadzwonię. Myślę, że mnie jeszcze pamiętają ze szkoły. – Wskazałem na pomieszczenie z telefonem.

Rzeczywiście byłem w stanie udać się tam w tej chwili, znaleźć numer do rodziców Władka i zatelefonować. Ale oficer zdecydowanie pokręcił głową.

– Nie. Przynajmniej nie teraz – uciął. – Czy pamięta pan, kiedy widział go po raz ostatni?

– Tak. Tutaj – odrzekłem bez chwili namysłu.

I opowiedziałem mu o wszystkim, co wydarzyło się w ciągu ostatnich dni: prośbie Lecha Adamskiego o pomoc w uwolnieniu brata, staraniach Franka, kolejnych spotkaniach w fotoplastikonie. Z każdym wypowiedzianym słowem rosła we mnie obawa, że wczorajsze aresztowanie Beli na Mokotowskiej ma coś wspólnego ze zniknięciem Władka. Choć wiele bym dał, aby się okazało, że ten po

prostu zapomniał się w jakimś burdelu albo wyjechał do lasu odpocząć od zgiełku miasta.

– Nie ma go na pewno u naszych w lesie – powiedział Jacek, gasząc we mnie ten płomyk nadziei.

Wtedy przypomniała mi się awantura na Senatorskiej. Jako że nie miałem jeszcze okazji wypytać o nią Władka, postanowiłem spróbować z Jackiem. Coraz bardziej ufałem temu człowiekowi, mimo że znaleźmy się raczej słabo.

On przez dłuższą chwilę patrzył na mnie, jakby się z kolei zastanawiał, czy może zaufać mnie.

– Zwinęliśmy wtedy ponad sto milionów złotych, czyli około miliona dolarów – powiedział cicho, jakby skromnie, a widząc moją rozdziawioną gębę, zasunął ze szczegółami: – Udało się dopiero za drugim razem, ale się udało. Wielka w tym zasługa Władka właśnie. Worki zabezpieczyliśmy i przewieźliśmy do pewnego ogródka, gdzie szybko urosły na nich kwiatki. Tak jak na kilku utłuczonych przy tej okazji szkopach. Potem jeszcze raz zmieniliśmy lokalizację. Wkrótce będzie można zacząć je wydawać. Między innymi na broń, ale też i inne ważne rzeczy. Tyle na razie mogę panu powiedzieć.

– Proszę mi mówić po imieniu, kapitanie.

– Dobrze, Antku. A ja jestem Jacek.

– Miło mi.

Nie przypieczętowaliśmy znajomości uściskiem rąk, nie mówiąc już o wypiciu brudzia. Na dłuższą chwilę zapadła cisza. Nikt się nie dobijał do drzwi, na ulicy nie hamował żaden samochód, nie mruczały lampy fotoplastikonu. Słyszeliśmy tylko własne oddechy.

– Opowiedziałem ci o tym wszystkim – podjął po chwili Jacek – nie tylko dlatego, żeby się pochwalić. To największa tajemnica, ale wiem, że działałeś kiedyś w konspiracji. Miałeś po prostu nosa, chłopie, że zapytałeś akurat o tę sprawę. Obawiam się bowiem, że ma ona coś wspólnego ze zniknięciem Władka.

– Nie rozumiem.

– Wtedy, na Senatorskiej, położył trupem kilku Niemców, strażników bankowych i żandarmów, a wiem, że zrobił to po raz pierwszy. Z tego powodu mógł się załamać. Rozmawialiśmy o tym.

Tłumaczyłem mu, że oni by się z nami nie cackali. Od razu pod mur. *Raus!* Na własne oczy widział przecież spacyfikowane wsie, które nas żywiły. Miałem nadzieję, że to wszystko rozumiał. Aż do wczoraj, kiedy nie zameldował się w punkcie zbornym. Mieliśmy akurat bardzo ważną odprawę. Dlatego wpadłem, żeby zapytać, czy czegoś nie wiesz. Ta historia z Frankiem Tuleją...

– Belą – sprostowałem.

– Tak, Belą, i tym człowiekiem, który chciał wykupić brata z Pawiaka, również nie wygląda mi za dobrze. Jeśli Władek wpadł razem z nim...

– Zacznie sypać? – wypaliłem.

– Wypluj te słowa.

– Przecież się załamał.

– To nie to samo! – Aż zerwał się z krzeselka i zrobił kilka kroków.

Nie było w jego chodzie nic z Napoleona, Juliusza Cezara ani żadnego innego wielkiego wodza, który planował posunięcia swych wojsk przed decydującą bitwą. Były za to nerwy, brak pewności siebie. Może nawet zwątpienie. Tak to widziałem. Zastanawiałem się, czy człowiek ten był przed wojną zawodowym oficerem, czy jest rezerwistą, którego wrześnieńowa awantura wyciągnęła zza biurka. Zakładałbym raczej to drugie.

Nagle się zatrzymał.

– Powiedz mi jeszcze raz wszystko o Franku Beli, a przede wszystkim o tym człowieku, który zwrócił się do was o pomoc – wyrzucił z siebie jednym tchem.

Poczułem się nieswojo. Ton, który przybrał Jacek, nie był zbyt uprzejmy. Może ktoś inny na moim miejscu by się postawił. Ja jednak nie miałem w sobie tyle siły i śmiałości, mimo że człowiek ten nie był ani moim przełożonym, ani nie trzymał w ręku broni.

I już otwierałem usta, by zaczął powtarzać to, co już dziś mówiłem, gdy odezwał się dzwonek telefonu.

– Muszę odebrać.

Kapitan przyzwalająco skinął głową.

Aparat dzwonił uparcie, jakby osoba po drugiej stronie wiedziała, że musi odczekać swoje. A ja udawałem obojętność, nie spieszyłem

się, choć w środku aż się we mnie gotowało. Telefon był wszak wybawieniem od krępującej sytuacji, trudnej rozmowy.

– Słucham – rzuciłem wreszcie do słuchawki, nie wiedzieć czemu szeptem.

Spodziewałem się, że usłyszę głos Czesia, który, oczywiście wcześniej zażartowawszy, zapyta, jak mi poszła naprawa, a może jeszcze się z nią zmagam i z czym mam problem.

Ale to nie był Bielawny.

– Antek? – zapytał męski głos, którego nie poznawałem.

– Tak, to ja. – Nie potrafiłem skłamać, a może po prostu miałem na to zbyt mało czasu. – Kto mówi?

– Felek. Felek Więcek. Nie poznajesz mnie?

Nie znaliśmy się jeszcze nawet jednej doby. Poza tym nie słyszałem nigdy jego głosu przez telefon, więc nie mogłem go poznać. Tak czy inaczej, dzwonił przyjaciel, nie wróg.

– Poznaję. Po prostu zawsze dmucham na zimne – odpowiedziałem, siadając nonszalancko na biurku, co zresztą zdarzyło mi się w tym miejscu pierwszy raz, po czym zapytałem specjalnie głośno: – Załatwiłeś coś?

Cisza. Czyżby przerwano połączenie? A może Felek się zastanawiał, jakiego szyfru użyć, by przekazać mi wiadomość, rozmowa wszak mogła być podsłuchiwana.

– Felek. Jesteś tam?

– Tak.

Trzeba było pociągnąć go za język.

– Kupiłeś to, co zamierzałeś? – zapytałem.

Znów cisza. Nie licząc szumów i trzasków. Cholera, co się dzieje...

– Felek?

– Jestem, jestem. – Człowiek ten naprawdę sprawiał wrażenie półprzytomnego.

– Kupiłeś to, co chciałeś? – zapytałem raz jeszcze.

– Tak, kupiłem. I dlatego do ciebie dzwonię. Potrzebuję twojej pomocy, bo sam nie dam rady tego zabrać...

Poczułem dreszczyk emocji, zupełnie taki sam jak dwa i pół roku temu, kiedy wyjmowałem meldunek ukryty w rynnie jednej

z kamienic przy Złotej.

– Rozumiem. Mam wziąć dorożkę czy riksza wystarczy? – drążyłem.

Ledwo wypowiedziałem te słowa, zdjął mnie strach, że skoro Felek mówi, że nie da sobie rady, to może mamy do odebrania już tylko zwłoki Franka. Dziwnie się przecież zachowywał, trudno się z nim rozmawiało.

– Przyjdź piechotą – odpowiedział. – Będę czekał za godzinę na rogu Nowego Świata i Ordynackiej.

– Będę.

Odłożyłem ostrożnie słuchawkę. Kapitan Jacek zbliżył się do kanciapy i spoglądał na mnie pytająco. Słyszał każde słowo rozmowy i najpewniej już nawet przełożył szyfr.

– Chyba coś mamy – rzekłem, by zaraz dodać: – Ale będę wiedział więcej dopiero za godzinę.

– Idę z tobą – zaordynował tonem nieznoszącym sprzeciwu.

*

Tym razem zamknąłem drzwi fotoplastikonu bez najmniejszych wyrzutów sumienia. Dzień wszak chylił się już ku końcowi, a maszyneria nadal nie działała. Nie sądziłem też, aby Czesio pofatygował się na miejsce spróbować naprawić lub chociażby przyjrzeć się awarii. Ranek mądrzejszy od wieczora, jak powiadają starzy ludzie. Nie wiedzieli jednak, że wieczór na pewno jest lepszy od świtu, by zrobić to, co zrobić zamierzaliśmy w sprawie Franka.

Jako że kapitanowi nie chciało się iść, zaraz po wyjściu gwizdnął na riksę. Usiedliśmy wygodnie na kanapie. Kiedyś to ja wiozłem „chłopaków” na akcję, tudzież przysłuchiwałem się rozmowie, w której swoje działania sumowali, oczywiście przy pomocy znanego tylko sobie kodu.

– Coś się chyba kroi w Alejach – rzucił konfidencjonalnie riksarz.

– Wieczorem? Co pan opowiadasz – prychnął z pogardą Jacek. – Co to Niemcy nie chcą popić piwa i jodłować we własnym gronie? Możesz pan sobie sprzedawać takie historie wieśniakom, co to ich z dworca

wziąłeś. Nie nam!

Rikszarz zbaraniał i nie odezwał się już ani słowem. No bo co można było powiedzieć na coś takiego? Byli tacy, którzy bez mrugnięcia okiem wyrzuciliby pasażera po takiej chamskiej tyradzie. Oczywiście nie od razu, trzeba się było najpierw rozpędzić, a potem gwałtownie zahamować. Naprawdę były takie przypadki, choć znałem je tylko z opowiadań, którymi raczyliśmy się na postoju.

Ten kręcący należał jednak najwyraźniej do grupy pokornych, dla których liczył się tylko pieniądz. Można było wymyślać, a i tak grzecznie dowieźli cię na miejsce.

– Zrozumiałeś? – Jacek odchylił głowę niczym wydający komendy dowódca kroczący na czele plutonu; nie dosyć mu było poniżania, zupakowi jednemu.

– Tak, proszę pana – odpowiedział natychmiast biedny rikszarz.

– No!

Myślałem, że spalę się ze wstydu. Miałem nadzieję, że ten chłopak z tyłu nie kojarzył mnie z dawnych lat ani nie znał mojego nazwiska. Na szczęście przecięliśmy już Aleje Jerozolimskie, w których rzeczywiście nic się nie działo, i wjechaliśmy w Bracką. Potem Chmielną dostaliśmy się na Nowy Świat.

– Dziękuję panu. – Oficer wcisnął rikszarzowi zapłatę, nie wiedziałem jednak, czy wraz z zadośćuczynieniem za obrobaczenie.

Kierowca przyjął pieniądze. Szybko oddaliłem się od rikszy, by nie zdążył mnie zapamiętać. Udałem, jak wiele razy wcześniej, że bardzo zainteresowała mnie witryna sklepowa. Po chwili riksza odjechała w stronę Świętokrzyskiej i, czego z całego serca życzyłem chłopakowi na siodełku, trochę miłszych klientów.

– Co? – zagadnął Jacek, widząc moją minę.

– Nic – odpowiedziałem.

– Gdzie ten twój kolega? – Spojrzał niecierpliwie na zegarek. – Pewnie zaraz powiesz, że nigdy się nie spóźniał.

Jego obcesowość zaczynała mnie coraz bardziej drażnić. Bałem się, że jeszcze chwila, a nie wytrzymam i powiem mu, co o nim sędzę.

Ale nic nie powiedziałem: ani do słuchu zupakowi, ani tłumacząc Felka. Ten bowiem wyszedł zaraz z za rogu ulicy. Szedł z rękami

w kieszeniach, zdawał się być bez reszty pochłonięty myślami. Taki gapcio był zawsze najlepszym kandydatem do zmiany adresu, bo albo w porę nie zauważy, że na ulicy wokół niego coś nie gra, albo wręcz wbije się nosem w półksiężyc żandarmskiej blachy. W efekcie czego, w najlepszym razie, dostanie kopa w zadek.

– Felek! – zawołałem na tyle cicho, by nie zwracać niepotrzebnie uwagi przechodniów, ale i na tyle głośno, aby mnie usłyszał.

Zatrzymał się, przez chwilę przypatrywał się nam, jakby usiłował sobie przypomnieć, skąd może mnie znać, bo zakładałem, że kapitana widzi po raz pierwszy. Z tego też powodu dokonałem rychłej prezentacji.

– Pan Więcek, współpracownik inżyniera Bergmanna. – Wskazałem na Felka.

– Jacek – ubiegł mnie oficer, pewnie abym broń Boże za dużo nie powiedział.

Spojrząwszy na Więcka, rzuciłem z powagą:

– Mów, co wiesz.

Ale on wciąż był tajemniczy.

– Musimy się dostać w jedno miejsce. Chodźmy.

Ani ja, ani Jacek nie ruszyliśmy się jednak z miejsca. Akurat tu byliśmy zgodni, co nie zmieniało faktu, że wciąż byłem zły na tego człowieka.

– Może już skończmy z tymi tajemnicami – warknąłem w odpowiedzi na zdziwioną minę Więcka. – Mów, co wiesz, albo rozchodzimy się w przeciwne strony. I każdy z nas działa na własny rachunek.

– Dobrze już, dobrze. Po co ten nerw? – zaśmiał się wymuszenie, po czym podszedł bliżej i ściszym głosem rzekł: – Tutaj niedaleko jest burdel tylko dla Niemców.

– U „białej Ukrainki”? – zgadywał Jacek.

– Nie, nie ten. Inny, nowy. Tamten już podobno nie wyrabia, więc ktoś, kto wyczuł koniunkturę, postanowił miesiąc temu otworzyć własny interes.

– Co dalej? – naciskałem, bo czemuś zamilkł.

– Ma tam być dzisiaj Niemiec, który coś wie. Tyle udało mi się

wyciągnąć. Tylko, a może aż. To się okaże, jak dojdziemy na miejsce. Nic więcej nie mam do powiedzenia. Chceta, to strzelajta. – Ruchem Rejtana, o którym pewnie nawet nie słyszał, rozchylił na piersiach niezbyt czystą koszulę.

– Nie rób pan scen – syknął Jacek.

I ja słyszałem to i owo o „białej Ukraince”, która prowadziła interes na Chmielnej w dawnej cukierni Gajewskiego. Bywało, że żołnierze Wehrmachtu, chcąc spędzić tam miło czas, stali przed drzwiami burdelu w długiej kolejce. Aby jednak wejść, musieli mieć specjalne kartki, które jejmość, a była to ponoć gruba baba bez klasy i ogłady, odbierała osobiście.

Był to chyba jedyny wypadek, kiedy Niemcy w Warszawie stali po coś w kolejce. Stali zarówno ci, którzy stacjonowali w mieście na stałe, jak i ci, którzy byli tu tylko przejazdem, w drodze na front albo z frontu. Czasami obandażowani i krwawiący, ale pal licho ręce i nogi – ważne, że to, co w spodniach, było na chodzie i domagało się swego.

Może pomiędzy chłopaków z Wehrmachtu, niekonieczne szczęśliwych z wojny, zaplątywał się jaki żandarm i esesman, który jeszcze kilka godzin wcześniej wydawał komendy bądź naciskał spust w Palmirach albo na jednej z warszawskich ulic, torturował więźniów na Szucha czy dorzynał warszawskie getto. Ukochana Gretchen czy Helga była przecież daleko, może nawet tysiąc kilometrów stąd, jeśli nieszczęśnik pochodził z Bawarii... A chłop to jest chłop i swoje potrzeby ma.

Bywało też, że potrzeby te doprowadzały do zguby. Nie, nie chodzi o choroby weneryczne, którymi można się było zarazić podczas wizyty. Do dzisiaj nie słabły echa akcji przeprowadzonej w maju. Do Baru Podlaskiego, który mieścił się na rogu Nowogrodzkiej i Kruczej i na pięterku którego mieścił się zamtuz *nur für Deutsche*, wrzucono kilka granatów. Chyba nikt ze znajdujących się tam wtedy szkopów nie spodziewał się takiego wytrysku.

– To tutaj – głos Felka przerwał moje dziwne rozmyślenia.

Staliśmy przed dwupiętrową kamienicą niedaleko skarpy, na granicy Śródmieścia i Powiśla. Robiło się coraz ciemniej, ale było jeszcze na tyle jasno, by stwierdzić, że nie ma tu żadnej kolejki

niemieckich żołnierzy. Jednak w chwili, gdy pomyślałem, że coś jest nie tak i Więcek pomylił może adres albo dał sobie wcisnąć fałszywy, drzwi się otworzyły i z budynku wyszło dwóch mundurowych. Rozmawiali ze sobą głośno, wyglądali na wstawionych.

– Od zakrystii musimy – zaordynował pewnie Więcek.

Weszliśmy na podwórko, następnie przez niskie drzwi do środka i skrzypiącymi, wąskimi schodami na pierwsze piętro. Nasz cicerone zapukał do drzwi.

– Kto tam? – zza pomalowanej na ciemnożółty kolor drewnianej płyty dobiegł głos, ciężko było jednak ocenić, czy należał on do mężczyzny, czy kobiety.

Wtedy Felek zaczął się dziwnie zachowywać. Zanurkował rękami w kieszeni, jakby czegoś szukał. Wykonywał szybkie, nieskoordynowane i w sumie zabawne ruchy. W końcu w palcach jego lewej dłoni pojawiła się niewielka karteczka.

– My do pani Pelagii Ciok – odczytał, po czym przysunął ucho do drzwi w nadziei uzyskania odpowiedzi.

Widząc to, kapitan Jacek wzniósł oczy ku niebu. Nawet ja wiedziałem, że Więcek złamał jedną z najważniejszych zasad konspiracji, mówiącą o tym, żeby niczego nie zapisywać (jeśli już, to zawczasu spalić), a starać się zapamiętać.

Wszyscy zastygliśmy w oczekiwaniu na reakcję osoby za drzwiami. Coś zachrobotało, stuknęło. Zauważyłem, że prawa ręka Jacka zanurkowała na chwilę pod marynarkę. Jeśli miał broń, to jechałem rikszą, a potem szedłem przez Śródmieście z tykającą bombą zegarową...

– Nie ma Pelagii. Jest tylko jej siostrzenica Magda – dobiegło przez uchylone na dwa, może trzy centymetry drzwi.

Chwilę później staliśmy w westybulu. Osobą, która właściwie odpowiedziała na hasło i wpuściła nas do środka, była pani w średnim wieku. Za to, że początkowo nie można było rozpoznać po głosie, czy to kobieta, czy mężczyzna, odpowiadała chrypka spowodowana zgubnym nałogiem palenia. Kolejne tego dnia juno malowniczo zatknięte było między palec wskazujący a środkowy.

– Po jednym? – zaproponowała, podsunąwszy nam pod nos otwartą

paczkę. – Niemieckie.

– Nie palę – odpowiedziałem.

I Jacek pokręcił głową, ale już Więcek się poczęstował. Nie zapalił jednak od razu, tylko wsunął za ucho; będzie na zaś.

– Chodźcie. Dużo roboty. Mam ważną rozmowę, ale chodźcie. Tak, tak... – mówiła w roztargnieniu.

Pani (Magda? Pelagia? Cholera ją wie...) miała na sobie długi szlafrok z fioletowego jedwabiu. Podreptaliśmy za nią gęsiego, bo za westybulem był dość wąski korytarzyk, może jakiś tajemny łącznik. Po paru chwilach znaleźliśmy się w gabinecie wypełnionym ciemnymi meblami: stała tam etażerka, biurczko, okrągły stół i kilka krzeseł. Na jednym z nich, ku swemu wielkiemu zaskoczeniu, dostrzegłem znajomą postać.

– Kulawczyk – przedstawił się naukowiec, który na nasz widok podniósł się sprężysto jak przed rektorem albo generałem.

Każdy z nas bąknął niewyraźnie swoje nazwisko, a może tylko imię, nie byłem tego pewien. Tylko Więcek podał swoje personalia włącznie z drugim imieniem, wyraźnie i tak głośno, że pewnie można to było usłyszeć i na zewnątrz. Nie, na pewno nie będzie z niego konspiratora. A jeśli już nim zostanie, to będzie to służba bardzo krótka.

Naukowiec mnie nie poznał, choć widzieliśmy się już kilka razy w przeciągu zaledwie paru miesięcy. Nie miałem zamiaru wyprowadzać go z błędu. Zastanawiałem się tylko, co tutaj robi. No bo chyba nie rozmawiał z *madame* o nowej niesamowitej broni, którą skonstruował i która miała odwrócić losy wojny...

– Proszę jeszcze o chwilę cierpliwości – powiedziała do nas kobieta, po czym podniosła słuchawkę telefonu; nie nakręciła jednak żadnego numeru.

Ręka Jacka znów wykonała dziwny, nerwowy ruch, a może tylko mi się zdawało. Staliśmy w milczeniu wokół okrągłego stołu niczym rycerze króla Artura w starej angielskiej legendzie.

– Rozumiem – rzuciła do tubki, po czym bezszelestnie odłożyła słuchawkę i spojrzała na nas. – Obserwowany jest już na miejscu. Czeka na was Krystyna. Od niej dowiedcie się więcej. I proszę zdjąć buty.

Gdyby ktoś mi o tym opowiedział, pewnie za nic bym nie uwierzył. A tak z każdą chwilą utwierdzałem się w przekonaniu, że znajdujemy się w doskonale zorganizowanej placówce konspiracyjnej.

Nie było jednak czasu na rozmyślanie. Zzuliśmy buty, jak nam kazano, następnie wyszliśmy z gabinetu. Felek miał po jednej dziurze w każdej skarpecie. Kilka metrów dalej, mniej więcej w połowie korytarza, czekała na nas młoda... zakonnica. Kiepsko się na tym znałem i nie potrafiłem powiedzieć, z jakiego była zgromadzenia. Miała na sobie czarny habit z białymi elementami, no i nosiła okulary w grubej rogowej oprawie.

– Serwus, chłopaki – rzuciła wesoło i równie niskim głosem jak *madame*, gdyśmy się zbliżyli.

– Niech będzie pochwalony... – wyjęczał Felek, wyraźnie przejęty.

– I tak dalej – dokończyła, otwierając szerzej drzwi, przy których stała. – Wskakujcie. Tylko cicho być, bo ściany cienkie. Ani słowa.

Ostatnie zdanie nie było potrzebne, bo i tak każdego z nas zatkało. Nawet kapitana, który z niejednego pieca chleb jadł, po lasach biegał, a wcześniej brawurowo zbiegł z oflagu.

Zamknęła za nami. Znajdowaliśmy się w kanciapie mniejszej niż kantorek Czesiowego lokalu, za to bez mebli. Na jednej ze ścian wisiała makatka. Siostra położyła palec na ustach, po czym ją zdjęła. Naszym oczom ukazała się para tulejek, bardzo podobna do okularów w fotoplastikonie. Stałem najbliżej, więc pochyliłem się i jako pierwszy zbliżyłem do nich oczy.

Ujrzałem pokój o ścianach obitych ciemnym, wzorzystym jedwabiem. Na środku stało łóżko. Leżała na nim młoda dziewczyna w samej halce, nad nią zaś stał niemiecki żołnierz. Był tylko w spodniach i białym podkoszulku. Blondyn na bok czesany, typowa kwadratowa szczęka. Poruszał ustami, jednak nie słyszałem, co mówi, dopóki kątem oka nie ujrzałem, jak Krystyna naciska coś na ścianie.

– To twój mąż, chłopak? – zapytał Niemiec łamaną polszczyzną.

– Nie, tylko znajomy – odpowiedziała dziewczyna. – Nie wrócił wczoraj do domu.

– *Und was?*

– Rodzice się martwią.

- Twei?
- Jego. Już mówiłam, że to tylko znajomy.
- *Und was?*
- I pomyślałam, że może coś pan wie, panie Hofmann...
- Może wiem, może nie wiem.

I zaczął rozpinać spodnie.

Coś kazało mi odsunąć głowę od wizjera. Spojrzałem na towarzyszy, którzy mogli się tylko domyślać, co dzieje się za ścianą. Pierwszy nie wytrzymał Felek Więcek. Odepchnął mnie bezceremonialnie i chciwie przypadł do okularu. Na szczęście pamiętał o przestrogach zakonnicy i milczał. Może jeszcze będą z niego ludzie, kto wie.

– Czy ona wie, że jest podglądana? – zapytałem szeptem Krystynę.

– A jakie to ma znaczenie? – Spojrzała na mnie znad szkieł okularów.

Nie umiałem odpowiedzieć. Zacisnąłem mocno zęby, aby nie krzyknąć. I dłonie w pięści, co nie było najlepszym pomysłem, bo mógłbym zacząć walić nimi w ścianę, a wtedy wszystko poszłoby na marne. Byłem już prawie pewien, do czego służy pokój, w którym się znajdowaliśmy.

*

– Mówisz, że coś nie jest białe? – wycedził przez zęby Jacek. – Ja ci dam białe. Ja ci dam białe, hitlersynie zajebany!

Jacek nie był może dobrym tłumaczem, w młodości na pewno nie czytał Goethego w oryginale, a i przez tych kilka lat okupacji nie nadrobił braków, choć wielu wystarczyło zwyczajne osłuchanie. Z drugiej jednak strony odróżnienie czasownika „wiedzieć” od przymiotnika „biały” rzeczywiście mogło być dość trudne. Szczególnie gdy mówiący miał już gębę pełną własnej krwi...

Tak czy inaczej, pan oficer nie potrafił po niemiecku, ale za to bił dobrze. Nawet bardzo dobrze. Miałem wrażenie, że pod ciosami jego pięści mięso odchodzi od kości, te zaś łamią się niczym zapałki!

Ale cofnijmy się o kilkadziesiąt minut...

*

Felek Więcek nie chciał się oderwać od okularu mimo próśb Jacka, który czuł się tu dowódcą. Na domiar złego coś zaczęło szwankować z fonią. Na początku dialog, który słyszeliśmy, rwał się. Potem nastąpiła cisza. Mogło być też tak, że nic nie słyszeliśmy, ponieważ dziewczyna i klient po drugiej stronie ściany po prostu przestali gadać i przystąpili do rzeczy. To by zresztą wyjaśniało, dlaczego Felek nie chciał się odzepić od otworu w ścianie.

Wtedy Jacek nie wytrzymał – gwałtownie odepchnął Felka, co jakimś sposobem znów odbyło się niemal bezszelestnie. Coś tam jeden z drugim tylko fuknęli pod nosem. Następnie oficer zbliżył oczy do otworów i... zaraz gwałtownie je cofnął, jakby zobaczył ducha albo wycelowaną w swoje czoło lufę pistoletu.

– Zabiję go – wysyczał.

Wyprostował się i runął ku drzwiom. Dopiero w korytarzyku dopadła go siostra Krystyna, która, jak się okazało, dysponowała niezłą krzepą.

– Co pan wyprawia? – Szarpnęła go za ramię. – Naraża pan nas wszystkich na niebezpieczeństwo, panie...

– Kapitanie – dokończył z godnością Jacek, po czym strzepnął z siebie parę rąk w czarnych rękawach. – Już wychodzimy, proszę się nie obawiać.

Samozwaniec skinął na mnie i na Felka, następnie ruszył w stronę wyjścia. Zignorował *madame*, która stanęła mu na drodze.

Dwie minuty później wszyscy trzej znaleźliśmy się z powrotem na podwórku kamienicy na skarpie. Było już ciemno, wiatr niósł wyraźny zapach rzeki. Oficer wyszedł szybko na ulicę, ale po kilkunastu krokach się zatrzymał. Wciąż przypatrywaliśmy mu się z Więkiem w milczeniu.

– Ten Niemiec miał coś wiedzieć o Beli? – zapytał Felka.

– Wygląda na to, że tak. A dziewczyna miała za zadanie to z niego wyciągnąć.

Jacek splunął na ziemię.

– Do dupy z takimi metodami! – sarknął. – Zwrócę się do najwyższego dowództwa, aby rozgonili to coś na cztery wiatry.

– Ale czyjego najwyższego dowództwa? Armii Krajowej czy Wehrmachtu? – zapytałem prowokacyjnie, na co Felek aż zachichotał.

Oficer zgromił mnie wzrokiem. Panował mrok, więc bardziej to poczułem, niż zobaczyłem. Następnie odwrócił się i niczym urażony odmową absztyfikant znów zrobił kilka kroków w stronę pałacu Ostrogskich przy Tamce. Przeklinałem chwilę, w której wszedł dzisiaj do fotoplastikonu. Kilka sekund później znów zatrzymał się gwałtownie, odwrócił i natarł na mnie i Więcka.

– Nie zostawię tego tak – warknął, kiedy nas mijał.

Jak powiedział, tak zrobił. Mogliśmy sobie pójść, bo mówił przecież tylko o sobie. Ale jednak nadal za nim szliśmy, mimo że zbliżała się już godzina policyjna, a do tego każdy domyśliłby się, jakie zamiary ma Jacek.

Zaczailiśmy się w bramie kamienicy sąsiadującej z burdelem. Nie czekaliśmy długo. Niemiec wyszedł z bramy i rozkołysanym krokiem zmierzał w stronę Nowego Świata. Wtedy upewniłem się, że Jacek nie bez powodu sięgał wcześniej pod pazuchę. W jego dłoni pojawił się rewolwer.

Kilka chwil później lufa chłodziła potylicę żołnierza.

– *Hände hoch!* – rzucił ochryple konspirator.

To były najbardziej uprzejme słowa, jakie Niemiec miał usłyszeć.

*

– On mówi, że nie wie, a nie że coś jest białe – usiłował wyjaśnić nieporozumienie Więcek, który, jak wcześniej deklarował, trochę szprechał.

– Co? – Jacek spojrzał nieprzytomnym wzrokiem najpierw na niego, a potem na mnie, stojącego nieco dalej na czatach.

Niemiec leżał na ziemi, rzeził i pluł krwią. Kapitan złał go bowiem przede wszystkim po pysku, choć nie zapomniał też o żołądku i nerkach, może jajach. Naprawdę znał się na rzeczy i nie chciałbym

go spotkać w ciemnej uliczce albo nocą na leśnej przecince. W półmroku lyskały białka przerażonych oczu hitlerowca, obok leżała czapka. Wyjętą z kabury tamtego parabelkę Jacek wetknął sobie za pas już dawno.

A ja wciąż zachodziłem w głowę, dlaczego w naszych poszukiwaniach zaginionych towarzyszy trafiamy na poślednich, jakby nie patrzeć, ludzi z gapą na mundurze czy czapce. Taki Wolfgang Pipke wiedział, gdzie, po co, a przede wszystkim z kim jeżdżą wszystkie niemieckie samochody w tym mieście. Ale czy potrafił ocalić któregokolwiek z jadących nim więźniów? Kupiliśmy cenną informację, fakt, ale do szczęśliwego końca wciąż było daleko!

Czy Eugeniusz Sosnowski, bo to przecież on kierował naszymi działaniami, wiedział, co robi? Człowiek, który leżał u naszych stóp, też nie był przecież gubernatorem dystryktu warszawskiego Ludwigiem Fischerem.

Kolejne słowa potwierdziły moje domysły.

– Mówi, że jest tylko zwykłym dyspozytorem. Że nikomu nie zrobił krzywdy – tłumaczył dalej Felek, pochylając się nad leżącym niczym sędzia liczący znokautowanego pięściarza.

– To powiedz mu – podjął Jacek – że gdyby nie był zwykłym dyspozytorem, już dawno miałby głowę cięższą o ładny kawałek ołowiu. Należy się. Choćby za to, jak potraktował tę dziewczynę...

– A co jej zrobił? – chciał wiedzieć tłumacz.

– Nieważne. Teraz niech gada, gdzie jest Władek Michalski.

– I Franek Bela – dorzuciłem przytomnie.

– *Wo sind Michalski und Bela?* – przetłumaczył na niemiecki Felek, a ja pomyślałem, że być może jest to pierwszy taki przypadek w okupowanej Warszawie.

Wtedy z drugiej strony niczym messerschmitt podczas pamiętnego września nadleciała w moim kierunku kolejna trwożna myśl: a nuż Bela i Władek wykonywali, a właściwie wciąż wykonują tajną misję? I nikt ich nie aresztował. Ale zrobi to niebawem, bo oto już drugi Niemiec słyszy ich nazwiska!

– *Wo sind Bela und Michalski?* – powtórzył Więcek, tym razem z jakiegoś powodu zmieniawszy kolejność.

Pytanie wraz z tłumaczeniem nasz kapitan wzmocnił jeszcze jednym argumentem, mianowicie kopniakiem w żebra. Niemiec jęknął, wciąż coś mamrotał pod nosem, może klął, a może wzywał wszystkich świętych i matkę rodzoną. Felek nie bez obrzydzenia, leżący mógł go przecież w każdej chwili obryzgać juchą i smarkami, pochylił się nad nim jeszcze niżej.

– Was?

– Co powiedział? – niecierpliwił się Jacek.

Felek Więcek powoli się wyprostował.

– Nie wiem, czy dobrze zrozumiałem...

W tej samej chwili dostrzegłem dwóch zbliżających się umundurowanych Niemców. Nie byli to jednak przyszli lub byli goście burdelu, ale patrolujący miasto żandarmi. Było źle. Wiedziałem, że zdradzi nas byle odgłos, jęk więźnia. Należało się również liczyć z możliwością, że nadgorliwcy sami z siebie zajrzą do bramy, nawet po to, żeby się odlać. Niemiec mógł lać, gdzie mu się żywnie podobało.

W kilku susach przypadłem do leżącego i położyłem mu dłoń na krwawiących ustach. Nie czułem nic, ani wilgoci na skórze, ani skurczów żołądka. Połaskotał mnie tylko odrastający już zarost tego człowieka. Docisnąłem mocniej. Serce biło mi jak oszalałe, wiedziałem przecież, czym pachnie wieczorne spotkanie z żandarmami.

– Idą – syknąłem.

Dwie pary rąk w mgnieniu oka pochwyciły dyspozytora i uniosły go w górę. Podczas gdy ja cały czas uniemożliwiałem mu wydobycie z siebie jakiegokolwiek dźwięku, Jacek i Felek targali przyciężkie cielsko w stronę drzwi najbliższej klatki schodowej. Z boku mogło to wyglądać komicznie, ale, wierzcie mi, nie było nam do śmiechu. Skończyłoby się, w najlepszym razie, strzelaniną. Byliśmy wszak w posiadaniu dwóch luf.

– Co mówisz? – Więcek znów pochylił się nad Niemcem. – Powtórz! *Noch einmal.*

– Ciszej! – rzucił przez ramię Jacek stojący przy futrynie z rewolwerem przy policzku i obserwujący podwórko, by po kilku dłuższych chwilach rzucić dużo jaśniejszym głosem: – Dobra, chyba

sobie poszli.

– Wiem, gdzie jest Bela – rzekł głucho współpracownik Sosnowskiego, prostując się znad Niemca leżącego tym razem na podłodze. – Teraz musimy się zastanowić, co zrobić z nim.

Człowiek w mundurze nie dawał oznak życia. Czyżbyśmy przesadzili...

Bela by wiedział, co robić – pomyślałem wtedy.

*

Sturlaliśmy go ze skarpy wiślanej. Czy trupa, tego żaden z nas nie był pewien. Jacek twierdził, że nie, że szkop żyje. Felek przeciwnie. A do tego biadolił, bo w ferworze działań zgubił papierosa, którym poczęstowała go *madame*.

Mogłem rozsądzić spór, ale się nie podjąłem. Może dlatego, że myśli miałem już zajęte czymś innym. Pewne było jedno: że nie możemy go zostawić na podwórku kamienicy, bo zgubilibyśmy w ten sposób wszystkich jej mieszkańców.

– Za tę dziewczynę! – Jacek splunął w ciemność, gdzie zniknęło ciało-nieciało.

– A co on jej właściwie zrobił? – dopytywał Felek.

– Nie chcesz wiedzieć – uciął kapitan.

Wszyscy za to wiedzieliśmy, gdzie najprawdopodobniej znajduje się w tej chwili Franek Bela, a być może także Władek Michalski. Nieoceniony dyspozytor wyznał, a Więcek skwapliwie przetłumaczył, że ten pierwszy wpadł w ręce granatowej policji, a potem został przewieziony do aresztu na Daniłowiczowską.

– Wreszcie jakiś konkret – podsumował Jacek, kiedy szybkim krokiem, aby zdążyć przed godziną policyjną, wracaliśmy do domu. – Skąd w ogóle pomysł, żeby szukać Beli w taki dziwny sposób?

Nikt mu nie odpowiedział.

– Do ciebie mówię, żołnierzu. – Stuknął łokciem idącego po lewej Felka, ten jednak nie dał się zbić z pantałyku.

– Nie jestem żołnierzem – odparł hardo. – Ani tym bardziej pańskim

podwładnym. Ale odpowiedzieć mogę, bo gramy w tej samej drużynie.

Kapitan wydał z siebie odgłos dzika.

– Otóż sposób ten już nieraz był wykorzystywany i przynosił efekty – rzekł ze swadą Więcek. – Eugeniusz Sosnowski po prostu handluje z tymi Niemcami, stąd jego wszystkie kontakty. Ktoś mógłby pomyśleć, że najważniejszy w wojsku jest wywiad albo dowództwo. A ja śmiem twierdzić, że intendentura. Bo żołnierz gównem działa, kiedy będzie głodny albo gdy będzie musiał maszerować w dziurawych butach. Możecie nie wierzyć, ale były takie przypadki, gdy człowieka udało się wykupić za worek cebuli.

– Za worek cebuli? – zdziwił się kapitan.

– A owszem. Worek przyjeżdżał na miejsce, strażnik wyznaczał konkretnego więźnia, który miał pomóc w rozładunku. Worek zostawał, więzień odjeżdżał. To wszystko.

– Nie wierzę.

– Pańska sprawa.

Tymczasem dotarliśmy na skrzyżowanie Alej Jerozolimskich i Nowego Świata. Tam się rozeszliśmy w trzy różne strony.

Dopiero gdy przekraczałem próg mieszkania, uzmysłowiłem sobie, że przecież nie umówiliśmy się co do dalszych działań. Daniłowiczowska, gdzie przed wojną sadzano ludzi zaraz po ich zatrzymaniu, to nie był Pawiak ani Gęsiówka. Tak mi się przynajmniej wydawało. Ale zawsze było to więzienie, a nie sanatorium.

*

Następnego dnia wstałem z gotowym, ułożonym w głowie planem. Czułem, że nabieram wiatru w żagle. Tak, takie porównanie z pewnością spodobałoby się kapitanowi Klubie. Jednocześnie czułem niepokój, ale nie było to dojmujące uczucie.

– Naprawiłeś? – zapytał Czesio po tym, jak sobie ziewnął.

– Nie – odpowiedziałem, byłem bowiem przygotowany na takie pytanie i skoro nie padło ono wczoraj wieczorem, bo goście już spali, musiało paść dzisiaj. – Sam się musisz tym zająć. Ja dzisiaj nie idę do

fotoplastikonu.

Nie zaprotestował, tylko z zakłopotaniem podrapał się po rozczochranym łbie.

– W takim razie będę musiał iść – mruknął.

– I na pewno dobrze ci to zrobi. Ja też zaraz wychodzę.

Kwadrans później szedłem już ulicą. Chłodny jesienny wiatr pracowicie zamiatał liście na trotuarze, słońce skryło się za grubą warstwą chmur. Tego też dnia na liście moich okupacyjnych marszrut pojawił się nowy adres. Był to komisariat granatowej policji. Miałem tam zamiar odszukać przodownika Jarosława Lenca i bez owijania w bawełnę poprosić go o pomoc w uwolnieniu naszego wspólnego kolegi.

Kiedy jednak stanąłem przed komisariatem, w którym pracował Jarosław, nie byłem już taki pewny swego. Na domiar złego w tej samej chwili przy chodniku zatrzymał się samochód. Otworzyły się drzwiczki i dwóch mundurowych wyprowadziło skutego kajdankami mężczyznę. W drzwiach minęli się z dwoma następnymi, którzy najpewniej dopiero wybierali się do miasta. Na polowanie.

Ja tylko zapytam o przodownika Lenca. Przecież mnie za to nie zamkną – przekonywałem sam siebie i tak, żeby nikt nie słyszał.

Niewiele to jednak pomogło, a nogi nie chciały przestać się trząść.

– Pan wchodzi? – usłyszałem nagle nad sobą tubalny głos.

Odwrociłem się gwałtownie. Stał przy mnie policjant z sumiastym wąsem. Był naprawdę ogromny i takich jak ja mógł zbierać jak marchew z pola.

– Wchodzę – odrzekłem głucho.

– W takim razie zapraszam. – Minął mnie i otworzył drzwi.

Wszedłem do środka. Szybko znalazłem kontuar, za którym siedział funkcjonariusz przyjmujący interesantów. Tych, którzy przyszli tu sami i z własnej woli. Czyli kogoś takiego jak ja.

– Dzień dobry – grzecznie się przywitałem.

– Słucham pana. – Policjanta najwyraźniej nie trzeba było przekonywać co do jakości dnia, jednego aresztowanego wszak właśnie przywieziono, więc od razu przystąpił do rzeczy, mimo że nie uważał za konieczne spojrzeć na mnie.

- Ja do przodownika Lenca.
- Kogo? – Tym razem go zainteresowało, bo podniósł na mnie zmęczone po całej nocy służby oczy.
- Jarosława Lenca – powtórzyłem wyraźniej i głośniej. – Pracuje tu.
- Raczej pracował.
- Coś mnie uszczypało w oczy. A może to ja się jeszcze nie obudziłem?
- Nie rozumiem – zapytałem drewnianym głosem. – Co się stało?
- A nic się nie stało. Po prostu go przenieśli służbowo.
- Przenieśli?
- Będzie z tydzień, jak wyjechał.
- Dokąd?
- Do Piotrkowa, to akurat żadna tajemnica. Na zastępcę komendy miejskiej awansował. Czy w czymś jeszcze mogę panu szanownemu pomóc?

*

Nie, mimo że stał tak blisko, nie kłuł w oczy tych, którzy wychodzili z gmachu Teatru Wielkiego po skończonym spektaklu. I dobrze. Po co sobie psuć nastrój. Jeszcze bliżej – choć również nie byli narażeni na jego oglądanie – mieli do niego wszyscy ci, którzy odwiedzali warszawski ratusz. Kto wie, może nawet się zdarzyło, że ten czy ów, choćby nieuczciwy urzędnik-łapówkarz, został wyprowadzony w kajdankach ze swojego gabinetu, ale nie musiał zimą wkładać palta, aby dotrzeć tam, gdzie jego miejsce. Czyli do aresztu. Mieszczącego się po sąsiedzku przy Daniłowiczowskiej pod siódmym i nazywanego „Centralniakiem”.

Daniłowiczowska była to wąska i niezbyt długa uliczka na tyłach warszawskiego ratusza. Jej nazwa zaś od lat niezmiennie budziła respekt, a może i grozę. Nie tylko wśród tych, którzy mieli coś na sumieniu. Każdemu przecież, nawet najuczciwszemu człowiekowi, mogła się przecież powinąć noga. Mógł przejść nieprawidłowo przez jezdnię – i już! Gwizdek, reprimenda, grzywna, a gdy będzie się

stawiać – za kołnierz i na Daniłowiczowską! Tak było przed wojną. Teraz w więzieniu wciąż siedzieli Polacy, ale rządzą już Niemcy.

Kiedy na rogu Bielańskiej wysiadałem z „siódemki” jadącej na Bielany, ujrzałem żandarmską budę zmierzającą najpewniej w tamtym kierunku. Opuszczona plandeka furkotała na wietrze jakby na trwożę; nie sposób było jednak ocenić, czy są pod nią jacyś pasażerowie.

Gdyby kilkadziesiąt minut wcześniej, zaraz po przebudzeniu, ktoś mi powiedział, że sprawy przyjmą taki obrót, pewnie przewróciłbym się na bok i nakrył głowę kołdrą. Nie było przodownika Lenca, a więc nie było sposobu, by pchnąć sprawę do przodu. Teraz, trzymając się terminologii bliskiej kapitanowi Klubie, byłem na pełnym morzu. I nie mogłem zawrócić.

Ukloniłem się odruchowo jakiejś idącej z przeciwka pani. Baczenie mi się przyglądała, więc pomyślałem, że może się znamy. Nic nie odpowiedziała. Nie zwolniła, ale też nie odrywała ode mnie wzroku. Może niczym mityczna Mojra chciała mnie przestrzec, bym nie szedł dalej.

Ale ja parłem przed siebie nieparzystą stroną uliczki. Minąłem po lewej gmazysko Banku Polskiego, widziałem już fronton „Domu pod Królami”. Po chwili po prawej, niczym zacumowany przy nabrzeżu galeon, wyłonił się wysoki aż na sześć pięter gmach więzienia przy Daniłowiczowskiej.

Znów ktoś zbliżał się z naprzeciwka. I znów patrzył na mnie, jakby chciał mnie przestrzec przed dalszą drogą, choć równie dobrze mogłem być brudny na twarzy. Tym razem się nie ukloniłem. Już się mijaliśmy, gdy zapytał półgłosem:

– Na Daniłowiczowską?

Co z tego, że od niemalże minuty szedłem już tą nieszczęsną ulicą, byłem więc, do ciężkiej cholery, na Daniłowiczowskiej! Może miałem to po prostu w oczach, a może zdradzał mnie mój chód. Tak czy inaczej człowiek ten wiedział, że nie znalazłem się tutaj przypadkiem. Że nie idę do fabryki mydła czy którejś z ratuszowych oficyn. Nie przechadzam się bez celu ani nie skręciłem w uliczkę omyłkowo. Co tu ukrywać – Daniłowiczowska znaczyła po prostu nieszczęście.

– Słucham? – Postanowiłem być ostrożny.

Przystanął. Ja też. Dzielił nas dystans może trzech kroków. Za dużo, aby spokojnie rozmawiać. Tym bardziej na taki temat. Dlatego każdy z nas zrobił krok do przodu. W dodatku udało się to uczynić jednocześnie.

– Czy na Daniłowiczowską pan szanowny idzie? – powtórzył pytanie, okraszone porcją specyficznej uprzejmości rodem z praskiego brzegu, która to uprzejmość bardzo pasowała do powierzchowności mówiącego: pogniecionych i przykrótkich portek, lichej i kusej marynarki, nieświeżej koszuli z przetartym kołnierzykiem i podartej czapki z zatłuszczonym daszkiem. No a przede wszystkim niegolonej gęby i nieco krzywego nosa.

– Tak – odrzekłem.

Dla niego to było potwierdzenie domysłów, przecucia, które rzadko go myliło, dla mnie zaś coś jak przyznanie się do winy, choć przecież nadal byłem po tej stronie muru.

– Gryps chce pan przekazać? – drążył nieznajomy.

Wiedziałem, co to gryps. Z taką samą propozycją zwrócił się do mnie jeden taki, kiedy przed pięcioma laty, niepewny losu aresztowanego ojca, kręciłem się w pobliżu zakładu na Pawiej.

– Najpierw chciałbym się dowiedzieć, czy w ogóle jest komu. – Zacząłem grać w otwarte karty, bo nie wiedzieć czemu człowiek ten wzbudzał moje zaufanie.

– Nie stójmy na widoku.

Weszliśmy do bramy najbliższej kamienicy.

– Kto? – zapytał

– Kolega – odrzekłem, by zaraz się poprawić: – Przyjaciel.

– Nie wrócił do domu?

– Zgadza się. Nie ma go od dwóch dni. Ktoś powiedział, że być może trafił tutaj.

– Rozumiem. Choć wielu mądrych ludzi twierdzi, że lepiej zaczynać szukać tam, gdzie jest najgorzej. Czyli na Pawiaku. Wtedy nerwy będą trwały krócej, jakkolwiek byłby efekt takiej wycieczki. Rozumiesz pan?

Przerwaliśmy, bo ktoś akurat wychodził z kamienicy. Mężczyzna wydobył z bocznej kieszeni marynarki mocno sfatygowaną paczkę

papierosów. Poczęstował mnie, a gdy odmówiłem, wyjął jednego i umieścił sobie zawadiacko w kąciku ust. W chwili, gdy zapalał, minęła nas jakaś starsza pani. Facet splunął za nią drobiną tytoniu.

– Jak godność przyjaciela? – zapytał.

I tu znów znalazłem się na niewidocznym rozdrożu. Powiedzieć mu czy nie powiedzieć? Nie znałem przecież tego człowieka, wszystko mogło się okazać blagą, a wtedy wkopałbym i Franka, i siebie. Bardziej siebie, bo przecież, jak mówię, wciąż znajdowałem się po tej stronie...

– Proszę się nie bać – rzekł, widząc moje wahanie. – Skoczek moje nazwisko. Zygmunowska dwa mieszkania osiem. Może pan zapytać. Mam tu po prostu znajomego strażnika. Wielu ludziom już pomógł.

– A proszę mi powiedzieć, panie Skoczek, ile to będzie kosztowało? – zapytałem przytomnie, jednocześnie oddalając od siebie decyzję.

– To, czy tam w ogóle jest ten pana znajomy?

– Tak.

– A nic.

– Nic?

– Nic. Biorę tylko za grypsy. Alojzy Skoczek jest solidna firma, nie będę wysyłał pana na mokradła i sam też się tam nie wybieram...

Znów musieliśmy przerwać pertraktacje, ponieważ ktoś szedł. Tym razem do kamienicy zmierzał jakiś przegięty w krzyżu staruszek. Nawet nie zwrócił na nas uwagi, może nie potrafił się wyprostować, a może brama była miejscem częstych rozmów i targów. Podreptał na podwórko jak jakiś przerośnięty kaczor, po czym znów zrobiło się cicho.

– Wchodzę w to. – Wyciągnąłem do niego rękę, którą pan Skoczek z Zygmunowskiej zaraz uścisnął, by rzec:

– W takim razie słucham.

– To znaczy?

– No, nazwiska kolegi.

– Władysław Michalski.

– Łatwe do zapamiętania. Daj mi pan dwie godzinki.

– Do południa? – Spojrzałem na swoją omegę.

– Tak. Widzimy się tutaj w samo południe.

*

Musiałem się komuś wygadać. Jediną osobą, którą mogłem o to prosić, był Czesio Bielawny. Jako że deklarował, że pójdzie dzisiaj sumiennie do pracy, skierowałem kroki właśnie tam. Czasu było akurat tyle, by dotrzeć do fotoplastikonu, pogadać i wrócić. Albo i nie.

– A jednak jesteś? – W taki miły sposób przywitał mnie po raz drugi tego dnia.

– Serwus – odpowiedziałem.

Siedział na krześle i majstrował przy felernym stanowisku.

– Nieczynne – rzucił półgębkiem.

– Gdybyś wywiesił tabliczkę, nie musiałbyś sobie strzępić języka. Mam to zrobić?

Chwilę milczał, jakby się zastanawiał.

– Już nie trzeba, właśnie skończyłem – stęknął, ocierając zamasyście pot z czoła. – Przyszedłeś do pracy?

– Nie. Chciałem tylko pogadać.

Stuknął trzy razy w drewnianą obudowę fotoplastikonu, tak jak jeszcze niedawno w kratkę konfesjonału. Zgrywał się, co z jednej strony było dobre, ale z drugiej naprawdę miałem problem i potrzebowałem jeśli nie rady, to przynajmniej pociechy.

Usiadłem na krześle obok i opowiedziałem mu o wszystkim, co się wydarzyło od wczorajszego ranka, kiedy przed fotoplastikonem czekał na mnie Felek Więcek z hiobowymi wieściami na temat Franka.

Czesio słuchał w skupieniu, wsparłszy skroń na palcach wskazującym i środkowym prawej dłoni, a policzek na kciuku. Od czasu do czasu kiwał nieznacznie głową, a ja naprawdę czułem się jak na spowiedzi, choć właściwie już nie pamiętałem, jak to było.

– Nie wiem, jak to się stało, że się nie umówiliśmy na dziś z Jackiem i Felkiem. Poszedłem sam. A teraz już nie wiem, czy dobrze zrobiłem...

– Wskazując Władka, a nie Belę? – dokończył za mnie były kapłan.

Wtedy do lokalu weszło dwóch klientów. Czesio poderwał się ochoczo z krzeselka i podszedł do nich, by czynić honory gospodarza.

Czy poczułem się lepiej, opowiedziawszy mu o wszystkim? Może trochę. Teraz przydałaby się jeszcze jakaś rada, choćby najmniejsza.

– Zapraszam. – Bielawny wskazał klientom miejsca, po czym uruchomił maszynę, na mnie zaś machnął palcem.

Dźwignąłem się z krzesła. Po chwili siedzieliśmy w kantorku.

Wtedy przypomniałem sobie o tym, co znalazłem w szufladzie biurka. Język zadziałał szybciej niż wszystkie hamulce w mojej głowie.

– Znalazłem wczoraj rewolwer w twojej szufladzie – powiedziałem szybko i cicho.

– Ja też, ale dwa tygodnie temu – odparł Czesio bez mrugnięcia okiem.

Czułem, jak brwi wędrują mi w stronę reszty włosów.

– Czyli to nie twój?

– Nie. Pewnie Kosowskiego. Zapomniał zabrać, wszystko się wtedy tak szybko działo. A zostawiłem, żeby mnie nikt nie posądził, że go sobie przywłaszczyłem. Jak wróci, to weźmie.

– To niebezpieczne...

– Oddychanie też nie jest bezpieczne, a jednak to robisz. Wróćmy do rzeczy. Jest facet, który sprawdzi, czy Władek jest na Daniłowiczowskiej, tak?

– Otóż to.

– Kajfasz wskazał Barabasa... – mruknął.

– Co?

– Nic, nic. Myślę, że to dobry pomysł. Jeśli obaj są pod kluczem, w ten sposób dotrzesz także do Franka.

– A jeśli to jest prowokacja, wezmą w obroty Michalskiego – tym razem to ja dokończyłem zdanie.

– Gdyby tak było, już byś tam siedział. Uspokój się i oddychaj nosem. A teraz idź w pokoju, jeśli chcesz zdążyć na dwunastą.

*

Minuta została do dwunastej, gdy zziąjany, drogę od tramwaju przebiegłem bowiem sprintem godnym nastoletniego mistrza,

dotarłem na Daniłowiczowską. Wpadłem do bramy, gdzie miałem się spotkać ze Skoczkiem, oparłem się rękami o kolana, usiłując uspokoić oddech. Jednocześnie rozglądałem się dookoła w poszukiwaniu pana Alojzego. Otarłem łzy, które nabiegły mi do oczu od wzmożonego wysiłku i chłodu.

Ale i to nie pomogło. Człowieka nie było.

– Przyjdzie, spokojnie... – pocieszałem się.

Oparłem się o ścianę i wciąż dyszałem. Bolała mnie szczęka. Jakaś paniusia, może nawet ta sama, która mijała nas przed dwiema godzinami, a teraz wracała z miasta do domu, pisnęła na mój widok:

– Upił się w środku dnia!

– Też życzę pani wszystkiego dobrego. – Nie zapanowałem nad językiem, co nie było mądre, bo lepiej nie rzucać się w oczy, szczególnie teraz i w takim miejscu.

Spojrzałem znów na zegarek. Pięć po dwunastej. Hejnalista w dalekim Krakowie zakończył swoją pracę i zamknął ostatnie okienko na wieży kościoła Mariackiego.

Ulicą w stronę aresztu przejechał samochód, może więźniarka. Wyszedłem z bramy, by utwierdzić się w tym przekonaniu. Nie pomyliłem się: auto skręcało w prawo, by po chwili zniknąć za murem. A Alojzego Skoczka jak nie było, tak nie było.

Dobrze, że przynajmniej nie wziął pieniędzy – pocieszałem się.

Już miałem wrócić do bramy, by nie ściągać na siebie niepotrzebnie uwagi, gdy nagle mój wzrok przykuła postać opuszczająca więzienie. W moim kierunku zdążył ksiądz.

W jednej chwili podjąłem decyzję. Cofnąłem się w cień bramy. Nie chciałem wychodzić za prędko, ale też nie mogłem przestraszyć duchownego zbyt gwałtownym pojawieniem się na ulicy. Za nasze spotkanie miał odpowiadać zupełny przypadek. Policzyłem do pięciu, po czym wyszedłem na Daniłowiczowską. Trafiłem idealnie.

– Szczęść Boże.

– Szczęść Boże – odpowiedział wielebny, ale nie zwolnił kroku ani też na mnie nie spojrzał.

Był starszy od Czesia, miał na pewno ponad trzydzieści lat i zatroskaną twarz. A ja – ułamek sekundy na podjęcie decyzji.

– Przepraszam, proszę księdza – zagadnąłem.

Tym razem podniósł wzrok, nieprzytomne spojrzenie kogoś pogrążonego w myślach i to niekoniecznie dobrych.

– Słucham?

– Czy mogę zająć księdzu chwilę?

– Niestety, bardzo się spieszę. Już powinienem być w Świętej Annie.

– Widziałem, skąd ksiądz wyszedł i chciałem tylko zapytać o jednego więźnia. A właściwie to dowiedzieć się, czy on w ogóle... czy tam jest, bo takie dotarły do nas plotki. A plotki jak to plotki... Zniknął dwa dni temu, rodzina bardzo się o niego martwi... – Wyrzucałem z siebie te androny z prędkością i siłą karabinu maszynowego.

Patrzył na mnie, jakbym mówił w jakimś obcym języku. Potem obejrzał się za siebie.

– Proszę iść ze mną – powiedział. – Naprawdę się spieszę.

Serce wyrwało mi się do przodu, zanim uczyniło to całe ciało. Już po chwili zmierzaliśmy w stronę placu Teatralnego, by zaraz skręcić w lewo, bo właśnie tędy, wzdłuż budynku ratusza, można było najszybciej dotrzeć do wspomnianego kościoła. Szliśmy w całkowitym milczeniu.

Dopiero na wysokości wieży ksiądz się odezwał.

– Jak się nazywa ten pański kolega?

Tym razem byłem przygotowany.

– Franciszek Bela – odpowiedziałem niemal radośnie.

Chwilę milczał. Czyżby usiłował sobie przypomnieć, czy ktoś taki jest? Wstrzymałem oddech, oczekując odpowiedzi.

– Nie przypominam sobie, niestety... – wyszeptał.

Ja jednak nie straciłem rezonu. Bela mógł przecież nie życzyć sobie spotkania z księdzem.

– A Władysław Michalski? – naciskałem.

Miałem wrażenie, że na dźwięk tego nazwiska twarz księdza się zmieniła, jakby rozjaśniła. Zacisnąłem pięści.

– Tego akurat znam – powiedział. – Długo się wczoraj spowiadał, ale dzisiaj już go nie widziałem.

– Co się mogło stać?

– Nie wiem. Proszę już nie naciskać. Ja naprawdę nie mam czasu,

proszę pana.

Zdziwiłem się, bo przecież nie opóźniałem marszu jak jakiś maruder. Przeciwnie: szliśmy tak szybko, że sutanna furkotała głośno niczym peleryna jadącego na koniu rycerza.

I nagle przestało mi się chcieć dotrzymywać mu kroku. Przestało mi się chcieć z nim rozmawiać ani nawet go słuchać. Przestało mi się chcieć cokolwiek poza zatrzymaniem się w miejscu, na skrzyżowaniu ulic Miodowej i Elektorальной, niedaleko miejsca, w którym wspomniany przed chwilą Władek wraz z towarzyszami zdobywał nie tak dawno pieniądze. Ile tego było? Około miliona dolarów. Przecież za te pieniądze można by wykupić całą Daniłowiczowską! I jeszcze na pół Gęsiówki by starczyło.

Ksiądz nawet nie zauważył mojego zniknięcia, choć każdy lub prawie każdy na jego miejscu obejrzałby się. Choćby po to, by mieć pewność, czy rozmówca, bliźni, ta owieczka ze stada nie wpadła aby do studzienki kanalizacyjnej.

– Idź do diabła – rzuciłem ze złością za oddalającą się postacią w sutannie.

Odwróciłem się i już miałem zamiar iść przed siebie, gdy nagle usłyszałem przerażający pisk opon hamującego pojazdu. Głuche uderzenie. Potem kobiecy krzyk. Gdy się obejrzałem, ujrzałem leżące na jezdni Krakowskiego Przedmieścia, kilka metrów przed ciężarówką, ciało księdza. Siła uderzenia była tak wielka, że sutanna, która jeszcze przed chwilą furkotała dostojnie na wietrze, zadarła się, zakrywając twarz ofiary...

Podbiegłem w kierunku miejsca wypadku. Zdażyło się już tam zrobić niezłe zbiegowisko. Kierowca ciężarówki, a był to jakiś cywil w wyświechtanym drelichowym kombinezonie, pewnie Polak, siedział na krawężniku i trzymał się oburącz za głowę.

– Boże, Boże! – krzyczała jakaś kobieta, biegnąca niezdarnym krokiem od strony kościoła świętej Anny; tuż za nią podążała spora grupka. – Zabili księdza Juliana, Boże przenajświętszy, zabili...

Starszy mężczyzna ukląkł nad leżącym, zdjął mu z pokrwawionej twarzy czarny materiał, po czym zamknął mu oczy. Obok uklękło kilkoro ludzi, ktoś zaczął mówić *Wieczny odpoczynek*, zaraz dołączyły

do niego kolejne głosy. Nie umilkły nawet wtedy, gdy rozległy się gwizdki i na miejsce przybył policyjny patrol.

– Boże, Boże. Ksiądz Julian. Taki dobry człowiek. I to przed samym kościołem... – lamentowała kobiecina.

Tłum gęstniał. Policjanci nie próbowali nawet nad nim zapanować. Skupili się na kierowcy. Ja zacząłem się cofać. Diabeł wciąż był przy mnie, tak jak jeszcze przed chwilą ksiądz Julian.

*

Kiedy nasza mnie pierwsza wątpliwość? A może raczej wątpliwość większa niż kilkadziesiąt dotychczasowych, bo zwielokrotniona strachem, strachem na granicy obłędu? Gdy zamknęły się za mną ciężkie drzwi, które dzieliły biuro przepustek od świata zewnętrznego. Miałem wrażenie, jakby zatrzaśnięto nade mną ciężką płytę grobowej krypty w którymś z warszawskich kościołów.

– A gdzie ksiądz Julian? – zapytał strażnik całkiem znośną polszczyzną.

– Nie żyje – odpowiedziałem szybko, pewny tego pytania jak tego, że dzisiaj z drzew w Alejach Ujazdowskich spadnie przynajmniej jeden liść. – Świeć, Panie, nad jego duszą.

– A co się stało? – Mężczyzna wyglądał na przejętego, uniósł się nawet z krzesła.

– Nie słyszał pan? Wpadł pod ciężarówkę.

– *Mein Gott!*

– Wczoraj, kilka chwil po wyjściu stąd. Przy samym kościele świętej Anny. Świeć, Panie, nad jego duszą... – Mój głos przeszedł w szept, przez chwilę markowałem żarliwą modlitwą za tragicznie zmarłego sługę bożego, po czym, już głośniejszym i bardzo wyraźnie, rzekłem: –Kuria wysłała mnie tutaj w jego zastępstwie.

Strażnik jeszcze bardziej uniósł się z siedzenia, właściwie to wstał, bo tylko tak mógł mnie sobie obejrzeć. Od stóp, których nie było widać, po głowę, która wcale nie musiała pasować do reszty.

Tak oto nadeszła pierwsza chwila próby. Próby ważniejszej niż

kilkadziesiąt dotychczasowych, począwszy od wyciągnięcia z walizki Czesia Bielawnego jego sutanny, przez włożenie jej po raz pierwszy, pierwsze próby poruszania się w nietypowym przyodziewku, po wyjście w stroju księdza na ulicę i dotarcie do „Centralniaka”. Tak oto dobrowolnie wkładałem głowę w paszczę lwa.

Wariat! Idiota! Samobójca! – huczał w mojej głowie nieznany głos, ja jednak nie mogłem dać tego po sobie poznać. Musiałem każdym ruchem, krokiem i spojrzeniem przekonywać, że jestem właściwym człowiekiem na właściwym miejscu, a zamiast wyzwisk słyszę przez czas cały tylko jedno słowo: Hosanna! Hosanna na wysokości!

– Niech ksiądz idzie. – Strażnik ruchem głowy porośniętej rudą szczeciną wskazał mi korytarz.

Spojrzałem w tamtym kierunku, ale nie ruszałem się z miejsca. Nagle poczułem, że nogi mam ciężkie jak w koszmarnych snach, kiedy chcesz uciec przed ścigającą cię zmorą albo patrolem żandarmerii, ale nie jesteś w stanie, bo bieg przypomina brodzenie w brudnej, pełnej wodorostów wodzie. Może organizm próbował mnie ostrzec, wbrew temu, co ukuła sobie głowa?

– Dlaczego ksiądz nie idzie?

– Nie wiem dokąd... – odrzekłem, co również stanowiło jedną z kwestii przygotowanych wcześniej; było przecież jasne, że nie będę się błakał samopas po więzieniu. – Jestem tu pierwszy raz. Dopiero wczoraj wieczorem przyjechałem z Grójca.

Miał być Grodzisk, nie wiem nawet, skąd mi się ten Grójec wziął. Może powiedziałem tak, bo nazwa była krótsza. Ale strażnik i tak łyknął kolejną bujdę.

– *Ja* – mruknął, po czym sięgnął po słuchawkę telefonu, nakręcił krótki, chyba tylko dwucyfrowy numer, chwilę czekał na połączenie.

Sekundy ciągnęły się jak podczas lekcji, którą profesor postanowił przeznaczyć na odpytywanie. Wreszcie rudy powiedział coś po niemiecku i odłożył słuchawkę.

– Ksiądz chwilę poczeka.

Cofnąłem się pod ścianę, bo właśnie dwaj strażnicy prowadzili korytarzem jakiegoś więźnia. Miał brudną, zakrwawioną i spoconą twarz, łyskały w niej jednak żywe oczy. Może był to ten sam, który

sikał u mnie w fotoplastikonie. Albo ten, którego widziałem przed siedzibą granatowej policji. Mimo że ręce skuto mu na plecach, strażnicy musieli włożyć sporo wysiłku, by mężczyzna szedł tak, jak iść powinien. Trzymali go za ramiona, co kilka kroków szarpał się bowiem, stawał okoniem.

– *Raus! Schneller!* – pokrzykiwali na zmianę.

Cała trójka zniknęła za jakimiś drzwiami. W tej samej chwili wyrósł przede mną wysoki, chudy jak tyka strażnik. W pierwszej chwili wydał mi się bardzo podobny do jednego z moich kolegów z Batorego. Najpierw zalało mnie nagle gorąco, a potem mój kręgosłup zamienił się w wielki sopel lodu. Dopiero gdy strażnik zaczął mówić, uspokoilem się. Widziałem go po raz pierwszy. On mnie, miałem taką nadzieję, również.

– Za mną – zaordynował, po czym wykonał w lewo zwrot i ruszył korytarzem.

Jak wyobrażałem sobie swoją wizytę w więzieniu? Bo przecież jakoś ją sobie wyobrażałem; szaleństwo miało swoje granice. Wieczorem dyskretnie wypytałem Czesia, co robi ksiądz, który przychodzi za mur. Powiedział, że jego zadaniem jest wyspowiadanie więźniów, którzy będą tego chcieli, udzielenie błogosławieństwa, namaszczenie umierających. A jeśli to niedziela, odprawienie mszy.

Nie miałem pojęcia, czy tak się działo również tutaj. Pewne było tylko to, że wyszedł stąd w swą ostatnią drogę ksiądz Julian. Istniało ryzyko, że kościół świętej Anny mógł nazajutrz po śmierci kapłana przysłać tu nowego. Ale i na to byłem gotowy, przygotowując śpiewkę, że przybyłem na polecenie kurii, choć jeszcze wczoraj byłem zwyczajnym wikarym w Grodzisku. Albo w Grójcu. Sprawdzenie tego zajęłoby bez wątpienia sporo czasu...

Czesio zapytał wtedy jeszcze, jak mi się udało spotkanie z panem Skoczkiem. Odpowiedziałem zgodnie z prawdą, że mężczyzna nie przyszedł. Bielawny zasepił się co prawda, ale temat został zakończony. A kiedy rano wyszedł do fotoplastikonu, podebrałem mu sutannę oraz dwustronną stulę, którą mieli całować penitenci. Pamiętałem też o tym, jak ją przewiesić, gdy będę miał przed sobą umierającego. Ostatnim rekwizytem powinna być Biblia. Nie

znalazłem takowej w rzeczach Czesia, na szczęście była w naszej domowej biblioteczce, mocno uszczuplonej przez wojnę.

– Tu. Umierać. – Mój przewodnik wskazał drzwi celi.

Zadzwonął klucz w rękę kolejnego strażnika, który pojawił się znikąd.

– Można wejść.

W celi znajdowało się kilkunastu więźniów. Część z nich obstąpiła człowieka leżącego na sienniku na środku pomieszczenia.

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus – rzekł któryś, nim zdążyłem się przywitać.

– Na wieki wieków – odpowiedziałem przez ściśnięte gardło, po czym uprzedzając pytania, wyjaśniłem, dlaczego nie przyszedł znany im pewnie ksiądz Julian.

Nie dopytywali. A wtedy zbliżyłem się do leżącego, usiłując przypomnieć sobie, jak ma wyglądać taka chwila. Miałem do odegrania kolejną ważną rolę. Sztukę reżyserowało życie, krytyk nosił niemiecki mundur i w każdej chwili mógł wyrazić swoje niezadowolenie. Przy okazji popełniałem świętokradztwo. Nie miało to jednak w tej chwili znaczenia...

– Wyznaj swoje grzechy – szepnąłem, pochyliwszy się nad umierającym.

Zaczął coś mówić, ale nie byłem w stanie niczego zrozumieć. Jego twarz była jedną wielką raną, nie miał zębów, prawdopodobnie też nic nie widział. Potem otworzyłem Biblię, przeczytałem kilka wersów, zupełnie przypadkowych, jednak pasowały do chwili i sytuacji. Machnąłem stulą nad ustami więźnia, nie mogła się wszak pobrudzić, przeżegnałem się, po czym wstałem, by rozejrzeć się po pozostałych więźniach.

– Szukam Franciszka Beli i Władysława Michalskiego – powiedziałem scenicznym szeptem, tocząc wzrokiem po szarych twarzach.

Cisza.

– Może ktoś z was ich spotkał? – drążyłem.

– My tu siedzimy od dwóch miesięcy – rzekł jakiś starszy człowiek. – Może na innym bloku będą wiedzieć więcej.

Wyspowiadałem dwóch więźniów. Potem otworzyły się drzwi i strażnik kazał wychodzić.

– Niech pan uważa na siebie – rzucił ktoś za mną niegłośno. – I proszę zapytać w bloku F.

„Pan”, a nie „ksiądz”. Nie, to nie była pomyłka laika. Wiedziałem, że odkryto moją grę, zdemaskowano kłamcę i uzurpatora. Ale jednocześnie był to głos przyjaciela. I gdyby nawet tak nie było, zamykane drzwi celi zdusiły płomień. Przynajmniej na chwilę. Oddalałem się i nikt w nie nie walił pięściami, nie wykrzykiwał, że ten nowy ksiądz jest oszustem.

W pozostałych celach na szczęście nie było już umierających. W jednej wyspowiadałem kolejnych czterech, w trzeciej – tylko jednego, w następnej zaś – aż pięciu. Nikt się nie kłócił o kolejność, nikt w żaden inny sposób nie burzył porządku. Za każdym razem rytuał był taki sam: zaczynałem od wyjaśnienia, dlaczego nie przyszedł tamten kapłan (hiobową wieś przyjmowano zazwyczaj z wielkim bólem), na końcu zaś pytałem o przyjaciół.

Wciąż jednak nikt nie potrafił mi pomóc.

– Gdzie jest blok F? – zapytałem w końcu strażnika, który mnie prowadził.

Zdawało mi się, że przez jego twarz przebiegł cień.

– Tam ksiądz nie wejdzie – odpowiedział szybko. – Nie wie tego ksiądz?

– Nikt mi nie przekazał – mruknąłem.

Zacząłem mieć złe przeczucia. Czym był ów blok F, skoro nie miał tam wstępu kapłan niosący pocieszenie, a na to przecież zasługuje każdy? Może to miejsce, w którym można się było zarazić jakąś niebezpieczną chorobą? Jeśli tak było, to Władek i Franek byli jednocześnie w dobrej i złej sytuacji. Dobrej, bo chorych nie przesłuchiowano. Złej, bo to przecież żadna przyjemność, mieć wysypkę na całym ciele lub coś podobnego...

– Chodźmy dalej – powiedział strażnik.

Wbrew pozorom była to naprawdę ciężka praca. Wysłuchać wszystkich, którzy chcieli ulżyć sobie na duszy. W dodatku w celach, a więc i od więźniów bynajmniej nie pachniało fiołkami. Ale z każdą

chwila coraz mniej mi to przeszkadzało, a zyskiwałem coraz większą wprawę w czynnościach spowiednika. Nie to, że było mi źlej. Miałem wrażenie, że w tym miejscu, w jednym punkcie na mapie świata, zogniskowały się wszystkie nieszczęścia toczące ludzkość.

Rozmawiałem z takimi, którzy nie drżeli o swój los, za to sen z powiek spędzało im pytanie, jak radzą sobie ich rodziny. Ktoś się rozplakał, bo, jak powiedział, czuje, że już stąd nie wyjdzie. Chyba że do lasu, na rozwałkę. Inny wprost zapytał, czy nie mam przy sobie aby kawałka chleba. Nie brakowało też takich, w których słowach trudno było doszukać się jakiegokolwiek logiki. Ze słowotoku udawało mi się zrozumieć może co trzecie słowo. Reagowałem jednak tak, jakby wszystko było w porządku.

– On jest bardzo chory, rozumie ksiądz? – tłumaczył go ktoś w rodzaju starszego celi, znacząco dotykając ręką głowy.

Ale przecież i wariat zasługiwał na pocieszenie!

Początkowo starałem się liczyć cele, które odwiedziłem, ale szybko się pogubiłem w rachubie. Do tego straciłem poczucie czasu. Zapomniałem o zegarku, co zdarzało mi rzadko, i nie miałem pojęcia, czy jest dziesiąta (do więzienia dotarłem około godziny ósmej), czy już minęło południe. Idąc korytarzami, wspinając się po schodach na wyższe piętra, mijałem więźniów prowadzonych w eskorcie na przesłuchanie albo z niego wracających.

Kilka razy moich uszu dochodziły krzyki, zarówno po polsku, jak i po niemiecku, odgłosy uderzeń, podzwanianie naczyń, warkot silników samochodów dochodzący z więziennego dziedzińca i wiele innych mniej lub bardziej zagadkowych dźwięków.

W końcu sam poczułem głód i wycieńczenie. I złość mieszającą się z rozpaczą, gdyż w żadnej z cel nie znalazłem ani Franka, ani Władka i niczego się o nich nie dowiedziałem poza tym, że byli w bloku F, do którego z jakichś powodów nie miałem wstępu. Przecież, do jasnej cholery, nie zapytam o to strażnika! Zresztą nawet gdybym się tego dowiedział, nawet gdybym stanął twarzą w twarz z pojmanymi przyjaciółmi, co więcej mogłem zrobić?

– Co? – Strumień myśli przerwał mi czyjś głos.

Staliśmy w korytarzu. Przy moim cicerone stał inny strażnik, niższy

o głowę, za to chyba ze dwa razy starszy. Coś mówił. Gestykulował. Wyglądał na zakłopotanego.

– Bardzo dobrze się składa – powiedział wysoki, po czym obejrzał się i spojrzął na mnie. – Ksiądz...

– ...Henryk – dokończyłem przytomnie mimo coraz większego znużenia, kłamiąc gładko po raz kolejny, oby ostatni.

– Tak, ksiądz Henryk właśnie skończył posługę i na pewno z wami pojedzie.

Powiedział to takim tonem, jakby szło o wycieczkę albo odebranie kogoś z dworca kolejowego. Wiedziałem jednak, że tak nie jest. Zrobiło mi się gorąco.

– Dokąd? – zapytałem, przełknąwszy ślinę.

– Na egzekucję.

Oto ktoś zemścił się za moją blagę, za żarty z sutanny, powagi stanu duchownego, a przede wszystkim świętej spowiedzi.

*

Na nic było szczypanie się, okładanie kułakami po głowie, co miało spowodować, że się obudzę i zły sen minie. Bo nie spałem, niestety. A wszystkie ponure widoki: ciągnące się bez końca więzienne korytarze, cuchnące, ciemne i przeludnione cele, a także dziedziniec, na który co chwila przyjeżdżały i z którego odjeżdżały więźniarki – wszystko to oglądałem naprawdę.

Choć, trzeba przyznać, kilka razy nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że siedzę sobie wygodnie przed okulem fotoplastikonu, a przesuwane się przed moimi oczami obrazy to nic innego jak zdjęcia, spreparowane specjalnie przez Floriana Drzewuckiego.

– Niech się ksiądz nie martwi, to nie potrwa długo – perorował strażnik, który przyszedł do mojego przewodnika i przedstawił mu kłopot. – Na szczęście jedziemy tylko do Anina.

– Na szczęście? – powtórzyłem głucho.

– A jak! Dwa dni temu tłukliśmy się aż do Magdalenki.

I tak lekko o tym mówisz, jakby chodziło o wypad na grzyby,

skurwysynu! – lżyłem go w myślach, ponieważ tylko na to jedno, prócz zaciskania do bólu pięści, było mnie stać w tym momencie.

Pchnął ciężkie drzwi. Za nimi rozlewała się jasność dnia. Usłyszałem pokrzykiwania strażników i trzaskanie drzwi szoferki ciężarówki, która powiezie skazanych na śmierć więźniów w ich ostatnią drogę. I mnie, żebym im towarzyszył ze słowem pocieszenia na ustach i świętą księgą w dłoni...

Przecież to niemożliwe! Nie ma takich słów! Po prostu nie ma – pomyślałem z przerażeniem.

Ale nie to było najgorsze. Nagle bowiem otworzyły się drzwi po przeciwnej stronie dziedzińca i pojawili się w nich kolejni skazani. Niewidzialne imadło ścisnęło mi serce. Pochód otwierał... Franek. Był poobijany, na jego twarzy ciemniały zaschnięte plamy krwi. Zauważyłem też, że powłóczy nogą. Za nim kuśtykał jakiś starszy mężczyzna, a jako trzeci, również z widocznym trudem i spuszczoną głową, szedł Władek. Za nim ciągnęło jeszcze dwóch.

W pierwszym odruchu cofnąłem się i ukryłem za plecami strażnika, który mnie przyprowadził na dziedziniec. Nie wiedziałem przecież, jak zareagują przyjaciele, gdy nagle zobaczą mnie przebranego w sutannę.

Oni jednak zdawali się w ogóle nie zwracać na mnie uwagi. Być może byłem nawet ostatnią osobą, którą mieli ochotę widzieć. A jeśli już, to żebym zamiast Biblii trzymał w ręku granat. Albo stena. Władek miał wzrok wbity w ziemię, Franek zaś, przeciwnie, zadzierał głowę, pewnie w poszukiwaniu słońca, co jednak w przypadku niewielkiego dziedzińca i pory roku było na razie niemożliwe.

Wtedy zrozumiałem. To przecież ja, do spółki z Jackiem i Felkiem, skazaliśmy ich na śmierć. Niemiecki dyspozytor, któregośmy obili, a potem zrzucili ze skarpy, jednak wyżył. Podniósł się ciemną nocą albo dopiero nad ranem, dotarł do swoich, gdzie podał nazwiska więźniów...

– Wsiadać, szybko! – popędzał strażnik.

Któryś jęknął, sapnął, bo była to najwyraźniej czynność ponad jego siły.

– Pomóżmy mu – powiedział jeden z więźniów.

– Prędeż! – ponaglał nieporuszony tym konwojent.

Strażnik już dawno zmienił miejsce i byłem na widoku. Trwałem bez ruchu, jak skamieniały, dopóki nie podszedł do mnie jeszcze inny, sądząc po sposobie zachowania, najważniejszy ze wszystkich.

– Zapraszamy księdza do szoferki – rzekł uprzejmie, wskazując otwarte drzwi ciężarówki.

Miałem sekundy na decyzję: wsiąść tam, gdzie mówił, czy jednak wybrać podróż wraz ze skazanymi. To drugie pewnie łatwo bym mu wytłumaczył. No i miałbym wtedy czas, by dowiedzieć się czegoś od przyjaciół. Czegoś, co mógłbym potem powtórzyć choćby dowódcy Władka. Ale zaraz uświadomiłem sobie, że przecież wraz z więźniami będzie jechała eskorta, a wtedy nie da się rozmawiać, nie narażając się na zdemaskowanie...

– Tak, już siadam – odrzekłem.

Zająłem miejsce w ciasnej szoferce. W bocznym lusterku zdążyłem jeszcze dostrzec dwóch uzbrojonych esesmanów wskakujących na pakę. Teraz już byłem pewien, że na pewno nie porozmawiałbym z chłopakami. Chyba że udawalibyśmy, że to spowiedź. Ale i tak było za późno na zmianę decyzji, kierowca zatrzasnął już bowiem drzwiczki po swojej stronie i zwolnił ręczny hamulec. W tej samej chwili otworzyła się brama więzienia i ciężarówka wyjechała na ulicę.

Podróżowałem na doczepkę obok strażnika siedzącego pośrodku, z mauserem między nogami, z lufą wycelowaną w dach szoferki. Na szczęście facet nie był gruby ani wielki. Cały czas rozmawiał z kierowcą, najpewniej o bzdurach, jakby wieźli ziemniaki albo cegły, nie zaś ludzi, którzy za chwilę staną przed plutonem egzekucyjnym. Nawet się śmiali!

Próbowałem sobie wyobrazić chwilę, która zbliżała się nieuchronnie, i swoją w niej rolę. To, co zrobiłem do tej pory w więzieniu, dawało nadzieję, że poradziłbym sobie z zadaniem. Kilka gestów, jakiś cytat z Biblii wybrany na chybił trafił. A potem pod byle pretekstem odszedłbym na stronę i nie patrzył na kaźń.

Wjechaliśmy na Most Poniatowskiego. Strażnik wskazał coś kierowcy, wymienili półgłosem jakąś uwagę, po czym znów się zaśmiali. Ja nie miałem jednak w tej chwili głowy, aby wnikać, co ich

zafrapowało, ani tym bardziej podziwiać widoki.

Zaraz jednak humor im się zepsuł.

– Przekłęci Sowietci i ten ich Stalin! – wycedził przez zęby strażnik.

Wszystko dlatego, że z przeciwnej strony ciągnęły tabory Wehrmachtu, najprawdopodobniej z frontu wschodniego. Pojazdy były zabłocone aż do połowy plandek, szyby szoferek częściowo popękane, gęsto bieleły bandaże rannych żołnierzy. A ja nagle bardzo zapragnąłem, żeby któraś z tych ciężarówek zboczyła z trasy i żeby doszło do zderzenia. Siedzący na krawędzi paki i zupełnie zaskoczeni esesmani wpadliby pewnie do środka, gdzie przytomnie zajęliby się nimi chłopcy. Ja wyszarpnąłbym karabin siedzącemu przy mnie strażnikowi i zrobił z niego użytek. Byłoby sporo czasu, aby opuścić ciężarówkę i skoczyć do Wisły...

Ale nic takiego się nie wydarzyło. Kierowca mocno trzymał kółko, w dodatku nacisnął na gaz. Jakby chciał przyspieszyć chwilę pomsty za krzywdy swoich braci. Co z tego, że będzie ona dokonana na bezbronnych i niewinnych.

Zjechaliśmy z mostu i aleją Waszyngtona dojechaliśmy do Wiatracznej, a następnie Grochowską w stronę Gocławka i rogatek miasta. Anin był coraz bliżej.

Nie dam rady. Nie pojadę tam ani nie spojrzę w oczy Beli i Michalskiemu – myślałem z coraz większą rozpaczą.

Widzieliśmy już jednorodzinne domki przedmieść. Ciężarówka zwolniła, by po kilku chwilach wjechać na nieutwardzoną drogę. Przednią szybę coraz szybciej wypełniała szarość ściany lasu. Może za tym zakrętem czekają już karabiny maszynowe i esesmani z psami. A może ja powinienem stanąć w jednym szeregu ze skazańcami...

Wtedy ujrzałem, jak stojąca przy drodze sosna nagle zaczyna się przechylać.

– *Achtung!* – krzyknął strażnik.

Drzewo runęło w poprzek drogi, zaledwie kilka metrów od maski auta. Szofer chciał coś powiedzieć, może pochwalić sam siebie za kunszt. Ale miast słów na jego twarzy zakwitły krwawe kwiaty. Druga seria dosięgła strażnika. Ktoś strzelał, ale nie byli to ci, którzy mieli strzelać, a kule raziły tych, którym zbyt spieszno było oglądać śmierć

Polaków.

O tym wszystkim zdążyłem pomyśleć, nim palce mojej prawej dłoni, które niemal od początku trzymałem na klamce drzwi, wykonały ruch, jakby wyrywały zawleczkę granatu. Runąłem w przepaść. W tej samej sekundzie rozpętało się piekło...

Rozdział szósty

(1943)

Leżałem na czymś miękkim, ale wilgotnym i bardzo zimnym, więc miękkość nie wynagradzała niewygody. Nad sobą miałem pnie wysokich sosen na tle szarego nieba.

– Obudził się, panie kapitanie – zawołał ktoś dziwnym, jakby dziecięcym głosem.

Usiłowałem podnieść głowę, aby ujrzeć coś więcej niż tylko otaczające mnie drzewa, ale zaraz tego pożałowałem. Czerep promieniował tępym bólem. Musiałem w coś mocno uderzyć, wypadając z szoferki ciężarówki.

Po chwili między sosnami pojawiła się jakaś postać. Czy to był ten rzeczony kapitan? Znałem dwóch: Klubę ze statku pływającego po Wiśle i Jacka z konspiracji. A że osobnik ten nie mówił nic, musiało minąć trochę czasu, nim uzmysłowiłem sobie, kto na mnie patrzy.

Okazało się, że świat jest jednak mały. Przede mną stał zupak z zamiłowaniem gnębiący rikszarzy.

– Leż spokojnie, Antek – powiedział.

– Co się stało?

– To, co miało się stać. Egzekucja. Tylko nikt się nie spodziewał, że będzie na odwrót. Organizacja nie zostawia swoich żołnierzy. Najbardziej mnie jednak dziwi, co ty robiłeś w ciężarówce. W dodatku w takim stroju.

– To długa historia.

– Spokojnie, zdążysz jeszcze opowiedzieć. A teraz musimy stąd zmiatać, zanim plutony egzekucyjne zorientują się, że to, co słyszeli, to

nie efekt pracy kolegów po fachu. Chłopaki, zabierajcie go, ale ostrożnie.

Kilka par rąk chwyciło mnie za ręce i nogi i uniosło w górę. Zdążyłem jeszcze pomyśleć, że sutanna świetnie się sprawdza w takich chwilach. Świat zawirował mi przed oczami, zrobiło mi się niedobrze, ale szczęśliwie udało mi się opanować i nie obrzygać dzwigających mnie chłopaków. Kilka chwil później znalazłem się na podłodze ciężarówki. Pierwszą osobą, którą tam zobaczyłem, był Franek. Żywy, choć leżał dokładnie tak jak ja i co chwilę krzywił się z bólu.

– Antek... – jęknął. – Jak dobrze, że jesteś.

– Jestem. Jestem od dawna.

– Widziałem cię już na dziedzińcu więzienia. Co to za pomysł z tym przebraniem? To pewnie sutanna Czesia, co?

– Tak. Nogi mi z dupy powyrywa, że mu ją ufajdałem. Mam nadzieję, że tylko tyle.

– Że tylko nogi z dupy czy że tylko ufajdałeś?

– Nie męcz mnie, dobrze? A próbowałem się tylko czegoś dowiedzieć. Co miałem z tym potem zrobić, nie mam pojęcia. Ale jakiś głos kazał mi iść za mur.

– Masz w tym wprawę. Nie wiem tylko, co bardziej szalone: iść do getta w przeddzień likwidacji czy do ancla na Daniłowiczowskiej.

– Też nie wiem. Ale poszedłem. Traf chciał, że właśnie wtedy zaplanowali waszą... – głos uwiązł mi w gardle.

– Rozwałkę – dokończył. – Na szczęście im się nie udało, choć pewnie następny miesiąc spędzę w klozecie, bo nie będę potrafił zapanować nad niektórymi sprawami...

– Tak mocno cię bili?

Nie usłyszałem już odpowiedzi. Zagrał silnik, najpiękniejsza muzyka, jaką można było sobie w tej chwili wymarzyć. Obok nas siedziało i leżało jeszcze kilku ludzi. Rozpoznałem innych aresztantów z „Centralniaka”. Nie było tylko Władka. O podłogę stuknęła metalicznie lufa stena. Ciężarówka ruszyła. Kilka chwil później znów zapadłem w letarg.

*

Kiedy się obudziłem, za oknem było już ciemno. Mrok rozpraszała tylko stojąca na stole karbidówka. Leżałem na swoim łóżku, w swoim pokoju. Głowa już mnie nie bolała. Obmacałem całe swoje ciało, byłem wszak tylko w podkoszulku oraz spodenkach, i stwierdziłem, że na szczęście niczego w nim nie brakuje. Obok, na krześle, wisiała sutanna Czesia Bielawnego. Na pierwszy rzut oka nie była brudna ani uszkodzona. Szczegółowe sprawdzenie, czy wszystko gra, zostawiłem na później. Nie chciałem psuć tej pięknej chwili.

Położyłem się, a wtedy ktoś zapukał do drzwi.

– Tak? – Uniosłem się na łokciu.

Na progu pojawiła się Ołena. W ręku trzymała tacę, na tacy talerz, nad którym unosiła się para. Za dziewczyną czaił się Czesio.

– Obudziłeś się... – ni to stwierdził, ni to zapytał. – Jak się czujesz?

– Dobrze.

– Ołena ugotowała czerwony barszcz. Mam nadzieję, że będzie ci smakował. – Pchnął ukochaną lekko w plecy.

Po chwili talerz stał na stoliku. Jak powiedziałem, czułem się dobrze. Nawet bardzo dobrze. Ale jednocześnie trochę dziwnie. Nie tylko dlatego, że nie wiedziałem, jak i kiedy się tu znalazłem. Po prostu nie potrafiłem sobie przypomnieć, kiedy ostatnio ktoś podał mi posiłek do łóżka.

Ołena zaraz zniknęła. Czesio zamknął za nią drzwi, usiadł na taborecie.

– Przepraszam, że bez pytania wziąłem sutannę – powiedziałem.

– Nie szkodzi.

– Naprawdę się nie gniewasz?

– Myślę, że nie będzie mi już potrzebna. Nawet gdyby moi starzy stanęli za chwilę w drzwiach twojego mieszkania, nie włożę jej na siebie. Koniec tematu. I lepiej by było... – tu zawahał się na chwilę – żebyś ty też jej więcej nie wkładał.

– A jednak... Mocno się rozdarło? Może da się zacerować albo zszyć.

Westchnął ciężko, przewracając oczami.

– Chyba nie zdajesz sobie sprawy z tego, co się wydarzyło, Antku – rzekł z powagą Bielawny.

W tym samym momencie przełknąłem pierwszą łyżkę barszczu Ołeny. Był pyszny i w sam raz gorący. Z tych powodów nie od razu dotarł do mnie sens słów przyjaciela.

– Szukają cię – rzekł, nie bacząc na to, że mógłbym się zakrztusić. – To znaczy nie ciebie, a księdza, który pojawił się dzisiaj rana w więzieniu...

– To pocieszające – bąknąłem.

– Co prawda ksiądz nie musiał mieć nic wspólnego z atakiem, ale chyba tylko dziecko by w to uwierzyło. Zaraz po tym, jak dowiedzieli się, że odbito więźniów pod Aninem, a ciebie nie znaleziono wśród zastrzelonych strażników i esesmanów, gestapo sprawdziło niemal wszystkie warszawskie parafie z Anną i Świętym Krzyżem na czele, więc wiedzą, że nikt nie wysyłał stamtąd kapłana. Niestety, kilku młodych księży musiało się pofatygować na Szucha.

Odstawiłem niedokończoną zupę na stół. Zrozumiałem, że w porównaniu z tym, o czym opowiadał, zniszczenie sutanny to pestka.

– A są jakieś dobre wiadomości? – zapytałem.

– Owszem. Chłopaki wysadzili w Choszczówce niemiecki pociąg pancerny, który jechał z Gdańska na front wschodni. Za każdym razem, kiedy słyszę coś takiego, boję się, ilu naszych braci zapłaci za to głową w jakimś lesie albo na ulicy. Nie wszystkich da się wyciągnąć tak jak Belę i Władka.

– Co z nimi? – zainteresowałem się.

– W porządku. Franek jest tylko mocno poobijany, ale do wesela się zagoi, jak to mówią. Trochę gorzej jest z Władkiem...

– Co?! – Wstałem gwałtownie z łóżka.

– Będzie żył, ale, jakby to powiedzieć...

Nie dokończył. A właściwie to ktoś zrobił to za niego. Zza drzwi dobiegł przerażający wrzask, a zaraz potem odgłosy szamotania i chyba nawet uderzeń.

– Przyszli po mnie! – rzuciłem głucho, ale zamiast ruszyć w stronę okna albo próbować ukryć się choćby pod łóżkiem, skierowałem kroki

w stronę hałasu i niebezpieczeństwa; Czesio mnie nie zatrzymywał.

Wypadłem do przedpokoju i oto, co ujrzałem: w kącie między drzwiami na korytarz a wieszakiem siedział na podłodze nie kto inny jak Władek Michalski. Skurczony, obejmował głowę rękami, jakby obawiał się, że może spaść na nią cios.

– Ja nic nie wiem. Nic nie wiem! – zawołał, chyba trochę ciszej niż przed chwilą, chociaż w jego oczach znać było czyste szaleństwo.

– Uspokój się – powiedziałem. – Jesteś u mnie w domu, bezpieczny. Nic ci już nie grozi.

Złapałem się jednak na tym, że stoję w pewnym oddaleniu od Władka. Jakbym się obawiał, że może mnie zaatakować. Był to przecież chłop na schwał. – Ja nic nie wiem... – powtórzył, nie zmieniając pozycji, po czym spomiędzy jego warg zaczęło się wydobywać tylko jednostajne rżenie, z którego niepodobna było cokolwiek zrozumieć.

I nie wiadomo, jak długo byśmy tak stali ja i Czesio Bielawny, gdyby nie otworzyły się drzwi i do mieszkania nie wparował ktoś jeszcze. Był to kapitan Jacek we własnej osobie. Nawet nie oburzył mnie fakt, że wszedł bez pukania, jak do siebie. Zaskoczyło mnie za to to, że z kolei jego nie zdziwiło zachowanie podwładnego. I że nie wrzasnął, czego można się było spodziewać po wcześniejszych dokonaniach, ale z troską, jakby miał do czynienia z małym dzieckiem albo osobą starszą, pochylił się nad leżącym i zaczął do niego przemawiać.

Następnie wyprostował się i zbliżył się do nas.

– Jak zdrowie? – zapytał.

– Dziękuję, dobrze – odrzekłem, mimowolnie prostując się i opuszczając dłonie wzdłuż miejsca, gdzie przebiegałyby szwy, gdybym miał na sobie portki.

– To się cieszę. Bo z nim, jak sami widzicie, nie najlepiej. – Wskazał na podporucznika Michalskiego, który w tej chwili wił się po podłodze przedpokoju niczym wyciągnięty z ziemi robak; takich ćwiczeń polowych nie odbywali chyba nawet szeregowi w karnej kompanii.

– Co się stało? – chciałem wiedzieć.

– Nie widzisz? Załamał się psychicznie, choć podobno nie wzięli go nawet na jedno przesłuchanie. Pewnie nie mieli pojęcia, że mają pod

kluczem oficera. I dobrze. Teraz najważniejsze, żeby zdołał z tego w miarę szybko wyjść. Potrzebujemy go.

– Myślę, że przydałby się jakiś lekarz – zaproponowałem nieśmiało.

Jacek położył mi rękę na ramieniu i rzekł, przymknąwszy na chwilę oczy:

– Myślmy tak samo, młody przyjacielu.

Spektakl, w którym mimowolnie brałem udział, trwał w najlepsze. Na szczęście Władek już nie krzyczał ani nawet nie rzeził. Za to na scenie pojawiła się nowa postać. Był to szczupły, wysoki pan o lisiej twarzy.

– To pan doktor ze szpitala w Tworkach – przedstawił go szybko Jacek.

Początkowo nie dotarła do mnie nazwa miejscowości, od wielu lat znana doskonale każdemu warszawiakowi.

– Dobry wieczór – powitałem gościa, jak na gospodarza przystało.

Następnie podnieśliśmy Władka bardzo ostrożnie z podłogi. Na szczęście nie stawiał oporu, chociaż nadal wciąż coś mamrotał. Samodzielnie dotarł do mojego pokoju, gdzie po chwili doktor rozpoczął badanie.

*

Dochodziła północ. Kończył się ten szalony dzień, jednocześnie powoli kończył się wrzesień, najsmutniejszy polski miesiąc. W mieszkaniu przy Jasnej było ciemno. Władek dostał zastrzyk i spał jak dziecko w moim pokoju; nie miałem bowiem wątpliwości, że powinienem oddać mu swoje łóżko, przynajmniej na tę noc. Tym bardziej, że czułem się naprawdę dobrze. Nie byłem nawet senny.

Kapitan Jacek poszedł sobie, choć zapowiedział się na jutro. Czesio i Ołena zamknęli się w swoim pokoju (coraz częściej łapałem się na tym, że nazywam tak pomieszczenie, w którym mieszkał przecież ojciec z Aliną) i położyli się spać. Siedziałem w kuchni nad lampą karbidową, a wraz ze mną siedział Franek.

To on przywiózł do nas psychiatrę, choć z jakichś powodów nie

wszedł z nim od razu do mieszkania. Wciąż powłóczył nogą, ale chyba nie był to jedyny powód spóźnienia. Może nie chciał widzieć strzykawki. Nawet najtwardsi się ich bali.

– Boli? – zapytałem.

– Jeszcze trochę tak – syknął Bela.

– Herbatę zrobię.

Podzieliłem na dwie części ostatnią porcję mieszanki ziołowej, której, celowo albo przez przypadek, nie wzięła ze sobą Katarzyna Koziukowa.

Po pierwszym łyku Franek Bela zaczął opowiadać.

– Aby odnaleźć brata Lecha Adamskiego, musiałem przypomnieć sobie o starych kumplach. Na pewno nie chciałbyś ich poznać, choć mówi się, że warto mieć w notesie telefon do przynajmniej jednego takiego druha. Ja miałem ich kilku, jeszcze z czasów Annopola i tamtejszej ferajny. Koniec końców udało mi się złapać dwóch, z czego jeden tylko nadawał się do użytku. Drugi zajmował się bowiem produkcją bimbru na wielką skalę i, jak to często bywa, nie znajdował w sobie wystarczającej siły, aby nie próbować swoich produktów.

– A ten drugi?

– Jak mówię, był na jako takim chodzie. I, co najważniejsze, miał znajomości wśród strażników na Pawiaku. Nawet tych, do których z pozoru nie miał dostępu nikt prócz ich psa. Przystąpiłem od razu do działania. Jedno spotkanie, by sprawę wyłuszczyć, potem drugie, aby się dowiedzieć, czy jest beznadziejnie, czy tylko bardzo źle. Zdawałem sobie sprawę z tego, że mogę trafić na takich, którzy będą mnie zwodzili, kręcili, ile tylko można, a przede wszystkim bez końca podbijali cenę. Ale miałem fart. Wkrótce strażnik poinformował mnie, że żadnego Adamskiego na Pawiaku nie ma. I, co najważniejsze, a może też najdziwniejsze, nigdy nie było.

– To powiedział już kiedyś Lenc – przypominałem sobie.

– No właśnie. Ale jakoś nie wydało mi się to dziwne czy podejrzanе.

– Przecież nie wywieszają na drzwiach list aresztowanych, tak jak PIST wywieszał listę osób przyjętych na pierwszy rok studiów aktorskich.

Myślałem, że się zaśmieje z tego porównania (sam się na takiej liście przyjętych kiedyś znalazłem!), ale tak się nie stało. Franek mówił dalej z powagą:

– Jedyne, co pozostało, to szukać w innych więzieniach.

– A powiedz – przerwałem mu – jaką rolę odegrał w tym wszystkim Władek. Widziałem was przecież, jak rozmawialiście w fotoplastikonie. W dodatku z jakimś wyższym oficerem.

– Zgadza się. Chcieli, abym węszył również dla nich.

– Chyba nie za darmo?

– Oczywiście, że nie – oburzył się Bela. – Jestem po prostu człowiekiem do wynajęcia, choć nie dla każdego będę pracował. No i przede wszystkim nie za darmo. Oczywiście, gdyby chodziło o któregoś z nas, chłopaków z Batorego, nawet nie pytałbym o pieniądze. Znasz mnie. Tutaj jednak sytuacja była zupełnie inna. I dużego kalibru.

– Czyżby chodziło o...

– Tak. O generała G., komendanta głównego, którego Władek jako członek jego straży przybocznej nie dopilnował, bo poszedł z tobą do burdelu – wyrzucił z siebie jednym tchem i jeszcze wystarczyło mu na krótki, nieco irytujący śmiech.

Zrobiło mi się trochę niewyraźnie.

– Skąd o tym wiesz?

– Musiałem się dowiedzieć wszystkiego.

Machnąłem w powietrzu rękami, co miało oznaczać, że sprawa jest niewarta uwagi. Tak naprawdę jednak przypomnienie tamtego wydarzenia spowodowało, że poczułem niezbyt mocne, ale jednak ukłucie w sercu.

– Jeszcze mają nadzieję, że on żyje? – zapytałem, siląc się na lekki ton właściwy komuś, kto przyjechał tu tylko na jeden dzień z Indochin i zaraz pędzi dalej, na Grenlandię.

– Jak widać tak – westchnął Franek. – Z początku nie chciałem przyjąć tego zlecenia, bo gdzie ja, a gdzie naczelne dowództwo. Na pewno mają lepszych ode mnie. Ale się upierali, więc chyba wykorzystali już wszystkie możliwości. No to zacząłem pytać. Wiedziałem, że muszę być bardzo ostrożny. Sam wiesz, że wszędzie aż

roi się od prowokatorów i wtyk gestapo.

Na dłuższy moment zapanowała cisza. Zza ściany dobiegł głos Władka, być może mówił przez sen. Wolałbym, żeby tak było, bo raczej nie uśmiechało mi się szukać w Warszawie po nocy psychiatry.

Ledwo ucichły westchnienia, z drugiej strony rozległ się chrobot. To nasz królik Leo rozpoczynał swoje tradycyjne nocne wojaże po mieszkaniu.

– Taki to ma kławe życie, co? – powiedział Franek.

– Żebyś wiedział – westchnąłem.

Zaczął opowiadać dalej.

– Pytałem. Na Rakowieckiej, Daniłowiczowskiej, na Gęsiej i w jej podobozach. Nawet na dołkach w kilku komisariatach. Zdawałem sobie doskonale sprawę z tego, że stąпам po grząskim gruncie. Nieraz miałem ochotę po prostu rzucić to i dać nogę z miasta, nad morze albo przeciwnie, w góry jakieś. Ale potem przypominałem sobie o pieniądzach, które miał zapłacić Adamski za uwolnienie brata.

– Ile to było? Trzy tysiące dolarów?

– Twoja prywatna Agencja Reutera śpi, kolego, albo zatrzymała się na etapie gołębia pocztowego. Adamski podwoił tę sumę!

– Nieźle. W życiu nie widziałem i pewnie nie zobaczę takiej forsy...

– Na pewno jeszcze zobaczysz. Obyś tylko widział coś więcej. Bo ja, niestety, okazałem się ślepy i głuchy. Nikt co prawda za mną nie chodził, to raczej ja wdepnąłem w łajno. Ktoś mi doniósł, że o drugim Adamskim mogą coś wiedzieć na Zieleniak. Skąd nagle Zieleniak, skoro wcześniej szukałem po więzieniach, nie pytaj.

– Nie pytam.

– Poszedłem tam, zacząłem pytać o jednego faceta. Szedłem od fury do fury, jak ta baba, co szuka odpowiednio dużych jajek na wielkanocny stół. Wreszcie ktoś podał mi adres, niedaleko, na Woli. Udałem się tam od razu. I wlałem w sam środek kotła, którego na szczęście nie zrobili Niemcy, a granatowi. I nie chodziło o konspirę, ale przemyt.

– Był tam też Władek?

– Nie. Jego spotkałem dopiero w „Centralniaku”.

Potarłem się po nieogolonym policzku. Coś mi tu nie pasowało.

– Skoro zwinęli cię na Woli, to dlaczego widzieli cię potem na Mokotowskiej?

Wzruszył ramionami.

– Nie potem, a przedtem – sprostował. – Szukałem Adamskiego, jak ci mówiłem, nawet w aresztach poszczególnych komisariatów. W jednym pracował stary znajomy, który mnie po prostu podwiózł.

– Samochodem gestapo?

– Z policji.

Coś mi tu nie pasowało, wszak pan Pipke wyraźnie mówił o aucie gestapo.

– Pojechałem wtedy właśnie na ten pieprzony Zieleniak – ciągnął Franek. – Niestety, znajomy nie brał potem udziału w zasadzce, którą zaplanowano na Woli. Zresztą nawet nie wiem, czy cokolwiek by zrobił, żeby mnie z tego wyciągnąć. Tak oto, szukając Adamskiego w pierdłu, sam do niego trafiłem. O to, skąd chłopaki Jacka wiedzieli, gdzie i kiedy się zacząć, zapytaj już kogoś innego.

Lampka zaczęła przygasać, pewnie skończył się karbid. Leo już nie hałasował. Poczulem znużenie. Należało skończyć wreszcie ten dzień i udać się na spoczynek. Ale przedtem trzeba było rozwiązać jeszcze jedną palącą kwestię.

– A teraz powiedz mi najważniejszą rzecz, przyjacielu.

Franek spojrzał na mnie wyraźnie zaskoczony, może nawet przejęty.

– Co? – zapytał.

– Który kąt w kuchni wybierasz do spania?

*

Następny dzień zaczął się spokojnie. O świcie nikt nie załomotał do drzwi (o, dzięki Ci, Boże!), a na śniadanie zjedliśmy świeżo zdobyte i przyrządzone wiktuały (pobłogosław, Boże, te dary!). Do tego Franka przestała boleć noga, a Władek był dawnym Władkiem Michalskim, którego dobrze znaliśmy i lubiliśmy. Może nawet nie pamiętał, że wczoraj zaglądał tutaj jakiś lekarz i go nakłubał.

A potem Czesio Bielawny wstał od stołu, bo spieszył się do pracy.

– Nie obraziłbym się, gdyby po moim powrocie okazało się, że zdobyliście Berlin – powiedział ze śmiertelnie poważną miną.

– Jak sobie pan życzy – odrzekłem podobnym tonem.

Zaśmialiśmy się wszyscy prócz pana podporucznika Michalskiego. Ten sprawiał bowiem w tej chwili wrażenie człowieka, którego nie obchodzi nic prócz kromki chleba, posmarowanej równo, aż po krawędzie skórki, kartkową marmoladą z czerwonych buraków.

– To cześć, umiłowani bracia i siostry – rzucił były ksiądz i zniknął z kuchni; zaraz też usłyszeliśmy odgłos zamykanych drzwi.

Chwilę potem w głównej roli wystąpił Władysław Michalski. A dokładniej wziął i... zwariował.

Zaczęło się od tego, w jaki sposób trzymał w ręku łyżkę. Każdy z nas siedzących przy stole dzierżył łyżkę czy inny sztuciec, wciąż bowiem staraliśmy się spożywać posiłki pięknie i z godnością, chociaż pewnie wielu wolałoby, żebyśmy jedli jak zwierzęta. I to, co zwierzęta.

Władek trzymał jednak tę nieszczęsną łyżkę w sposób, który mnie zaniepokoił: jak król dzierżący berło. Ale to nie wszystko: jego, Władka, palce zaciskały się na kawałku metalu do białości, a cała dłoń się trzęsła. Przeniosłem spojrzenie na jego twarz. Michalski wpatrywał się nieruchomo w jakiś punkt na ścianie kuchni.

– Władek. Co ci? – zapytałem.

Nie odpowiedział. Nie zmienił też ani trochę pozycji. Po chwili dostrzegłem jednak zmiany w jego spojrzeniu – gałki oczne obracały się, jakby wodził wzrokiem za latającą muchą. Nic jednak po kuchni nie latało, żadnego zapóźnionego owada. Czułem, że nie jest za dobrze.

– Idź do siebie – poleciłem Ołenie.

Bez słowa wytarła dłonie w ściereczkę, zabierała się już bowiem do zmywania po posiłku, i opuściła kuchnię. Zostaliśmy więc tylko w męskim towarzystwie, we trzech.

– Co się dzieje, Władziu? – zapytałem pieszczotliwie, ale jednocześnie zasadniczo, a przede wszystkim dużo głośniej niż przed chwilą.

– Zabiłem go – odpowiedział, niemal nie otwierając ust.

– Kogo?

– Generała. To przeze mnie wpadł.

Nie wiedziałem, co to ma znaczyć. I choć problem znaleźliśmy z Frankiem doskonale, żaden z nas nie miał pojęcia, jak go rozwiązać. Rozmową, łagodną, niegłośną, jakby przemawiało się do małego dziecka? Czy może wręcz przeciwnie – krzykiem kaprała i kilkoma koszarowymi przekleństwami. W pewnej chwili pomyślałem, że moglibyśmy spróbować obydwu sposobów, naprzemiennie. Wszak było nas dwóch. Normalnych.

Zaraz jednak wszystkie te plany wzięły w łeb. Podporucznik Władysław Michalski gwałtownie odsunął krzesło, następnie szparko wspiął się na nasz stół. Przejmująco jęknęła filizanka potrącona jego bosą stopą.

– Władek, nie wygłupiaj się – tym razem odezwał się Bela, z pełnymi ustami, bo jeszcze nie skończył śniadania, a tu mu przerywają i to jeszcze w tak nikczemny sposób.

– Zejdz – przyszedłem w sukurs przyjacielowi.

Ale nasz żołnierz zdawał się tego nie słyszeć. Stanąwszy na blacie, na szeroko rozstawionych nogach, jał rozglądać się po ścianach. Gdy byłem mały, też lubiłem to robić, bo zupełnie zmieniał to perspektywę, było jakimś urozmaiceniem życia w warszawskim mieszkaniu. Szczególnie mroźną zimą, kiedy nie można było wyjść z domu.

Ale przecież wszyscy już dawno dorośliśmy!

– Nie rób cyrku – dorzuciłem.

Dlaczego nikt z nas nie zapytał wczoraj tego lekarza z Tworek, co robić, gdy objawy u Władka znów się nasilą? Może zostawił jakieś tabletki albo jeszcze jedną strzykawkę? – zastanawiałem się gorączkowo.

Ech, o ile byłoby łatwiej, gdybyśmy mieli do czynienia z chorym, ale na ciele, nie na umyśle. Nawet obłożnie chorym, którego trzeba by było bez przerwy doglądać, termoforami okładać, zupki gotować, leki aplikować, temperaturę mierzyć, na bok przewracać, żeby nie dostał odleżyn, pościel zmieniać czy myć, żeby nie śmierdział. Takie właśnie myśli przelatywały mi przez głowę, gdy patrzyłem na

znieruchomiącego na naszym kuchennym stole Władka.

Franek przynajmniej działał. Pragmatycznie, jak to on. W kilka chwil zebrał ze stołu całą zastawę, która przecież w każdej chwili mogła zostać strącona przez szaleńca na ziemię i rozbita w drobny mak, i przeniósł do zlewu.

– A może chciałbyś pogadać z Jackiem, co? – zapytał Władka. – Powinien lada chwila tu przyjść.

Przypomniałem sobie, że w istocie tak miało być. Kapitan zapowiadał, że wpadnie, choć nie sprecyzował, o której dokładnie godzinie. A przecież teraz liczyła się każda minuta. Pocieszałem się, że jeśli Michalski będzie chciał skoczyć z okna, a miał niedaleko, zdołamy go z Belą unieruchomić i powstrzymać.

Ale Władzio zamiast skakać ze stołu na parapet, a potem na Jasną, wyprężył się, dotknął oburącz uszu, by następnie opuścić gwałtownie ręce. Przypominał mi aktora przekonanego o własnej wyjątkowości, samozwańczego mistrza z prowincjonalnego teatryku, który w widowiskowy sposób skupia się przed wypowiedzeniem dłuższego monologu.

I nie byłem wcale daleki od prawdy.

– Nam strzelać nie kazano – wyrzucił z siebie Władzio znane skądinąd i tchnące jakąś rzewnością słowa. – Wstąpiłem na działo i spojrzałem na pole; dwieście armat grzmiało...

Niewidzialna dłoń chwyciła mnie mocno za gardło. Pamiętałem te słowa doskonale.

– Artylerii ruskiej ciągną się szeregi. Prosto, długo, daleko, jako morza brzegi... – zadeklamowałem bezwiednie dwa kolejne wersy.

Franek zerkał to na mnie, to na stojącego wciąż na stole Władka, jakbyśmy obaj byli zapowietrzeni.

Nie, nie, przecież ja jestem normalny! Po prostu nie mogłem nie zacytować dalszego ciągu. Jako człowiek legitymujący się maturą, a przede wszystkim – pal licha, jak to zabrzmie – jako Polak...

Ale najwyraźniej nie miało się skończyć tylko na niewinnej deklamacji. Michalski, podobnie jak ja, w pewnej chwili się wzdrygnął. Jego wzrok stał się jakby bardziej przytomny. Znów potoczył nim po ścianach kuchni, następnie po nas, kończąc na

podłodze. W tej chwili źrenice Władka się rozszerzyły, jakby on sam dziwił się, a może nawet przestraszył, że wlaź tak wysoko. Psycholog był ze mnie żaden, ale postanowiłem to wykorzystać.

– Złaź – rzuciłem twardo. – I to szybko, bo zaraz się sąsiedzi zlecą i będzie nieszczęście.

– No już – przyłączył się Franek.

Reakcją Władzia było sprężyste podniesienie głowy, które podczas musztry paradnej towarzyszy zwykle wykonaniu komendy „bacność!”. Po chwili ręce wyprostowały się wzdłuż szwów portek, mimo że były to portki od piżamy. Czekalem tylko, aż gwałtownie zetkną się jego pięty. Bez charakterystycznego stuknięcia, Michalski był wszak boso. I tak się stało.

– W lewo zwrot! – zakomenderował oficer na koszarową modłę, po czym sam wykonał komendę; jak można było przypuszczać, uczynił to bez zarzutu.

– Zaraz naprawdę mogą się ludziska zlecieć... – warknął Bela, chociaż to przecież ja jako główny lokator powinienem stać na straży spokoju tego miejsca.

Tymczasem Władzio najwyraźniej się rozkręcał.

– W prawo zwrot! W tył zwrot! – wołał sam do siebie, a stół skrzypiał coraz bardziej; już nawet nie chodziło o to, że stał na blacie z niezbyt czystymi nogami, ale że nienowyy mebel mógł po prostu tego nie wytrzymać.

– Jak za chwilę będzie „padnij, powstań”, wychodzę – oświadczył Franek Bela, splatając ręce na piersiach.

– Zostawisz mnie z nim samego? – przestraszyłem się.

– I tak muszę wyjść, bo się umówiłem na mieście.

– Naprzód marsz! – ryknął Michalski.

Zdębieliśmy. Co robić? Łapać go czy raczej się odsunąć, a to będzie oznaczało ni mniej, ni więcej, że dopuścimy, by niepoczytalny Władzio połamał sobie gnaty. Albo nawet się zabił.

I nie wiadomo, jak by się to skończyło, gdybyśmy chwilę później nie usłyszeli za plecami znajomego, stanowczego głosu. Do kuchni wszedł niepostrzeżenie kapitan Jacek. Przez krótką chwilę zastanawiałem się, czy znów wlaź sam, czy może jednak poczekał, aż otworzy mu Ołena.

Nie pytał, co tu się dzieje, według mnie w ogóle nie wyglądał na zdziwionego. A może po prostu zdawał sobie sprawę z tego, że nie ma wiele czasu na podjęcie decyzji.

– Baczość – wydał komendę, nawet niezbyt głośno.

Spojrzeliliśmy na wariata. Patrzył przed siebie, a w jego wzroku było coś, co można zauważyć u ludzi, którzy po raz pierwszy widzą na własne oczy jakiś cud natury. Co ujrzał Michalski, o tym żaden z nas nie miał na razie pojęcia. Przybrał postawę zbliżoną do zasadniczej, ale po krótkiej chwili ponownie zakrzyknął:

– Naprzód marsz!

Kolejne spojrzenie na kapitana. Co teraz? Może w prześcieradło?

– Od kiedy to trwa? – zapytał Jacek.

– Kilka minut – odpowiedziałem. – Siedział spokojnie, jadł grzecznie ze wszystkimi śniadanie, a potem nagle wskoczył na stół.

– Prysiudy robił? – drążył kapitan.

– A co to takiego? – zapytał Franek.

– Nie, nie robił – odrzekłem.

Michalski uniósł w górę lewą nogę, cofnął lewą rękę, krawędzią prawej zaś dotknął okolic serca. Za to w dłoni przybysza ujrzałem coś czarnego. Był to znany mi rewolwer. Spojrzałem na niego z przerażeniem. W tej samej chwili gęstniejącym coraz bardziej powietrzem w mojej kuchni wstrząsnął huk...

*

Kiedy na rogu Marszałkowskiej i Nowogrodzkiej skręciliśmy w prawo, stwierdziliśmy, że kolejka już stoi. Moim naturalnym odruchem zawsze było przyspieszenie kroku. Nie ma nic gorszego, jak spóźnić się dosłownie kilkanaście albo nawet kilka sekund i patrzeć, jak skład się oddala. Kilka razy zdarzyło mi się coś takiego i zawsze miałem wrażenie, że siedzący w środku pasażerowie się ze mnie śmieją, wytykają palcami.

Teraz jednak szedłem spokojnie. Nie można było inaczej, bo miałem towarzystwo. Był to wyjątkowy pochód. Otwierał go Franek; był tak

przejęty rolą, że nawet przestał kuleć. Następnie kroczyliśmy ja i kapitan Jacek. No i najważniejsze: pomiędzy nami znajdował się Władzio Michalski.

Nie, to nie była powtórka sprzed kilku miesięcy, kiedy musieliśmy się pozbyć z fotoplastikonu ciała zabitego niemieckiego oficera i udawaliśmy pijanych, którzy tachają kompana, co to mocno nadużył sznapsa. Władzio żył przecież. Był tylko otumaniony lekiem, który wstrzyknął mu Jacek chwilę po tym, jak otrzeźwił go wystrzałem z rewolweru.

„To u pana było, sąsiedzie?” – dopytywał jeden z mieszkańców kamienicy, którego zaniepokoił huk.

„Tak, ale proszę się nie denerwować. To tylko karbid” – skłamałem szybko, gładko i podług tego, co podpowiedział mi kapitan, ujrawszy moją niewyraźną minę chwilę po zakończeniu terapii szokowej.

Okazała się niezwykle skuteczna. Michalski zwiotczał bowiem, mimo że kula wbiła się w podłogę, nie zaś w którąś z komór jego serca. Przez ułamek sekundy bałem się, że tak jak nie spadł wcześniej, tak teraz runie i nie będziemy w stanie go złapać. Ale, ku mojemu zdziwieniu, Michalski po prostu zszedł ze stołu, by następnie stanąć przed swoim przełożonym. Coś mamrotał, ale to już nie było ważne.

Wyszliśmy z kamienicy, na szczęście niezaczepiani przez nikogo więcej. Na podwórku nie było nawet stróża, choć przecież zawsze można było go tam spotkać. Podjechaliśmy kawałek tramwajem. Dopiero gdy z niego wysiedliśmy, kapitan Jacek ujawnił nam, co będzie dalej.

– Nawet nie wiedziałem, że kolejka EKD jeździ do Tworek – dziwił się Bela, gdy już dochodziliśmy całą czwórką do ostatniego wagonu.

– Ciszej mów – zganił go Jacek.

– Co ciszej? – zeźlił się Bela.

– Nie jeździłeś nigdy na majówki do Podkowy? – zapytałem, by zneutralizować jakoś tę napiętą sytuację.

– Tylko do Świdra – bąknął w roztargnieniu Franek.

– Też pięknie.

Miałem nadzieję, że jest po temacie. Pomogliśmy wtarabanić się do środka oszołomionemu lekami Władkowi. Ciężko klapnął na ławce, po

czym wybałuszonymi oczami jął się rozglądać na boki. Ja i Bela wyszliśmy. Stanąwszy na chodniku Nowogrodzkiej, Franek zrobił gest, na który i ja miałem wielką ochotę, ale się czemuś powstrzymałem: mianowicie sugestywny gest otrzepywania rąk. Wykonaliśmy robotę, pozbyliśmy się problemu, to teraz mamy zasłużony fajrant.

– Ale ja myślałem, że pojedziemy wszyscy... – powiedział wówczas Jacek, stając w drzwiach wagonu kolejki.

– Do Tworek? – Bela znów wypalił bez namysłu, a może wręcz przeciwnie: zrobił to specjalnie, na złość kapitanowi.

Tym razem jednak nie czekała go za to reprimenda. Oficer spojrzał na nas błagalnie.

– Sam sobie nie poradzi – rzekłem cicho do Beli.

– Nigdzie nie jadę.

Wskoczyłem na stopień. Sekundę później maszynista uruchomił kolejkę.

*

Zgrzytając kołami po szynach ułożonych pomiędzy brukiem, ruszyła z mozołem wąwozem Nowogrodzkiej, po kilku chwilach, już lekko, jakby od niechcienia, przecięła Grójecką. Przeleciała przez Szczęśliwicką, aby po kilkunastu minutach pokazać pasażerom w oknach wagonów zupełnie inny świat. Kolejka EKD, ziszczone przed laty marzenie Lilpopa, którą czasami żartem nazywałem grubą kuzynką tramwaju, wciąż wozila ludzi z Warszawy do położonych na zachód od niej mniejszych miejscowości.

Skąd mi się wzięło to zdziwienie, zdziwienie bliskie zgorszeniu, że Franek nie jeździł przed laty na majówki w okolice Lasu Młochowskiego, skoro ja sam tego nie robiłem? Nie miałem pojęcia. Ale jeszcze trudniej było mi wytłumaczyć przed samym sobą swą obecność w pociągu.

„Nie musiałeś” – powiedział Jacek chwilę po tym, jak zająłem miejsce naprzeciwko wojskowych, a kolejka ruszyła; skojarzył mi się

z obrażoną ciotką, starą panną, która właściwie nie wie, czego chce.

Nie odezwałem się wtedy słowem. Ani przez najbliższych kilkanaście minut. Co więcej, ledwo pociąg przekroczył granice miasta, poczułem się dziwnie samotny.

Rozejrzałem się po wnętrzu wagonu. Nie był zapełniony nawet w połowie, co dalece ułatwiało obserwację. Rozpoznałem ludzi, którzy wybierali się na grzyby. Zaczął się październik, sezon jeszcze trwał, a było to ciekawe urozmaicenie biednego menu. Sam bym chętnie skosztował. Zwróciłem też uwagę na parę, chłopaka i dziewczynę. Przytuleni, niemal spleceni ze sobą jak drzewo i bluszcz, sprawiali wrażenie, jakby świata poza sobą nie widzieli. Jeszcze bardziej spochmurniałem. Pośród pasażerów nie zabrakło też ludzi, którzy, na moje oko, jechali do podwarszawskich wsi po jedzenie. Pomyślałem o ojcu. Ciekawe, co u niego i kiedy wróci...

Jednocześnie z każdym przejechanym kilometrem czułem, jak przestają mnie dotyczyć codzienne problemy: goście w naszym mieszkaniu, którzy mieli się zatrzymać tylko na chwilę, a lada dzień miał się zacząć już piąty miesiąc, jak mieszkali.

Za Szczęśliwicami była bocznica do Włochów. Przypomniałem sobie o samotnej modnisi Irenie, Irce dla przyjaciół. Nie mogłem nie uśmiechnąć się do tego wspomnienia.

Zmiana na mojej twarzy zwróciła uwagę Jacka.

– Co? – zapytał.

Wzruszyłem ramionami.

– Nic – odrzekłem. – A co?

Z jego gardła wydobył się tylko krótki charkot dzika.

Kolejka zatrzymała się na przystanku Opacz. Zakochani wysiedli. Na ich ławce po chwili usiadła jakaś baba z wielkim koszem nakrytym białą ściereczką. Gdy pociąg ponownie ruszył, zaczęła się też ruszać ściereczka. Po kilku chwilach wydostała się spod niej gęsia głowa. Ptak zaczął z zaciekawieniem rozglądać się po nieznanym sobie wnętrzu.

Widok ten znów spowodował zmianę na mojej twarzy. Widząc to, kapitan zmarszczył brwi, a jego czoło z miejsca pocięły poziome bruzdy.

– No co?!

Zamiast odpowiedzieć, spojrzałem ostentacyjnie za okno, na przesuający się za nim smutny, jesienny mazowiecki krajobraz. Wiedziałem, że to się Jackowi nie spodoba.

Ale tak właśnie miało być. Zamierzałem zupełnie zignorować durnia. Nie mogłem jednak przestać się uśmiechać, a to w połączeniu z brakiem odpowiedzi na pytanie – głupie, bo głupie, nieprzyjemne, bo nieprzyjemne, ale zawsze pytanie – stanowiło mieszankę wybuchową. W dodatku jeszcze mi się prychnęło, kilka kropelek śliny rozsiało się po szybie.

Jacek poczerwieniał z gniewu jak indor.

– Staniecie do raportu, żołnierzu – wysyczał.

No to znów parsknąłem, tym razem o wiele głośniej.

– Dobre sobie!

Aż jakiś pan siedzący w następnej ławce, plecami do Jacka i Michalskiego, oderwał wzrok od czytanej gadzinówki i obejrzał się przez ramię. Może po to, aby się upewnić, czy to aby nie z niego te szyderstwa. Wtedy kapitan czujnie odwrócił się i ich spojrzenia się spotkały.

– Czego?

Widziałem, jak źrenice tamtego się rozszerzają, a wargi drżą. Zaszleściły strony „Kurwara”, mięte nerwowo w palcach.

– Przepraszam – bąknął ciekawski.

– Proszę. Czytaj dalej bajki.

I jednocześnie powrócili do wcześniejszych pozycji.

Ale to jeszcze nie był koniec. Swoim śmiechem... zaraziłem bowiem Władka. Jeszcze kilka chwil temu apatyczny, nieobecny duchem, wciąż przecież działał mocny najprawdopodobniej lek, teraz zaczął wodzić ciekawym wzrokiem po wnętrzu wagonu. Jakby dopiero uświadomił sobie, gdzie się znajduje. Może nawet tak było.

Pamiętałem z liceum wybuchy wesołości Michalskiego. Trzęsła się wtedy szkolna ława, aż trzeba było trzymać osadzony w niej kałamarz, by się nie wylał atrament. Drewno skrzypiało, popiskiwało, trzeszczało. A jak Władzio z tej uciechy nie daj Boże klasnął w dłonie, najbliższe znajdujące się osoby podskakiwały, jakby im nad uchem ktoś wystrzelił z korkowca.

– Wyborne – powiedział Michalski i były to jego pierwsze słowa, które wypowiedział od chwili, gdy na stole deklamował *Redutę Ordoną*; czy logiczne, to należało sprawdzić.

– Co? – zapytałem ostrożnie. – Co, Władku?

– To, że tak sobie siedzimy i jedziemy.

To powiedziawszy, klepnął się dłońmi w kolana.

– To naprawdę wyborne!

Źle nie było, przynajmniej na razie. Każdy mógł się przecież cieszyć z podróży pociągiem.

Ledwo o tym pomyślałem, Władzio znów się roześmiał. Ale tak na cały głos. W podobny sposób mógł się śmiać smok wawelski, pochylając się nad niewinną i bezbronną owieczką w starej legendzie, którą kiedyś opowiadała mi mama. Rechotał ów smok, póki nie przechytrzył go krakowski szewczyk, podając mu na przystawkę barana nadzianego siarką.

Pomyślałem, że Władziowi pewnie też warto by było zatkać czymś gębę, bo coraz więcej ludzi zwracało na nas uwagę, odrywało się od rozmów, lektur czy zwyczajnej kontemplacji krajobrazu.

– Pijany – już ferowała wyrok jakaś pani w toczku, pokazując nas ruchem głowy i toczka; tak przynajmniej wyczytałem z ruchu jej uszmińkowanych zbyt mocno ust.

Tymczasem Michalski śmiał się coraz głośniejsze. Zupełnie tak jak ja wtedy, kiedy wracałem od Irki. Raz po raz ocierał łzy, które nabiegły mu do oczu z tej wesołości, wciąż klepał się po udach, a kiedy nie klepał, to trzymał się za brzuch. Ani ja, ani chyba nikt inny nie za bardzo potrafiliśmy wskazać źródło tej wesołości. Czy była to mucha łącząca po szybie, ostatnia z żywych? Czyjsz szalik przewieszony przez oparcie siedzenia, majtający się w rytm stukotu kół?

– Uspokój się – powiedział Jacek.

Ciekawe, dlaczego tak późno? – pomyślałem, wszak mnie obsobaczył dużo szybciej.

Nadszedł konduktor. – Bilety do kontroli proszę – powiedział, stając nad nami w lekkim rozkroku, niczym kowboj na chwilę przed sięgnięciem po colta.

Zawsze się zastanawiałem, co sobie taki myśli, gdy staje przed

więcej niż jednym pasażerem. Dlaczego zgrywa chojraka. Gdyby przynajmniej miał przy sobie spluwę...

– Proszę. – Jacek podał mu trzy kartoniki.

Konduktor obejrzał wszystkie bardzo dokładnie, a potem oddał, Jacek nie byłby jednak sobą, gdyby nie jątrzył.

– Sam je nam pan sprzedależ, więc nie rozumiem, o co jeszcze chodzi – wycharczał.

Konduktor nie dał się jednak sprowokować.

– Proszę uspokoić kolegę – rzekł na odchodne.

Kapitanowi pewnie było mało, najwyraźniej chciał scysji. I niechybnie by się jej doczekał, nie z konduktorem, to z kimś innym, gdyby nie tablica z nazwą stacji, która zbliżała się do naszego okna.

– Tworki – przeczytałem bezwiednie.

Gdy minutę później staliśmy na peronie, w oknach odjeżdżającej kolejki EKD widziałem twarze pasażerów, którzy jechali dalej do Pruszkowa, Podkowy Leśnej czy Grodziska i którym być może zepsuliśmy swoim zachowaniem część podróży. Ale wszystko było jasne. Zdradziła nas stacja docelowa. Facet, który czytał „Kurwara”, narysował nawet palcem kółko na granicy czoła i skroni.

– Jeszcze cię dopadnę, skurwysynu! – zagrzemiał Jacek, który również zauważył ten gest.

Dłuższą chwilę staliśmy na peronie. Wreszcie kolejka zniknęła za zakrętem, zrobiło się cicho, jeśli nie liczyć wiatru, który cesał pobliskie drzewa z liści.

Władek już się nie śmiał. Stał teraz sztywny jak tyczka, z miną osobnika, który spośród wysiadających z pociągu na stacji nie doszukał się ukochanej. Wystawiła, suka. Tak bywa.

– Dobra, idziemy – komenderował Jacek.

Przeszliśmy kilkadziesiąt metrów. Po kilku chwilach było już widać zabudowania szpitalne z czerwonej cegły. Alejką, szeleszcząc stopami w suchych liściach, zmierzał w naszym kierunku jakiś pochylony, niemal skurczony, prawdopodobnie od zimna, mężczyzna. Spod szarej jesionki łyśkał białą lekarski fartuch. Gdy podszedł bliżej, mogłem stwierdzić, że to osobnik około czterdziestki, o ciemnej karnacji, mocno łysejący, w okrągłych, drucianych okularach.

Wyglądał na pocziwinę.

Gdy już byliśmy blisko, uśmiechnął się i wyjął prawą rękę z kieszeni płaszcza.

– Jest pan punktualny jak zawsze, kapitanie – rzucił na powitanie.

– To się nie zawsze opłaca, jak pan wie – rzucił z przekąsem Jacek.

Wymieniwszy z oficerem kilka zdań na temat pogody i podróży, łysiejący lekarz przeniósł spojrzenie na mnie i na Władka. Właściwie to najpierw spojrzał na niego, a potem na mnie. I zatrzymał wzrok na dłuższą chwilę.

– Wszystko będzie dobrze – rzekł łagodnie, z uśmiechem.

Zatkało mnie. Jacek odchrząknął, przestąpił z nogi na nogę, po czym rzekł:

– Ale to nie jest ten, doktorze.

– Nie ten? – Lekarz drgnął.

Zaraz też skrzywił się przepaszająco, by z powrotem przenieść wzrok na Władka Michalskiego. Jął mu się przyglądać, zarówno przez szkła okularów, jak i ponad nimi, jednak jeszcze przez kilka dobrych chwil zezował na mnie.

Czyżbym bardziej mu pasował na wariata? – pomyślałem.

– Dobrze, nie stójmy tak, bo strasznie zimno. Zapraszam do siebie. – Wskazał miękkim gestem kierunek. – Proszę, proszę tędy.

Szliśmy umiarkowanie szybkim krokiem. Zauważyłem, że Jacek tytułuje lekarza majorem, musiał więc być to lekarz wojskowy. Raczej nie przebrany za medyka oficer. Coraz silniejszy wiatr hulał w parkowych alejkach, podnosił z ziemi tysięczne liście, szarpał luźnymi elementami naszych ubrań. Na szczęście do szpitala nie było daleko.

Już po chwili ujrzałem w całej okazałości trochę ponury gmach, nad którym górowała prostokątna wieża. Przecieliśmy skwerek z drewnianymi ławeczkami, teraz pustymi, po czym zbliżyliśmy się do drzwi.

– Proszę, zapraszam panów. – Lekarz rozpląwał się w uprzejmościach, jakby prowadził nas do pałacu, nie zaś do lecznicy, i to jeszcze tego rodzaju.

A ja wciąż się zastanawiałem, co takiego kazało mu dostrzec

szaleństwo w moich oczach, nie zaś w oczach Władka. Może widział w nich coś, czego nie widzi przeciętny człowiek, którego na co dzień mijalem na ulicy, w tramwaju czy w sklepie. Czego nie spostrzegł ani Czesio Bielawny, niegdysiejszy ksiądz, a więc specjalista od dusz ludzkich, ani jego Ołena, w której chyba było coś z czarownicy. A nawet Franek Bela, mój najwierniejszy druh, który co prawda teraz zrejterował, ale przecież każdy ma swoją wytrzymałość.

W chwili, gdy przekraczałem próg budynku szpitala, zdjął mnie nagły strach, że może nie będzie mi już dane stąd wyjść...

*

Zaraz po tym, jak w moje nozdrza uderzył charakterystyczny dla takich miejsc smrodek, będący mieszaniną medykamentów, lizolu, gotowanych jarzyn, a także ludzkiego potu i odchodów zalegających w nieopróżnionych basenach i kaczkach, lekarz zabrał Władka i kapitana do siebie. Oczywiście uprzedził mnie i przeprosił, po czym wskazał kilka miękkich foteli ustawionych w rogu westybulu pod palmą w pękatej donicy.

Poranne facecje, nieplanowana podróż, a na koniec jeszcze wysmaganie zimnym wiatrem – wszystko to sprawiło, że z ochotą i wielką ulgą zapadłem się w jeden z foteli. Był stary, skórę miał w wielu miejscach poprzecieraną, w dodatku nie pachniał zbyt pięknie. W tym momencie nie miało to jednak dla mnie większego znaczenia. Przymknąłem oczy.

Nie wiem, ile czasu mogło minąć, ale kiedy na powrót je otworzyłem, ujrzałem siedzącą na bliźniaczym fotelu kobietę. Miała siwe, gładko zaczesane włosy, bladą twarz i niepokojąco błękitne oczy. Ubrana była w różowy szlafrok wyszywany w czerwone lilie.

– Dzień dobry. – Odruchowo wyprostowałem się na fotelu, ale zaraz zwiotczałem zawstydzony, bo ruch na skórze spowodował nieprzystojny dźwięk.

Ale pani chyba tego nie słyszała, a przynajmniej nie dała tego po sobie poznać. Uśmiechnęła się wąsko. To miało wystarczyć na

powitanie.

– Czy widział pan może mojego męża? – zapytała po chwili wysokim, nieco łamiącym się głosem.

– Męża?

– Tak.

Zacząłem się gorączkowo zastanawiać, gdzie miałbym go spotkać. Po drodze nie widzieliśmy nikogo prócz lekarza. Westybul również był pusty, jeśli nie liczyć wąsatego, ponurego cerbera w oszklonym boksie. No i jeszcze, gdy siadałem, gdzieś dalej, w szpitalnym korytarzu mignęły mi białe fartuchy.

– Obawiam się, droga pani, że nie – odrzekłem z przeproszającym uśmiechem. – Nie widziałem pani męża...

Nic nie odpowiedziała. Zacząłem podejrzewać, że może chodzić o kogoś, kto powinien ją tu odwiedzić, a z jakichś powodów tego nie robi. Chwila wystarczyła, aby i mnie udzielił się jej smutek. Nie na długo jednak, bo zaraz wyparł go strach. Spowodowało go kolejne pytanie nieznanym.

– Wie pan, że oni tu przyjdą?

– Kto, łaskawa pani?

– Oni – powtórzyła, ale tym razem zrobiła to scenicznym szeptem i wytrzeszczyła oczy.

Byłem już pewien, z kim mam do czynienia. Szkoda mi było porzucać wygodne miejsce na fotelu, chętnie uciąłbym sobie nawet krótką drzemkę. Że też baba musiała się napatoczyć... Wariatka, to jasne!

Uniosłem się z fotela z zamiarem ucieczki, niechby i na którąś z ławek stojących na podwórku. Kwadrans na chłodzie wytrzymam, nie ma co robić tragedii.

Ale kobieta, przeczuwając, że chcę jej czmychnąć, złapała mnie za przegub lewej ręki. Nie miałem czasu, żeby poczuć obrzydzenie, ścisnęła mnie bowiem mocno i zaczęła nadawać:

– Niech pan nie odchodzi, nie może pan. Oni tam czekają, w parku...

– Co?!

– Siedzą w samochodach, ale zaraz mogą z nich wyjść.

– Co pani opowiada?

– Mają karabiny maszynowe i granaty. Spędzą nas wszystkich do wielkiego dołu i rzucają te granaty. Kto to przeżyje, zginie od karabinu. Wszyscy zginą, wszyscy. Nawet siostry i lekarze. Oni nie oszczędzają nikogo. Nikogo!

Nadawała mi niczym, żeby nie szukać daleko, ten karabin maszynowy, a jej błękitne oczy zdawały się mnie przewiercać na wylot. Udało mi się co prawda wyswobodzić z jej uścisku, ale kobieta wciąż uparcie skracając dzielący nas dystans. Mdlilo mnie od jej cuchnącego, przesyconego lekami oddechu.

– Nie może pan tam iść, nie może pan... – powtarzała, ja zaś nie mówiłem nic, tylko rozglądałem się w nadziei, że nadciągnie jakaś pomoc.

Miałem szczęście. Wariatka już zaczęła mnie szarpać, kiedy dosłownie znikąd pojawiło się dwóch rosyjskich pielęgniarzy. W ciągu paru sekund odciągnęli i obojętnie opanowali kobietę. Załopotało płótno kaftana bezpieczeństwa, zatupały na posadzce chodaki.

– Puszczaj mnie, puszczaj! – gardłowała pani w różowym szlafroku. – Wy nie wiecie, kto ja jestem. Mój mąż, jak się dowie, wszystkich was wsadzi do więzienia.

Poprowadzili ją korytarzem. Krzyki było jeszcze słychać przez drzwi kilka chwil.

– Nic się panu nie stało? – usłyszałem za plecami.

Odwróciłem się gwałtownie. Za mną stał osobnik w białym fartuchu, na oko tylko trochę starszy ode mnie, starannie wygolony, no i, rzecz jasna, w okularach w rogowej oprawie. Przyglądał mi się badawczo, podobnie jak jego starszy kolega, to przez szkła, to znów znad górnej krawędzi oprawek. Dziwna to była maniera. Poza tym lekarz przyciskał do boku plik jakichś kartek.

– Nie. Nic się nie stało – odpowiedziałem jeszcze z lekką sapką, byłem jednak pewien, że incydent ten zostanie we mnie na dłużej.

– To dobrze – ucieszył się lekarz. – Załęczka się nazywa ta pacjentka. Już było z nią lepiej. Dlatego może chodzić sama po terenie szpitala. Nie wiem, co się mogło stać, że jednak pana zaczepiła. Może kogoś jej pan przypominał.

– Kogo?

– Nie wiem. Pewnie kogoś bliskiego. Albo wręcz przeciwnie: największego wroga?

Już po raz kolejny w ciągu niespełna kilku minut ktoś brał mnie za kogoś, kim nie byłem.

– Pan czeka na doktora Antonowicza? – zapytał lekarz.

– Nawet nie wiem, jak się nazywa – przyznałem. – Przywieźliśmy z kolegą innego kolegę, który potrzebuje pomocy. Poszli w tamtym kierunku. – Wskazałem ręką na korytarz.

– Czy mógłby pan pokazać jeszcze raz, dokąd poszli? – poprosił nieoczekiwanie lekarz.

Nie wiedziałem, czy powinienem się roześmiać jak Władek w kolejce EKD, czy zdenerwować i zagniewać.

– Nie rozumiem... – bąknąłem.

– Niech pan nie męczy mojego pacjenta, doktorze – rozległ się stanowczy głos.

Schodami szedł ku nam człowiek ubrany co prawda w taki sam biały kitel jak wszyscy inni członkowie personelu, od reszty odróżniał się jednak tym, że jego twarz była znajoma.

– Doktor Nowak? – rzuciłem z radością.

– Obrzęk tułowia oraz kończyn dolnych i górnych, złamanie zamknięte lewej ręki, wstrząs mózgu – wyrecytował jednym tchem znajomy lekarz ze szpitala na Solcu, gdzie pod koniec lat trzydziestych spędziłem kilka dni i nocy.

– Zna pan na pamięć historię choroby wszystkich swoich pacjentów? – zapytałem z niedowierzaniem.

– Tylko tych, których znaleziono w krzakach nad Wisłą. – Chirurg uścisnął mi serdecznie rękę, choć dotknął również tej drugiej, kiedyś złamanej. – Wszystko dobrze?

– Nie narzekam.

– Wróci na starość.

Widząc, że jesteśmy z doktorem Nowakiem w dobrej komitywie, młody lekarz najpierw się skrzywił, a potem przycisnął do boku papiery, pewnie z opisami co ciekawszych przypadków, niestety, bez mojego. Następnie oddalił się z godnością śladem związanej w kaftan bezpieczeństwa kobiety nazwiskiem Załęcka.

– Karierowicz pierdolony, wszystkich chciałby przeświecić – rzucił za nim Nowak. – Ledwo to od ziemi odrosło...

Spojrzał na fotele, gdzie wcześniej siedziałem. Czuję się przy nim bezpiecznie. Zupełnie jak tamtego dnia sprzed pięciu już niemal lat, kiedy wybudziłem się w szpitalnym łóżku.

– Co pan tu robi, panie Antku? – zapytał, gdy już zajęliśmy miejsca.

– Przywiozłem kolegę – odrzekłem.

– Chory? – Mrugnął porozumiewawczo.

Przytaknąłem. Tak, Władek Michalski nie był w najlepszej formie. A ja byłem gotów opowiedzieć doktorowi Nowakowi o wszystkim, co się wydarzyło dzisiaj rano. Na razie tylko o tym.

Najpierw jednak musiałem się koniecznie dowiedzieć, co robi w Tworkach. Był przecież chirurgiem, a nie psychiatrą!

– Tutaj spokojniej niż w Warszawie – odrzekł. – Cisza, ptaszki śpiewają, jeśli wie pan, co mam na myśli. A robię wciąż to samo. Psychiatra przecież czaszki nie otworzy. Do tego potrzebni jesteście my, chirurdzy. Nie brakuje też kontuzji, na przykład gdy taki chory dostanie szau. To się zdarza. A ten pański kolega...

– Proszę mi mówić po imieniu, doktorze – poprosiłem, Nowak był bowiem w wieku mojego ojca.

– Dobrze. Ten twój kolega to pewnie potrzebuje teraz dużo spokoju.

– Nowak znów mrugnął.

O co mu właściwie chodzi? – zastanawiałem się. A może to tylko taki nerwowy tik? Nie miał go wcześniej, ale mógł się przecież nabawić...

– Tu było wielu takich, którzy potrzebowali sporo spokoju – westchnął. – Zaraz po kampanii wrześniowej mieliśmy chłopaków nienawykłych do bliskich wybuchów i niemieckiego szczekania. Potem niektórzy zostali, aby nie musieć iść do stalagów i oflagów. Na szczęście kierownictwo mieliśmy i mamy światło, nikt nie robił problemów. Mam nadzieję, że dalej tak będzie, choć różnie może być. Słyszałeś o akcji T4?

– Nie. Czyja to akcja? – zapytałem naiwnie.

– A czyja? – rzucił się medyk. – Hitlera! Polega na fizycznej eliminacji chorych, przede wszystkim schizofreników, ale też tych

z padaczką czy po prostu niedorozwiniętych.

– To o tym mówiła ta Załęcka... – powiedziałem.

Westchnął ciężko.

– Tak, to rzeczywiście nieszczęśliwa kobieta. Jej mąż był bardzo chory, leżał w szpitalu psychiatrycznym w Gostyninie. Zabili go wiosną czterdziestego. Wtedy i ona zwariowała... Nas na razie nikt szczęśliwie nie rusza i oby tak zostało. Podejrzewam zresztą, że tanio byśmy skóry nie sprzedali.

– Co pan ma na myśli?

Uśmiechnął się chwacko.

– Chodź. Pokażę ci. – Energicznie wstał z fotela, zrobił kilka kroków, zaraz jednak zatrzymał się w miejscu i spojrzał na mnie badawczo. – Mam nadzieję, że potrafisz zachować dyskrecję?

*

Wojenko, wojenko, cóżeś ty za pani... – śpiewali kiedyś chłopcy w mundurach z zielonego, przykurzonego sukna, w zbyt wielkich, pokrytych cętkami rdzy hełmach, spod których błyskały zbyt młode oczy. A może zbyt stare? Na pewno zbyt ufne i naiwne, aby wygrać tamtą wrześnieową batalię, której nie wahano się nazywać wielką katastrofą.

Dzisiaj chłopcy malowani ze starej żołnierskiej piosenki wciąż szli wiernie za panią wojenką. Oczywiście tylko ci, którzy nie oglądali teraz świata z za drutów stalagów i oflagów. Choć, jak pokazywał przykład kapitana Jacka (jak on właściwie się nazywał? Pewnie tajemnica, ot, konspiracja...), wszystko było możliwe. Pani wojenka prowadziła przez Lasy Janowskie i Puszcę Solską, piwnice i strychy kamienic Mokotowa i Powiśla, garaże domków na przedmieściach, gdzie adepci sztuki wojennej uczyli się strzelać.

Pani wojenka kryła się w dziuplach, zarówno tych prawdziwych, powstałych w drzewach, jak i nazywanych tak nie bez racji niewielkich mieszkankach, w których można było przeczekać zły czas drobiazgowych rewizji i brutalnych aresztowań. Zasypiała w leśnych

ziemiankach i szałasach, deszcz, nie deszcz.

Nie miałem jednak pojęcia, że pani wojenka przeszła również przez szpital psychiatryczny w Tworkach. I to nie tylko zaraz po kampanii wrześniowej, o czym wspominał doktor Nowak.

– Żartuje pan, doktorze – powiedziałem, spojrzawszy na niego z uwagą; byłem gotowy na to, że zaraz parsknie śmiechem.

Ale on był poważny jak ktoś, kto chwilę po otwarciu pacjenta widzi tumor, którego nie sposób już usunąć.

– Lepszej kryjówki nie znajdziesz – stwierdził z przekonaniem. – No, może poza lasami. Ale nie każdy przyzwyczajony. Szczególnie teraz, kiedy robi się coraz zimniej. I nie mówię tu tylko o wyższych oficerach.

Jeszcze raz zajrzałem przez okienko. To była zwyczajna szpitalna sala z dwoma rzędami łóżek. Na kilku z nich leżeli mężczyźni w piżamach i szlafrokach. Jeden czytał książkę, drugi coś notował. Inny tylko gapił się w sufit; miał obandażowaną głowę.

– Kilka tygodni temu stuknęli zastępcę komendanta Pawiaka Franza Bürkla – ogłosił nie bez dumy doktor Nowak.

– Tak, chyba coś słyszałem.

– A o niemieckim pociągu pancernym w Choszczówce też słyszałeś?

– Pewnie!

– No to ci zaraz pokażę tych kolejarzy z bożej łaski, jak ich tutaj nazywamy. Jeśli oczywiście jesteś ciekawy.

– A powinienem? – zapytałem trochę prowokacyjnie.

– Jako dobry Polak jak najbardziej. Jako czasowo obywatel Generalnego Gubernatorstwa już niekoniecznie.

Przeszliśmy korytarzem do następnego okienka. Ujrzałem przez nie kilku młodych chłopaków, może nawet moich rówieśników, grających z zapalem w karty.

– Pan mi naprawdę ufa, doktorze... – powiedziałem.

– Nie powinienem?

– Człowiek jest tylko człowiekiem. Najtwardsi pękali w śledztwie.

– To prawda. Ale jednak zaryzykuję.

Minęły nas pielęgniarki. Coś szeptały między sobą, jedna się nawet obejrzała. Były ładne. Ciekawe, czy prawdziwe, wszak w konspiracji

działały także dziewczyny.

Poczułem się pewnie. Byłem w towarzystwie lekarza, nikt mnie więc nie zaczepiał ani nie wypytywał, dlaczego się tu kręcę. W takim miejscu by to nie dziwiło. Do tego przestała mi już przeszkadzać szpitalna woń, a może się po prostu do niej przyzwyczailem.

– Wszyscy wiedzą, kim są ci ludzie? – zapytałem.

– Ci, co mają wiedzieć, wiedzą – odrzekł nieco enigmatycznie Nowak.

Wolnym krokiem zbliżyliśmy się do kolejnego okienka. Zajrzałem przez nie do sali tak samo jak w przypadku dwóch wcześniejszych. Tym razem jednak nie zobaczyłem osobników leżących sobie wygodnie na łóżkach jak w sanatorium ani grających w karty przy stoliku.

Owszem, jakiś mężczyzna siedział przy niewielkim zydelku, gapiąc się weń jak sroka w kość, jednak niczego na nim nie było. Inny leżał na wznak na szpitalnym łóżku i spoglądał w sufit jak tamten z obandażowaną głową, ale oczy jego były wytrzeszczone, a gałki oczne błędziły jakby za jakimś ruchomym punktem. Dalej, pod oknem, jeszcze inny człowiek stał na jednej nodze niczym bocian na łące, czwarty bił pokłony, ale przed ścianą. Pustą zupełnie, niczego na niej nie zawieszono.

Zrobiło mi się jakoś niewyraźnie, jednak tliła się we mnie jeszcze nadzieja, że mam przed sobą li tylko doskonały kamuflaż.

– A ci? Z jakiej są akcji? – nagle zapragnąłem wiedzieć, kogo oglądam, a jednocześnie komu winienem wdzięczność.

Nowak spojrział na mnie z ukosa.

– Chodźmy lepiej – rzekł. – Dalej jest to samo.

– To znaczy co?

– Tylko nieszczęście.

Nie wiem, co sobie właściwie myślałem. Że wariatkowo zaludniają doborowe jednostki wojskowe, które tylko czekają na rozkazy z Londynu, by w tydzień pogonić stąd Niemców? Chyba jedynie stara legenda o Giewoncie, który był tak naprawdę śpiącym rycerzem, co to w godzinie próby wstanie i ocali Polskę, była bardziej naiwna i dziecinna.

Tych, którzy w Tworkach tylko symulowali chorobę, aby ocalić życie, przeczekać, aż przyschnie, dzieliło od naprawdę chorych osiem, może dziesięć centymetrów ściany. Pewnie jedni słyszeli zdrowy śmiech sąsiadów, gdy przyszło na wspominki udanej akcji dywersyjnej, która tak rozwścieczyła Niemców. Uszu tych drugich zaś dochodziły, nie tylko nocą, żalosne jęki, wołania do widzianych albo słyszanych tylko przez siebie osób. Płacz.

A może tak naprawdę jedni w ogóle nie różnili się od drugich. Trzeba było mieć przecież w sobie choć odrobinę szaleństwa, by w wąskiej uliczce Starego Miasta iść z odbezpieczonym rewolwerem wprost na krwawego kata z Szucha; ten, choć wraca pijany z knajpy, ma jeszcze siłę i refleks, by sięgnąć do kabury po parabellum i próbować się bronić...

Nie do końca racjonalnie rozumowali także ci, którzy zamiast siedzieć w domu i chleptać cienką zupkę, leżeli nocą w lesie i z uchem przy szynie czekali, aż nadjedzie transport ciągnięty przez lokomotywę z wielką literą V. I ci, co jechali z Mokotowa na Żoliborz z bibułą za pazuchą albo granatami w teczce. Kto wie, jakie głosy, prócz komend sanacyjnego majora prowadzącego ćwiczenia, słyszeli młodzi podchorążowie. Może swoich starszych kolegów, którzy w noc listopadową szli na Belweder, by zabić namiestnika, wielkiego księcia Konstantego.

– Tak, chodźmy – mruknąłem.

Kiedy kilka minut później siedzieliśmy z doktorem Nowakiem w jego gabinecie, zacząłem się zastanawiać, jaki będzie status Władka Michalskiego, gdy po badaniu okaże się, że musi jednak zostać w szpitalu. Czy umieszczą go w sali z ukrywającymi się bojowcami, wśród których, kto wie, może znajdą się nawet jego towarzysze broni, czy z takimi jak tamci wariatami. Zapytałem o to.

– Nie wiem, mój przyjacielu. Jestem tylko prostym chirurgiem. – Rozłożył ręce.

Zaraz zaterkotał telefon na biurku zawalonym książkami i luźnymi dokumentami. Lekarz podniósł słuchawkę.

– Tak?

Przecucie mi podpowiadało, że chodzi o mnie.

- Jest. Dobrze, przekażę.
- Szukają mnie? – zapytałem.
- Powoli zaczynają.
- Jak Władek? – zapytałem.
- Myślę, że będzie musiał zostać u nas jeszcze przynajmniej kilka dni.
- Co to oznacza?
- Że będzie musiał zostać u nas jeszcze przynajmniej kilka dni – powtórzył doktor Nowak bez śladu zniecierpliwienia. – Potrzebne są jakieś dodatkowe badania. Zaraz cię odprowadzę, ale najpierw dopij spokojnie herbatę.

*

Może innym razem od razu pochwalilibym się Jackowi, że widziałem tych, którzy wykonali wyrok na Franzu Bürklu, i chłopaków, dzięki którym pociąg pancerny nie pojechał na wschód, co, kto wie, wpłynęło może na losy całej wojny. Każdy dzień byłby dobry, ale nie ten. Żadnemu z nas nie chciało się po prostu gadać.

Kapitan odezwał się raz jeden, kiedy kolejka z nami w środku ruszała w kierunku Warszawy. W oknie ujrzelismy bowiem trzy niemieckie samochody wojskowe, osobowy i dwie ciężarówki, pędzące w stronę szpitala.

– Kurwa mać! – zaklął głośno, choć w wagonie siedzieli ludzie.

Chociaż żaden z nas nie powiedział nic więcej, było jasne, co obaj myśleliśmy: oto nadszedł kres Tworek, szczęśliwy czas minął, a Niemcy nadrabiają zaległości. Przez chwilę obserwowaliśmy pędzące auta. No bo co innego było robić? Wyskakiwać z pociągu, biec z odsieczą? Może Jacek miał nawet przy sobie ten rewolwer, którego wystrzał dziś rano na chwilę otrzeźwił Michalskiego. Ale miał się z nim sam jeden rzucić na oddział esesmanów?

I pewnie byśmy się tak gryźli z myślami do samej Warszawy, może nawet wpadli w obłąd. Ale kolumna nie skręciła w stronę szpitala, tylko pomknęła dalej. Zobaczyliśmy to w ostatniej chwili, bo potem

kolejka weszła w zakręt. Nie oznaczało to jednak ulgi. Tyle, że obaj usiedliśmy już wygodnie i oddychaliśmy spokojniej. W szpitalu został przecież Władek. Nie wiedzieliśmy, co z nim będzie...

W Warszawie byliśmy około czwartej po południu. Na Dworcu Głównym pożegnaliśmy się zdawkowym „do widzenia”, nawet bez podania rąk, po czym każdy z nas poszedł w swoją stronę.

Czułem się jak zbity pies. Nie chciało mi się nawet jeść, choć ostatnim posiłkiem, jaki zjadłem, było to nieszczęsne śniadanie, zakłócone niespodziewanie przez wariata.

Wpadnę do Czesia – postanowiłem, po czym ruszyłem Poznańską w stronę fotoplastikonu.

Bielawny nic nie wiedział o porannych wydarzeniach, więc przychodziłem do niego z gorącą opowieścią. To poprawiło mi humor. Odrobinę, ale zawsze coś.

Kiedy ujrzałem budynek, w którym mieścił się Czesiowy interes, moje nogi tradycyjnie same przyspieszyły, a serce zaczęło bić ze zdwojoną prędkością. Zawsze, a przynajmniej w znakomitej większości przypadków towarzyszyła temu radość. Teraz jednak nie wiadomo czemu i skąd pojawił się niepokój. Że nie jest to gość przypadkowy ani taki, co się zasiedziało po wizycie w Tworkach, dowiedziałem się, kiedy nacisnąłem na kłamkę.

Drzwi nie ustąpiły.

– Co jest? – Spojrzałem ze zdziwieniem na zegarek. Było wcześnie. Bielawny powinien jeszcze siedzieć w pracy.

Odstąpiłem kilka kroków i spojrzałem w górę. Był to odruch; ludzie, którym przyszło pocałować kłamkę, często tak robili: cofali się i spoglądali w górę, jakby tam spodziewali się znaleźć rozwiązanie zagadki zamkniętych drzwi. Nawet jeśli lokal był parterowy.

Tym razem jednak czekała mnie miła niespodzianka. Ledwo bowiem zadarłem głowę, ktoś wyjrzał przez okienko mieszkania, które znajdowało się dokładnie nad fotoplastikonem.

– A, to pan – zawołała jakaś kobieta.

Cofnąłem się jeszcze bardziej, na krawędź chodnika.

– A pana Czesia to nie ma – powiedziała. – Miał jakiś telefon, że coś się stało w domu.

– Co? W domu?

– Co, to nie wiem, ale chyba w domu. W każdym razie wybiegł jak oparzony. Szczęściem nikogo nie było w fotoplastikonie, to nie musiał wypraszać. Ledwo drzwi zdołał zamknąć na klucz, tak mu się ręce trzęsły, no a ja...

Nie słyszałem reszty. Pędziłem już co tchu w piersiach w stronę Marszałkowskiej, aby złapać tam jakiś tramwaj. Chciałem być jak najszybciej na Jasnej. Zapomniałem o zmęczeniu, nawet przygnębienie gdzieś się ulotniło.

Wypadłem zdyszany na arterię. Niestety, nic nie jechało. Rozejrzałem się. Z Wilczej skręcała akurat riksza. Nie zastanawiałem się długo.

– Panie!

Chwilę później pędziliśmy ulicą. Rikszarz, młody chłopak, prawdopodobnie mnie pamiętał. Co chwila stawał na pedałach, aby należycie rozpędzić pojazd. Przez Aleje dmuchnęliśmy niczym pociąg obok budki dróżnika. Stojący na skrzyżowaniu policjant już podnosił gwizdek do ust, ale zrezygnował z interwencji. Na wysokości Chmielnej zacząłem szukać po kieszeniach portfela. Na szczęście nie był zupełnie pusty.

Szkoda, że inaczej było z moją głową. Aż kotłowało się w niej od czarnych myśli.

– Dziękuję. – Wcisnąłem rikszarzowi pieniądze do spoczonej dłoni.

– Ale to za dużo! – zawołał za mną, ale ja już zniknąłem w bramie kamienicy.

Wbiegłem na swoje piętro. Gdy jednak, nieźle zziębnięty, zatrzymałem się przed drzwiami mieszkania, ogarnął mnie strach. Bałem się zarówno tego, że mogę tam zastać gestapo, jak i tego, że nie będzie zupełnie nikogo. Położyłem dłoń na klamce, ale zaraz ją oderwałem, jakby metal parzył albo kopał prądem.

Cofnąłem się nawet o krok, choć pewnie powinienem przemieścić się w drugą stronę, by spróbować złowić jakiś dźwięk z mieszkania, który podpowiedziałyby mi, co robić. Niemieckie wrzaski – uciekać. Podniesione głosy rodziców Czesia, którym ktoś znów doniósł na syna – uciekać jeszcze szybciej.

W tym samym momencie gwałtownie otwarto drzwi. Znieruchomiałem. Nie od razu rozpoznałem człowieka, który stał na progu. To dziwne, skoro był to nie kto inny jak...

– Tata?!

Złapał mnie za ramię i wciągnął do środka. Dopiero gdy ponownie zamknął drzwi, objął mnie mocno. Poczulem znajomy, miły sercu zapach najbliższego na świecie człowieka, a jego nieogolony policzek podrapał mnie w ucho. Chciałem coś powiedzieć, ale ktoś okazał się szybszy. Z głębi mieszkania, najprawdopodobniej z sypialni (cholera, on już na pewno wie, kto w niej spał...) dobiegł przerażający krzyk Ołeny.

– To już chyba ten moment – powiedział drżącym głosem ojciec, po czym pociągnął mnie w stronę kuchni.

Byli w niej wszyscy: Franek siedział przy stole i bawił się małą łyżeczką. Czesio Bielawny z wiadomych względów usiedzieć nie potrafił, więc krążył między kuchenką a oknem. Co kilka kroków dotykał dłońmi twarzy, przesuwając je ku górze, mierzwiąc sobie grzywę.

– Alina jest w sypialni, pomaga akuszerce – tłumaczył tata, stawiając czajnik na palniku. – Napij się czegoś?

– Tak – odpowiedziałem z roztargnieniem, by zaraz zapytać. – Gdzie Leszek?

– W twoim pokoju. Zmęczony po podróży. Śpi.

Wszystko było na właściwym miejscu, wszystko było dobrze. Prócz jednego: musiałem wytłumaczyć się z sytuacji, którą zastali w mieszkaniu. Oto dziadek ze starej ukraińskiej bajki, którą niedawno opowiadała mi Ołena, wrócił po zgubioną w śniegu rękawiczkę...

Człowiek, który zostawił w mieszkaniu tylko mnie, a zastał kobietę w ciąży, której w dodatku już odeszły wody, mógł się nieco zdziwić. Nie wiedziałem tylko, czy na miejscu był już wtedy Czesio, czy jeszcze go nie było. Bo jak nie, to stan Ołeny mógł być zaliczony na moje konto.

– Swoją drogą niezła niespodzianka – rzekł półgębkiem tata, sypiąc jakiś czarny proszek do filiżanek.

– Przepraszam... – bąknąłem. – Wszystko ci wytłumaczę.

– Nie trzeba. Czesio już mi wszystko opowiedział. To było bardzo szlachetne z twojej strony, że przyjąłeś pod dach ludzi, którzy byli w potrzebie.

Przerwał, podszedł do okna i zaczął przez nie spoglądać. Niby wszystko było jasne, nie opuszczało mnie jednak poczucie winy. Doskonale znałem to spojrzenie.

Ołena znów wrzasnęła.

– Boże! – Czesio złapał się za głowę.

– Myślisz, że ci teraz odpłaci za to, co zrobiłeś? – zapytał milczący dotąd Franek, przypatrując się swemu zniekształconemu odbiciu w łyżeczce.

Spojrzeliliśmy na niego wszyscy trzej, ale każdy jakby inaczej: ojciec pytająco, bo pewnie jeszcze nie wiedział, kim wcześniej był i czego się dopuścił Bielawny. Ten z najprawdziwszym przerażeniem. A ja, jak mi się wydawało, zgromiłem Belę wzrokiem. Cynik był z niego, ale w tym przypadku to już mocno przesadził.

Nic nie mówiliśmy. Może dlatego Franek sam się stropił.

– Tylko żartowałem – jęknął.

Zawtórowała mu Ołena. Wielebny nie wytrzymał: natarł na drzwi. Ledwo zdołaliśmy go z ojcem zatrzymać.

– Uspokój się – warknął tata, bardzo powoli zwalniając uścisk. – To naprawdę dobra akuszerka. Za chwilę będzie po wszystkim.

– Naprawdę?

– Wiem, co mówię.

– A może powinniśmy iść na spacer, co? – zaproponował Franek.

Ledwo to powiedział, znów musiał zwiotrzeć pod naszymi spojrzeniami. W tym przypadku wszystkie zdawały się jednakowe. Zresztą nie było chyba takiej siły, która wyгнаłaby przyszłego ojca z domu, w dodatku w takim momencie!

Po chwili do kuchni weszła Alina. Wyglądała, jakby to ona rodziła: była spocona i czerwona na twarzy. Oparła się o zlew. Nie od razu mnie spostrzegła, a więc podszedłem do niej, żeby się przywitać.

– Serwus. – Nadstawiła policzek do pocałowania, jakbyśmy nie widzieli się nie cztery miesiące, a cztery godziny, po czym zwróciła się do Bielawnego. – To już nie potrwa długo...

Zdanie było dość wieloznaczne. Trudno było bowiem orzec, czy któryś z nas ma w tej chwili biec po wódkę, abyśmy mogli wypić pępkowe, czy może Czesio powinien wyciągać z najgłębszych zakamarków walizki święte oleje. Sieradzka, zobaczywszy nasze niewyraźne miny, już otwierała usta, aby coś powiedzieć. W tym samym momencie z sypialni dobiegł skrzekliwy głos akuszerki:

– Pani Alino! Szybko! Ręczniki!

Sieradzka wybiegła. Kuchenny taboret jęknął pod byłym proboszczem.

*

Córka Czesia Bielawnego i Ołeny wydała z siebie pierwszy krzyk kilka chwil przed północą. Alina myliła się więc, twierdząc, że niewiele już zostało do rozwiązania. Rodząca darła się jeszcze długo. No, ale nie była przecież specjalistką. Alina. Ołena zresztą też nie. Najważniejsze, że dziecko było zdrowe i piękne, czego nie omieszkała podkreślić akuszerka. Była tak stara, że zacząłem podejrzewać, że i z moimi narodzinami miała coś wspólnego.

Czesio był nieźle skołowaciały, bo chwilę po tym, jak się dowiedział, że to już, ukląkł na podłodze i zaczął klepać modlitwę. Tylko że był to... *Wieczny odpoczynek*. Tłumaczyło go, prócz ogólnego zakręcenia, pewnie także to, że nigdy nie był przy dopiero co narodzonym dziecku, za to przy umierającym człowieku – owszem.

A zaraz po północy do płaczu małej przyłączył się niemal półroczny już Lesio. Mogło to oznaczać, że żaden z nas nie zmruży tej nocy oczu. Stało się jednak inaczej: wszyscy dorośli mężczyźni znajdujący się w tej chwili w mieszkaniu padli jakby skoszeni seria.

Kiedy się ocknąłem, było już jasno. Leżałem na podłodze w przedpokoju, na zimowym płaszczu. Obok mnie sapał miarowo Franek. Nie miałem pojęcia, jak i gdzie spędziła noc reszta domowników i gości.

Właśnie miałem zamiar wstać i iść do łazienki, gdy usłyszałem cichutkie pukanie. Intuicja podpowiadała mi, że na korytarzu stoi

przyjaciel. Przekręciłem klucz w zamku i uchyliłem drzwi. Nie myliłem się: to był nasz stróż Wincenty Wasiak.

– Dzień dobry. – Od razu pociągnąłem mocniej za klamkę.

– Wszystko dobrze? – zapytał szeptem przybysz, pozostając po drugiej stronie progu.

– Tak. Dziewczynka.

– Wspaniale. Proszę pogratulować ojcu.

Przez sekundę zastanawiałem się, o którego ojca mu chodzi: mojego, ojca dziecka czy może „ojca” w znaczeniu księdza. Dwie ostatnie możliwości, chociaż wielu by się to z pewnością nie spodobało, dotyczyły tej samej osoby. Zresztą mój wciąż chętnie przyjmował gratulacje z okazji narodzin Leszka.

– Dziękuję, przekażę – odpowiedziałem.

– Ja właściwie do pana – ciągnął pan Wincenty.

– Słucham.

– Jakiś człowiek przyszedł do pana. Już tutaj był niedawno, nawet kilka razy, ale prosił mnie, żebym pana zawołał.

– Dobrze, już schodzę – odrzekłem.

Nie wiedziałem, o kogo może chodzić. Gdy parę minut później znalazłem się na podwórku, ujrzałem kapitana Jacka.

– Musimy jechać do Tworek – powiedział szybko.

Coś mi podpowiadało, że na nic zdadzą się pytania, tłumaczenia czy, nie daj Boże, protesty.

– Tylko pójde się przebrać – powiedziałem, mój strój nie nadawał się bowiem do wyjścia dalej niż na podwórko, a co dopiero na wyjazd z miasta.

– Pospiesz się – rzucił bez uśmiechu oficer.

*

Nieco ponad pół godziny później siedzieliśmy w kolejce EKD na Nowogrodzkiej. Jacek nie powiedział mi, dlaczego mamy jechać ponownie do szpitala. I w dodatku niezwłocznie. A ja nie dopytywałem. Byłem wciąż otępiały po nocy.

Powinienem przynajmniej zostawić ojcu jakąś kartkę z wyjaśnieniem – pomyślałem, jednak było już na to za późno. Z drugiej strony miałem nadzieję, że do Warszawy wrócę szybko i nikt nie zdąży się zaniepokoić moim zniknięciem. Choć właściwie nikt nie powinien już tego robić w czwartym roku okupacji...

Podróż minęła szybko i bez przygód, jeśli nie liczyć faktu, że zaraz za Opaczą omal nie rozjechaliśmy chłopskiej furki, ciągniętej przez zabiedzoną chabetę.

– Dobra, już po pewnie po obchodzie. – Jacek spojrział na zegarek, gdy wyskoczyliśmy z kolejki na stacyjce w podpruszkowskich Tworkach.

Nagle poczułem przypływ odwagi. Nie stał przede mną co prawda Niemiec, na którym miałem wykonać wyrok polskiego sądu podziemnego, ani nie patrzyłem na słup pary nad drzewami, co zwiastowało zbliżanie się niemieckiego transportu, ale odwaga była prima sort. Lubiłem ją. Może dlatego, że rzadko mnie odwiedzała.

Zatrzymałem się na krawędzi rampy peronu i rzekłem:

– Nigdzie nie idę.

Kapitan wykonał przepisowe „w tył na lewo marsz” i zatrzymał się ledwo pół metra ode mnie, tak że bardzo wyraźnie poczułem zapach kiełbasy, którą jadł na śniadanie albo kolację.

– Co?

– Nie idę – powtórzyłem. – Póki się nie dowiem po co.

– A co, kurwa, chcesz kupić kwiaty? – warknął.

Chociaż przyjemniaczkiem nigdy nie był, nie widziałem go jeszcze w takim stanie. Gęba skrzywiona ze złości, z oczu zostały tylko szpary. Oto ktoś mu się stawiał. W dodatku cywil. Ha! Logiczne, bo przecież podwładny niższy stopniem nigdy by tego nie zrobił.

Tak czy inaczej – stanąłem okoniem. I zamierzałem dalej tak stać.

– Owszem, chciałbym kupić kwiaty. Do szpitala idzie się przecież z kwiatami. Albo z domowym kompotem.

I nie wiadomo, kto pękłby jako pierwszy, gdyby nie pojawienie się lekarza. Był to ten sam lekarz, który wczoraj, gdy przywieźliśmy Władka, wyszedł nam na spotkanie.

– Dzień, dobry, dzień dobry – przywitał nas z serdecznością, która

potrafiła zmiękczyć każdego; mnie przynajmniej zmiękczyła na tyle, że przestałem mieć ochotę na swady.

– Dzień dobry, doktorze – odrzekłem.

– Majorze. – Jacek mimowolnie się wyprostował.

– Dobrze, że już jesteście. I dziękuję, żeście się fatygowali.

Mówiąc to, spoglądał na mnie i tylko na mnie. Nic już z tego nie rozumiałem.

– Chodźmy. Zimno. – Doktor Antonowicz wskazał dobrze znaną nam już drogę, a zimno wcale nie było.

Nieco ponad dziesięć minut później znaleźliśmy się w jego gabinecie. Dalece różnił się od tego, w którym urzędował doktor Nowak. Pod trzema ścianami stały sięgające sufitu regały zapchane książkami.

Na jednej z półek uwagę przyciągały wielkie słoje, wypełnione czymś, o czym bałem się nawet pomyśleć. Staralem się nie spoglądać w tamtą stronę. O wiele przyjemniejsza do oglądania, mimo wszystko, była ludzka czaszka stojąca na biurku lekarza na specjalnym postumencie. Czarnym pisakiem naniesiono na niej jakieś słowa, cyfry, linie i koła.

Lekarz spojrzał na mnie i odezwał się w te słowa:

– Bardzo pana przepraszam, że fatygowałem, ale sprawa jest niecierpiąca zwłoki. Potrzebowaliśmy pana do pewnej identyfikacji.

– Zwłok? – wyrwało mi się.

– Na szczęście nie. Już wyjaśniam. Otóż wczoraj, podczas spaceru po naszym szpitalu, który to spacer odbył pan w towarzystwie doktora Nowaka, nawiasem mówiąc, świetnego chirurga, bez pomocy którego chyba byśmy sobie nie poradzili, a zatem wczoraj został pan przypadkiem rozpoznany przez jednego z chorych.

Nie miałem pojęcia, czy to dobrze, czy źle, że zna mnie jakiś czubek.

– Proszę się nie denerwować. – Antonowicz pogładził powietrze przed sobą. – Chodzi tylko o to, byśmy się dowiedzieli, kto to jest. Młody chłopak został do nas przywieziony kilka tygodni temu w stanie skrajnego wyczerpania, zarówno fizycznego, jak i psychicznego. Poobijany, posiniaczony, nie potrafił powiedzieć, jak się nazywa, ile ma lat ani skąd pochodzi. Nie miał przy sobie żadnych

dokumentów. Na wszystkie pytania odpowiadał słowami „ja nie pamiętam, nie bijcie mnie”. A potem już nic nie mówił. Aż do wczoraj, kiedy to ujrzał pana zagląającego przez okienko do jego sali. Doktor Nowak nie ma wątpliwości. Zresztą nie można ich mieć, skoro chory wyraźnie i głośno wypowiedział pańskie imię: Antek. Zgadza się?

Nie mogłem zaprzeczyć. Tak miałem przecież na imię. Tylko kto, do jasnej i niespodziewanej, twierdził, że mnie zna? Czyżby był to któryś z chłopaków z Batorego? Różnie układały się przecież ich losy. Jarosław Lenc był granatowym policjantem, teraz oddelegowanym do Piotrkowa, Władek Michalski oficerem podziemnej armii, teraz oddelegowanym do czubków, Franek Bela złotą rączką, czasowo przetrąconą, a Czesio Bielawny księdzem, który zrzucił sutannę i właśnie został ojcem. O nich jednak wiedziałem, co robią i gdzie są. Choć nadażyć za Belą potrafił mało kto. Ale po wielu chłopakach, nawet tych najbliższych, słuch zaginął.

– No to chodźmy i przekonajmy się, co to za znajomy.

To powiedziawszy, wstałem energicznie z krzesła. Zacząłem mieć nawet wyrzuty sumienia, że postawiłem się Jackowi i doprowadziłem do nieprzyjemnej sytuacji.

– Tak, załatwmy to – rzekł Antonowicz. – Mam jeszcze przed południem kilka bardzo ważnych konsultacji, a czas nie jest z gumy.

Wyszliśmy z gabinetu, którego drzwi doktor zamknął starannie – i to aż na dwa zamki, i podążyliśmy we trzech na spotkanie ze „znajomym nieznanym”. Zastanawiałem się, co Jacek może jeszcze do tego mieć, ale już nie oponowałem.

Tym razem droga nie była aż tak przyjemna jak wczoraj. Co i rusz mijałem potarganych, zabiedzonych, dziwnie zachowujących się ludzi. Tu i ówdzie łysnęło nagie ciało. Ktoś krzychał, płakał; dałbym głowę, że słyszę nawet wojskowe komendy – i to wypowiedane po niemiecku. I szczekanie psa, choć bez wątplenia trzymanie ich w placówce leczniczej było zabronione.

W pewnej chwili wydawało mi się, że widzę znajomą postać. Zatrzymałem się.

– To o niego panu chodzi? – zapytałem psychiatrę.

– Nie. A co? Też pan zna doktora Kulawczyka?

– To dziwne, ale spotykam go regularnie od pewnego czasu.

– Ciekawe. I co panu mówił?

– Że skonstruował jakąś specjalną, cudowną broń, dzięki której pokonamy hitlerowców. Wiem, że spotykał się nawet z kimś z waszego dowództwa. – Spojrzałem na kapitana, ale nijak na to nie zareagował.

Lekarz westchnął, jakby już wiele razy słyszał tę historię. Nie myliłem się.

– Znamy się jeszcze sprzed wojny. Doktor Kulawczyk to ceniony naukowiec, pracownik Politechniki Warszawskiej, ale bywał też na Wydziale Lekarskim Uniwersytetu. Niestety, ostatnio nie jest w najlepszej formie. Po starej znajomości przyjąłem go do siebie na oddział.

– Aż do tego doszło?

– Niestety. Ale na razie podjęliśmy tylko leczenie farmakologiczne. Więcej powiedzieć nie mogę. Przepraszam.

– Za co tu przepraszać, majorze. – Jacek wzruszył ramionami. – Kuku na muniu i tyle. Też o nim słyszałem. Opowiadał w dowództwie, że wynalazł... No, jak to się nazywało, do cholery? O, już wiem: serum zapomnienia!

– Serum zapomnienia? – powtórzyłem.

Nie dowiedziałem się jednak niczego więcej, lekarz spojrzał bowiem wymownie na zegarek, Jacek zaś miał minę, jakby niechcący wygadał jakąś wielką tajemnicę. Błądził oczami po ścianach, chrząkał i jakoś tak dziwnie drobił w miejscu.

Zanim ruszyliśmy w dalszą drogę, spojrzałem jeszcze raz na szalonego naukowca. Kulawczyk w ogóle nie sprawiał wrażenia nienormalnego: przechadzał się po sali z rękami splecionymi za plecami, uśmiechał się do innych pacjentów. W chwili, gdy Jacek pociągnął mnie za rękaw płaszcza, zobaczyłem jeszcze, jak naukowiec dotyka palcami jednej dłoni przegubu drugiej. Jakby fachowo sprawdzał sobie puls.

– To tutaj. – Psychiatra wyciągnął z kieszeni pęk kluczy.

Salka, przed którą staliśmy, nie miała okienka, nie można więc było bezkarnie podglądać pacjentów. Wszystko wskazywało na to, że

będziemy musieli wejść do środka. Utwierdziłem się w tym przekonaniu, gdy pojawiło się przy nas dwóch pielęgniarzy. Jeden był co prawda niezbyt wielki i w latach, ale ten drugi wystarczyłby z pewnością za trzech.

Wtedy dotarło do mnie co innego. Jak człowiek, który rzekomo mnie znał, mógł mnie wczoraj widzieć, skoro jest zamknięty w izolatce bez okna?

Pytanie zadałem jednak zupełnie inne, chyba nie mniej ważne:

– Jest aż tak niebezpieczny?

– Bywa – rzekł Antonowicz, przebierając w kluczach w poszukiwaniu tego właściwego.

Miałem już na końcu języka, że nie znam osobiście nikogo takiego i nigdy nie znałem, ale się powstrzymałem. Zamiast tego cofnąłem się o dwa kroki od drzwi, bo a nuż bestia czaiła się po drugiej stronie, gotowa wyskoczyć na pierwszego, którego zobaczy, i w ciągu chwili zadusić go albo przegryźć tętnicę.

Zazgrzytał klucz. Psychiatra wyjął go, schował pęk do kieszeni, po czym oddalił się podobnie jak ja. Do środka mieli bowiem jako pierwsi wejść pielęgniarze. Myślałem, że awangardą awangardy będzie ten wielki, tymczasem było odwrotnie: do izolatki jako pierwszy wślizgnął się ten nieduży i starszy. Może wśród niższego personelu obowiązywały zasady szcurzej społeczności...

– W porządku – zameldował po chwili.

– Może pan wejść. – Lekarz dotknął mojego łokcia i choć zrobił to bardzo delikatnie, to niemal podskoczyłem.

– To konieczne? – zapytałem.

Napotkałem spojrzenie Jacka pod tytułem „nie dyskutujcie, żołnierzu”, ale je zignorowałem. Poruszyłem ramionami dla dodania sobie odwagi. W końcu nie wchodziłem do kostnicy, żeby zidentyfikować nieboszczyka, w dodatku w stadium głębokiego rozkładu.

Izolotka była wąską i długą kiszka. Mieściło się w niej tylko jedno łóżko. Żadnych innych mebli nie było, podobnie jak występów, półek, klamek czy haczyków, których pacjent mógłby użyć przeciwko sobie. Na łóżku leżał człowiek. Głowę miał przykrytą kołdrą, wystawały

jedynie włosy. Jak więc miałem go rozpoznać? Prawdę mówiąc, brzydziłem się nawet dotknąć jego pościeli. W pomieszczeniu unosił się smród potu, ekskrementów, lekarstw, ale i... lasu.

I pewnie dalej bym tak stał, gdyby nie lekarz. Wyciągnął rękę i jednym ruchem zdarł z głowy leżącego skrawek kołdry w niezbyt czystej poszwie.

– Wie pan, kto to jest? – Głos lekarza zabrzmiał jak w jaskini.

Ujrzałem twarz młodego człowieka, sine, spękane usta, blade policzki bez śladu zarostu. Wytrzeszczone nienaturalnie oczy spoglądały na mnie nieruchomo, bezrozumnie.

– Poznaje pan?

Jeszcze się zastanawiałem. Maską, która w pierwszej chwili mnie przerażała, teraz wzbudzała we mnie współczucie. Na czole tego człowieka ujrzałem dwie symetryczne, chyba świeże rany. Jakby od oparzeń.

– Co to jest? – zapytałem lekarza.

– Poznaje go pan czy nie? – Psychiatra nie przypominał już tego miłego pana, z którym rozmawiałem chwilę wcześniej w gabinecie.

– Nie.

Odwrociłem się i już miałem odejść, gdy spod kołdry, którą lekarz z powrotem rzucił na twarz pacjenta, jakby to już był nieboszczyk, wydobył się dziwny dźwięk. Ni to gwizd, ni to cmokanie.

Odwrociłem się i podniosłem kołdrę tak samo jak przed chwilą psychiatra. Tym razem nie przyglądałem się tak długo jak za pierwszym razem.

– Słowik? To ty?!

Przestał gwizdać i choć nie kiwnął głową ani nią nie pokręcił, nie miałem wątpliwości. Tak, to był on: partyzant, towarzysz mojej niegdyśszej wędrówki z Wołynia do Warszawy. Wreszcie kat konfidenta, który zaczął sypać i tym samym kupił sobie nie tylko wolność, ale też niezłe życie, czyli Lucka Górskiego.

– Ten człowiek jest żołnierzem. Nie wiem, co mu zrobiliście, ale nie wazcie się tego więcej robić – wyrzuciłem z siebie jednym tchem, po czym wyszedłem z izolatki.

*

Kilka chwil później ponownie siedzieliśmy w gabinecie Antonowicza. Miałem opowiedzieć doktorowi historię naszej ze Słowikiem wędrówki na zachód. Gdy początkowo chciałem się od tego wymigać – część rzeczy była przecież objęta tajemnicą służbową, która obowiązywała Słowika – towarzyszący nam wciąż kapitan Jacek zapewnił, że jako oficer bierze za to odpowiedzialność. Poza tym pan doktor również jest zaprzysiężony, służył w stopniu majora, co wreszcie oficjalnie przyznano.

Już spokojniejszy, a przynajmniej taką robiłem minę, opowiedziałem o tym, jak zatrzymali nas najpierw banderowcy i kazali się przeżegnać jak w cerkwi. A potem, już dalej na zachód, Polacy, którzy bardzo chcieli zobaczyć, jak potrafimy się zachować w kościele katolickim. Zdaliśmy wtedy egzamin ze Słowikiem, choć nie do końca. Przeżegnać może się nauczyć każdy, a obrzezanego napletka już sobie z powrotem nie przyklei. Byli to bowiem leśni, którzy nie darzyli specjalną sympatią zarówno Niemców, jak i Żydów.

– A że nie chcieliśmy opuścić portek, wylądowaliśmy w kozie – zaśmiałem się. – Na szczęście był wśród nich towarzysz innych moich peregrynacji, jeszcze z początku wojny, który ułatwił nam ucieczkę.

Gdy to powiedziałem, nasza mnie pewna refleksja: dawno nie ruszałem się z Warszawy, jeśli nie liczyć jednej wyprawy po mięso, no i dwóch wyjazdów do Tworek. Zgnuśniałem, osiadłem, a przecież śmiało można było powiedzieć, że jeszcze nie tak dawno bywałem tutaj tylko gościem...

– I co było dalej? – ponaglił mnie psychiatra, stukając końcem długopisu w kartkę.

– Następnie jechaliśmy pociągiem z Lublina do Warszawy, ale po drodze była wielka akcja przeciw przemytnikom i wtedy Słowik zniknął. Ponownie spotkałem go dopiero w Ogrodach Frascati, kiedy sprzątnął Lucka.

– Mówisz, że jednym strzałem? – zainteresował się Jacek.

– Właśnie tak. Precyzyjna robota! – podkreśliłem z dumą, jakbym to

ja osobiście nacisnął spust.

Psychiatra coś zanotował. Pewnie była to adnotacja SZCZEGÓLNIENIEBEZPIECZNY pod historią choroby Słowika. Napisana na czerwono i podkreślona dwa razy. Zresztą miałem to w dupie. Bardziej zależało mi na tym, by nie męczono już tego chłopaka elektrowstrząsami. Ta nazwa została wymieniona w rozmowie między lekarzem a Jackiem w drodze powrotnej z izolatki.

– A nazwisko tego Słowika pan zna? – lekarz zadał pytanie, od którego chyba właściwie powinna się zacząć cała rozmowa; tak przynajmniej zrobiłby każdy, komu przyszło trzymać w rękach czyjś los.

– Nie znam – odpowiedziałem. – Działał w partyzantce, gdzie obowiązują pseudonimy. Jego dowódca to porucznik „Jenot”. Jego możecie zapytać.

I to Antonowicz skrupulatnie zanotował, choć wątpliwe było, by wciągał w to dowódcę oddziału stacjonującego w lasach pół tysiąca kilometrów stąd, może nawet już nieżyjącego.

Nie miałem nic więcej do powiedzenia. Chociaż nie, powinienem chyba zapytać, co właściwie dolega Słowikowi i co mają zamiar z nim zrobić.

– Będziemy go obserwować – odpowiedział szybko lekarz, nerwowym ruchem poprawiając okulary, po czym dodał: – Proszę być spokojnym, nic mu się u nas nie stanie. Widział pan przecież, że mamy specjalne oddziały. W każdym znaczeniu tego słowa.

– Widziałem.

Psychiatra wstał.

– Dziękuję panu za pomoc. I przepraszam, że musiał się pan fatygować aż z Warszawy. Ale Słowik podał wczoraj pańskie imię. Był w normalnej, wieloosobowej sali i w pewnym momencie zobaczył, jak zagląda pan do środka. Pewnie się pan nad tym zastanawiał, więc czuję się w obowiązku to wyjaśnić. Dopiero wieczorem jego stan pogorszył się na tyle, że musieliśmy zamknąć go w izolatce.

– Nie wie pan, co mogło spowodować jego chorobę? – zapytałem.

– Bez wątpienia jakieś silne przeżycie, wstrząs emocjonalny – odpowiedział bez wahania psychiatra.

– A mogło się to stać po tym, jak... no, wie pan...

– Wykonał na kimś wyrok?

– Tak.

– To bardzo możliwe. Mogło być też tak, że został aresztowany, ale udało mu się zbiec.

Nie chciałem już przeciągać, tym bardziej że do gabinetu weszło dwóch ludzi w białych fartuchach i z jakimiś papierami pod pachą. Jednym z nich był doktor Nowak, drugim zaś ten osobnik o lisiej twarzy, który na początku badał Władka w moim mieszkaniu.

– Dzień dobry – chirurg przywitał się ogólnie, choć spoglądał w tym momencie na mnie.

– Dzień dobry, doktorze – odrzekłem.

– Jeszcze raz panom dziękuję – rzekł jowialnie doktor Antonowicz do mnie i do Jacka. – I zapraszam pojutrze.

– Pojutrze? – zdziwił się kapitan.

– No przecież panu mówiłem. Mam nadzieję, że będziemy już wtedy wiedzieli coś więcej o Władku.

Wyszliśmy z pomieszczenia. Czułem, że się spociłem, choć w gabinecie psychiatry wcale nie było gorąco. Maszerowaliśmy w stronę wyjścia wzdłuż amfilady drzwi i okien. Nie mogłem się jednak powstrzymać, by nie spoglądać na boki. Jakbym podświadomie czuł, że za kratami mogę spotkać kogoś więcej niż Słowika, Władka Michalskiego czy doktora Kulawczyka.

I przeczucie mnie nie zawiodło. Zatrzymałem się na tyle gwałtownie, że Jacek przeszedł jeszcze dobrych kilka kroków, nim spostrzegł, że mu żołnierz zaginął.

– Co się dzieje? – zapytał, podchodząc do mnie.

– Chyba widzę jeszcze jednego znajomego – odpowiedziałem.

– Żartujesz.

– Daleki jestem od tego.

– Też partyzant?

– Nie. Mam przynajmniej taką nadzieję. Co więcej, chyba jestem zadowolony, że go tutaj widzę...

Lech Adamski, bo nie był to nikt inny, siedział nieruchomo na krawędzi drugiego łóżka po prawej stronie. Takim go zapamiętałem

z obiadu, który chwilę po jego uwolnieniu z rotundy fotoplastikonu jedliśmy w „U Grzędzika” przy Żurawiej. I kilka chwil po tym, jak uwolniliśmy go razem z Ezrą z rąk bandytów w kamienicy na Kole.

Czyżby teraz też czekał na uwolnienie? – zastanawiałem się.

Kątem oka ujrzałem zbliżającą się ku nam postać w bieli. Rozpoznałem lekarza, z którym rozmawiałem wczoraj chwilę po przekroczeniu progu szpitala. Tego starannie wygolonego, w okularach w rogowej oprawie, co to kazał mi jak jakiejś małpie powtórzyć wykonany wcześniej gest.

– O, to znowu pan? – uśmiechnął się.

– Uszanowanie, panie doktorze. – Tym razem intuicja podpowiadała mi, że powinienem być grzeczny i układny.

– Znowu poznał pan jakiegoś znajomego?

Więści szybko się rozchodzą – pomyślałem. Trudno mi było jednak ocenić, czy te słowa były zabarwione złośliwością, czy nie. Postawiłem jednak na tę drugą możliwość, chciałem bowiem dowiedzieć się czegoś o Adamskim.

– Zgadł pan, doktorze. To ten. – Wskazałem chorego ręką.

– A może pan pokazać jeszcze raz?

Zrobiłem, co chciał i czego się, prawdę mówiąc, obawiałem. Ale zrobiłem – bez ociągania i bez mrugnięcia okiem. Na jednej nodze też bym stanął i rękami pomachał jak ptak, byle tylko ten człowiek w fartuchu coś mi powiedział.

– Chodzi panu o mężczyznę na drugim łóżku po prawej? – Ku mojemu zadowoleniu przystąpił do konkretów.

– Tak. Znamy się dość długo – powiedziałem, po czym wstrzymałem oddech, lekarz wyjął bowiem spod pachy plik dokumentów i zaczął je przeglądać.

– Adamski. – Spojrzał na mnie znad zsuniętych okularów.

– Lech – sprecyzowałem.

– Zgadza się.

– *Delusiones*.

– Słucham?

– Urojenia paranoidalne, najprościej mówiąc. To przypadłość, na którą cierpi.

– Poważna?

– Bardzo poważna. Otóż niech pan sobie wyobrazi, że człowiek ten wymyślił, iż ma młodszego brata, który został aresztowany przez Niemców i osadzony w więzieniu. I że ten brat jest na liście przeznaczonych do stracenia w razie jakiejś akcji skierowanej przeciwko władzom. Na własne oczy widział jego imię i nazwisko na plakacie. Dlatego zwracał się do różnych osób o pomoc w jego uwolnieniu. Oferował nawet spore pieniądze.

– Skąd je miał? – zapytałem ostrożnie, gotów w każdej chwili się wycofać.

– Pochodzi z Łodzi. Podejrzewamy, że mógł mieć coś wspólnego z grabieżą majątków żydowskich po założeniu tam getta. Ale nie wiemy, czy ktokolwiek z ludzi, którzy mu pomagali, w ogóle wziął cokolwiek do ręki. To jedynie przypuszczenia i właściwie nie nasza sprawa. Nas interesuje jedynie choroba. Otóż udało nam się ustalić, że Lech Adamski w istocie miał młodszego brata, jednak chłopiec zmarł w wieku niespełna sześciu lat.

To powiedziawszy, wsunął kartkę z historią choroby ponownie pomiędzy inne przypadki, poprawił okulary na nosie, choć i tak zaraz spojrzął na mnie jak wcześniej – znad nich.

– To straszne – jęknąłem.

Ktoś, kto stałby obok, tak jak na przykład kapitan Jacek (wydawał się zupełnie niezainteresowany rozmową, ale ja wiedziałem, że to tylko gra i że słucha nas bardzo uważnie), pewnie nie miałby problemu z interpretacją moich słów. Ot, po prostu poruszyło mnie nieszczęście człowieka, którego dane mi było kiedyś poznać. Każdego by przecież poruszyło. Tyle widzieliśmy już zła, a jednak...

Ale tylko ja wiedziałem, że straszne jest też co innego: to, że dałem się wodzić za nos człowiekowi niespełna rozumu. Mało tego: narażałem innych dla jego sprawy, która okazała się nie tyle wymysłem, co po prostu efektem choroby. Ciężkiej choroby psychicznej! Nie zatrzymałem Franka Beli, kiedy zwabiony dolarami szedł na zatracenie, by próbować uratować człowieka. Człowieka, którego nie było. Nie stanąłem na drodze Władkowi i innym konspiratorom, którzy również zostali w to wciągnięci. Być może

zarzucili dla tej sprawy inne akcje, w tym dywersyjne.

Przez jednego wariata.

– Wariat – mruknął stojący trzy kroki od nas Jacek, jakby nigdy nic dłubiąc sobie w zębie i spoglądając na mnie i na doktora spod oka.

A może nie? – pomyślałem wtedy z trwogą. Może to lekarze się pomylili, wsadzając do Tworek Bogu ducha winnego człowieka, który naprawdę był w potrzebie i chciał pomóc najbliższej osobie.

– Długo tu siedzi? – zapytałem, bo nic mądrzejszego nie przyszło mi w tym momencie do głowy.

– Od tygodnia – odrzekł psychiatra. – A co? Zdążył narozrabiać w mieście?

Żebyś wiedział – odpowiedziałem w duchu, jednocześnie kręcąc przecząco głową.

Zaraz też moje myśli zmieniły kierunek. Nie, lekarze nie mogli się przecież mylić. Te ich badania: obtłukiwanie ciała gumowym młoteczką, świecenie latarką w oczy. Przecież dobrze wiedzieli, co robią. Uczyli się tego przez wiele lat na uniwersytecie, a potem na stażu. Obserwowali dziesiątki, jeśli nie setki chorych, dyskutowali wiele takich albo podobnych przypadków.

Dlatego jedyne, co mogłem zrobić, to westchnąć, nawet pociągnąć nosem, po czym zboliałym głosem zapytać:

– Co z nim teraz będzie, doktorze?

Lekarz zrobił mądrą minę, właściwą ludziom, od których zależy los innych. Ni to zafrasowaną, ni to roztargnioną. Zajrzał jeszcze w te swoje papierzyska, które ścisnął pod pachą, jakby to były plany najbliższej kampanii marszałka Żukowa.

– Będziemy go obserwować – odpowiedział. – Tyle na razie możemy zrobić.

Wtedy skończyła się cierpliwość towarzyszącego mi oficera.

– Dobra, nie zwracaj doktorowi głowy, Antek – burknął Jacek.

– Ale to żaden problem – powiedział lekarz.

– I tak zaraz mamy pociąg.

Zrobiłem minę pod tytułem „na władzę nie poradzę”, po czym podążyłem w ślad za kapitanem. Im bardziej jednak oddałem się od sali, w której zamknięty był Lech Adamski, tym lżejszy się czułem.

Ależ tak! Że też dopiero to do mnie dotarło... Przecież właśnie zniknął jeden z moich największych problemów ostatnich miesięcy. Oddzielał mnie od niego gruby mur szpitalnej sali, zamknięte na klucz drzwi, a nawet brudna pościel. Nikt już nie będzie chodził za mną jak komiwojażer, truł nad uchem, jęczał ani szeleścił wyimaginowanymi banknotami, nikt nie będzie nieoczekiwanie zniknął, by pojawić się ponownie w dziwnym miejscu i okolicznościach.

Koniec tematu Lecha Adamskiego!

*

– Kiedy odwiedzimy Władka? – zapytałem Jacka chwilę po tym, jak wyszliśmy ze szpitala.

– Przecież słyszałeś, co powiedział lekarz. Jak już będą coś wiedzieli – odrzekł kapitan. – Też mi go brakuje i też się o niego martwię. Trudno o takiego dobrego oficera. Ale, jak mówią, zdrowie najważniejsze.

– To prawda.

Przez chwilę zastanawiałem się, co słychać w domu. Jak czują się Ołena i jej córeczka po porodzie, no i co na to wszystko tata i Alina.

Na kolejną EKD do Warszawy czekaliśmy ponad dziesięć minut. Dzień był pochmurny, chłodny i nieprzyjemny, ale mimo to z zachodnich miejscowości jechało do stolicy sporo osób. Nie udało nam się znaleźć miejsc siedzących, mało tego, nie było się nawet o co oprzeć. Na szczęście podróż miała potrwać niezbyt długo.

Mimo niesprzyjających warunków Jacek sprawiał wrażenie wesołego. Opowiadał, oczywiście dyskretnie, nie ulegając pokusie, zabawne historyjki z partyzanckiego życia. Najbardziej utkwiała mi w pamięci ta o obławie zorganizowanej przez leśnych w celu... upolowania jelenia, który miał być upieczony z okazji urodzin dowódcy oddziału, a imponujące poroże przeznaczono na prezent.

– Mało brakowało, abyśmy się wszyscy nawzajem powystrzelali – zakończył.

Na krótko przed granicą miasta nawet trochę się rozkleił. Zaczął

bowiem opowiadać o żonie, która została sama po tamtym bolesnym wrześniu i której nie widział od kilku lat.

– Nie wiem nawet, czy ona żyje... – westchnął.

Parę minut po pierwszej po południu kolejka zatrzymała się na ostatnim przystanku niedaleko Marszałkowskiej.

Stanęliśmy z Jackiem na chodniku. Nie wiedziałem nawet, gdzie mieszka i jak żyje poza służbą. Zawsze widywaliśmy się, jakkolwiek to brzmiało, na płaszczyźnie służbowej, mimo że nie byłem jego podwładnym i nie miałem zamiaru nim zostać.

– Ja do domu, a ty? – zapytałem.

Wzruszył ramionami i spojrzał w bok, w kierunku Poznańskiej.

– Pewnie się pokręcę trochę po mieście, a potem się zobaczy – odpowiedział.

Zrobiło mi się go żal. Tym bardziej że dobrze wiedziałem, jak to jest żyć w pojedynkę.

– Może pójdziesz ze mną na Jasną. Zobaczysz dziecko, poznasz mojego ojca i Alinę.

– Alinę?

– Tak ma na imię jego nowa dziewczyna. Wczoraj dopiero wrócili z wakacji. Mam nadzieję, że będzie coś do jedzenia.

Oficer przez chwilę słuchał, ale sprawiał wrażenie, jakby nie rozumiał języka, którym się posługuję. Że tak jednak nie jest, przekonałem się, kiedy jego twarzy pojaśniała. Nie, chyba jeszcze nie widziałem takiego zjawiska w tym miejscu...

– Jeśli to nie byłby wielki problem, to z przyjemnością – powiedział wreszcie.

– W takim razie chodźmy.

– Ale naprawdę to nie kłopot? – certował się jeszcze.

– Absolutnie nie.

Wsiedliśmy w tramwaj i przejechaliśmy kawałek Marszałkowską. Miałem wrażenie, że niebo nad Warszawą różni się od tego nad Tworkami. Owszem, szare, na słońce nie było chyba większych szans, ale czemuś jaśniejsze, weselsze. A może to we mnie coś się zmieniło...

Dotarliśmy do kamienicy Harczyka. Już piętro niżej słychać było płacz dziecka. Uprzedzając reakcję Jacka, wykonałem uspokajający

gest. Wszystko jest w porządku, jak dziecko małe, to przecież musi płakać. Nie byłem tylko pewien, czy hałas robi kilkugodzinna zaledwie dziewczynka, czy mój przyrodni braciszek Leszek. Choć można się było spodziewać, że jak jedno zaczęło drzeć się wniebogłosy, prędzej czy później obudzi drugie i będzie duet.

– To ja – zawołałem niezbyt głośno, otworzywszy drzwi.

Nikt mi nie odpowiedział. Dałem gościowi znak, żeby również wchodził; tym razem, w przeciwieństwie do wszystkich innych wizyt, kiedy to włąził jak do siebie, czuł się skrępowany, a może nawet zawstydzony.

Weszliśmy do kuchni. Była pusta. Ujrawszy na gazie wielki gar i parę, która wydobywała się spod pokrywki, zatarłem dłonie z zadowoleniem. Zdążyliśmy w samą porę.

– Kalafior. – Uniosłem na chwilę dekielek.

Nie chciałem się jednak panoszyć, mimo że byłem u siebie. W tej samej chwili poczułem, że muszę koniecznie odwiedzić łazienkę. Oby tylko okazała się wolna.

Na szczęście była. W chwili, gdy myłem ręce, usłyszałem jakieś głosy, zarówno kobiece, jak i męskie. Umilkło za to dziecko. Miałem nadzieję, że ojciec i Alina nie przestraszą się niespodziewanego gościa.

Chwilę później wiedziałem, jak bardzo się pomyliłem: przestraszyli się. I to aż tak bardzo, że oboje stali przed nim z... podniesionymi rękami. Wszystko działo się na środku przedpokoju, dokładnie w tym samym miejscu, w którym całkiem niedawno odgrywaliśmy komedię przed rodzicami Czesia.

– Co się wygłupiacie! – zawołałem. – To przecież Jacek, dowódca Władka Michalskiego. Swój. A to jest mój tata i Alina.

– Zgadza się, Antku, to jest Alina – wycedził przez zęby kapitan.

– Kobieta mojego taty, mówiłem ci.

– Tu się jednak mylisz – ciągnął tym samym tonem. – To nie jest kobieta twojego ojca. To jest moja kobieta. A dokładnie to... żona.

Poruszyłem się. I dopiero teraz ujrzałem w jego ręku rewolwer. Nie po raz pierwszy, ale tym razem lufa wycelowana była w ojca i Alinę. Alinę Sieradzką. No tak, przecież nawet nie wiedziałem, jak się Jacek nazywa. Przedwojenny oficer. Jak się właśnie okazało, z Radomia...

– Nie wygłupiaj się, stary. Schowaj gnata – powiedziałem drżącym głosem.

– Zamknij mordę.

Spojrzałem na moich bliskich. Ojciec miał typowy dla chwil zagrożenia wyraz twarzy. Zawsze odczytywałem go jako „nic się nie martw, będzie dobrze”. Niestety, nie można było tego powiedzieć o jego ukochanej, matce małego Leszka.

– Wszystko ci wytłumaczę, Jacku... – powiedziała cicho Alina.

Przez twarz Sieradzkiego przebiegł krótki, szpecący skurcz. Ręka trzymająca broń nieco się uniosła. Nagłe nieznośne gorąco objęło mi twarz.

– Schowaj broń – powtórzyłem.

– Powiedziałem, żebyś zamknął mordę, bo tobie też się zaraz dostanie! – ryknął szaleniec, po czym znów spojrzał na żonę. – Miałaś siedzieć i czekać, aż wrócę z oflagu. Nie było dnia, żebym o tobie nie myślał. Listy pisałem. Miałaś czekać. To mi przysięgałaś, pamiętasz?

– Pamiętam...

– W kościele! Pamiętasz? Szliśmy potem pod szpalerem z szabli!

– Ale...

– Pamiętasz czy nie?! – huknął.

Na to nie mogły nie zareagować dzieci: ich płacz dobiegł niemal w tej samej chwili z dwóch przeciwległych krańców mieszkania. Słyszając to, Sieradzka poruszyła się niespokojnie, odwróciła głowę w stronę pokoju, w którym kwilił jej synek.

– Ani kroku, wywłoko – sarknął Jacek. – Najpierw sobie popatrzysz, jak zdycha twój kochaś. A potem sama do niego dołączysz.

Szaleniec! – pomyślałem z przerażeniem. Jego miejsce było w Tworkach, na zamkniętym oddziale doktora Antonowicza. Elektrowstrząsy i bicze wodne, a nie rozmowa. Leki, silne leki, a nie obiad przy stole w moim domu!

Otworzyłem usta, ale nie byłem w stanie wydobyć z siebie żadnego dźwięku. Serce chciało wyrwać mi się spomiędzy żeber. Nie miałbym nic przeciwko, gdyby tylko mogło, niczym rękawica boksyerska, powalić i unieszkodliwić tego człowieka, który za chwilę wszystkich nas pozabija.

Nagle w drzwiach sypialni pojawiła się Ołena z córką na ręku; prawdopodobnie właśnie się obudziła i chciała sprawdzić, co się dzieje. Ledwo trzymała się na nogach, właściwie nie powinna się ruszać, a jednak to zrobiła...

Kapitan Sieradzki spojrział w tamtym kierunku. W tej samej chwili w stronę Jacka runął z przeciwnej strony jakiś cień. Rozległ się głuchy łomot ciał spadających na podłogę. Nie, był jeszcze jeden dźwięk, ale mury te już go poznały. Huk wystrzału.

– Leż! – krzyknął ktoś.

To był Franek. Siedział okrakiem na zupełnie zaskoczonym atakiem Jacku Sieradzkim i przygniatał go do podłogi. Ojciec przytomnie schylił się po leżący na podłodze, jeszcze dymiący rewolwer i skierował go w stronę człowieka, który przed chwilą gotów był strzelać.

Wtem w wolnej ręce naszego wybawcy coś błysnęło.

– Co ty chcesz zrobić?! – krzyknęła Alina.

Nie odpowiedział. Jacek jęczał ściśnięty jak w imadle.

– Nie zabijaj go!

– Oczywiście, szanowna pani. Choć po tym, co tutaj właśnie zobaczyłem, miałbym na to wielką ochotę.

– Już nie żyjesz – wycharczał kapitan.

Franek Bela wbił igłę strzykawki, bo była to właśnie strzykawka, w szyję szaleńca, po czym, ani na chwilę nie zwalniając ucisku, powoli nacisnął tłok. Leżący drgnął raz, drugi, wyprężył się. Przez krótką chwilę wydawało się, że za chwilę wyrwie igłę z szyi i zerwie się na równe nogi. Ale sekundę później drgnął konwulsyjnie, po czym zwiotczał, a jego opadająca głowa stuknęła o podłogę przedpokoju.

– Boże... – jęknęła Alina.

Nie było jednak do końca pewne, co ją bardziej poruszyło: to, że jej mąż właśnie stracił świadomość, czy może jednak to, że nie wiadomo skąd pojawił się królik Leo, dotąd ukryty, bezceremonialnie wskoczył na głowę leżącego i zaczął go obwąchiwać.

Rozdział siódmy

(1943)

O tempora, o mores – powiedziałyby klasyk.

Ale czasy były, jakie były. Na dobrą sprawę można było nie opuszczać rąk, a testament nosić przez cały czas w kieszeni. Bo przecież nie znałeś dnia ani godziny, człowieczku mały znad Wisły. Żydów już nie było, a apetyt okupantów wciąż był taki sam.

Ale pod tym wszystkim kryło się przecież codzienne, normalne życie. Zwyczajne, ale też odbiegające od przyjętych norm. Ludzie się w sobie zakochiwali, ale i odkochiwali, łączyli w pary i porzucali, na trochę i na zawsze. Sypiali ze sobą, bo przecież jutro, pojutrze może nas nie być. Rodziły się więc dzieci. A współcześni Herodowie, czyli Hans Frank i Ludwig Fischer, nie mogli zarządzić rzezi niewiniątek. W czasie wojny, tak jak i w czasie pokoju, można było zdradzić i zostać zdradzonym. I złapać syfa też.

– Coś ty mu dał, do cholery? – zapytałem Franka, pochylając się nad leżącym na podłodze kapitanem, który... głośno chrapał.

– Cudowne lekarstwo na nadmiar emocji – odpowiedział Bela, chowając strzykawkę do kieszeni.

Alina stała w szerokim rozkroku – dosłownie i w przenośni. Z jednej strony miała przecież męża, cudownie ocalałego z niemieckiej niewoli, z drugiej zaś – nowego mężczyznę, ojca jej kilkumiesięcznego zaledwie syna. Ten poślubiony przed Bogiem i w obliczu prawa leżał bez świadomości. Ten drugi, nielegalny, jakby nie patrzeć, stał obok. I w każdej chwili miał prawo domagać się wyjaśnień.

Ale tata jedynie podszedł do Aliny i wziął ją w ramiona.

Obserwowałem ich w napięciu, nie byłem bowiem pewien, jak Sieradzka się teraz zachowa. Ale nie wyrwała mu się, nie uciekła.

– Co my teraz zrobimy? – jęknęła.

– Na razie o tym nie myśl – odpowiedział ojciec, po czym spojrzał w bok.

Tak się złożyło, że akurat stałem tam ja. A obok mnie Franek. Ten westchnął ciężko, co najpewniej miało oznaczać „znów czegoś ode mnie chcą...”. Gdy spojrzał na mnie, wiedziałem już, że się nie mylę. Pozbyć się ciała? Och, co to za problem. Praktyka czyni mistrza.

Tylko że kapitan Jacek Sieradzki, zdradzony mąż, żył. I raczej nikt z nas nie miał zamiaru go tego życia pozbawiać, choć przed chwilą być może było inaczej.

– Tak, proszę o tym nie myśleć – przyszedł w sukurs mojemu tacie Franek.

Pomogły też dzieci: znów mieliśmy piękną polifonię, choć konia z rzędem temu, kto byłby w stanie odróżnić głosik starszego dziecka od młodszego, chłopczyka od dziewczynki. Alina w te pędy pobiegła do Leszka, Ołena zaś, jak można było przypuszczać, ocknęła się z odrętwienia i zajęła córeczką.

Fakt, że Alina wyszła, przytomnie postanowił wykorzystać Franek.

– Zabieramy go.

Nie trzeba mi było dwa razy powtarzać. Ojciec również się przyłączył.

– Szybciej, szybciej – mruzczał, najwyraźniej bardzo chciał, aby mąż Aliny zniknął z naszego mieszkania, zanim ta wróci do przedpokoju; bo że wróci, może nawet spróbuje cucić Sieradzkiego, było jasne jak dwa razy dwa to cztery.

Jacek był ciężki, ale we trzech jakoś daliśmy radę go znieść na dół. Zauważyłem, że wszystko bardzo przypomina tamtą akcję z zamordowanym w fotoplastikonie porucznikiem Scholzem. Mimo że Jacek żył, a tamten nie, musieliśmy włożyć tyle samo siły, aby zmienić położenie ciała.

– „Piechota, ta szara piechota...” – wymruczał kapitan, a potem zachrapał.

Było jasne, że to dalece nam sprzyja, wskazuje bowiem ni mniej, ni

więcej, że Jacek mocno przesadził, pijąc u nas na przykład tradycyjne pępkowe. Nie musieliśmy nawet przyłączać się do chóru.

– Co tam się u was działo, na Boga? – zagadnął jeden z sąsiadów, gdy we czwórkę tarabaniliśmy się po schodach.

– Dzieci się rodzą, drogi sąsiedzie. Nowi, wolni Polacy! – odpowiedział ojciec nieco bełkotliwie.

– A to winszuję, serdecznie winszuję. – Mężczyzna uchylił kapelusza.

– Dziękujemy – odpowiedzieliśmy chórem.

Na szczęście już na podwórku nikt nie żądał od nas wyjaśnień. Nie wiedziałem, co wstrzyknął Jackowi Bela, ale kapitan zachował resztki świadomości i trochę współpracował. Mianowicie przebierał nogami; może miała z tym coś wspólnego piosenka o piechocie. Dzięki temu nie trzeba go było ciągnąć, choć trzymać go pod ramiona nadal musieliśmy.

Dorożka albo riksza – tego potrzebowaliśmy po wyjściu z bramy na ulicę. Ale Jasna była w tej chwili naprawdę jasna. Czyli zupełnie pusta: żadnych przechodniów, a tym bardziej żadnych pojazdów. Przestraszyłem się nawet, że może znaleźliśmy się w policyjnym kotle.

Drgnąłem na przesywający gwizd. Ojciec jeszcze przez chwilę trzymał dwa palce w ustach. To dziwne, ale nigdy nie słyszałem, jak gwizdże.

– Serwus, Antek! – Głos, który zaraz usłyszałem, był jeszcze daleki, ale bez wątpienia znajomy.

Od strony Świętokrzyskiej zbliżała się riksza z Anatolem na siodełku. Dokładnie tak jak kilka miesięcy temu, na początku czerwca, kiedy moi bliscy wyjeżdżali z miasta. Tyle że wtedy rikszarz był zamówiony. Teraz, tak mi się przynajmniej wydawało, jego pojawienie się w okolicy było dziełem czystego przypadku.

– Tak mi coś od rana po głowie chodziło, że się spotkamy. – Anatol wzorowo zatrzymał swój pojazd przy krawężniku.

– Dzień dobry – przywitał się ojciec, którego refleksowi, prócz tego, co chodziło po głowie rikszarzowi, mogliśmy zawdzięczać tak potrzebny w tym momencie transport. – Spokojnie na mieście?

– Wyjątkowo. Oczywiście mogę mówić tylko o dzielnicach,

w których byłem. A dokąd teraz będzie jechane?

Zadawszy pytanie, bez którego nie obędzie się żaden kurs, spojrział, nie wiedząc czemu, na Jacka. Sieradzki słał się na nogach, wciąż gorliwie podtrzymywany przez mnie i Franka. Głowa mu opadła, a z ust zwisało niemal do kolan babie lato śliny. Mimo że niedawno w Tworkach widziałem o wiele gorsze rzeczy, odwróciłem wzrok.

Był jednak o wiele większy problem niż kapitan i jego flegma. Właśnie to, dokąd mamy go zawieźć. Przecież nie miałem pojęcia, gdzie Sieradzki mieszka. A nawet gdybym znał jego adres, to nie było pewności, czy to aby nie lipa, przykrywka tylko, bo tak naprawdę oficer najczęściej nocuje w jakiejś dziupli, a jej adres zna jedynie naczelny dowódca, względnie szef sztabu.

To co, może Tworki?

W chwili, gdy w myślach zacząłem planować drogę na Nowogrodzką, a potem kolejką EKD, drugi raz w ciągu jednego dnia, ojciec zaczął... przeszukiwać Jacka. Wyglądało to dość dwuznacznie. Właściwie powinniśmy to zrobić na górze, bez świadków.

– Jest. – Wyciągnął kenkartę i pomachał nią przed nosem Anatola. – Kuzyn Jacek trochę przesadził, a nie wiemy, gdzie się zatrzymał.

– Bywa i tak – zgodził się Anatol.

Wziąłem to za znak, że zalanego w sztok kuzyna można zacząć umieszczać na kanapie rikszy. Było to o wiele łatwiejsze niż umieszczanie trupa w dorożce, choć też musieliśmy się trochę napocić, zanim kapitan znalazł się tam, gdzie miał się znaleźć.

– ...w pierwszym szeregu podąży na bój... – wymruczał znów, a potem mlasnął dwa razy i opuścił głowę na ramię jak umierający na krzyżu Zbawiciel.

– Naprawdę za kołnierz nie wylewał – rzekł rikszarz trochę z politowaniem, ale i z uznaniem; być może już nawet domyślał się, kogo będzie mu dane wieźć. – Choć właściwie to ja nic nie czuję. – Pociągnął nosem, nachyliwszy się nad pasażerem.

– Może masz katar – skwitował bez uśmiechu Franek.

– Nie mam.

– A ja myślę, że masz.

– W życiu!

Wtedy ojciec zakończył spór, który mógł nas być może kosztować nawet utratę środka transportu.

– Kazimierzowska dwa, Mokotów – ogłosił, chowając dokumenty z powrotem do wewnętrznej kieszeni marynarki Jacka, po czym spojrzał na Anatola i rzekł z powagą: – A pan chyba rzeczywiście ma katar, bo trąci od kuzyna jak z nielegalnej gorzelni. Uważajcie, jak będziecie mijać patrole.

Autorytet starszego najwyraźniej zadziałał, bo riksarz zaczął teraz sam siebie obwąchiwać. Chuchnął nawet w dłoń, co w przypadku, gdyby zjadł na śniadanie cebulę, byłoby dobrym probierzem.

– Możemy jechać – rzuciłem przez ramię.

Franek Bela zajął miejsce po lewicy Jacka, ojciec zaś zaczął się cofać w kierunku bramy kamienicy, jednocześnie spoglądając z uwagą na boki, gotów sprzedać gadkę o pijanym krewnym każdemu, kto zainteresowałby się sceną i domagał się szczegółów, bo taki trwożny o los bliźniego. Chwilę później wyładowana ponad miarę riksza potoczyła się Jasną.

Z każdym przejechanym metrem czułem, jak opada ze mnie napięcie. Mimo że nie mieliśmy pewności, czy na rzeczonyj Kazimierzowskiej pod drugim znajdziemy łóżko, do którego będzie można wrzucić Jacka Sieradzkiego, a potem otrzepać ręce, czy może komitet powitalny z psami – było mi coraz lżej.

Jednak ten poprawny – bo przecież daleki byłem od euforii po tym wszystkim, co się wydarzyło w ciągu ostatniej godziny – nastrój zepsuł mi się, ledwo riksza rozpędzona siłą mięśni nóg Anatola przecięła Aleje Jerozolimskie. Uświadomiłem sobie bowiem, że to, cośmy zrobili, kwalifikuje nas do postawienia przed sądem podziemnym.

Podnieśliśmy rękę na oficera w służbie czynnej. Być może przez to, że leżał teraz między nami bez świadomości, nie mógł dotrzeć w inne miejsce. Na przykład tam, gdzie zorganizowany był zamach na kolejnego kata z Szucha. Samochód z esesmanem w środku przejedzie jakby nigdy nic przez miejsce zasadzki, nie padnie ani jeden strzał, nie wybuchnie ani jeden granat. A ta kanalia będzie dalej męczyć więźniów, wsłuchiwać się w krzyki torturowanych z lubością, jakby słuchał Wagnera. Może nawet z erekcją.

Wszystko dlatego, że nie zabiją go polscy chłopcy, a nie zabiją, bo nikt nie wydał im w porę rozkazu.

Równie dobrze kapitan Sieradzki mógł nie dotrzeć do lasu, w pobliże nasypu kolejowego, gdzie inni chłopcy założyli już ładunki. Wszystko gotowe, kable sprawdzone, steny zrepetowane, filipinki w zanadrzu, a w młodych sercach gniew. Gniew, ale i wielkie szczęście, bo pociąg nie dowiezie na front nowych dział, czołgów, amunicji, a przede wszystkim nowych żołnierzy, którzy jeszcze wierzą w bajki Hitlera i *Blitzkrieg*.

Jednak na nic dynamit, kule w magazynku stena czy gorące serce, skoro nikt nie wyda rozkazu, by nacisnąć dźwignię detonatora, a potem rzucić granat i wytłuc do nogi wachę. Transport pojedzie sobie spokojnie dalej.

– Coś ty zrobił, Franek... – jęknąłem.

Mimo że riksza pędziła teraz Kruczą w stronę Mokotowskiej, i to pędziła tak, że zimny październikowy wiatr wdzierał nam się w nozdrza i do otwartych ust, Bela bez problemu usłyszał moje słowa.

– O co ci chodzi?

– Dlaczego mu to zrobiłeś?

– Niby co?

– Ten zastrzyk. Nawet nie wiem, co to było...

– Dobrze, następnym razem poczekam sobie spokojnie w ukryciu, aż was wszystkich powystrzela.

Nic nie odpowiedziałem. On też nie wyliczał kolejnych argumentów, pewny, że ten jeden wystarczy, aby przyznać mu rację. Tak, mogliśmy w tej chwili leżeć wszyscy troje w kałuży krwi na podłodze przedpokoju. I to po nas mógł skakać Leo. Tylko co będzie dalej? Przecież Jacek wkrótce się obudzi i przypomni sobie o wszystkim, co się wydarzyło. A jak sobie przypomni, to wróci, by wyrównać rachunki.

Ciekawe, czy zabije tylko ojca, a Alinę weźmie sobie z powrotem, czy dokona także krwawej pomsty na niewiernej – przeszło mi przez myśl i aż się skurczyłem na kanapie rikszy; nie mogłem się też powstrzymać, by nie spojrzeć na niedoszłego zabójcę mojego ojca.

Zaraz też złowił moje spojrzenie Franek. Nie znać już było po nim

niedawnego zdenerwowania.

– Kazimierzowska dwa – poinformował nas tymczasem Anatol.

*

Riksza zatrzymała się przed brzydką kamienicą. Dopiero teraz uświadomiłem sobie, że ojciec nie podał nam numeru mieszkania. Przecież musiał być w dokumentach.

Już miałem sięgnąć w zanadrze Jacka, kiedy nagle posłyszałem tupot bucików. Metrum jednoznacznie wskazywało na kobietę. Cofnąłem rękę.

– Jacek! – zawołał wysoki głos. – Co z tobą?!

Można było przystąpić do kolejnego aktu naszego przedstawienia. Podnieśliśmy się z Belą z kanapy rikszy. Znajdujący się pomiędzy nami Sieradzki, nagle pozbawiony oparcia, już się zaczął osuwać. I byłby niechybnie pacnął na siedzisko, a może nawet uderzył skronią w podłokietnik, gdyby nie kobieta, która właśnie go dopadła.

– Jacek, kochany! – krzyknęła, ale dziwnie, jakby do wewnątrz.

Była lekko po dwudziestce, miała dwa jasne warkocze. Trochę przypominała mi z wyglądu Katarzynę Koziukową. Ta jednak ubrana była z miejskim sznytem, który w dodatku bardzo jej pasował.

– Kim panowie są? – zapytała nas z niechęcią.

– Przyjaciółmi – odparł błyskawicznie Franek. – Proszę się nie denerwować. A przynajmniej nie tutaj.

Kobieta odstąpiła na krok. Wtedy podeszliśmy ponownie do rikszy niczym specjalnie do tego wynajęci ludzie, aby z pietyzmem podnieść kapitana. Przez cały czas kątem oka przypatrywałem się kobiecie. Była bardzo ładna, nie był w stanie tego zmienić nawet grymas na jej twarzy, poorane zmarszczkami czoło i brwi ściągnięte trochę przerażeniem, trochę gniewem, a może i niepewnością, cośmy za jedni.

– Pani prowadzi – kontynuował hecę Franek.

Ruszyła przodem. Żywiłem nadzieję, że nie będziemy musieli tachać wielkiego cielska na ostatnie piętro. Bela chyba również się

tego obawiał, bo zaraz za progiem klatki schodowej zapytał kobietę, jak wysoko mieszka nasz bohater.

– Na pierwszym – odpowiedziała szybko, a jednocześnie na tyle głośno, by jej głos przedarł się przez ciężkie i lepkie chmury, które nadal otaczały głowę Sieradzkiego.

– ...szeregu podąża na bój piechota, ta szara piechota... – wymruczał, choć jego dykcji nie można było nic zarzucić.

Wnieśliśmy go na pierwsze piętro. Pani otworzyła drzwi i przytrzymała je, żebyśmy się zmieścili. Udało się. Jeszcze kilka kroków, jeszcze tylko znaleźć łóżko lub kanapę, na którą można będzie rzucić Jacka.

– Tutaj. – Blondynka, precyzyjnie się między mną a ścianą, nacisnęła kławkę.

Pod ścianą pokoju stało szerokie małżeńskie łóżko nakryte kraciastym kocem. Runęliśmy na nie we trzech, trochę pewnie też dla hecy. Mebel zaskrzypiał ostrzegawczo, ale na szczęście nic więcej się nie stało.

– Dobranoc, księżę. – Wydobyłem spod siebie rękę Sieradzkiego, rękę, w której jeszcze kilka kwadransów temu trzymał gotowy do strzału rewolwer.

Ledwo wstaliśmy, blondynka dopadła leżącego na wznak oficera.

– Coście mu zrobili? – zapytała dziwnie niskim głosem.

Oczywiście nie mogliśmy już nazwać Jacka kuzynem. A czy kapitanem? To też mogło być nieostrożne, nie wiedzieliśmy przecież, ile z kolei wie ta kobieta i czy w ogóle cokolwiek wie.

– Nic – odparł Franek Bela. – Po prostu za dużo wypił.

Byłem pewien, że teraz kobieta pochyli się nad Jackiem, aby go powąchać. Zrobiła to, ale nic nie powiedziała. Znów omiotła nas podejrzliwym spojrzeniem.

– Panowie z fabryki? – zapytała.

No to nam ćwieka zabiłaś – pomyślałem, zezując na druha.

– Musimy już lecieć. – Franek znacząco odchylił mankiet, ale wiedziałem, że może spojrzeć jedynie na swoje włosy porastające skórę na granicy nadgarstka i przedramienia.

Niestety było już za późno. Jacek Sieradzki się ocknął. Otworzył

oczy tak gwałtownie, że dziewczyna, która akurat w tym momencie na niego patrzyła, aż podskoczyła.

– Jacek, kochany. – Przypadła do leżącego.

No to wszystko jasne. Mamy wiernego żonkosia – pomyślałem nie bez złośliwości i nie bez satysfakcji. Żona jak pies czeka w Radomiu, ręce załamuje, głodem niemalże przymiera, bo co to za pieniądze z pensji kelnerki. Wszystkie łzy już wypłakała, a ten się po Warszawach z nową, młodszą wyciera. Chciał nas powystrzelać, a sam co robi? Mam ja na ciebie teraz haka, gnoju jeden. Tylko wystaw łeb.

Tak go sobie lżyłem w duchu, podczas gdy blondynka obmacywała Jacka od góry do dołu i od dołu do góry, czy aby cały. On jednak zdawał się nie zwracać uwagi na te poczynania. Podniósłszy głowę, patrzył bowiem spod oka na nas, stojących w płaszczach u nóg łoża jak dalsza rodzina, która przybyła, aby usłyszeć ostatnie tchnienie umierającego patriarchy. A najlepiej to coś po nim dostać.

– Co panowie tutaj robią? – zapytał.

Żaden z nas nie odpowiedział. Ja nie wiedziałem, co rzec, Franek może coś tam miał w zanadrzu, jak to on. Ale przyszła nam w sukurs blondynka.

– Panowie cię przywieźli przed chwilą. Byłeś nieprzytomny.

– Co się stało? – Sieradzki na chwilę przymknął oczy i dotknął ręką głowy.

W mojej odbywała się właśnie gonitwa myśli. Niepodobna było chwycić którąkolwiek i przełożyć na słowa. Wszystko dlatego, że nie miałem pojęcia, jak daleko może sięgać niepamięć kapitana, którą zaaplikował mu mój kolega.

– A ja pana skądś znam... – Zatrzymał na mnie wzrok.

Zrazu zrobiło mi się gorąco. Zacisnąłem palce obu rąk na drewnianym oparciu krzesła. Intuicja podpowiadała mi, że nie powinienem się odzywać. A potem przypomniałem sobie, że przecież przeszliśmy z Jackiem na „ty”.

– Już wiem – stęknął, po czym wyrzucił z siebie jednym tchem: – To przecież dzięki panu nie wpadliśmy wtedy z Władkiem w ten kocioł w kościele Świętego Aleksandra na placu Trzech Krzyży.

Kpi czy mówi poważnie? – zastanawiałem się gorączkowo; niby wszystko się zgadzało, ale niemożliwe, by w pamięci tego człowieka zrobiła się aż tak wielka wyrwa.

– Tak. To ja – przyznałem.

– Wiedziałem. Mam dobrą pamięć do twarzy.

– Ale to już przecież tyle miesięcy...

– No to teraz ma pan kolejny dług do spłacenia – wtrącił się nieoczekiwanie Franek, robiąc przy tym cwaniacką minę.

Po czym sprzedał nam wszystkim tak kosmiczną bzdurę, że aż się musiałem powstrzymać, by nie rzucić się na niego, aby zatkać mu gębę, niechby i własną pięścią. Jednak chyba tylko ja miałem podobne odczucia, a bajka o tym, że znaleźliśmy Jacka na Dworcu Głównym, że był nieprzytomny i już, już zakradali się do niego żandarmi, została przyjęta z ufnością i powagą, jakby to był artykuł w podziemnym tygodniku.

– Na szczęście Antek też pana zapamiętał. Gdybyśmy akurat nie wracali z Kutna... – Bela zakończył opowieść wymownym i ciężkim westchnieniem.

– Dziękuję, bardzo wam dziękuję... – jęknął Jacek, po czym ciężko opadł głową na poduszkę.

– To my już pójdziemy. Może jeszcze zajdziemy, żeby zapytać, czy wszystko w porządku. Proszę się zająć mężem – polecił kobiecie Franek.

Może były to wypowiedziane słowa, a może spojrzenia, które obaj w niej utkwiliśmy – w każdy razie blondynka spiekła raka. Nikt jednak nie prostował omyłki. Ja zaś ostatekiem sił powstrzymałem się, aby nie podskoczyć w miejscu.

Zrobiłem to dopiero na parterze.

– Niech mnie kule biją. Co za historia!

Franek nie był jednak tak radosny jak ja. Powoli otworzył drzwi kamienicy i wyszliśmy na Kazimierzowską. Anatol na nas czekał, rozparty na kanapie rikszy, choć chyba żaden z nas go o to nie prosił.

– Co będę po próznicy wracał – powiedział, widząc moje pytające spojrzenie, po czym chyżo zeskoczył z kanapy i usiadł na swoim miejscu. – Panowie będą łaskawi.

– A będą, będą – powiedziałem, sadowiąc się obok Franka.

Anatol stanął na pedałach, my zaś wreszcie mieliśmy sposobność, aby zamienić kilka zdań na najbardziej nurtujące tematy. Bela już otwierał usta, ale okazałem się szybszy.

– Powiesz mi wreszcie, co takiego mu wstrzyknąłeś? – zapytałem.

– Taki łagodny środek uspokajający – odpowiedział szybko

– Łagodny? To chciałbym zobaczyć, jak działa mocny – prychnąłem.

– Jeden znajomy mi kiedyś dał – wyjaśnił Bela, a potem odchrząknął. – Obawiam się, że ja mam więcej pytań do ciebie.

– To znaczy?

– Jak to możliwe, że pani Alina i ten... – Machnął głową trochę do tyłu i trochę w bok, bo nasza riksza właśnie zataczała łuk.

– A o to musisz już ją sam zapytać. Nie znam szczegółów ich poznania ani tym bardziej daty ślubu. Szable były i szpaler, tyle wiem, choć raptem od dziś. We wrześniu Sieradzki poszedł do niewoli. Dostawała od niego listy i sama je pisała. Ale stało się coś takiego, że jednak poszła z moim ojcem.

– Niezły bigos.

– I pomyśleć, że przez kilka miesięcy widywałem tego człowieka regularnie, a od paru dni to nawet co dzień... Hej, Franek, nie wciśniesz mi bajki, że to był zwykły środek uspokajający. Przecież ten człowiek kompletnie niczego nie pamięta!

– A czy nie tego właśnie chciałeś?

Oczywiście, że miał rację.

– Poza tym Jacek mógł się uderzyć w głowę, gdy upadał – zauważył.

– Akurat tego to ja nie pamiętam.

– Bo byłeś zajęty czymś innym. Może przeżywaniem całego życia jeszcze raz w ciągu paru sekund. Tak podobno jest. Nieważne. Jeśli chcesz mojej rady, musicie zrobić teraz koniecznie kilka rzeczy.

*

W mieszkaniu nie było ani śladu po awanturze, do której doszło kilka godzin wcześniej. Awanturze, to zresztą mało powiedziane. Z tego, co

mówiła Sieradzka, a głos wciąż jej drżał, jej mąż rzadko kiedy żartował. I gdyby nie kolega, czyli Franek, na pewno leżałaby teraz z przestrzelonym sercem. Ojciec też.

Zrobiłem dokładnie tak, jak polecił mi Bela. Nie powiedziałem Alinie, że jej mąż najprawdopodobniej mieszka z inną kobietą. Mogło to bowiem spowodować efekt odwrotny od zamierzonego. Powiedziałem za to, że Sieradzki na skutek upadku i uderzenia w głowę ma luki w pamięci, choć nie mamy pewności, że w którymś momencie to się nie zmieni. Ani słowa o tajemniczym zastrzyku.

– Wracamy na wieś – powiedział na to ojciec, wstał nawet z krzesła, ale zaraz klepnął z powrotem.

– Przecież dopiero co stamtąd wróciliśmy – jęknęła Alina.

– Życie ważniejsze – upierał się tata. – Pomyśl o Leszku.

– Myślę cały czas.

Po czym każde spuściło nos na kwintę. Było mi to nawet na rękę, dobrze się czułem w roli arbitra i mentora jednocześnie.

– Według mnie wystarczy, jeśli Alina nie będzie przez jakiś czas wychodzić z domu – powiedziałem. – A jeśli już będzie musiała, to sama. Nigdy z dzieckiem ani tobą, tato.

– Nic nie rozumiem – mruknął ojciec.

– Po prostu mnie posłuchaj. Jutro odwiedzę Jacka, a wtedy będę wiedział więcej. Na razie o tym nie myślcie.

– Łatwo powiedzieć – westchnęli jednocześnie.

*

Jak powiedziałem, tak zrobiłem. Na drugi dzień z samego rana pojechałem tramwajem na Mokotów, aby zapytać o zdrowie człowieka, którego wczoraj znalazłem rzekomo na Dworcu Głównym. Nie byłem do końca pewien, czy dzwonię do właściwych drzwi, ale po chwili otworzyła mi znajoma blondynka. Przez sekundę, a może nawet dwie przypatrywała mi się w milczeniu, więc pomyślałem, że może mnie nie poznaje. Wreszcie jej twarz się rozjaśniła.

– A, to pan.

– Przepraszam, ale akurat przechodziłem i pomyślałem, że wstąpię i zapytam, jak się czuje mąż – wyrzuciłem z siebie bez zajknięcia przygotowaną kwestię, ostatnie słowo zaś wypowiedziałem specjalnie głośno i wyraźnie.

– Proszę wejść. Jacek właśnie się obudził.

Wytarłem starannie podeszwy na słomiance i przekroczyłem próg mieszkania. Pachniało w nim dziwnie, chyba jakimiś lekarstwami.

– Właściwie to bardzo dobrze się składa, że pan przyszedł – powiedziała kobieta, odbierając ode mnie palto. – Jacek mówi tylko o panu. Wciąż opowiada o tamtym dniu, kiedy przyjechali do miasta na ślub kolegi. Pan też jest z organizacji?

Nie zdążyłem zaprzeczyć ani skłamać, bo z pokoju dobiegł głos Sieradzkiego.

– Kto przyszedł, Marysiu?

– Nie uwierzysz, kochanie. Już do ciebie idziemy! – Pchnęła mnie w plecy.

Kapitan siedział w fotelu naprzeciwko okna. Zastanawiał mnie, a nawet niepokoił spokój, który panował w tym mieszkaniu. Zupełnie jakby jego mieszkańcy zdążyli w jakiś cudowny sposób zapomnieć, że na zewnątrz trwa czarna okupacyjna noc i każde otwarcie drzwi może być ostatnim.

Ujrzawszy mnie, Sieradzki zerwał się z fotela. Nim zdążyłem zdziwić się temu zachowaniu ani nawet cokolwiek pomyśleć, stał przede mną wyprężony jak struna.

– Myślę, że nadszedł czas, aby zacząć grać w otwarte karty. Pan pozwoli, że się przedstawię. Kapitan Jacek, Kedyw Okręgu Warszawskiego Armii Krajowej.

Słuchałem tego osłupiały. Wyciągniętą w moim kierunku prawicę uściśnałem jednak mocno.

– Antoni – bąknąłem, jak zwykle się czynić w podobnych sytuacjach.

– Sierżant podchorąży?

Nie wiem, jak to się stało, ale głowa mi na chwilę opadła. A potem wróciła na miejsce.

– Proszę, niech pan siada, panie podchorąży. Myślę, że już niedługo

podporuczniku. – Sieradzki uśmiechnął się szeroko, czego nigdy wcześniej u niego nie widziałem, wskazując mi własne miejsce na fotelu.

– Dziękuję, kapitanie. Wystarczy mi krzesło. – Sięgnąłem po stojący obok mebelek, przysunąłem go sobie i szybko usiadłem, żeby już się nie certować.

Sieradzki bez słowa zapadł się z powrotem w wąwóz brązowego pluszu. Był blady, miał podkrążone oczy. Wyglądał na kilka lat starszego niż jeszcze wczoraj rano, kiedy jechaliśmy do Tworek. Zachodziłem w głowę, czy to wszystko sprawka Franka i jego tajemniczego specyfiku.

– Jak się pan czuje? – zapytałem.

– Dziękuję, świetnie.

Dotknął na chwilę czoła, jakby się nad czymś zastanawiał. Iskra chyba przeskoczyła, bo po chwili jego twarz się ożywiła.

– Czy ma pan przydział służbowy, panie podchorąży? – zapytał ściszym głosem, mimo że znajdowaliśmy się w prywatnym mieszkaniu, nie zaś na dworcu ani w kawiarni.

– W tej chwili nie – odpowiedziałem.

– Była wsypa?

– Niestety.

– Dawno?

– Niespełna trzy miesiące temu.

– Słyszałem o tym. – Jacek zrobił bolesną minę, a mnie się śmiać zachciało, bo przecież byłem pewien, że nie ma bladego pojęcia, o co chodzi; skrzywiłem się jednak w podobny sposób i tak przez chwilę w milczeniu oddawaliśmy hołd aresztowanemu, a następnie zamęczonemu i zamordowanemu z zimną krwią towarzyszom broni.

Milczenie przerwał kapitan Sieradzki.

– Chciałbym, żeby pan coś dla mnie zrobił – powiedział.

– Słucham.

– Uprzedzam, że to niezwykle delikatna misja. Nie każdy się do tego nadaje. Poza tym coraz mniej jest ludzi, którym mogę zaufać. Jeszcze niedawno zrobiłby to Władek, ale jakiś czas temu, jakby to powiedzieć...

– Co się stało?

– Zniknął. Po prostu zniknął.

Nie pamięta nawet o Tworkach – pomyślałem, ale myśl ta nie miała zabarwienia.

– Wy, o ile dobrze pamiętam, chodziliście przed wojną do jednej klasy... – Jacek Sieradzki zawiesił głos.

Potwierdziłem ostrożnym skinieniem głowy.

– W takim razie do rzeczy. Chodzi o to, by dostarczyć kilka kopert w parę miejsc w Warszawie.

– Ma pan na myśli bibułę?

– Nie. To są dokumenty z oflagu, w którym siedziałem i z którego szczęśliwie udało mi się nie tak dawno uciec.

Miałem na końcu języka, że do żony, ale w porę się powstrzymałem.

Tymczasem Jacek wstał z fotela, podszedł do kredensu, chwilę majstrował przy jakimś zamku, po czym otworzył drzwiczki i wyjął kartonowe pudełko po butach. W tym samym momencie weszła Marysia z tacą, na której stały dwie ładne filiżanki z parującą zawartością.

– Na pewno napije się pan kawy – powiedziała.

– Dziękuję. Chętnie.

Podczas gdy ona stawiała tacę na stoliku, Jacek podniósł wieczko i w istocie wydobył z kartonowego pudełka plik kopert. Miał około dziesięciu centymetrów grubości i był przepasany niebieską wstążką. Podał mi go i rzekł:

– Proszę. Adresy są wypisane na kopertach. Mam nadzieję, że wszystkie są aktualne. Jeszcze tydzień temu były, ale jak pan wie, nie znasz dnia ani godziny.

Zważyłem plik w rękę; nie był ciężki.

– Mam je po prostu zanieść? – Oko zatrzymało się na adresie na kopercie leżącej na samym wierzchu; była to ulica oddalona raptem kwadrans marszu od miejsca, w którym się aktualnie znajdowałem, a zatem równie dobrze mógł to zrobić sam Sieradzki. Do czego w takim razie byłem mu potrzebny? A może to była jakaś pułapka?

Jednak nie oddawałem listów. A kiedy zapytał, czy podejmę się zadania, nie odmówiłem.

– Ile mam czasu? – zapytałem za to profesjonalnie.

– Myślę, że trzy dni wystarczą – odparł Jacek. – Przepraszam, że pana tym obarczam, ale jak powiedziałem, sprawa jest niezwykle delikatna. Zrobiłbym to sam, ale nie pozwalają mi na to moje obowiązki służbowe w sztabie.

Jeśli pamiętasz, przeciw komu prowadzimy tę wojnę – zaśmiałem się w duchu.

Jacek sięgnął po filiżankę i pociągnął łyk. Zrobiłem to samo. Zza drzwi pokoju dochodziły odgłosy kuchennej krzątaniny. Kusiło mnie, żeby zapytać o status Marysi. Właściwie to liczyłem, że Sieradzki sam uchyli rąbka tajemnicy. I mówiąc szczerze, interesowało mnie to bardziej niż zawartość kopert, które miałem roznieść po mieście.

Niestety, zamiast tego zaczął opowiadać o sytuacji na froncie wschodnim. Wystarczyło kilka zdań, bym wyrobił sobie zdanie na temat solidności tych informacji. Był to zlepek tego, co fundowały mieszkańcom miasta na co dzień uliczne krzykaczki, z wierzchu i cienko tylko polukrowane doniesieniami, które można było przeczytać w gadzinówce. Tyle średnio inteligentny dwunogi osobnik żyjący w tym mieście miał pod kapeluszem.

– Naprawdę? To interesujące – mówiłem raz na jakiś czas w przerwach między piciem kawy.

Odezwała się kukułka w zegarze. Wychyliłem filiżankę do końca i wstałem.

– Na mnie już pora, panie kapitanie.

Jacek również się podniósł.

– Życzę powodzenia w tej misji, panie podchorąży.

Godzinę później siedziałem również przy stole, ale z Frankiem i moim ojcem. Kończyłem zdawać im relację z wizyty u szaleńca, który jeszcze wczoraj omal nie urządził w naszym mieszkaniu krwawej jatki. Zza ściany dobiegała jakaś tęskna wschodnia melodia. To Ołena usypiała oboje dzieci, gdyż Alina gdzieś wybyła. Śpiewała kołysankę ze swoich rodzinnych stron. Ech, wiele bym dał, aby w jakiś cudowny sposób znaleźć się w tej chwili pomiędzy jej córeczką a Leszkiem.

– I co ja mam teraz zrobić? – zapytałem.

Wszyscy spojrzeliśmy na plik listów. Nawet nie zdjąłem z nich tej niebieskiej wstążki, która trzymała wszystko w kupie. Problem w tym, że ja byłem w kawałkach. A dokładniej moja psychika. Potrzebowałem się wygadać. Wygadałem się. Teraz przydałaby się dobra rada.

– Masz praktykę w chodzeniu po domach – zauważył Bela.

Ojciec spojrział pytająco najpierw na niego, potem na mnie. No tak, nie było go przecież niemal pół roku, a nie o wszystkim zdążyłem mu jeszcze opowiedzieć. Była wśród tych historii także ta z krawcem Ezrą i dostarczaniem ubrań klientom.

– Potem ci wyjaśnię – zakończyłem temat, po czym rzuciłem do Franka: – A ty nie bądź taki mądry, bo i ja zaraz sobie to i owo przypomnę.

Uniósł obie ręce.

– Tylko chciałem pomóc – rzekł z błazeńską miną. – A tak poważnie. Zależy nam chyba na tym, żeby jak najdłużej móc kontrolować to, co robi Sieradzki. Kilka razy możesz jeszcze iść przecież do niego, niby po wytyczne, jak do starszego. To normalne.

– A jak nagle sobie o wszystkim przypomni?

Żaden z mentorów nie znał odpowiedzi. A może znał, tylko nie chciał czy wręcz bał mi się o tym powiedzieć. Ani tata, ani Franek nie naciskali już też, żebym wykonał zadanie. Zostałem z tym sam. Nie po raz pierwszy tej wojny. I pewnie nie po raz ostatni.

– Dobra, zobaczmy, o co w tym wszystkim chodzi – sapnąłem.

To powiedziawszy, wziąłem leżący na podorędziu kuchenny nóż i przeciąłem ten węzeł gordyjski. W tym wypadku tylko kokardkę z błękitnej wstążki.

*

– A to niespodzianka!

Klatka schodowa zwielokrotniła echem jego głos. Odwróciłem się i pomyślałem, że właściwie na co dzień też mogłoby mu owo echo pomagać *pro bono*, bo wtedy głos przynajmniej miałby jak dzwon.

Zmarniał bowiem jeszcze bardziej, schudł, jeśli to jeszcze możliwe, zbladł. Najmniej można się było dziwić chyba temu ostatniemu, było wszak dawno po lecie. A właśnie latem, dokładnie u jego progu, bo na początku czerwca, widzieliśmy się po raz ostatni.

– Krzyś! – ucieszyłem się na widok młodszego kolegi z Batorego, Krzysztofa Baczyńskiego, świetnego poety i rysownika, a ostatnio także żołnierza podziemnej armii.

– Długo ci zajęło to wybieranie się do mnie – mruknął z udawaną niechęcią. – Ale wskakuj do środka, wskakuj. Nie będziemy przecież gadać na schodach.

I wciągnął mnie do mieszkania, zamknął drzwi, nawet kółko zamka przekręcił, bardzo powoli i wręcz ostentacyjnie, bym wiedział, że jak już wpadłem, jak już się tłukłem przez całe miasto na Czerniaków i ulicę Hołówki, to wizyta tak szybko się nie skończy.

– Chodź, Antek, poznasz wreszcie moją żonę Basię – rzekł ściszone, ale za to, byłem tego pewien, uroczystym głosem.

Odwiesiłem palto na wieszak w przedpokoju. Na szczęście na dworze tego dnia wyjątkowo nie padało, więc nie trwożyłem się, czy nie zapaskudzę podłogi mokrymi plamami. Drewno tylko lekko skrzypiało mi pod stopami. Krzyś kilka razy zakasłał.

– Cholerna jesień – skwitował.

Znaleźliśmy się w dużym pokoju. W fotelu siedziała dziewczę z włosami spiętymi w kok, pyzate. Na oko istne przeciwieństwo poety. Podniósłszy wzrok znad czytanej książki, uśmiechnęła się, co uczyniło jej buzię jeszcze szerszą.

– Basieńko, to jest właśnie Antek, o którym ci tyle opowiadałem – zaczął prezentację Baczyński. – Kolega z Batorego, człowiek wielu talentów.

Podszedłem do fotela tak samo jak wiele razy przedtem, podczas wymuszanych wizyt u babek i ciotek, aby się przywitać. Jednak w przeciwieństwie do tychże dziewczyna wstała, i to niezwykle sprężyście, zupełnie jakby dokądś jej się bardzo spieszyło.

– Baczyńska – przedstawiła się. – Jeszcze niedawno Drapczyńska.

– Bardzo mi miło – bąknąłem, po czym również podałem swoje nazwisko.

– Siadaj, brachu. – Krzyś uderzył mnie po staremu i szkolnemu w łopatkę, choć nie wskazał konkretnego miejsca, które mógłbym zaanektować.

Wybrałem jak zwykle to najmniej wygodne, na krześle, nie mogłem więc nie spojrzeć na stół. Cały zarzucony był papierami. Niektóre z nich były zapisane drobnym, równym pismem, inne zaś pokryte rysunkami. Widziałem jakieś dziwne postacie w kapeluszach, Niemców w tych ich hełmach budzących grozę. Dużo czerni.

– Moja robota – rzekł Krzyś ni to z dumą, ni to z zawstydzeniem. – A przy okazji, muszę ci się pochwalić... – zawiesił głos.

Będzie miał dziecko! – to było pierwsze, co mi się pojawiło w głowie.

– Rzuciłem studia – ogłosił z dumą, porządkując papiery na blacie, choć w rzeczywistości powodował tylko coraz większy nieład. – Pewnie zapytasz dlaczego. Odpowiedź jest prosta: nie czas na głupoty, gdy są inne, myślę, że o wiele ważniejsze rzeczy.

– Co masz na myśli? – zapytałem naiwnie, a i trochę prowokacyjnie, wiedziałem przecież bardzo dobrze o jego częstych wycieczkach za miasto, gdzie, jak to sam określił, bywało głośno.

– Wykłady, ćwiczenia. Nuda. Owszem, to ciekawe, potrzebne, bywa nawet podniecające, bo nigdy nie wiesz, czy lokal za chwilę nie będzie otoczony i nie trzeba będzie uciekać przez komin. Tylko co z tego będzie miała Polska? Nic. Uznałem więc, że zamiast wysłuchiwać opowieści o mesjanizmie, lepiej wyczyścić stena. Oczywiście nie oznacza to, że nie wrócę kiedyś na studia.

Słuchałem go i nie poznawałem. Ulotniło się gdzieś pierwsze wrażenie, które wywarł na mnie chwilę po tym, jak otworzył drzwi. Teraz stał przede mną, wciąż stał, chociaż wszyscy już wygodnie siedzieliśmy, dziarski młodzieniec, który doskonale wie, jak obsługiwać wspomnianego stena. I jest wielce prawdopodobne, że nie posyła kul w powietrze.

– Jak zwykle przesadzasz – powiedziała jego żona.

Spojrzał na nią koso.

– Antek z pewnością napiłby się czegoś.

Chciałem zaprotestować, ale Barbara już była w drodze do kuchni.

Zostaliśmy sami.

– No, opowiadaj, stary, co tam u ciebie – powiedział wesoło poeta, zajmując jeszcze ciepłe miejsce na fotelu.

O czym tu mówić? Codziennosc wciąż nas zadziwiała, każdy, kto dzień, a często nawet tylko jedną godzinę spędził w mieście, wracał do domu z jakąś opowieścią. Czasami zabawną, czasami tragiczną, kiedy było się na przykład świadkiem ulicznej egzekucji. Słuchający tego domownicy częstokroć łapali cię wtedy za ręce czy inne części ciała, macali, aby sprawdzić, czy wszystko jest na miejscu, bo może trafił cię rykoszet czy inny odłamek.

Ale było też wiele rzeczy, o których lepiej było nie mówić głośno. W moim przypadku to historia z kapitanem Jackiem Sieradzkim. Zarówno ta sprzed utraty przez niego pamięci, jak i ta po tym zdarzeniu, której wciąż nie potrafiłem sobie wytłumaczyć.

– Nic ciekawego, stara bieda – odrzekłem, krzywiąc się przepraszająco. – Pamiętasz, widzieliśmy się ostatnio na Dworcu Głównym.

– Pamiętam.

– Mój ojciec wtedy wyjeżdżał na wieś. I wiesz, że wrócił do domu dopiero przedwczoraj? Tylko pozazdrościć.

– Pewnie – mruknął.

Miałem wrażenie, że humor mu się zepsuł. I nadzieję, że to nie ja jestem tego przyczyną.

– A u mnie wciąż to samo – westchnął po chwili. – Matka nadal żre się z Basią. O wszystko.

– Przykro mi.

– Na szczęście teraz wyszła do sąsiadki i jest trochę spokoju.

Na te słowa Barbara wniosła tacę z filiżankami. Zupełnie tak samo jak tajemnicza Marysia, gdy siedzieliśmy z Sieradzkim w mieszkaniu przy Kazimierzowskiej. Pomyślawszy o tym, dotknąłem serca. W wewnętrznej kieszeni marynarki cicho zaszeleściła koperta. Pierwsza z tych, które zgodziłem się roznieść po mieście, a tak naprawdę to ostatnia, bo przesądnie sięgnąłem w pierwszej kolejności po tę, która była na samym spodzie.

– Kto mieszka naprzeciwko was? – zapytałem Baczyńskiego, kiedy

filizanki, niemal takie same jak te, które służyły Sieradzkiemu i Marysi, stanęły na stole.

– Żona oficera, który siedzi w obozie. Chyba majora – odpowiedział szybko poeta. – A dlaczego pytasz?

– A tak, z ciekawości.

Bo to do niej przyszedłem, a nie do Baczyńskich. Stałem przed jej drzwiami, a nie przed drzwiami dawnego druha z Batorego. To, że mnie wypatrzył, to czysty przypadek. Dobrze się stało, ale doręczenie koperty wciąż było przede mną.

Rozmawialiśmy jeszcze kilkadziesiąt minut. W tym czasie do mieszkania wróciła matka Baczyńskiego, ale nie usłyszałem żadnych podniesionych głosów ani nikt nie rzucał talerzami. Potem podziękowałem za gościnę i obiecawszy, że znów kiedyś wpadnę, pożegnałem się.

– Samych dych – życzyłem gospodarzowi.

Zbiegłem na dół, ale zatrzymałem się na niższym piętrze. Upewniwszy się, że zamknął drzwi, wróciłem, by zrobić to, czego nie zdążyłem zrobić wcześniej: nadusiłem taster dzwonka mieszkania naprzeciwko.

Kilka chwil później otworzyła mi drzwi pani w średnim wieku o bardzo smutnej twarzy.

– Dzień dobry, czy pani majorowa Czaplińska? – zapytałem.

– Tak. O co chodzi?

– Mam dostarczyć pani list. – Wyciągnąłem w jej kierunku rękę z kopertą, na której ktoś wypisał, bardzo starannie i charakterem pisma trochę podobnym do tego, który widziałem na kartkach z wierszami w mieszkaniu Krzysia, imię, nazwisko i adres.

Wzięła do ręki przesyłkę, a wtedy ja, nie czekając na nic, ukloniłem się krótko i ruszyłem w dół po schodach.

Kiedy wychodziłem z kamienicy na uliczkę Hołówki, ukłula mnie boleśnie jedna myśl. Ale nie dotyczyła ona kobiety, której dostarczyłem przesyłkę, a Krzysztofa Baczyńskiego. Że widzieliśmy się po raz ostatni.

*

Dziwne, że nie dostrzegłem tego wcześniej, czyli wówczas, kiedy na polecenie krawca Ezry, który nam potem tajemniczo wziął i zniknął, roznosiłem gotowe ubrania do domów klientów. Że nie poczułem wszystkich bezsprzecznych dobrodziejstw, jakie niosło ze sobą to pożyteczne i jakże przecież proste, jeśli nie prostackie zajęcie: znać jako tako topografię miasta i nie dać się złapać – ot, cała filozofia.

Pożyteczne nie tylko dlatego, że przynosiłeś komuś rzecz, na którą ten od dawna czekał, może się nawet niecierpliwił, że tak długo. Już buty wypastował na wieczorne wyjście i brakowało mu tylko przyniesionej przeze mnie marynarki z podszewką z *hakenkreuzem*. Zajęcie rozwijało przede wszystkim fizyczność, na miejsce przecież trzeba się było dostać: dojść, a kiedy trzeba, to i dobiec, a nawet wskoczyć, musiałeś, człeku, wdrapać się po schodach albo po nich zejść, uchylić karku, jeśli powała niska.

A to nie wszystko. Pozwalało przecież zapomnieć choć na chwilę o wszystkich bolączkach, nabrać zdrowego dystansu, przewietrzyć głowę, dzięki czemu udawało się pozbyć wielu młodzieńczych głupot i rojeń. Przynajmniej na jakiś czas. I, co ważne, nie było łązowaniem bez celu, krążeniem od drzwi do drzwi po prośbie, ale po coś. Oddać ciuch, może odebrać drobną monetę tytułem napiwku – wszak wciąż się je dawało i otrzymywało mimo wojny – a czasem nawet znaleźć zaspokojenie męskich potrzeb, że wspomnę nieocenioną Ireczkę.

Ech, wiele by dali tatusiowie i mamusie chłopców i dziewcząt, którym w głowie była konspiracja, by ich latorośle zajęły się taką właśnie pracą. Byle tylko jedno z drugim zechciało posłuchać, byle rodzicielska filipika wygrała z filipinką, a empatia z potrzebą naoliwienia zdobyczego empi...

W moim przypadku zajęcie, które naraił mi Jacek Sieradzki, choć nie rozmawialiśmy o wynagrodzeniu i być może wszystko odbywało się w ramach zaszczytnej służby Polsce, spełniało wspomniane wyżej oczekiwania. Ledwo bowiem wyszedłem na Czerniakowską, zapomniałem i o majorowej Czaplińskiej, której dostarczyłem

przesyłkę, i o Baczyńskim.

– Kto następny? – zapytałem sam siebie, a tak właściwie to osobę, której personalia i adres czyjaś ręka wykaligrafowała na kopercie.

Bo o ile przesyłka na ulicę Hołówki 3 była tą, która znajdowała się na samym spodzie pliku kopert, o tyle reszta zupełnie mi się pomieszała. Stało się to przypadkiem, gdyż plik po prostu wypadł mi z ręki. Na szczęście miało to miejsce jeszcze w domu, więc papier się nie pobrudził. Nie chciałem, by potem mówiono, że przesyłkę dostarczyła jakaś fleja. Głupio było oczami świecić, nawet gdy coś się robiło właściwie anonimowo, prawda?

– Brukowa – odczytałem na głos nazwę ulicy, bo była, przynajmniej na razie, ważniejsza od nazwiska adresata.

To na Pradze, chyba obok wejścia do Portu Praskiego – skonstatowałem szybko.

Ucieszyłem się z czekającej mnie drogi. Oznaczało to bowiem ni mniej, ni więcej, że czeka mnie eskapada przez całe niemal miasto, a w dodatku przez rzekę. Wciąż nie padało, choć słońce świeciło tylko dla pilotów Luftwaffe, RAF-u i tych, najpewniej pijanych, z WWS, którzy wypuścili się nad naszą Warszawę z bombami gdzieś w połowie maja.

Trochę więc maszerowałem, trochę jechałem. Nie odmówiłem też sobie przyjemności przejścia piechotą przez most Kierbedzia.

Byłem dokładnie w jego połowie, gdy przez szczelinę, która zrobiła się między chmurami, przecisnął się promień słońca. Oparłem się o metalową kratę i zmrużyłem oczy. Blask wkrótce zniknął, ja jednak dalej stałem. Rzeczywistości przywrócił mnie gruchoczący mostem tramwaj, „piątka” na Kawęczyńskiej. Przez chwilę biłem się nawet z myślami, czyby nie wskoczyć na pomost i nie podjechać choć kawałek. Ale w końcu ruszyłem dalej piechotą.

*

Kamienica była obskurna i bardzo stara. Miałem wręcz wrażenie, że za chwilę się zawali, a część gruzów potoczy się do Wisły. Z drugiej

strony nie przyszedłem tutaj w konkury, by sączyć napoje gorące i pogryzać ciasto z zakalcem, które w dodatku należało chwalić, tylko zostawić list. Ile mogło mi to zająć? Minutę, góra dwie.

Po skrzypiących, wąskich schodach wdrapałem się na pierwsze, na szczęście, piętro. Dzwonka przy drzwiach nie było, więc musiałem zapukać.

– Kto tam? – dobiegło zza drzwi pokrytych zielonymi liszajami łuszczącej się farby.

Nie byłem w stanie stwierdzić, czy po drugiej stronie odezwał się mężczyzna, czy kobieta. Zerknąłem na kopertę. Niestety, na adresie nie było już tytułu, lecz tylko nazwisko: Kasprzyk. Poprzedzał ją inicjał Ł, który mógł oznaczać, że przesyłkę mógł odebrać zarówno Łukasz, jak i Łucja. I co teraz miałem zrobić?

Odchrząknąłem, wyprostowałem się, wreszcie powiedziałem:

– Mam przesyłkę.

– Co?

– Przesyłkę. Na nazwisko Kasprzyk. Proszę otworzyć.

Ostatnie słowa wydobyły się z mojej gardzieli nieco wzmocnione. Niestety, mimo to po drugiej stronie ani się nikt nie odezwał, ani nie otwarto drzwi.

– Ona pana nie wpuści – usłyszałem naraz z przeciwnej strony; kiedy się odwróciłem, ujrzałem obrazek jakże codzienny: przez szparę przyglądała mi się para starczych oczu. – Nikomu nie otwiera, bo się boi.

– Sąsiadów się boi?

– Tak jest, odkąd się tu przeniosła, a będzie już rok. Nieszczęsna kobieta, bo i mąż nie żyje, i syn, wojskowy, w obozie...

Chciałem o coś jeszcze zapytać, ale drzwi zostały zamknięte. Spojrzałem na kopertę, po czym wetknąłem ją po prostu w szparę między drzwiami a futryną.

Maszerując w kierunku rzeki, przypomniałem sobie tamten dzień, kiedy doszło do awantury w niedalekiej knajpce, w której spotkałem się z kapitanem Klubą. Nagle poczułem przemożne pragnienie spotkania z tym niezwykłym człowiekiem, który dwa razy ratował mi skórę, pozwalając wejść na swój statek kursujący po Wiśle między

Warszawą a Puławami.

Kiedy przekroczyłem próg szynku, w którym spotkaliśmy się ostatni raz, niemal odbiłem się od ściany tytoniowego dymu. Lokal był chyba kategorii najniższej z możliwych, więc i machorkę palono tutaj najgorszej jakości.

Wzrok mój powoli przyzwyczajał się do panujących warunków, zacząłem odróżniać postacie biesiadników. Jednak w żadnej z nich nie mogłem rozpoznać kapitana Kluby.

– O, to znów pan – zaczepił mnie ktoś.

Wzdrygnąłem się, bo pijacka morda znalazła się stanowczo zbyt blisko mojej twarzy; poczułem smród trawionego alkoholu zmieszanego z nikotyną. Cofnąłem się, na szczęście było gdzie; to, że ktoś się do mnie zwrócił w ten sposób, nie musiało przecież oznaczać, że w istocie się znamy. Był to stary sposób pijaczków na zapewnienie sobie następnej kolejki, którą zafunduje ów niby znajomy.

Tego jednak mogłem już kiedyś widzieć. Spoglądały na mnie oczka małe, przekrwione. Smutne czy wesołe? Tego nie byłem jeszcze w stanie ocenić.

– Dzień dobry – przywitałem się grzecznie mimo podłego miejsca.

– Taki sobie – skwitował pijaczek, spoglądając jakoś tak dziwnie, jakbym był przezroczysty. – Taki sobie, panie szanowny.

Zacząłem się rozglądać na boki w poszukiwaniu przyjaciela. Wtedy mężczyzna zapytał:

– Pan może szuka kapitana?

– Tak – odparłem z zadowoleniem, oznaczało to wszak, że facet zna mnie naprawdę. – Przechodziłem akurat obok i pomyślałem, że zajrzę. A nuż go spotkam. Pewnie zaszył się gdzieś w tej gawrze niedaleko wychodka, co?

– Nie ma go tam – odpowiedział mężczyzna.

– Jeszcze nie przyszedł? – zgadywałem.

– Nie.

– Poszedł?

– On nie przyjdzie.

– Czyżby był chory? – zapytałem, mimo ciężaru słów, jednak dość lekko, zbyt lekko, jak się miało za chwilę okazać.

Zadzwonilo szkło. Rozległ się rumor krzesła ciągniętego po podłodze. Ktoś zaklął siarczyście. Tylko mój rozmówca milczał. Przygryzł wargi, cała jego twarz jakby zastygła, ścięta przez nagły mróz. Jedynie źrenice się poruszały.

– Nie, nie jest chory, proszę pana – odrzekł wreszcie pijaczek. – To znaczy był.

Zacząłem się niecierpliwić, spojrzałem ostentacyjnie na zegarek, zerknąłem na boki, gotów w każdej chwili porzucić dziwnego rozmówcę, któremu nie wiadomo o co chodziło...

– Kapitan Kluba nie żyje – powiedział wreszcie mężczyzna.

Ktoś znów coś potrącił, ktoś zaklął, zbyt głośno stuknął kufel o blat stolika, a każdy z tych dźwięków mógł mi być zbawieniem w tej chwili. Ale wiedziałem, że słuch mnie nie mylił. Że to się stało naprawdę.

– Kiedy? – zapytałem rzeczowo.

– Na początku września.

Kupiłem po małym piwie dla niego i dla mnie. Usiedliśmy, a wtedy opowiedział mi o tamtym dniu. Przyprawdzili wtedy jego statek do portu. Niemcy przywieźli nim coś ważnego, może broń. Trwał właśnie rozładunek na ciężarówkę. Kapitan, który wcześniej sobie golnął, gdy to zobaczył, postanowił wejść na pokład. Wartownicy, którzy pilnowali tam porządku, wykazali się naprawdę dobrą wolą, jeśli w ogóle można tak powiedzieć. Najpierw ostrzegali, potem któryś wystrzelił w powietrze. Ale wyręczył ich oficer, który akurat schodził z mostka. Widząc intruza, po prostu wyjął pistolet z kabury i wypalił. Kluba wpadł do Wisły...

– Może go nawet nie zabił, tylko ranił. Ale kapitan poszedł od razu na dno. Wyłowili go dopiero po godzinie – westchnął mężczyzna.

Dopiłem piwo, pożegnałem się i wyszedłem z knajpy z mocnym postanowieniem, że już nigdy więcej tam nie wrócę. Dopiero gdy znalazłem się na powietrzu, wybuchnąłem głośnym, spazmatycznym, choć krótkim płaczem.

I mimo że dzień jeszcze trwał, a ja w kieszeni miałem kilka kopert do rozniesienia, oddałem rzecz walkowerem. Ze zwieszoną głową powlokłem się do domu.

*

Na szczęście nie przeżywałem straty tak mocno, jak mi się na początku wydawało, że będę przeżywał. Że krepa, flaszka i te sprawy. Już nawet nie płakałem; zakończyło się na jednym ataku, jeszcze nad Wisłą. W domu też nic nikomu nie powiedziałem, choć ojciec znał przecież kapitana Klubę z moich opowieści.

A następnego dnia wieść, którą usłyszałem, nie była już tak dojmująca. Poranek przyniósł bowiem nowinę.

– Wyprowadzamy się – ogłosił Czesio przy śniadaniu.

– Nie, daj spokój, przecież jakoś się pomieścimy – próbował protestować tata, ale szybko dał za wygraną; byłem zresztą pewien, że powiedział to tylko dla kurtuazji.

– Jest nam tu dobrze, nawet bardzo dobrze, ale nie możemy już dłużej siedzieć wam na karku. Tym bardziej z wiecznie głodnym noworodkiem – rzekł na to Bielawny.

Ile razy ja już to słyszałem? – zapytałem sam siebie w duchu. No, może poza argumentem noworodka. Głośno zaś zapytałem, choć bez specjalnych emocji:

– Dokąd macie zamiar iść?

– Znalazłem coś blisko fotoplastikonu, dosłownie dwie przecznice. Na Koszykowej. Pierwsze piętro, dwa pokoje. Prawdziwa okazja. Nie mogłem nie skorzystać! – wyliczał z zadowoleniem niegdysiejszy proboszcz w Chołoniewiczach.

Jedyne, co nam, starym mieszkańcom, pozostało, to w milczeniu zgodzić się na taki obrót rzeczy. W milczeniu też cieszyłem się, że wreszcie będę mógł się wyspać we własnym pokoju i łóżku.

*

Z tym większą ochotą wyszedłem z domu, aby dostarczyć kolejne przesyłki, które przekazał mi Jacek Sieradzki. Dopiero znalazłszy się na skrzyżowaniu Jasnej i Sienkiewicza, sięgnąłem do kieszeni po pierwszą kopertę.

– Ale to chyba nie jest...

Podczas drogi kilka razy omal nie wybuchnąłem wariackim śmiechem, by za chwilę popaść w zadumę graniczącą z rozpaczą. Oto znów jechałem kolejką EKD, chociaż już, o szczęście niepojęte, nie do Tworek. Zaraz za granicą miasta wagony zastukały i jęknęły bowiem na rozjazdach i skład skręcił w prawo, w stronę przystanku Włochy. Co raz zerkąłem na kopertę, którą kapitan Jacek Sieradzki do spółki z losem kazali mi dostarczyć na miejsce, i czytałem wypisane na niej personalia adresatki, nazwę ulicy i numer domu.

Czy Irena, bo tak miała na imię, miała się okazać tą samą Ireną, którą odwiedziłem latem z przesyłką od krawca Ezry? Nie pamiętałem tamtego adresu, choć z pewnością bym tam trafił. A jeżeli tak, to czy powinienem tam iść?

– Włochy! Włochy! – zawołał ktoś, może konduktor, a może tylko pasażer wielce rad z zakończenia podróży.

Wyskoczyłem z wagonu, wciąż zastanawiając się nad swoim problemem. Pewnie wielu moich rówieśników w ogóle by go nie miało. I, jeżeli domek okazałby się tym samym słodkim domkiem niedaleko stacji, w którym jakiś czas temu kopulowałem z Irką, rozwiązaliby sprawę w dwojaki sposób: zostawili kopertę w skrzynce albo wsunęli pod drzwi. Albo by do nich po prostu zapukali, wypiąwszy pierś i podkręciwszy wąsa, jeśli któryś miał.

Szedłem na pamięć. Dopiero gdy przeczytałem nazwę uliczki, na końcu której stał ów dom, cel mojej krótkiej podróży, serce zaczęło mi bić szybciej. Tak, Irena z listu miała okazać się tamtą Irką, modnisią, która zaprasza młodych chłopców do swego buduaru.

– Nic z tego. Zostawisz przesyłkę i wracasz – instruowałem sam siebie pod nosem, kiedy od drzwi dzieliło mnie mniej niż dziesięć kroków.

Stanąłem przed nimi. Już unosiłem rękę, aby pukać. Ale tylko do drzwi, do drzwi!, do ciężkiej i niespodziewanej. Wtedy klamka się poruszyła, naciśnięta z drugiej strony. W pierwszym odruchu cofnąłem się, by uciec albo przynajmniej spróbować ukryć się za węglem.

Ale było już za późno. Zdążyłem tylko pociągnąć za przednią część

ronda kapelusza.

– Pan do mnie? – zapytała Irena, bo to była ona.

– Tak.

– Słucham.

– Przesyłkę przyniosłem – odpowiedziałem szybko, po czym zdecydowanym ruchem sięgnąłem za pazuchę.

Nie wiem, co bardziej ją przeraziło: moje słowa, lekka chrypka podmiejskiego bandziora, efekt niewinnego jesiennego wiatru, czy ten gest. Chyba jednak to ostatnie, bo przecież mogłem... Tak, mogłem wyjąć z zanadza broń. I być może Irka już ten gest widziała, bo otworzyła usta, zaskoczona i, tego już byłem pewien, przerażona.

– Ale za co? – jęknęła tylko.

Dopiero teraz uzmysłowiłem sobie, że moja ręką wciąż tkwi za pazuchą. Chciałem złapać szybko za róg znajdującej się w kieszeni koperty, ale papier złośliwie utknął w szczelinie, a nie chciałem szarpać, aby nie zniszczyć listu. Dlatego cofnąłem rękę i razem z drugą uniosłem ją w geście podobnym do gestu błogosławieństwa.

– Proszę się nie denerwować, pani Ireno.

– Skąd pan mnie zna?

– Przecież mam dla pani przesyłkę – wyjaśniłem, po czym odsunąłem kapelusz ku tyłowi. – To ja, Antek. Nie poznajesz mnie? – Przeszedłem na „ty”, bo przecież na „ty” byliśmy; głupio chyba mówić do kogoś w łóżku „proszę pani” i „proszę pana”.

– Antek? – powtórzyła bezwiednie.

Dopiero teraz jej się przyjrzałem. Nie, z pewnością nie stała przede mną ta sama Irka co latem. Dzierlatką nie była, fakt, wtedy jednak starała się to i owo zatuszować, ukryć: fryzurą, mocniejszym makijażem, odpowiednim ubraniem. A gdy tego nie stało, to zaciągniętymi zasłonami w oknie.

Staliśmy tak i wpatrywaliśmy się w siebie dobrą chwilę. Gdzieś niedaleko gwizdnęła lokomotywa. Kobieta drgnęła.

– A, tak, oczywiście, pamiętam... – wydukała. – Antek?

– Tak.

– Ale ja właśnie wychodzę.

– Przyniosłem tylko list – powtórzyłem po raz kolejny, ale bez śladu

zniecierpliwienia, czułem bowiem, że sytuacja jest opanowana i za chwilę będę w drodze powrotnej do Warszawy; no i tym razem miałem na to dowód: kopertę.

Irena wzięła ją do ręki, przebiegła wzrokiem po adresie.

– Wszystko się zgadza? – chciałem wiedzieć.

– Tak, ale...

– Ale?

– Skąd pan to ma?

Jednak „pan”. No nic, mówi się trudno – pomyślałem. A dopiero potem dotarł do mnie sens słów, które wypowiedziała Irena. Nie byłem na nie przygotowany, Sieradzki nie powiedział, jak mam się zachować w takiej sytuacji, co odpowiedzieć. Czy miałem prawo użyć jego nazwiska? Wątpliwe. Imienia i stopnia? Też chyba nie...

– Od przyjaciela – palnąłem.

Przez twarz Ireny przebiegł cień. Zważyła kopertę w rękę, jakby się spodziewała znaleźć tam monety. Jeszcze raz spojrzała na mnie spod oka, po czym rzekła:

– Dziękuję.

– Bardzo proszę – odpowiedziałem z radością, jakbym właśnie dostał suty napiwek, po czym wykonałem piruet na fleku i ruszyłem w stronę uliczki prowadzącej do dworca.

Gdybym tak się nie spieszył, obawiając się, że kobieta znów zechce zaciągnąć mnie do pokoiku, gdybym więc nie myślał tylko o tym, by uciec stąd jak najszybciej, usłyszałbym dźwięk, który dobiegł z domku Ireny przez uchylony lufcik. Dźwięk, który może nie wszystko by mi wyjaśnił, ale bez wątpienia, tak, bez wątpienia dał do myślenia. A tak znów odszedłem, zupełnie nieświadomy roli, którą odgrywałem.

*

Było około południa, gdy wróciłem do domu. Bielawny kończył właśnie pakowanie walizek. Przez chwilę przypatrywałem się z ukrycia tej jego niespiesznej, może nawet ślamazarnej czynności, którą winien był wykonać wiele miesięcy temu. I, co dziwne, zrobiło

mi się żał, że już nie będzie z nami mieszkał. On i jego gromadka.

Alina i Ołena siedziały w kuchni i karmiły niemowlęta. Ojca nie było.

– Poszedł kupić coś do jedzenia – poinformowała mnie Sieradzka, widząc mój wyraz twarzy.

– Poszedł?

– Tak. Tylko poszedł – powtórzyła, co miało oznaczać ni mniej, ni więcej, że nie pojechał pod Warszawę, tak jak zwykł czynić, gdy bliscy zaczynali się domagać rarytasów w rodzaju wędliny czy wiejskich jajek.

Wróciłem do pokoju, w którym był Czesio. Już się nie pakował, a siedział na krawędzi łóżka, gapiąc się we własne stopy. Tym razem czułem, że powinienem się odezwać.

– Co się dzieje? – zapytałem.

Podniósł wzrok. W jego oczach nie dostrzegłem jednak smutku, a tym bardziej łez. Raczej zamyślenie, może zmęczenie. Potwierdziły to po chwili jego słowa.

– Nic. Po prostu wspominam wszystkie te chwile, które spędziliśmy tu razem – odrzekł Bielawny. – Gdyby ktoś mi powiedział, że po powrocie do Warszawy będę przeżywał takie historie, za nic bym nie uwierzył. Było jak w westernie. Albo filmie gangsterskim.

– Co innego, gdy to widzisz na kinowym ekranie, a co innego, jak czujesz, że twoje portki robią się mokre.

Czesio spojrzał na mnie wyraźnie speszony.

– Skąd wiesz, że moje były?

– Nie wiem. Mogę mówić tylko o swoich portkach. A moje, owszem, były. Nie ukrywam tego. Strach to ludzka rzecz.

– Podobnie jak grzech.

To powiedziawszy, Czesio odetchnął z ulgą, jakby zrzucił z ramion jakiś ogromny ciężar. Następnie wstał z łóżka i napał kolanem na wieko leżącej mimo walizy.

– Pomóż mi zamknąć z łaski swojej – sapnął.

Szczęknął zamek, jakże przypominający odgłos tego w pistolecie. Zawtórowała mu nieśmiało jakaś sprężyna w łóżku. A kiedy Czesio wstał, poczułem się, jakby to był ostatni dzień lata, nadszedł czas

pożegnań i za chwilę opuścimy lotnisko, i rozjedziemy się we wszystkie strony świata. Adresy spisane, obietnice złożone, kieszenie próżne. Ktoś z tego powodu – rozstania, nie braku pieniędzy – może nawet łzę uroni.

– Pójdę z wami, pomogę dźwigać – zadeklarowałem się, bo jakoś odechciało mi się jechać w miasto z kolejną przesyłką.

Zgodził się bez słowa. Chwycił za rączkę walizki i wyszliśmy z sypialni. Ołena czekała już w przedpokoju z córką na rękę, również gotowa do drogi. Z kolei Alina z Leszkiem, który z zainteresowaniem przyglądał się światu, zajęli stanowisko na rubieży kuchni.

Na to wszystko do mieszkania wszedł ojciec.

– Już idziecie? – zdziwił się, a może tylko dobrze zagrał rolę zatroskanego i niezadowolonego z takiego obrotu spraw gospodarza.

– Tak – odparł Czesio, stawiając walizę na podłodze w przedpokoju.

– Ponoć niespokojnie w mieście – rzekł tata, wieszając płaszcz na haczyku i spoglądając trwożnie na każdego z nas po kolei.

Może czuł się podobnie jak ja: wątpił w to, że Czesio i Ołena będą mieli gdzieś lepiej niż u nas. Ale nawet jeśli tak było, to chyba już za późno, by próbować cokolwiek zmienić czy odkręcić. Bielawny zdecydowanym ruchem sięgnął bowiem po kapotę, nacisnął na głowę czapkę, ale zaraz ją zdjął.

– Bardzo, z całego serca dziękujemy wam za gościnę – rzekł uroczyście, a z tą czapą w rękę przypominał mi wielce jakiegoś magnata z dawnych lat. – I jednocześnie przepraszamy za kłopot. Co złego, to nie my. Niech wam Bóg błogosławi.

Byłem pewien, że zaraz po tych słowach wyciągnie zza pleców kropidło i zacznie nas skrapiać. Ale Bielawny tylko pociągnął nosem, po czym znów nacisnął czapę na głowę, tym razem mocniej. Pewnie tak, żeby daszek ocieniał wilgotniejące oczy.

*

Niespełna pół godziny później wysiedliśmy z dorożki przed okazałą kamienicą stojącą na rogu Lwowskiej i Koszykowej. Bez wątpienia

zasługiwała na to, by zadzierać głowę i podziwiać kunszt architektów i budowniczych. Ten objawiał się na wszystkich kondygnacjach, a każda była inna. Całość wieńczyła imponująca wieżyczka.

- To naprawdę tutaj? – zapytałem z niedowierzaniem Czesia.
- Naprawdę – odparł.
- Wspaniale. Ale pewnie będziesz płacił niebotyczne komorne...
- Da się przeżyć. – Machnął lekceważąco ręką.

Odebrał od Ołeny tłumoczek, w który zawinięte było niemowlę, a ja schyliłem się po walizę. Skierowaliśmy kroki w stronę wejścia, które też było piękne. Pomyślałem wręcz, że gdyby nie zły czas, niechybnie stałby obok niego jaki szwajcar w wiśniowej liberii ze złotymi guzikami i otworzył nam drzwi z głębokim ukłonem.

Ale nikogo takiego nie było; tylko szara kobiecina, postukująca drewniakami, ni to miejska baba, ni to wiejska. Wojna, szczególnie teraz, jesienią, zacierała różnice. Drzwi nam, owszem, przytrzymała, gdyśmy hałastrą pchali się do środka. Nie omieszkała jednak, mimo swej pozycji, otaksować nas badawczym spojrzeniem.

- Pod dziesiąty – powiedział asekuracyjnie Czesio, który jako były proboszcz znał bardzo dobrze ten typ ludzki.
- A to drugie piętro będzie – zaskrzeczała pani.
- Bóg zapłać.

Wtarabaniliśmy się wszyscy do windy, która zawiozła nas na górę. Gdy stanęliśmy przed drzwiami z mosiężną dziesiątką, Bielawny triumfalnie zadzwonił kluczami. Miał tego cały pęk, więcej nawet niż święty Piotr, bo od fotoplastikonu, a być może nawet od mieszkania rodziców. Bez problemu jednak odszukał ten jeden, pasujący do zamka w drzwiach, przed którymi staliśmy.

- Zapraszamy na pokoje! – zawołał, otworzywszy drzwi.

W tym momencie ostatecznie opadły ze mnie wszelkie wątpliwości, ta krępująca ruchy skorupa gdybań i ewentualności. Mieszkanie było. I było, co chyba najważniejsze, puste i gotowe do zasiedlenia. Nie przycupnęła w nim żadna gromada Koziuków spod Zamościa, nie zadekowali się szmalcownicy ze swoją ofiarą przywiązaną w kuchni do rury odpływowej. Nie ukrywali się żołnierze podziemnej armii ani nie drżeli na każde stuknięcie w ścianę, drzwi czy podniesiony głos

ocalali z zagłady getta Żydzi.

– No, drogi Czesiu. Teraz to żyć, nie umierać! – zawołałem z kolei ja, pozbywszy się ciężkiej walizy. – Do roboty masz rzeczywiście niedaleko, a okolica spokojna. Mam nadzieję, że sąsiedzi też będą mili.

– To porządna kamienica – rzekł z powagą Bielawny, oddając córeczkę ponownie w ręce Ołeny.

Rozejrzałem się po ścianach największego pokoju. Były gołe, ale czyste. Tu i ówdzie jaśniały kwadraty albo prostokąty, znamionujące miejsca, gdzie jeszcze niedawno wisiał kto wie czy nie Kossak albo Gieremski. Zostawiono kilka niezbędnych do życia mebli, takich jak łóżko, dwa fotele, stoły i krzesła.

– Przywiozę coś od siebie z domu – powiedział gospodarz, widząc, jak przypatruję się pustej półeczce na książki. – Muszę tylko znaleźć odpowiedni moment, kiedy moich starych nie będzie.

Nie mogłem się powstrzymać przed zapadnięciem się, przynajmniej na krótką chwilę, w miękkim fotelu. Przeciągnąłem pieśczośliwie dłońmi po podłokietnikach. I poczułem żal do losu, że to nie ja będę tu mieszkał z ukochaną kobietą i maleńkim synkiem. Nagła żałość chwyciła mnie za gardło, oddech stał się płytki, a pod powiekami poczułem pieczenie.

I być może nawet bym się rozplakał jak dziecko, gdybym nie poczuł, że coś mnie uwiera w lewą pierś.

– Co to, do cholery? – Sięgnąłem do wewnętrznej kieszeni.

To były listy od kapitana Sieradzkiego. Nie wyjmowałem ich z płaszcza, bo po co, ale zdążyłem o nich zapomnieć.

Listy były lekko pogięte. Wstałem z fotela i rozłożyłem je na stole. Wystarczyło jedno spojrzenie, by stwierdzić, że wszystkie są do siebie podobne. I nie chodziło tutaj tylko o ten sam charakter pisma.

– Nie wierzę – mruknąłem, wodząc po raz kolejny wzrokiem po kopertach.

– W co? – zainteresował się Czesio, bo wciąż chyba był bardzo wyczulony na takie deklaracje.

Zamiast odpowiedzieć, zebrałem jednym ruchem wszystkie koperty. Mogło to wyglądać tak, jakbym nie chciał wyjawić sekretu, co było prawdą, ale tylko po części. Zaraz bowiem ponownie je

rozzuciłem, jakbym pokazywał jakieś kuglarskie sztuczki. A wszystko po to, by się przekonać, że wzrok mnie nie myli.

– Miałem te listy roznieść po mieście... – zacząłem.

– Zostałeś listonoszem? – zapytał Czesio.

– Nie. Skąd! – zaprotestowałem żywo, jakby to była jakaś ujma. – To tylko przyjacielska przysługa, a jednocześnie, przyznaję, coś w rodzaju rozrywki. Kilka już doręczyłem, na Czerniakowie, na Pradze i we Włochach. Ale teraz się okazuje, że... Możesz mi przypomnieć, jaki tu jest adres?

– Lwowska siedemnaście.

Po czym obaj jednocześnie spojrzeliśmy na leżące przed nami koperty.

– No to masz farta, przyjacielu! – Bielawny klepnął mnie serdecznie w ramię. – Możesz nawet w kapciach lecieć.

– Nie mam. To ty tu mieszkasz – zauważyłem.

– Tak się tylko mówi.

On się śmiał, ja jednak byłem czemuś zasepiony. Dziwnie, nawet bardzo dziwnie mi to wyglądało. Nie byłem przygotowany na takie ułatwienia, a może po prostu szkoda mi było tej drogi, którą miałbym jeszcze do pokonania.

I wtedy pewna myśl zaświtała mi w głowie.

– Czesiu, możesz mi wyznać jeszcze jedną rzecz?

– No?

– Od kogo wynająłeś ten lokal? Mam nadzieję, że to nie tajemnica Watykanu.

– To akurat nie jest jakaś wielka tajemnica. – Wielebny wzruszył ramionami. – O cenę mnie już może nie pytaj, bo to delikatna kwestia. Ale ogłoszenie dała żona jednego oficera. Pułkownika chyba. A co?

Na to znów zerwałem się z fotela, jakby wszystkie włókienka pluszu nagle zamieniły się w igły i stanęły na sztorc.

– Że też wcześniej na to nie wpadłem! Dostałem po prostu listy z oflagu. Co ważne, nietknięte przez niemiecką cenzurę.

I zacząłem ponownie umieszczać wszystkie w kieszeni. Dopiero teraz zdałem sobie bowiem sprawę, że każda chwila zwłoki kosztuje być może adresatów tych przesyłek wiele nerwów, wylanych łez,

wypalonych papierosów czy kropel środków uspokajających. Że coś, co brałem, jak sam przed chwilą głośno przyznałem, za zabawę i urozmaicenie monotonnego życia, dla ludzi, których nazwiska czyjaś ręka wypisała na kopertach, jest sprawą wagi najwyższej.

- Muszę jak najszybciej dostarczyć te listy – oświadczyłem z mocą.
- Pomóc ci w czymś? – zapytał Bielawny.
- Nie. Dziękuję.
- Ale uspokój się.
- Dobra, będę spokojny.

Jeszcze raz usiąść w fotelu bez strachu, że mnie wchłonie jego miękki plusz, nie pozwoli wstać. Jeszcze raz rozłożyć koperty. Oto moja kareta, mój poker. Wygram. Nie! Ja już wygrałem. Niosę przecież dobrą nowinę ludziom, którzy od dawna jej oczekują. Czy można było wymarzyć sobie lepszą rolę w ten czas pogardy?

Oto leżało przede mną pięć listów, których adresaci mieszkali w kamienicy przy Lwowskiej pod siedemnastym.

- Idę. – Wyprężyłem się i sapnąłem dla dodania sobie animuszu.
- Wpadnij, jak skończysz – zawołał jeszcze za mną Czesio. – Opowiesz mi coś o nowych sąsiadach...

*

Zacząłem od najwyższego piętra, na które dojechałem windą. Słyszałem kiedyś, bodajże od Franka, a może od ojca w czasach, kiedy go zredukowali, że to stary, sprawdzony sposób ludzi, którzy na chleb ze smalcem zarabiają handlowaniem po domach.

Na ostatnim piętrze miałem też pierwszą adresatkę. Drzwi, ledwo odjąłem rękę od przycisku dzwonka, otworzyła mi pani lat około czterdziestu. Wiedząc, z kim najpewniej mam do czynienia, stanąłem na baczność. Miało to być dodatkowym dowodem na to, że nie jestem osobą przypadkową.

- Dzień dobry. – Energiczny ruch głową. – Czy pani kapitanowa Jabłońska?
- Tak. O co chodzi?

– Zostałem zobowiązany dostarczyć przesyłkę. – Równie energiczne machnięcie kopertą, jakbym chciał utłuc siedzącą na parapecie muchę.

Pani Jabłońska wzięła przesyłkę do ręki i podziękowała. Ja jeszcze raz machnąłem jej niesforną grzywą, po czym wykonałem przepisowe w tył zwrot i ruszyłem w dół po schodach.

Następnie zapukałem, na podorędziu nie było bowiem dzwonka, do drzwi mieszkania na niższym piętrze. Długo nikt mi nie otwierał. Kiedy już miałem zrezygnować, odejść jak niepyszny, coś cicho zaskrobało. Po chwili w wąziutkiej szczelinie ujrzałem czyjeś oko, kawałek nosa i brody.

– Dzień dobry.

Po obowiązkowej gimnastyce i przeczytaniu danych z koperty wsunąłem ją w ową szczelinę, po czym drzwi się zatrzasnęły. Byłem jednak zadowolony z końcowego efektu.

Jeszcze tylko trzy. W mieszkaniu na pierwszym piętrze otworzyło dziecko, może sześćioletnia dziewczynka z odstającymi na boki, krótkimi warkoczykami. Poproszona, by zawołała mamę, a przynajmniej kogoś dorosłego, zatrzasnęła mi drzwi przed nosem. Byłem jednak dobrej myśli.

– Słucham? – odezwała się po chwili otyła kobieta o czerwonej cerze.

Ale i takiej osobie należało zameldować o przyniesieniu przesyłki.

– Czy to od taty, mamusiu? – dopytywała mała, której rogata główka nagle znalazła się między biodrem kobiety a futryną drzwi.

– Tak, kochanie. Od naszego taty. Tak mi się wydaje – odpowiedziała matka, patrząc niepewnie to na mnie, to na kopertę, którą wciąż trzymałem w ręku.

Nie można było przedłużać. Przekazałem, co miałem przekazać. Koniec. Jakoś nie mogłem się jednak odwrócić, by sobie iść. Może sprawiło to dziecko, które nie spuszczało ze mnie spojrzenia, a może zapachy, które dochodziły z mieszkania. Uświadomiłem sobie, że dawno minęła już pora obiadowa.

– A może pan wejdzie? – zapytała kobieta, uchylając szerzej drzwi.

– Nie. Nie mogę. Bardzo dziękuję – odpowiedziałem nieswoim

głosem.

Dopiero po tym wykonałem żalosny piruet, jakby ostatnie koperty, które trzymałem w zanadrzu, zaczęły mi dziwnie ciążyć, a może nawet palić ciało. Jakbym podświadomie czuł, że w liście, zapewne wyczekanym, bo kto nie czeka na wiadomość od najbliższej osoby, nie ma jednak dobrych wiadomości. Mimo że dawno minęły czasy, kiedy dostarczycieli złych wieści zgodnie ze zwyczajem skracano o głowę, chciałem uciec jak najdalej i jak najszybciej.

Oto został mi ostatni list, który bezpieczną pocztą nadał żołnierz uwięziony za drutami obozu. Mieszkanie, do którego miałem go dostarczyć, znajdowało się na parterze kamienicy. Mimo nabytego doświadczenia czułem treść.

Stałem przed drzwiami. Było wszystko, co potrzeba, aby powiadomić lokatorów, że się przyszło, bo i dzwonek na ścianie, i jakaś dziwna, starodawna żeliwna kołatka umieszczona na samym środku, tuż pod numerem mieszkania. Miała kształt głowy diabła czy może jakiegoś centaury, choć równie dobrze mógł to być zwyczajny facet z długą, kędzierzawą brodą. Święty na przykład.

Nie wiem dlaczego, ale nagle bardzo zapragnąłem użyć właśnie jej. Zastukałem dwa razy. Echo poniosło dźwięk po całej klatce schodowej.

– Kto tam? – zaskrzeczał jakiś głos zza drzwi, zupełnie jak wczoraj w rozwalającej się kamienicy przy ulicy Brukowej.

– List przyniosłem – odrzekłem tym razem pewnie.

Odchrząknąłem, na wypadek gdyby przyszło mi powtórzyć. Może użyć nieco innych słów, poważniejszych, bardziej godnych.

– List? – usłyszałem, tym razem jednak wyraźnie.

Drzwi otwarto bowiem bez zwyczajowej uwertury: chrobotu klucza, zgrzytania zasuw, dzwonienia łańcucha. Byłem zaskoczony. Nie tylko dźwiękiem, ale i widokiem. Po drugiej stronie progu stała bowiem piękna, choć dojrzała kobieta. Miała na sobie kostium, jakich dawno nie widywało się na warszawskich ulicach, na głowie zaś zachwycający kapelusz. Wyglądało na to, że właśnie chciała wyjść z mieszkania, a więc złapałem ją w ostatniej chwili.

Formalności musiało stać się jednak zadość.

– Pani majorowa Dolecka? – przeczytałem z koperty.

– To ja – odpowiedziała.

– Polecono mi dostarczyć pani przesyłkę. Proszę, oto ona.

I wyciągnąłem rękę w geście podobnym do wszystkich wcześniejszych.

Ale kobieta nie wzięła koperty. Nie wiedziałem, co zrobić. Czy powtórzyć, może nawet bardziej energicznie, niczym stojący na skrzyżowaniu ulic i kierujący ruchem policjant, któremu trafił się wyjątkowy tępy kierowca z Łukowa?

– To z obozu? – zapytała, nie patrząc w ogóle na list, tylko na mnie, nieruchomo, wyczekująco, jakby chciała mnie zahipnotyzować.

– Chyba tak – bąknąłem.

– Już wszystko wiem. Niepotrzebnie się pan fatygował.

– Nie rozumiem.

– Mąż nie żyje. Już się dowiedziałam. To zapewne jest w tym liście. Nie chcę takich pamiątek. Wolę pamiętać go żywego. Proszę to zabrać. I do widzenia, młody człowieku.

– Ale... – jęknąłem bezradnie, uniosłem jeszcze raz rękę z nikomu już niepotrzebnym arkuszem papieru.

– Nie chcę panu trzaskać drzwiami przed nosem, bo to nie w moim zwyczaju. Ale proszę już iść i zostawić mnie w spokoju.

– Dobrze. – Cofnąłem się o krok, a wtedy ona bardzo powoli zamknęła drzwi.

*

Nie wróciłem do mieszkania Czesia. Pragnąłem być sam, bo tylko w pojedynkę byłem w stanie należycie przetrwać to, co mnie spotkało. Próbować zrozumieć.

Doszedłem do hal przy Koszykowej i tam otworzyłem list, którego nie chciała majorowa Dolecka. Chyba pierwszy raz zdarzyło się, że rozerwałem kopertę, która nie była zaadresowana do mnie ani do nikogo z moich bliskich. Czułem się głupio, mimo że wiedziałem, co jest w środku, no i dostałem na takie zachowanie coś w rodzaju

przyzwolenia.

Rzeczywiście. Na jednej kartce lakonicznie donoszono o śmierci oficera. W kilku zdaniach opisywano jej okoliczności. Nie stało się to podczas próby ucieczki. Nie było to też pismo oficjalne, takie bowiem wystosowałyby komendant oflagu czy ktoś taki. Po niemiecku by napisał i opieczętował gapami i swastykami. Na końcu tragicznej wiadomości widniały słowa „za radę obozu” oraz nieczytelny podpis.

Czy wszystkie przesyłki, które do tej pory dostarczyłem, zawierały to samo? – zastanawiałem się gorączkowo.

Nie mogłem tego sprawdzić. Pozostał mi co prawda jeszcze jeden list, którego adresatka nie mieszkała w nowej kamienicy Czesia, ale jego nie miałem już odwagi otworzyć. Owszem, mogłem pojechać jeszcze raz na ulicę Hołówki albo do Ireny. A może po prostu odwiedzić sprawcę całego zamieszania, czyli Jacka Sieradzkiego, i zażądać od niego wyjaśnień.

A jeśli już sobie przypominał, kim jestem i co się wydarzyło w naszym mieszkaniu? – pomyślałem z trwogą.

Bijąc się z myślami, rozważając wszelkie „za” i „przeciw”, zacząłem mimowolnie przemieszczać się w stronę domu. Przyspieszyłem, kiedy z jakiejś jadalni poczułem zapach podobny do tego, który wydobywał się z mieszkania kobiety o czerwonej cerze.

Pewnie już otworzyła dostarczony przeze mnie list. Dostarczony w dobrej wierze. Przeczytała wieści najgorsze z możliwych, przekazała je dziecku w możliwie najdelikatniejszy sposób, a może jednak podjęła decyzję, że tego nie robi. Ciekawe, czy przeklina mnie, bo też w jakimś stopniu byłem sprawcą jej nieszczęścia. Podobnie jak kilku innych kobiet w tym mieście. A może wszystkie wiedziały już to, co wiedziała Dolecka, tylko czekały na potwierdzenie. Jeśli tak, to może wina moja jest przynajmniej odrobinę mniejsza...

Kiedy doszedłem do domu, było już ciemno. Jak zbity pies wdrapałem się po schodach na górę.

Drzwi otworzył ojciec.

– Bałem się, że coś ci się stało – powiedział, by zaraz zapytać: – Wszystko w porządku?

– Tak. W jak najlepszym – odrzekłem.

- A jak mieszkanie Czesia?
 - Duże, czyste. Powinni tam na dłużej zagrzać miejsca. Przyjął to w milczeniu, ale chyba z zadowoleniem.
 - A, był do ciebie telefon – przypomniał sobie, kiedy zzuwałem buty. Zastygłem.
 - Dzwonili ze szpitala w Tworkach. Masz jutro odebrać jakiegoś kolegę, który był tam na obserwacji.
 - Kolegę?
 - Tak. Mam nadzieję, że to nic poważnego.
 - W żadnym razie. Po prostu parę dni temu widział przypadkowo jedną z ulicznych egzekucji i bardzo to przeżył. To Władek Michalski z Batorego. Pamiętasz go?
 - Nie – odrzekł tata.
- Potem z sypialni odezwał się Leszek, a następnie Alina, więc poszedł do nich. Poczułem, że znów jestem w domu. A może raczej poczułbym, gdyby nie wiadomość, którą właśnie przekazał mi ojciec.

*

Następnego dnia, zaraz po śniadaniu, ubrałem się i wyszedłem z domu. Na dworze panowała już typowo listopadowa aura. Było ciemno i dżdżysto, a wieżę Prudentialu przy placu Napoleona ktoś przez noc skrócił o połowę.

Pogoda nie nastrajała pozytywnie, choć miała bez wątpienia kilka dobrych stron. W taką pogodę niemieckie czołgi grzęzły w bagnach pod Kowlem czy Charkowem. A jeśli kogoś tutaj, na Nowym Świecie i Świętokrzyskiej, mało to obchodziło albo po prostu nie zdawał sobie z tego sprawy, to już na pewno wychodził z domu z nadzieją, że może takiego dnia na ulice nie wyjadą łowcy.

– Jeden do Pruszkowa – zażądałem od konduktora w kolejce EKD, która stała już gotowa do odjazdu na początkowym przystanku przy Nowogrodzkiej.

– Do Pruszkowa? – zapytał, jakby nie dosłyszał, a może nie dowierzał.

Potwierdziłem niemo. Tak. Właśnie do Pruszkowa. Coś mi bowiem podpowiadało – nie wiedziałem, dlaczego akurat teraz, ale tak właśnie było – że nie powinienem się przyznawać, że jadę do Tworek. A gdy kolejka tam dojedzie, wysiąść możliwie najdyskretniej.

Tak też zrobiłem. Na szczęście wagoniki opuszczała spora grupka ludzi w różnym wieku i obojga płci, w tym rozgadane wiejskie baby. Kiedy skład ruszył w dalszą drogę, a pasażerowie się rozeszli, skierowałem kroki w stronę szpitala psychiatrycznego. W odróżnieniu od większości wcześniejszych wizyt, nikt nie wyszedł mi na spotkanie.

Dobra passa mi sprzyjała. Zaraz po przekroczeniu progu szpitala natknąłem się bowiem na doktora Nowaka.

– Ty znów tutaj? Nie za często? – zaśmiał się.

– Mam nadzieję, że ostatni raz. Odbieram kolegę – odpowiedziałem.

– Michalskiego?

– Zgadza się. A co?

Zamiast odpowiedzieć, doktor przez chwilę przeglądał papiery, które akurat nioś. Zacząłem się bać, że być może doszło do jakiegoś nieporozumienia i tłułem się na próżno.

– A nic – mruknął, podniósłszy gwałtownie głowę, jakby dopiero teraz mnie zauważył. – Leć w takim razie do Antonowicza, bo wypisy są rano.

– Dziękuję.

– I odwiedź mnie jeszcze kiedyś. Niekoniecznie tutaj. I niekoniecznie wtedy, kiedy znów ci coś połamię.

Chwilę później zapukałem do drzwi gabinetu, w którym pracował psychiatra – niezbyt mocno, w całej lecznicy panowała bowiem niepokojąca cisza; nie mogłem się oprzeć wrażeniu, że po prostu trwa tutaj jeszcze cisza nocna. Zastukałem więc. Mimo że nikt nie odpowiadał, zdecydowałem się nacisnąć klamkę. Tak naprawdę liczyłem na to, że drzwi okażą się zamknięte.

Ale były otwarte. W gabinecie paliło się światło. Po lewej stronie na kozetce siedział ubrany tylko w spodenki gimnastyczne Władek Michalski. Nad nim stał doktor Antonowicz z gumowym młoteczką w ręku.

– Przepraszam. – Cofnąłem się jak od ognia.

– Nie szkodzi, już kończymy – odpowiedział psychiatra.

Mimo że lekarz nie okazał złości, czułem się głupio. Zacząłem przechadzać się w tę i z powrotem po szpitalnym korytarzu. W pewnej chwili kilkanaście kroków dalej ujrzałem lekarza. Obok niego szedł Lech Adamski. Wariat z lekarzem, a był nim ten młody karierowicz, jak go określił Nowak, kierowali się prosto na mnie. Rozmawiali, ale, co mnie bardzo zdziwiło, nie jak lekarz z pacjentem, gdzie ten pierwszy zawsze wie lepiej, opukuje, zadaje pytania i prosi o szybkie i zwięzłe odpowiedzi, ale niczym równi sobie. Jakieś uśmiechy, gesty świadczące o, niezbyt chyba wielkiej, ale jednak zażyłości.

Nie, z pewnością nie tak przypomina się choremu, żeby regularnie zażywał leki. I mimo że zaraz skręcili w stronę westybulu, cofnąłem się i ukryłem za rozłożystą palmą.

– Cieszę się, że okazałem się pomocny – złowiłem jeszcze przymilny głos młodego psychiatry.

Zaraz też obaj zniknęli. Nie zdążyłem się zastanowić, co mogą znaczyć słowa doktora, w moim kierunku zmierzała już bowiem następna para: jeden w bieli, drugi nie. Tym razem jednak nie uciekałem, byli to bowiem doktor Antonowicz i Władek.

– Przekazuję panu porucznika – zwrócił się do mnie oficjalnie psychiatra, Władek zaś uśmiechnął się blado i krótko. – Poproszę jeszcze na słówko, a pan, panie Władysławie, niech sobie usiądzie i chwilkę poczeka. Za moment będziecie mogli iść.

Michalski grzecznie skierował kroki w stronę foteli, na których parę dni temu odbyłem dziwną rozmowę z pacjentką nazwiskiem Załęcka, a potem z doktorem Nowakiem. Antonowicz pociągnął mnie na stronę.

– Co z nim? – zapytałem pierwszy.

Zdjął okulary i niespiesznie przetaił szkiełka chustką.

– Jeszcze nie jest w najlepszej kondycji – westchnął. – Oszczędzę panu szczegółów i łacińskich nazw. Ważne, żeby miał teraz spokój. Żadnego konspirowania, a tym bardziej żadnych akcji. I przede wszystkim trzymać z dala od broni.

– Aż tak? – przestraszyłem się.

– Lepiej dmuchać na zimne. I, co najważniejsze, potakiwać. Oczywiście nie wtedy, kiedy poprosi o pozwolenie rzucenia się na gestapowca wychodzącego z knajpy. Mam nadzieję, że pan zrozumiał, o co mi chodzi.

– Tak jakby – odpowiedziałem słabym głosem. – Nigdy nie miałem styczności z... – tu na chwilę się zawahałem. – Z chorymi.

– Chciał pan powiedzieć: z wariatami – skorygował lekarz.

Nic nie odpowiedziałem. Niemal przez cały czas rozmowy obserwowałem Władka. Nie, nie sprawiał wrażenia osoby niebezpiecznej. Siedział spokojnie, spoglądał przed siebie. Być może był po prostu nafaszerowany lekami, jednak nie miałem odwagi zapytać o to lekarza.

– A teraz jedźcie. – Antonowicz podał mi dłoń. – Powodzenia.

– Do widzenia – pożegnałem się, chociaż miałem wielką nadzieję, że to był ostatni raz, kiedy odwiedziłem szpital psychiatryczny w Tworkach.

Kwadrans później wsiadaliśmy z Michalskim do drugiego wagonu kolejki EKD, która nadjechała od strony Pruszkowa. Miałem wrażenie, że zrobiła to bezszelestnie, a może niczego nie usłyszałem, bo w głowie huczało mi od myśli.

Na sekundę przed wejściem do wagonu kątem oka ujrzałem Lecha Adamskiego, który również wybierał się do Warszawy. I jeszcze jedną osobę. I znów znajomą. Był to bowiem nie kto inny jak doktor Kulawczyk, były wykładowca z politechniki i szalony wynalazca. Zdążyłem jeszcze zauważyć, że Kulawczyk z pasją opowiada o czymś Adamskiemu. Nietrudno było się domyślić o czym.

– Trafił swój na swego – skwitowałem pod nosem.

*

Zaczął się listopad. W dzień Wszystkich Świętych poszliśmy z ojcem na Cmentarz Bródnowski, aby zapalić znicz na grobie mamy. Deszcz padał obficie i było dość zimno, toteż szybko wróciliśmy „dwudziestką szóstką” do domu. Alina przygotowała dla wszystkich zupę z solidnej

dyni, którą dzień wcześniej udało się tacie skądś skombinować.

Na obiedzie był również Władek Michalski. Zamieszkał co prawda w swojej starej dziupli, ale przez cały czas utrzymywaliśmy kontakt. Ja odwiedzałem jego, innym razem on wpadał na Jasną. I zazwyczaj wychodził najedzony, co nie sprawiało nam wielkiego kłopotu, bo znów gdzieś się zawieruszył Franek.

Czułem się za Władka odpowiedzialny – i to nie tylko dlatego, że to ja odebrałem go ze szpitala, to mnie przyszło wysłuchać zaleceń lekarza. Był po prostu moim starym kolegą z Batorego. Byłem pewien, że on zrobiłby to samo dla mnie.

– Pyszna ta zupa, naprawdę – chwalił, starannie oblizując łyżkę.

– Cieszę się, że panu smakuje – powiedziała Alina.

W jej słowach nie wyczułem niczego, co zdradzałoby, że doskonale wie, gdzie jeszcze niedawno jadał zupki nasz gość. Musiałem jej o tym powiedzieć, a wcześniej, rzecz jasna, ojcu.

Wymienili uprzejmości, Michalski w milczeniu dokończył swoją porcję, po raz kolejny bardzo starannie oblizal łyżkę, jednak nie wypuszczał jej z ręki. Przestraszyłem się, że skończy się tak samo jak tamtego dnia, kiedy w trakcie śniadania wskoczył na stół i zaczął recytować. A przecież nie miałem żadnych leków ani zastrzyku, z którym wpadł do nas wówczas Jacek. Z dwojga złego wolałem jednak szaleństwo Władka niż kolejną wizytę Sieradzkiego.

– Poproszę łyżkę – poprosiła z łagodnym uśmiechem Alina, a wtedy Władek oddał ją bez słowa. – Dziękuję, panie Władysławie.

Zachować spokój, potakiwać – wciąż musiałem pamiętać o tych ważnych zasadach, o których powiedział mi doktor Antonowicz, przekazując Władzia.

*

Następnego dnia, w Zaduszki, udałem się do fotoplastikonu. Byłem ciekaw, co słyhać u Czesia, jak jemu i jego najbliższymi żyje się w nowym miejscu.

Interes był otwarty. Mało tego! Niemal wszystkie miejsca wokół

pełgającej świecącymi rotundy zajmowali klienci. Było tak chyba pierwszy raz, odkąd lokal zmienił właściciela. O tym, że jest dobrze, a może nawet doskonale, świadczyło rozpromienione oblicze mojego przyjaciela, który siedział w swoim kantorku.

– Serwus! – zawołał, podrywając się chyżo z krzeselka. – Widziałeś?

– Widziałem. I bardzo się cieszę – powiedziałem.

– Co prawda często mi teraz wyłączają prąd, ale oni twardo siedzą.

– Powiesz mi w końcu, co ich tu nagle ściągnęło?

– Jak to co? Zupełnie nowy program.

– Gołe baby?

– Nie. To coś, czego jeszcze nie było! – zawołał właściciel przybytku i zaczął opowiadać ze swadą: – Nie uwierzysz, kto przyszedł do mnie dwa dni temu.

– Wolę nie zgadywać.

– Dobrze, nie zgaduj. Ale o tym za chwilę. Ważne jest, co ten człowiek przyniósł. Nie uwierzysz...

– W tym przypadku również wolę nie zgadywać. – Poczuję, że narasta we mnie irytacja.

Czesio splótł dłonie tak jak człowiek, który o coś lub o kogoś się trwoży. Albo nad czymś lub nad kimś bardzo boleje. Był to jeden z tych gestów, które zostały Czesiowi ze starego życia. Błogosławić znakiem krzyża już nie mógł, hostii oburącz unosić tym bardziej. Ale trwożyć się o boże stworzenie – czemu nie?

– Otóż, drogi przyjacielu, mamy teraz w programie zabytki dalekiego Konstantynopola, Damaszku i Aleppo. Do tego, nie uwierzysz, kilkadziesiąt wspaniałych zdjęć z Persji.

– Florian Drzewucki ci to wszystko przyniósł?

– A skąd! – parsknął Czesio. – Drzewuckiego nie widziałem od dawna. Przepadł gdzieś. Może w łapance, może umarł, kto go tam wie.

Z niedowierzaniem słuchałem słów człowieka, który jeszcze niedawno miał usta pełne miłosierdzia, miłości bliźniego i tym podobnych rzeczy.

– Ale po tym, co dostałem – ciągnął, usiadłszy z powrotem za biurkiem – już nie mam pewności, czy jestem jeszcze zainteresowany jego ofertą. Doskonała jakość zdjęć, uważasz, a to

wszystko dwa razy taniej.

– Dobra, poddam się. Zdradzisz mi wreszcie, kto jest tym dobrodziejem i zbawcą?

– O, chyba właśnie przyszedł – uśmiechnął się Czesio, a po sekundzie stuknęły drzwi, które, gdy się je wolno puściło, zamykały się z pewnym opóźnieniem.

Odwróciłem się i omal nie krzyknąłem. Stałem bowiem twarzą w twarz z... Lechem Adamskim.

– Dzień dobry – ukłonił się przybysz, podczas gdy ja byłem w stanie tylko poruszyć szczęką, w sekundę wyszło mi bowiem gardło.

Ścisnął pod pachą skórzaną teczkę. Wyglądał jak urzędnik średniego szczebla, taki co to pomocy petentowi nie odmówi, dobrą radą zawsze służy, a i po godzinach zostanie.

Ale przecież nie był żadnym urzędnikiem. Był wariatem, którego właśnie wypisano ze szpitala psychiatrycznego w Tworkach. Niebezpiecznym dla otoczenia czubkiem, który naraził na śmiertelne niebezpieczeństwo mnie, Franka i wielu innych ludzi...

To wszystko byłem gotowy wykrzyczeć, tu i teraz. Nawet za cenę utraty klientów, którzy niechybnie uciekliby w popłochu, porzucając piękne widoki Bosforu czy medresy al-Halawija. Ale milczałem. Milczałem jak grób, w którym być może już bym leżał. Przez tego człowieka.

– To może ja panów zostawię – rzekł Adamski, po czym skierował kroki w stronę maszynierii fotoplastikonu, gdzie znaleźliśmy go kilka miesięcy temu.

– Wiem, co chcesz powiedzieć. – Czesio zamknął starannie drzwi. – I od razu odpowiadam: mam świadomość, skąd wrócił Adamski. Pokazał nawet dokumenty. I co z tego? To nieszczęśliwy człowiek. Wiele razy miałem do czynienia z ułomnymi, z których śmiała się cała wieś. Wytykano ich palcami, dzieci rzucały w nich kamieniami, a dorośli dawali najgorszą pracę za marne grosze. Ale Jezus powiedział: „Błogosławieni ubodzy w duchu, albowiem do nich należy Królestwo niebieskie”. I tego będę się trzymał, drogi przyjacielu.

– Jesteś pewien?

– Jestem pewien. Nie po to kończyłem seminarium duchowne

i przyjmowałem święcenia, by na mszach w pierwszych rzędach oglądać pelisy i złote spinki krawatów. Czasami ludziska się tak wyperfumowały, że aż mnie zatykało. Nie mogłem śpiewać.

– Tragedia.

– Żebyś wiedział! Ty sobie kpisz, ale Bóg mieszka w każdym. I szczególną uwagę winny byłem tym najmniejszym, najsłabszym. Straciłem Kościół, ale nie straciłem wiary w słowa, które powiedział Jezus. I mam nadzieję, że nigdy to nie nastąpi. Poza tym okazało się, że mamy wspólną pasję: ogrodnictwo.

Tę rewelację puściłem mimo uszu, choć aż się prosiła o złośliwość.

– Moim chrześcijańskim obowiązkiem było przyjąć Adamskiego – rzekł twardo Czesio.

– A te zdjęcia? Skąd je ma? – nie ustępowałem.

– Nie pytałem o to.

– A powinieneś. Może komuś je ukradł?!

– Przesadzasz, Antek. I więcej ci jeszcze powiem. Zastanawiam się, czy czasem nie było tak, że Adamski pracował tu wcześniej, u Kosowskiego i Gnata. A zabójstwo tego Niemca, którego przecież był świadkiem, jeszcze bardziej nie poprzestawiało mu w głowie.

Nic nie odpowiedziałem. Skończyły mi się argumenty, przynajmniej te łagodne, bo tych drugich mi nie brakowało. Byłem już nawet bliski tego, aby zapytać, co mówił Olenie, kiedy, najpewniej na sianie, robił jej dzieciaka. Ale zmilczałem.

– Do widzenia, Czesiu.

– Do widzenia... panu.

Przełknąłem zniewagę, nacisnąłem na głowę kapelusz tak mocno, że aż trwożnie stęknęła jakaś nitka, po czym wyszedłem z kantorka, a po chwili także z fotoplastikonu. W drzwiach minąłem się z paroma kolejnymi klientami. Nie, nie miałem prawa się wtrącać. Szkoda mi było tylko przyjaźni z Czesiem. Czułem, że właśnie została mocno nadwyrężona.

Był młodziutki, miał ze dwanaście lat, może nawet mniej. Tyle że wojna zdążyła dorzucić mu to i owo. Zgryzota, gniew bez ujścia, gdy widział z ukrycia gehennę ulicznej łapanki, nie mówiąc już o egzekucjach. Do tego wcześniej, niżby się miało stać w trakcie pokoju, wypita pierwsza wódka, a może raczej samogon. Pewnie też papierosy.

Z tych powodów chłopak, któremu następnego dnia około dziesiątej rano otworzyłem drzwi mieszkania, wyglądał na lat piętnaście. A może nawet na szesnaście. Tu do oceny potrzebna była kobieta. One zawsze wiedziały lepiej.

– Pan Antoni? – zapytał, nim zdążyłem się odezwać.

– Tak. O co chodzi?

– Żbik – przedstawił się (tak przynajmniej pomyślałem). – Jestem od Jacka.

Dwie setki mrówek uratowanych przed chwilą od śmierci w lodowni przebiegło mi po plecach, od tyłka po kark. Uświadomiłem sobie bowiem, że gdyby to nie łącznik, a sam Sieradzki pofatygował się na Jasną, i gdybym to nie ja otworzył drzwi, tylko Alina, jego żona, mielibyśmy powtórkę z rozrywki.

Chyba że wciąż jeszcze nie odzyskał pamięci, a to, co się wtedy wydarzyło, na zawsze zniknęło z jego świadomości. Cholera wie, co Bela mu wstrzyknął. Może mój adres, bo przecież Sieradzki musiał go znać, skoro przysłał tego chłopaka, to tylko adres. Kontakt. Dziupła. Nie zaś miejsce, w którym człowiek ów odkrył rzecz, której odkryć nie powinien...

– Słucham – rzekłem.

– Ma pan się stawić u niego.

– Jak to? Kiedy?

– Jak najszybciej

– Na Mokotowie?

– Tak jest. Podaję kod, którego należy użyć, pukając do drzwi: trzy szybkie, dwa wolne, trzy szybkie. To wszystko. Odmeldowuję się. – Wykonał przepisowe „w tył zwrot”.

Zamknąłem drzwi ostrożnie i cicho, jak chyba nigdy wcześniej, oparłem się o nie plecami.

– Chodzi o te listy. Tylko o listy, nic więcej. Uspokój się – tłumaczyłem sam sobie.

– Kto to był? – zapytał ojciec, który raptem wyszedł z sypialni.

– To tylko kolega.

– Wszystko w porządku?

– Tak.

Ale nie było dobrze. Nie zapamiętałem cholernego kodu do drzwi.

*

Godzinę później zapukałem. Nie kodem, bo przecież go nie pamiętałem. Normalnie, tak jakbym zapukał do każdych drzwi w tym mieście. Niezbyt nachalnie. Najwyżej zamiast twarzy Marysi zobaczę najpierw wycelowaną we mnie lufę.

– A, to pan. Proszę wchodzić. – Sieradzki otworzył szerzej drzwi.

W ręku zamiast rewolweru trzymał ebonitową słuchawkę telefonu, którą z wiszącym na ścianie przedpokoju aparatem łączył bardzo długi sznur.

– Tak, rozumiem – mówił do sitka, mocno czymś przejęty. – Właśnie wszedł. Myślę, że to się da załatwić. Do widzenia, wujku.

Odwiesił słuchawkę, mierząc mnie badawczym spojrzeniem.

– Spełnił pan moją prośbę? – zapytał.

– Tak – odpowiedziałem bez namysłu.

– Nie było żadnych problemów?

– Nie.

– Zapraszam do środka. – Sprężystym gestem wskazał mi drogę.

W największym pokoju, w którym tamtego dnia przekazał mi listy, czyniąc mnie nieświadomym swojej roli aniołem śmierci, siedział w fotelu jakiś starszy mężczyzna. Wydawało mi się, że już go gdzieś widziałem. Kilka sekund zajęło mi przyporządkowanie jego aparycji do konkretnej sytuacji. Tak, to był człowiek, najpewniej wysoki stopniem oficer, który spotkał się w fotoplastikonie z Władkiem Michalskim i Frankiem Belą.

– Hieronim – przedstawił się.

– Antoni.

– Antoni, tak jak panu pułkownikowi mówiłem, oddał już nam wiele nieocenionych przysług – tłumaczył Jacek. – Usiądźmy.

Fotele były tylko dwa, ale z jakiegoś powodu to mnie przypadł ten drugi. Tym razem to kapitan zadowolili się kuchennym taboretom; miało to też dobre strony, ponieważ dzięki temu mógł spoglądać na nas nieco z góry. Był bez wątpienia w o wiele lepszej kondycji niż ostatnim razem.

– Mamy do pana sprawę, panie Antku – zaczął z werwą, aż zatrzeszczał pod nim ten zydelek pamiętający pewnie przewrót majowy. – Sprawa jest niezwykle delikatna. Nie muszę chyba dodawać, że również wagi państwowej.

– Innymi się nie zajmujemy – wtrącił mężczyzna tytułowany pułkownikiem.

– Podobnie jak ja – rzuciłem bałamutnie.

Chyba im się spodobało.

– Do rzeczy – rzekł Sieradzki. – W najbliższych dniach planujemy w Warszawie odprawę naczelnego dowództwa. Nauczonym doświadczeniem, poszukujemy dyskretnego, pewnego lokalu, w którym mogliby się spotkać nasi oficerowie. Niestety, bardzo ciężko o taki lokal. Człowiek nie może czuć się bezpiecznie nawet w miejscu, w którym teoretycznie powinien...

– Na przykład w kościele – wypaliłem bez namysłu.

– Widzę, że zna pan sprawę – mruknął pułkownik, a potem westchnął ciężko. – Tak, nawet w kościele. Straciliśmy wtedy wielu wartościowych, wspaniałych i potrzebnych ludzi.

– Do rzeczy – powtórzył Jacek. – Chcemy, aby spotkanie odbyło się w fotoplastikonie.

– W fotoplastikonie? – powtórzyłem.

– Zgadza się – rzekł starszy pan. – Już tam byłem i lokal bardzo mi się spodobał. Myślę, że doskonale sprawdzi się jako miejsce odprawy.

– Ale jest jeszcze jedna rzecz – podjął kapitan Sieradzki – która przemawia za tym, żeby w fotoplastikonie zwołać nasze spotkanie. Proszę mi powiedzieć, ile czasu zajmie panu przygotowanie materiału, który będzie można wyświetlić?

Słuchałem tego, jakby cała rzecz w ogóle mnie nie dotyczyła. Nie oponowałem, nie prostowałem oczywistego nieporozumienia, bo to przecież nie ja byłem właścicielem lokalu i cudownej maszynarii. Przypomniałem też sobie o przerwach w dostawie prądu, która mogła przecież skomplikować takie spotkanie. Nic jednak nie powiedziałem. Właścicielem był Czesio Bielawny. Z którym na domiar złego właśnie się pokłóciłem.

Poczułem na sobie wzrok obu oficerów. Wzdrygnąłem się jednak dopiero w chwili, gdy starszy zapytał:

– Da radę?

– Pewnie – odpowiedziało ukryte we mnie licho, a nawet dodało po diabelsku: – Nie ma żadnego problemu, panie pułkowniku.

Po chwili trzymałem w ręku malutkie pudełko.

– To jest mikrofilm – instruował mnie Sieradzki. – Bardzo ważny mikrofilm. Mam nadzieję, że uda wam się szybko przerobić go na fotografie, które będą mogli potem obejrzeć uczestnicy spotkania. Nie muszę dodawać, jakie to ważne. I co się stanie, jeśli te materiały dostaną się w niepowołane ręce.

– Nie musi pan.

Wstali. Stary starannie zapiął marynarkę. Chwila była przecież podniosła. Ja również się podniosłem, chociaż miałem wrażenie, że to moje własne serce ciągnie mnie ku górze. Serce Konrada Wallenroda i Skrzetuskiego, serce Józefa Sułkowskiego i premiera Paderewskiego, który do walki w zimowe dni zagrzewał akuratnych, a i ociężałych jeszcze po świętach Wielkopolan.

– Na kiedy mam przygotować pokaz i spotkanie? – zapytałem rzeczowo.

– Spotkanie zaplanowane jest na pojutrze – odrzekł pułkownik Hieronim. – Co do konkretnej godziny jeszcze się porozumiemy.

– Rozumiem.

– Proszę meldować kapitanowi Jackowi o wszystkim, co się panu uda załatwić. I pamiętać o kodzie do drzwi: trzy szybkie, dwa wolne, trzy szybkie.

Pożegnałem się z oficerami. Po chwili zmierzałem w dół, nogi wciąż miałem miękkie, ale żywiłem nadzieję, że serce, to moje serducho

zwycięzców spod Grunwaldu i Raclawic, nie da mi tego odczuć. Że dalej mnie poniesie. Ono jednak zamarło, jakby schowało się w najodleglejszy kąt klatki niczym kanarek, którego pod nieobecność gospodarzy próbuje sięgnąć kocia łapa.

Dopiero na ulicy dotarło do mnie, co najlepszego narobiłem. Nie to, że spotkanie całej kadry podziemnej armii zgromadzonej pod jednym dachem (a więc i kluczem – nie mogłem tak nie pomyśleć) to ogromna odpowiedzialność. W razie wpadki pewnie tanio by skóry nie sprzedali, tego też byłem pewien.

Najgorsze było co innego: jak miałem o to wszystko prosić teraz Czesia? No bo przecież koniec końców nie wyjaśniłem tym ludziom, że to nie ja podejmuję decyzję, co się dzieje w fotoplastikonie. A podanego mi już drugi raz kodu, którym mam pukać do drzwi mieszkania Jacka, też nie zapamiętałem...

*

– Spotkanie? U mnie? – Bielawny przez dłuższą chwilę kręcił głową, a ja nie miałem pojęcia, czy to już odmowa, czy jeszcze zdumienie i niedowierzanie.

– Tak. Poprosili nas o to – potwierdziłem; celowo użyłem liczby mnogiej, żeby Czesio poczuł się ważny, doceniony, wtajemniczony, chociaż tak naprawdę nie miałem pewności, czy cokolwiek tym wskóram.

Postanowiłem, że załatwię to od razu. Z Mokotowa pojechałem do Śródmieścia, gdzie skierowałem kroki w stronę interesu, który z coraz większym powodzeniem prowadził Czesio.

Podrapał się z zakłopotaniem po głowie.

– Widzisz sam, ruch u mnie spory – bąknął.

Nie przesadzał. Od wczoraj nic się nie zmieniło: wokół drewnianej rotundy siedzieli ludzie z oczami przy świecących okularach. Mało tego: amatorzy widoków z Bliskiego Wschodu czekali też na środku salki, aż zwolnią się miejsca.

– Nie pytałem, czy przewidziane są jakieś gratyfikacje –

powiedziałem zgodnie z prawdą. – Albo przynajmniej zadośćuczynienie za poniesione straty. Każdy z nas stara się jakoś przeżyć, nie? Ale uważam, że chyba czasem warto się poświęcić...

– ...dla Polski – dokończył i byłem szalenie wdzięczny, że to on wypowiedział te dwa proste, a jednocześnie jakże trudne słowa. – Dobrze. Niech i tak będzie.

– Czyli zgadzasz się?

– Tak. Byle mi błota nie nanieśli!

– Osobiście tego dopilnuję – rzekłem gorliwie.

Pozostała jeszcze kwestia mikrofilmu, który należało przerobić. Zastanawiałem się, czy powinienem załatwić to z Czesiem, czy bezpośrednio z Adamskim, którego zauważyłem zaraz po wejściu do lokalu. Potem jednak pomyślałem, że jak grać w otwarte karty, to do końca. Tym bardziej że Czesio nie żywił urazy za to, co się stało wczoraj, a wariat mógł coś przecież pokręcić. A co, jeśli znów zaczęłby śpiewkę o aresztowanym bracie...

Powiedziałem Bielawnemu o mikrofilmie i prośbie konspiratorów.

– Grubsza sprawa – ocenił.

– Zgadza się.

Zafrasował się. Tak mi się przynajmniej wydawało. Czesio frasobliwy.

– Daj. – Wyciągnął rękę. – Spróbujemy coś z tym zrobić. I nie musisz dodawać, że to ściśle tajne. Wszyscy stąpamy po kruchym lodzie.

*

Jeszcze tylko jedna sprawa uwierała mnie jak kamyk w bucie. Mówiąc Jackowi Sieradzkiemu, że wszystkie listy zostały dostarczone, nie powiedziałem prawdy. Miałem bowiem w kieszeni jeszcze jeden, ten, który nie pasował mi tamtego dnia do ostatecznego rozdania, zwycięskiej karety w kamienicy przy Lwowskiej róg Koszykowej.

Jak mówię, list z hiobową wieścią spoczywał wciąż w wewnętrznej kieszeni marynarki. Szeleścił cicho nawet wtedy, gdy zgadzałem się, że pomogę w organizacji odprawy kierownictwa walki podziemnej

armii. Mogłem go wyjąć, klasnąć kopertą o blat ze słowami: nie ze mną takie zagrywki, panowie konspiratorzy. Pewnie jeszcze rzuciłbym jakieś przekleństwo.

Ale tego nie zrobiłem. Spotkanie było ugadane. Teraz należało dostarczyć ostatni list. Dla czystego sumienia. Zabrałem się jednak za to zaledwie kilka godzin przed rozpoczęciem odprawy w fotoplastikonie.

– Ostatni raz choćby i do Młocin – mruknąłem, wyjmując pismo z kieszeni.

Przebiegłem wzrokiem po starannie wypisanym adresie na kopercie, przeczytałem go po raz drugi, ale pierwszy raz ze zrozumieniem, świadomością człowieka, który orientuje się w topografii miasta. Tym razem miałem się udać niedaleko, bo na Tamkę.

– Ostatni raz.

Tramwaj, potem drugi, kilka minut intensywnego marszu przez podwórka Ordynackiej i Kopernika. Nie mogłem nie pomyśleć o niedawnej awanturze, tej w burdelu dla Niemców, który mieścił się w kamienicy niedaleko skarpy.

Sprawdziłem jeszcze raz adres. Tak, to musiała być następna kamienica, ta pięciopiętrowa przy Kopernika róg Konopczyńskiego. Chwilę później szedłem na górę i modliłem się w duchu, żeby nikt nie otworzył mi drzwi. Wtedy po prostu wetknąłem list w szparę i poszedł sobie.

Oto i mieszkanie. Nacisnąłem dzwonek. Choć ledwo musnąłem przycisk przy futrynie, zaterkotał tak głośno, że umarłego by obudził.

Niestety, nie tego, o którym mowa w liście – pomyślałem z goryczą. Zaraz usłyszałem kroki za drzwiami.

– Tak? – odezwał się głos, jak mi się zdawało, męski; chyba że po drugiej stronie stała jakaś herod-baba, przerastająca mnie o głowę, z wałkiem w ręku.

– Przesyłka – powiedziałem jakoś tak dziwnie po chłopięcemu, choć mutację przeszedłem lata temu.

Chrobot klucza w zamku.

Nigdy już nie pójde do nikogo, kogo nie znam – zdążyłem sobie

jeszcze obiecać.

Drzwi się otworzyły, od razu szeroko. Jakby ten, kto to zrobił, był pewien, że zdoła odeprzeć ewentualny atak. I pewnie tak było, bo na progu stał mężczyzna.

– List jest do pani Anny Krauze – powiedziałem.

Mężczyzna nic nie powiedział. Przez dłuższą chwilę mierzył mnie wzrokiem, wreszcie rzekł:

– Niech pan wejdzie.

Mogłem odmówić. Mogłem tylko oddać kopertę, a nawet przerzucić ją przez próg. Ale jednak wszedłem do środka. W chwili, gdy usłyszałem za plecami trzask zamykanych drzwi, mój wzrok trafił na coś błyszczącego po prawej stronie. I mimo że to coś błyszczało, mnie nagle pociemniało w oczach.

To, na co patrzyłem, to były wyłogi na płaszczu. Ale nie oficera przedwojennej kawalerii czy piechoty, bo przecież, do diaska, do wdowy po nim tu przyszedłem, ale... oficera Wehrmachtu. Nad płaszczem pięknie błyszczała czapka z wężykami i gapą. A na środku przedpokoju, celując w moją pierś z parabellum, stał...

– Kurwa...

Nie, nie miałem wątpliwości. Był to leutnant Lothar Scholz. Niemiec kilka miesięcy temu zadźgany niemal na naszych oczach w fotoplastikonie.

– My się chyba znamy, prawda? – zapytał najczystsza polszczyzną, choć nie dało mi to jeszcze wtedy do myślenia.

– Nie – skłamałem bez namysłu.

Scholz przełożył pistolet z prawej ręki do lewej. Nim zdążyłem pomyśleć, do czego zmierza, otrzymałem krótką a silną fangę w szczękę. Runąłem do tyłu, uderzając głową o coś twardego. Pomyślałem wtedy, że podczas gdy ja przez ostatnie dni grzebałem umarłych, ten jeden, o którym myślałem, że już dawno zbutwiał w ziemi, żył dalej.

*

Ocknąłem się na czymś miękkim, kanapie albo łóżku. Ręce miałem przywiązane do nóg mebla. Obrazki na ścianie, firanki w oknie, za którym już szarzało, doniczki z kwiatami – wszystko to wirowało mi przed oczami, jakbym siedział na bielańskim karuzelu. Zawsze źle znosiłem taką jazdę.

W pewnej chwili do tego korowodu dołączyła nowa postać. Lothar Scholz. Stał w drzwiach pokoju z rękami splecionymi na piersiach. Nie trzymał już broni, ale nie było to dla mnie wielkim pocieszeniem.

– Przepraszam – odezwał się, a żadna z głosek, które winny irytująco zazgrzytać w ustach każdego Niemca, co to z tych czy innych powodów próbują łamać sobie język polszczyzną, nie zazgrzytała. – Nie chciałem, żebyś stracił przytomność. Ale jednocześnie nie mogłem się powstrzymać, żeby nie dać ci w mordę. Przynajmniej raz. Należało się.

– Za co? – zapytałem, nie wiedząc, czy nie ryzykuję kolejnego ciosu.

– Właściwie to nie wiem za co. Nerwowy ostatnio jestem. Dopiero tydzień temu wypuścili mnie ze szpitala... – Wskazał ręką miejsce, które tamtego dnia wzięliśmy za ranę śmiertelną.

– Ja... ja nie mam nic wspólnego z tym, co się wtedy stało... – wyjęczałem. – Byłem tylko z kolegą, który chwilę wcześniej kupił fotoplastikon, a tu taka historia. Co mieliśmy zrobić? Wezwać policję, gestapo? Zamknęliby interes, a nas wsadzili do Auschwitz. A może nawet zastrzelili na miejscu.

– Tak pewnie by się skończyło, nie przeczę – przyznał Lothar Scholz smutno, zupełnie nie jak dumny zwycięzca, który podbił i podporządkował sobie niemal całą Europę. *Übermensch*. – Przyznaję, dałem się wtedy zaskoczyć. A wy też byliście przekonani, że nie żyję, prawda?

– Prawda.

– Niewiele mi zresztą brakowało. Ocknąłem się w nocy, w jakimś rowie, przysypany ziemią przez twojego kolegę. Jak się nazywa? Pewnie też nie pamiętasz. Nieważne. Zdołałem jednak wstać o własnych siłach. Na szczęście drogą przejeżdżał patrol żandarmerii, dzięki czemu szybko trafiłem do szpitala. Ostrze nie trafiło w serce, zabrakło pół centymetra...

Po co on mi o tym wszystkim opowiada? – pomyślałem.

– Wracając do tamtego wypadku, nie doceniłem przeciwnika – westchnął. – Był szkolony, długo przygotowywał się do walki. Zresztą nie tylko na noże czy pistolety. Również do takiej, w której używa się innych metod. Wiesz jakich?

– Nie.

– Podstępu, robienia słodkich oczu, udawania niewinnej ofiary. A wszystko po to, aby wkraść się w łaski i zdobyć zaufanie. Ktoś taki jest w stanie poczynić więcej szkód niż doborowa jednostka, która ma na koncie pacyfikację całych wsi. Najgorsze jest to, że to ja miałem zlikwidować jego. Rozpracowałem go w końcu, doszło do spotkania, a wtedy przegrałem. Niestety, ten człowiek wciąż działa i jest niebezpieczny.

To powiedziawszy, Niemiec podszedł do kredensu i wyciągnął z jakiejś szuflady plik niewielkich fotografii. Następnie zbliżył się do mnie i rzucił mi je na piersi.

– Proszę, obejrzyj sobie.

Wyjął nóż i poprzecinał krępujące mnie więzy. Następnie wrócił na poprzednie miejsce i do wcześniejszej pozycji. Wyprostowałem się, a wtedy leżące na samym wierzchu zdjęcie spadło na podłogę. Od razu rozpoznałem na nim... pułkownika Hieronima. Na innym widniała uśmiechnięta twarz Władka Michalskiego.

– Co... co to jest? – wymamrotałem, przyglądając się kolejnym fotografiom, na których uwieczniono twarze mężczyzn w różnym wieku, o różnych minach i fryzurach, wszystkie jednak zrobiono z podobnej perspektywy.

– Poznajesz ich? – zapytał Scholz, ale zanim zdążyłem się przestraszyć tego pytania, sam sobie odpowiedział: – Doskonale wiem, co odpowiesz. Że widzisz ich wszystkich po raz pierwszy. I na razie niech tak zostanie. Ale zwróć łaskawie uwagę na tło tych zdjęć.

Znów zacząłem się przypatrywać fotografiom, ale nieco inaczej. Skąd miałbym niby znać miejsce, gdzie zrobiono portrety? Spojrzałem raz, spojrzałem drugi, a potem przeniosłem wzrok na Niemca. Wiedział już, że wiem.

– To... to jest przecież fotoplastikon... – wydusiłem z siebie

z największym trudem.

– Zgadza się. Wszystkie zrobiono w fotoplastikonie, z jednego stanowiska. Stanowiska numer pięć. Znów ten fotoplastikon, co?

– Co to wszystko ma znaczyć?

– Jeszcze się nie domyślasz?

Gdyby zapytał mnie o to kto inny, choćby kapitan Jacek Sieradzki, pewnie wiedziałbym, co odpowiedzieć: oto ktoś wystawił Niemcom oficerów naszego podziemia. Ale pytał niemiecki oficer. W co właściwie grał? Przecież wszystkich miał jak kotlet na widelcu.

Serce biło mi jak ogłupiałe. Nic nie odpowiedziałem, za to jeszcze raz zacząłem po kolei przyglądać się zrobionym potajemnie zdjęciom. I zastanawiać się nad tym, nad czym powinienem zastanowić się już dawno. Może pół roku temu.

Kto to zrobił? Kto ich sprzedał? Kto jest zdrajcą?! – zadawałem sobie kolejne pytania. Niestety, żeby tylko na tych pytaniach się skończyło... Oto bowiem, niczym twarze szlachetnych spiskowców utrwalone skrycie na fotograficznym papierze, przed oczami mojej wyobraźni zaczęły się przesuwać także twarze domniemyanych zdrajców.

Bielawny? Przecież to on mógł zadać cios Lotharowi Scholzowi, kiedy zgasło światło. Ale czy Czesio byłby w stanie zrobić komuś krzywdę? Chociaż w szufladzie jego biurka widziałem broń. A Franek Bela? Musiał wiedzieć, że zasypuje żywego człowieka, a i zabić potrafił. Równie dobrze mógł to być również kapitan Jacek Sieradzki, bo przecież jego jednego nie było na zdjęciach...

Wiele bym dał, żeby to nie był żaden z nich. Tylko kto, do kurwy nędzy?! A choćby ów chłopiec pierwszy raz goszczący w Warszawie, który tamtego dnia chciał obejrzeć gołe baby. Ten, który siedział przy Niemcu, a gdy zgasło światło, zadał mu, o czym byliśmy przekonani, cios nożem w serce. Tylko że uwiecznieni na fotograficznych portretach – być może ostatnich w życiu, nie licząc tych więziennych – pułkownik Hieronim i Władek odwiedzili nas już po tym zdarzeniu...

– Kim pan jest? – Podniosłem wzrok na Scholza.

Nie odpowiedział, tylko lekko poruszył splecionymi na piersiach rękami, poprawiając ów gest zwycięzcy, którym przecież był,

i generała, którym najpewniej też kiedyś zostanie.

Wtedy coś stuknęło w przedpokoju. Byłem przekonany, że za chwilę zza pleców Niemca wyjdzie jego krajan, ale w czarnym mundurze, względnie w skórzanym płaszczku.

Wszedł jednak ktoś zupełnie inny. Cywil. Osobnik o krzywej twarzy dziwiącego się życiu pastuszka albo chłopka po raz pierwszy przemierzającego ulice stołecznego miasta.

– Przecież to... – Wskazałem go palcem zupełnie tak samo, jak on, ów kmiotek spod Skierniewic czy Wyszkowa, wskazałby na Kolumnę Zygmunta czy wielgachny niczym wieża budynek PAST-y.

– Mój przyjaciel – dokończył ze spokojem Lothar Scholz. – A kogo się spodziewałeś?

Głowa opadła mi bezwładnie na poduszkę. Naprawdę nie potrafiłem już zrobić z niej użytku. Była mi niepotrzebna. Głowa, nie poduszka. W poduszce było przynajmniej kacze pierze.

– Skąd on się tu wziął? – zapytał tymczasem chłopak, po czym zaczął zdejmować jesionkę, ani na chwilę nie spuszczając mnie jednak z oczu.

– Przypadek – odparł Niemiec. – Miał list do właścicielki mieszkania.

Ze sobą też rozmawiali po polsku. Mocno mnie to zastanawiało.

– Aha. – Przybysz odkręcił z szyi brzydki szalik.

Przez chwilę spoglądali na mnie, jakby się namyślali, w jaki sposób, kiedy i gdzie pozbawić mnie życia. Mogli to właściwie zrobić w każdej chwili i gdziekolwiek, używając nawet broni palnej. Wszystko wszak wytłumaczyłby wiszący w przedpokoju płaszcz mundurowy i czapka. I nie będą musieli skrycie pozbywać się ciała, tak jak my musieliśmy zrobić z Lotharem.

Spojrzałem za okno. Było już ciemno. Dyskretnie zerknąłem na zegarek. Dochodziła szósta wieczorem. Za chwilę miało się rozpocząć spotkanie w fotoplastikonie.

Mój gest dostrzegł Niemiec.

– Spieszysz się dokądś? – zapytał.

– Nie – odpowiedziałem, starając się przybrać obojętną minę.

I dopiero wówczas uświadomiłem sobie coś, co powinienem

uświadomić sobie już dawno. Lothar i ten człowiek grali do jednej bramki, więc to nie wieśniak ranił go nożem. A zatem ten, kto wykonał te fotografie, które nadal leżały na podorędziu (choć wciąż nie wiedziałem, jak znalazły się w rękach Niemca i po co mi je pokazywał), mógł je robić nadal.

I mógł je zrobić także dzisiaj. Za chwilę. Może nawet już zaczął... I nie będą to zdjęcia byle kogo, ale ścisłego sztabu polskiej armii podziemnej! I to ja, właśnie ja, chociaż na wyraźne życzenie oficerów, wpakowałem ich wszystkich w paszczę drapieżnika. A jutro, najdalej pojutrze, może nawet leżąc na tej samej kanapie czy łóżku, obejrzę swoje dzieło na kilkunastu kolejnych fotografiach. Oczywiście jeśli dożyję...

Tylko co miał na myśli Lothar, mówiąc „znów ten fotoplastikon”? – zastanawiałem się.

– Kim pan jest? – zapytałem ponownie.

Mężczyzna opuścił ręce, zbliżył się do mnie, pochylił niczym lekarz nad chorym, wreszcie rzekł niegłośno:

– Powiedzmy, że człowiekiem, który bardzo nie lubi, gdy ktoś robi zdjęcia komuś, kto sobie tego nie życzy.

Nie, w mojej głowie nie było pusto, jak wcześniej pomyślałem. Jedna myśl goniła w niej inną. Jakiś natrętny głos zadawał pytania. To było jak męczący, duszny sen, który powraca, mimo że co raz się budzisz, przewracasz z boku na bok z nadzieją, że to już koniec.

Co miałem zrobić? Komu zaufać? A przede wszystkim jak ocalić oficerów, którzy w tej chwili siedzieli wokół rotundy fotoplastikonu i oglądali przeniesione z mikrofilmu zdjęcia ważnych obiektów strategicznych. Czułem, że rozwiązanie jest blisko.

– Nie wiem, kim pan jest, ale chyba nie mam wyjścia. I muszę panu coś powiedzieć – wyrzuciłem z siebie jednym tchem, zimnym niczym lód. Albo grób.

*

Ech, ile jest prawdy w starym powiedzeniu, że idzie się dokądś z duszą

na ramieniu. Nie wiem nawet, dlaczego akurat na ramieniu. Ja miałem wrażenie, że moja jest wszędzie: obijała się o nogi, urywała ręce, uciskała przętyk. Zresztą co się jej dziwić. Nie wiedziałem przecież, czy idę na ścięcie, czy tylko przyglądać się, jak robią to z innymi. By za chwilę oczywiście, tak, to pewne, samemu podzielić ich los.

Kiedy wsiadaliśmy do zaparkowanego przy kamienicy opla, po raz pierwszy pomyślałem o próbie ucieczki. Od strony Tamki jechała w naszym kierunku wielka ciężarówka Węgiełka. Gdybym dał teraz susa na ulicę, na pewno zdążyłbym czmychnąć przed jej maską, co być może uchroniłoby mnie nawet przed ewentualnym strzałem.

– Szybciej! – ponaglał nie wiadomo czemu Lothar Scholz, choć w głębi duszy wierzyłem (nie tylko dlatego, że był w cywilnym, a nawet niezbyt eleganckim ubraniu), że nazywa się inaczej; słowa te skierował do chłopka (wciąż go tak nazywałem w myślach i jakoś mi to nie przeszkadzało), który zamarudził przed drzwiami auta.

– Dobra, dobra – sarknął tamten.

Ruszyliśmy z piskiem opon. Niemiec prowadził pewnie. Wystarczyło kilka minut i znaleźliśmy się po południowej stronie Alej Jerozolimskich, a potem jeszcze jedna i byliśmy po zachodniej stronie Marszałkowskiej.

– Następna w lewo – jęknąłem, kiedy Scholz niebezpiecznie rozpędzał się Hożą.

– Pamiętam dobrze, gdzie dostałem kosę – warknął, redukując bieg.

Zatrzymaliśmy się przecznice przed fotoplastikonem. Lothar, wysiadłszy z samochodu, poprawił coś za pasem, po czym ruchem galek ocznych dał mi do zrozumienia, że to ja mam jednak prowadzić.

Ruszyłem przodem, on kilka metrów za mną. Czyli wszystko tak jak dotąd: więzień przodem, pan z tyłu. Tymczasem chłopak przemykał po drugiej stronie ulicy, pewnie też gotów w każdej chwili mnie skosić.

Nie miałem zresztą głowy, by się zastanawiać, dlaczego szliśmy akurat w takim szyku. Znów bowiem zapaliła się w niej myśl, żeby spróbować ucieczki. Mijałem kolejne bramy kamienic, których podwórka mogłyby być mi ocaleniem. Nie uskakiwałem jednak w bok,

nie tarabaniłem flekami po bruku, nie sapałem ze świadomością, że każde sapnięcie może być tym ostatnim, bo za chwilę miechy płuc przedziurawi mi kawałek ołowiu, po nim kolejny...

I już jest. Fotoplastikon. Miejsce, które miało przynieść chleb, może nawet coś do niego, a zamiast tego stało się przekleństwem. Złoty interes, który zaraz będzie Golgotą dla wielu szlachetnych ludzi. Boże, co mnie podkusiło, by tamtego czerwcowego dnia zabierać Bielawnego i jego kobietę do swojego mieszkania. Przecież gdyby nie to, jedna głupia decyzja, chwila słabości, wszystko z pewnością wyglądałoby inaczej...

– Dokąd? – Zastąpił nam drogę rosły osobnik z ręką za pazuchą.

Usunąłem się w bok, przymknąłem oczy w oczekiwaniu na strzał, a może tylko jęknięcie, które wyda z siebie strażnik ugodzony nożem w czułe miejsce. Ale nic się nie działo. Zamiast tego po chwili rozległ się niezbyt donośny, za to wyraźny i mocny głos Lothara Scholza:

– Prowadź do Hieronima!

– Że niby do kogo? – Cerber, czego się można było spodziewać, udał głupiego.

– Do Hieronima – powtórzył bez złości Lothar. – I to szybko.

Zacisnąłem dłonie w pięści. Trochę w oczekiwaniu na reakcję wartownika, trochę też dlatego, że próbowałem sobie ze wszystkich sił przypomnieć, czy to z moich ust nie padł czasem pseudonim dowódcy. No i po to, a może przede wszystkim dlatego, żeby mi się nie trzęsły.

– Idźcie za mną – burknął wartownik, omiótłszy mnie i Lothara, bo chłopiec gdzieś zniknął, badawczym i niezbyt przyjaznym spojrzeniem; niechybnie oceniał nasze siły, a i w środku było pewnie jeszcze kilku takich jak on.

Nie myliłem się. Siedzieli w kanciapie Bielawnego, w której totalnie załzawili powietrze. Jeden się nawet poderwał na nasz widok, spluwając przed siebie drobiną tytoniu, ale prowadzący nas wartownik usadził go na miejscu.

– W porządku.

Oznacza pewnie „zabić później” – pomyślałem.

Za otwartych drzwi, które oddzielały krótki korytarzyk od właściwej sali, dochodziły głosy. Odprawa trwała w najlepsze.

– Poczekajcie tu – rzekł do nas cerber, po czym zniknął za drzwiami.

Próbowałem wyczytać cokolwiek z twarzy Lothara, ale bez skutku. Wydawało mi się, że spoglądam na kamienną maskę. A potem na progu pojawił się pułkownik Hieronim i wypowiedział słowa, które sprawiły, że żelazna obręcz ściskająca moje serce wreszcie puściła.

– Co ty tutaj robisz? – zapytał Scholz drżącym głosem, spoglądając to na niego, to na mnie i marszcząc czoło pod siwą grzywą. – Przecież wszyscy cię zobaczą!

– Nie zobaczą – rzekł pewnie przybysz. – Musicie natychmiast przerwać odprawę.

– Ale co się stało?!

– W lokalu jest zdrajca. Wszystkim wam robi albo już zrobił zdjęcia.

– Zdjęcia? Ale...

– Nie czas na szczegóły techniczne. Część z nich zrobił wcześniej, ale na szczęście zdołałem je przechwycić.

Pułkownik Hieronim złapał się za głowę.

– Całkiem niedawno zaczęliśmy. Mamy jeszcze do omówienia wiele spraw. No i ten mikrofilm...

Wtedy Scholz chwycił go za kłapy marynarki, choć nie tak, jak chwyta się kogoś, kogo chce się wyrzucić z podłej knajpy. On chciał wyrzucić Hieronima, ale z fotoplastikonu. Równie podłego. W dodatku niczego tam nie dawali do jedzenia ani do picia. Ewentualnie bilecik za druty.

– Dobra. Zakończę – zgodził się starszy pan, delikatnie zdejmując z siebie ręce mężczyzny, ten zaś rzucił jeszcze za nim:

– Odpraw tylko wyższych oficerów.

Po czym odwrócił się i rzekł do wartownika, który nas przyprowadził:

– A ty opróżnij kantorek ze swoich ludzi.

Tak się stało. Chwilę później dusiliśmy się we dwóch w kanciapie Bielawnego. Scholz również dodał swoje, zapalając egipskiego. Nie rozmawialiśmy. Zza zamkniętych drzwi słyszeliśmy natomiast stłumione głosy i kroki wychodzących uczestników narady.

Wreszcie na progu stanął pułkownik Hieronim.

– Zrobione – rzekł. – Co teraz?

Lothar Scholz bez słowa wstał z biurka, zdusił niedopałek w popielnicy i poprawił parabellum wetknięte za pasek. Kiwnął na mnie, by wreszcie pewnym krokiem podążać w kierunku głównej sali.

Przy rotundzie fotoplastikonu siedziało, nietypowo, bo tyłem do okularów, trzech mężczyzn: Czesio Bielawny, Jacek Sieradzki, a także Władek Michalski. Już wiedziałem, dlaczego Lothar polecił wyprosić tylko wyższych oficerów.

Na widok Scholza Bielawny drgnął. Zapewne rozpoznał człowieka, którego, wydawało się, dawno pochowaliśmy. Spojrzał na mnie, ale szybko uciekł wzrokiem w bok.

– Co tu się wyprawia, panie pułkowniku? – wycharczał kapitan Sieradzki. – Kim jest ten człowiek? I co tu robi ten drugi, niewtajemniczony?

Jaki niewtajemniczony! – pomyślałem, z trudem nad sobą panując. Ja ci listy rozniosę, zupaku pierdolony! Jak to dobrze, że Alina nie jest już twoja. Nigdy jej nie zobaczysz!

– Proszę o chwilę cierpliwości – gasił emocje Hieronim.

Lothar w milczeniu wodził obojętnym z pozoru spojrzeniem po obecnych. Czy za chwilę dowiemy się, kto jest szpiegiem? Prócz Scholza oczywiście...

Ale Sieradzki nie zdawał sobie sprawy z powagi sytuacji.

– Kim jest ten człowiek? – zapytał znów Hieronima.

– Portierem z hotelu Bristol – odparł Scholz, zanim pułkownik zdołał otworzyć usta. – Szukam gości, którzy nie zapłacili za nocleg. Powiedziano mi, że mogę ich spotkać tutaj. Ale... chyba wprowadzono mnie w błąd. Bardzo panów przepraszam za kłopot.

Nie wierzyłem własnym uszom. Co on wygaduje, do diaska?! Jaki hotel? Jaki nocleg? Przecież mieliśmy schwytać groźnego szpiega. Z drugiej strony kamień spadł mi z serca, bo to oznaczało, że człowiekiem, który tamtego dnia zaatakował nożem Scholza, nie jest Czesio. I że Władek i Jacek też nie mają z tym nic wspólnego.

– Jakim portierem? Hieronim. Co on do cholery bredzi? – utyskiwał Sieradzki.

– Pan jest właścicielem tego lokalu? – sprawca zamieszania zwrócił

się do Czesia.

– Tak – odrzekł mój przyjaciel, a minę miał przy tym taką, jakby rozmawiał z duchem; niewiele to zresztą odbiegało od prawdy.

– Proszę otworzyć fotoplastikon.

Bielawny skinął głową pokornie jak przed biskupem, po czym odwrócił się i zbliżył do niewielkich drzwiczek w rotundzie. Otworzył je. Po chwili znalazł się przy nich także Scholz. Pochylił się nad otworem w drewnianej konstrukcji.

Wydawało się, że zaraz zniknie w środku. Ale on wyprostował się, po czym sięgnął po broń.

– Wyłaż, Krämer – zawołał niegłośno. – Zabawa skończona. Nie zrobisz już więcej fotek.

Hieronim bezgłośnie poruszył wargami, Sieradzki marszczył brwi, a Władek Michalski macał palcami głowę, jakby sprawdzał, czy nie ma w niej jakiej dziury. Wreszcie spotkały się spojrzenia moje i Czesia. Czułem, że myślimy o tym samym.

– No, już, bo panowie oficerowie spieszą się do domu – ponagłał Scholz, choć większość z obecnych nie wiedziała jeszcze kogo.

Coś stuknęło. Zapęłgało jakieś światło i oto w drzwiczkach rotundy pojawiła się głowa Lecha Adamskiego.

– Wyłaż, wyłaż, Krämer. – Scholz wykonał kilka ruchów parabelką.
– Nie mamy całej nocy, żeby tu sterczeć.

I wtedy pojąłem, jak Adamski znalazł się w brzuchu fotoplastikonu. I dlaczego nic mu się nie stało, kiedy następnego dnia wszedł w sam środek łapanki. Ale to były tylko dwie rzeczy z wielu, wielu innych, które należało wyjaśnić.

– No co, oberleutnancie Krämer, asie Abwehry. W końcu moje na wierzchu. – Lothar wycelował w pierś mężczyzny, który chwilę wcześniej stanął wyprostowany.

– Miałeś nie żyć – warknął tamten.

– Byłeś blisko. Ale mnie odratowali. Dopiero tydzień temu wyszedłem ze szpitala. Chciałem wcześniej, ale nie puszczali. Dobrą macie służbę zdrowia, Krämer. Naprawdę świetnych lekarzy. Szkoda, że mnie nie słuchali. Może mniej narobiłbyś szkód. Bo to cudowna broń, proszę panów – zwrócił się do nas wszystkich. – Nie pali, nie

rozstrzeliwuje, nie wtrąca do komór gazowych, ale i tak jest skuteczny. To mistrz manipulacji, krętacz nad krętacze, zdolny wkupić się w łaski każdego. Chyba niektórzy z was mogliby coś na ten temat powiedzieć, prawda?

Nikt się nie odezwał. Bielawny spuścił głowę jak uczeń, który przyznaje się do winy. I być może sprawa jeszcze wróci, może stanie się tematem odprawy, takiej jak ta, którą przerwał Lothar Scholz.

– Mam. Mam dowód rzeczowy! – zawołał Sieradzki, gramoląc się z drzwi, przez które wcześniej przeszedł bez trudu Krämer-Adamski, i wymachując trzymanymi za cienkie rzemienie dwoma aparatami fotograficznymi. – Z tego się już nie wywinie. To niebezpieczny szpieg! – Wycelował oskarżycielski palec w pierś człowieka, któremu rzeczywiście udało się wykiwać niemalże wszystkich

Była to idealna, wręcz wymarzona uwertura do obrad podziemnego sądu czy wojennego trybunału. Niechby nawet wstępnego przesłuchania, bo tego nie odmówi sobie przecież żaden z tych, którzy jako pierwsi dopadli tropioną z mozołem zwierzynę. Zamknięte pomieszczenie, dość późna pora, niewielu świadków. Mordę obić, lufę do skroni przyłożyć, zelżyć tak, jak jeszcze nigdy i nikogo. Pierwsze skrzypce powinien grać tutaj Lothar, bo to on był w awangardzie pościgu, chociaż miał poważną konkurencję w postaci Sieradzkiego. Ten jeszcze przez chwilę potrząsał aparatami, niebezpiecznymi jak broń maszynowa.

I pewnie jeszcze by trochę nimi potrząsał, gdyby w pewnym momencie nie spojrział na mnie. Przez jego twarz przebiegł cień, jakby Sieradzki o czymś sobie przypomniął.

– Ty... ty! – wycharczał nagle, podnosząc ten swój paluch, którym jeszcze przed chwilą, gdyby mógł, zrobiłby dziurę między oczami schwytanego szpiega.

Za chwilę jednak cała jego dłoń dotknęła skroni, jak robi człowiek, którego boli głowa.

Już wiedziałem, że to cudowny specyfik Franka Beli przestał działać. I tak długo trzymał, zważywszy na to, że widzieliśmy się z Sieradzkim przedwczoraj i byłem jeszcze tym dobrym. Było też wielce prawdopodobne, że nie przypomniął sobie wszystkiego, czyli

awantury na Jasnej, tylko moja gęba kojarzy mu się z czymś złym.

– O co panu chodzi? – Cofnąłem się o krok.

Poczułem na sobie spojrzenia pozostałych, z Krämerem-Adamskim włącznie.

I może spadłby na mnie jeszcze większy gniew niż na szpiega robiącego z ukrycia zdjęcia oficerom Armii Krajowej, ale wtedy stało się jeszcze coś. Coś, czego się nie spodziewaliśmy, choć się z tym liczyliśmy. Działo się to od dobrych kilku tygodni, nie znałeś dnia ani godziny. Czasem zaskakiwało warszawiaków w pracy, czasem przy wieczornym posiłku. Najmniej chyba szkody przynosiło, a wręcz można było mówić o korzyściach, gdy przytrafiało się w sytuacji intymnej.

Zgasło światło. Pstryk i już. Nie po raz pierwszy i nie po raz ostatni. W ułamku sekundy zrobiło się zupełnie ciemno. Ktoś krzyknął, rozległ się tupot kilku par stóp na podłodze Czesiowego interesu. Padł strzał.

– Łapcie go! – ryknął Sieradzki, choć nie byłem pewien, kogo ma na myśli.

Znów tupot i krzyki. Potem nagła cisza. Nikt już nie strzelał. Zamiast tego trzasnęła zapalana zapalka. Po chwili ujrzelśmy pułkownika Hieronima z karbidówką w ręku. Zacząłem rozglądać się dookoła w poszukiwaniu rannego. Wszyscy stali niemal dokładnie w tych samych miejscach co wcześniej.

Nie było tylko jednego. Krämera.

– Nie może uciec! – Lothar rzucił się w stronę drzwi.

Za nim wybiegli pozostali, wszyscy prócz mnie i Bielawnego. Ja, bo nie mogłem się ruszyć, wciąż byłem jak sparaliżowany. A Czesio, Czesio właśnie osuwał się wzdłuż ściany rotundy. Że to nie omdlenie, spowodowane hukiem, przekonałem się, kiedy jego biała koszula coraz szybciej zaczęła zmieniać kolor na czerwony.

– Nie daj mi umrzeć, Antek – jęknął, gdy dopadłem go na chwilę przed tym, jak jego głowa dosięgła podłogi. – Nie mogę. Nie teraz, kiedy mam rodzinę...

Z ulicy dobiegł ryk silnika samochodu. Może to Lothar Scholz ścigał swoim oplem Krämera-Adamskiego, a może przejeżdżał inny pojazd, choćby ciężarówka z żandarmami, wezwana przez niemieckiego

szpiega, aby zwinąć za jednym zamachem cały sztab, tak jak kilka miesięcy temu w kościele Świętego Aleksandra.

Było mi to zupełnie obojętne.

– Nie dam. Wszystko będzie dobrze – powiedziałem do przyjaciela, który powoli tracił świadomość.

Dominus vobiscum

(Warszawa, 8 listopada 1943 roku)

Kościół pod wezwaniem Najświętszego Zbawiciela, znajdujący się w Warszawie przy placu o podobnej, choć trochę krótszej i skromniejszej nazwie, powoli wypełniał się wiernymi. Minutę temu wszedłem drzwiami od Marszałkowskiej, minąwszy warującego żebraka, a może to była żebraczka, trudno ocenić. Rozejrzałem się po wnętrzu świątyni, by następnie zająć miejsce jak najbliżej wyjścia. Dzięki temu byłem spokojniejszy, choć gdyby przyszło co do czego, pewnie niewiele bym zdziałał. Może poza schowaniem się pod ławkę.

– Antek! – usłyszałem czyjś ni to krzyk, ni to szept, właściwy powadze miejsca.

Spojrzałem w tamtym kierunku. Z jednej z pierwszych ław wychylała się Ołena. Trzymała na jednej ręce biały tłumoczek, który był jej córką, drugą zaś machała do mnie. Biedna kobieta...

– Już idę – odpowiedziałem, choć w narastającym gwarze w żadnym razie nie mogła usłyszeć moich słów.

Nie za bardzo mi to pasowało, ale opuściłem swoje miejsce i przez gęstniejący tłum jąłem się przeciskać w stronę ołtarza. Tak, w tym szczególnym momencie należało być jednak przy tych, którzy mnie chyba najbardziej potrzebowali.

– Serwus – przywitałem się.

Nie usłyszałem jednak odpowiedzi, a tym bardziej nie zdążyłem zajrzeć do tłumoczka, choć chciałem ujrzeć twarzyczkę dziewczynki, gdyż przed ołtarzem pojawił się ksiądz. Oznaczało to, że za chwilę rozpocznie się ceremonia.

Zająłem wolne miejsce, wychyliłem się nieco, by napotkać znajome spojrzenie. W te oczy też bardzo chciałem zajrzeć i było to na szczęście łatwiejsze. I na jeszcze większe szczęście – w ogóle możliwe.

– Jak się czujesz? – zapytałem.

– Jako ksiądz-cywil, jako ojciec na chwilę przed ochrzczeniem pierworodnej czy tak w ogóle? – chciał wiedzieć Czesio Bielawny, poprawiając rękę na temblaku.

Uśmiechnąłem się. Bo przecież tak naprawdę chciałem usłyszeć odpowiedzi na wszystkie te pytania.

*

Owego wieczora, kiedy w fotoplastikonie zdekonspirowany został niebezpieczny niemiecki szpieg, a zaraz potem kula wystrzelona z parabellum Lothara Scholza trafiła nie Krämera-Adamskiego, ale ramię Czesia, sytuacja wyglądała naprawdę dramatycznie.

Lekarze ze szpitala na Solcu, do którego udało mi się dotrzeć z nieprzytomnym już Bielawnym, powiedzieli, że stracił sporo krwi i jeszcze kilka chwil zwłoki i nie wyżyłby. Kulę wyjęli, krew podali, do stanu używalności doprowadzili. Jako że musiał zostać w szpitalu, mnie przypadł w udziale obowiązek powiadomienia o wszystkim Ołeny. Przyjęła to nadzwyczaj spokojnie. Może pomogła jej w tym córka, która rozpoczynała właśnie wieczorny koncert.

Z Czesiem było już w miarę dobrze, więc zacząłem się zastanawiać nad innymi rzeczami. Nazajutrz wróciłem do fotoplastikonu i wywiesiłem na drzwiach lekko już przybrudzoną kartkę z dwujęzycznym napisem NIECZYNNE. Zacząłem sprzątać. Miałem jednak świadomość, że miejsce może być już spalone, że w każdej chwili mogli załomotać kolbami w drzwi, a następnie bez trudu je wyważyć.

Mimo to sumiennie zamiatałem podłogę, ścierałem z niej mokrą szmatą Czesiową krew, wytrząsałem z popielniczek pety, które zostawili spiskujący poprzedniego wieczora ludzie. Przez cały czas myślałem o tym, jak Lech Adamski zdołał okręcić wokół małego palca

mnie, Czesia, Franka Belę i wielu innych ludzi. Jak mogło w ogóle do tego dojść. Gdyby zrobił to jako wariat, za którego go miałem, to jeszcze pół biedy...

Minęły trzy dni, podczas których fotoplastikon pozostawał zamknięty, a klucz do drzwi – w mojej kieszeni. Codziennie bywałem u Czesia w szpitalu. Za którymś razem z sąsiedniej sali dobiegał płacz. Zainteresowałem się tym. Kiedy wyszedłem na korytarz i zajrzałem tam przez uchylone drzwi, ujrzałem przykrytą białym prześcieradłem twarz zmarłego i jakichś lamentujących nad nim ludzi, chyba rodzinę. Nietaktem było zakłócać im tę chwilę, zapytałem więc przechodzącą akurat pielęgniarkę, co się stało.

„Umarł pacjent” – odpowiedziała.

Tyle to i ja wiedziałem. Coś kazało mi przytrzymać tę dziewczynę dłużej i próbować dowiedzieć się więcej. Okazało się to łatwiejsze, niż przypuszczałem. Może wzięła mnie za kogoś innego. Kogoś z organizacji.

„To doktor Kulawczyk z politechniki. Mój brat studiował u niego przed wojną” – powiedziała.

Na dźwięk tego nazwiska oblał mnie zimny pot. Przełknąłem boleśnie ślinę.

„Co się stało?” – zapytałem.

„Przywieźli go wczoraj wieczorem. Ktoś go prawdopodobnie zaatakował nożem na ulicy. Chyba chcieli pieniędzy. Co to był za wspaniały człowiek...” – westchnęła siostra, zatrzymała łzę spływającą jej po policzku noszącym ślady po ospie, po czym wyminęła mnie bez słowa.

Byłem więcej niż pewien, że to nie o pieniądze chodziło. Czy wraz z doktorem Kulawczykiem odchodziła do grobu tajemnica jego tajnej broni, miałem się dopiero przekonać.

*

Ksiądz wikary z kościoła Zbawiciela uroczyście ochrzcił córeczkę Czesia i Ołeny, Wandę. Czy miał świadomość, że to dziecko kolegi po

fachu, byłego proboszcza w Chołoniewiczach na Kresach? Czy mimowolnie szukał w tłumie dziadków maleństwa, których oczywiście nie było, ale, kto wie, może znów ktoś usłużny, jakiś sąsiad czy znajomy, uprzejmie im doniesie? Zastanawiałem się nad tym przy akompaniamencie dźwięku organów.

Bardziej interesowało mnie co innego: wraz z Wandzią ochrzczono bowiem kilkanaścioro innych dzieci, których rodzice, rodzice chrzestni, dziadkowie, wujkowie i ciotki wypełniali szczerze świątynię. Trwała wojna, okupacja, ale dzieci wciąż się rodziły. Rodziły się nie jako poddane Hitlera czy innego skurwysyna, ale wolne Polki i wolni Polacy. Naprawdę głęboko w to wierzyłem.

Aha, jeszcze jedna ważna sprawa: ojcem chrzestnym małej Wandzi Bielawnej został mój tata, a matką – Alina. W innym czasie i w innych okolicznościach wybór zapewne też byłby inny, zdawałem sobie z tego sprawę i oni pewnie też. Ale stało się, jak się stało. Zgodzili się z radością. No i, jakby nie patrzeć, zostali połączeni formalnie.

– To teraz zapraszam państwa do nas na przyjęcie – zaordynował Czesio, którego przed zatarciem rąk z zadowoleniem, jak lubił robić, powstrzymywał fakt, że jedna była w bandażach i na temblaku.

– Ale to chyba będzie kłopot... – zaczął się certować ojciec, ale zaraz Sieradzka dała mu sójkę w bok.

Mały Leszek był przecież na Jasnej, a opiekował się nim, do spółki z królikiem Leo, Franek. Mój przyjaciel, prawie niczym cymbalista Jankiel z *Pana Tadeusza*, „przez całą zimę nie wiedzieć gdzie bawił, teraz się nagle z głównym sztabem wojska zjawił”. Mówię: prawie, była bowiem jeszcze jesień, choć rano i wieczorami już czuć było mrozem. Żadnego szronu też jeszcze nie można było zobaczyć, nawet przez najsilniejszą lornetkę. Nie mieliśmy jednak ani minuty, żeby pogadać, choć bez wątplenia było o czym, oj, było.

– Żaden kłopot – trwał przy swoim dumny ojciec Wandzi, torując sobie drogę w tłumie wiernych jedną ręką. – Poza tym jeszcze państwo nie widzieli naszego nowego mieszkania.

Wyszliśmy z kościoła. Nad Warszawą wisiała ciężka i ciemna deszczowa chmura. Na szczęście na Koszykową, róg Lwowskiej, nie było daleko i dotarliśmy tam, beztrąsko pchając wózek ze śpiącą

Wandzią, w ciągu zaledwie kwadransa.

Ledwo usiedliśmy przy zastawionym już stole, rozległ się dzwonek u drzwi.

– Pozwólcie, że otworzę – zdeklarowałem się.

Na progu stał Władek Michalski i pułkownik Hieronim. Nie widziałem żadnego z nich od tamtego wieczoru w fotoplastikonie. Przez sekundę byłem niemalże pewien, że za rogiem czai się ktoś jeszcze: Jacek Sieradzki. A wtedy byłby koniec.

Ale nie, królowie do dziecińy przybyli tylko we dwóch. Może dlatego, że dziewczynka. Choć dary przynieśli, bo każdy trzymał w ręku flaszkę wódki.

– Dzień dobry, my na chrzciny – rzucił dość głośno Władek i zaczął bezceremonialnie tarabanić się do środka.

Usunąłem się z drogi. Pułkownik na szczęście przynajmniej wytarł nogi na słomiance. I zdjął kapelusz.

*

W miarę jak w gardłach i żołądkach biesiadników znikła wódka oraz zakąski, ubywało też gdybań i wątpliwości. Jednak nie na wszystkie pytania chciano nam, cywilom, udzielić odpowiedzi, nie wszystkie problemy poruszyć.

– A kim jest właściwie Lothar Scholz? – zapytałem.

– Wypijmy – to była odpowiedź pułkownika Hieronima, którą też zaraz poparł czynem, otwierając z wprawą kolejną butelkę.

Domyślałem się, że nie wszystko nadaje się do opowiedzenia przy stole, mimo że nie siedziały już przy nim kobiety. Alina i Ołena zajęły się bowiem bohaterką dnia, czyli małą Wandzią.

– Tak, trzeba wypić – mruknąłem.

Dowiedzieliśmy się za to, zresztą stało się to na samym początku i nie musieliśmy nawet specjalnie prosić, że, niestety, nie udało im się tamtego wieczora schwytać Krämera-Adamskiego. Później zresztą też nie. Po prostu przepadł, a to oznaczało kłopoty, wielkie kłopoty. Być może nawet dla całego warszawskiego podziemia. Tak myśleli

ścigający, póki nie wrócili do fotoplastikonu, a stało się to wtedy, kiedy ja z Czesiem byliśmy już w szpitalu na Solcu, czyli krótko przed północą.

– Wtedy w rotundzie dokonaliśmy niezwykłego odkrycia – ogłosił Władek z taką miną, jakby był uczestnikiem przynajmniej wyprawy kapitana Cooka.

Czesio chrząknął znacząco. Prawdopodobnie nie spodobało mu się, że ktoś pod jego nieobecność grzebał w maszynerii, delikatnej, jakby nie było, do tego wcale nietaniej. No, ale nic, siła wyższa i racja stanu, jak to mówią.

– Leżała tam gruba teczka – ciągnął ze swadą były lekkoatleta. – To, co znaleźliśmy w środku, pewnie spokojnie wystarczyłoby, żeby cały Kedyw znalazł się w Palmirach. Były tam fotografie oficerów zrobione przez jeden z wizjerów fotoplastikonu, ale też na ulicy. I nie tylko ich. Heinrich Krämer rozpracowywał tych, którzy ułatwiali kontakty ze światem zewnętrznym ludziom osadzonym w warszawskich więzieniach.

– Stąd historia z bratem siedzącym na Pawiaku – przypomniałem sobie. – Franek o mało nie zapłacił za to głową...

– Trafił nawet do szpitala w Tworkach, w którym znaleźli schronienie nasi chłopcy – dodał pułkownik. – W teczce była dokładna lista ukrywających się żołnierzy, włącznie z nazwami wymyślonych chorób i numerami sal.

Ciekaw byłem, jak Michalski zareaguje na dźwięk tej nazwy. Ale on w tym momencie sprawiał wrażenie człowieka, którego nie obchodzi nic prócz kiszzonego ogórka nabitego na widelczyk.

– Nasz wspólny przyjaciel twierdzi, że aresztowania miały nastąpić jednego dnia, o jednej godzinie – ciągnął Hieronim. – Aż boję się o tym pomyśleć. Na szczęście nasi ludzie są bezpieczni, ewakuowaliśmy nawet tych, którzy znaleźli przytulisko u doktora Antonowicza.

Gospodarz rozlał do kieliszków zawartość ostatniej butelki i wznieśliśmy toast za zdrowie jego dopiero co ochrzczonej córeczki oraz, a może przede wszystkim, za szczęśliwe zakończenie przygód. Zakąsiliśmy, a wtedy oficerowie wstali od stołu.

– Na nas już pora – rzekł Hieronim.

Poczułem, że to ostatnia szansa, żeby dowiedzieć się jeszcze jednej ważnej rzeczy. Ważnej nie tylko dla mnie, ale dla całej mojej rodziny. Nawet za cenę kłopotliwych pytań.

– Panie pułkowniku, czy może mi pan powiedzieć, dlaczego nie przyszedł tu z wami kapitan Jacek? – wyrzuciłem z siebie jednym tchem, kiedy obaj z Władkiem byli już w przedpokoju Czesiowego mieszkania.

Starszy pan leniwym gestem sięgnął na półkę po kapelusz. Czułem, że zaczynam się czerwienić. Postanowiłem uprzedzić ewentualny atak:

– Mam nadzieję, że nic mu się nie stało podczas pościgu za Krämerem...

Hieronim włożył kapelusz i przez dłuższą chwilę spoglądał na mnie spod nisko opuszczonego ronda. Czułem, jak się kurczę. Czyżby wiedział?

– Proszę nie martwić się o Jacka – rzekł wreszcie. – Dla jego bezpieczeństwa przenieśliśmy go z powrotem do lasu. Myślę, że tam bardziej się przyda. Do widzenia i dziękujemy za gościnę. – Uchylił kapelusza, po czym obaj z Władkiem wyszli z mieszkania.

Kątem oka dostrzegłem Alinę stojącą na progu pokoju. Nie byłem pewien, czy usłyszała wszystko. Tak czy owak, sprawa tylko odwlekała się w czasie. Postanowiłem nie poruszać tematu i zostawić to ojcu. I więcej nie spotkać Jacka Sieradzkiego.

*

Nazajutrz, o dziwo, nie powitał mnie kac, choć przyjęcie po wyjściu konspiratorów jeszcze trochę trwało. I dobrze, bo tego dnia w naszym domu wszyscy mieli wychodne. Ojciec wyruszył starym szmuglerskim szlakiem na wieś, Alina zaś, nieco bliżej, próbowała zdobyć żywność kartkową. Franek tradycyjnie zniknął bladym świtem. Zostałem sam z malutkim Leszkiem i jeszcze mniejszym królikiem.

Kilka chwil po tym, jak udało mi się utulić do snu przyrodniego brata i usiąść w fotelu z książką, usłyszałem jakiś podejrzany chrobot

w drzwiach. Odruchowo sięgnąłem po kuchenny nóż i bosy, na palcach ruszyłem w kierunku przedpokoju.

– Kto tam? – zapytałem mimo to.

Cisza. Chrobotanie ustało. Zbliżyłem oko do wizjera, ale po drugiej stronie nikogo nie ujrzałem. Wtedy zacząłem się rozglądać po mieszkaniu, a zwłaszcza jego najniżej położonych partiach, sprawcą hałasu mógł być przecież nasz królik.

Dawno minął czas, kiedy ojciec powtarzał mi: nigdy nie otwieraj drzwi, kiedy w mieszkaniu nie ma nikogo dorosłego. Wiedział doskonale, co mówi. Przekonałem się jednak o tym dopiero wtedy, kiedy uchyliłem drzwi. W tej samej bowiem chwili ktoś z ogromną siłą naparł na nie od zewnątrz. Zupełnie zaskoczony, straciłem równowagę i runąłem jak długi na podłogę w przedpokoju. Sekundę później ujrzałem wycelowaną pomiędzy moje oczy lufę rewolweru, nad okrągłym otworem zaś – znajomą twarz.

– I znów się spotykamy – wycedził przez zęby Lech Adamski *alias* Heinrich Krämer.

Ile bym dał, żeby to był tylko zły sen. Zamrugąłem powiekami, aby się obudzić. Chciałem się nawet uszczypnąć, ale niechciany gość ruchem ręki trzymającej broń skutecznie mnie przed tym powstrzymał. Nieproszony, wciąż leżąc na podłodze, uniosłem ręce do góry.

– O, tak lepiej. – Zamknął starannie drzwi.

Nie było w nim nic z człowieka, który kilka miesięcy wcześniej zestrachany wychodził z brzucha fotoplastikonu. Dziś już wiedziałem, dlaczego przesiedział tam całą noc. Nie przypominał też tego szaraka, który odwiedził mnie tu w czasie zakrapianego spotkania z dawnymi szkolnymi kolegami. I wariata w szpitalu w Tworkach, jak również tego, którego wcześniej wraz z Ezrą znaleźliśmy w kamienicy na Kole, gdzie rzekomo był więziony przez szmalcowników. Że też nie zorientowałem się wtedy, że do tej rury pod kuchennym zlewem najprawdopodobniej przywiązał się sam. I do tego musiał to zrobić szybko.

Nie, nie był tym człowieczkiem co kiedyś. Także pod względem ubioru: miał bowiem na sobie długi elegancki płaszcz, spod którego

łyskała biel koszuli, a na głowie o ton ciemniejszą od okrycia, nową fedorę.

– Czego chcesz? – zapytałem.

– Pogadać – odrzekł szybko. – Ale nie tutaj. Ubieraj się. Tylko bez żadnych numerów.

W pierwszym odruchu chciałem, mimo wycelowanej we mnie broni, zaprotestować, powiedzieć, że nie mogę wyjść, bo przecież opiekuję się niemowlęciem. Ale wolałem nie zdradzać, że jest tu ktoś jeszcze. Leszkowi nic się nie stanie, Alina powinna zaraz wrócić. Oby tylko nie zrobiła tego zbyt wcześnie i nie napatoczyła się na nas.

Kilka chwil później schodziliśmy w dół. I tak jak na co dzień nie za bardzo chciałem się spotykać z sąsiadami, szczególnie tymi nowymi, tak teraz oddałbym wiele, aby ktoś wchodził na swoje piętro, bo przynajmniej powiedziałaby potem moim bliskim, co się stało...

Ale jak na złość nikt się nie pojawił.

– Dokąd idziemy? – zapytałem specjalnie głośno, żeby może przynajmniej ktoś usłyszał mój głos.

– Dowiesz się niebawem – odpowiedział szpieg. – I nie drzyj się tak. To nic nie pomoże.

– Nie drę się.

Ostatnią nadzieją był stróż Wincenty. Ale i jego nie spotkaliśmy; podwórko było starannie zamiecione, a pogoda taka sobie, więc pewnie Wasiak siedział w tej chwili w ciepłym mieszkanku i grzał stare kości.

Na Jasnej przed bramą kamienicy Harczyka stał zaparkowany samochód. Rozpoznałem trójramienną gwiazdkę mercedesa na masce, choć modelu nazwać nie potrafiłem. Nie był to jednak dobry moment, aby się nad tym zastanawiać czy zachwycać urodą auta. Za kierownicą siedział szofer bez twarzy.

Krämer otworzył przede mną tylne drzwiczki.

– Wsiadaj – zaordynował. – I nie radzę żadnych sztuczek.

– Czy zawsze musicie powtarzać to samo? – wyrwało mi się.

– Jeszcze jedno słowo, a ubiję.

– Tutaj? Na ulicy? – Rozejrzałem się na boki, jak również ponad dachem samochodu.

Niestety, ruchliwe skrzyżowanie Jasnej z Sienkiewicza było w tym momencie puste. Gdyby nawet ktoś nas obserwował, a Heinrich Krämer nacisnąłby spust rewolweru, najprawdopodobniej to jego wzięto by za dzielnego bojowca, mnie zaś – za konfidenta gestapo, ostatnią gnidę. Stygnące truchło pewnie niezwłocznie przeszukano by w poszukiwaniu pieniędzy, broni czy choćby zegarka. A ja miałem tylko starą omegę z porysowanym szkiełkiem, która być może pracownicy odmierzała w tej chwili moje ostatnie minuty.

– Dokąd jedziemy? – zapytałem, kiedy drzwiczki były już zatrzaśnięte, mercedes ruszył dostojnie w kierunku Alej, a szpieg, choć człowiek ów przecież nie musiał już teraz przed nikim się ukrywać ani grać kogoś innego, siedział obok na tylnej kanapie i wciąż mierzył do mnie z rewolweru.

– Tam, gdzie nauczą cię rozumu – odrzekł półgębkiem.

Nie spodobało mi się to. Może jeszcze niedawno zareagowałbym inaczej: położył uszy po sobie, zwiesił głowę. Może w odczuciu wielu ludzi tylko do tego się nadawała. Ta i miliony innych: żeby je posłusznie wsadzać w pętle, otwierać usta, by je szybko zagipsowano przed egzekucją, uniemożliwiając okrzyki w rodzaju „niech żyje Polska!”.

– Przez ciebie kilka miesięcy mojej pracy poszło na marne – ciągnął Heinrich Krämer. – Ale jest jeszcze szansa, aby to naprawić.

– Ciekawe jaka?

– To proste. Usiądziemy w spokojnym miejscu i spróbujemy sobie wszystko przypomnieć. Tylko ja i ty, protokolantki nie licz. Podobnie jak kilku moich wiernych, choć trochę nerwowych pomocników. Ale to już od ciebie zależy, czy będziesz rozsądny. Zaczniemy jednak od przyjemniejszego miejsca niż Szucha. No i mam nadzieję, że szybko się uwiniemy. Niedługo mam samolot.

*

Kwadrans później zatrzymaliśmy się przed jakąś kamienicą. Szofer kluczył po Śródmieściu, potem po Ochocie, tak że w końcu straciłem

orientację. Ja, były riksarz, jakby nie było. Nie pomagał ani potok myśli huczący w mojej głowie, ani broń w ręku Krämera wciąż wycelowana w moje trzewia.

– Wsiadaj – burknął do mnie, kiedy umilkł silnik.

Kierowca zapytał go o coś jeszcze po niemiecku. Ten odpowiedział. Z tego, co udało mi się zrozumieć, chodziło o to, czy Heinrich poradzi sobie sam. Odrzekł, że naturalnie. Po czym obaj zarechotali, pewni siebie.

Wyszędłszy, próbowałem się szybko zorientować, gdzie jestem. Jednocześnie zastanawiałem się, czy to jakaś dziupla Krämera, czy coś innego. Może tajna katownia, choć po co Niemcom tajne, skoro doskonale i bezkarnie czuli się w tych jawnych. Ten jednak już mnie ponaglał, wskazując lufą klatkę schodową.

Weszliśmy do środka, ja pierwszy, jak to zwykle bywa przy takich okazjach. Tak wdrapaliśmy się na drugie piętro. Krämer zastukał do drzwi, zapewne w umówiony sposób, ale tradycyjnie już nie zdołałem zapamiętać kodu. Ktoś otworzył po paru sekundach.

– *Schneller!* – ponaglał niezadowolony z tego Krämer, pchając ze złością drzwi, a gdy były już otwarte na oścież, także i mnie w plecy.

Wszedłem do środka, wypatrując siepacza w burej koszuli, którego cień całkowicie przysłoni światło wpadające do środka przez okno, a pięść dokona reszty, tak że nie będę nic widział przez następne godziny, a może nawet kilka dni. Ale nikogo takiego nie było. Ktoś jednak otworzył te cholerne drzwi...

– Ani drgnij, Krämer – usłyszałem głos z kąta przedpokoju i szcęknięcie odbezpieczanego zamka parabellum, którego lufa wbijała się w potylicę wroga.

To był Lothar Scholz! Tym razem był ubrany dokładnie tak samo jak tamtego dnia, kiedy widziałem go po raz pierwszy: miał na sobie doskonale dopasowany i wyprasowany mundur leutnanta Wehrmachtu i czapkę na głowie.

– Zabierz mu broń – rzucił do mnie.

Jednym ruchem wyrwałem gnata z ręki kompletnie zaskoczonego szpiega, po czym nie bez satysfakcji obróciłem lufę w jego kierunku.

– Złapał Kozak Tatarzyna, a Tatarzyn za łeb trzyma – wyrecytował

Scholz z uśmiechem. – I co, przyjacielu? Jednak moje na wierzchu.

– To się jeszcze okaże – odrzekł hardo Niemiec, choć pojęcia nie miałem, który z tych dwóch jest naprawdę Niemcem; może żaden, bo obaj przecież doskonale mówili po polsku.

– Do pokoju, tylko spokojnie. – Lothar pchnął Krämera łufą w wygolony kark. – Tym razem nie dam się zaskoczyć jak w fotoplastikonie.

Znaleźliśmy się w dużym pomieszczeniu. Nie był to jednak salon, ale coś w rodzaju pracowni. Chyba zaczynałem się domyślać, do kogo należy. A raczej należała. Na półkach stały niezliczone słoje różnej wielkości, szklane kolby i menzurki. Na stole, który zajmował lwią część izby i usiany był tysięcznymi plamami, zauważyłem kilka palników i gumowych węży. Jakies kartki, na nich zaś tabele, drukowane kolumny cyfr, odręczne notatki i chemiczne wzory.

To była pracownia doktora Kulawczyka. Czy gdzieś tutaj, w którymś ze słoików, znajdowała się owa cudowna broń, którą próbował oddać naszemu podziemi? – zastanawiałem się.

A potem oczami wyobraźni ujrzałem ostatnie chwile życia nieszczęsnego naukowca, który z Tworek wyjechał przecież w towarzystwie nie kogo innego jak Krämera-Adamskiego. Ciekawe, czy zdążył mu zdradzić swą największą tajemnicę. Jeśli w ogóle owa broń nie była tylko wytworem jego wyobraźni.

– Gdzie jest Hans? – zapytał Krämer; najprawdopodobniej chodziło o tego, który powinien otworzyć nam drzwi zamiast Lothara, jakiegoś zabijakę, może nawet mającego na sumieniu Kulawczyka.

– W sąsiednim pokoju. Już nikomu nie robi krzywdy – odparł Scholz dwuznacznie, po czym wskazał jedno z krzeseł stojących przy stole. – A ty siadaj.

Szpieg wykonał polecenie, nie spuszczając wzroku z wycelowanej w niego broni, choć tylko tej, którą trzymał Scholz; najpewniej nie wierzył w moje umiejętności.

– I tak nic ci nie powiem – mruknął Krämer. – Lepiej zakończ to od razu.

– Nie musisz. Znaleźliśmy twoją teczkę.

Z niecierpliwością czekałem na reakcję Adamskiego-Krämera. Ale

na jego starannie wygolonej twarzy nie drgnął ani jeden mięsień. Człowiek ten był naprawdę doskonałym fachowcem. Trudno było więc ocenić, czy w teczce znaleziono wartościowe materiały, czy tylko nic niewarte śmieci.

Lothar Scholz zaczął przechadzać się po pracowni. Nie wiem dlaczego, ale ufałem, że, tak jak powiedział, nie da się po raz drugi zaskoczyć przeciwnikowi, mimo że nie trzymał go już na muszce. Wyobrażałem sobie, że strzela z biodra, wykonując przy tym półobrót niczym kowboj w westernie.

– O, wiedziałem, że coś takiego znajdę! – ucieszył się, po czym zwrócił się do mnie: – Mogę pana prosić, panie Antku?

Włożyłem broń szpiega za pasek. Po chwili trzymałem w ręku trzy menzurki, człowiek w mundurze zaś – pękata butelkę z rubinowym płynem. Odkręcił z wprawą korek, przytknął nos do szyjki, powąchał.

– Węgrzyn. Na moje oko dość stary. Nie zaszkodzi po jednym, co? – Spojrzał na więźnia.

– Tradycyjne chlup przed egzekucją? – Adamski-Krämer podniósł głowę.

– To zależy od ciebie – odpowiedział Lothar. – Ale pewnie głupio by było ginąć z ręki kogoś, kto nosi mundur armii, której służysz, co?

Zamiast odpowiedzieć, spojrzał obojętnie za okno. Byłem ciekaw, co w tej chwili roi mu się w głowie. Tymczasem Lothar Scholz z uwagą rozlał alkohol do menzurek stojących równo na stole niczym pluton egzekucyjny. Jedną przesunął w kierunku więźnia, po czym powiedział spokojnym głosem:

– Na razie się napijmy. Jak szpieg ze szpiegiem. Podczas pierwszej wojny chłopaki też wychodzili z okopów, aby pograć w piłkę, prawda?

– Nie wiem. W portki jeszcze wtedy robiłem – rzekł Krämer.

– A to zupełnie tak jak ja. Kto wie, może byśmy razem kopali piłkę, gdybyśmy mieszkali obok siebie. Tyle że tyś się urodził w Łodzi, a ja w Prusach Wschodnich. Wybór, po której stronie stanąć, gdy zaczęła się ta wojna, wydawał się oczywisty. A jednak stało się na odwrót. Ale i tak wypijmy na zdrowie. – Leutnant również usiadł za stołem i uroczyście uniósł szkło.

To samo zrobił Krämer. Przełknęli, a wtedy podczaszy ponownie

napełnił menzurki. Podnieśli i wypili jak na komendę.

A ja wciąż się krygowałem, mimo że pierwszą porcję rozlano do trzech menzurek, a nie do dwóch. Dopiero po chwili nieśmiało sięgnąłem po swoją. Zresztą należało mi się po tym wszystkim. I pomyśleć, że oto piję z dwoma osobnikami, których pojawienie się w moim życiu mogło kosztować, kto wie, może nawet jego utratę. Wierzyłem jednak, że wszystko zmierza do szczęśliwego końca. Oby tylko Lothar nie kazał mi patrzeć, jak zabija przeciwnika...

Pociągnąłem solidny łyk znalezionej przez Scholza trunku. Smakował wybornie. Chyba nigdy nie piłem węgrzyna, w dodatku nigdy nie piłem go z takiego naczynia.

– Zdrowie – powiedziałem nieśmiało.

Spojrzałem na szpiegów, którzy siedzieli w tej chwili dokładnie naprzeciwko siebie, niczym szachiści nad figurami, i mierzyli się wzrokiem. Może właśnie zaczynał się pojedynek, który z nich zdoła w siebie więcej wlać. Albo kto pierwszy nie wytrzyma spojrzenia adwersarza.

Ledwo o tym pomyślałem, Lothar uciekł wzrokiem ku sufitowi, przewrócił oczami, błysnęły białka. Bezgłośnie poruszył wargami, po czym ciężko opadł na krzesło.

Widząc to, Heinrich Krämer podniósł się z krzesła i wychylił w stronę człowieka w mundurze, zapewne z zamiarem przejęcia jego parabelki. Ale wtedy i on jęknął, po czym runął na stół, a jego ciałem targnęło kilka spazmów.

– *Zum Teufel...* Mamo... – zdołał jeszcze wycharzczyć, zanim z jego ust spłynęła na upstrzony plamami blat stołu strużka śliny.

Patrzyłem na to, nie mogąc pojąć, co się dzieje. A wtedy pracownia nieżyjącego chemika zawirowała mi przed oczami. Kurczowo zacisnąłem palce na oparciu najbliższego krzesła, jednak to nie było w stanie powstrzymać podłogi, która nagle zaczęła się podnosić jak winda i przekrzywiać niczym greting tonącej łodzi. Potem zanurzyłem się w ciemną toń.

Ta lekcja nie chciała się skończyć. Profesor z liceum Batorego przy Myśliwieckiej, matematyk-piła, najwyraźniej postanowił dokonać rzezi. Trochę mnie to zdziwiło, bo przecież budynki szkoły użytkowali teraz Niemcy. Ale to było bez wątpienia to miejsce.

Zacęło się od niewinnego pytania: kto z panów chciałby odpowiadać? Mimo że nauczyciel uśmiechał się, gdy je zadawał, co mogło być obietnicą, że będzie łaskawy i przymknie oko na luki w wiedzy, nikt się nie zgłaszał.

– To naprawdę łatwe – zachęcał.

Kiedy po jakiejś minucie oczekiwania, która wydawała się trwać kwadrans, nikt nie podniósł ręki, piła otworzył dziennik lekcyjny.

– Bielawny – przeczytał.

Czesio miał to nieszczęście, że jego nazwisko było pierwsze. Nieszczęście teraz, bo w innych przypadkach, kiedy na przykład profesor miał fantazję wybrać osobę do odpowiedzi, rzucając z góry ołówek, rzadko kiedy jego ostrze trafiało w to miejsce. Gorzej, jeśli miała się odbyć regularna egzekucja, choć miało to też pozytywne strony. Przemaglowany, złapany na niewiedzy, a następnie surowo oceniony Czesio mógłby potem spokojnie patrzeć na gehennę innych. A ci – tylko prosić wszystkie czyste i nieczyste siły, by przyspieszyły bieg zegarów.

– Obecny – odpowiedział mój przyjaciel.

– Do odpowiedzi.

– Nie mogę, panie profesorze.

– A to niby czemu, mój panie Bielawny? – Matematyk spojrział na ucznia znad okularów zsuniętych niemal na czubek nosa.

– Bo ja... bo ja, panie profesorze... – zaczął dukać ze wzrokiem wbitym w ławkę. – Bo ja mam dziecko.

Po klasie przetoczyły się szepty. Matematyk pokraśniał na twarzy.

– Co? – huknął. – Dziecko? Jakie dziecko? W twoim wieku, gówniarzu?!

– Proszę tak do niego nie mówić! – usłyszałem wtedy stanowczy głos z tyłu klasy.

Wszystkie spojrzenia skierowały się w tamtą stronę. Nad czuprynami chłopaków powoli wyrastała głowa śmiałka. To był

Władek Michalski, nasz mistrz w pchnięciu kulą.

– Szacunku trochę, bo staniesz przed sądem polowym, belfrze! – ryknął, kiedy się już ostatecznie wyprostował.

Matematyka zatkało. Nas zresztą też. Wtedy stało się coś dziwnego: profesor sięgnął pod pulpit, gdzie zwykł kryć wskaźnik. Ale to nie był wskaźnik, tylko karabin. Zanim ktokolwiek zdążył pomyśleć, wykonał kilka szybkich ruchów, o które nigdy byśmy go nie podejrzewali, złożył się do strzału i nacisnął spust.

Rozległ się huk. Na czole Władka pojawił się niewielki, ciemny wykwit. Chwilę później potężne ciało runęło do tyłu. Spojrzałem z przerażeniem na profesora-mordercę. Tylko że to nie był nasz matematyk, ale mężczyzna w czarnym mundurze SS.

Wtedy i on złowił moje spojrzenie. Widocznie mu się nie spodobało, bo zaraz znów uniósł broń. I znów rozległ się huk. Poczulem tępe, ale gorące uderzenie w piersi. Lampy na suficie przeleciały mi przed oczami niczym pojazdy kosmiczne. Wreszcie upadłem na plecy, choć miałem wrażenie, jakbym padał na miękkie łóżko.

– Antek, co z tobą? – usłyszałem znajomy głos, a po chwili przed oczami pojawiła się twarz Franka Beli. – Co ci jest? Obudź się.

Potrząsnąłem głową, co zazwyczaj pomagało mi pozbyć się sennych koszmarów. Zamrugąłem jeszcze powiekami, a może wciąż śniłem, że potrząsam i mrugam, bo twarz przyjaciela nie chciała zniknąć.

– Antek, do jasnej cholery! – zawołał i jakby tego było mało, jeszcze solidnie mną potrząsnął.

To już przyniosło skutek. Usiadłem na łóżku, rozejrzałem się po pomieszczeniu.

– Gdzie ja jestem? – zapytałem.

– U Czesia – odpowiedział Bela.

– Co się stało?

– To raczej ja powinienem się zapytać, co się stało – sprostował. – Wchodzę ci ja do mieszkania znajomego, pamiętasz może, doktor Kulawczyk, który kiedyś pracował na politechnice... – Na chwilę zawiesił głos, co było pewnie miejscem na moje „tak” albo „nie”; ale jako że nic nie powiedziałem, ciągnął dalej z zapalem, lekko podgrzanym oburzeniem: – Brałem od niego czasem te wynalazki,

żeby spróbować je sprzedać. Działanie jednego widziałeś nawet na własne oczy. To było wtedy, kiedy przyszedł Jacek.

– Jacek – powtórzyłem jak echo.

– No, właśnie ten. Dostał szprycę i się uspokoił, sam widziałeś. W każdym razie wpadłem wczoraj do Kulawczyka, aby się rozliczyć, pogadać, bo to, co robi, to naprawdę ciekawe rzeczy. Wchodzę, patrzę i oczom nie wierzę! W pracowni leży sobie trzech facetów, a wszystkich znam. Lepiej czy gorzej, ale znam. Przy stole, na którym chemik robił swoje wybuchy, leżał Adamski, ten, co to brata chciał wyciągnąć z Pawiaka. A naprzeciwno niego, tu myślałem, że mi zaraz serce stanie, ten Niemiec, cośmy go wtedy wieźli, wiesz, dziabniętego w fotoplastikonie Czesia. W duchy ja nie wierzę, ale kiedy go zobaczyłem, to mi nogi zmiękły. Przecież własnoręcznie go zakopałem. Nie żył. Byłem tego pewien!

Przerwał, zrobił kilka nerwowych kroków po pokoju, wyjrzał przez okno, za którym gasł, a może wstawał dzień. Wydawało mi się, że słyszę płacz dziecka.

– Co dalej? – zapytałem głucho, nie spuszczając go z oczu.

– A co ma być. Zabrałem cię stamtąd. Coś mamrotałeś bez sensu, ale nie sposób było zrozumieć. No przecież nie mogłem cię tam zostawić z tymi dwoma, bo to, uwierz mi, nie wyglądało dobrze. A jeszcze jakiś typ, widząc nas wychodzących z kamienicy, wysiadł z samochodu i zaczął się rzucać. Dostał pigułę w nos, aż się nogami zakrył. A od Kulawczyka najbliższe było tutaj, do Czesia. Możesz mi powiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi? Mam nadzieję, że nie wypiliście serum zapomnienia...

– Jakiego serum zapomnienia? – powtórzyłem z trudem i ze zgrozą.

– Tak się właśnie nazywa specyfik, nad którym od dłuższego czasu pracował doktor. Dodany skrycie do jedzenia albo napojów Niemców miał za zadanie atakować jakieś komórki w ich mózгах. Dzięki temu wierni do tej pory pretorianie mieli, najprościej mówiąc, zapominać o idei, której służą. Dezercje, odmowy wykonania rozkazu, może nawet jaki większy bunt, kto wie! Każdy przypadek mógł mieć przecież znaczenie. Do tej pory po prostu się do nich strzelało, sam wiesz. Tylko że potem płaciła za to ludność cywilna. Za jednego

zabitego szkopa rozstrzelali w Palmirach albo powiesili kilkunastu więźniów. A tu masz sprawę czystą. Chemiczne reakcje, biologia. Kulawczyk kilka razy mi to dokładnie tłumaczył, ale sam wiesz, że ja nie za bardzo przepadam za nauką. Co innego on. Masz pojęcie, że on kilka razy testował tę nową broń na sobie?!

– Co ty gadasz? Jak na króliku?

– Jak na króliku. Oczywiście pod nadzorem lekarzy. Jakiś czas leżał nawet w tym szpitalu psychiatrycznym niedaleko Pruszkowa. A teraz gdzieś przepadł, cholera... Może znów przyjął dawkę i nie może sobie przypomnieć, gdzie mieszka. Ale lepiej mi powiedz, jak to się stało, że ty się tam znalazłeś. W dodatku z tymi dwoma facetami.

Spojrzałem na niego w milczeniu, uśmiechnąłem się smutno i wzruszyłem ramionami. Wtedy chyba do niego dotarło. Aż złapał się za głowę.

*

Wydarzenia ostatnich miesięcy wracały do mnie z różną intensywnością i na kilka sposobów. O niektórych przypominałem sobie sam, jak choćby o tym, że Czesio Bielawny zrzucił sutannę. Ale o tym, że został ojcem, dowiedziałem się, kiedy krótko po tamtej rozmowie z Frankiem zapytałem, czyje to dziecko tak się drze za ścianą.

– Jestem naprawdę szczęśliwy – powiedział Bielawny, otarłszy łzę w oku. – Powiem ci więcej: czuję, jakbym dopiero teraz się urodził.

– Chyba wiem, o czym mówisz – zgodziłem się. – Nie żałujesz, że porzuciłeś Kościół?

Chwilę się zastanawiał. Być może tak właśnie, z palcem wskazującym na skroni, wysłuchiwał kiedyś w konfesjonale grzechów swych parafian, zanim udzielił im rozgrzeszenia.

– Myślę, że bardziej przydam się gdzie indziej – rzekł wreszcie. – Zresztą nie trzeba być duchownym, by czynić dobro. Zwykły człowiek, jeśli żyje w zgodzie z dziesięcioma przykazaniami, robi wiele. A jeśli doda do tego jeszcze siedem uczynków miłosierdzia... – Serdecznie

poklepał mnie po ramieniu, ale potem to już musiał biec pomóc Olenie przy maleństwie, a potem do pracy w fotoplastikonie. – Musisz koniecznie wpaść.

– Wpadnę, przyjacielu.

– Mam trzy zupełnie nowe programy. Zabytki Konstantynopola, Damaszku i Aleppo, a także wspaniałe zdjęcia z Persji.

*

Co jeszcze pamiętałem? Że ojciec i Alina wraz z Leszkiem, czyli ich synem, a moim przyrodnim bratem, wyjechali na początku czerwca na wakacje na wieś. Osobiście odprowadzałem ich na dworzec. Nie miałem jednak pojęcia, kim jest „on”, o którym ze strachem w oczach mówiła Sieradzka, kiedy następnego dnia wróciłem do domu.

– Mam nadzieję, że już więcej go nie zobaczę – powiedziała szeptem.

– Na pewno – odrzekłem dla świętego spokoju, po czym zamknąłem się w swoim pokoju.

Do końca dnia leżałem na łóżku ze wzrokiem wbitym w sufit. Następnego dnia tak samo. A trzeciego zaraz po obiedzie tata położył przede mną list.

– Co to może być? – Przez chwilę obracałem w palcach kopertę opatrzoną jakimiś dziwnymi znaczkami i jeszcze dziwniejszymi pieczętkami.

– Otwórz i po prostu przeczytaj – poradziła Alina, a siedzący obok niej i Leszka królik Leo zastrzygł uszami, jakby radził mi to samo.

Dokończyłem posiłek, podziękowałem, po czym wziąłem list i zamknąłem się w swoim pokoju. Ostrożnie rozerwałem kopertę. W środku była jedna kartka zaczerniona z dwóch stron równym, spokojnym pismem. Przebiegłem wzrokiem na sam koniec. List podpisano dwoma słowami: krawiec Ezra. Z tą wiedzą zacząłem czytać:

„Drogi Antku,

zapewne zdziwi Cię mój list, a może nawet przestraszy. Ale

musiałem go napisać. Powiedzmy, że dla spokoju ducha, ale też po to, żeby o tym, co się wydarzyło, po prostu komuś opowiedzieć. Komuś bliskiemu. Mam nadzieję, że wciąż kimś takim dla Ciebie jestem i że wybaczyłeś mi już moje nagłe zniknięcie z Warszawy. Opowiem Ci kiedyś o tym. Żywię nadzieję, że osobiście.

Otóż jestem teraz w Persji, a dokładnie w stolicy tego pięknego kraju, Teheranie...”.

Znów Persja? Czy to ma coś wspólnego ze zdjęciami w fotoplastikonie, o których wspominał Czesio? – zastanawiałem się.

Po chwili czytałem dalej.

„Jak dotarłem tak daleko, niech zostanie moją tajemnicą. Jest tu więcej moich braci, niedaleko stąd bowiem do Palestyny, gdzie, ufam głęboko, powstanie już wkrótce pierwsze żydowskie państwo. Z dala od Polski, z dala od Europy, a więc, wybac mi te słowa, również z dala od wszelkiego zła, którego doświadczył ostatnio mój naród. Tym bardziej więc zdziwiło mnie, że któregoś dnia na jednej z ulic zauważyłem znajomą postać. To był ów biedny człowiek, którego tamtego dnia znaleźliśmy związanego w kamienicy na Kole, gdzie siedzieli szmalcownicy.

Podszedłem do niego, aby się przywitać. I tu rzecz dziwna: człowiek ten mnie nie poznał. Ale nie odpuszczałem. Odezwałem się po polsku, po czym w kilku zdaniach przypomniałem okoliczności naszego poznania. Jednak i to nie pomogło. W dodatku w oczach tego człowieka dostrzegłem coś dziwnego, jakąś niepokojącą pustkę. Wtedy dałem za wygraną, nie naciskałem więcej.

Jakiś głos kazał mi jednak iść za nim. Nie było to łatwe, w Teheranie bowiem odbywało się wówczas spotkanie trzech bardzo ważnych dla świata ludzi. Co chwila można było natknąć się na patrol i zostać wylegitymowanym. Im bliżej było do radzieckiej ambasady, bo to tam odbywały się rozmowy, tym patrole były częstsze. Sam kilka razy musiałem wyciągać dokumenty, nawiasem mówiąc, po mistrzowsku sfalszowane. Po kilkunastu minutach doszliśmy do wspomnianej ambasady. Dalej nie można było iść. Ale on, o dziwo, poszedł! Po chwili zauważyłem, że rozmawia z żołnierzami, jakby to byli jego dobrzy znajomi.

Dziwne to było zdarzenie. Postanowiłem Ci je jednak opisać ze szczegółami. Dlaczego? Jeśli spotkasz tego człowieka na ulicy w Warszawie, będę miał pewność, że się omyliłem. Nie zapomnij jednak zapytać, czy nie bawił czasem na Bliskim Wschodzie. Potem mi o tym opowiesz. Mam nadzieję, że osobiście. Ale o tym już pisałem.

Pozdrawiam Cię serdecznie i do zobaczenia w lepszych czasach”.

Złożyłem list i włożyłem z powrotem do koperty. Nie wiedziałem, co o nim myśleć. Także z tego powodu, że po prostu nie pamiętałem, bym kiedykolwiek poznał kogoś takiego jak krawiec Ezra. Ale może to kwestia czasu. Jak wszystko.

W tej samej chwili rozległo się pukanie do drzwi.

– Proszę – powiedziałem.

Do środka wszedł Władek Michalski, mój stary kolega z liceum. Ledwo przekroczył próg pokoju, przypomniałem sobie ów straszny sen sprzed kilku dni. Sen, w którym Władek został zastrzelony przez nauczyciela matematyki, a tak naprawdę esesmana.

– Serwus, Antek – zawołał wesoło.

– Serwus. Wszystko dobrze? – zapytałem, taksując go wzrokiem od stóp do głów w poszukiwaniu jakichś ran; nic jednak nie zauważyłem.

– W jak najlepszym – odrzekł. – Wpadłem, żeby pogadać. Jest sprawa.

– Oby tylko nie dotyczyła ostatnich tygodni – zastrzegłem, kłamiąc przy tym, bo chodziło przecież o miesiące.

Usiadł na brzegu kanapy i założył nogę na nogę. Miał na sobie wspaniałe oficerskie buty.

– Nie. Chyba nie – odrzekł. – Ty kiedyś byłeś w szkole teatralnej, nie?

– Zdałem egzaminy w trzydziestym dziewiątym, ale nie zdążyłem rozpocząć studiów. Potem przez jakiś czas grałem ogony w kiepskim teatrzyku przy Kredytowej. A co?

– A bo pewni ludzie mają do ciebie interes. Ważny interes. Tylko cicho sza...

Epilog

(Teheran, 6 listopada 1979 roku)

Braun ocknął się. Pierwszą rzeczą, którą zrobił, było sprawdzenie, czy jego ukochany aparat fotograficzny marki Leica jest na swoim miejscu. Na szczęście był. Dopiero wtedy ogrodnik amerykańskiej ambasady w Teheranie przetarł oczy, po czym rozejrzał się po wnętrzu pomieszczenia, w którym trochę przesiedział, a trochę przeleżał ostatnie godziny.

Przez całą noc drzwi do piwnicy otwierały się ze złowróżbnym skrzypieniem i zamykały z hukiem, który bardzo przypominał palbę. Między jednym a drugim słychać było odgłosy szamotaniny, tupot nóg, krzyki. Dwojakiego rodzaju: te w języku angielskim, nerwowe, zabarwione jeszcze zaskoczeniem (bo jak to się stało, że oni tu weszli! Przecież nasi chłopcy z piechoty morskiej, przecież wysoki mur...) i doprawione dużą szczyptą przerażenia, wszak nikt nie był pewien, jakie zamiary mają napastnicy. Drugie głosy to było gniewne gulgotanie tych właśnie, wcześniej słyszane na ulicach stolicy Iranu.

„Śmierć Ameryce!”

– *Fuck off!* – gdzieś około północy dał się słyszeć głos kaprała Jonesa, tego sympatycznego Murzyna, z którym Braun rozmawiał ledwo kilka chwil przed atakiem.

Pchnęli go tak mocno, że zleciał po schodach i jak długi runął na podłogę. Naturalnie był rozbrojony. Mimo strachu, że może się to nie spodobać tamtym, od razu przypadło do niego kilkoro uwięzionych. W większości były to kobiety, w tym sekretarki ambasadora Helen i Eleonor. Mundur kaprała Jonesa, zwykle nieskazitelnie czysty

i wyprasowany, teraz był poszarpany i brudny, tu i ówdzie zakrwawiony. Jakże dosadnie symbolizował to, co się stało.

Nie wiadomo czemu, ale właśnie zdarzenie z Jonesem najbardziej ze wszystkich utkwiło w pamięci Brauna, kiedy zaraz po przebudzeniu, usiadłszy na podłodze, usiłował uporządkować myśli. Może dlatego, że przerwało krótki sen, który go w pewnym momencie zmorzył. Przez kilka godzin rozmawiał z zastępcą *attaché* kulturalnego ambasady.

Opowieść, którą z każdym wypowiedzianym zdaniem Braun snuł z coraz większą pasją, pozwoliła nie myśleć o tym, co się wydarzyło, a przede wszystkim nie martwić się, przynajmniej przez chwilę, tym, co wydarzyć się mogło. Nikt przecież nie znał zamiarów irańskich studentów, którzy w ten listopadowy dzień odważyli się wdrzeć za mur.

– Jak na razie cisza – powiedział zastępca *attaché* kulturalnego, siadając przy Braunie.

– Gdzie pan był? – Ogrodnik sprawiał wrażenie zdezorientowanego.

– Przy drzwiach. Helen i Eleonor bały się podejść, bo a nuż znów kogoś nam tutaj wrzucą.

– Mogliby wrzucić coś do jedzenia – odezwał się jakiś inny głos, być może kaprala Jonesa, głos, jakby nie było, trafiający w sedno.

Zapanowała cisza, jeśli nie liczyć oddechów, pokasywania, a nawet stłumionego łkania czy cichej modlitwy. Nikt z zebranych nie miał przy sobie niczego do jedzenia. Inaczej było pewnie z papierosami, ale przed ich wyciągnięciem skutecznie powstrzymywało podejrzenie, że nie wszyscy palą i tolerują dym. A po drugie – że jednak ktoś pali, a wtedy być może należałoby się z nim podzielić.

– Niech pan opowiada dalej, panie Braun – rzekł po chwili zastępca *attaché*.

– O czym niby?

– No, o tej historii. To bardzo ciekawe. Co się stało dalej? Czy Heinrich Krämer naprawdę znalazł się w Teheranie? Przecież to tysiące kilometrów od Warszawy!

– Przyleciał samolotem Luftwaffe. Pamięta pan, zaraz po tym, jak aresztował Antka, powiedział, że się spieszy, bo wkrótce ma samolot. I

nie wiadomo, jakby się to skończyło, gdyby nie kierowca. Kiedy ocknął się po tym, jak zaatakował go ten zbój, który wyprowadził Antka, tknięty złym przeczuciem pobiegł na górę do pracowni szalonego chemika. Zdziwił się widokiem, jaki tam zastał. Nie wiedział też za bardzo, co ma robić. To znaczy kogo ratować najpierw, bo obok Krämera leżał tam również umundurowany leutnant Wehrmachtu.

– Lothar Scholz – wtrącił zastępcę *attaché*.

– Tak. Ale że koszula bliższa ciału, kierowca postanowił najpierw zająć się człowiekiem, dla którego pracował. Pamiętał też, że wkrótce z Okęcia odlatuje samolot, w którym człowiek ten miał się koniecznie znaleźć. Wtaszczył więc ciało do auta, zamknął drzwiczki i, z zamiarem powrotu do pracowni, ruszył na lotnisko. Tam pół godziny później pomagał Krämerowi wejść na pokład transportowego Junkersa Ju 52. Gdy jednak wrócił na miejsce, oficera już nie było. Być może sam się obudził i po prostu wyszedł.

Znów zapanowała cisza.

– Mogliby nam w końcu dać coś do jedzenia – zastępcę *attaché* powtórzył to, o czym kilka chwil wcześniej ktoś mówił.

– Kto wie, może planują wziąć nas głodem – odrzekł Braun.

– Kto wie – westchnął mężczyzna, ale po chwili znów się ożywił jak małe dziecko. – Niech pan opowiada dalej, bo to przecież jeszcze nie koniec, prawda?

Ogrodnik na chwilę wzniósł oczy ku sufitowi. Ech, kto mógł przypuszczać, że trafi na takiego słuchacza. Na początku wdzięcznego, a potem kłopotliwego, wreszcie natarczywego. Kim on właściwie jest, ten *attaché*? Skoro kulturalny, to na pewno jakiś niespełniony literat. Albo kiepski dziennikarzyna, któremu nie udało się dostać do „Washington Post”, więc załapał się do ambasady gdzieś na końcu świata. Posłucha, wyciągnie, a potem przepisze jako własne...

– Prawda – burknął Braun. – Krämer wraz z dwoma innymi agentami wywiadu, których nigdy wcześniej nie widział, skoczył ze spadochronem na terenach kontrolowanych przez aliantów. Po kilku dniach podróży pod fałszywymi nazwiskami dostali się do Teheranu. Przez całą drogę prawie nie zamienili słowa, pomijając niewinne i nieistotne „czy masz papierosa?” albo „ale gorąco!”. Dopiero

w niewielkim domku na przedmieściach, który był punktem kontaktowym i magazynem broni, dowiedzieli się, co mają robić. 28 listopada 1943 roku w ambasadzie radzieckiej miała rozpocząć obrady Wielka Trójka, czyli prezydent Stanów Zjednoczonych Franklin Delano Roosevelt, premier Wielkiej Brytanii Winston Churchill oraz przywódca Związku Radzieckiego Józef Stalin.

– Co... – Słuchacz ni to jęknął, ni to czknął, Braun jednak nie zwrócił na to uwagi.

– Każdy z trzech niemieckich agentów miał za zadanie dokonać zamachu na jednego z nich. Gdyby udało się wszystkim, losy wojny byłyby przesądzone, choć misję uważano by za udaną prawdopodobnie nawet wówczas, gdyby zadanie wykonał tylko jeden z nich. Celem Heinricha Krämera, który z racji miejsca urodzenia znał dobrze język rosyjski, był Stalin.

I znów dźwięk tego jednego nazwiska spowodował reakcję słuchacza, choć tym razem nie była to reakcja werbalna. Jego oczy powiększyły się niemal dwukrotnie.

– Chwilę po tym – ciągnął z coraz większą swobodą ogrodnik Braun – gdy agenci dowiedzieli się o swoich misjach, rozmawiali. Hamulce wreszcie puściły. Któryś opowiadał o wcześniejszych akcjach, między innymi o niedawnym odbiciu Benito Mussoliniego uwięzionego w Gran Sasso w Apeninach. Tylko Krämer nic nie mówił, chociaż tamci go pytali. W końcu dali za wygraną. Może nawet, kiedy rozmawiali już tylko ze sobą, nazwali go mrukiem i bufonem. Nie zdawali sobie sprawy z tego, co może być przyczyną takiego zachowania. Gdyby wiedzieli, że agent, który został zaszczycony ważnym i niebezpiecznym zadaniem, jest już tak naprawdę zupełnie bezużyteczny, wszystko potoczyłoby się inaczej. Może nie pozwoliliby mu znaleźć się przed bramą radzieckiej ambasady i powiedzieć tego, co powiedział.

– A co powiedział? – zapytał zastępca *attaché* kulturalnego, który od kilku dobrych chwil zupełnie niekulturalnie gapił się na ogrodnika.

Braun wzruszył ramionami.

– Prawdę powiedział. Być może doktor Kulawczyk, szalony polski chemik, nie zdawał sobie sprawy, jaką moc miał jego wynalazek.

Stworzył coś o wiele lepszego i mocniejszego w działaniu niż tiopental i skopolamina. Podczas gdy na więźniach obozów koncentracyjnych w Dachau i Oświęcimiu bezlitośni szarlatani, przez pomyłkę nazywani lekarzami, testowali meskalinę, skromnemu naukowcowi z Warszawy udało się, mimo że nieświadomie i z za grobu, wypróbować swój środek na wymarżonym osobniku. Na wrogu.

– Nie rozumiem, niech pan mówi jaśniej! – Słuchacz, do tej pory chłonący opowieść niczym małe dziecko, po raz pierwszy okazał zdenerwowanie. – Co takiego powiedział Heinrich Krämer przed bramą ambasady?

– Że nazywa się Heinrich Krämer, jest niemieckim szpiegiem i przyszedł zabić generalissimusa Józefa Stalina – odrzekł na jednym wydechu Braun. – Wartownik, który usłyszał te słowa, wypowiedziane nienagannie w języku Puszkina, mógł zareagować w dwojaki sposób. Zastrzelić na miejscu niedoszłego zamachowca albo też schwytać go i zaprowadzić pod bagnetem na przesłuchanie.

– I co? Zastrzelił jak psa?

– Nie. Wybrał trzecią możliwość: po prostu zaśmiał się w głos. Po chwili, kiedy dołączył drugi wartownik, a Krämer powtórzył swoje słowa, śmiali się we dwóch, jeszcze głośniejsze, serdecznie poklepując przybysza po plecach, choć żaden z nich nie był pewien, czy tak powinno się postępować z pacjentami psychuszki...

Od drzwi dobiegł jakiś hałas. Kilku uwięzionych pracowników ambasady poderwało się z podłogi. Rozległo się znajome gulgotanie, po czym w drzwiach zamajaczyła jakaś postać.

– Ręce przy sobie! – zawołał gniewny męski głos.

Na jego dźwięk obie sekretarki ambasadora rzuciły się w stronę drzwi.

– Nic panu nie jest? Jest pan cały? Wszystko OK? – dopytywały jedna przez drugą.

To był nie kto inny jak pułkownik Stetsson, *attaché* wojskowy. On również nie prezentował się zbyt okazale: mundur miał rozpięty, krawat poluzowany, a włosy w nieładzie. Ale to nie było ważne. Oficer, którego obstępował teraz wianuszek pracowników ambasady, od razu i z właściwą sobie werwą przystąpił do działań.

– Posłuchajcie, sprawa najważniejsza – perorował z mocą. – Jeśli będą wyciągać was stąd na przesłuchanie, ani słowa. Nic nie wiecie, nikogo nie znacie. Oni będą chcieli się dowiedzieć jak najwięcej. Nie podawajcie swoich nazwisk ani stanowisk. Ani nazwisk innych osób. Być może nawet będą obiecywali za to wolność. Ale wiecie, co macie robić. Wszelkie regulaminy pracy w ambasadzie Stanów Zjednoczonych nadal wszystkich obowiązują. Czy to jest jasne?

Odpowiedzieli mu zgodnym chórem, szybko, ale, z racji miejsca i okoliczności, niezbyt głośno. Dopiero po tej deklaracji pułkownik Stetsson mógł się już z czystym sumieniem oddać w opiekę Helen i Eleonor.

– I co się stało dalej, panie Braun? – naciskał niedoszły pisarz, a może dziennikarz, który wyjeżdżając na placówkę dyplomatyczną w Iranie, napytał sobie biedy.

– Nic – odrzekł ogrodnik. – Heinrich Krämer odwrócił się i odszedł od bramy ambasady Związku Radzieckiego, gdzie Franklin Delano Roosevelt, Winston Churchill i Józef Stalin ustanawiali nowy początek świata...

Już miał zacząć opowiadać, jak niemiecki agent Krämer, wciąż nieprzydatny, bo pozostający pod niszczyielskim działaniem mikstury doktora Kulawczyka, skierował kroki do innej ambasady. Ale zmilczał.

Wiedział, że nie dokończy opowieści, a właściwie to dokończy ją, ale w inny sposób. Nagle poczuł bowiem przemożną potrzebę opuszczenia tej mrocznej piwnicy. Było to uczucie o wiele silniejsze od regulaminów pracy i od wszystkich innych dekretów, porozumień, paktów i moratoriów. Włącznie z konstytucją Stanów Zjednoczonych z poprawkami.

W chwili, gdy to pomyślał, spojrzął na swoją ukochaną leicę. W środku aparatu była klisza, a na niej fotografie przedstawiające niemal wszystkich pracowników ambasady, włącznie z tymi najważniejszymi. Braun nie wiedział, czemu właściwie zrobił te zdjęcia. Chyba podziałało dawne przyzwyczajenie.

Wstał i niezauważony przez pozostałych więźniów, był wszak tylko zwykłym pielęgniarzem drzewek i sprzątaczem trawników, nieco

niezdarnym, ale zdecydowanym krokiem ruszył ku drzwiom celi...

Projekt okładki
Vavoq (Wojciech Wawoczny)

Zdjęcie wykorzystane na okładce:
© Narodowe Archiwum Cyfrowe
© Jakub Patelski

Redakcja
Aleksandra Kielczykowska

Korekta
Ewa Kłosiewicz-Majka, Katarzyna Borzęcka

Skład i łamanie
Akant

Tekst © Copyright by Krzysztof Beśka, Warszawa 2017
© Copyright for this edition by Melanż, Warszawa 2017

Wszystkie prawa zastrzeżone.

Żadna część niniejszej publikacji nie może być reprodukowana, przechowywana jako źródło danych i przekazywana w jakiegokolwiek elektronicznej, mechanicznej, fotograficznej lub innej formie zapisu bez pisemnej zgody posiadacza praw.

ISBN 978-83-64378-49-2

Warszawa 2017

Wydanie I

Melanż

ul. Rajskich Ptaków 50, 02-816 Warszawa

+48 602 293 363

wydawnictwo@melanz.com.pl

www.melanz.com.pl

Skład wersji elektronicznej

pan@drewnianyrower.com

—
(@@)
--000--(.)--000--